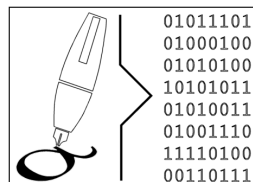


DAVID EDDINGS

SZAFIROWA RÓŻA

Księga trzecia dziejów Elenium

Przełożyła: Maria Duch



Tytuł oryginału:

The Sapphire Rose

Data wydania polskiego: 1994 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1991 r.

*Dedykację do tej książki chciała napisać moja
żona, a ponieważ ponosi odpowiedzialność za
znaczny część pracy, trudno mi było odmówić.*

*Dotknąłeś niebios i ogień spłynął
na ziemię.*

*Całuję
ja*

PROLOG

Otha i Azash

*wyjątki ze Skróconej historii Zemochu, opracowanej na Wydziale Historii
Uniwersytetu Borraty*

W czasach starożytnych kontynent Eosii był bardzo słabo zaludniony. Zamieszkiwali go Styrycy w z rzadka porzrzucanych wioskach. Z biegiem lat pierwotnych mieszkańców kontynentu poczęli stopniowo wypierać Eleni, migrujący na zachód ze stepów centralnej Daresii. Najpóźniej został zasiedlony Zemoch. Tamtejsze plemiona znacznie ustępowały pod względem rozwoju ludom mieszkającym na Zachodzie. Nie dorównywali im stopniem społecznego zorganizowania ani rozwojem ekonomicznym, a ich miasta sprawiały wrażenie bardzo prymitywnych w porównaniu z tymi, które wyrastały w powstających na Zachodzie królestwach. Klimat Zemochu trudno nazwać łagodnym, toteż życie toczyło się tam głównie wokół zaspokajania podstawowych potrzeb. Kościół przejawiał niewielkie zainteresowanie tak biednym i niegościnnym rejonem; w rezultacie kaplice Zemochu pozostawały w większości bez duszpasterzy, a kongregacje bez opiekunów. Z tej przyczyny Zemosi byli zmuszeni gdzie indziej szukać duchowej stawy. Jako że w dalekiej krainie działało zaledwie kilku księży, nie miał kto nakłaniać osiadłych tam ludzi do poszanowania nałożonych przez Kościół zakazów, dotyczących obcowania z pogańskimi Styrykami. Powszechnie dochodziło zatem do bratania przedstawicieli obu ras, a kiedy prości wieśniacy Eleni spostrzegli, że ich styryccy sąsiedzi czerpią konkretne korzyści ze znajomości sztuk tajemnych, naturalną kolejną rzeczą szerzyła się apostazja. W Zemochu całe wioski zamieszkałe przez Elenów nawracały się na styrycki panteizm. Wznoszono świątynie ku czci tego lub innego boga; ciemne styryckie kultury przeżywały swój rozkwit. Małżeństwa między Elenami a Styrykami stały się powszechne i z końcem pierwszego tysiąclecia Zemochów nie można już było uważać za naród Elenów. Wraz z upływem kolejnych stuleci coraz bliższe związki ze Styrykami spowodowały nawet tak znaczne zniekształcenie języka, że stał się on ledwie zrozumiały dla Elenów mieszkających w zachodniej Eosii.

W jedenastym wieku młody pasterz kóz z górskiej wioski w Gandzie, w centralnym Zemochu, przeżył doświadczenie, które w ostateczności wstrząsnęło

światem. Chłopak imieniem Otha podczas poszukiwań zbłąkanej w górach kozy natknął się na ukryty i porośnięty winoroślą przybytek, wzniesiony w starożytności przez wyznawców jednego z licznych styryckich kultów. Kapliczka była poświęcona bożkowi, którego posązek o groteskowo powykrzywianych kształtach miał dziwnie przyzywającą moc. Otha odpoczywał po trudach wspinaczki, gdy usłyszał dobywający się z głębi kapliczki głos, mówiący po styrycku.

— Kimże jesteś, chłopcze?

— Nazywam się Otha — odpowiedział chłopak, z wyraźnym trudem przypominając sobie mowę Styryków.

— I przybyłeś do tego miejsca, aby mi się pokłonić, paść na kolana i wielbić mnie?

— Nie — odparł Otha z nietypową dla siebie szczerością. — Próbuję odszukać jedną z moich kóz.

Na dłuższą chwilę zapadło milczenie. Potem głuchy, przejmujący dreszczem głos odezwał się ponownie:

— A co musiałbym ci ofiarować, abyś zechciał mi się pokłonić i oddać cześć? Od pięciu tysięcy lat nikt z twego rodzaju nie odwiedzał mojej świątynki, a ja łaknę uwielbienia i wiernych dusz.

Otha był pewien, że przemawia do niego jakiś pastuch, chcący płatać figle, i postanowił ciągnąć zabawę dalej.

— Och, chciałbym być królem świata, żyć wiecznie, mieć tysiące dziewcząt chętnych do spełnienia każdej mojej zachcianki i górę złota... aha, i jeszcze chciałbym znaleźć swoją kozę — wyliczył jakby od niechcenia.

— I w zamian za to oddałbyś mi swą duszę?

Otha się zastanowił. Zaledwie zdawał sobie sprawę z tego, że miał duszę, tak więc jej strata nie powinna mu zbytnio przeszkadzać. Poza tym — jak rozmyślał dalej — jeżeli to nie był figiel któregoś z wyrostków pasących kozy i propozycje można by potraktować poważnie, to niespełnienie choćby jednego z tych niewykonalnych żądań unieważniłoby całą umowę.

— No dobrze — zgodził się z obojętnym wzruszeniem ramion — ale najpierw udowodnij mi swą moc. Chcę zobaczyć moją kozę.

— A zatem spójrz za siebie, Otho — polecił głos — i odbierz to, co było zgubione.

Pastuszek się obejrzał. Zgubiona koza spokojnie obgryzała krzaki.

Otha był przeciętnym zemoskim chłopakiem. Lubował się w zadawaniu bólu bezbronnym istotom. Z upodobaniem oddawał się okrutnym żartom, drobnym kradzieżom i gdy tylko miał po temu okazję, chętnie bałamucił samotne pasterki. Był chciwy i niechłujny, a o swoim sprycie miał wygórowane mniemanie.

Przywiązując kozę do krzaka myślał gorączkowo. Jeżeli ten zapomniany styrycki bożek potrafi na żądanie zwrócić zaginioną kozę, do czego jeszcze mógłby

być zdolny? Otha doszedł do wniosku, że oto trafiła mu się okazja, której żał nie wykorzystać.

— Dobrze — zgodził się — na razie masz u mnie jedną modlitwę za zwrot kozy. Potem możemy porozmawiać o duszach, cesarstwach, bogactwie, nieśmiertelności i kobietach. Ukaż się. Nie będę się kłaniał powietrzu. Jakie masz imię? Muszę je znać, aby ułożyć poprawną modlitwę.

— Jam jest Azash, najpotężniejszy ze Starszych Bogów. Jeżeli zostaniesz moim sługą i przyprowadzisz innych, aby oddawali mi cześć, nagrodzę cię sówicie. Wywyższę cię i obdarzę bogactwami, jakich nie możesz sobie wyobrazić. Najpiękniejsze z panien będą twoje. Będziesz żył bez końca, a co więcej, będziesz miał taką władzę nad światem, jakiej nie miał jeszcze nigdy żaden człowiek. W zamian za to proszę jedynie o twą duszę i dusze tych, których do mnie przywiedziesz. Wielkie są moje potrzeby i samotność, ale moja nagroda dla ciebie będzie równie wielka. Spójrz w me oblicze i zadrzyj przede mną.

Powietrze wokół pokracznego posążka zamigotało i Otha ujrzał wznoszące się nad niezdarnie wyrzeźbionym wizerunkiem prawdziwe oblicze Azasha. Wzdrygnął się z przerażenia przed okropnym duchem, który pojawił się tak nagle, i padł na ziemię, korząc się przed zjawą. W głębi duszy Otha był tchórzliwy i obawiał się, że bardziej racjonalna reakcja na zmaterializowanego Azasha — natychmiastowa ucieczka — może sprowokować ohydne boga do uczynienia czegoś okropnego, a Otha bardzo bał się o własną skórę.

— Chwal mnie, Otho — ozwało się bóstwo. — Moje uszy są żądne twej adoracji.

— O potężny... ojej, jak ci na imię... aha, Azashu. Bogu bogów i władcy świata, wysłuchaj mej modlitwy, wysłuchaj swego pokornego czciciela. Jestem niczym pył przed tobą, a ty wznosisz się nade mną jak góra. Czczę cię, sławie i składam z głębi mego serca dzięki za zwrot mej nieszczęsnej kozy — którą, gdy tylko wrócę do domu, stłukę na kwaśne jabłko za to, że odeszła od stada. — Trzęsący się ze strachu Otha miał nadzieję, że jego modlitwa zadowoliła Azasha lub przynajmniej na tyle rozproszyła uwagę boga, aby nadarzyła się okazja do ucieczki.

— Modlitwa była odpowiednia, Otho — oznajmiło bóstwo. — Zaledwie odpowiednia. Z czasem nabierzesz biegłości w swej adoracji. Ruszaj teraz swoją drogą, a ja będę delektować się twą niezdarną modlitwą. Wróć jutrzejszego ranka, odsłonię przed tobą swe zamysły.

Kiedy po ciężkim marszu Otha przybył z kozą do swej brudnej chaty, poprzyśiągł sobie nigdy nie wracać do kapliczki wstrętnego bożka. Tej nocy nie mógł zasnąć, przewracał się z boku na bok na nędznym posłaniu, dręczony przez wizje bogactwa i usłużnych panien, zezwalających mu dać upust żądom.

— Zobaczmy, do czego to doprowadzi — mruknął do siebie, gdy świt rozpraszał mroki nocy. — W razie potrzeby zawsze mogę uciec.

I tak prosty Zemoch, pasterz kóz, został wyznawcą Starszego Boga, Azasha, boga, którego imienia styriccy sąsiedzi Othy nie chcieli nawet wypowiadać, tak wielką czuli przed nim bojaźń. W następnych wiekach Otha zdał sobie sprawę, jak głębokie było jego zniewolenie. Azash wiódł go cierpliwie poprzez okres zwykłego oddawania mu czci do odprawiania zwyrodniałych rytuałów, a potem dalej do obmierzłego królestwa nieobyczajności. W miarę jak straszne bożyszczę żarłocznie pożerało jego duszę, prosty i nie budzący szczególnego wstrętu pastuszek kóz stawał się ponury i coraz mniej towarzyski. Żył wprawdzie kilkanaście razy dłużej niż przeciętny człowiek, lecz jego członki uwiędły, a brzuch i głowa się rozděły. Ponieważ unikał słońca, stał się trupio blady. Stracił włosy. Został wielkim bogaczem, ale bogactwo go nie cieszyło. Na każde zawołanie miał chętne konkubiny, lecz ich urok nie robił na nim wrażenia. Tysiące tysięcy cieni, upiorów i stworów z ciemności czekało jedynie na jego skinienie, ale nie potrafił na tyle się nimi zainteresować, aby im cokolwiek rozkazać. Przyjemność czerpał jedynie z kontemplacji bólu i śmierci. Z rozkoszą przyglądał się, jak ku jego uciesze sługusi okrutnie pozbawiali życia bezbronni i drżące ofiary. Pod tym względem Otha się nie zmienił.

Na początku trzeciego tysiąclecia, gdy podobny ślimakowi Otha skończył dziewięćset lat, polecił swym zaufanym sługom przenieść prymitywną kapliczkę Azasha do miasta Zemoch, położonego w północnowschodnich górach. Skonstruowano ogromną figurę ohydneho boga, aby zamknąć w niej posązek, a nad nią wzniesiono olbrzymią świątynię. Za świątynią kazał Otha zbudować swój własny pałac, połączony z nią labiryntem korytarzy. Była to okazała budowla o ścianach pokrytych najlepszym kutym złotem, bogato inkrustowanym perłami, onyksem i chalcedonem. Na kolumnach wyrysowano rubinowe i szmaragdowe litery o zawiłych kształtach. Tam też z całą obojętnością ogłosił się cesarzem wszystkich Zemochów. Proklamacji tej towarzyszył grzmiący i trochę kpiący głos Azasha, który wraz z tłumnym wyciem złych duchów dobywał się ze świątyni.

Tak rozpoczął się okres strasznego terroru w Zemochu. Wszystkie inne wyznania zostały bezlitośnie wytępione. Ofiary z noworodków i dziewic liczono w tysiącach, a Eleni i Styricy byli jednako mieczem nawracani na wiarę w Azasha. Około wieku zajęło cesarzowi i jego sługusom wykorzenienie wszelkich śladów obyczajności ze zniewolonych poddanych. Wszystkich ogarnęła żądza krwi i niewyobrażalne okrucieństwo, a rytuały odprawiane przed wzniesionymi ku czci Azasha ołtarzami i kapliczkami stawały się coraz wstrętniejsze i bardziej odrażające.

W dwudziestym piątym wieku Otha uznał, że wszystko zostało przygotowane do realizacji ostatecznego celu jego zwyrodniałego boga. Zgromadził więc na zachodniej granicy Zemochu swe ludzkie armie oraz sprzymierzeńców z krainy ciemności. Wkrótce też, gdy Azash zebrał swoje siły, Otha uderzył, wysyłając wojska na równiny Pelosii, Lamorkandii i Cammorii. Nie da się w pełni opisać

ludzkiego przerażenia wywołanego inwazją. Dzikość zemoskich hord daleko wykraczała poza zwykłe okrucieństwo, a niewypowiedziane okropieństwa, jakich dopuszczali się nie ludzie towarzyszący armii najeźdźcy, były zbyt ohydne, aby o nich w tym miejscu wspominać. Wznoszono góry z ludzkich głów. Pojmany do niewoli smażono żywcem, a potem zjadano. Wzdłuż dróg i traktów stały krzyże, szubienice i pale. Niebo było ciemne od krążących sępów i kruków, a powietrze cuchnęło palonym i gnijącym mięsem.

Armie Othy śmiało zdążyły w kierunku pola bitwy z pełnym przekonaniem, że ich sprzymierzeńcy bez trudu pokonają każdy opór. Nie wzięli jednak pod uwagę siły Rycerzy Kościoła. Na równinie Lamorkandii, na południowym krańcu jeziora Randera, doszło do wielkiej bitwy. Ziemskie armie zwały się z sobą w potężnym starciu, ale jeszcze bardziej zdumiewającą walkę stoczyły ze sobą siły nadnaturalne. Wzięły w niej udział wszelkie wyobrażalne formy ducha. Pole walki omiały fale ciemności i wielobarwne łuny światła. Ogień i blask lały się z nieba. Całe bataliony pochłaniała ziemia lub spalały nagłe płomienie. Od horyzontu po horyzont przetaczały się huczące gromy. Ziemia drżała od wstrząsów, a potoki lawy wyrzucane z jej głębin pochłaniały idące w szyku legiony. Wiele dni armie trwały zwarte w straszliwej bitwie na zboczonym krwią polu, aż w końcu Zemosi zostali odparci. Ze straszidłami rzuconymi przez Othę starli się, jak równy z równym, Rycerze Kościoła, i po raz pierwszy Zemosi zakosztowali smaku porażki. Początkowo niechętny odwrót zmienił się w paniczną ucieczkę. Rozbite hordy pognały w kierunku granic.

Eleni zwyciężyli, ale drogo okupili zwycięstwo. Połowa rycerstwa poległa na polu bitwy, a armie królów liczyły swych zabitych w dziesiątki tysięcy. Do nich należało zwycięstwo, lecz byli zbyt wyczerpani i nieliczni, aby ścigać uciekających Zemochów.

Rozdętego Othę, który na swych osłabłych członkach nie był już w stanie udźwignąć własnego ciężaru, zaniecono w lektyce do świątyni znajdującej się za labiryntem, aby mógł stawić czoło gniewowi Azasha. Cesarz czołgał się przed posągiem swego boga, błagając ze łzami o litość.

W końcu Azash przemówił:

— Ostatni raz, Otho, jeszcze ten jedyny raz ulegnę twym błaganiom. Chcę posiąść Bhelliom. Zdobądź go i przynieś mi, bo przestanę być wobec ciebie tak wielkoduszny. Skoro darami nie nakłoniłem cię do poddania się mej woli, być może dokonam tego męczarnią. Idź, Otho. Znajdź mi Bhelliom, abym mógł powrócić do swej dawnej postaci i odzyskać wolność. Jeżeli mnie zawiedziesz, z pewnością zapragniesz śmierci, gdyż twoje umieranie będzie trwało wiecznie.

I tak, pomimo iż klęska rozniosła w strzepy wojska Zemochu, zrodził się ostatni spisek Othy przeciwko królestwom Zachodu. Spisek, który miał doprowadzić cały świat na skraj przepaści.

CZEŚĆ I
BAZYLIKA

Rozdział 1

Wodospad nikał w bezdennych czeluściach, które pochłonęły Ghweriga. Spadające wody napępniały grotę głębokim dudnieniem, podobnym do echa, jakie pozostaje po uderzeniu wielkiego dzwonu. Na krawędzi przepaści klęczał Sparhawk, mocno ściskając w dłoni Bhelliom. Rycerza ogłuszał huk wodospadu, oślepiło światło uwiecznione w kolumnie spadającej wody. Jego umysł był wolny od wszelkich myśli.

Powietrze w grotcie było ciężkie od wilgoci. Mgiełka wody rozpylonej przez wodospad zraszała skały. Mokre kamienie połyskiwały w migotliwych blaskach rzuconych przez rwący potok oraz ostatnich błyskach nikałej światłości, która towarzyszyła bogini Aphrael.

Sparhawk powoli opuścił wzrok na trzymany w dłoni klejnot. Szafirowa róża sprawiała wrażenie delikatnej, a nawet kruchej, mimo to rycerz czuł, iż jest niezniszczalna. Z jej serca dobywały się pulsujące błyski, rozjaśniające koniuszki płatków błękitem. Moc emanująca z wnętrza drogiego kamienia sprawiała Sparhawkowi ból rąk, a w głębi jego duszy coś krzyczało ostrzegawczo. Nie znający lęku pandionita wzdrygnął się i oderwał oczy od zniewalającego błękitu Bhelliomu.

Waleczny rycerz Zakonu Pandionu szukał wzrokiem blasków gasnących na kamieniach, jakby w nadziei, że Aphrael uchroni go przed klejnotem, o którego zdobycie tak długo zabiegał i którego teraz tak dziwnie się obawiał. Jednakże nie tylko o to mu chodziło. Sparhawk pragnął to słabe światełko wryć w pamięć na zawsze, zachować w swym sercu choć wizję małego, kapryśnego bóstwa.

Sephrenia westchnęła i powoli wstała. Na jej twarzy mimo znużenia malował się zachwyt. Wiele wysiłku kosztowało czarodziejkę dotarcie do tej wilgotnej grotty w górach Thalesii, ale została nagrodzona cudownym momentem objawienia — mogła spojrzeć prosto w oblicze bogini.

— Musimy teraz opuścić to miejsce, mój drogi — powiedziała ze smutkiem.

— Nie możemy zostać kilka chwil dłużej? — zapytał Kurik z nietypową dla siebie tęsknotą w głosie, gdyż giermek był najmniej sentymentalnym z wszystkich ludzi.

— Nie. Jeżeli zostaniemy tu za długo, zaczniemy szukać usprawiedliwienia, aby pozostać jeszcze dłużej. Po pewnym czasie w ogóle nie chcielibyśmy odejść.
— Drobną, odzianą w białą szatę czarodziejka spojrzała na Bhelliom, a jej twarz gwałtownie zmieniła wyraz. — Zabierz to z mych oczu, Sparhawk, i rozkaż, aby umilkł. Jego obecność wszystkich nas kala. — Sephrenia wyciągnęła przed siebie miecz, który przekazał jej duch Gareda na pokładzie statku kapitana Sorgiego. Przez chwilę szeptała coś po styricku, a potem uwolniła zaklęcie, które rozjarzyło klingę miecza, aby oświetlić drogę powrotną na powierzchnię.

Sparhawk wsunął klejnot pod płaszcz i sięgnął po włócznię króla Aldreasa. Poczuł, że jego kolczuga solidnie już pachnie. Marzył, by się jej pozbyć.

Kurik przystanął i podniósł okutą żelazem kamienną maczugę, którą pokracczny, karłowaty troll zamierzał roztrzaskać im czaszki, zanim spadł w głąb czeluści. Giermek podrzucił maczugę kilka razy w dłoni, a potem obojętnie cisnął w przepaść w ślad za Ghwerigiem.

Sephrenia uniosła nad głowę żarzący się miecz i cała trójka ruszyła po zasypanej szlachetnymi kamieniami posadzce skarbcza trolla w kierunku wejścia do krętej sztolni, wiodącej na powierzchnię.

— Myślisz, że jeszcze kiedyś ją ujrzymy? — zapytał Kurik z rozmarzeniem, gdy wchodzili do korytarza.

— Aphrael? Trudno powiedzieć. Ona zawsze była trochę kapryśna — odparła Sephrenia stłumionym głosem.

Przez pewien czas szli w milczeniu krętą sztolnią. Podczas wspinaczki Sparhawk ogarnęło uczucie dziwnej pustki. Gdy schodzili w dół, było ich czworo; teraz opuszczali grotę tylko we troje. Bogini-dziecka nie było między nimi, choć nieśli ją w swych sercach.

Coś jeszcze nie dawało Sparhawkowi spokoju.

— Czy nie powinniśmy po wyjściu opieczętować tej grotę? — zapytał swą nauczycielkę.

Sephrenia spojrzała na niego z uwagą.

— Możemy, jeżeli będziesz sobie tego życzył, mój drogi. Dlaczego jednak chcesz to uczynić?

— Trudno to wyrazić w słowach.

— Zdobyliśmy klejnot, po który tu przybyliśmy, Sparhawk. Czemu miałoby cię martwić, że jakiś świniopas może się natknąć na grotę?

— Nie potrafię tego wytłumaczyć. — Rycerz z wysiłkiem próbował sprecyzować swoje obawy. — Gdyby zawędrował tu jakiś thalezyjski wieśniak, mógłby odkryć skarbiec Ghweriga, prawda?

— Tak, gdyby dostatecznie długo szukał.

— I nie minie wiele czasu, a grotą zaroi się od Thalezyjczyków.

— A czemu miałoby cię to martwić? Czyżbyś chciał zatrzymać skarby Ghweriga tylko dla siebie?

— Bynajmniej. Nie jestem chciwy jak Martel.

— A zatem czemu to cię tak martwi? Cóż mogą cię obchodzić kręcący się tu Thalezyjczycy?

— To jest bardzo szczególne miejsce, mateczko.

— Pod jakim względem?

— Jest święte — rzekł Sparhawk krótko. Dociekliwość Sephrenii zaczynała go irytować. — Tu objawiła się nam bogini. Nie chcę, by grota została sprofanowana przez tłumy pijanych i chciwych poszukiwaczy skarbów. Czułbym się tak samo, jakby ktoś sprofanował bazylikę w Chyrellos.

— Mój drogi — drobna, krucha czarodziejka objęła i przytuliła rosnącego rycerza — czy naprawdę tak wiele cię kosztuje uznanie boskości Aphrael?

— Twoja bogini była bardzo przekonująca, mateczko — skrzywił się Sparhawk. — Zachwiała nawet hierarchią Kościoła Elenów. Czy możemy zapieczętować grootę?

Czarodziejka zaczęła coś mówić, ale umilkła i zmarszczyła brwi.

— Zaczekajcie tutaj — poleciła.

Oparła miecz Gareda o ścianę sztolni, stawiając go klingą do góry, i ruszyła w głąb korytarza. Zatrzymała się na skraju obszaru oświetlonego blaskiem padającym z ostrza miecza i zamyśliła się głęboko. Wreszcie wróciła.

— Mam zamiar prosić, byś uczynił coś ryzykownego, Sparhawk — powiedziała z powagą — myślę jednak, że tobie nic nie grozi. Twoja pamięć o Aphrael jest nadal bardzo żywa i to powinno cię ochronić.

— Co mam zrobić?

— Do opieczetowania groty użyjemy Bhelliomu. Moglibyśmy wprawdzie skorzystać z innego sposobu, lecz przekonajmy się, czy klejnot ulegnie twej woli. Ja w to nie wątpię, ale lepiej się upewnić. Musisz być silny, Sparhawk. Bhelliom nie będzie chciał spełnić twej prośby, więc musisz go do tego zmusić.

— Potrafię sobie poradzić z uparciuchami. — Sparhawk wzruszył ramionami.

— Nie lekceważ sobie Bhelliomu. Nigdy nie miałam do czynienia z tak wielkim żywiołem. Ruszajmy.

Posuwali się dalej krętym korytarzem. Stłumiony ryk wodospadu cichł coraz bardziej. Wtem zdało się, że ledwie słyszalny dźwięk uległ zmianie. Jeden ciągły ton rozpadł się na wiele, stając się raczej chórem niż pojedynczym dźwiękiem. Pewnie był to efekt wywołany nakładaniem się ech. Wraz ze zmianą dźwięku zmienił się również nastrój Sparhawka. Przedtem czuł coś w rodzaju pełnej znużenia satysfakcji z wypełnionego nareszcie zadania, pomieszanej z nabożną czcią dla objawienia bogini-dziecka, a teraz ciemna, zatęchła grota wydawała mu się złowieszcza i groźna. Sparhawka ogarnęło uczucie, jakiego nie doświadczał od wczesnego dzieciństwa. Nagle począł się lękać ciemności. W mroku poza kręgiem światła, rzucanego przez klingę miecza, czały się zwidy, bezpostaciowe

zjawy ziejące okrutną złośliwością. Sparhawk obejrzał się z obawą. Daleko z tyłu, w ciemnościach coś jakby się poruszyło, trwało to jednak na tyle krótko, że wydawało się jedynie drgnięciem głębokiego, najintensywniejszego mroku. Rycerz stwierdził, że gdy próbuje patrzeć wprost, nic nie dostrzega, ale wystarczy, by zerknął kątem oka, a na skraju pola widzenia pojawiał się niewyraźny i bezkształtny cień. Napełniało to Sparhawka nieokreślonym lękiem.

— Bzdury — mruknął i ruszył przed siebie, gorąco pragnąc jak najszybciej znaleźć się w kręgu światła.

Wczesnym popołudniem dotarli na powierzchnię. Z ciemności groty wyszli na oślepiające słońce. Rycerz wziął głęboki oddech i sięgnął pod płaszcz.

— Jeszcze nie teraz, Sparhawk — poradziła Sephrenia. — Chcemy zaważyć strop groty, ale nie mamy chyba ochoty, żeby ten skalny występ runął na nasze głowy. Zejdźmy na dół, do miejsca, w którym zostawiliśmy konie.

— Naucz mnie zaklęcia — poprosił, gdy we troje przedzierali się przez kamienisty żleb ciągnący się od wejścia do groty.

— Nie istnieje żadne zaklęcie. Masz klejnot i pierścienie. Wystarczy, byś wydał rozkaz. Gdy będziemy na dole, pokażę ci, jak to zrobić.

Skalnym parowem dotarli do trawiastej równiny, na której obozowali poprzedniej nocy. Słońce chyliło już się prawie ku zachodowi. W końcu znaleźli się przy namiotach i uwiązanych koniach. Na widok zbliżającego się Sparhawk Faran położył po sobie uszy i wyszczerzył zębiska.

— O co chodzi? — Rycerz klepnął srokacza po zadzie.

— Wyczuł, że masz Bhelliom — wyjaśniła Sephrenia — i to mu się nie podoba. Przez pewien czas trzymaj się z dala od wierzchowca. — Obrzuciła krytycznym spojrzeniem kamienisty żleb, który zostawili za plecami. — Tu jesteśmy dość bezpieczni — zdecydowała. — Wyciągnij Bhelliom i trzymaj go w obu dłoniach tak, aby dotykały go pierścienie.

— Czy muszę stanąć twarzą do groty?

— Nie. Bhelliom będzie wiedział, co każesz mu zrobić. A teraz przypomnij sobie wnętrze groty, jej wygląd, nawet zapach. A potem wyobraź sobie, że strop runął. Głazy spadają, podskakują i staczają się jeden na drugi, tworząc stos. Z groty wylatuje olbrzymia chmura pyłu i silny podmuch wiatru. Grań nad grota chyli się, prawdopodobnie ruszą lawiny kamieni. Nie pozwól, aby cokolwiek cię rozproszyło. Staraj się utrzymać w swej wyobraźni stabilną wizję.

— Trochę to bardziej skomplikowane od zwykłego zaklęcia, prawda?

— Tak. Jednakże to nie jest zaklęcie w pełnym tego słowa znaczeniu. Posłyszysz się elementarną magią. Skoncentruj się, Sparhawk. Im bardziej szczegółowo wszystko sobie wyobrazisz, z tym większą mocą odpowie Bhelliom. Gdy twoja wizja będzie już dostatecznie wyrazista, rozkaż, aby klejnot ją spełnił.

— Czy mam rozkazać w mowie trolli?

— Nie jestem pewna. Spróbuj najpierw języka Elenów. Jeżeli nie poskutkuje, użyjemy mowy trolli.

Sparhawk przypomniał sobie wejście do groty i długą krętą sztolnię prowadzącą w dół do skarbcza Ghweriga.

— Czy powinienem również zawalić strop nad wodospadem? — zapytał.

— Nie. Rzeka w swym dolnym biegu może ponownie wypływać na powierzchnię. Jeżeli ją zatamujesz, ktoś mógłby zauważyć, że przestała płynąć, i wówczas zaczęłby się zastanawiać nad przyczyną. A poza tym, ta część pieczary jest chyba bardzo szczególna?

— Tak.

— Zatem zabezpieczmy ją na zawsze.

Sparhawk wyobraził sobie, jak strop groty zapada się z hukiem w kłębach skalnego pyłu.

— Co mam powiedzieć? — zapytał.

— Wezwij Błękitną Różę. Tak Ghwerig nazywał Bhelliom. Może klejnot rozpozna swe imię.

— Błękitna Różo — rzekł Sparhawk tonem komendy — spraw, aby grota się zawaliła.

Szafirowy kwiat pociemniał, a w jego wnętrzu pojawiły złe czerwone błyski.

— Stawia ci opór — powiedziała Sephrenia. — Przed tym właśnie cię ostrzegałam. Grota jest miejscem jego narodzin i Bhelliom nie chce jej zniszczyć. Zmusz go, Sparhawk.

— Usłuchaj mnie, Błękitna Różo! — warknął rycerz, skupiając całą wolę na klejnocie. Wówczas poczuł przypływ niewiarygodnej mocy. Szafir zdawał się pulsować w jego dłoniach. W momencie uwolnienia mocy klejnotu Sparhawk ogarnęło nagle uniesienie, niemal fizyczna ekstaza.

Ziemia zadrżała. Usłyszeli głucho dudnienie. Głęboko pod nimi skały zaczęły pękać z trzaskiem. Trzęsienie ziemi rujnowało skały, pokład po pokładzie. Daleko w górze ściana skalna mająca nad wejściem do groty Ghweriga poczęła się przechylać, a potem, gdy jej podnoże się rozkruszyło, runęła prosto do kotliny. Nawet z tej odległości huk towarzyszący rozpadnięciu się stromej skały był ogłuszający. Z rumowiska uniósł się olbrzymi obłok pyłu i poszybował na północny wschód, jakby niesiony podmuchem, który zrujnował wnętrze góry. Wtem, tak samo jak w grocie, Sparhawkowi mignęło coś na skraju pola widzenia — coś ciemnego i pełnego złośliwej ciekawości.

— Jak się czujesz? — zapytała Sephrenia przyglądając się rycerzowi uważnie.

— Trochę dziwnie — przyznał Sparhawk. — Mam poczucie przeogromnej mocy.

— Wstrzymaj się od podobnych myśli. Miast tego skup się na Aphrael. Dopóki nie opuści cię to uczucie, nie myśl o Bhelliomie. Ukryj klejnot. Nie patrz na niego.

Sparhawk ponownie wsunął szafir pod płaszcz.

Giermek spojrział w górę parowu, w kierunku olbrzymiej sterty kamieni, która zasypała kotlinę, zamykając na wieki wejście do groty Ghweriga.

— To wszystko wydaje się tak ostateczne — westchnął z żalem.

— Twoje wrażenie cię nie myli — powiedziała Sephrenia. — Grota jest teraz bezpieczna. Skierujmy swoje myśli w inną stronę, moi drodzy. Nie rozwódźmy się nad tym, co właśnie zrobiliśmy, w przeciwnym razie nigdy nie przestaniemy o tym myśleć.

Giermek wyprostował swe muskularne ramiona i rozejrzał się dookoła.

— Rozpalę ogień — mruknął i ruszył po drwa na ognisko.

Sparhawk w sakwach wyszukał naczynia i prowiant na wieczerzę. Po posiłku usiedli dookoła ognia.

— Jeszcze nie widziałem, żeby na rozkaz człowieka waliły się góry — rzekł z podziwem Kurik. — Sparhawk, czy mając Bhelliom czujesz się jak władca świata? Możemy chyba o tym teraz rozmawiać? — spojrzął na czarodziejkę.

— Nie wiem, zobaczymy. Odpowiedz mu, Sparhawk.

— To było niepodobne do żadnego z poprzednich doświadczeń — odparł pandionita. — Poczułem się nagle wielki jak dąb i wszechmocny. Przyłapałem się nawet na tym, że myślałem nad następnym krokiem... zastanawiałem się czyby nie rozbić w pył całego pasma tych gór.

— Sparhawk, przestań! — krzyknęła ostro Sephrenia. — Bhelliom cię kusi, próbuje nakłonić, byś go użył. Za każdym razem, gdy to uczynisz, będzie zdobywał coraz większą władzę nad twą duszą. Pomyśl o czymś innym.

— Na przykład o Aphrael? — zasugerował Kurik. — A może i o niej niebezpiecznie myśleć?

— O tak, bardzo niebezpiecznie. — Czarodziejka uśmiechnęła się spokojnie. — Ona posiadłaby twą duszę jeszcze szybciej niż Bhelliom.

— Twoje ostrzeżenie jest trochę spóźnione, mateczko. Myślę, że już to uczyniła. Tesknię za nią.

— Nie musisz. Ona jest ciągle z nami.

Giermek rozejrzał się dookoła.

— Gdzie?

— Duchem, Kuriku.

— To nie jest dokładnie to samo.

— Zajmijmy się teraz Bhelliomem — powiedziała Sephrenia w zamyśleniu. — Jego wpływ jest silniejszy, niż przypuszczałam.

Czarodziejka wstała i podeszła do niewielkiej sakwy zawierającej jej osobiste rzeczy. Pogrzebała w niej chwilę i wyciągnęła płócienny woreczek, dużą igłę oraz kłębek czerwonych nici. Następnie poczęła wyszywać na płótnie osobliwie asymetryczny karmazynowy wzór. W czerwonym blasku ogniska pracowała w skupieniu, poruszając bez przerwy ustami.

— Mateczko, szyjesz krzywo — zauważył Sparhawk. — Ta strona różni się od tamtej.

— Tak też powinno być. Mój drogi, proszę, nie odzywaj się teraz do mnie. Usiłuj się skoncentrować. — Wyszywała jeszcze przez jakiś czas, po czym wpięła igłę w rękaw i wyciągnęła dłoń z woreczkiem w kierunku ognia. Zaczęła mówić coś po styricku, a ogień tańczył w takt jej słów, to przygasając, to rosnąc rytmicznie. Wtem płomień nagle skłębily się i zafalowały, jakby chciały napełnić płócienną sakiewkę. — Włóż tu Bhelliom, Sparhawk — powiedziała czarodziejka, otwierając woreczek. — Bądź stanowczy. Prawdopodobnie Bhelliom będzie próbował ponownie tobą zawładnąć.

Rycerz niechętnie sięgnął pod płaszcz po klejnot i spróbował włożyć go do woreczka. Zdawało mu się, że usłyszał pisk protestu. Szafir zrobił się gorący. Sparhawk miał wrażenie, że usiłuje przepchnąć coś przez litą skałę. W głowie miał zamęt, był przekonany, iż zamierza dokonać rzeczy niemożliwej: Zacisnął zęby i spróbował jeszcze raz. Niemal wyraźnie słyszał płacz, gdy szafirowa róża znikła w woreczku. Sephrenia ściągnęła mocno sznurek i zawiązała końce w skomplikowany węzeł, który przeszła wielokrotnie igłą z czerwoną nitką.

— Gotowe — powiedziała odgryzając nitkę.

— Co zrobiłaś? — zapytał Kurik.

— To forma modlitwy. Aphrael nie potrafi umniejszyć mocy Bhelliomu, ale potrafi go uwięzić, aby nie mógł nad nikim zapanować. Nie jesteśmy zupełnie bezpieczni, ale nic więcej nie da się napędce uczynić. Później postaramy się o coś solidniejszego. Schowaj woreczek, Sparhawk, i staraj się, by od skóry oddzielała go kolczuga. Myślę, że to może pomóc. Aphrael mówiła mi kiedyś, że Bhelliom nie znosi dotyku stali.

— Czy nie jesteś przesadnie ostrożna, mateczko? — zapytał rycerz.

— Nie wiem. Nigdy przedtem nie miałam do czynienia z czymś tak potężnym jak Bhelliom i nawet nie potrafię sobie wyobrazić granic jego mocy. Jednakże wiem na tyle dużo, by mieć świadomość, że potrafi on zawładnąć każdym, nawet Bogiem Elenów lub Młodszyimi Bogami Styricum.

— Każdym, z wyjątkiem Aphrael — poprawił Kurik.

Czarodziejka pokręciła głową.

— Nawet Aphrael, gdy wносиła go z otchłani, znalazła się pod jego urokiem.

— Dlaczego zatem nie zatrzymała klejnotu dla siebie?

— Przyczyną była miłość. Moja bogini kocha nas wszystkich i dlatego oddała nam Bhelliom. Bhelliom nie potrafi zrozumieć, czym jest miłość. W ostateczności może to się okazać naszą jedyną bronią przeciwko niemu.

Tej nocy Sparhawk spał niespokojnie, nieustannie przewracając się z boku na bok. Kurik trzymał straż stojąc poza kręgiem światła rzucanego przez ogień, tak więc Sparhawk był zdany jedynie na siebie w walce z sennymi koszmarami. Wydawało mu się, że przed jego oczyma wisi szafirowa róża, błyszcząc uwodzi-

cielsko ciemnoniebieskim blaskiem. Ze środka tego blasku dobywał się dźwięk — dźwięk, który szarpał mu duszę. Dookoła unosiły się cienie, dotykając niemal jego pleców — było ich z całą pewnością więcej niż jeden, ale chyba mniej niż dziesięć. Cienie nie były kuszące. Zionęły nienawiścią zrodzoną z zawodu. Pod błyszczącym Bhelliomem stała obrzydliwie groteskowa gliniana figurka Azasha, ta sama, którą rozbił w Ghasku i która zawładnęła duszą hrabianki Belliny. Twarz posążka nie była martwa, wykrzywiała się okropnie w wyrazie najniższych namiętności — żądzy, chciwości, nienawiści i wzniosłej pogardy płynącej z poczucia mocy absolutnej.

Sparhawk począł szamotać się we śnie. Rzucił się na wszystkie strony. Bhelliom napierał na niego; Azash napierał na niego, a wraz z nim pełne nienawiści cienie. I klejnot, i wstrętny bożek były obdarzone nieprzepartą mocą. Rycerz czuł, że jego umysł i ciało rozdierają przeciwstawne, nieludzkie siły.

Próbował krzyczeć i obudził się zlany potem. Zaklął. Był wyczerpany, ale sen pełen koszmarów nie dawał wytchnienia. Położył się w ponurej nadziei, że zapadnie w zapomnienie bez snów.

Jednakże wszystko zaczęło się od nowa. Ponownie mocował się we śnie z Bhelliomem, z Azashem i czającymi się za nim nienawistnymi cieniami.

— Sparhawk — usłyszał cichy znajomy głos — nie pozwól się zastraszyć. Wiesz przecież, że nie mogą ci zrobić nic złego. Próbują cię jedynie przestraszyć.

— Po co to robią?

— Ponieważ boją się ciebie.

— To niemożliwe, Aphrael, jestem tylko człowiekiem.

Jej śmiech zabrzmiał niczym srebrny dzwoneczek.

— Ależ z ciebie czasami głuptas, ojcze! Nie jesteś podobny nikomu, kto żył kiedykolwiek. W pewien szczególnie sposób jesteś potężniejszy od samych bogów. A teraz śpij spokojnie. Będę strzegła twego snu.

Sparhawk poczuł na policzku delikatny pocałunek i zdało mu się, że para drobnych ramion z matczyną czułością objęła jego głowę. Koszmarne majaki zafalowały i znikły.

Upłynęło wiele czasu. Do namiotu wszedł Kurik i obudził śpiącego rycerza.

— Późno już? — zapytał Sparhawk.

— Około północy. Weź płaszcz. Chłodno na dworze.

Sparhawk wstał, przywdział kolczugę, przypasał miecz i sięgnął po płaszcz.

— Śpij dobrze — rzekł do giermka i wyszedł z namiotu.

Gwiazdy świeciły bardzo jasno, a na wschodzie, nad poszarpaną linią szczytów, pojawił się właśnie księżyc w pierwszej kwadrze. Sparhawk odszedł od przysgasającego ogniska, by przyzwyczaić oczy do ciemności. Stał. W chłodnym górskim powietrzu jego oddech zamieniał się w drobne obłoczki pary.

Senne marzenia, choć coraz mniej wyraziste, nadal go niepokoiły. Wyraźne pozostało jedynie wspomnienie delikatnego dotyku ust Aphrael na policzku. Zde-

cydowanie zatrzasnął drzwi do komnaty, w której przechowywał swe senne marzenia, i skierował myśli ku innym sprawom.

Bez małej bogini i jej umiejętności obchodzenia się z czasem dotarcie do wybrzeża zajmie im pewnie tydzień. Będą musieli znaleźć statek, który przewiezie ich na deirańską stronę Cieśniny Thalezyjskiej. Po ich ucieczce król Wargun bez wątpienia postawił już na nogi wszystkie siły Eosii. A zatem, aby uniknąć pojmania, będą musieli jechać bardzo ostrożnie. Jednakże najpierw musieli dotrzeć do Emsatu. Po pierwsze, trzeba odszukać Talena, a po drugie, na bezludnym wybrzeżu trudno o statek.

Tej nocy, pomimo lata, w górach było chłodno. Rycerz otulił się płaszczem. Był zmęczony i posępny. Wydarzenia minionego dnia na długo pozostaną mu w pamięci. Sparhawk nie był człowiekiem głęboko religijnym. Był bardziej oddany Zakonowi Rycerzy Pandionu niż wierze Elenów. Rycerze Kościoła dbali o zachowanie pokoju na świecie, tym samym stwarzając pozostałym, nieskorym do wojaczki Elenom warunki do odprawiania miłych Bogu — tak przynajmniej twierdziło duchowieństwo — obrzędów. Sam Sparhawk rzadko rozmyślał o Bogu. A jednak... Zdarzenia, w których dziś uczestniczył, miały głęboko duchowe znaczenie. Ze skrucną musiał przyznać, że człowiek o pragmatycznym spojrzeniu na świat nigdy tak naprawdę nie jest gotów na podobnie silne religijne doznania. Jego dłoń niemal bezwiednie zbłądziła w kierunku ukrytego pod płaszczem woreczka. Sparhawk zdecydowanym ruchem wyciągnął miecz, wbił go w darń i mocno splótł dłonie na rękojeści. Skierował myśli na inne tory, z dala od religii i spraw nadprzyrodzonych.

Było już prawie po wszystkim. Czas, jaki jego królowa będzie zmuszona pozostać zamknięta w kryształach, który utrzymywał ją przy życiu, można już było liczyć bardziej na dni niż tygodnie czy miesiące. Sparhawk i jego przyjaciele przewędrowali cały kontynent Eosii, by zdobyć tę jedną jedyną rzecz, która mogła uleczyć władczynię Elenii. Lekarstwo spoczywa w płóciennym woreczku na jego piersi. Rycerz wiedział, że teraz, gdy ma Bhelliom, nic go już nie jest w stanie powstrzymać. Za pomocą szafirowej róży może w razie potrzeby zniszczyć całe armie. Z surową stanowczością odrzucił jednak od siebie tę myśl.

Jego zmęczone oblicze przybrało posępny wyraz. Kiedy już królowa będzie bezpieczna, on ostatecznie rozprawi się z Martelem, prymasem Anniasem i każdym, kto pomagał im w zbrodniczym spisku. Sparhawk począł w myślach sporządzać listę ludzi o nieczystych sumieniach. To był miły sposób na spędzenie nocnych godzin. Zajął czymś umysł i już nie nachodziły go złe myśli.

Sześć dni później o zmierzchu dotarli na szczyt wzgórza, skąd zobaczyli w dole dymiące pochodnie i oświetlone świecami okna stolicy Thalesii.

— Zaczekacie tutaj — rzekł Kurik do Sephrenii i Sparhawka. — Wargun pew-

nie zdążył rozesłać wasze rysopisy po całej Eosii. Pojadę do miasta i odszukam Talena. Zobaczmy, co się da zrobić w sprawie okrętu.

— Na pewno tobie nic nie grozi? — zapytała Sephrenia. — Przecież Wargun mógł rozesłać i twój rysopis.

— Król Wargun jest szlachcicem — mruknął Kurik — a szlachta zwraca małą uwagę na służbę.

— Nie jesteś służącym — zaprotestował Sparhawk.

— Tak się mnie określa, Sparhawk, i tak widzi mnie Wargun — gdy jest dostatecznie trzeźwy, by cokolwiek widzieć. Zaczaję się na jakiegoś podróżnego i okradnę go z odzienia. W przebraniu bez trudu dotrę do Emsatu. Daj mi trochę pieniędzy na wypadek, gdybym musiał kogoś przekupić.

— Ach, Eleni... — westchnęła Sephrenia, gdy giermek odjechał w kierunku miasta. — Jakże ja mogłam zbratać się z ludźmi tak pozbawionymi skrupułów?

Powoli zapadał zmrok i wysokie żywiczne jodły dookoła nich zmieniły się w majaczące cienie. Sparhawk uwiązał Farana, juczne konie i Ch'iel, białą klacz Sephrenii. Potem rozłożył na trawie swój płaszcz i zaprosił czarodziejkę, by usiadła.

— Co cię trapi, Sparhawk? — zapytała po chwili.

— Jestem zmęczony. — Starał się mówić lekkim tonem. — Zawsze po wypełnieniu zadania przychodzi odprężenie.

— Jednakże tu chodzi o coś więcej, prawda?

Rycerz westchnął ciężko.

— Tak naprawdę nie byłem przygotowany na wydarzenia w grocie. W pewnym sensie to wszystko wydaje się bardzo bezpośrednio i osobiste.

Czarodziejka skinęła głową.

— Nie mam zamiaru cię obrazić, Sparhawk, ale z religii Elenów zrobiono w znacznej mierze instytucję, a instytucję trudno kochać. Bogowie Styricum pozostają w bardziej osobistych stosunkach ze swymi wyznawcami.

— Myślę, że wolę jednak być Elenem. To łatwiejsze. Osobiste stosunki z bogami budzą niepokój.

— Ale czy ani trochę nie kochasz Aphrael?

— Oczywiście, że ją kocham. Co prawda czułem się w duchu o wiele spokojniejszy, gdy była po prostu Flecikiem, ale nadal ją kocham. — Skrzywił się. — Wiedziesz mnie wprost ku herezji, mateczko.

— Niezupełnie. Od samego początku Aphrael pragnęła jedynie twojej miłości. Nie prosiła cię, abyś stał się jej wyznawcą... na razie.

— Właśnie owo „na razie” mnie niepokoi. Czyż nie jest to jednak raczej dziwne miejsce i czas na teologiczne dysputy?

Zaraz potem rozległ się na drodze tętent kopyt i niewidoczni jeźdźcy wstrzymali konie opodal miejsca, gdzie ukryli się Sparhawk i Sephrenia. Rycerz powstał, kładąc dłoń na rękojeści miecza.

— Muszą być gdzieś tutaj — usłyszeli chrapliwy głos. — Jego człowiek właśnie wjechał do miasta.

— Nie wiem jak wam — odezwał się inny głos — ale mnie wcale się nie śpieszy, aby go osobiście znaleźć.

— Jest nas trzech! — Pierwszy głos zabrzmiał wojowniczo.

— Myślisz, że dla niego miałoby to jakiegokolwiek znaczenie? To Rycerz Kościoła. Może nas wszystkich trzech ściąć i nawet się nie zasapie. Jeżeli zginiemy, nie będziemy mieli okazji wydać tych pieniędzy.

— Racja — przyznał trzeci głos. — Najlepiej ustalmy miejsce jego pobytu. Gdy już będziemy wiedzieli, gdzie jest i w którą stronę jedzie, zorganizujemy zasadzkę. Wszystko jedno, Rycerz Kościoła czy nie, trafiony strzałą w plecy powinien stać się uległy. Rozglądajmy się dalej. Kobieta jedzie na białej klaczy. To nam ułatwi szukanie.

Niewidoczni jeźdźcy ruszyli dalej i Sparhawk wsunął do pochwy swój na wpół wyciągnięty miecz.

— Czy to ludzie Warguna? — zapytała szeptem Sephrenia.

— Nie sędzę — mruknął Sparhawk. — Wargun w złości jest trochę nieobliczalny, ale nie należy do tych, którzy wysyłają płatnych morderców. On chciałby mnie zwymyślać i być może na jakiś czas wrzucić do lochu. Chyba nie jest dostatecznie rozeźlony, by chcieć mnie zamordować. Przynajmniej mam taką nadzieję.

— A zatem ktoś inny?

— Prawdopodobnie. — Sparhawk zmarszczył brwi. — Nie przypominam sobie jednak, abym ostatnio naraził się komuś w Thalesii.

— Annias ma długie ręce, mój drogi.

— Możliwe, że to jego sprawka. Nim Kurik wróci, przyczajmy się i miejmy uszy otwarte.

Jakiś czas później usłyszeli innego konia, wlokącego się rozjeżdżonym traktem z Emsatu. Koń zatrzymał się na szczycie wzgórza.

— Panie Sparhawku?! — zawołał ktoś cicho. Głos brzmiał nieco znajomo.

Sparhawk błyskawicznie położył dłoń na rękojeści miecza i oboje z Sephrenią wymienili szybkie spojrzenia.

— Wiem, że gdzieś tu jesteś, dostojny panie. To ja, Tel, więc nie sięgaj po broń. Twój człowiek powiedział, że chcesz się dostać do Emsatu. Stragen mnie przysłał po ciebie.

— Tu jesteśmy — odezwał się Sparhawk. — Poczekaj, już idziemy.

Wyprowadzili konie na drogę, gdzie czekał płowowłosy rozbójnik, który kilkanaście dni temu, kiedy zmierzali do groty Ghweriga, eskortował ich do Heiduu.

— Czy możesz wprowadzić nas do miasta? — zapytał rycerz.

— Nic prostszego — wzruszył ramionami Tel.

— W jaki sposób miniemy strażę przy bramie?

— Po prostu przejedziemy obok nich. Wartownicy przy bramie pracują dla Stragena. To znacznie ułatwia nam życie. Możemy jechać?

Emsat był typowym miastem Północy. Spadziste dachy domów świadczyły o obfitych śniegach zimą. Na krętych i wąskich uliczkach widać było zaledwie kilku ludzi, Sparhawk jednakże rozglądał się dookoła uważnie, mając ciągle w pamięci trzech rzezimieszków, spotkanych na drodze.

— Ze Stragenem rozmawiaj uprzejmie, dostojny panie — przestrzegął Tel, gdy wjechali do nędznej dzielnicy w pobliżu wybrzeża. — Jest nieślubnym dzieckiem hrabiego i to jego czuły punkt. Życzy sobie, aby tytułować go milordem, a że jest dobrym przywódcą, bawimy się w tę jego głupią grę. Pojedziemy tędy — wskazał zaśmieconą ulicę.

— A jak daje sobie radę Talen?

— Już się uspokoił, ale zły był jak pies. Obrzucał cię takimi wyzwiskami, jakich nigdy przedtem nie słyszałem.

— Wyobrażam sobie. — Sparhawk postanowił szczerze porozmawiać z rozbójnikiem. Znał Tela i przynajmniej po części był pewien, że może mu ufać. — Zanim nas spotkałeś, jacyś ludzie przejeżdżali w pobliżu naszej kryjówki — powiedział. — Szukali nas. Czy to był ktoś od was?

— Nie. Przybyłem sam.

— Tak też sobie myślałem. Rozmawiali o naszpikowaniu mnie strzałami. Czy Stragen mógłby być zamieszany w coś takiego?

— Niemożliwe — odparł Tel bez wahania. — Dostojny panie, ty i twoi przyjaciele korzystacie ze złodziejskiego prawa azylu. Stragen nigdy by go nie zламаł. Porozmawiam z nim. On się już zatroszczy, by ci wędrowni łucznicy dali ci spokój. — Tel roześmiał się cicho, złowieszczo. — Jednakże bardziej go pewnie zdenerwuje fakt, że sami brali się do interesów, niż to, że na ciebie polowali. W Emsacie nikt nie poderżnie gardła i nie ukradnie grosza bez jego pozwolenia. O, na tym punkcie Stragen jest bardzo czuły.

Jasnowłosy rozbójnik poprowadził ich do zabitego deskami składu na końcu ulicy. Podjechali od tyłu, zsiadli z koni i para zabijaków pilnujących drzwi wpuściła ich do środka.

Wnętrze składu zadawało kłam nędznemu wyglądowi z zewnątrz. Było jedynie nieznacznie mniej bogate niż wnętrze pałacu. Zabite deskami okna przesłaniały karmazynowe draperie, skrzypiące podłogi były zasłane błękitnymi dywanami, a ściany z surowych dech obwieszane gobelinami. Na piętro wiodły łagodnym łukiem schody z polerowanego drewna, a wejście oświetlało migotliwe światło świec w kryształowym kandelabrze.

— Wybaczcie, zaraz wrócę. . . — Tel zniknął w bocznej komnacie, skąd wyłonił się po chwili, przyodziany w kremowy kubrak i niebieskie nogawice. U boku miał rapier.

— Eleganckie — zauważył Sparhawk.

— Jeszcze jeden z głupich pomysłów Stragena — zachnął się Tel. — Ja jestem człowiekiem czynu, a nie wieszakiem na strojne szatki. Chodźmy na górę, przedstawię was milordowi.

Piętro było urządzone jeszcze bardziej wystawnie. Podłogę stanowił parkiet z cennych gatunków drewna, ściany pokrywały boazerie w najlepszym gatunku. Przestronny hol prowadzący na tył domostwa żyrandole i kandelabry napełniały złotawym światłem. Właśnie trwał bal. W jednym z rogów kwartet miernie uzdolnionych muzyków brzdąkał na instrumentach, po parkiecie wirowały pary wystrojonych złodziei i ladacznic. Wszyscy wytwornie ubrani, choć mężczyźni byli nie ogoleni, a kobiety miały potargane włosy i umorusane twarze. Cała ta scena sprawiała wrażenie sennego koszmaru; ochryple głosy i grubiańskie śmiechy jeszcze potęgowały to wrażenie.

Uwaga obecnych była skierowana na niepozornego mężczyznę z kaskadami loków spadających na kryzę. Odziany w biały atlas siedział pod przeciwległą ścianą w fotelu, niezwykle podobnym do tronu. Oczy, zapadnięte głęboko w twarzy o sardonicznym wyrazie, przyćmiewała mu boleść.

Tel przystanął u szczytu schodów i rozmawiał przez chwilę ze starym kieszonkowcem wystrojonym w purpurową liberię i trzymającym długą laskę. Siwowłosy łotr odwrócił się, zastukał laską w podłogę i przemówił gromkim głosem:

— Milordzie, markiz Tel prosi o pozwolenie przedstawienia dostojnego pana Sparhawk, Rycerza Kościoła i Obrońcy Korony Elenii.

Niepozorny człowieczek wstał i klasnął energicznie w dłoń. Muzycy przezwali swe brzdąkanie.

— Drodzy przyjaciele, mamy ważnych gości — zwrócił się do tancerzy. Miał bardzo głęboki głos, który świadomie modulował. — Oddajmy należyte honory niezwykłemu panu Sparhawkowi. On swym mocarnym ramieniem broni Świętego Ojca, Kościoła. Błagam cię, dostojny panie Sparhawk, zbliż się, abyśmy mogli cię powitać.

— Miłe przemówienie — mruknęła Sephrenia.

— Jakżeby inaczej — odburknął Tel, krzywiąc się niemiłosiernie. — Prawdopodobnie ostatnią godzinę spędził na jego układaniu. — Płowłosy zabijaka powiódł ich przez tłum tancerzy, którzy skłaniali się lub dygali pokraccznie.

Dotarli wreszcie do mężczyzny w atlasach i Tel skłonił się nisko.

— Milordzie — powiedział — mam zaszczyt przedstawić dostojnego pana Sparhawk, Rycerza Zakonu Pandionu. Dostojny panie Sparhawk, oto milord Stragen.

— Złodziej — dodał ze złośliwym uśmiechem Stragen, po czym zgiął się w eleganckim ukłonie. — Zaszczyt to dla mego niegodnego domu, cny rycerzu.

Sparhawk skłonił się w odpowiedzi.

— To ja jestem zaszczycony, milordzie. — Usilnie się starał, by nie parsknąć śmiechem w twarz temu nadętemu fanfaronowi.

— A więc w końcu się spotykamy, dostojny panie — rzekł Stragen. — Pewien młodzieniec, Talen, zapoznał nas z twoimi wspaniałymi wyczynami.

— Talenowi nie zawsze należy wierzyć, milordzie.

— A ta dama to...?

— Sephrenia, moja nauczycielka magii.

— Droga sestro — Stragen po styricku mówił płynnie — czy pozwolisz, bym cię pozdrowił?

Nawet jeżeli zaskoczył czarodziejkę, ona nie dała tego po sobie poznać. Wyciągnęła ku niemu dłoń do ucałowania.

— Jestem zdziwiona, milordzie, spotykając cywilizowanego człowieka w świecie Elenów, barbarzyńców — powiedziała.

Stragen roześmiał się perliście.

— Czyż to nie zabawne, panie Sparhawku, że nawet Styrycy nie są wolni od drobnych uprzedzeń? — Fałszywy arystokrata rozejrzał się po holu. — Ale przezwaliśmy wielki bal. Moi towarzysze znajdują szczególną przyjemność w płochych zabawach. — Nieco podniósł swój dźwięczny głos, zwracając się do tłumu wystrojonych rzezimieszków: — Drodzy przyjaciele, wybaczone nam, proszę. Oddalimy się, by kontynuować debatę. Za nic w świecie nie chcielibyśmy psuć wam tak miło rozpoczętego wieczoru. — Przerwał, po czym spojrzał surowo na ciemnowłosą ładacnicę, która właśnie świadczyła usługi któremuś ze złoczyńców. — Ufam, że pamięta pani naszą rozmowę po ostatnim balu, hrabino. Aczkolwiek jestem pełen podziwu dla twojej dbałości o interesy, pani, jednak ostateczne finalizowanie pewnych negocjacji powinno być raczej prowadzone na osobności, a nie odbywać się na środku parkietu. To bardzo zabawne... nawet kształcące, ale innym przeszkadza w tańcu.

— Ja tylko w trochę inny sposób tańczę — odparła dziewczka nosowym głosem, przypominającym kwik świni.

— Och, hrabino, obecnie modny jest taniec w pionie. Horyzontalna forma nie przyjęła się jeszcze w bardziej konserwatywnych kręgach, a my chcemy chyba być wytworni, prawda? — Stragen odwrócił się do Tela. — Doskonale się spisałeś, markizie. Wątpię, czy będę mógł kiedykolwiek odpłacić ci się należycie. — Znużonym ruchem uniósł do nosa uperfumowaną chusteczkę.

— Móc ci służyć jest już dostateczną zapłatą, milordzie — odparł Tel, składając się nisko.

— Bardzo ładnie powiedziane, Telu — pochwalił Stragen. — Może obdaruje cię tytułem hrabiowskim. — Wyprowadził Sparhawka i Sephrenię z sali balowej. Gdy tylko znaleźli się na korytarzu, jego zachowanie uległo gwałtownej zmianie. W jednej chwili pozbył się układności, jego spojrzenie przybrało czujny i twardy wyraz. — Czy wprowadziłem cię w zakłopotanie naszą niewinną maskaradą, dostojny panie? — zapytał. — A może uważasz, że ludzie naszej profesji powinni mieszkać w miejscach podobnych do piwnicy Platima w Cimmurze czy strychu

Melanda w Acie?

— Taki pałac jest z pewnością wygodniejszy, milordzie — odparł ostrożnie Sparhawk.

— Możemy sobie podarować tego „milorda”, dostojny panie. To zwykła poza, jednakże ma na celu coś więcej niż tylko zaspokojenie mych zachcianek. Szlachta ma dostęp do większych bogactw niż pospólstwo, więc ćwiczę moich towarzyszy w grabieniu bogatych i leniwych raczej niż biednych i pracowitych. Wyuczenie zwykłych złodziei wytwornych manier opłaca się na dłuższą metę. Tak... lecz tę grupę czeka jeszcze daleka droga. Tel radzi sobie całkiem nieźle, ale próba uczynienia damy z hrabiny doprowadza mnie do rozpacz. Ona ma duszę i głos ladacznicy. — Stragen westchnął zrezygnowany. — W każdym razie ćwiczę swoich ludzi w przywłaszczaniu sobie tytułów oraz w wytwornym zachowaniu, by przygotować ich do poważniejszych zadań. Oczywiście nadal jesteśmy złodziejami i łotrami, ale mamy do czynienia z klientelą lepszej klasy.

Weszli do dużej, jasno oświetlonej izby, w której zastali Kurika i Talena siedzących na szerokiej kanapie.

— Czy miałeś dobrą podróż, dostojny panie? — zapytał Talen ze śladem urazy w głosie. Ubrany był w paradny kubrak i po raz pierwszy, odkąd Sparhawk go znał, miał uczesane włosy. Chłopak wstał i skłonił się przed Sephrenią. — Witaj, mateczko.

— Widzę, że zająłeś się naszym urwipółciem, Stragenie — zauważyła czarodziejka.

— Jego miłość był trochę nieokrzesany, gdy do nas przybył, szlachetna pani — odparł wystrojony herszt. — Pozwoliłem sobie nieco go ułożyć.

— Jego miłość...? — zdumiał się Sparhawk.

— Mam pewien atut, dostojny panie. Tytuł otrzymany za sprawą natury lub ślepego zrzędzenia losu nie jest zależny od charakteru człowieka. Ja natomiast mam możliwość obserwowania prawdziwej natury rzeczonyj osoby i mogę jej dobrać odpowiednią pozycję. Natychmiast spostrzegłem, że Talen jest wyjątkowym młodzieńcem, więc obdarowałem go tytułem książęcym. Dajcie mi jeszcze trzy miesiące, a będę mógł przedstawić chłopaka na dworze. — Stragen usiadł w dużym, wygodnym fotelu. — Proszę, przyjaciele, siadajcie i powiedzcie, w czym mogę wam być pomocny.

Sparhawk przysunął fotel Sephrenii i sam usiadł w pobliżu gospodarza.

— Wiesz, czego najbardziej potrzebujemy w tej chwili, ziomku? Statku, który dowiozłby nas na północne wybrzeże Deiry.

— O tym chciałem właśnie z tobą pomówić, dostojny panie. Talen zdradził mi, że prawdopodobnie waszym celem będzie Cimmura, powiedział również, iż w północnych królestwach mogą spotkać was nieprzyjemności. Nasz wiecznie podchmielony monarcha jest człowiekiem potrzebującym ciepłych uczuć i czuje się gorzko urażony ich brakiem. Jak rozumiem, ostatnio go zawiodłeś, dostojny

panie. Po zachodniej Eosii krążą nie pozostawiające wątpliwości rysopisy. Czy nie byłoby szybciej — i bezpieczniej — pożeglować prosto do Cardos i stamtąd udać się do Cimmury?

Sparhawk zastanowił się nad odpowiedzią.

— Zamierzałem wylądować na jakiejś pustej plaży w Deirze i przeprowić się na południe przez góry.

— To nieciekawa podróż i do tego bardzo niebezpieczna dla uciekinierów. Na każdym wybrzeżu są puste plaże i jestem pewien, że znajdziemy w pobliżu Cardos coś, co cię zadowoli.

— My?

— Pojadę z tobą. Polubiłem cię, dostojny panie, chociaż dopiero co się spotkaliśmy. A poza tym, mam do omówienia z Platimem pewien interes. — Stragen wstał. — Przed zmierzchem w porcie będzie na nas czekał statek. Teraz muszę was opuścić. Z pewnością po podróży jesteście zmęczeni i głodni, a ja powinienem wrócić do sali balowej, nim hrabina ponownie zacznie uprawiać swój proceder na środku parkietu. — Skłonił się Sephrenii. — Życzę ci dobrej nocy, droga siostrze — powiedział po styricku, po czym skinął głową Sparhawkowi i wyszedł majestatycznym krokiem.

Kurik chwilę nadśluchiwał przy drzwiach.

— Ten człowiek nie jest całkiem przy zdrowych zmysłach, Sparhawk — stwierdził cicho.

— Ależ jest dostatecznie zdrów na umyśle! — sprzeciwił się Talen. — Ma trochę dziwne pomysły, lecz niektóre z nich mogą się sprawdzić. — Chłopak podszedł do Sparhawk. — Pokaż.

— Co chcesz zobaczyć?

— Bhelliom. Niejednokrotnie ryzykowałem życie pomagając go ukraść, a w ostatniej chwili zrezygnowano z mego towarzystwa. Chyba mam prawo chociaż na niego spojrzeć.

— Czy nic złego się nie stanie, jeśli wyjmę klejnot z woreczka? — zapytał rycerz Sephrenię.

— Doprawdy, nie wiem, Sparhawk. Pierścienie będą mieć nad nim kontrolę. Jeden rzut oka, Talenie, nic więcej. To bardzo niebezpieczne.

— Klejnot jest tylko klejnotem. — Chłopak wzruszył ramionami. — Wszystkie są niebezpieczne. Jedni ich pożądamy, inni chcą ukraść, a to wiedzie wprost do morderstwa. Dla mnie najcenniejsze jest złoto. Każde wygląda tak samo i wszędzie można je sprzedać. Klejnoty trudno zamienić na pieniądze, a w dodatku ludzie spędzają większość czasu na tym, aby je chronić. . . Mniejsza z tym, dostojny panie, pokaz!

Sparhawk wyciągnął woreczek spod płaszcza i rozwiązał węzeł. Wytrząsał szafirową różę na dłoń. Ponownie kątem oka dostrzegł ciemne mignięcie i przeszył go zimny dreszcz. Powróciła mu nagle pamięć sennych koszmarów i niemal

poczuł niepokojącą obecność mrocznych kształtów, które nawiedziły jego sen tydzień temu, w nocy spędzonej przy grocie Ghweriga.

— O Boże! To niesamowite! — wykrzyknął Talen. Patrzył osłupiały na klejnot i nagle wzdrygnął się z lękiem. — Schowaj to, dostojny panie, zabierz go z moich oczu.

Rycerz wsunął Bhelliom z powrotem do woreczka.

— Powinien być krwiście czerwony — powiedział chłopiec ponuro. — Pamiętaj, ilu ludzi przez niego zginęło? — Spojrzał na Sephrenię. — Czy Flecik naprawdę była boginią?

— Widzę, że Kurik opowiedział ci już o tym. Tak, jest boginią, jednym z Młodszych Bogów Styricum.

— Lubilem ją, gdy mi nie dokuczała. Ale jeżeli jest bogiem — czy boginią — to może mieć tyle lat, ile zechce, prawda?

— Oczywiście.

— Dlaczego więc była dzieckiem?

— Wobec dzieci ludzie są bardziej szczerzy.

— Nigdy tego szczególnie nie odczułem.

— Aphrael jest miłsza od ciebie, Talenie — czarodziejka uśmiechnęła się słodko — i pewnie dlatego wybrała postać dziecka. Ona łaknie miłości. Wszyscy bogowie pragną miłości, nawet Azash. Ludzie lubią tulić i całować małe dziewczynki. Aphrael szalenie lubi być całowana.

— Mnie nikt nigdy tyle nie całował.

— Może przyjdzie na to czas, Talenie... jeżeli będziesz się odpowiednio zachowywać.

Rozdział 2

Na Półwyspie Thalezyjskim, podobnie jak w każdym z północnych królestw, pogoda nigdy nie była stała. Następnego ranka mżył drobny deszcz, a znad Morza Deirańskiego nad Cieśninę Thalezyjską napływały ciężkie ciemne chmury.

— Wspaniały dzień na podróż — zauważył oschle Stragen, wyglądając razem ze Sparhawkiem przez częściowo zabite deskami okno na mokre od deszczu ulice. — Nie cierpię deszczu. Zastanawiam się, czy nie znalazłbym sobie jakiegoś zajęcia w Rendorze.

— Odradzałbym ci to miejsce — rzekł Sparhawk, wspominając zalane słońcem ulice Jirochu.

— Nasze konie są już na pokładzie statku. Możemy wyruszyć, gdy tylko pani Sephrenia i pozostali będą gotowi. — Stragen przerwał na chwilę. — Czy twój wierzchowiec zawsze rano jest taki narowisty? — zapytał z ciekawością. — Doniesiono mi, że w drodze na przystań pogryzł trzech moich ludzi.

— Powiniennem był ich ostrzec. Faran nie należy do najpotulniejszych koni.

— Dlaczego zatem go trzymasz?

— To najpewniejszy rumak, jakiego kiedykolwiek miałem, więc gotów jestem przymknąć oko na jego dziwactwa. A poza tym lubię go.

Stragen spojrzął na kolczugę Sparhawkia.

— Czy musisz to ciągle nosić, dostojny panie?

— Przywykłem już. — Sparhawk wzruszył ramionami. — Nadal szuka mnie wielu nieprzyjaciół.

— Paskudnie pachnie.

— I ty przywykniesz.

— Dzisiejszego ranka wydajesz się nie w humorze, dostojny panie. Czy spotkała cię jakaś przykrość?

— Długo byłem w drodze i zetknąłem się ze sprawami, w które tak naprawdę nie byłem gotów uwierzyć. Teraz próbuję się z nimi uporać.

— Może kiedyś mi o tym opowiesz, gdy się już lepiej poznamy. — Stragen się nad czymś zastanawiał. — Ach, Tel wspominał o tych trzech łotrach, którzy szukali cię zeszłej nocy. Już zaniechali poszukiwań.

— Dzięki.

— Leżało to również i w moim interesie. Ci osobnicy weszli za tobą, dostojny panie, bez uprzedniego porozumienia ze mną. Tym samym złamali jedną z podstawowych zasad. Nie mogę sobie pozwolić na podobne precedensy. Niestety, niewiele zdołaliśmy się od nich dowiedzieć. Z tego, który jeszcze dychał, wyciągnęliśmy jednak, że działali na polecenie kogoś spoza Thalesii. Zobaczmy, czy pani Sephrenia jest już gotowa.

Piętnaście minut później przed składem czekał na nich elegancki powóz. Wsiedli i stangret powiózł doborową drużynę boczną alejką na ulicę.

Dotarli na nabrzeże. Powóz wtoczył się na przystań i zatrzymał obok statku, podobnego do tych, jakich używano do żeglugi przybrzeżnej. Na wpeł rozwinięte żagle byty połatane, reling nosił ślady wielokrotnych złamań i napraw. Okręt miał zasmołowane burty, a na dziobie nie widniała żadna nazwa.

— Piracki, prawda? — zapytał Kurik, gdy wysiedli z powozu.

— Tak, piracki — odparł Stragen. — Jestem właścicielem sporej flotyli podobnych okrętów. Po czym go jednak rozpoznałeś?

— Jego konstrukcja świadczy o szybkości, milordzie. Jest zbyt wąski jak na przewożenie ładunku, a wzmocnienia dookoła masztów oznaczają, że dźwiga sporo ożaglowania. Został zaprojektowany tak, by prześcigać inne okręty.

— Lub uciekać przed nimi. Żywot pirata nie jest łatwy. Świat pełen jest goliwców wyczekujących okazji, aby powiesić kogoś z naszego bractwa. — Stragen rozejrzał się po skąpanej w deszczu przystani. — Chodźmy na pokład — zaproponował. — Nie ma co moknąć rozprawiając o urokach życia na morzu.

Weszli po trapie. Stragen poprowadził ich do kabin pod pokładem. Marynarze rzucili cumy i okręt powoli zaczął wypływać z przystani. Jednakże, gdy tylko minęli przylądek i znaleźli się na głębokich wodach, załoga rozwinęła więcej żagli. Statek przechylił się i jak ptak pognał przez Cieśninę Thalezyjską w kierunku wybrzeża Deiry.

Około południa Sparhawk wyszedł na pokład. W pobliżu dziobu stał Stragen oparty o reling. Wpatrywał się ponuro w szare, poznaczone deszczem morze. Miał na sobie ciepły brązowy płaszcz; z runda kapelusza kapąła mu na plecy woda.

— Myślałem, że nie lubisz deszczu — zagadnął go Sparhawk.

— W kabinie jest duszno. Musiałem zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Cieszę się, że i ty wyszedłeś, dostojny panie Sparhawk. Piraci nie należą do najbliższych rozmówców.

Przez pewien czas wsłuchiwali się w monotony szum deszczu oraz skrzypienie osprzętu i belek z poszycia statku.

— Skąd Kurik zna się tak na żeglarstwie? — zapytał nagle Stragen.

— W młodości pływał jakiś czas.

— Tak, to wszystko wyjaśnia. Zdaje się, że nie masz szczególnej ochoty rozmawiać o tym, co robiłeś w Thalesii?

— Niespecjalnie. Sprawy Kościoła, sam rozumiesz.

Stragen pokiwał głową.

— Ach tak. Nasz milczący Święty Ojciec, Kościół. Czasami myślę, że zachowuje tajemnicę jedynie dla samej przyjemności jej zachowania.

— Chyba powinniśmy ufać Kościołowi i jego poczynaniom.

— Ty powinienesz, dostojny panie, ponieważ jesteś Rycerzem Kościoła. Ja niczego nie przysięgałem, a więc wolno mi sceptycznie patrzeć na jego poczynania. Chociaż w młodości myślałem nawet o tym, by zostać księdzem.

— I być może postąpiłbyś bardzo słusznie. Stan duchowny i armia zawsze z otwartymi ramionami przyjmowały bystrych młodszych synów szlacheckich.

— Ładnie powiedziane — uśmiechnął się Stragen. — „Młodszy syn” brzmi o wiele lepiej niż „bękart”, prawda? To nie ma jednak dla mnie znaczenia. Niepotrzebny mi tytuł czy legalne pochodzenie, by znaleźć sobie miejsce w życiu. Obawiam się jednak, że nie pasowałbym zbyt do Kościoła. Nie ma we mnie tak miłej jego sercu pokory, a odór nie mytej zbroi szybko skłoniłby mnie do wyrzeczenia się ślubów. — Spojrzał na skąpane w deszczu morze. — Jak się dobrze przyjrzeć, to nie miałem wielkiego wyboru. Dla Kościoła jestem za mało pokorny, dla armii nieposłuszny; nie mam też mentalności mieszczanina, koniecznej, by zajmować się handlem. Przez pewien czas bawiłem na królewskim dworze, jako że władcy zawsze potrzebują dobrych zarządców, nie dbając przy tym zbyt o ich legalne pochodzenie. Niestety, w wyścigu o stanowisko wyprzedziłem tępego syna księcia. Ten w odwecie nie szczędził mi złośliwości. Oczywiście wyzwałem go, a był na tyle głupi, że stawiał się na pojedynek w kolczudze i z mieczem. Nie czuj się urażony, dostojny panie Sparhawk, ale kolczuga ma trochę za dużo dziurek, aby skutecznie osłaniała przed dobrze naostrzonym rapierem. Mój oponent przekonał się o tym zaraz na początku naszej dyskusji. Przeszyłem go kilka razy i jakoś stracił chęć do walki. Zostawiłem paniczka w spokoju, by wyzionął ducha — co też uczynił — i po cichu zrezygnowałem z pracy dla rządu. Na nieszczęście ten tępak okazał się dalekim krewnym króla Warguna, a nasz zapijaczony monarcha nie grzeszy zbyt dużym poczuciem humoru.

— Zauważyłem.

— A czym ty mu się naraziłeś, dostojny panie?

Sparhawk wzruszył ramionami.

— Chciał, abym pojechał z nim na wojnę do Arcium, ale ja miałem coś pilnego do załatwienia w Thalesii. Aha, a co słyhać na tej wojnie? Nie docierało do mnie zbyt wiele informacji.

— W zasadzie słyszałem tylko plotki. Jedne mówią, że Rendorczycy zostali rozbici; inne — że to Wargun został pokonany i Rendorczycy maszerują na północ, paląc co się da. Zdaje się, że każdy wierzy w to, co chce słyszeć. — Stragen patrzył z uwagą za rufę.

— Czy coś cię niepokoi? — zapytał Sparhawk.

— Ten statek, tam, z tyłu... Wygląda na handlowy, ale zbyt szybko płynie.

— Może piracki?

— Nie rozpoznaję go, a uwierz mi, na pierwszy rzut oka poznam żaglowiec należący do kogoś z naszego bractwa. — Stragen z napięciem wpatrywał się w morską dal. Wtem rozluźnił się i roześmiał krótko. — Skręca. Może wydaje ci się nadmiernie podejrzliwy, dostojny panie, ale niepodejrzliwi piraci zwykle kończą jako dekoracja nadbrzeżnych szubienic. Na czym stanęliśmy?

Stragen zadawał trochę za wiele pytań. Ostatnie stanowiło doskonałą okazję, aby odwrócić jego uwagę.

— Właśnie zacząłeś mi opowiadać o tym, jak opuściłeś dwór Warguna i założyłeś własny — podpowiedział Sparhawk.

— Nie zajęło mi to dużo czasu. Jestem stworzony, by wieść życie zbrodniarza. Od dnia gdy zabiłem swego ojca i dwóch braci przyrodnych, obca mi wszelka pruderia.

Sparhawk był nieco zaskoczony tym wyznaniem.

— Chyba popełniłem błąd zabijając ojca — przyznał Stragen. — Nie był znowu taki najgorszy, no i opłacił moją naukę, ale złościł mnie jego stosunek do mojej matki. Była bardzo miłą dziewczyną z porządnej rodziny. Umieszczono ją w domu ojca, by dotrzymywała towarzystwa jego chorej żonie. Wszystko skończyło się jak zawsze, a rezultatem byłem ja. Gdy popadłem w niełaskę, ojciec postanowił trzymać się ode mnie z dala. Matkę odesłał do jej rodzinnego domu, gdzie wkrótce potem zmarła. Myślę, że mógłbym usprawiedliwić swoje ojcobójstwo utrzymując, iż przyczyną jej śmierci było pęknięte serce, ale prawdę mówiąc, zaślubiła się rybią ością. Mniejsza o to. Złożyłem krótką wizytę w domu mojego ojca i teraz jego tytuł jest wolny. Moi dwaj bracia przyrodni byli na tyle głupi, by zatęsknić za moim towarzystwem. Wszyscy trzej spoczywają w tym samym grobie. Ojciec pewnie żałował pieniędzy, które wydał na moje lekcje fechtunku. Znać to było z wyrazu jego twarzy, gdy umierał. — Jasnowłosa mężczyzna patrzył w dal zamyślony. — Byłem wtedy młody. Teraz pewnie inaczej bym to załatwił. Niewiele jest pożytku z posiekanych krewnych, czyż nie?

— To zależy, co rozumiesz pod pojęciem pożytku.

Stragen zachichotał.

— Racja. Gdy opuściłem dwór króla Warguna i znalazłem się na ulicy, niemal natychmiast zdałem sobie sprawę, że barona niewiele różni od kieszonkowca, a księżną od ladacznicy. Próbowałem to wyjaśnić swojemu przodkowi, ale ten głupiec nie chciał mnie słuchać. Wyciągnął na mnie miecz i na tym się skończyła jego genealogia. Potem zacząłem ćwiczyć złodziei i dziewczki z Emsatu. Uonorowałem ich wymyślnymi tytułami, strojnie przyodziałem i nadałem im nieco pańskiej ogłady. Potem wmieszałem ich pomiędzy arystokrację. Interes kręci się znakomicie i jestem w stanie po tysiącokroć odpłacić mojej byłej sferze za wszystkie upokorzenia i obelgi. — Przerwał na chwilę. — Czy masz już dosyć mojej

diatryby niezadowolenia, dostojny panie Sparhawk? Muszę przyznać, że jesteś nadludzko uprzejmy i cierpliwy, ale i tak znudziło mi się już moknąć na deszczu. Może byśmy zatem zeszli na dół? Mam w kabinie kilkanaście flaszek czerwonego arcjańskiego. Możemy sobie trochę popić i uciąć miłą pogawędkę.

Sparhawk schodząc pod pokład zastanawiał się nad tym niepospolitym człowiekiem. Motywy, którymi kierował się Stragen, były jasne. Urazę i wzniosłą chęć zemsty rycerz rozumiał jak nikt. Niezwykłe było to, iż złoczyńca zupełnie się nad sobą nie rozczulał. Sparhawk odkrył, że lubi tego człowieka. Oczywiście mu nie ufał — to byłoby głupotą — ale niepostrzeżenie go polubił.

Wieczorem we wspólnej kabinie Sparhawk streścił opowieść Stragena i przyznał, że żywi do niego ciepłe uczucia.

— Ja również — stwierdził Talen. — Myślę, że to naturalne. Stragen i ja mamy wiele wspólnego.

— Znowu mi to wypominasz? — obruszył się Kurik.

— Nie czynię ci wyrzutów, ojcze. Takie rzeczy się zdarzają, a ja jestem o wiele mniej czuły na tym punkcie niż Stragen. — Chłopak wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Jednakże podczas pobytu w Emsacie podobieństwo naszych losów było mi bardzo na rękę. Chyba mnie polubił i złożył mi pewne interesujące propozycje. Chce, bym pracował razem z nim.

— Masz przed sobą obiecującą przyszłość — zauważył Kurik z przekąsem. — Możesz przerosnąć zarówno Platima, jak i Stragena zakładając, że wcześniej cię nie złapią i nie powieszają.

— Ja zaczynam planować na wielką skalę — powiedział Talen uroczyście. — Rozmyślaliśmy ze Stragenem trochę nad tym podczas mojego pobytu w Emsacie. Rada złodziei jest bardzo bliska tego, aby już teraz przejąć funkcje rządu. Potrzebny jest jedynie jakiś przywódca — król, a może nawet cesarz. Czyż nie byłbyś dumny, ojcze, mając za syna cesarza złodziei?

— Nieszczególnie.

— A co ty o tym myślisz, dostojny panie? — zapytał chłopiec patrząc niepewnie na rycerza. — Czy powinienem wdać się w politykę?

— Chyba mógłbyś sobie znaleźć bardziej odpowiednie zajęcie, Talenie.

— Możliwe, ale czy będzie równie dochodowe... lub równie zabawne?

Tydzień później dotarli do wybrzeża Elenii. Około południa wylądowali na pustej plaży, jakąś ligę na północ od Cardos. Zeszli na ląd w miejscu ocienionym ciemnymi sosnami.

— Ruszamy traktem do Cardos? — zapytał Kurik Sparhawk, gdy siodłali swoje wierzchowce.

— Czy mógłbym coś zasugerować? — wtrącił się stojący w pobliżu Stragen.

— Oczywiście.

— Król Wargun zazwyczaj jest pijany. Wpada wtedy w ckliwy nastrój. Pewnie co noc zalewa się łzami z powodu twojej ucieczki. Za schwytanie ciebie wyznaczył w Thalesii i Deirze sporą nagrodę i tu z pewnością zrobił to samo. Twoja twarz jest w Elenii dobrze znana. Od Cimmury dzieli nas siedemdziesiąt lig, czyli przynajmniej tydzień jazdy. Czy w tych okolicznościach naprawdę chciałbyś spędzić tyle czasu na ruchliwym trakcie? Zważywszy zwłaszcza, że komuś bardziej zależy, by naszpikować cię strzałami, niż dostarczyć do Warguna?

— Wołałbym tego raczej uniknąć. Czy znasz jakieś inne wyjście?

— Owszem, znam. Kiedyś Platim pokazał mi inną, może o dzień krótszą drogę. Jest trochę niewygodna, ale za to zna ją niewielu ludzi.

Sparhawk spojrział na jasnowłosego mężczyznę z pewnym podejrzeniem.

— Czy mogę ci zaufać, Stragenie? — zapytał bezceremonialnie.

Stragen zrezygnowany potrząsnął głową.

— Talenie — powiedział — dlaczego dotąd nie wyjaśniłeś dostojnemu panu, czym jest złodziejskie prawo azylu?

— Próbowałem, ale jemu trudno zrozumieć problemy natury moralnej. Posłuchaj, dostojny panie. Gdyby Stragen dopuścił, aby cokolwiek nam się przytrafiło pod jego opieką, musiałby za to odpowiedzieć przed Platimem.

— Prawdę mówiąc, był to jeden z powodów, dla którego dołączyłem do waszej wyprawy — przyznał Stragen. — Dopóki jestem z wami, znajdujecie się pod moją opieką. Lubię cię, dostojny panie, a z pewnością nie zaszkodzi mieć Rycerza Kościoła za wstawiennika u Boga, na wypadek gdyby mieli mnie przypadkowo powiesić. — Na jego twarzy pojawił się złośliwy grymas. — Nie tylko o to chodzi. Być może opieka nad wami pozwoli mi odpokutować choć kilka z mych niecných grzechów.

— Czy naprawdę tyle masz na sumieniu? — zapytała delikatnie Sephrenia.

— Więcej niż mogę spamiętać, droga siostrze — odparł Stragen po styricku — a większość moich uczynków jest zbyt plugawa, aby mówić o tym w twojej obecności.

Sparhawk rzucił Talenowi szybkie spojrzenie i chłopiec ponuro skinął głową.

— Wybacz, Stragenie — przeprosił rycerz. — Źle cię oceniłem.

— Nie żywię urazy. — Stragen uśmiechnął się szeroko. — To zupełnie zrozumiałe. Ja też czasami sam sobie nie wierzę.

— Gdzie jest ta inna droga do Cimmury?

Stragen rozejrzał się wokół.

— No cóż, wydaje mi się, że zaczyna się na skraju tej plaży. Czyż to nie zdumiewający zbieg okoliczności?

— Do ciebie należał statek, na którym żeglowaliśmy?

— Tak, jestem jego współwłaścicielem.

— I to ty zasugerowałeś kapitanowi, by wysadził nas właśnie tutaj?

— Tak, chyba przypominam sobie podobną rozmowę.

— A zatem rzeczywiście zdumiewający zbieg okoliczności — rzekł Sparhawk oschle.

Stragen znieruchomiał patrząc w morze.

— Dziwne — powiedział, obserwując żaglowiec na horyzoncie. — To ten sam handlowiec, który widzieliśmy w cieśninie. Musi być bardzo zwinny, inaczej nie osiągnąłby tak dobrego czasu. — Wzruszył ramionami. — Mniejsza z tym. Ruszajmy do Cimmury.

Owa „inna droga” niewiele różniła się od leśnej ścieżki. Biegła przez góry oddzielające wybrzeże od szerokiego pasa pól uprawnych, osuszanych przez rzekę Cimmurę. Po wyjściu z gór ścieżka natychmiast ginęła wśród innych drózek, wijących się przez pola.

Pewnego ranka, gdy mieli już za sobą połowę drogi, do ich obozowiska zbliżył się nędznie wyglądający osobnik na okulałym mule.

— Muszę porozmawiać z człowiekiem o imieniu Stragen! — zawołał, trzymając się poza zasięgiem strzał.

— Chodź tu! — odkrzyknął Stragen.

Człowiek nie fatygował się zsiadaniem z muła.

— Jestem od Platima — przedstawił się Thalezyjczykowi. — Kazał mi was ostrzec. Jacyś ludzie szukali was na trakcie z Cardos do Cimmury.

— Szukali?

— Po spotkaniu z nami nie bardzo wiedzieli, jak mają na imię i teraz już nikogo nie szukają.

— Aha.

— Nim wpadli w nasze ręce, przepytawali okoliczną ludność. Opisali ciebie i twoich towarzyszy wielu wieśniakom. Nie sądzę, aby chcieli spotkać się z tobą tylko po to, by porozmawiać o pogodzie, milordzie.

— Czy byli to Eleńczycy?

— Kilku z nich. Pozostali wyglądali na thalezyjskich żeglarzy. Ktoś nastaje na ciebie i twych przyjaciół, milordzie, i zdaje mi się, że ma ochotę was zabić. Gdybym był na twoim miejscu, gnałbym jak najszybciej do Cimmury i piwnicy Platima.

— Dzięki, przyjacielu — powiedział Stragen.

Łotrzyk wzruszył ramionami.

— Płacą mi za to. Podziękowania nie nabijają kabzy. — Zawrócił muła i odjechał.

— Trzeba było zatopić ten statek — zauważył Stragen. — Chyba stają się miękki. Wyruszajmy natychmiast, dostojny panie Sparhawk. Tu grozi nam niebezpieczeństwo.

Trzy dni później dotarli w okolice Cimmury. Wstrzymali wierzchowce na północnej krawędzi doliny, by spojrzeć na przesłonięte dymami i mgłą miasto.

— Zdecydowanie mało atrakcyjne miejsce — stwierdził krytycznie Stragen.

— Cimmura może nie jest piękna — przyznał Sparhawk — ale my nazywamy ją domem.

— Tu cię opuszczę — powiedział Stragen. — Ty masz swoje sprawy do załatwienia, a ja mam swoje. Proponowałbym, abyśmy zapomnieli o tym, że kiedykolwiek się spotkaliśmy. Ty zajmujesz się polityką, ja rozbojem. Bogu pozostawiam ocenę, które zajęcie jest bardziej nieuczciwe. Powodzenia, dostojny panie, miej oczy szeroko otwarte. — Skłonił się w siodle przed Sephrenią i ruszył do osnutego dymami miasta.

— Prawie zaczęłam lubić tego człowieka. — Czarodziejka spoglądała za Stragenem przez chwilę. — Dokąd się udamy, Sparhawkku?

— Do siedziby zakonu — zdecydował pandionita. — Nie było nas jakiś czas i przed pójściem do pałacu wolałbym wiedzieć, jak się rzeczy mają. — Popatrzył na blade słońce, ledwie przeświecające przez dymy wiszące nad Cimmurą. — Unikajmy wścibskich oczu, dopóki nie dowiemy się, kto rządzi miastem.

Objechali Cimmurę od północy, trzymając się blisko linii drzew. W pewnej chwili Kurik zsunął się ze swego wałacha i zniknął w zaroślach, aby się rozejrzeć. Wrócił z ponurym wyrazem twarzy.

— Mury są obsadzone gwardzistami — raportował.

Sparhawk zaklął.

— Jesteś pewien?

— Ci ludzie, tam na górze, są odziani na czerwono.

— Wszystko jedno, ruszajmy. Musimy dostać się do siedziby zakonu.

Przed twierdzą Zakonu Rycerzy Pandionu kilkunastu brukarzy nadal udawało, że naprawia drogę.

— Robią to już prawie rok i ciągle nie widać końca — mruknął Kurik. — Poczekamy do zmroku?

— To niewiele poprawi naszą sytuację. Będą wciąż obserwować, a ja w ogóle nie chcę, by wiedzieli, że wróciłem do Cimmury.

— Sephrenio — odezwał się Talen — czy potrafiłabyś sprawić, aby tuż zza murów miejskich w okolicy bramy zaczął unosić się słup dymu?

— Tak — odparła czarodziejka.

— Dobrze, a zatem odciągniemy tych kamieniarzy.

Chłopiec szybko wyjaśnił im swój plan.

— Rzeczywiście niezły — powiedział z pewną dumą w głosie Kurik. — Co o tym myślisz, Sparhawkku?

— Warto spróbować. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

Czerwony mundur, który Sephrenia stworzyła dla Kurika, nie wglądał zbyt przekonująco, ale plamy od sadzy znacznie przydawały mu wiarygodności. Najważniejsze jednak były złote oficerskie epolety. Krzepki giermek poprowadził swego wierzchowca przez zarośla w pobliże bramy miejskiej.

Wtedy Sephrenia zaczęła mruczeć po styricku, jednocześnie palcami czyniła zawiłe znaki w powietrzu.

Słup dymu, który podniósł się zza murów, wyglądał bardzo naturalnie — był gęsty, smolisty i złowieszczo się kłębił.

— Trzymaj mojego konia! — Talen zsuwając się z siodła rzucił Sparhawkowi wodze. Pobiegł na skraj zarośli i zaczął ile sił w płucach krzyżeć: — Ogień!

Rzekomi brukarze gapili się na niego przez chwilę, a potem odwrócili głowy i patrzyli z przerażeniem na miasto.

— Zawsze trzeba drzeć się „ogień”! — wyjaśniał Talen po powrocie. — To kieruje myśli ludzi na właściwe tory. Wtem do szpiegów przed bramą siedziby zakonu przygalopował Kurik.

— Hej, wy tam! — wrzasnął. — W Kozim Zaułku dom się pali. Gnajcie i pomóście ugasić ogień, nim zajmie się całe miasto!

— Ależ, panie — zaprotestował jeden z brukarzy — rozkazano nam tu pozostać i mieć na oku pandionitów.

— Czyżbyś nie miał niczego wartościowego za murami miasta? — zapytał szorstko Kurik. — Gdy ogień się rozprzestrzeni, będziesz mógł sobie tu stać i gapić się do woli. A teraz ruszaj, wszyscy ruszajcie! Ja podjadę do tej twierdzy, spróbuję nakłonić pandionitów do pomocy.

Fałszywi brukarze rzucili narzędzia i pognali w kierunku wizji pożaru, a Kurik wyjechał na zwodzony most wiodący do siedziby zakonu.

— Pierwszorzędny plan — pochwalił Talena Sparhawk.

— Dla złodziei to chleb powszedni — wzruszył ramionami chłopiec. — Tyle że my musimy posługiwać się prawdziwym ogniem. Ludzie wybiegają, by gapić się na pożar, a to stwarza nam doskonałą okazję do myszkowania po ich domach. — Spojrzał w kierunku bramy miejskiej. — Zdaje się, że nasi przyjaciele zniknęli z pola widzenia. Może ruszylibyśmy, zanim wrócą?

Kiedy dotarli do zwodzonego mostu, wyjechało im na spotkanie dwóch pandionitów w czarnych zbrojach.

— Czy w mieście wybuchł pożar, dostojny panie Sparhawk? — zapytał jeden z niepokojem.

— Niezupełnie. To mateczka zabawia gwardzystów prymasa.

Drugi z rycerzy uśmiechnął się szeroko do Sephrenii. Wtem wyprostował się w siodle.

— Kimże są ci, którzy stoją u bram domu Orędowników Boga? — rozpoczął ceremonię.

— Nie mamy czasu, bracie — rzekł Sparhawk. — Następnym razem przerobimy to dwa razy. Kto teraz dowodzi?

— Mistrz Vanion.

To była zaskakująca wiadomość. Według ostatnich wieści mistrz Vanion aktywnie uczestniczył w kampanii w Arcium.

— Wiesz może, gdzie mogę mistrza znaleźć?
— Jest w swojej wieży, dostojny panie.
Sparhawk chrząknął.
— Ilu jest tu teraz rycerzy, bracie?
— Około setki.
— Dobrze. Może będą mi potrzebni. — Sparhawk spiął Farana ostrogami. Rosły rumak odwrócił łeb i spojrzął na swego pana z pewnym zdumieniem. — Śpieszy nam się, Faranie — wyjaśnił srokaczowi. — Innym razem weźmiemy udział w ceremonii.
Faran ruszył przez most. Na jego pysku malowało się niezadowolenie.
Wtem od strony stajni ktoś zakrzyknął:
— Pan Sparhawk!
To był nowicjusz Berit, wysoki, barczysty młodzieniec, którego twarz jaśniała w szerokim uśmiechu.
— Krzycz jeszcze głośniej. — Kurik skrzywił się z dezaprobatą. — Może usłyszają cię w Chyrellos.
— Proszę o wybaczenie — powiedział zmieszany Berit.
— Przekaż opiekę nad naszymi końmi innym nowicjuszom, a sam chodź z nami — rzekł Sparhawk młodzieńcowi. — Mamy coś do załatwienia i musimy porozmawiać z Vanionem.
— Wedle rozkazu, dostojny panie. — Berit biegiem wrócił do stajni.
— Taki z niego miły chłopiec — uśmiechnęła się Sephrenia.
— Ujdzie w tłoku — przyznał Kurik z ociąganiem.
Przeszli już podwórzec i znaleźli się w sklepionym wejściu wiodącym do siedziby zakonu, kiedy na ich widok pewien zakapturzony mnich wykrzyknął zaskoczony:
— Sparhawk?! To ty, dostojny panie? — W tym okrzyku dało się wyczuć obcy akcent.
Mnich odrzucił do tyłu kaptur i Sparhawk zobaczył twarz Perraina, pandionity, który w Rendorze, w dalekim Dabourze udawał handlarza bydłem.
— A co ty, Perrainie, robisz z powrotem w Cimmurze? — zapytał, ściskając mu dłoń. — Myśleliśmy, że w Dabourze zapuściłeś już korzenie.
Perrain otrząsnął się z zaskoczenia.
— Po śmierci Arashama nie miałem już powodu, by pozostawać w Rendorze. Jak tu się dostałeś, dostojny panie? Doszły nas słuchy, że król Wargun goni za tobą po całej Eosii.
— Gonić nie znaczy złapać, Perrainie — odparł z uśmiechem Sparhawk. — Pogadamy potem. Teraz muszę wraz z przyjaciółmi udać się na rozmowę z Vanionem.
Perrain skłonił się nieznacznie Sephrenii i wyszedł na dziedziniec.

Kamiennymi schodami weszli na południową wieżę, gdzie znajdowała się komnata Vaniona. Mistrz Zakonu Rycerzy Pandionu miał na sobie białą styrycką szatę. Postarzał się bardzo w tym krótkim czasie, jaki upłynął od momentu, gdy Sparhawk widział go po raz ostatni.

Vanionowi towarzystwa dotrzymywali genidianita Ulath, alcjonita Tynian, cyrinita Bevier oraz Kalten, wielcy tak pod względem postury, jak i reputacji. Ich obecność sprawiała, że przestronna komnata wydawała się przyciasna. Zgodnie z obyczajem panującym w siedzibie zakonu, wszyscy Rycerze Kościoła ukryli swe kolczugi pod zakonnymi habitami.

— Nareszcie! — Kalten sapnął z ulgą. — Sparhawk, czemuż nie dawałeś nam znać o sobie?

— W krainie trolli trudno o postańców, Kaltenie.

— Poszczyło się wam? — zapytał niecierpliwie Ulath, potężny Thalezyjczyk o jasnych warkoczach, dla którego Bhelliom miał szczególne znaczenie.

Sparhawk wzrokiem spytał Sephrenię o pozwolenie.

— Tylko na chwilę — odpowiedziała czarodziejka.

Rycerz sięgnął pod płaszcz, wyciągnął płócienny woreczek, w którym trzymał Bhelliom, i rozwiązał sznurki. W chwili gdy kładł na stole najdrogocenniejszy w świecie klejnot, w mrocznym rogu komnaty znowu dostrzegł mignięcie ciemności. Zmory wyczarowane przez jego senne koszmary w górach Thalesii dotarły za nim aż tutaj, a cień zdawał się większy i ciemniejszy, jakby rósł po każdym pojawieniu się Bhelliomu.

— Nie wpatrujcie się zbyt głęboko w te płatki, cni rycerze — ostrzegła Sephrenia. — Uważajcie, Bhelliom może posiąść wasze dusze.

— Jaki piękny! — westchnął Kalten.

Każdy z mieniących się płatków szafirowej róży był tak doskonale wyrzeźbiony, że niemal lśniły na nich kropelki rosy. Z głębi klejnotu emanowało błękitne światło i jakaś siła nakazująca, by patrzeć i podziwiać doskonałość.

— O Boże, obroń nas przed uwodzicielskim wpływem tego klejnotu — modlił się żarliwie Bevier. Pochodził z Arcium i Sparhawk czasami miał wrażenie, że ten cyrinita, jak każdy Ark, jest nadmiernie pobożny. Tym razem ani myślał żartować sobie z pokory mieszkańców Arcium. Jeżeli chociaż połowa z jego domysłów na temat klejnotu była słuszna, obawa Beviera przed Bhelliomem wydawała się całkiem uzasadniona.

— Nie zabijaj, Błękitna Rózo — począł mamrotać Ulath w mowie trolli. — Rycerze Kościoła nie są wrogami Bhelliomu. Rycerze Kościoła obronią Bhelliom przed Azashem. Pomóż ponownie uczynić dobrym to, co jest złe, Błękitna Rózo. Prosi cię Ulath z Thalesii. Jeżeli Bhelliom się gniewa, niech skieruje swój gniew na Ulatha.

— Nie! — rzekł Sparhawk pewnym głosem w nienawistnym języku trolli. — Jam jest Sparhawk z Elenii. Jam jest ten, który zabił karłowatego trolla, Ghweri-

ga. Jam jest ten, który przyniósł w to miejsce Błękitną Różę, by uzdrowić moją królową. Jeżeli Bhelliom to uczyni i będzie zły, niech skieruje gniew przeciwko Sparhawkowi z Elenii, a nie przeciwko Ulathowi z Thalesii.

— Jesteś szalony! — wybuchnął Ulath. — Czy zdajesz sobie sprawę, co on może z tobą uczynić?!

— Czyż nie uczyniłby tego samego i z tobą?

— Cni rycerze — odezwała się Sephrenia znużonym głosem — proszę, natychmiast dajcie spokój tym głupstwom. — Spojrzała na mieniącą się różę. — Wysłuchaj mnie, Bhelliomie — powiedziała zdecydowanie, nie kłopotząc się używaniem mowy trolli. — Sparhawk z Elenii ma pierścienie. Błękitna Róża musi poddać się i uznać jego władzę.

Klejnot pociemniał na chwilę i ponownie przybrał świetlisty błękitny odcień.

— Dobrze — zgodziła się czarodziejka. — Będę przewodnikiem Błękitnej Róży, a Sparhawk z Elenii będzie jej rozkazywał. Bhelliom musi mu ulec.

Klejnot zamigotał i znowu począł jaśnieć stałym blaskiem.

— Schowaj go, mój drogi — poleciła Sephrenia. Sparhawk włożył różę z powrotem do woreczka i wsunął go pod płaszcz.

— Gdzie jest Flecik? — zapytał Berit, rozglądając się po obecnych.

— To bardzo długa historia, mój młody przyjacielu — odrzekł Sparhawk.

— Nie umarła? — zapytał Tynian wzburzony. — Z pewnością nie umarła.

— Nie, nie mogłaby umrzeć. Flecik jest nieśmiertelna.

— Nie ma ludzi nieśmiertelnych, dostojny panie Sparhawk — zaprotestował Bevier, równie wzburzony jak Tynian.

— No właśnie. — Sparhawk pokiwał głową. — Flecik nie jest człowiekiem. Ona jest styrycką boginią Aphrael.

— Herezja! — wrzasnął Bevier.

— Panie Bevierze, nie myślałbyś tak, gdybyś był z nami w grocie Ghweriga — wtrącił Kurik. — Na własne oczy widziałem, jak wzniosła się z bezdennej otchłani.

— Może sprawiło to jakieś zaklęcie? — Cyrinita pytał już bez zbytniego przekonania.

— Nie, drogi Bevierze — odpowiedziała Sephrenia z powagą. — Żadnym zaklęciem nie można dokonać tego, co ona uczyniła w grocie. Ona była — i jest — boginią Aphrael.

— Chciałbym uzyskać pewne informacje, nim pochłonie nas teologiczna dysputa. — Sparhawk zmienił temat. — Jak wam wszystkim udało się uciec Wargunowi i co dzieje się w mieście?

— Zmylić króla Warguna wcale nie było trudno — odrzekł mistrz Vanion. — W drodze na południe zahaczyliśmy o Cimmurę i wszystko potoczyło się zgodnie z planem, który ułożyliśmy w Acie. Wrzuciliśmy Lycheasa do lochu, oddaliśmy

władzę w ręce hrabiego Lendy i nakłoniliśmy armię oraz gwardzistów, aby pomaszerowali z nami na południe.

— Jak tego dokonałeś? — zdziwił się Sparhawk.

— Vanion potrafi bardzo skutecznie przekonywać — wyjaśnił Kalten z uśmiechem. — Generalicja chciała dochować przysięgi złożonej prymasowi Anniasowi, ale Vanion odwołał się do tego kościelnego prawa, o którym hrabia Lenda wspominał w Acie, i przejął dowództwo armii. Generałowie protestowali, dopóki nie zostali wyprowadzeni na dziedziniec. Kiedy Ulath kilku z nich pozbawił głów, reszta zmieniła swoje stanowisko.

— Och, mój drogi! — Sephrenia spojrzała na Vaniona z wyrzutem.

— Nie miałem wiele czasu, mateczko — usprawiedliwiał się stary mistrz. — Wargunowi było bardzo spieszno. Chciał wyróżnić cały korpus oficerski eleńskiej armii, lecz przekonałem go, by poniechał zamiaru. Na granicy przyłączyliśmy się do króla Pelosii, Sorosa, i pomaszerowaliśmy do Arcium. Na nasz widok Rendorczycy wzięli nogi za pas. Wargun pragnął ich gonić, ale sędzę, że po prostu chciał się zabawić. Wraz z innymi mistrzami udało mi się wytłumaczyć królowi Thalesii, że nasza obecność w Chyrellos podczas elekcji nowego arcyprałata jest sprawą zasadniczej wagi, więc pozwolił każdemu z nas zabrać po stu rycerzy.

— Cóż za wielkoduszność! — rzekł Sparhawk uszczypliwie. — Gdzie są rycerze z innych zakonów?

— Obozują pod Demos. Dolmant nie chce, byśmy wkraczali do Chyrellos, dopóki sytuacja tam się nie wykrystalizuje.

— Skoro Lenda przejął władzę, to co robią na murach miejskich gwardziści?

— Annias oczywiście dowiedział się o naszych poczynaniach. Pewni członkowie hierarchii są mu wierni, a każdy z nich ma własne oddziały. Pożyczył od nich trochę ludzi i przysłał tutaj. Uwolnili Lycheasa i uwięzili hrabiego Lendę. W tej chwili sprawują władzę w mieście.

— Chyba nie będziemy na to patrzeć bezczynnie!

Vanion skinął głową.

— Razem z rycerzami innych zakonów byliśmy już w drodze do Demos, gdy dotarły do nas wieści o tutejszych wydarzeniach. Pozostałe zakony udały się do Demos, gdzie czekają na rozkaz wejścia do Chyrellos, a my wróciliśmy do Cimury. Przybyliśmy tu późną nocą. Rycerzom było spieszno ruszyć do miasta, ale mieliśmy za sobą ciężką wyprawę i wszyscy byli zmęczeni. Chciałem, aby trochę odpoczęli, nim przystąpią do naprawy sytuacji w obrębie miejskich murów.

— Czy spodziewasz się kłopotów?

— Wątpię. Ci gwardziści nie są ludźmi Anniasa. Zostali wypożyczeni od innych patriarchów i nie są zbyt lojalni. Sądzę, że pokaz siły wystarczy, by się poddali.

— Czy wśród tej setki jest szóstka rycerzy, którzy byli obecni w sali tronowej podczas rzucania zaklęcia? — zapytała Sephrenia.

— Tak, wszyscy tu jesteśmy. — Vanion spojrział na pandioński miecz, który czarodziejka trzymała w dłoni. — Czy chcesz, abym go przejął, mateczko?

— Nie — odparła zdecydowanie. — Dźwigasz już wystarczająco wiele. Zresztą to i tak już nie potrwa długo.

— Pani, zamierzasz zdjąć zaklęcie, nim Bhelliom uzdrowi królową? — zapytał Tynian.

— Muszę. Bhelliom, aby uzdrowić Ehlanę, powinien dotknąć jej ciała.

Kalten podszedł do okna.

— Już późne popołudnie — powiedział. — Jeżeli mamy zamiar uczynić to dzisiaj, zaczynajmy.

— Poczekajmy do rana — zdecydował Vanion. — Gdyby gwardziści próbowali stawić opór, ich uciszenie zabierze nam trochę czasu. Wolałbym, aby żaden pod osłoną ciemności nie umknął do Anniasa, nim ściągniemy tu posiłki.

— Ilu gwardzistów jest w pałacu? — zapytał Sparhawk.

— Moi szpiedzy donoszą o kilkuset. Zbyt niewielu, by stanowić dla nas zagrożenie.

— Musimy znaleźć sposób na zamknięcie bram Cimmury na kilka dni, jeżeli nie chcemy ujrzeć nad rzeką śpieszącej z odsieczą kolumny czerwonych mundurów — stwierdził Ulath.

— Zostawcie to mnie — zaoferował się Talen. — Tuż przed zapadnięciem zmroku wymknę się do miasta i porozmawiam z Platimem. On obstawi bramy.

— Czy można mu zaufać? — zapytał Vanion.

— Platimowi? Oczywiście, że nie. Myślę jednak, że dla nas to uczyni On nienawidzi Anniasa.

— A więc ustalone! zakrzyknął Kalten wesoło. — Wyruszymy o świcie i załatwimy wszystko jeszcze przed obiadem.

— Nie zwracajcie sobie głowy zostawianiem przy stole miejsca bękartowi Lycheasowi — mruknął Ulath ponuro, sprawdzając kciukiem ostrość swego topora. — Wątpię, czy będzie miał apetyt.

Rozdział 3

Następnego dnia Kurik obudził Sparhawk'a wczesnym rankiem i pomógł mu przywdziać paradną czarną zbroję. Potem rycerz udał się do komnaty Vaniona, niosąc pod pachą ozdobiony piórami hełm i pas z mieczem, aby tam czekać na wschód słońca i przybycie pozostałych rycerzy. To był ten dzień. Wyczekiwał jego nadejścia pół roku z górą. Dziś spojrzy w oczy swojej królowej, odda jej honory i złoży przysięgę wierności. Czuł, jak wzbiera w nim straszliwa niecierpliwość. Chciał to już mieć za sobą i urągał w duchu leniwemu słońcu za jego opieszaty wschód.

— A potem, Anniasie — mruknął pod nosem — ty i Martel staniecie się tylko przypisem w historii Elenii.

— Czyżbyś podczas walki z Ghwerigiem oberwał po głowie? — zapytał Kalten wchodząc. On również miał na sobie paradną czarną zbroję, a pod pachą trzymał hełm.

— Nie — odrzekł Sparhawk. — Czemu pytasz?

— Mówisz sam do siebie. Większość ludzi tego nie robi.

— Nie masz racji, Kaltenie. Prawie każdy tak czyni. Tyle że ludzie zwykle przepowiadają sobie rozmowy odbyte lub planowane.

— A ty którymi się teraz zajmujesz?

— Żadnymi z nich. Ostrzegałem Anniasa i Martela przed tym, co ich czeka.

— Wiesz przecież, że nie mogli cię usłyszeć.

— Może nie, ale rycerską jest rzeczą choć próbować ich ostrzec. Przynajmniej będę miał świadomość dopełnienia mej powinności, nawet jeżeli oni nie będą sobie zdawać z tego sprawy.

— Ja nie myślę zawracać sobie głowy podobnymi drobiazgami, gdy zabiorę się za Adusa. — Kalten uśmiechnął się szeroko. — Wyobrażam sobie, ile czasu zajęłoby wyjaśnienie tego Adusowi. A jeżeli już o tym mowa, to kto zabije Kragera?

— Zostawmy go komuś, kto się nam przysłuży.

— To brzmi uczciwie. — Kalten zamilkł na chwilę i spoważniał. — Uda nam się, Sparhawk'u? Czy Bhelliom naprawdę uzdrowi Ehlane, czy też jedynie się tym

ładzimy?

— Myślę, że się nam uda. Musimy wierzyć, że tak będzie. Bhelliom jest obdarzony wielką mocą.

— A czy kiedykolwiek go już użyłeś?

— Raz. Zawaliłem za jego pomocą grań w górach Thalesii.

— Dlaczego?

— Tak trzeba było zrobić. Nie myśl o Bhelliomie, Kaltenie. To bardzo niebezpiecznie.

Kalten popatrzył na niego z niedowierzaniem i zmienił temat.

— Czy pozwolisz panu Ulathowi porąbać Lycheasa, gdy już dostaniemy się do pałacu? On uczyni to z prawdziwą przyjemnością. A może wolisz, abym ja powiesił bękarta?

— Nie wiem. Zaczekajmy i pozostawmy decyzję królowej Ehlanie.

— A po cóż zawracać jej tym głowę? Najpewniej po tym wszystkim będzie nieco osłabiona, a ty, jako Rycerz Królowej, Powinieneś jej oszczędzić wysiłków.

— Kalten mrugnął do Sparhawk. — Nie zrozum mnie źle, ale w końcu Ehlana jest niewiastą, a niewiasty są zwykle wrażliwego serca. Jeżeli jej pozostawimy decyzję, może w ogóle nie wyrazić zgody na zabicie tego bękarta. Wolałbym raczej, aby był martwy, zanim królowa się ocknie. Oczywiście przeprosimy ją za nasz pośpiech. Jednakże przeprosiny go nie wskrzeszą, bez względu na to, jak by nam było przykro.

— Cóż za barbarzyńca z ciebie, Kaltenie!

— Ze mnie? Aha, byłbym zapomniał. Vanion już rozkazał naszym braciom przywdziewać zbroje. Powinniśmy być gotowi, nim wzejdzie słońce i otworzą bramy miasta. — Kalten zmarszczył brwi. — Możemy mieć kłopoty. Bramy są obsadzone gwardzistami, a ci na nasz widok mogą próbować je zamknąć.

— A od czego są tarany? — Sparhawk wzruszył ramionami.

— Królowa może mieć do ciebie pretensje, gdy się dowie, że rozwaliłeś bramy jej stolicy.

— Każemy gwardzistom je naprawić.

— To zbyt uczciwe zajęcie jak na gwardzistów. Przed podjęciem decyzji radziłbym ci przyjrzeć się uważniej stercie brukowców leżących pod naszą twierdzą. Gwardziści nie posługują się zbyt zręcznie narzędziami. — Rosły, jasnowłose mężczyzna opadł ze chrzęstem zbroi na fotel. — Długo to trwało, Sparhawk, ale już prawie po wszystkim, prawda?

— Masz słusność, prawie po wszystkim — przyznał Sparhawk — a gdy tylko królowa wyzdrowieje, będziemy mogli ruszyć na poszukiwanie Martela.

Kaltenowi pojaśniały oczy.

— I Anniasa — dodał. — Uważam, że powinniśmy go powiesić w głównej bramie Chyrellos.

— On jest prymasem Kościoła, Kaltenie — rzekł Sparhawk z boleścią w głosie. — Nie możemy tego uczynić.

— Później go przeprosimy.

— Jak sobie to wyobrażasz?

— Coś wymyślę — odparł Kalten niedbale. — Moglibyśmy to nazwać nieporozumieniem czy czymś w tym rodzaju.

Słońce właśnie wzeszło, gdy rycerze zgromadzili się na dziedzińcu. Vanion, blady i wychudzony, schodził po schodach z wysiłkiem, dźwigając dużą skrzynię.

— Miecze — wyjaśnił rzeczowo Sparhawkowi. — Sephrenia powiedziała, że będziemy ich potrzebować w sali tronowej.

— Czy nikt nie może ich nieść za ciebie? — zapytał Kalten.

— Nie. To moje brzemię. Wyruszymy, gdy tylko Sephrenia zejdzie.

Drobna Styriczka w białej szacie wyłoniła się z zamczyska, niosąc miecz Gareda. Obok niej szedł Talen. Sprawiała wrażenie bardzo spokojnej, a nawet nieobecnej duchem.

— Nie jesteś chora, mateczko? — zaniepokoił się Sparhawk.

— Nie. Przygotowywałam się do ceremonii w sali tronowej.

— Może dojdź do walki — uprzedził Kurik. — Czy naprawdę musimy brać z sobą Talena?

— Ja go obronię — powiedziała czarodziejka — a obecność chłopca jest konieczna. Są ku temu powody, ale chyba byś ich nie pojął.

— Na koń! W drogę! — rozkazał Vanion.

Rozległo się głośnie pobrzękiwanie i stu odzianych w czarne zbroje pandionitów dosiadło wierzchowców. Sparhawk zajął swe tradycyjne miejsce u boku Vaniona; tuż za nimi jechał Kalten, Tynian, Bevier i Ulath. Z tyłu ciągnęła kolumna rycerzy. Przejechali klusem zwodzony most i natarli na zdumionych gwardzistów znajdujących się za bramą. Na sygnał Vaniona grupa pandionitów pod wodzą Perraina oderwała się od kolumny i otoczyła rzekomych brukarzy.

— Zatrzymajcie szpiegów tutaj, dopóki nie zdobędziemy bramy — polecił mistrz. — Potem przyprowadźcie ich do miasta i dołączcie do nas.

— Tak się stanie, mistrzu. — Perrain zawrócił konia.

— Ruszajmy! — krzyknął Vanion. — Nie dajmy gwardzistom w mieście czasu na przygotowania!

Grzmiącym galopem pokonali niewielką odległość, jaka dzieliła siedzibę zakonu od bramy Cimmury. Wbrew obawom Kaltena gwardziści byli zbyt zaskoczeni, aby w porę zamknąć wrota.

— Ależ, szlachetni rycerze! — zaprotestował ostro jeden z oficerów. — Nie możecie wjechać do miasta bez zgody księcia regenta!

— Czy pozwolisz, mistrzu? — zapytał grzecznie Tynian.

— Oczywiście, panie Tynianie — zgodził się Vanion. — Mamy pilne sprawy do załatwienia i brak nam czasu na pogawędkę.

Tynian ruszył koniem. Deirańczyk miał zwodniczo dobroduszne oblicze, jednakże jego ciężka zbroja skrywała masywne barki i mocarne ramiona. Rycerz obnażył miecz.

— Przyjacielu — zwrócił się uprzejmie do oficera — czy byłbyś tak dobry i odsunął się, byśmy mogli przejechać? Jestem pewien — ciągnął tonem miłej pogwarki — że nikt z nas nie chce mieć nieprzyjemności.

Większość gwardzistów w Cimmurze przywykła do sprawowania w mieście absolutnej władzy i nie w smak im było, gdy ktoś traktował ich poufale. Niestety ten oficer należał właśnie do tej większości.

— Nie mając wyraźnego rozkazu księcia regenta jestem zmuszony zabronić wam wjazdu do miasta — oznajmił bezmyślnie.

— Czy to twoje ostatnie słowo? — zapytał Tynian tonem pełnym żalu.

— Tak.

— Decyzja należy do ciebie, przyjacielu. — Deirańczyk uniósł się w strzemiionach i wziął szeroki zamach ramieniem zbrojonym w miecz.

Ponieważ oficer nie wierzył, aby ktokolwiek mógł mu się sprzeciwić, nie wykonał żadnego ruchu w swej obronie. Na jego twarzy malowało się kompletne zaskoczenie, gdy ciężki, szeroki miecz alcjonity spadł mu na obojczyk, a potem zagłębił się ukośnie w korpus. Z przerażającej rany trysnęła krew, a zwiotczałe nagle ciało zawisło na ostrzu, które tkwiło w rozciętym napierśniku. Tynian usiadł ponownie w siodle, wyjął stopę ze strzemiiona i kopniakiem zrzucił trupa z klingi swego miecza.

— Wszak prosiłem, by ustąpił z drogi, mistrzu Vanionie — wyjaśnił. — Skoro zdecydował się nam przeszkodzić, ponosi całkowitą odpowiedzialność za to, co się tu wydarzyło, nie sądzisz, szlachetny panie?

— Słusznie prawisz, panie Tynianie — przyznał Vanion. — Jesteś bez winy. Zachowałeś się bardzo uprzejmie.

— Ruszajmy zatem — zniecierpliwził się Ulath i wyciągnął swój topór bojowy z uchwytu przy siodle. — No, kto następny? — zwrócił się do gwardzistów, gapiących się szeroko otwartymi ze zdumienia oczyma.

Żołnierze nie wdawali się już w dyskusje i uciekli.

Kłusem nadjechali rycerze, którzy pojмали brukarzy u wrót siedziby zakonu. Pędzili więźniów przed sobą. Vanion zostawił dziesięciu pandionitów do pilnowania bramy i kolumna zbrojnych mężów ruszyła do miasta.

Mieszkańcy Cimmury w pełni zdawali sobie sprawę z sytuacji panującej w pałacu. Na widok pandionitów o posępnych obliczach natychmiast domyślili się dalszego rozwoju wydarzeń. Wzdłuż ulicy słyhać było trzask zamykanych drzwi i szcęk zasuwanych od wewnątrz rygli. Mieszczanie nie zamierzali uczestniczyć w zamieszkach, które wydawały się nieuniknione.

Rycerze jechali dalej wyludnionymi ulicami.

Nagle z tyłu rozległ się świst i coś głośno brzęknęło. Sparhawk zawrócił Farana.

— Doprawdy, Sparhawk, powinieneś bardziej uważać na swe plecy — powiedział Kalten. — Ta strzała z kuszy trafiłaby cię prosto pomiędzy naramienniki. Jesteś mi winny zwrot kosztów za odnowienie mojej tarczy.

— Jestem ci winny o wiele więcej, Kaltenie — rzekł Sparhawk z wdzięcznością.

— Dziwne — zastanawiał się Tynian — kusza to broń lamorkandzka. Niewiele gwardzistów się nią posługuje.

— Tu pewnie chodzi o jakieś osobiste porachunki — mruknął Ulath. — Czyś nie naraził się ostatnio komuś z Lamorkandii, dostojny panie Sparhawku?

— Nic mi o tym nie wiadomo.

Do gawędzących rycerzy podjechał mistrz Vanion.

— Po dotarciu do pałacu nie będziemy się już wdawać w żadne dyskusje. Rozkażę gwardzistom, aby rzucili broń.

— Sądzisz, mistrzu, że posłuchają? — zapytał Kalten.

Vanion uśmiechnął się ponuro.

— Pewnie nie. Nie obejdzie się chyba bez kilku pokazowych lekcji. Chciałbym, Sparhawk, abyś wraz z przyjaciółmi ubezpieczał wejście do pałacu. Nie przypuszczam, byście mieli ochotę na gonitwy z gwardzistami po pałacowych korytarzach.

Sparhawk opuścił przyłbicę.

Gwardziści, ostrzeżeni przez uciekinierów spod murów miasta, zgrupowali się na dziedzińcu pałacu za wielką zamkniętą bramą.

— Przynieść taran! — rozkazał Vanion.

Do przodu wyjechało kilkunastu pandionitów, wioząc pomiędzy sobą ucze-pioną linami do siodeł ciężką kłodę. Nie minęło wiele czasu, a brama została rozbita i rycerze zakonnicy wtargnęli na dziedziniec.

— Rzucić broń! — zawołał Vanion do przestraszonych gwardzistów.

Sparhawk poprowadził przyjaciół wokół dziedzińca do olbrzymich podwoi wiodących w głąb pałacu. Tam zsiadli z koni i podążyli schodami na spotkanie kilkunastu gwardzistów pilnujących głównego wejścia. Dowodzący nimi oficer wyciągnął miecz.

— Nikt nie może wejść! — wrzasnął.

— Zejdź mi z drogi, ziomku — rzekł Sparhawk ze śmiertelnym spokojem.

— Ja nie przyjmuję rozkazów od... — zaczął oficer i przerwał. Oczy mu się zaszkliły. Wszyscy usłyszeli dźwięk, jaki zwykle towarzyszy rozbijaniu melona o kamień. To Kurik zręcznie roztrzaskał służbistemu gwardziście głowę swym straszliwym obuchem, kolczastą kulą wiszącą na łańcuchu z grubego drąga. Oficer upadł i przez chwilę jeszcze podrygiwał na posadzce.

— O, to coś nowego — rzekł Tynian do Ulatha. — Nigdy przedtem nie widziałem, żeby mózg wylewał się przez uszy.

— Kurik radzi sobie doskonale — przyznał Ulath.

— Czy ktoś jeszcze chciałby porozmawiać? — Sparhawk złowieszczym tonem zwrócił się do osłupiałych żołnierzy, którzy tylko gapili się na niego z rozdziawionymi ustami.

— Kazano wam rzucić broń — przypomniał Kalten.

— Zwalniamy was z posterunku, ziomkowie — poinformował Sparhawk gwardzistów. — Dołączcie do swego oddziału na dziedzińcu.

Strażnicy śpiesznie wykonali polecenie.

Na dziedzińcu konni pandionicy powoli przeciskali się przez cizbę żołnierzy w czerwonych mundurach. Zdarzały się sporadyczne protesty ze strony co bardziej fanatycznych gwardzistów i rycerze udzielili licznych „pokazowych lekcji”, o których wspominał mistrz. Wkrótce środek podwórca był zalany krwią i pokryty odciętymi głowami, ramionami i nogami. Coraz więcej gwardzistów widząc, czym może się skończyć walka, rzucało broń i podnosiło do góry ręce na znak poddania. Znalazła się, co prawda, pewna grupa uparcie stawiająca opór, ale rycerze przyparli ich do muru i wycięli w pień.

Vanion rozejrzał się po dziedzińcu.

— Zapędźcie jeńców do stajni — polecił pandionitom — i niech kilku z was pozostanie na straży. — Mistrz zsiadł z konia i podszedł do strzaskanej bramy. — Już po wszystkim, mateczko! — zawołał do Sephrenii, która czekała na zewnątrz z Talenem i Beritem. — Nic ci nie grozi.

Czarodziejka wjechała na dziedziniec na swej białej klaczy, przesłaniając dłonią oczy, Talen zaś rozglądał się dookoła z ciekawością.

Kalten i Bevier stali u wrót królewskiego pałacu. Ulath i Kurik odnieśli już na bok ciało zabitego oficera, a Tynian w zamyśleniu zeskrobywał butem resztki móżdgu z najwyższego stopnia schodów. Sparhawk zszedł na dziedziniec, by pomóc Sephrenii.

— Czy wy zawsze rąbecie swoich wrogów na kawałki? — zapytał go Talen.

Rycerz wzruszył ramionami.

— Vanion chciał, by gwardziści nie mieli złudzeń. Zobaczyli, co ich czeka, jeżeli stawią opór. Rozczłonkowanie jest zwykle bardzo przekonujące.

— Sparhawk! — zaprotestowała Sephrenia.

— Pozwól nam pójść przodem, mateczko — rzekł Sparhawk, gdy podchodził do nich Vanion z dwunastoma rycerzami. — W pałacu tu i ówdzie mogą się ukrywać gwardziści.

Jak się później okazało, istotnie było kilku, ale pandionicy wyciągnęli ich z kryjówek i odprowadzili do głównego wejścia, polecając im udać się do stajni, gdzie przetrzymywano jeńców.

Drzwi do sali posiedzeń rady były nie strzeżone i Sparhawk otworzył je przed Vanionem.

Za stołem zobaczyli Lycheasa, skulonego i drżącego ze strachu. Obok niego siedział grubas w czerwieni. Baron Harparin nerwowo szarpał za jeden ze sznurów od dzwonek.

— Nie wolno tu wchodzić! — wykrzyknął do Vaniona swym piskliwym, niewieścim głosem. — W imieniu króla Lycheasa rozkazuję wam natychmiast wyjść!

Vanion spojrzał na niego zimnym wzrokiem. Sparhawk wiedział, że mistrz żywił przemożną niechęć do tego arystokraty, szukającego uciech w towarzystwie pięknych chłopców.

— Ten człowiek mnie mierzi — oznajmił beznamiętnie, wskazując na Harparina. — Czy ktoś może się nim zająć?

Ulath obszedł stół dookoła, wążąc w dłoni topór.

— Nie odważysz się! — zapiszczał Harparin, odskakując w tył i nadal ciągnąc z desperacją za sznur od dzwonka. — Jestem członkiem Rady Królewskiej. Nie odważysz się uczynić mi krzywdy!

W istocie Ulath jednak się odważył. Głowa Harparina spadła i potoczyła się po dywanie aż pod okno. Usta barona nadal były otwarte, a oczy wytrzeszczone z przerażenia.

— Czy o to właśnie prosisz, mistrzu Vanionie? — zapytał uprzejmie rostry Thalezyjczyk.

— Tak. Dziękuję, panie Ulathu.

— A co z tymi dwoma? — Ulath wskazał toporem na Lycheasa i grubasa w czerwonym kubraku.

— Na razie się powstrzymaj, panie Ulathu. — Mistrz pandionitów podszedł do stołu, niosąc skrzynię z mieczami poległych rycerzy. — Lycheasie, powiedz, gdzie jest hrabia Lenda? — zażądał.

Lycheas gapił się na niego bezrozumnie.

— Panie Ulathu — powiedział lodowatym tonem Vanion.

Ulath z ponurą miną uniósł splamiony krwią topór.

— Nie! — wrzasnął Lycheas. — Lenda jest zamknięty w lochach. Nie zrobiliśmy mu nic złego, szlachetny mistrzu Vanionie. Przysięgam ci, że jest on. . .

— Zabierzcie Lycheasa i tego drugiego do lochów — polecił Vanion dwóm rycerzom. — Uwolnijcie hrabiego Lendę, a na jego miejsce wsadźcie tych dwóch. Potem przyprowadźcie Lendę tutaj.

— Czy pozwolisz, mistrzu Vanionie? — zapytał Sparhawk.

— Oczywiście.

— Bękarcie Lycheasie — zaczął Sparhawk oficjalnym tonem — ja, Obrońca Korony i Rycerz Królowej, mam przyjemność aresztować cię pod zarzutem zdrady stanu. Powszechnie wiadomo, jaką karę wymierza się za tego typu przestęp-

stwa. Wykonamy ją, gdy tylko nadarzy się ku temu okazja. Nudę długich godzin odosobnienia wypełnij sobie rozmyślaniami na ten temat.

— Mógłbym ci oszczędzić sporo czasu i kosztów, dostojny panie Sparhawk — zaoferował się Ulath, wążąc w rękę topór.

Sparhawk udał, że zastanawia się nad propozycją.

— Nie — zdecydował z żalem. — Lycheas popełnił niejedną podłość wobec mieszkańców Cimmury. Należy im się wolny wstęp na publiczną egzekucję.

Perrain wraz z którymś z rycerzy wyprowadzili zapłakanego Lycheasa, wlokąc go obok wytrzeszczającej oczy głowy barona Harparina.

— Surowy i bezlitosny człek z ciebie, dostojny panie Sparhawk — zauważył Bevier.

— Wiem. — Sparhawk spojrział na Vaniona. — Poczekajmy na Lendę. On ma klucze do sali tronowej. Nie chciałbym, aby królowa po przebudzeniu stwierdziła, iż wyważyliśmy drzwi jej komnaty.

Mistrz skinął głową.

— I mnie również Lenda jest potrzebny — rzekł, następnie położył skrzynię z mieczami na stole i usiadł w fotelu. — Aha, przykryjcie czymś głowę Harparina, zanim wejdzie tu Sephrenia. Bardzo ją zasmucają takie widoki.

Sparhawkowi przemknęło przez myśl, że to kolejny fakt potwierdzający jego wcześniejsze spostrzeżenia. Troska Vaniona o czarodziejkę daleko wykraczała poza zwyczajowo przyjęte normy.

Ulath podszedł do okna, oberwał jedną z draperii, odwrócił się, kopnął głowę barona w kierunku ciała, po czym zakrył trupa zasłoną.

— Skoro nie ma już wśród nas Harparina, całe pokolenie chłopców może spać spokojniej — zauważył beztrosko Kalten. — Z pewnością każdej nocy będą się z wdzięcznością modlić za pana Ulatha.

— Nie gardzę żadnym błogosławieństwem — odparł na to Ulath, wzruszając ramionami.

Weszła Sephrenia, a za nią Talen i Berit. Czarodziejka rozejrzała się dookoła.

— Jestem mile zaskoczona — przyznała. — Spodziewałam się raczej krwawej jatki. — Wtem zmrużyła oczy i wskazała na leżące pod ścianą ciało. — A to co?

— Zmarły baron Harparin — odrzekł Kalten. — Dość nagle nas opuścił.

— Czy to twoja sprawka, Sparhawk? — zapytała Styriczka oskarżycielskim tonem.

— Moja?!

— Zbyt dobrze cię znam, mój drogi.

— Prawdę mówiąc, to byłem ja — przyznał się Ulath. — Bardzo mi przykro, że cię tym zmartwiłem, ale jestem Thalezyjczykiem, a my cieszymy się opinią barbarzyńców. — Groźny genidianita wzruszył ramionami. — W końcu ktoś musi dbać o dobre imię mojego kraju, prawda?

Czarodziejka nie odpowiedziała. Popatrzyła po zebranych w komnacie rycerzach.

— Jesteśmy tu wszyscy — stwierdziła. — Otwórz skrzynię, Vanionie.

Mistrz podniósł wieko skrzyni, w której spoczywało pięć mieczy.

— Cni rycerze — zwróciła się Sephrenia do pandionitów, kładąc miecz Garreda obok skrzyni — kilka miesięcy temu dwunastu z was towarzyszyło mi przy rzucaniu zaklęcia, mającego utrzymać przy życiu królową Ehlanę. Od tego czasu sześciu z waszych dzielnych towarzyszy odeszło do Domu Śmierci. Jednakże ich miecze muszą być obecne przy zdejmowaniu zaklęcia. Toteż każdy z was, będących wówczas ze mną, musi nieść oprócz własnego również miecz jednego z braci, których nie ma między nami. Rzucę zaklęcie, by pomóc wam je unieść. Następnie przejdziemy do sali tronowej, gdzie zostaną wam odebrane miecze poległych.

Vanion podniósł wzrok na czarodziejkę.

— Odebrane? — zdziwił się. — Przez kogo?

— Przez ich właścicieli.

— Zamierzasz przywołać duchy do sali tronowej? — zapytał ze zdumieniem.

— Przybędą bez wzywania, posłuszni przysiędze. Tak jak poprzednio, w dwunastu stanicie z wyciągniętymi mieczami dookoła tronu. Ja zdejmę zaklęcie i kryształ zniknie.

— A co ja mam robić? — wtrącił Sparhawk.

— Dowiesz się we właściwym czasie. Nie chciałabym, abyś cokolwiek robił zbyt pochopnie.

Perrain wprowadził do sali posiedzeń rady hrabiego Lendę.

— Jak tam było w lochach, hrabio? — zapytał Vanion życzliwie.

— Wilgotno, mistrzu Vanionie — odparł Lenda — a także ciemno i nie pachniało zbyt miło. Wiesz przecież, jak to jest w lochach.

— Nie — uśmiechnął się Vanion — nie wiem. Wolę sobie oszczędzić podobnych doświadczeń. — Spojrzał z troską na wychudłego dworzanina. — Dobrze się czujesz, hrabio? Wyglądasz na zmęczonego.

— Starcy zawsze sprawiają wrażenie zmęczonych, Vanionie, a ja jestem bardziej niż stary. — Hrabia wyprostował swe wątle ramiona. — Przy piastowaniu stanowisk rządowych trzeba liczyć się z ryzykiem przebywania od czasu do czasu w lochach i przyzwyczaić się do tego. Bywałem już w gorszych kazamatach.

— Jestem pewien, hrabio, że Lycheasowi i temu grubasowi lochy się spodobały — powiedział wesoło Kalten.

— Wątpię w to, panie Kaltenie.

— Daliśmy im do zrozumienia, że koniec odosobnienia będzie dla nich jednoznaczny z opuszczeniem tego świata. Jestem przekonany, że będą woleli lochy. W końcu szczury nie są aż tak okropne.

— Nie zauważyłem barona Harparina. — Lenda rozejrzała się po obecnych. — Czyżby uciekł?

— Można tak powiedzieć — odparł Kalten. — Był nad wyraz krnąbrny. Znasz, hrabio, Harparina. Ulath dał mu lekcję uprzejmości. . . za pomocą swego topora.

— A zatem ten dzień pełen jest radosnych niespodzianek! — Lenda zachichotała głośno.

— Hrabio Lenda — odezwał się Vanion oficjalnym tonem — udajemy się teraz do sali tronowej. Chciałbym, hrabio, abyś był świadkiem uzdrowienia królowej na wypadek, gdyby potem ktoś zgłaszał wątpliwości. Lud jest przesądny, a pewnie nie braknie tych, którzy będą rozpuszczają pogłoski, jakoby Ehlana nie była prawowitą królową Elenii.

— Bardzo chętnie będę ci towarzyszył, mistrzu Vanionie — zgodził się Lenda — ale jak zamierzacie ją uzdrowić?

— Zobaczymy.

Sephrenia wyciągnęła dłonie nad miecze i przez chwilę mówiła coś po styricu. Gdy uwolniła zakłęcie, klingi rozbłysły. Do stołu podeszli rycerze, którzy byli obecni przy zamykaniu królowej Elenii w kryształ. Czarodziejka przemówiła do nich krótko przyciszonym głosem i pandionicy wzięli miecze.

— Jestem gotowa — powiedziała. — Ruszajmy do sali tronowej.

— To wszystko jest bardzo tajemnicze — rzekł Lenda do Sparhawk, gdy przemierzali długie korytarze.

— Czy kiedykolwiek byłeś świadkiem działania prawdziwej magii, hrabio? — zapytał Sparhawk.

— Ja nie wierzę w czary.

— To może się wkrótce zmienić. — Rycerz z uśmiechem pokiwał głową.

Stary dworzanin wyciągnął klucz spod kubraka i otworzył drzwi sali tronowej. Wszyscy weszli za Sephrenią do środka. W komnacie panowała ciemność. W czasie odosobnienia hrabiego Lendy nikt nie zadbał o nowe świece. Sparhawk w ciemnościach usłyszał echo miarowych uderzeń serca królowej. Kurik przyniósł pochodnię z korytarza.

— Zapalić świece? — spytał czarodziejkę.

— Jak najbardziej — odparta. — Nie budźmy Ehlany pośród ciemności.

Kurik i Berit zastąpili wypalone świece nowymi. Kiedy jasne światło zalało komnatę, Berit spojrzał z ciekawością na młodą królową, której nigdy przedtem nie widział i której służył z oddaniem. Wstrzymał oddech. Wpatrywał się w nią pełen czci otwartymi szeroko oczyma. Sparhawk pomyślał, że w spojrzeniu młodzieńca jest coś więcej niż tylko szacunek. Berit był rówieśnikiem Ehlany, a uroda królowej mogła oszołomić każdego.

— Tak jest o wiele lepiej. — Sephrenia rozejrzała się po oświetlonej sali. — Sparhawk, chodź ze mną. — Poprowadziła rycerza do podium, na którym stał tron.

Ehlana wyglądała tak jak wiele miesięcy temu. Siedziała wyprostowana, ubrana w królewskie szaty. Oczy miała zamknięte. Jej jasne włosy zdobiła korona Elenii.

— Jeszcze tylko kilka chwil, moja królowo — wyszeptał Sparhawk. Dziwne, ale oczy mu zasły łzami, a serce podeszło do gardła.

— Zdejmij rękawice, Sparhawk — poleciła Sephrenia. — Pierścienie muszą dotykać Bhelliomu, gdy będziesz używał jego mocy.

Rycerz włożył stalowe rękawice za pas, po czym sięgnął pod wierzchnią szatę, wyciągnął płócienny woreczek i rozwiązał sznurki.

— Zajmijcie swoje miejsca — zwróciła się czarodziejka do obecnych.

Vanion i pozostałych pięciu pandionitów utworzyli krąg wokół tronu. Każdy trzymał oprócz swego miecza również oręż poległego brata.

Sephrenia stanęła obok Sparhawka i poczęła po styricku splatać zaklęcie, czyniąc znaki w powietrzu. W takt jej dźwięcznych słów przygasały i rozbłyskiwały świece. W miarę jak wypowiadała zaklęcie, komnatę poczęła stopniowo wypełniać znajomy trupi zapach. Sparhawk oderwał oczy od twarzy Ehlany i pośpiesznie omiótł spojrzeniem rycerzy stojących dookoła tronu. Miał sześciu było ich teraz dwunastu. Mgliste postacie tych, którzy jeden po drugim odchodzili w ciągu minionych miesięcy, powróciły teraz, aby po raz ostatni przejąć swe miecze.

— Teraz, cni rycerze — czarodziejka zwróciła się do żywych i martwych — skierujcie głównie na tron. — Zaczęła wymawiać inne zaklęcie. Końce kling poczęły jaśnieć wciąż bardziej i bardziej, aż rozchodzący się od nich blask otoczył tron pierścieniem czystego światła. Sephrenia uniosła rękę, wymówiła jedno słowo i zdecydowanym ruchem opuściła ramię. Kryształ otaczający tron zamigotał i zniknął.

Ehlanie głowa opadła na piersi, całym jej ciałem poczęły wstrząsać okropne drgawki. Słysząc było ciężki oddech królowej, a bicie serca słabło. Sparhawk rzucił się do podwyższenia, by pośpieszyć władczyni z pomocą.

— Jeszcze nie teraz! — krzyknęła ostro Sephrenia.

— Ale...

— Rób, co mówię!

Rycerz stał chwilę bezradnie nad królową. Ta chwila dłużyła mu się nieznośnie. Sephrenia zbliżyła się do tronu i obiema dłońmi uniosła głowę monarchini. Szare oczy Ehlany były szeroko otwarte i nieobecne, a twarz wykrzywiał bolesny grymas.

— Sparhawk — odezwała się czarodziejka — dotknij Bhelliomem jej serca. Upewnij się, czy pierścienie spoczywają na klejnocie. Jednocześnie rozkaż, aby ją uzdrowił.

Rycerz ujął w dłoń szafir i delikatnie dotknął nim piersi Ehlany.

— Bhelliomie, Błękitna Różo, uzdrów mą królową! — rozkazał donośnym głosem.

Potęźna fala mocy, która wypłynęła z klejnotu, powaliła Sparhawk na kolana. Świece zamigotały i przygasły, jakby przez salę przemknął jakiś mroczny cień. Czy to coś uciekało? Czy też może był to ten sam przerażający cień, który podążał za rycerzem i prześladował go we śnie? Ehlana wyprostowała się i jej szczupłe ciało opadło na oparcie tronu. Wydała ochryply okrzyk, a potem nagle spojrzała przytomnie szeroko otwartymi oczyma i utkwiała w Sparhawku zdumione spojrzenie.

— Dokonało się! — oznajmiła Sephrenia drżącym głosem i chwiejnym krokiem zeszła z podwyższenia.

Ehlana odetchnęła głęboko.

— Luby mój piastunie! Mój rycerzu! — zawołała, wyciągając ramiona do kłęczącego u swych stóp pandionity. Jej głos, choć słaby, nie był już jednak tym dziecięcym głosikiem, który Sparhawk pamiętał, lecz pełnym i głębokim głosem kobiety. — Och, Sparhawk, nareszcie do mnie wróciłeś. — Oplotła drżącymi ramionami jego zbrojny kark i przysunęła twarz do uniesionej przyłbicy. Obdarzyła rycerza długim pocałunkiem.

— Uspokój się, drogie dziecko — skarciła ją Sephrenia. — Sparhawk, zanieś królową do jej komnat.

Pocałunek Ehlany w niczym nie przypominał dziecinnego cmoknięcia. Sparhawk czuł się bardzo nieswojo. Schował Bhelliom, potem zdjął hełm i podał go Kaltelowi. Ostrożnie uniósł władczynię, a ona objęła go i przytuliła twarz do jego policzka.

— Och, jesteś wreszcie — szepnęła — tak cię miłuję! Nie pozwolę ci odejść już nigdy.

Sparhawk poczuł się jeszcze bardziej zakłopotany. Z całą pewnością doszło tu do nieporozumienia.

Rozdział 4

Minęła noc i rankiem, jak nakazywał obyczaj, Sparhawk stanął przed swoją królową. Wkrótce potem uznał, iż Ehlana może przysporzyć mu nie lada kłopotów. Rozmyślał nad tym zdejmując zbroję. Podczas wieloletniego zesłania młoda władczyni zawsze była obecna w jego myślach, dla niej też uganiał się po świecie za Bhelliomem, lecz takiego obrotu sprawy nie mógł przewidzieć. Musiał stawić czoło kilku trudnym do akceptacji faktom. Przed zesłaniem stosunki między nim a Ehlaną nie budziły wątpliwości. On był dorosły; ona była dzieckiem. Teraz oboje wkroczyli na nie znany sobie teren wzajemnych relacji między monarchinią a poddanym. Co prawda Kurik i inni opowiadali Sparhawkowi, że dziewczynka, którą wychował niemal od kołyski, zdążyła wykazać się niebywałą odwagą i temperamentem w ciągu tych kilku miesięcy, zanim padła ofiarą trucicielskiego spisku Anniasa. Tak, znał jej charakter z opowiadań, jednak doświadczanie tego na własnej skórze... o, to zupełnie inna sprawa. Nie można powiedzieć, żeby Ehlana była w stosunku do niego surowa czy zasadnicza. Żywiła do niego prawdziwą słabość — tak uważał, a przynajmniej taką miał nadzieję — i nie tyle mu rozkazywała, co raczej dawała odczuć, iż oczekuje spełnienia swych życzeń. Oboje poruszali się po grząskim gruncie i nietrudno było o fałszywy krok.

Królowa zażądała, by sypiał w komnacie przyległej do jej sypialni, co było w jego mniemaniu wysoce niestosowne, wręcz zakrawało o skandal. Próbował jej to wytłumaczyć, ale roześmiała mu się prosto w twarz. Ufał, że zbroja go nieco obroni przed złośliwością plotkarzy. W końcu czasy były niespokojne i królowej Elenii należało zapewnić bezpieczeństwo. Jako jej rycerz Sparhawk miał prawo, a nawet obowiązek strzec młodej władczyni. Cóż z tego, skoro gdy rankiem stanął przed nią w pełnej zbroi, Ehlana zmarszczyła nos i poleciła mu natychmiast się przebrać. Zdawał sobie sprawę, że to mogło okazać się brzemienną w skutki pomyłką. Obrońca Korony i Rycerz Królowej w zbroi jest osobą całkiem na miejscu. Nikt, komu zależy na własnym zdrowiu i życiu, nie pozwoliłby sobie na insynuacje związane z bliskością ich sypialni. Ale wszystko zacznie wyglądać zupełnie inaczej, gdy rycerz będzie odziany w kaftan i nogawice. Służba zacznie plotkować, a plotki rozniosą się po mieście.

Sparhawk popatrzył krytycznie na swe odbicie w lustrze. Miał na sobie kaftan z haftowanym srebrem czarnego aksamitu i szare nogawice. Jego strój mógł wywołać nikłe skojarzenie z mundurem, co podkreślały czarne buty do pół łydki, które przywdział zamiast spiczastych cizem, będących obecnie w modzie na dworze. Odmówił przypięcia delikatnego rapiera i w jego miejsce przypasał swój miecz o szerokim ostrzu. Rezultat był nieco komiczny, ale obecność ciężkiej broni jasno dawała do zrozumienia, że Sparhawk przebywał w apartamentach królowej jedynie służbowo.

— Jak ty wyglądasz, Sparhawk! — śmiała się Ehlana, gdy wrócił do saloniku. Królowa siedziała na kanapie, podparta wygodnie poduszkami i okryta niebieską atlasową narzutką.

— Słucham, miłościwa pani? — Sparhawk nie tracił spokoju.

— Ten groźny miecz zupełnie nie pasuje do twego stroju. Proszę, zdejmij go natychmiast i przypnij rapier, który kazałam dla ciebie przygotować.

— Jeżeli mój wygląd waszą wysokość razi, mogę się oddalić. Jednakże miecz pozostanie na swoim miejscu. Tamtą igliczką nie zdołałbym cię obronić, miłościwa pani.

Szare oczy królowej rozbłyły jak gwiazdy.

— Luby piastunie, musisz...

— Podjąłem decyzję, Ehlano — przerwał jej. — Zapewnienie ci bezpieczeństwa należy do moich obowiązków i kroki, które podejmuję, aby je zagwarantować, nie podlegają dyskusji.

Przez dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem. Sparhawk był pewien, że nie jest to ich ostatnie starcie.

— Mój piastunie i obrońco, jesteś taki surowy i nieustępliwy... — Ehlana spojrzała na niego łagodniej.

— Zawsze, gdy w grę wchodzi bezpieczeństwo waszej wysokości — odparł beznamiętnie, uznając, że najlepiej będzie od razu to wyjaśnić.

— O cóż tu się sprzeczać, mój dzielny rycerzu? — trzepocząc rzęsami uśmiechnęła się, kapryśnie wydymając usta.

— Nie rób tego, Ehlano! — powiedział przybierając mentorski ton, jakiego używał, gdy była małą dziewczynką. — Jesteś królową. Nie przystoi ci zachowanie pokojówki, próbującej postawić na swoim. Nie prosz i nie próbuj czarować. To rozkaz.

— Czy zdjąłbyś miecz, gdybym ci rozkazała, Sparhawk?

— Nie, ja nie podlegam zwyczajnym prawom.

— Kto o tym zdecydował?

— Ja. Jeżeli chcesz, miłościwa pani, poślij po hrabiego Lendę. On biegle zna kodeks i może przedstawić nam swoje zdanie w tej sprawie.

— Ale jeżeli jego zdanie będzie różne od twojego, zignorujesz je, prawda?

— Tak.

— To nieładnie, Sparhawku.

— Nie próbuję być ładny, wasza królewska wysokość.

— Sparhawku, gdy jesteśmy sami, moglibyśmy sobie darować te wszystkie „wasza królewska wysokość” i „miłościwa pani”. Przecież w końcu ja też mam imię i nie wzbraniałeś się go używać, gdy byłam dzieckiem.

— Jak sobie życzysz — odparł wzruszając ramionami.

— Powiedz „Ehlano”, Sparhawku. To nietrudne do wymówienia imię i jestem pewna, że się nim nie zadławisz.

Rycerz zrezygnował z walki. Królowa po porażce w kwestii miecza potrzebowała jakiegoś zwycięstwa dla podkreślenia swej godności.

— Dobrze, Ehlano — poddał się z uśmiechem.

— Jesteś teraz o wiele ładniejszy, luby mój rycerzu. Powinieneś częściej się uśmiechać. — Monarchini w zamyśleniu opadła na poduszki. Tego ranka jasne włosy miała starannie uczesane i przyozdobiła się kilkoma skromnymi, lecz kosztownymi drobiazgami. Z rumieńcami wyglądała uroczo, choć trochę nienaturalnie przy bardzo jasnej cerze. — Co robiłeś w Rendorze? Tam przecież zesłał cię ten głupiec Aldreas, prawda?

— Nie jest to najwłaściwszy sposób wyrażania się o ojcu, Ehlano.

— Marny był z niego ojciec. Trudno też powiedzieć, że był lotnego umysłu. Starania, jakich dokładał, aby zabawić swą siostrę, musiały rozmiękczyć mu mózg.

— Ehlano!

— Nie udawaj świętoszka, Sparhawku. Wie o tym cały pałac... a pewnie i całe miasto.

W tym momencie Sparhawk zdecydował, że najwyższy czas znaleźć królowej męża.

— Skąd tyle wiesz o księżniczce Arissie? — zapytał. — Przecież odesłano ją do klasztoru w pobliżu Demos, nim jeszcze przyszłaś na świat.

— Plotki są wiecznie żywe, a i samą Arissę trudno nazwać dyskretną.

Sparhawk szukał w myślach. Wprawdzie Ehlana najwyraźniej mówi, lecz rycerzowi trudno było się pogodzić z jej dojrzałością. Choć rozmawiał ze świadomą różnych przejawów życia dorosłą kobietą, wciąż czuł, że ma przed sobą tę samą niewinną dziewczynkę, którą musiał opuścić przed dziesięciu laty.

— Wyciągnij swą lewą dłoń — powiedział. — Mam coś dla ciebie.

Charakter ich związku nadal był nieokreślony. Oboje zdawali sobie z tego sprawę i było to powodem ich zakłopotania. Rycerz balansował pomiędzy sztywnym przestrzeganiem form a szorstkim, prawie wojskowym wydawaniem poleceń. Zachowanie Ehlany również ulegało ciągłym zmianom. W jednej chwili potrafiła być słodkim szkrabem wdrapującym się na kolana, dziewczątkiem, które kształtował i wychowywał, w następnej chwili — królową w pełnym tego słowa

znaczeniu. Gdzieś w głębi duszy oboje bardzo lękali się zmian, jakie zaszły w Ehlanie. Rycerz przebywał na zesłaniu w dalekim Rendorze, kiedy królowa Elenii wchodziła w świat ludzi dorosłych, nie mógł więc wprowadzać jej w życie sposobu na zmianę wiedziała doskonale, tematu o czym i dziewczyna została od razu rzucona na głębokie wody, co wyraźnie odbiło się na charakterze władczyni. Sparhawk ze wszech sił starał się jej nie urazić. Z drugiej strony, Ehlana najwyraźniej zdawała sobie sprawę ze swych obecnych możliwości, jednak wahała się między ochotą do ich pokazania — czy nawet popisywania się nimi — a krępującą chęcią ukrycia ich pod byle pozorem. Dla obojga był to trudny okres.

Tak więc w obronie Sparhawk w tym momencie powinniśmy poczynić pewne wyjaśnienia. Przytłaczająca niemal kobiecość Ehlany w połączeniu z jej królewskimi manierami i zbijającą z tropu otwartością rozproszyła jego uwagę. W dodatku pierścienie były bardzo do siebie podobne, toteż należy mu wybaczyć, iż przez pomyłkę wsunął władczyni na palec swój własny sygnet.

Naprawdę oba klejnoty niemal niczym się nie różniły, ale kobiety są zadziwiająco spostrzegawcze. Ehlana tylko przelotnie zerknęła na rubin, którym Sparhawk ozdobił jej dłoń, i oczywiście w mig zauważyła niedostrzegalne dla męskiego oka znaki szczególne. Piszcząc ze szczęścia, rzuciła się rycerzowi na szyję — osłupiały Sparhawk z trudem utrzymał się na nogach — i przycisnęła swe usta do jego ust.

Na nieszczęście w tym właśnie momencie Vanion i hrabia Lenda zdecydowali się wejść do komnaty. Stary hrabia zakaszłał grzecznie i Sparhawk rumieniąc się po cebulki włosów delikatnie, ale zdecydowanie zdjął ramiona królowej ze swej szyi.

Hrabia Lenda uśmiechał się porozumiewawczo, a Vanion uniósł jedną brew.

— Przepraszamy za najście, miłościwa pani — rzekł dyplomatycznie Lenda — ale pomyśleliśmy sobie z mistrzem Vanionem, że skoro coraz szybciej powracasz do zdrowia, nadszedł już czas, aby zapoznać cię ze sprawami wagi państwowej.

— Oczywiście, Lendo. — Królowa odłożyła na potem wszystkie wyjaśnienia.

— Wasza wysokość — powiedział Vanion — na zewnątrz czekają przyjaciele, którzy bardziej szczegółowo od nas mogą zrelacjonować wydarzenia.

— A zatem niezwłocznie ich tu wprowadźcie.

Sparhawk podeszedł do stolika i nalał sobie szklanek wody; z jakiejś przyczyny zaschło mu w ustach.

Vanion opuścił na chwilę komnatę i wrócił z przyjaciółmi Sparhawk.

— Myślę, że wasza wysokość pamięta Sephrenię, Kurika i Kaltena. — Następnie mistrz przedstawił pozostałych, nie wdając się w szczegóły co do Talena.

— Jest mi bardzo miło was widzieć — ozwała się Ehlana łaskawie. — Nim jednak zaczniecie, muszę wam coś oznajmić. Obecny tu dostojny pan Sparhawk dzisiaj mi się oświadczył.

Sparhawk, pijący właśnie wodę, począł się nagle krztusić.

— Co się stało, kochany? — zapytała niewinnie królowa.

Rycerz wskazał na swe gardło, z którego dobywały się dziwnie zdławione odgłosy.

Kiedy Sparhawkowi udało się w końcu jakoś odzyskać oddech i częściowy spokój, hrabia Lenda spojrzął na władczynię.

— Wnioskuje z tego, że wasza królewska mość przyjęła oświadczyńcy Obrońcy Korony?

— Oczywiście, że przyjąłam. Właśnie to robiłam, gdyście tu weszli.

— Ach tak, rozumiem. — Lenda był starym politykiem i bez mrugnięcia powiek potrafił składać podobne oświadczenia.

— Moje gratulacje, dostojny panie — wychrypiął Kurik, zamykając dłoń Sparhawk w żelaznym uścisku i potrząsając nią energicznie.

Kalten patrzył zdumiony na królową Elenii.

— Sparhawk?! — wykrzyknął się z niedowierzaniem.

— Naszą wielkość zawsze najtrudniej przychodzi zaakceptować najbliższym przyjaciołom, czyż to nie dziwne, mój luby? — Ehlana obdarzyła Sparhawk pełnym zrozumienia uśmiechem i zwróciła się do jasnowłosego pandionity. — Panie Kaltenie, twój przyjaciel z lat młodości to najwspanialszy rycerz świata. Każda kobieta byłaby zaszczycona mogąc go mieć za męża, jednakże nie komu innemu, ale mnie udało się go usidlić. A teraz proszę, usiądźcie i zdajcie mi relację z tego, co działo się w królestwie podczas mojej choroby. Wierzę, iż będziecie mówić krótko. Mój narzeczony i ja mamy mnóstwo planów do omówienia.

Vanion nie usiadł. Popatrzył wkrąg po obecnych i zaczął:

— Jeżeli pominąłbym coś istotnego, nie wahajcie się mnie poprawić. — Utkwił spojrzenie w stropie. — Od czego zacząć? — zastanawiał się.

— Na początku powiedz, co było powodem mojej choroby, mistrzu Vanionie — zaproponowała królowa.

— Zostałaś otruta, miłościwa pani.

— Co takiego?!

— Tak, otruta. Użyto bardzo rzadkiej trucizny z Rendoru — tej samej, która uśmierciła twego ojca.

— Któż to uczynił?

— W przypadku króla Aldreasa — jego siostra. W przypadku waszej wysokości — prymas Annias. Zapewne wiadomo waszej wysokości, iż zamierza on zasiąść na tronie arcyprałata w Chyrellos, prawda?

— Ależ wiem o tym, wiem. Robiłam wszystko, by pokrzyżować mu plany. Myślę, że jeśli on by wstąpił na tron, ja nawróciłabym się na eshandyzm, a może nawet zostałabym wyznawczynią styryckiej wiary. Czy twój bóg przyjąłby mnie, Sephrenio?

— Bogini, wasza wysokość — poprawiła Sephrenia. — Ja służę bogini.

— Cóż za nadzwyczajny kaprys! Czy musiałabym obciąć włosy i złożyć ofiarę z eleńskich dzieci?

— Nie pleć głupstw, Ehlano!

— Ja tylko się przekomarzam, Sephrenio — królowa roześmiała się głośno — ale czyż nie tak właśnie mówią prości Eleni o Styrikach? Mistrz Vanionie, w jaki sposób dowiedziałeś się, że zostałam otruta?

Vanion pokrótce opisał spotkanie Sparhawk z duchem króla Aldreasa i odzyskanie pierścienia, który — skutkiem omyłki — nadal zdobił palec Obrońcy Korony. Potem mistrz Zakonu Rycerzy Pandionu opowiedział o rządach Anniasa i ogłoszeniu kuzyna Ehlana księciem regentem.

— Lycheas?! — wykrzyknęła w tym momencie władczyni. — To absurd! On nawet nie potrafi się sam ubrać. — Ehlana ściągnęła pięknie zarysowane brwi. — Jeżeli zostałam otruta tą samą trucizną, która zabiła mego ojca, jak to się stało, że jeszcze żyję?

— Utrzymywaliśmy waszą królewską wysokość przy życiu dzięki czarom — wyjaśniła Sephrenia.

Następnie Vanion opowiedział o powrocie Sparhawk z Rendoru i ich rosnącym przekonaniu, że Annias otruił królową głównie po to, by zdobyć dostęp do skarbcza, co pozwoliłoby mu sfinansować kampanię wyborczą i osiągnąć tron arcyprałata.

W tym momencie Sparhawk przejął opowieść i zapoznał młodą damę z przebiegiem wyprawy rycerzy czterech zakonów do Chyrellos, Borraty i w końcu do Rendoru.

— Flecik? Kto to taki? — przerwała mu Ehlana.

— Styricka znajda, a przynajmniej tak myśleliśmy. Wyglądała na dziecko pięcioletnie, ale okazało się, że była o wiele, wiele starsza. — Rycerz ciągnął dalej, opisując wędrówkę przez Rendor do Dabouru i spotkanie z medykiem, od którego w końcu dowiedzieli się, że jedynie czary mogą uratować młodą władczynię. Potem opowiadał dalej, przechodząc do spotkania z Martelem.

— Nigdy go nie lubiłam — oznajmiła Ehlana z grymasem niesmaku na twarzy.

— On teraz czynnie wspiera Anniasa — powiedział Sparhawk. — Natknęliśmy się na Martela w Rendorze. Przywódcą duchowym Rendorczyków był wtedy pewien szalony starzec, Arasham. Martel usiłował nakłonić go do inwazji na zachodnie królestwa Eosii, aby tym samym spowodować zamieszanie, które dałoby wolną rękę Anniasowi podczas wyborów arcyprałata. Udaliśmy się z Sephrenią do namiotu Arashama, a tam był Martel.

— Zabiłeś go? — Królowej rozbiły oczy.

Sparhawk spojrział z niedowierzaniem. Od tej strony również nie miał okazji jej poznać.

— Czas nie był ku temu odpowiedni, miłościwa pani — tłumaczył. — Użyłem podstępny i nakłoniłem Arashama, by nie atakował, dopóki nie przekażę mu odpowiedniego hasła. Martel był wściekły, ale nie mógł nic na to poradzić. Ucieliśmy sobie potem miłą pogawędkę, w której wyznał mi, iż to on znalazł tę truciznę i dostarczył ją Anniasowi.

— Co na to mówi prawo, hrabio? — zapytała Ehlana hrabiego Lendę.

— To zależałyby od sędziego, wasza wysokość.

— Tym nie musimy się martwić, Lendo — powiedziała z zimną zaciętością — ponieważ to ja zdecyduję o winie i karze.

— Bardzo niepraworządne — mruknął po nosie hrabia Lenda.

— Owszem, podobnie jak i to, co uczynili mnie i memu ojcu. Słuchamy dalej, Sparhawk.

— Wróciliśmy do Cimmury i otrzymałem wezwanie do krypty królewskiej pod katedrą na spotkanie z duchem twego ojca. Od niego dowiedziałem się o kilku sprawach — po pierwsze o tym, że otruła go twoja ciotka, a ciebie Annias. Powiedział mi również, że Lycheas jest owocem intymnego związku pomiędzy Anniasem i Arissą.

— Dzięki Bogu! — zawołała Ehlana. — A tak się bałam, że był bękartem mojego ojca. Już sam fakt, że jest moim kuzynem, mierzi mnie wystarczająco, a cóż dopiero gdyby miał być moim bratem! Nie do pomyślenia!

— Twój ojciec powiedział mi również, że uratować cię może jedynie Bhelliom.

— A co to jest Bhelliom?

Sparhawk sięgnął pod kaftan, wyciągnął płócienny woreczek i po rozplątaniu węzłów wydobyl szafirową różę.

— To jest Bhelliom, wasza wysokość — powiedział. Ponownie bardziej poczuł, niż dostrzegł kątem oka mignięcie mrocznego cienia.

— Nadzwyczajny! — krzyknęła Ehlana i sięgnęła po klejnot.

— Nie! — powiedziała ostro Sephrenia. — Nie dotykaj go, Ehlando! On może cię zniszczyć!

Ehlana cofnęła się otwierając szeroko oczy.

— Ale przecież Sparhawk trzyma klejnot w dłoni — zaprotestowała.

— Bhelliom go zna. Ciebie co prawda również może znać, ale lepiej nie ryzykuj. Przywrócenie ci zdrowia kosztowało nas zbyt wiele czasu i wysiłku, aby to teraz zmarnować.

Sparhawk wsunął klejnot z powrotem do woreczka.

— Powinnaś wiedzieć coś jeszcze — ciągnęła czarodziejka. — Bhelliom jest najpotężniejszą i najdrogocenniejszą rzeczą na świecie i Azash desperacko jej pożąda. To ten klejnot był prawdziwą przyczyną inwazji Othy na Zachód pięćset lat temu. Wysłani przez Othę Zemosi próbowali odszukać szafirową różę. Za wszelką cenę nie można dopuścić do tego, aby Bhelliom dostał się w jego ręce.

— Czy nie powinniśmy go teraz zniszczyć? — zapytał Sparhawk ponuro. Z jakiejś przyczyny zadanie tego pytania kosztowało go sporo wysiłku.

— Zniszczyć?! — krzyknęła Ehlana. — Ależ on jest taki piękny!

— Jest także zły — rzekła Sephrenia i umilkła na chwilę. — Zły... to nie jest chyba najlepsze określenie. Klejnot nie widzi różnicy między dobrem i złem. Nie, Sparhawk, zatrzymajmy go jeszcze, dopóki się nie upewnimy, że Ehlana jest bezpieczna. Dokończ swą opowieść. Postaraj się jej nie przeciągać. Królowa jest nadal bardzo słaba.

Rycerz pokrótce opowiedział monarchini o poszukiwaniach na polu bitwy nad jeziorem Randra i o tym, jak w końcu udało im się odnaleźć hrabiego Ghaska. Królowa słuchała z dużym zajęciem, a gdy doszedł do wydarzeń znad jeziora Venne, zdawało się, iż niemal wstrzymywała oddech. Krótco naszkicował zajście z królem Wargunem i w końcu opisał straszną potyczkę w grocie Ghweriga oraz objawienie się bogini Aphrael.

— Tak oto mają się sprawy w chwili obecnej, wasza wysokość — podsumował. — Król Wargun walczy z Rendorczykami w Arcium, Annias czeka w Chyrellos na śmierć arcyprałata Cluvonusa, a ty, miłościwa pani, wróciłaś na należny ci tron.

— I właśnie się zaręczyłam — przypomniała. Z całą pewnością nie miała zamiaru pozwolić mu o tym zapomnieć. Zastanawiała się nad czymś chwilę, po czym zapytała z nie skrywaną ciekawością: — A co uczyniliście z Lycheasem?

— Jest znowu w lochach, tam gdzie jego miejsce, wasza wysokość.

— A Harparin i ten drugi?

— Grubas jest w lochu razem z Lycheasem. Harparin opuścił nas nagle.

— Pozwoliliście mu uciec?

Kalten zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie, wasza królewska mość. Harparin zaczął wrzeszczeć i próbował wyrzucić nas z sali posiedzeń rady. Vaniona zmęczyły te hałasy, więc Ulath skrócił barona o głowę.

— To bardzo odpowiednie posunięcie. Chcę zobaczyć Lycheasa.

— Czy nie powinnaś odpocząć, miłościwa pani? — zapytał Sparhawk.

— Nie, dopóki nie zamienię kilku słów z kuzynem.

— Przyrowadzę go — mruknął Ulath i wyszedł z komnaty.

— Hrabio Lenda — Ehlana przyjęła wyniosłą postawę — czy zechciałbyś przewodniczyć Radzie Królewskiej?

— Jak sobie wasza wysokość życzy. — Lenda skłonił się nisko.

— A czy ty, mistrzu Vanionie, również zgodzisz się mi służyć, oczywiście na tyle, na ile zezwolą ci twe inne obowiązki?

— Będę zaszczycony, miłościwa pani.

— Obrońca Korony i Rycerz Królowej, a wkrótce również Księżę Małżonek, dostojny pan Sparhawk będzie miał miejsce za stołem rady, tak jak i Sephrenia.

— Ja jestem Styriczką, Ehlano — powiedziała czarodziejka. — Czy to rozsądne, biorąc pod uwagę uczucia, jakie żywią prości ludzie do mej rasy, aby Styrik był członkiem twej rady?

— Zamierzam raz na zawsze skończyć z przesądami! — oznajmiła zdecydowanym tonem Ehlana. — Sparhawk, jakie jest twoje zdanie, kogo jeszcze powinienam zaprosić do Rady Królewskiej?

Rycerzowi nagle przyszedł do głowy pewien pomysł.

— Znam człowieka, który co prawda nie jest szlachetnie urodzony, ale za to przebiegły i doskonale zna Cimmurę od tej strony, której istnienia ty, miłościwa pani, pewnie nawet nie podejrzewasz.

— Kto to taki?

— Nazywa się Platim.

W tym momencie rozległ się głośny śmiech Talena.

— Czyś ty postradał rozum, dostojny panie?! Chcesz wpuścić Platima do pałacu, gdzie znajdują się skarbiec Elenii i klejnoty koronne?

Ehlana wyglądała na trochę zbitą z tropu.

— Czy ten człowiek jest może źle wychowany? — zapytała.

— Platim to największy złodziej w Cimmurze — tłumaczył Talen. — Wiem dobrze, ponieważ sam dla niego pracowałem. Sprawuje władzę nad każdym złodziejem i włamywaczem — a także nad oszustami, mordercami i wszetecznymi dziewczkami.

— Uważaj na swą buzię, młodzieńcze! — warknął Kurik.

— Te słowa nie są mi obce, Kuriku — odparła spokojnie Ehlana. — Pojmuję ich znaczenie. Sparhawk, jakie masz powody, aby mi składać podobną propozycję?

— Jak już powiedziałem, Platim jest przebiegły — pod pewnymi względami nawet mądry i, chociaż może to zabrzmieć dziwnie, jest patriotą. Ten człowiek tak zna Cimmurę i jej mieszkańców, że budzi mą zawiść. Wszędzie ma szpiegów. W Cimmurze, a może i na świecie nie dzieje się nic, o czym by nie wiedział.

— Porozmawiam z nim — obiecała Ehlana.

Zakończyli omawianie składu rady, gdyż Ulath i Perrain wciągnęli do komnaty Lycheasa, który na widok Ehlany wybałuszył ze zdumienia oczy i rozdziawił usta.

— Jak... — zaczął, ale zaraz urwał i zagryzł wargi.

— Nie spodziewałeś się zobaczyć mnie żywej, Lycheasie? — zapytała królowa śmiertelnie znudzonym głosem.

— Wydaje mi się, że dobry obyczaj nakazuje w obecności królowej przykłęknąć — warknął Ulath i kopnięciem zwałił dawnego księcia regenta z nóg. Lycheas począł się czołgać po posadzce.

Hrabia Lenda odchrząknął.

— Miłościwa pani — powiedział — podczas twojej choroby księżę Lycheas żądał, aby tytułować go „jego wysokość”. Muszę to jeszcze sprawdzić, ale wydaje mi się, że mamy tu do czynienia ze zdradą stanu.

— Pod tym zarzutem go aresztowałem — dodał Sparhawk.

— To mi wystarczy. — Ulath uniósł swój topór. — Powiedz jedno słowo, królowo Elenii, a nie minie chwila, jak jego głowa ozdobi słupek u pałacowej bramy.

Lycheas rzucił mu przerażone spojrzenie i jął płakać, błagając o darowanie życia, podczas gdy jego kuzynka udawała, że się głęboko zastanawia. Przynajmniej Sparhawk miał nadzieję, że udawała.

— Nie tutaj, panie Ulathu — odezwała się wreszcie z lekkim żalem. — Sam rozumiesz, kobierce... obicia...

— Król Wargun chciał go powiesić — przypomniał Kalten i popatrzył po komnacie. — Najjaśniejsza pani ma tu całkiem wysoki strop i solidne belki. Mogę w mig przynieść linę. Lycheas zaraz zadynda i bałaganu będzie dużo mniej niż przy ścięciu głowy.

Ehlana popatrzyła na Sparhawk.

— Co o tym myślisz, umiłowany? Czy mam kazać powiesić kuzyna?

Sparhawk był do głębi wstrząśnięty jej spokojnym tonem.

— Miłościwa pani, myślę, że on mógłby nam udzielić wielu przydatnych informacji.

— W istocie. — Królowa przeniosła wzrok na korzącego się u jej stóp Lycheasa. — Czy chciałbyś nam coś wyjawić, kuzynie? Ja w tym czasie będę się zastanawiać nad twym losem.

— Powiem wszystko, co tylko zechcesz, Ehlano — wychlipał nieszczęsny księżę.

Ulath klepnął go ciężką dłonią po głowie.

— Wasza wysokość — podpowiedział.

— Co?

— Powinieneś zwracać się do królowej „wasza wysokość” — powiedział Ulath i znowu go uderzył.

— Wa-wasza wy-wysokość — wyjąkał Lycheas.

— Jeszcze coś, miłościwa pani — ciągnął Sparhawk. — Jak pamiętasz, Lycheas jest synem Anniasa.

— Skąd o tym wiesz?! — zawołał Lycheas.

Ulath ponownie zdzielił go po głowie.

— Dostojny pan Sparhawk nie mówił do ciebie. Nie odzywaj się nie proszony.

— Jak już rzekłem — podjął Sparhawk — Lycheas jest synem prymasa i możemy to wykorzystać w Chyrellos, gdy będziemy starali się przeszkodzić Anniasowi zasiąść na tronie arcyprałata.

— Ach... — Ehlana westchnęła, wyraźnie zawiedziona. — Wyrażam zgodę, ale jak tylko osiągniecie cel, przekażcie księcia panu Ulathowi i panu Kaltenowi.

Jestem pewna, że w końcu dojdą do porozumienia, który z nich ma wyprawić mego kuzyna w ostatnią podróż.

— Będziemy ciągnąć drzazgi? — zapytał Kalten Ulatha.

— A może rzucimy kośćmi? — zaproponował Thalezyjczyk.

— Hrabio Lenda — ozwała się królowa — wespół z mistrzem Vanionem zabierzcie stąd i przepytajcie tego nędznika. Robi mi się niedobrze od jego widoku. Niech pójdą z wami panowie Kalten, Perrain i Ulath. Ich obecność może nakłonić mego kuzyna do lepszej współpracy.

— Mądra decyzja, wasza wysokość — pochwalił hrabia Lenda, skrywając uśmiech.

Gdy Lycheasa wyprowadzono z komnaty, Sephrenia spojrzała młodej władczyni prosto w oczy.

— Nie brałaś tego poważnie pod uwagę, prawda, Ehlano?

— Oczywiście, że nie. . . a w każdym razie niezbyt poważnie. Chciałam jedynie, by Lycheas spociał się ze strachu. To mu się należało. — Westchnęła lekko.

— Chyba powinnam teraz odpocząć — rzekła. — Sparhawk, bądź tak dobry i zanieś mnie do łóża.

— To nie byłoby stosowne — powiedział sztywno rycerz.

— Och, wciąż ta męcząca stosowność. Na dobrą sprawę mógłbyś już zacząć się przyzwyczajać do myślenia o mnie i łóżu jednocześnie.

— Ehlano!

Królowa roześmiała się i wyciągnęła do niego ręce.

Przypadek sprawił, że Sparhawk, unosząc Ehlaną w ramionach, kątem oka dostrzegł twarz Berita. Młody nowicjusz spoglądał na niego ze szczerą nienawiścią. Rycerz zrozumiał, że czekają go następne kłopoty. Zdecydował przy najbliższej okazji przeprowadzić z Beritem dłuższą rozmowę.

Zaniósł Ehlaną do sąsiedniej komnaty i położył na ogromnym łóżu.

— Bardzo się zmieniłaś, miłościwa pani — rzekł ponuro. — Nie jesteś tą samą osobą, którą opuściłem dziesięć lat temu. — Był już czas najwyższy, by zaczęli mówić bez ogródek o tym, co leżało im na sercach.

— Aha, zauważyłaś. — Królowa spoglądała na niego filuternie.

— O to właśnie chodzi. — Rycerz znowu przybrał mentorski ton. — Masz tylko osiemnaście lat, Ehlano. Nie przystoi ci przybieranie pozy dojrzałej białogłowy, światowej damy. Stanowczo zalecałbym, abyś w czasie publicznych wystąpień zachowywała się skromniej.

Królowa długo wierciła się w pościeli. Wreszcie ułożyła się na brzuchu, z głową w nogach łóża. Podparła brodę rękoma, zatrzepotała rzęsami i patrząc na Sparhawką niewinnie, machała nogą, kopiąc poduszkę.

— Jak ci się podobam? — zapytała.

— Przestań!

— Ja jedynie chcę przypodobać się swojemu narzeczonemu. Czy coś jeszcze chciałbyś we mnie zmienić?

— Wyrosłaś na trudne dziecko.

— A teraz kolej na ciebie, byś przestał! — powiedziała zdecydowanym tonem. — Nie nazywaj mnie już dzieckiem, Sparhawk. Przestałam nim być tego dnia, gdy Aldreas zesłał cię do Rendoru. Mogłam być dzieckiem, dopóki tu byłeś i sprawowałeś nade mną pieczę, ale nie mogłam sobie na to pozwolić po twym wyjeździe. — Usiadła na łożu ze skrzyżowanymi nogami. — Dwór ojca był dla mnie bardzo nieprzyjaznym miejscem, Sparhawk — mówiła ze smutkiem. — Ubierano mnie i wystawiano na pokaz w czasie dworskich uroczystości. Tam mogłam przyglądać się knowaniom Anniasa. Każdy, z kim się zaprzyjaźniłam, był natychmiast odprawiany — lub zabijany — tak więc zabawiałam się podsłuchiowaniem plotek opowiadanych przez pokojówki. Pokojówki potrafią być bardzo złośliwe. Pewnego razu sporządziłam wykres — pamiętasz, uczyłeś mnie postępować metodycznie. Nie uwierzyłybyś, co dzieje się za kuchennymi drzwiami. Z mojego wykresu wynikało, że jedna z tych złośliwych flirciarek niemal przerosła samą Arisę. Jeżeli wydaję ci się czasem zbyt „światowa” — takiego użyłeś określenia, prawda? — to możesz za to winić nauczycieli, którzy po twoim wyjeździe zajęli się moją edukacją. Po upływie kilku lat byłam zdana jedynie na służbę, jako że każde przyjazne spojrzenie ze strony dam czy panów na dworze kończyło się ich zesłaniem lub jeszcze gorzej. Służba oczekuje od ciebie rozkazów, a więc wydawałam rozkazy. Przystosowałam się. To wcale nie było trudne. Przed służbą pałacową nie ukryją się najbliższe tajemnice. Szybko się nauczyłam, co robić, by mówili mi o wszystkim. A ja mogłam wykorzystać te informacje do obrony przed wrogami, a tych miałam wielu. Każdy na dworze był mi nieprzyjacielem, z wyjątkiem Lendy. Tak wyglądało moje dzieciństwo, Sparhawk, ale przygotowało mnie do życia o niebo lepiej niż godziny spędzone na toczeniu patykiem kółka czy na zabawie piaskami lub szmacianymi lalkami. Może czasami sprawiam wrażenie bezlitosnej, ale pamiętaj, iż wyrosłam na terytorium wroga. Ugładzenie mnie może zająć ci kilka lat, lecz jestem pewna, że cokolwiek zdasz w tym kierunku, sprawisz mi wiele przyjemności. — Królowa uśmiechnęła się ujmująco, ale z jej szarych oczu nadal wyczierała bolesna uraza.

— Moja biedna Ehlana... — Tylko tyle zdołał rzec Sparhawk ze ściśniętym gardłem.

— Nie bardzo biedna, mój kochany. Mam teraz ciebie, a to czyni ze mnie najbogatszą kobietę świata.

— Jest jednak pewien problem, Ehlano — powiedział poważnie.

— Ja nie widzę żadnych problemów. Nie teraz.

— Myślę, że źle mnie zrozumiałaś. Omyłkowo dałem ci mój pierścień... — Natychmiast pożałował tych słów. Królowa otworzyła szeroko oczy, jakby uderzył ją w twarz. — Proszę, nie zrozum mnie źle — tłumaczył śpiesznie — chciałem

tylko powiedzieć, że jestem dla ciebie za stary i to wszystko.

— Nie obchodzi mnie, ile masz lat — oznajmiła wyzywająco. — Jesteś mój, Sparhawk, i nigdy nie pozwolę ci odejść. — Jej głos zabrzmiał tak ostro, że rycerz niemal się przeląkł.

— Byłem niejako zobowiązany ci o tym przypomnieć. — Cofał się ku drzwiom. Musiał jej jakoś ułatwić wyjście z niezręcznej sytuacji. — Miłościwa pani, czekają mnie obowiązki.

Ehlana pokazała mu na to język.

— Dobrze, złożyłeś już ukłon w stronę obowiązków i nie wspominajmy o nich więcej. Jak sądzisz, kiedy powinny odbyć się nasze zaślubiny — przed czy po tym, jak ty i Vanion udacie się do Chyrellos i zabijecie Anniasa? Ja osobiście wolałabym, aby odbyły się zaraz. Tyle się nasłuchiwałam, co robi na osobności mąż z żoną, że jestem naprawdę bardzo ciekawa.

Sparhawk oblał się rumieńcem.

Rozdział 5

— Śpi? — domyślił się mistrz Vanion, gdy Sparhawk wyszedł z komnaty królowej. Rycerz skinął głową. — Czy dowiedziałeś się czegoś od Lycheasa? — zapytał.

— W większości jedynie potwierdził nasze domysły — odparł mistrz. Choć nadal sprawiał wrażenie zmęczonego dźwiganie mieczy poległych rycerzy, wydawał się jednak bardziej krzepki. — Hrabio Lenda, czy apartamenty królowej są bezpieczne? Wolałbym, aby sprawy, o których powiedział nam Lycheas, nie wydostały się na zewnątrz.

— Te pokoje są zupełnie bezpieczne, szlachetny panie — zapewnił go Lenda — a obecność twych rycerzy na korytarzach z pewnością odstraszy każdego ciekawskiego.

Do komnaty weszli Kalten z Ulathem.

— Lycheas ma dziś bardzo zły dzień — rzekł Kalten ze złośliwym uśmiechem. — W drodze do celi wspominaliśmy z panem Ulathem, jakie widzieliśmy egzekucje. Szczególnie nie przypadło mu do gustu palenie na stosie.

— I prawie zemdłał, gdy wspomnieliśmy o możliwości zamęczenia go na śmierć. — Ulath krztusił się ze śmiechu. — Wracając zatrzymaliśmy się przed pałacową bramą. Naprawiają ją gwardziści wzięci przez nas do niewoli. — Potężny genidianita postawił w kącie swój topór. — Na ulicach kręci się wielu twoich pandionitów, mistrzu Vanionie. Wygląda na to, że znaczna część mieszkańców Cimmury woli nie pokazywać im się na oczy.

Vanion spojrział na niego zdziwiony.

— Nie wiem dlaczego, ale są jacyś dziwnie przestraszeni — wyjaśnił Kalten. — Annias dość długo sprawował władzę w mieście, a wśród szlachty i pospólstwa zawsze się znajdują tacy, którzy nie przegapią najmniejszej okazji, by zarobić. Wielu z nich chętnie świadczyło różne grzeczności na rzecz wielbnego prymasa. Niestety, ich sąsiedzi doskonale o tym wiedzieli i pewnie dlatego, jak mniemam, miało miejsce kilka... incydentów. Zawsze, gdy dochodzi do nagłej zmiany władzy, wielu ludzi czuje potrzebę zademonstrowania w widoczny sposób swej lojalności wobec nowego reżimu. Wyszło na jaw, że spontanicznie dokonano kilku

powieżeń, a spora liczba domów stanęła w płomieniach. Zaproponowaliśmy rycerzom, aby położyli kres podpaleniom. Rozumiecie, pożary szybko się rozprzestrzeniają.

— Ja po prostu uwielbiam politykę, a wy? — zapytał Tynian z szerokim uśmiechem.

— Trzeba ukrócić rządy motłochu — stwierdził hrabia Lenda. — Motloch jest wrogiem każdej władzy.

— Przy okazji — Kalten trącił Sparhawk w ramię — czy ty naprawdę oświadczyłeś się królowej?

— To nieporozumienie.

— Bytem tego pewien! Nigdy nie wyglądałeś mi na skorego do żeniaczki. Ale ona nie zamierza zrezygnować z ciebie, nieprawdaż?

— Staram się o to.

— Życzę szczęścia, lecz prawdę mówiąc, nie robiłbym ci zbyt wielkiej nadziei. Widziałem, jak jeszcze w dzieciństwie na ciebie patrzyła. Myślę, że czekają cię ciekawe czasy. — Kalten szczyrzył zęby w uśmiechu.

— Jak to dobrze mieć przyjaciół.

— Najwyższy czas, abyś się ustatkował, Sparhawk. Robisz się już za stary na to, by uganiać się po świecie i wymachiwać mieczem.

— Jesteśmy w jednym wieku, Kaltenie.

— Wiem, ale ja to co innego.

— Panie Kaltenie, czy ustaliłeś już z Ulathem, który z was zgładzi Lycheasa? — zapytał Tynian.

— Nadal nad tym dyskutujemy. — Kalten spojrzał podejrzliwie na barczystego Thalezyjczyka. — Pan Ulath próbował na mnie oszukanych kości.

— Jakich tam oszukanych... — zaprotestował słabo Ulath.

— Widziałem jedną z tych kostek, przyjacielu, i były na niej cztery szóstki.

— Trochę za dużo — zauważył Tynian.

— W samej rzeczy. — Kalten westchnął. — Jednakże, jeśli mam być z wami szczerzy, to naprawdę wątpię, czy Ehlana pozwoli nam zabić Lycheasa. Z niego taka żalonna łajza, że chyba królowa nie będzie miała serca skazać go na śmierć. No cóż — westchnął — zawsze pozostaje jeszcze Annias.

— I Martel — przypomniał mu Sparhawk.

— O tak, i Martel.

— W którą stronę się udał, kiedy Wargun wypędził go z Larium? — zapytał Sparhawk. — Lubię wiedzieć, gdzie znajduje się Martel. Nie chciałbym, żeby wpakował się w jakieś kłopoty.

— Gdy widzieliśmy go po raz ostatni, jechał na wschód — powiedział Tynian, poprawiając naramienniki zbroi. Deirańskie zbroje były najcięższe na świecie.

— Na wschód?

Tynian potwierdził skinieniem głowy.

— Myśleliśmy, że jedzie na południe do Umanthum, ale później dowiedzieliśmy się, że po spaleniu Coombe skierował swój oddział do Sarrinium — może dlatego, że okręty Warguna patrolowały Cieśninę Arcjańską. Najpewniej wrócił już do Rendoru.

Sparhawk odpiął swój pas z mieczem, położył go na stole i usiadł.

— Co powiedział ci Lycheas? — zwrócił się do Vaniona.

— Niejedno. Oczywiście nie wiedział o wszystkich poczynaniach Anniasa, ale o dziwo, udało mu się zebrać sporo informacji. Jest bystrzejszy, niż na to wygląda.

— To nietrudne — rzekł Kurik. — Talenie — zwrócił się do syna — odłóż to.

— Ja tylko oglądam, ojciec — zaprotestował chłopiec.

— Odłóż to, bo jeszcze ulegniesz pokusie.

— Lycheas wyznał nam, że jego matka i Annias od lat byli kochankami — ciągnął Vanion — i to prymas zaproponował Arissie, by spróbowała uwieść swego brata. Wynałazł podobno jakiś przepis kościelny, który zezwalałby na ich ślub.

— Kościół nigdy nie pozwoliłby na coś podobnego! — oznajmił stanowczo Bevier.

— W swej historii Kościół wiele razy robił rzeczy, które pozostawały w sprzeczności z obecną moralnością, panie Bevierze — zauważył Vanion. — Swego czasu w Cammorii panowało znaczne rozluźnienie obyczajów i w królewskiej rodzinie zwykle zawierano małżeństwa między bliskimi krewnymi. Kościół wyrażał na to zgodę w zamian za prawo do dalszej działalności na tamtym terenie. Mniejsza o to teraz. Annias przekonywał, że Aldreas był słabym królem i gdyby Arissa go poślubiła, zostałaby prawdziwą władczynią Elenii. A faktycznie, biorąc pod uwagę wpływ prymasa na księżniczkę, sam Annias podejmowałby wszystkie decyzje. Początkowo wydawało się, że to go zadowoli, ale potem jego ambicje urosły. Coraz chciwiej spoglądał na tron arcyprałata w Chyrellos. Zdaje się, że przyszło mu to do głowy około dwudziestu lat temu.

— Jak Lycheas się o tym wszystkim dowiedział? — zapytał Sparhawk.

— Odwiedzał swoją matkę w klasztorze w Demos. Arissa miała co wspominać i zdaje się, że była wobec syna całkiem szczerą.

— To odrażające! — jęknął Bevier zgorszony.

— Księżniczka Arissa ma swoiste poczucie moralności — wytłumaczył młodemu cyrinicie Kalten.

— Tak czy inaczej — podjął Vanion — w tym momencie wkroczył do akcji Obrońca Korony, ojciec Sparhawk. Znałem go dobrze, wyznawał raczej tradycyjne zasady moralne. Bardzo raziło go to, co Aldreas i Arissa wyczyniali popołu. A że Aldreas obawiał się Obrońcy Korony, więc gdy ten zaproponował mu małżeństwo z deirańską księżniczką, zgodził się skwapliwie. Ciąg dalszy dobrze znamy. Arissa wpadła w furję i uciekła do domu uciech... wybac, Sephrenio.

— Słyszałam już kiedyś o tym, Vanionie — odparła czarodziejka. — Styricy nie są znowu tak mało obeznani ze sprawami tego świata, jak mogłoby to się wam, Elenom, wydawać.

— Wracając do tematu, Arissa przebywała w tym domu uciech przez kilka tygodni i gdy w końcu ją pojmano, Aldreasowi nie pozostawało nic innego, jak tylko odesłać ją do klasztoru.

— Tu rodzi się pytanie — wtrącił Tynian. — Biorąc pod uwagę czas spędzony w tym domu uciech i mnogość jej klientów, jakim sposobem można mieć pewność, kto jest ojcem Lycheasa?

— Właśnie do tego zmierzałem — rzekł sędziwy mistrz Vanion. — Otóż podczas jednej z wizyt zapewniała ona Lycheasa, że była w ciąży z Anniasem, nim uciekła do owego domu uciech. Aldreas poślubił deirańską księżniczkę, ale ich małżeństwo nie trwało długo, gdyż królowa umarła przy narodzinach Ehlany. Lycheas miał wtedy około sześciu miesięcy. Annias robił, co mógł, aby Aldreas uznał jego syna i uczynił swym następcą. Tego było już za wiele nawet jak dla Aldreasa i król stanowczo odmówił. Mniej więcej wtedy zmarł ojciec Sparhawk. Sparhawk przejął dziedziczną funkcję Obrońcy Korony i zajął się wychowaniem królowej Ehlany. Anniasa niepokoiły jej postępy. Gdy miała osiem lat, prymas zdecydował, że musi odsunąć od niej piastuna. To wtedy nakłonił Aldreasa, aby zesłał Obrońcę Korony do Rendoru. Potem wysłał do Cipprii Martela, by zabił Sparhawk. Tym samym raz na zawsze chciał mu uniemożliwić powrót i dalsze sprawowanie opieki nad Ehlaną.

— Ale spóźnił się, nieprawdaż? — uśmiechnął się Sparhawk. — Ehlana już była wtedy zbyt silna, by ulegać jego wpływom.

— Jak udało ci się tego dokonać, Sparhawk? — zapytał Kalten. — Nigdy przecież nie byłeś nauczycielem z powołania?

— Pomogła mu miłość, Kaltlenie — powiedziała cicho Sephrenia. — Ehlana od wczesnego dzieciństwa kochała Sparhawk i starała się go zadowalać swym zachowaniem.

— A więc sam sobie zgotowałeś ten los, dostojny panie! — Tynian roześmiał się głośno.

— Co takiego zrobiłem?

— Wychowałeś kobietę ze stali i teraz ona zmusi cię do żeniaczki, a jest dostatecznie silna, by postawić na swoim.

— Panie Tynianie, za dużo mówisz — rzekł Sparhawk z przekąsem. Ogarnęła go nagła irytacja. Głównie dlatego, iż w duchu musiał przyznać Tynianowi rację.

— No tak, tyle że żadna z tych wiadomości nie jest naprawdę nowa czy zaskakująca — zauważył Kurik. — A z całą pewnością nie wystarcza, by darować Lycheasowi życie.

— Do tego dojdziemy trochę później — rzekł Vanion. — Lycheas tak się wystraszył, gdy królowa rozważała, czy go nie stracić, że beczał niczym dziec-

ko. Pozwólcie mi jednak skończyć opowieść. A więc Annias zmusił Aldreasa do zesłania Sparhawka, a potem król się zmienił. Zaczął nawet odbudowywać swój kościec moralny. Czasami trudno domyślić się, czemu ludzie postępują tak a nie inaczej.

— Niezupełnie, Vanionie — wtrąciła Sephrenia. — Aldreas ulegał wpływom Anniasa, ale w głębi duszy wiedział, że źle postępuje. Może czuł, że Obrońca Korony uratowałby jego duszę, ale gdy Sparhawka zabrakło, Aldreas pojął, że jest zdany tylko na siebie, i skoro chciał się ocalić, musiał tego dokonać sam.

— Masz zupełną słuszność, pani — zdumiał się Bevier. — Powinienem trochę postudiować etykę Styricum. Porównanie moralności Elenów i Styrików może być bardzo interesujące.

— Herezja — mruknął Ulath.

— Przepraszam... co?

— Nie powinniśmy w ogóle zastanawiać się na tym, czy inna etyka ma jakąkolwiek wartość, panie Bevierze — tłumaczył Thalezyjczyk. — Nakłada to na nas pewne ograniczenia, przyznaję, ale taki już jest czasami nasz Kościół.

Bevier poczerwieniał i wstał.

— Nie będę wysłuchiwał obelg pod adresem naszego Świętego Ojca, Kościoła — oznajmił.

— Ależ usiądź, panie Bevierze — łagodził spór Tynian. — Ulath tylko cię sprawdza. Nasz brat genidianita jest o wiele biegleszy w teologii, niż nam się zdaje.

— To sprawa klimatu — wyjaśnił Ulath. — Nie ma co robić w Thalesii zimą, chyba że ktoś lubi patrzeć na śnieg. Pozostaje mnóstwo czasu na medytację i naukę.

— Aldreas ją odrzucać co bardziej wygórowane żądania finansowe Anniasa — ciągnął Vanion — i prymas znalazł się w rozpaczliwej sytuacji. To wtedy właśnie postanowili z Arissą zamordować króla. Martel dostarczył truciznę i Annias pomógł Arissie wymknąć się z klasztoru. Co prawda, mógł pewnie sam otruć Aldreasa, ale Arissa błagała, by pozwolił to jej uczynić, ponieważ chciała swego brata zabić własną ręką.

— Czy jesteś zupełnie pewien, że chcesz się wżenić w tę rodzinę, dostojny panie Sparhawku? — zapytał Ulath.

— A mam jakiś wybór?

— Możesz uciec. Znalazłbyś sobie zajęcie w cesarstwie Tamul na kontynencie Daresii.

— Cicho, Ulathu — skarciła go Sephrenia.

— Słucham, pani. — Thalezyjczyk potulnie zaniechał udzielania rad Sparhawkowi.

— Mów dalej, Vanionie — poleciła czarodziejka.

— Słucham, pani. — Mistrz jak echo powtórzył słowa i ton głosu Ulatha. — Po śmierci Aldreasa na tron wstąpiła Ehlana. Okazała się godną miana uczennicy Sparhawk. Całkowicie odsunęła Anniasa od skarbcza Elenii i była o krok od odesłania go do klasztoru. Wtedy prymas ją otruił.

— Wybacz, mistrzu Vanionie, że przerwę — wtrącił Tynian. — Hrabio Lenda, próba królobójstwa jest w Elenii karana śmiercią, czyż nie?

— Tak jak w całym cywilizowanym świecie, panie Tynianie.

— Tak też myślałem. Panie Kaltenie, może zamówiłbyś od razu cały zwój liny? A ty, Ulathu, lepiej poślij do Thalesii po kilka ostrych toporów.

— Czemu? — zapytał Kalten.

— Mamy już dowody na to, że Lycheas, Annias i Arissa winni są zdrady stanu — a wraz z nimi ich sprzymierzeńcy.

— Wiedzieliśmy o tym od dawna — zachnął się Kalten.

— Tak — Tynian uśmiechnął się szeroko — ale teraz możemy to udowodnić. Mamy świadków.

— Ufałem, że sam zajmę się rozdziałem odpowiednich nagród — zaprotestował Sparhawk.

— Zawsze należy legalnie podchodzić do tego typu spraw, dostojny panie — powiedział Lenda. — Sam rozumiesz, że w ten sposób uniknie się potem zbędnych sporów.

— Prawdę mówiąc, hrabio, nie planowałem zostawiać przy życiu nikogo, kto chciałby ze mną wszczynać spory.

— Tego pandionitę weź na krótszy łańcuch, mistrzu Vanionie — poradził Lenda z chytrym uśmieszkiem. — Zdaje się, że rosną mu ostre kły.

— Zauważyłem to — przyznał Vanion, po czym podjął przerwany wątek. — Annias czuł się nieco zbity z tropu faktem, że zakłęcie Sephrenii uchroniło Ehlane od śmierci podobnej do tej, jaką zmarł jej ojciec, ale posunął się dalej i osadził Lycheasa na tronie jako księcia regenta, motywując to tym, że królowa uwięziona w kryształach i tak jest jak martwa. Przejął osobistą pieczę nad skarbcem Elenii i jał na prawo i lewo kupować głosy patriarchów. Jego kampania zdobycia tronu arcyprafata nabrała rozpędu i stała się niemal jawna. W tym momencie hrabia Lenda przerwał Lycheasowi oznajmiając, że nie powiedział do tej pory niczego na tyle zajmującego, aby uratować swą szyję przed toporem Ulatha.

— Albo od mojej pętli — wpadł mistrzowi w słowo Kalten.

Vanion dobrotliwie pokiwał siwą głową.

— Uwaga Lendy wywołała pożądany skutek — mówił dalej. — Księżę regent okazał się prawdziwą kopalnią informacji. Powiedział, że nie potrafi tego wprowadzić dowieść, ale ma pewne podejrzenia, iż Annias pozostawał w kontakcie z Othą, u którego szukał pomocy. Prymas zawsze sprawiał wrażenie człowieka żywiącego głęboką niechęć do Styrików, ale to mogła być jedynie poza maskująca jego prawdziwe uczucia.

— Może i nie — sprzeciwiła się Sephrenia. — Istnieje ogromna różnica między zachodnimi Styrikami i Zemochami. Otha w zamian za wsparcie mógł zażądać unicestwienia Styricum na Zachodzie.

— To wielce prawdopodobne — przyznał Vanion.

— Czy Lycheas może jakoś uzasadnić swoje podejrzenia? — zapytał Tynian.

— Nie bardzo — mruknął Ulath. — Wie, że doszło do kilku spotkań i to wszystko. Za mało, by móc wypowiedzieć wojnę.

— Wojnę?! — wykrzyknął Bevier.

— Naturalnie. Jeżeli Otha angażował się osobiście w wewnętrzne sprawy królestw Eosii, jest to wystarczającym powodem, by ruszyć na wschód i wypowiedzieć mu wojnę.

— Zawsze podobało mi się to wyrażenie — powiedział Kalten. — „Wypowiedzieć wojnę”. To brzmi tak paskudnie ostatecznie.

— Niepotrzebne nam żadne uzasadnienie, jeżeli naprawdę chcesz ruszyć i zniszczyć Zemoch, Ulathu — zauważył Tynian.

— Niepotrzebne?

— Nikt nie podpisał traktatu pokojowego po najeździe Zemochu pięćset lat temu. Z tego punktu widzenia nadal jesteśmy w stanie wojny z Othą, prawda, hrabio Lenda?

— Prawdopodobnie, ale trudno byłoby uzasadnić podjęcie na nowo działań wojennych po rozejmie trwającym pięćset lat.

— My tylko odpoczywaliśmy, hrabio. — Tynian wzruszył ramionami. — Nie wiem jak pozostali tu obecni, ale ja czuję się już zupełnie wypoczęty.

— Och nie! — westchnęła Sephrenia.

Vanion powrócił do swej opowieści.

— Najważniejszą rzeczą jest fakt, że przy kilku okazjach Lycheas widział w pobliżu Anniasa pewnego Styrika. Raz nawet udało mu się usłyszeć część ich rozmowy. Styrik mówił z zemoskim akcentem, tak przynajmniej uważa Lycheas.

— Można chyba na nim polegać — ocenił Kurik. — Wygląda na takiego, co to lubi przemykać chyłkiem i podsłuchiwać.

— Zgadzam się z twą opinią — powiedział Vanion. — Naszemu wspinałemu księciu regentowi nie udało się podsłuchać całej rozmowy, ale przekazał nam, że Styrik groził Anniasowi. Podobno mówił, że jeżeli cesarz Otha nie dostanie pewnego klejnotu, bóg Zemochów cofnie swą pomoc. Chyba wszyscy bez trudności domyśliliśmy się, o jakim klejnocie była mowa.

Oblicze Kaltena przybrało posępny wyraz.

— Zdaje się, Sparhawku, że Lycheas nie dostarczy nam zbyt wiele uciechy — biadolił.

— Omsknął się nam.

— Jak przypuszczam, opowiesz o tym królowej, a ona na pewno zdecyduje, że te informacje są wystarczająco ważne, aby pozostawić głowę Lycheasa na karku

czy też jego nogi na ziemi.

— Jestem zobowiązany o wszystkim ją informować, Kaltenie.

— A może dałbyś się nakłonić do niewielkiej zwłoki?

— Zwłoki? Jak długiej?

— Jedynie do czasu pogrzebu bękarta.

Sparhawk uśmiechnął się szeroko do przyjaciela.

— Obawiam się, że muszę odmówić, Kaltenie. Naprawdę chciałbym ci pójść na rękę, ale muszę też myśleć o własnej skórze. Królowa mogłaby mieć mi za złe, gdybym zaczął coś przed nią ukrywać.

— To w zasadzie wszystko, co wie Lycheas — odezwał się Vanion. — A zatem musimy podjąć decyzję. Cluvonus jest już prawie martwy, a gdy tylko umrze, powinniśmy dołączyć do pozostałych zakonów stojących w Demos i ruszyć do Chyrellos. Tym samym królowa pozostanie tu zupełnie bezbronna. Nie wiemy, kiedy Dolmant przyśle nam rozkaz wymarszu i nie wiemy, ile czasu zajmie armii Elenii powrót z Arcium. Co wobec tego zrobimy z królową?

— Zabierzmy ją z nami — mruknął Ulath.

— Oho, nie obyłyby się bez dyskusji — rzekł Sparhawk. — Ehlana dopiero co wróciła na tron, a bardzo poważnie traktuje swoje obowiązki. Z całą pewnością odmówi wyjazdu ze stolicy.

— Może ją upić — zastanawiał się Kalten.

— Co zrobić?!

— Nie chcesz chyba po prostu zdzielić jej po głowie, co? Upijmy ją, zawińmy w koc i przerzucmy przez siodło.

— Czyś ty postradał rozum?! To jest królowa, Kaltenie, a nie jedna z twoich rozczochranych dziewczek.

— Potem będziesz mógł prosić o wybaczenie. Byle tylko zabrać ją w bezpieczne miejsce.

— To wszystko na razie nie jest konieczne — powiedział Vanion. — Cluvonus może jeszcze trochę pożyć. Od miesięcy śmierć puka do jego drzwi, a on ciągle dycha. Może nawet przeżyje Anniasa?

— To nie powinno być zbyt trudne — mruknął Ulath ponuro. — Annias nie ma ciekawych widoków na przyszłość.

— Szlachetni panowie — wtrącił hrabia Lenda — jeżeli pozwolicie mi na chwilę okiełznać waszą żądzę krwi, chciałbym zwrócić uwagę, że w tej chwili najpilniejszą sprawą jest wysłanie kogoś do króla Warguna do Arcium i przekonanie go, by zwolnił spod rozkazów armię Elenii oraz pandionitów do obsadzenia wszystkich stanowisk dowodzenia. Ułożę list, w którym wyraźnie zaznaczę, iż potrzebna nam tu obecność eleńskiej armii jak najszybciej.

— Lepiej od razu poproś go również o zwolnienie zakonów rycerskich, hrabio — poradził Vanion. — Myślę, że będziemy ich potrzebować w Chyrellos.

— Może również wysłać list do króla Oblera? — dodał Kalten. — I do patriarchy Bergstena? Wspólnymi siłami przekonają Warguna. Król Thalesii jest sławny z opilstwa i zamięłowania do wojaczki, ale nie opuszcza go zmysł polityczny. Natychmiast zrozumie konieczność zabezpieczenia Cimmury i przejęcia kontroli nad Chyrellos, niech no tylko ktoś mu to wyjaśni.

Lenda skinieniem głowy przyznał słuszność temu rozumowaniu.

— To wszystko nadal nie rozwiąże naszych problemów — powiedział Bevier. — Nasz posłaniec do Warguna może być nie dalej niż dzień jazdy stąd, gdy my otrzymamy wieść o śmierci arcyprałata. Wtedy znowu znajdziemy się w punkcie wyjścia. Sparhawk będzie musiał nakłonić oporną królową, aby bez wyraźnego zagrożenia zdecydowała się opuścić swoją stolicę.

— Szepnij jej kilka czułych słówek — mruknął Ulath.

— Co masz na myśli? — zapytał Sparhawk.

— To zwykle skutkuje — tłumaczył Ulath — a przynajmniej skutkowało w Thalesii. Jak raz naopowiadałem różności jednej dziewczynie z Emsatu, to całymi dniami nie odstępowała mnie na krok.

— Jesteś okropny! — rozgniewała się Sephrenia.

— Och, bo ja wiem. . . Ona wydawała się zadowolona.

— Czy po głowie także ją poklepywałeś i drapałeś pod brodą, jakby była twoim koniem?

— Nigdy nie przyszło mi to na myśl. Sądzisz, pani, tak należy postępować, by uradować dziewczkę?

Czarodziejka poczęła mamrotać pod nosem jakieś przykre słowa po styricku.

— W swych rozważaniach posunęliśmy się trochę za daleko — powiedział Vanion. — Nie możemy zmusić królowej do opuszczenia Cimmury, a jednocześnie nie możemy mieć absolutnej pewności co do tego, że przed naszym wymarszem dotrą tu wystarczająco duże siły, by obronić mury miasta.

— Myślę, że te siły już tu są, mistrzu Vanionie — włączył się do dyskusji Talen. Chłopiec był ubrany w elegancki kaftan, który otrzymał w Emsacie od Stragena. Wyglądał zupełnie jak młody szlachcic.

— Nie przerywaj, Talenie — skarcił go Kurik. — To poważna sprawa. Nie mamy czasu na żarty.

— Pozwól mu mówić, Kuriku — rzekł hrabia Lenda. — Dobre pomysły przychodzą czasami z najmniej oczekiwanej strony. O jakiej to sile mówiłeś, młodzieńcze?

— O pospółstwie — odparł Talen po prostu.

— Bzdura! — skrzywił się Kurik. — Gmin nie jest wyszkolony.

— A ile lat trzeba się uczyć, by łać wrzającą smołę na głowy oblegających? — Talen wzruszył ramionami.

— To bardzo ciekawa uwaga, młodzieńcze. — Hrabia Lenda pokiwał głową. — Istotnie, po koronacji dało się zauważyć ze strony ludu objawy spontanicznego

poparcia dla królowej Ehlany. Mieszkańcy Cimmury oraz okolicznych miasteczek i wiosek mogą bardzo chętnie pośpieszyć z pomocą. Tyle że nie ma kto nimi dowodzić. Na niewiele zda się tłum bez żadnego przywództwa.

— Znaleźliby się przywódcy, hrabio.

— Kto? — zapytał Vanion.

— Chociażby Platim, a Stragen też pewnie by się nadał, jeżeli jeszcze tu jest.

— Ten Platim to przecież kawał łotra, czyż nie? — wtrącił pełen zwątpienia Bevier.

— Panie Bevierze — rzekł hrabia Lenda — wiele już lat jestem w Radzie Królewskiej i mogę cię zapewnić, że nie tylko stolica, ale i cała Elenia przez okrągłe dziesięciolecie były w rękach łotrów.

— Ale... — chciał protestować cyrinita.

— Czy to fakt, iż Platim i Stragen nie kryją swego łotrostwa, tak cię złości, panie Bevierze? — przerwał mu Talen.

— Co ty o tym myślisz, dostojny panie Sparhawk? — zapytał hrabia Lenda.

— Sądzisz, że wspomniany Platim zdołałby pokierować czymś w rodzaju operacji militarnej?

Sparhawk zastanawiał się chwilę.

— Prawdopodobnie tak — zdecydował — szczególnie gdyby miał do pomocy Stragena.

— Stragena?

— On zajmuje podobną do Platima pozycję wśród złodziei w Emsacie. Stragen to dziwak, ale jest bardzo inteligentny i zdobył gruntowne wykształcenie.

— Mogą również powołać się na stare długi — dodał Talen. — Platim jest w stanie ściągnąć ludzi z innych miast — z Vardenais, Demos, Lendy i Cardos, nie wspominając już o zbójcach, których zebrałby spośród grasujących w okolicy band.

— Nie musieliby przecież utrzymywać miasta przez długi czas — rozmyślał głośno Tynian — jedynie do momentu dotarcia tu eleńskiej armii, a ich zadanie w większości polegałoby na zastraszeniu. Niepodobna, by prymas Annias przysłał z Chyrellos więcej niż tysiąc gwardzistów. Jeżeli na mury miasta tłumnie wylegną obrońcy, gwardzistom odejdzie ochota na atak. Dostojny panie Sparhawk, ten chłopiec wpadł na zdumiewająco dobry pomysł.

— Twa ufność mnie rozbraja, szlachetny panie Tynianie. — Talen skłonił się nonszalancko.

— W Cimmurze są również weterani — dodał Kurik — dawni żołnierze, którzy podczas obrony pokierują mieszczaństwem i wieśniakami.

— Rozpatrujemy tu możliwości wręcz nieprawdopodobne — zastanawiał się na głos hrabia Lenda. — Sens istnienia rządu sprowadzał się zawsze do tego, aby trzymać w ryzach spójność i nie dopuszczać go do polityki. Sensem życia

prostego ludu była praca i płacenie podatków. Możemy zrobić coś, czego potem przez całe życie będziemy żałować.

— A czy mamy jakieś inne wyjście, hrabio? — spytał Vanion.

— Nie, mistrzu Vanionie, myślę, że nie mamy.

— A więc zaczynajmy. Hrabio, zdaje się, że czeka cię korespondencja, a ty, Talenie, idź po Platima.

— Czy mogę zabrać ze sobą Berita, mistrzu Vanionie? — zapytał chłopiec, spoglądając na nowicjusza.

— Myślę, że tak, ale po co?

— Jestem oficjalnym wysłannikiem jednego rządu do drugiego. Powinienem mieć jakąś eskortę dla podkreślenia mojej ważności. Takie rzeczy robią na Plati-
mie wrażenie.

— Jeden rząd do drugiego? — zapytał Kalten. — Czy ty naprawdę myślisz o Platimie jak o szefie państwa?

— No cóż, a nie jest nim?

Gdy wszyscy ruszyli do wyjścia, Sparhawk dotknął ramienia Sephrenii.

— Muszę z tobą pomówić — rzekł cicho.

— Zostanę więc jeszcze chwilę.

Rycerz podszedł do drzwi i zamknął je starannie.

— Pewnie powinienem był powiedzieć ci wcześniej, mateczko, ale początko-
wo to wszystko wydawało się nieszkodliwe...

— Sparhawk, mów dalej. Ja zdecyduję, czy to coś groźnego, czy też nie.

— No dobrze. Myślę, że jestem śledzony.

Czarodziejka zmrużyła oczy.

— Tuż po tym, jak odebraliśmy Ghwerigowi Bhelliom, miałem koszmar-
ny sen — ciągnął rycerz. — Był w nim Azash i Bhelliom także. Było tam jednak
jeszcze coś — coś, czego nie potrafię nazwać.

— Czy mógłbyś to opisać?

— Nawet tego nie widziałem. Zdawało się czymś w rodzaju cienia... coś
takiego ciemnego, dostrzegalnego jedynie kątem oka — tak jakby z boku, trochę
za mną, coś ciemnego szybko mignęło. Miałem wrażenie, że to coś nie bardzo
mnie lubi.

— Czy to pojawia się tylko w twych snach?

— Nie. Widuję to również czasami, kiedy nie śpię. Pojawia się zawsze, gdy
biorę do ręki Bhelliom. Kiedy indziej też to się zdarza, ale z całą pewnością widzę
to za każdym razem, gdy otworzę woreczek.

— Uczyń to teraz, mój drogi — poleciła Sephrenia. — Sprawdźmy, czy ja
również to dostrzeżę.

Sparhawk sięgnął pod kaftan, wyciągnął woreczek, wyjął z niego szafirową
różę i położył na wyciągniętej dłoni. Natychmiast mignął ów mroczny cień.

— Widzisz, mateczko? — zapytał.

Sephrenia rozejrzała się ostrożnie po komnacie.

— Nie — przyznała. — Czy czujesz, co emanuje ten cień?

— Wiem tylko, że nie przepada za mną. — Rycerz schował klejnot do mieszka. — Co to jest, mateczko?

— To może mieć związek z samym Bhelliomem. . . ale jeżeli mam być z tobą zupełnie szczerą, muszę przyznać, że tak naprawdę nie wiem zbyt dużo o Bhelliomie. Aphrael nie lubiła o nim rozmawiać. Myślę, że bogowie się go boją. Wiem jedynie trochę o tym, jak się nim posługiwać i to wszystko.

— Nie jestem pewien, czy to ma jakiś związek z szafirową różą — zastanawiał się Sparhawk — ale z całą pewnością ktoś zamierza mnie unieszkodliwić. Na gościńcu do Emsatu czatowano na mnie, potem Stragen uznał za podejrzany statek, który płynął za nami, i wreszcie pewni bandyci szukali nas na trakcie do Cardos.

— Wspomnijmy jeszcze o tym, że ktoś próbował ozdobić twe plecy strzałą, gdy jechaliśmy do pałacu — dodała czarodziejka.

— Może to sprawka kolejnego szukacza?

— Tak, to możliwe. Człowiek w rękę szukacza staje się bezmyślną zabawką. Jednak te próby nastawiania na twe życie wydają się trochę za rozumne.

— Czy mogły tego dokonać jakieś stwory Azasha?

— A któż wie, jakie stwory potrafi przywoływać Azash? Ja znam ich kilkanaście różnych rodzajów, ale jest pewnie mnóstwo innych.

— Mateczko, czy pogniewasz się, jeżeli spróbuję posłużyć się logiką?

— Nie — uśmiechnęła się Sephrenia — skoro uważasz, że musisz. . .

— A zatem powtórzmy sobie. Po pierwsze, wiemy, że Azash od dawna pragnie mojej śmierci.

— Zgadza się.

— A w tej chwili jest to pewnie dla niego jeszcze ważniejsza sprawa, ponieważ mam Bhelliom i wiem, jak się nim posłużyć.

— Mówisz rzeczy zupełnie oczywiste, Sparhawk.

— Owszem, ale tak to już jest czasami z logiką. Wszystkie próby pozbawienia mnie życia zdarzały się zwykle krótko po tym, jak wyjmowałem Bhelliom i dostrzegałem kątem oka mignięcie tego cienia.

— Myślisz więc, że istnieje jakiś związek?

— A czy to niemożliwe?

— Niemal wszystko jest możliwe, Sparhawk.

— A zatem, jeżeli cień jest czymś w rodzaju damorka czy szukacza, prawdopodobnie pochodzi od Azasha. To „prawdopodobnie” sprawia, że moje logiczne wnioski stają się nieco mniej precyzyjne, ale i tak warto je rozważyć, nieprawdaż?

— Biorąc pod uwagę okoliczności, muszę w zasadzie przyznać ci rację.

— Skoro tak, czy pozostaniemy beczynni? Co prawda, są to jedynie przypuszczenia nie uwzględniające możliwości, iż mamy tu do czynienia z czystym

przypadkiem, ale czy nie powinniśmy podjąć jakichś kroków na wypadek, gdyby jednak istniał jakiś związek?

— Nie sądzę, abyśmy mogli sobie pozwolić ich nie podejmować, Sparhawku. Najważniejsze to trzymać Bhelliom w woreczku. Nie wyjmuj go bez wyraźnej potrzeby.

— Twa rada brzmi rozsądnie, mateczko.

— A jeżeli już będziesz musiał to uczynić, strzeż się ataków na swe życie.

— W zasadzie cały czas instynktownie tak czynię. Żywot rycerza jest pełen niebezpieczeństw.

— Uważam, że będzie lepiej, jak pozostanie to między nami. Jeśli ten cień pochodzi od Azasha, może zwrócić naszych przyjaciół przeciwko nam. W każdej chwili któryś z nich może stać się twoim wrogiem. Nie zdradźmy im naszych podejrzeń, bo cień — czy czymkolwiek to jest — prawdopodobnie zna ich myśli. Nie ostrzegajmy Azasha, iż odgadliśmy jego zamiary.

Sparhawk w końcu zmusił się, aby powiedzieć głośno to, o czym myślał od pewnego czasu.

— Czy zniszczenie Bhelliomu nie rozwiązałoby naszych kłopotów?

Czarodziejka pokręciła głową.

— Nie, mój drogi. Będziemy go jeszcze potrzebować.

— Jednakże to prosty sposób na odzyskanie spokoju.

— Niezupełnie, Sparhawku. — Sephrenia uśmiechnęła się słabo. — Nie mamy całkowitej pewności, jakiego rodzaju moce zostaną wyzwolone przy zniszczeniu Bhelliomu. Możemy utracić coś bardzo ważnego.

— Na przykład?

— Sądząc z tego, co wiem — Cimmurę, a może nawet cały kontynent Eosii.

Rozdział 6

Zmierzchało. Sparhawk cicho otworzył drzwi do sypialni królowej i zajrzał do środka. Twarz Ehlany okalała burza jasnych włosów, spływających falami na poduszkę; odbijał się w nich złotawy blask świecy stojącej na stoliku przy łożu. Królowa miała zamknięte oczy. Lata wczesnej młodości spędzone na pełnym intryg dworze, którego naczelną postacią był prymas Annias, pozostawiły na jej twarzy wyraźne ślady — rodzaj chłodnej rezerwy i niezłomnej stanowczości. Podczas snu jednak twarz królowej ponownie przybrała ten sam słodki wyraz, który tak chwycił Sparhawk za serce, gdy władczyni była dzieckiem. Przyznał w duchu, już teraz bez żadnych zastrzeżeń, że kocha tę bladolicą dziewczynę, chociaż ciągle jeszcze nie potrafił pojąć, jaka jest naprawdę. Ehlana była już kobietą, nie dzieckiem. Z pewnym bólem musiał przyznać, że nie był dla niej odpowiednim kandydatem na męża. Co prawda, czuł pokusę, by wykorzystać jej dziecięce zadurzenie, lecz wiedział, że taki postępek nie tylko byłby w ocenie moralnej niewłaściwy, ale w późniejszym czasie mógłby również przysporzyć Ehlanie cierpień. Postanowił, że pod żadnym pozorem nie będzie ukochanej kobiecie się narzucał ze swymi starymi słabościami.

— Wiem, że tu jesteś, Sparhawk. — Królowa nie otworzyła oczu. Na jej ustach zaigrał delikatny uśmiech. — Jako dziecko zawsze to bardzo lubiłam. Czasami, szczególnie wtedy, gdy zaczynałeś robić mi wykłady z teologii, przysypiałam lub udawałam, że to robiłam. Ty jeszcze przez chwilę mówiłeś, a potem po prostu siedziałeś, patrząc na mnie. Zawsze wtedy czułam się spokojna i zupełnie bezpieczna. Te chwile należały chyba do najszcześniejszych w moim życiu. A teraz... pomyśl tylko, po ślubie każdej nocy będę zasypiać w twych ramionach i będę wiedzieć, że nikt na świecie nie może mnie skrzywdzić, ponieważ ty strzeżesz mojego snu. — Podniosła powieki. — Chodź tu i pocałuj mnie, Sparhawk — powiedziała, wyciągając ramiona.

— To nie byłoby właściwe, Ehlano. Leżysz w łożu niemal rozebrana...

— Jesteśmy zaręczeni, Sparhawk. To daje nam w tej materii pewną swobodę. A poza tym, jestem królową. Ja będę decydować, co jest właściwe, a co nie.

Sparhawk zrezygnował z oporu i pocałował królową. Jak już poprzednio za-

uważył, Ehlana z całą pewnością przestała być dzieckiem.

— Jestem dla ciebie za stary, Ehlano — przypomniał jej raz jeszcze. Chciał, aby oboje zdawali sobie z tego sprawę. — Wiesz, że mam słuszość, prawda?

— Bzdury. — Nie zdejmowała nadal rąk z jego szyi. — Zabraniam ci się starzeć. Czy to załatwia sprawę?

— Zachowujesz się niedorzecznie. Równie dobrze mogłabyś rozkazać przy-
pływowi morza, aby zamarł.

— Tego jeszcze nie próbowałam, a dopóki nie spróbuję, nie będziemy wie-
dzieć, czy rzeczywiście by mi się nie udało, prawda?

— Poddaję się! — Sparhawk wybuchnął śmiechem.

— To dobrze. Uwielbiam zwyciężać. Czy miałeś mi coś ważnego do powie-
dzenia, czy po prostu zajrzałeś, aby sobie na mnie popatrzeć?

— A miałabyś coś przeciwko temu?

— Byś sobie na mnie patrzył? Oczywiście, że nie. Patrz sobie do woli, uko-
chany. A może chciałbyś zobaczyć więcej?

— Ehlano!

Jej śmiech przypominał srebrzystą kaskadę.

— Przejdźmy do poważniejszych spraw — rzekł Sparhawk surowo.

— Ja byłam poważna, mój luby, bardzo poważna!

— Obawiam się, że rycerze Zakonu Pandionu, włączając w to mnie, będą mu-
sieli niedługo opuścić Cimmurę. Przenajświętszy Cluvonus słabnie coraz szyb-
ciej, a zaraz po jego śmierci Annias będzie próbował zdobyć tron arcyprąta. Ulice Chyrellos pełne są wiernych prymasowi oddziałów. Muszą tam stanąć za-
kony rycerskie, bo inaczej żadna siła nie przeszkodzi prymasowi w osiągnięciu
celu.

Na twarz królowej powrócił wyraz niezłomnej stanowczości.

— Rozkaż temu wielkiemu Thalezyjczykowi, Ulathowi, niech ruszy do Chy-
rellos i odrąbie Anniasowi głowę. A potem zaraz tu wracaj. Nie pozwól, abym
poczuła się samotna.

— Interesująca propozycja, Ehlano. Cieszę się jednak, że nie zrobiłaś jej
w obecności Ulatha. Byłby już w stajni i siodłał konia. Próbowałem jedynie zwró-
cić twoją uwagę na fakt, że po naszym wyjeździe pozostaniesz tu zupełnie bez-
bronna. Czy zgodzisz się pojechać z nami?

Królowa zastanawiała się chwilę.

— Bardzo bym chciała, Sparhawk, ale doprawdy nie mogę tego uczynić.
Przez dłuższy czas nie miałam na nic wpływu i muszę zostać w Cimmurze, by na-
prawić szkody wyrządzone przez Anniasa podczas mej choroby. Mam obowiązki,
najdroższy.

— Byliśmy niemal pewni, że tak właśnie zdecydujesz, przeto musimy obmy-
ślić inny plan zapewniający ci bezpieczeństwo.

— Masz zamiar za pomocą czarów zamknąć mnie w pałacu? — spytała władczyni z diabełkowanym błyskiem w oczach.

— Tego nie braliśmy pod uwagę — przyznał rycerz — ale tu czary nie zdałyby się na nic. Annias po usłyszeniu, co zrobiliśmy, z pewnością przyśle tu żołnierzy, aby ponownie opanowali miasto. Zausznicy prymasa będą rządzić królestwem nie wchodząc do pałacu, a ty nie zdołasz im przeszkodzić. Zamierzamy zebrać coś w rodzaju armii, która broniłaby ciebie i miasta do czasu powrotu z Arcium wojsk Elenii.

— Określenie „coś w rodzaju armii” brzmi trochę podejrzanie, Sparhawku. Gdzie znajdziecie tak wielu ludzi?

— Na ulicach, w osadach i wioskach.

— A to dobre! Mam być chroniona przez czeladź i parobków?

— A także przez złodziei i zbójców, najjaśniejsza pani.

— Mówisz poważnie?

— W zasadzie tak. Ale nie odrzucaj tego zbyt pochopnie. Zaczekaj, dopóki nie usłyszysz szczegółów. Dwóch łotrów zmierza właśnie na spotkanie z tobą. Nie podejmuj decyzji, dopóki z nimi nie porozmawiasz.

— Tyś zupełnie postradał zmysły, Sparhawku! Nadal cię kocham, ale zdaje się, że zawodzi cię rozum. Nie uczynisz armii ze zgrai gamoniów i zakutych pał!

— Doprawdy? A jak sądzisz, skąd pochodzą prości żołnierze twojej armii, Ehlano? Czy nie zostali przypadkiem zebrani z ulic i wiosek?

Władczyni zmarszczyła brwi.

— Nie pomyślałam o tym — przyznała — ale sam wiesz, że bez generałów to będzie żadna armia.

— Ci dwaj ludzie, o których wspominałem waszej wysokości, przybywają właśnie w celu omówienia tej kwestii.

— Dlaczego „wasza wysokość” brzmi zawsze w twych ustach tak zimno i z dystansem, Sparhawku?

— Nie zmieniaj tematu. Przystajesz zatem, aby wstrzymać się z wydaniem sądu w tej sprawie, tak?

— Skoro tak mówisz... ale nadal mam pewne wątpliwości. Wolalabym, abys tu został.

— Ja również tego pragnę, lecz... — rozłożył bezradnie ręce.

— Kiedy w końcu będziemy mieli czas tylko dla siebie?

— To już nie potrwa długo, Ehlano. Musimy jednak pokrzyżować plany An-niasowi. Chyba to rozumiesz, prawda?

Królowa westchnęła.

— Chyba tak.

Wkrótce potem wrócili Talen z Beritem. Przywiedli ze sobą Platima i Strage-

na. Sparhawk przyjął ich sam w saloniku, królowa bowiem zajęta była starannym poprawianiem ostatnich szczegółów w swym wyglądzie. Bez owych drobiazgowych przygotowań nie może wyjść do gości żadna niewiasta chcąca uchodzić za osobę „dobrze się prezentującą”.

Stragen przywdział swe najlepsze szaty. Także czarnobrody Platim, człapiący jak kaczką przywódca żebraków, złodziei, morderców i ladacznic, wyglądał niezwykle dystygowanie.

— Witaj, przyjacielu! — ryknął grubas na widok rycerza. Poplamiony jedzeniem strój, w jakim zwykle go widziano, zastąpił kaftanem z modrego aksamitu, niestety, nieco przyciasnym.

— Jak wytwornie się dziś prezentujesz, Platimie — odparł poważnie Sparhawk.

— Podoba ci się, dostojny panie? — Platim poklepał się z zadowoleniem po swym kaftanie. Okręcił się dookoła i Sparhawk dostrzegł w stroju złodzieja dziury po nożach. — Od kilku miesięcy miałem go na oku. W końcu udało mi się przekonać poprzedniego właściciela, by mi go przekazał.

Sparhawk ze Stragenem wymienili dworne ukłony.

— A zatem, o co w tym wszystkim chodzi, dostojny panie? — dopytywał się Platim. — Talen paplał jakieś bzdury o tworzeniu gwardii narodowej czy czegoś takiego.

— Gwardia narodowa. To dobre określenie — zgodził się Sparhawk. — Za chwilę dołączy do nas hrabia Lenda, a wówczas jej królewska mość wyłoni się z tamtej komnaty. Pewnie zresztą nas teraz podsłuchuje pod drzwiami.

Z komnaty królowej dobiegło rozeźlone tupnięcie nogą.

— A jak interesy? — zapytał Sparhawk otyłego herszta podziemnego światka Cimmury.

— Całkiem dobrze. — Grubas uśmiechnął się promiennie. — Ci obcy gwardziści, których prymas przysłał dla wsparcia bękarta Lycheasa, byli bardzo naiwni. Skubaliśmy ich z zamkniętymi oczyma.

— Miło to słyszeć. Lubię, gdy przyjaciołom dobrze się powodzi.

W tym momencie do komnaty wszedł stary hrabia Lenda.

— Przepraszam za spóźnienie, dostojny panie Sparhawk — usprawiedliwił się. — Nie najlepszy już ze mnie biegacz.

— Witam, hrabio. — Rycerz zwrócił się do obu złodziei: — Mam zaszczyt przedstawić hrabiego Lendę, przewodniczącego Rady Królewskiej. Hrabio, ci panowie obejmą dowództwo twojej gwardii narodowej. To jest Platim, a to milord Stragen z Emsatu.

Wymieniono ukłony — mówiąc ściślej, Platim starał się, aby jego wysiłki przypominały ukłon.

— Milord? — zapytał z ciekawością Lenda.

— Tylko na niby, hrabio. — Stragen uśmiechnął się ironicznie. — To pozostałość po zmarnowanej młodości.

— Stragen jest wśród nas jednym z najlepszych — wtrącił Platim. — Ma czasem dziwne pomysły, ale świetnie nicponiami rządzi, czasami nawet lepiej niż ja.

— Jesteś zbyt uprzejmy, Platimie — mruknął Stragen z ukłonem.

Sparhawk podszedł do drzwi sypialni królowej.

— Jesteśmy już wszyscy, miłościwa pani — powiedział.

Na chwilę zapadła cisza, potem drzwi otworzyły się i do komnaty weszła Ehlana. Ubrana była w jasnobłękitną jedwabną szatę, a na głowie miała skromny diamentowy diadem. Zatrzymała się i powiodła dookoła wzrokiem z istic królewską godnością.

— Wasza wysokość pozwoli — rzekł oficjalnym tonem Sparhawk — przedstawić sobie Platima i Stragena, generałów waszej wysokości.

Monarchini skłoniła lekko głowę.

Platim znowu próbował się ukłonić. Stragen radził sobie o wiele lepiej.

— Panienska jak obrazek, co? — zauważył Platim, zwracając się do swego towarzysza.

Stragen drgnął.

Ehlana była trochę zaskoczona i, aby to ukryć, rozglądała się po komnacie.

— A gdzie jest reszta naszych przyjaciół? — zapytała.

— Wrócili do siedziby zakonu, miłościwa pani — poinformował ją Sparhawk. — Muszą poczynić przygotowania. Sephrenia obiecała powrócić tu później. — Podał ramię królowej i powiodł ją do ozdobnego fotela przy oknie. Monarchini usiadła, starannie układając fałdy swej szaty.

— Pozwolisz, dostojny panie? — Stragen skłonił się przed Sparhawkiem.

Rycerz milczał zaskoczony.

Herszt z Emsatu podszedł do okna, przed Ehlaną zgiął się w ukłonie i zaciągnął ciężkie kotary. Królowa spojrzała na niego ze zdumieniem.

— W świecie pełnym kusz bardzo nierozważnie jest siadać plecami do odsłoniętego okna, wasza wysokość — wyjaśnił, ponownie się skłaniając. — Masz wielu wrogów, najjaśniejsza pani.

— W pałacu królowa jest zupełnie bezpieczna, milordzie — zaprotestował hrabia Lenda.

— Zechciałbyś to i owo wytłumaczyć? — Stragen zwrócił się znudzonym tonem do Platima.

— Hrabio — powiedział uprzejmie grubas — w każdej chwili mogę mieć na terenie pałacu choćby i trzydziestu ludzi. Myślę, że rycerze doskonale spisują się na polu walki, ale trudno jest wszystkiego upilnować, mając na głowie hełm. W młodości studiowałem sztukę włamań. Dobry włamywacz czuje się równie

pewnie na dachu, jak i na ulicy. — Westchnął. — To były czasy! Nic tak nie przyspiesza tętna jak wkradanie się do czyjegoś domu przez komin!

— Ale ktoś o wadze wieprzka mógłby mieć z tym kłopoty — dodał Stragen. — Nawet spadzisty dach nie wytrzymałby takiego ciężaru.

— Nie jestem aż tak gruby, Stragenie.

Ehlana sprawiała wrażenie naprawdę wystraszonej.

— Cóżś ty zrobił, Sparhawk?

— Dbam o twoje bezpieczeństwo, miłościwa pani — tłumaczył rycerz. — Annias pragnie twej śmierci. Dał już tego dowody. Gdy tylko dowie się o twoim uzdrowieniu, ponownie będzie nastawał na tve życie, miłościwa pani. A ci, których w tym celu tu przyśle, z pewnością nie grzeszą dobrym wychowaniem. Lokaj nie będzie anonsował ich przybycia. A między nami mówiąc, Platim i milord Stragen doskonale wiedzą, jak niepostrzeżenie zakraść się do różnych miejsc i potrafią podjąć odpowiednie kroki, aby zabezpieczyć pałac.

— Nie lękaj się, najjaśniejsza pani, nikt żywy obok nas się nie prześliznie — zapewnił ją Stragen swym pięknie modulowanym głębokim głosem. — Dołożymy starań, aby cię nadmiernie nie niepokoić, wasza królewska mość, ale obawiam się, że będziemy musieli wprowadzić pewne ograniczenia twej swobody.

— Takie jak zakaz siadania przy otwartym oknie?

— Otóż to. Przez hrabiego Lendę pozwolimy sobie przekazać listę naszych sugestii. Platim i ja jesteśmy ludźmi interesu i nie chcielibyśmy się naprzykrzać waszej królewskiej wysokości swoją obecnością. Wolimy w miarę możliwości pozostawać w cieniu.

— Jest pan nadzwyczaj delikatny, milordzie, ale mnie wcale nie sprawia przykrości obecność zacnych ludzi.

— Zacnych? — roześmiał się Platim. — Stragenie, zdaje się, że nas właśnie obrażono.

— Lepszy zacny łotr niż nieuczciwy dworzanin — powiedziała Ehlana. — Czy wy rzeczywiście podrzynacie gardła?

— Owszem, zrobiłem to kilku nieszczęśnikom, wasza królewska mość — przyznał grubas wzruszając ramionami. — To cichy sposób na sprawdzenie zawartości czyjejś sakiewki, a ja zawsze byłem bardzo ciekawy. Jeżeli już o tym mówimy, to mógłbyś, Talenie, coś napomknąć miłościwej pani.

— O co chodzi? — zapytał Sparhawk.

— O wynagrodzenie, dostojny panie — wyjaśnił Talen.

— Tak?

— Stragen zaofiarował swe usługi za darmo.

— W ramach zdobywania nowych doświadczeń, dostojny panie Sparhawk — tłumaczył jasnowłosy herszt z Północy. — Dwór króla Warguna nie należy do najwykwintniejszych, dwór Elenii zaś słynie z nadzwyczaj dobrych manier i całkowitego zepsucia. Pilny uczeń korzysta z każdej okazji, aby się kształcić. Nato-

miast Platim nie należy do zbyt żądných wiedzy i wolałby otrzymać w zamian za swe usługi coś bardziej wymiernego.

— To znaczy co? — bezceremonialnie zapytał Sparhawk grubasa.

— Zaczynam powoli myśleć o odejściu na emeryturę, dostojny panie; o przeniesieniu się do jakiejś spokojnej wiejskiej posiadłości, gdzie mógłbym miło spędzać czas w towarzystwie — wasza królewska mość wybaczy — niezbyt cnotliwych dziewczek. A trudno przecież w pełni cieszyć się urokami podeszłego wieku, gdy na sumieniu ciążyą przewiny popełnione w latach młodości. Będę chronił najjaśniejszą panią nawet za cenę własnego życia, jeżeli łaskawie puści w niepamięć mą grzeszną przeszłość.

— O jakiego rodzaju grzechach mówimy, panie Platimie? — zapytała podejrzliwie królowa Elenii.

— Och, nie warto wspominać, wasza wysokość... Kilka przypadkowych morderstw, kradzieże, napady, wymuszenia, włamania, podpalenia, przemyt, zbójectwo, kradzież bydła, złupienie paru klasztorów, ciągnięcie zysków z kilku nielegalnych domów uciech — i tym podobne rzeczy.

— Miałeś pełne ręce roboty, Platimie — powiedział z uznaniem Stragen.

— Musiałem jakoś zabić czas. Wasza królewska mość, najlepiej udzielić mi całkowitej amnestii. Trochę win mogło mi się zatrzeć w pamięci.

— A czy istnieje jakiś rodzaj przestępstwa, w który nie byłbyś zamieszany, Platimie? — zapytała królowa Ehlana surowo.

— Myślę, że nie brałem udziału w kapitańskich oszustwach, wasza królewska wysokość. Oczywiście nie mogę być tego całkowicie pewien, jako że nie bardzo rozumiem, co to znaczy.

— Chodzi tu o celowe zniszczenie statku przez kapitana w celu zagarnięcia ładunku — odpowiedział Stragen.

— Nie, tego ani razu nie zrobiłem. A także nie spółkowałem ze zwierzętami, nie uprawiałem czarów i nigdy nie dopuściłem się zdrady stanu.

— Mnie się wydaje, że te właśnie przestępstwa należą do najcięższych — orzekła monarchini z kamienną twarzą. — Wiele myślę o cnotach publicznych i pasjami rozważam kwestie moralne.

Platim wybuchnął gromkim śmiechem.

— Ja również, wasza królewska wysokość. Z tej przyczyny całe noce trapiły mnie niepokoje.

— A co powstrzymało cię od udziału w zdradzie stanu, panie Platimie? — zainteresował się hrabia Lenda.

— Pewnie brak okazji, hrabio — przyznał Platim — jednak wątpię, czybym mieszał się do tego rodzaju spraw. Niestabilne rządy wzbudzają w społeczeństwie niepokój i powodują, że ludzie stają się ostrożniejsi. Zaczynają bardziej chronić swój dobytek, a to z kolei nie ułatwia życia złodziejom. No cóż, miłościwa pani, dobijemy targu?

— Całkowita amnestia w zamian za twe usługi? Tak długo jak będę ich wymagać?

— A co wasza wysokość przez to rozumie? — zapytał grubas podejrzliwie.

— Och, nic takiego, panie Platimie — odparła królowa niewinnie. — Nie chciałabym, abyś opuścił mnie znudzony służbą właśnie wtedy, gdy będę cię najbardziej potrzebować. Byłabym niepokieszona, gdybyś pozbawił mnie swego towarzystwa. A zatem?

— Na Boga, umowa stoi! — Platim splunął w dłoń i wyciągnął ją w kierunku władczyni.

Królowa Ehlana rzuciła Sparhawkowi zakłopotane spojrzenie.

— To taki zwyczaj, wasza wysokość — wyjaśnił rycerz. — Ty, najjaśniejsza pani, również napluj na swoją dłoń, a potem klepnij nią rękę Platima, co będzie oznaczało dobiecie targu.

Monarchini zawahała się, a potem uczyniła zgodnie z jego radą.

— Umowa stoi — oznajmiła nieco niepewnie.

— Załatwione! — krzyknął radośnie Platim. — Jesteś teraz niczym moja siostrzyczka, Ehlano, i gdyby ktokolwiek obraził cię lub nastraszył, wypruję mu flaki, a ty będziesz mogła swymi małymi rączkami nasypać mu rozżarzonych węgla do rozprutego brzucha.

— Jesteś bardzo uprzejmy — odparła królowa słabym głosem.

— Wpadłeś, Platimie! — Talen zanosił się od śmiechu.

— O czym ty mówisz? — oblicze Platima pociemniało.

— Przrzekłeś właśnie dobrowolnie pracować dla rządu do końca swych dni.

— Bzdura!

— Też tak myślę, ale właśnie na to przystałeś. Zgodziłeś się służyć królowej, dokąd będzie cię potrzebować i nawet nie wspomniałeś o zapłacie. Ona może trzymać cię w pałacu do chwili twej śmierci.

Platim pobladł.

— Nie zrobisz mi chyba tego, miłościwa pani, prawda?

Królowa wyciągnęła dłoń i pogładziła go po zarośniętym policzku.

— Zobaczymy, Platimie, zobaczymy.

Stragen trzął się w bezgłośnym śmiechu.

— O co chodzi z tą gwardią narodową, dostojny panie? — zapytał, kiedy już doszedł do siebie.

— Zamierzamy wezwać lud do obrony miasta — powiedział Sparhawk. — Szczegóły opracujemy, gdy tylko przybędzie Kurik. To on zaproponował, abyśmy skrzyknęli starych wiarusów i nakłonili ich do podjęcia służby w roli sierżantów i kaprali. Ludzie Platima byłiby oficerami, a ty i Platim, pod kierownictwem hrabiego Lendy, sprawowałibyście funkcję generałów, dopóki nie wróci prawdziwa armia Elenii.

Stragen zastanawiał się przez dłuższą chwilę.

— Ten plan może się powieść — uznał. — Obrona miasta nie wymaga takiej wprawy, co jego atakowanie. — Spojrzał na wciąż jeszcze speszonego grubasa. — Jeżeli wasza królewska mość nie ma nic przeciwko temu, zabiorę gdzieś jej nowego obrońcę i napoję piwem. Wydaje się czymś nieco wzburzony.

— Jak sobie życzysz, milordzie — uśmiechnęła się królowa. — Czy przychodzą ci na myśl jakieś zbrodnie, których dopuściłeś się na terenie mojego królestwa? Może chciałbyś, abym je objęła amnestią... na tych samych warunkach?

— Ach nie! Wasza wysokość, kodeks złodziei zabrania mi kłusować w prywatnym rezerwacie Platima. W innym przypadku wyskoczyłbym sobie kogoś zamordować — tylko po to, aby spędzić resztę swego życia w twym boskim towarzystwie. — Stragenowi złośliwość wyczierała z oczu.

— Jesteś wyjątkowym nicponiem, milordzie.

— Owszem, wasza wysokość — przyznał z ukłonem. — Chodź, Platimie. Wcale nie będzie tak źle, trzeba się tylko przyzwycząić.

— To było bardzo sprytnie, najjaśniejsza pani — odezwał się Talen, gdy dwóch złoczyńców wyszło z komnaty. — Nikt nigdy dotąd tak nie wystrychnął Platima na dudka.

— Naprawdę ci się podobało? — Monarchini wydawała się zadowolona z siebie.

— To było bardzo błyskotliwe, miłościwa pani. Teraz rozumiem, czemu Anias chciał cię otruć. Jesteś bardzo niebezpieczną białogłową.

Królowa uśmiechnęła się promiennie do Sparhawka.

— Nie jesteś ze mnie dumny, najdroższy?

— Doszedłem do wniosku, że twoje królestwo jest bezpieczne. Mam jedynie nadzieję, że inni monarchowie też są przygotowani na różne niespodzianki.

— Przepraszę was na chwilę. — Władczyni spojrzała z niesmakiem na swą nadal wilgotną dłoń. — Muszę umyć ręce.

Krótko potem do saloniku królowej Vanion wprowadził pozostałych przyjaciół Sparhawka. Mistrz skłonił się krótko przed Ehlaną i podszedł do rycerza.

— Rozmawiałeś z Platimem? — zapytał.

— Wszystko już ustalone.

— To dobrze. Jutro rano musimy wyruszyć do Demos. Dolmant przysłał wiadomość, że arcyprałat Cluvonus umiera. Nie przeżyje tygodnia.

— Spodziewaliśmy się tego. — Sparhawk westchnął. — Dzięki Bogu, mieliśmy czas na załatwienie naszych spraw w Cimmurze. Platim i Stragen są gdzieś w pałacu, pewnie piją. Kuriku, znajdź ich i opracuj jakiś plan działania.

Giermek skierował się ku wyjściu.

— Jeszcze chwileczkę — zatrzymał go hrabia Lenda. — Jak wasza wysokość się czuje? — zapytał Ehlanę.

— Lepiej, hrabio.

— Sądzisz, pani, że podasz już publicznie wystąpieniu?

— Bez wątpienia, hrabio. Czuję się zupełnie dobrze.

— Świetnie. Kilka słów waszej królewskiej mości zagrzeje ducha w członkach gwardii narodowej, organizowanej przez naszych generałów i Kurika. Odwołaj się, najjaśniejsza pani, do ich patriotyzmu, obrzuć obelgami gwardzistów prymasa, podaj kilka przykładów nikczemności Anniasa i tak dalej.

— Jestem ci wdzięczna, hrabio, za propozycje. Lubię wygłaszać porywające przemówienia.

— Zostań w Cimmurze, dopóki wszystkiego nie przygotujesz — rzekł Sparhawk do Kurika — i jedź do nas, gdy stolica będzie bezpieczna.

Kurik skinął głową i bez słowa opuścił komnatę.

— Jaki to zacny człek, Sparhawku — powiedziała monarchini.

— Tak, wiem.

Sephrenia patrzyła na zaróżowione policzki królowej.

— Ehlano — odezwała się z wyrzutem.

— Słucham?

— Nie powinnaś szczypać policzków. Narobisz sobie zmarszczek. Masz bladą cerę, a co za tym idzie, delikatną skórę.

Władczyni Elenii pokraśniała ze wstydu.

— Niemądrze postąpiłam, prawda?

— Ehlano, jesteś królową, a nie wiejską dziewczką. Królowej przystoi blada cera.

— Dlaczego przy niej zawsze czuję się jak dziecko? — spytała Ehлана, nie zwracając się do nikogo bezpośrednio.

— My wszyscy tak się czujemy, najjaśniejsza pani — zapewnił ją mistrz Vanion.

— Co dzieje się w Chyrellos, Vanionie? — zapytał Sparhawk. — Czy Dolmant przekazał ci jakieś szczegóły?

— Annias kontroluje ulice. Nie podjął jeszcze jawnych działań, ale jego gwardziści rzucają się w oczy. Dolmant podejrzewa, że prymas zechce doprowadzić do elekcji, nim Cluvonus zdąży całkiem ostygnąć. Dolmant ma jednak przyjaciół, którzy postarają się na tyle przewlekać sprawę, byśmy zdążyli tam dotrzeć. Niestety, nic więcej nie mogą uczynić. Teraz najważniejsza jest szybkość działania. Kiedy dojedziemy do Chyrellos, będzie tam czterystu Rycerzy Kościoła. Naszą obecność da się zauważyć, choć nie zdobędziemy liczebnej przewagi. Są i inne wieści. Otha stoi z wojskami na granicy z Lamorkandii. Na razie nie posuwa się dalej, ale stawia warunki. Żąda zwrotu Bhelliomu.

— Zwrotu? Przecież klejnot nigdy do niego nie należał.

— Typowo dyplomatyczny wybieg, dostojny panie — wyjaśnił hrabia Lenda.

— Im słabsza twoja pozycja, tym większe opowiadaj kłamstwa. — Starzec przygryzł w zamyśleniu wargi. — Przypuszczamy, że Annias sprzymierzył się z Othą, prawda?

— Tak — przyznał Vanion.

— Annias wie... a przynajmniej powinien wiedzieć, że będziemy grali na zwłokę. W tej sytuacji ruch Othy sprawił, że elekcja stała się pilną sprawą. Annias będzie przekonywał, iż Kościół musi być zjednoczony w obliczu niebezpieczeństwa. Obecność Othy na granicy przestraszy najbardziej bojaźliwych członków hierarchii, więc śpiesznie poprą Anniasa. W ten sposób obaj, prymas i Otha, otrzymają to, czego chcieli. Prawdę mówiąc, to całkiem sprytny plan.

— Czy Otha odważył się wymienić Bhelliom z imienia? — zapytał Sparhawk. Vanion pokręcił głową.

— Oskarżył cię o kradzież jednego z narodowych skarbów Zemochu i to wszystko. Celowo określił go w tak oględny sposób. Zbyt wielu ludzi wie o szczególnych właściwościach Bhelliomu. Nie może mówić o nim wprost.

— Wszystko zaczyna coraz lepiej do siebie pasować — rzekł Lenda. — Annias oznajmi, że tylko on zna sposób na zmuszenie Othy do odwrotu. Sprawি, że hierarchowie spontanicznie go wybiorą. Potem Annias wydrze Bhelliom Sparhawkowi i zgodnie z umową przekaże klejnot w ręce Othy.

— No i zaczną się niezłe zapasy — powiedział posępnie Kalten. — Wszystkie zakony rycerskie staną za Sparhawkiem.

— Tego pewnie oczekuje od was Annias — mówił dalej Lenda. — Będzie miał wtedy władzę absolutną nad zakonami i je rozwiąże. Większość Rycerzy Kościoła podporządkuje się rozkazom arcyprałata. Pozostali zostaną wyjęci spod prawa, a Annias rozgłosi, że przetrzymujecie jedyną rzecz, mogącą powstrzymać Othę. Powiedziałbym, że to całkiem sprytny pomysł.

— Sparhawk — odezwała się dźwięcznym głosem Ehlana — po dotarciu do Chyrellos pojmię Anniasa pod zarzutem zdrady stanu. Życzę sobie, by doprowadzono go do mnie w łańcuchach. Tak samo należy uczynić z Arissą i Lycheasem.

— Lycheas już tu jest, miłościwa pani.

— Wiem. Zabierzcie go do Demos i zamknijcie w klasztorze razem z jego matką. Chcę, by miał wystarczająco dużo czasu na zapoznanie Arissy z obecną sytuacją.

— To byłoby rozważne posunięcie, wasza wysokość — powiedział ostrożnie mistrz pandionitów — ale nam ledwie wystarczy sił, aby pojmać w Chyrellos Anniasa.

— Wiem o tym, panie Vanionie, lecz jeżeli dostarczymy patriarsze Dolmantowi nakaz aresztowania Anniasa i listę jego przestępstw, pomożemy mu w opóźnieniu elekcji. Będzie mógł wystąpić o wszczęcie śledztwa, a tego typu sprawy zawsze się ciągną.

Lenda wstał i skłonił się Sparhawkowi.

— Dostojny panie, nie ma znaczenia, czego jeszcze dokonałeś albo dokonasz, twe najwspanialsze dzieło siedzi na tronie. Jestem z ciebie dumny, chłopcze.

— Szykujmy się do drogi — ponaglił Vanion.

— Przed trzecią po północy dostarczę do twych rąk nakaz aresztowania pry-
masa — przyrzekł Lenda — a także kilku innych osobistości. Nadarza nam się
wspaniała okazja odchwasczenia naszego królestwa. Nie zmarnujmy tej szansy.

— Bericie — Sparhawk zwrócił się do stojącego na uboczu nowicjusza —
w komnacie obok jest moja zbroja. Proszę, zabierz ją do siedziby zakonu. Będę
jej potrzebował.

— Nie omieszkam tego uczynić. Zbroja z pewnością ci się przyda, dostojny
panie. — Berit nadal patrzył na rycerza zimno i nieprzyjaźnie.

— Jeszcze chwilę, Sparhawku — odezwała się królowa Ehlana, gdy wszyscy
ruszyli w kierunku wyjścia.

Rycerz został z tyłu i poczekał, aż zamknięto drzwi.

— Słucham, miłościwa pani.

— Bądź ostrożny, ukochany — podniosła na niego oczy pełne miłości. —
Umarłabym, gdybym cię teraz straciła.

Wyciągnęła ramiona do Sparhawkka, a on podszedł i objął władczynię. Jej po-
całunek był bardzo gorący.

— Odejdź co prędzej — rozkazała bliska płaczu. — Życzę sobie, byś nie
widział moich łez.

Rozdział 7

Do Demos wyruszyli następnego ranka tuż po wschodzie słońca. Zbrojna kolumna stu pandionitów zmierzała różnym kłusem na wschód. Nad ich głowami wznosił się las kopii ozdobionych proporcami.

— Wymarzony dzień do jazdy — powiedział mistrz Vanion, rozglądając się po skąpanych w słońcu polach. — Chciałbym tylko... no cóż.

— Jak zdrowie? — zapytał Sparhawk starego przyjaciela.

— O wiele lepiej. Będę z tobą szczery, Sparhawk. Te miecze były bardzo ciężkie. Dały mi przedsmak tego, jak będę się czuł na starość.

— Będziesz żył wiecznie, mistrzu.

— Mam nadzieję, że nie, jeżeli miałbym się czuć tak jak wówczas, gdy dźwigałem te miecze.

Przez chwilę jechali w milczeniu.

— Widzę nikłe szanse, mistrzu Vanionie — odezwał się Sparhawk ponuro. — W Świętym Mieście nasi wrogowie mają przytłaczającą większość. Zapowiada się wyścig króla Thalesii Warguna i cesarza Zemochu Othy przez Lamorkandię. Wygra ten, który pierwszy dotrze do Chyrellos.

— Pozostaje nam jedynie wiara. Musimy zaufać Bogu. Jestem pewien, że On nie chce Anniasa na tronie arcyprałata, i jestem absolutnie przekonany, że nie chce również Othy na ulicach Chyrellos.

— Ufajmy Mu całą duszą.

Z tyłu w pewnym oddaleniu jechali Berit i Talen. W ciągu tych miesięcy, jakie upłynęły od wspólnej wyprawy, między nowicjuszem i młodym złodziejem nawiązał się pewien szczególny rodzaj przyjaźni, po części opartej na fakcie, iż obaj czuli się trochę nieswojo w towarzystwie starszych towarzyszy.

— O co w zasadzie chodzi w tej elekcji, Bericie? — zapytał Talen. — Jak ona przebiega? Nie orientuję się w sprawach natury kościelnej.

Berit wyprostował się w siodle.

— Słuchaj, Talenie, sprawy wyglądają następująco. Po śmierci starego arcyprałata w bazylice zbierają się patriarchowie kościelnej hierarchii, a także większość innych wyższych dostojników kościelnych. Zwykle są obecni monarchowie

państw Eosii. Przed rozpoczęciem obrad królowie wygłaszają krótkie przemówienia, potem głos mogą zabierać jedynie patriarchowie i tylko oni uczestniczą w głosowaniu.

— To znaczy, że mistrzowie nie mogą głosować?

— Mistrzowie są patriarchami, młodzieńcze — odezwał się jadący obok Perrain.

— Nie wiedziałem o tym. Zastanawiałem się nawet, czemu wszyscy ustępują drogi Rycerzom Kościoła. Jak to się zatem stało, że Annias przewodzi Kościołowi w Cimmurze? Gdzie jest patriarcha?

— Patriarcha Udal ma dziewięćdziesiąt trzy lata — wyjaśnił Berit. — Żyje jeszcze, ale nie jesteśmy pewni, czy choćby wie, jak się nazywa. Pozostaje pod naszą opieką w siedzibie Zakonu Pandionu w Demos.

— To zdaje się jest dla Anniasa pewnym utrudnieniem, prawda? Jako prymas nie może przemawiać ani głosować, a skoro Udal przebywa w siedzibie zakonu, Annias nie może go otruć — a przynajmniej nie może tego uczynić nie zwracając niczyjej uwagi.

— Dlatego właśnie prymas potrzebuje pieniędzy. Musi kupić ludzi, którzy będą mówić za niego i na niego oddadzą swój głos.

— Chwileczkę. Annias jest tylko prymasem, prawda?

— Tak.

Talen zmarszczył brwi.

— Jakże może zatem przypuszczać, iż ma jakiegokolwiek szanse w wyborach? Jest jedynie prymasem, a inni są patriarchami!

— Duchowny nie musi być patriarchą, by wstąpić na tron głowy Kościoła. Bywało, że arcyprałatami zostawali zwykli wiejscy księża.

— To wszystko jest bardzo zawikłane. Czy nie prościej wkroczyć z całą armią i osadzić na tronie naszego człowieka?

— Próbowano już tego niegdyś, ale zawsze bez rezultatu. Myślę, że Bogu to się nie podobało.

— Ale pewnie Bogu spodoba się jeszcze mniej, jeżeli Annias wygra wybory, co?

— Chyba masz słuszność, Talenie.

Do jadących na czele kolumny dołączył Tynian. Uśmiechał się promiennie.

— Kalten i Ulath zabawiają się straszeniem Lycheasa — rzekł. — Ulath wymachuje toporem, a Kalten zaciska pętlę. Raz po raz wskazuje Lycheasowi na jakiś wystający konar. Bękart mdleje ze strachu. Musieliśmy przykuć go łańcuchami do siodła, bo spadał.

— Kalten i Ulath nie są zbyt subtelni — zauważył Sparhawk. — Niewiele trzeba, by ich rozweselić. Lycheas będzie miał co opowiadać swojej mamusi, gdy dotrzemy do Demos.

Okolo południa skręcili na południowy wschód. Pogoda nadal im dopisywała. W dobrym czasie, popołudniem następnego dnia, dotarli do Demos. Kolumna zbrojnych ruszyła na południe w stronę obozowiska rozbitego przez inne zakony. Sparhawk, Kalten i Ulath wiodąc z sobą Lycheasa odłączyli od oddziału i pojechali w kierunku północnego krańca miasta do klasztoru, w którym przebywała Arissa. W promieniach chylącego się ku zachodowi słońca rozbrzmiewał śpiew ptaków. Pośród drzew w dolinie wznosił się klasztor o ścianach z żółtego piaskowca.

Przed bramą Sparhawk i jego przyjaciele zsiadli z koni i bezceremonialnie ściągnęli z siodła skutego łańcuchami Lycheasa.

— Musimy porozmawiać z matką przełożoną — oznajmił Sparhawk zakonnicy, która otworzyła im bramę. — Czy księżniczka Arissa nadal spędza większość czasu w ogrodzie w pobliżu południowego muru?

— Tak, dostojny panie.

— Zechciej poprosić matkę przełożoną, siostrzyczko. Niech będzie tak dobra i zejdzie do ogrodu. Przywieźliśmy jej syna Arissy.

Rycerz złapał Lycheasa za kark i powłókł za bramę klasztoru, w którym księżniczka spędzała długie godziny swego odosobnienia. Sparhawk przepędiała zimną złość. Miał po temu rozliczne powody.

Znaleźli Arissę siedzącą na kamiennej ławce nie opodal muru. Lycheas na widok matki wybuchnął płaczem. Wyrwał się Sparhawkowi i począł biec w jej kierunku, potykając się i błagalnie wyciągając skrepowane łańcuchami ręce.

Księżniczka Arissa poderwała się z miejsca. Posępne niezadowolenie, jakie wiecznie widziano na jej twarzy, z czasem ustąpiło miejsca pełnemu rezygnacji wyczekiwaniu, a ciemne sińce pod oczyma wyraźnie zbladły.

— Co to ma znaczyć? Co ci uczynili? — dopytywała się obejmując szlochającego syna.

— Wtrącili mnie do lochu, matko — pochlipywał Lycheas — zakuli w kajdany i straszili.

— Jak śmiałeś tak traktować księcia regenta?! — Arissa wybuchnęła gniewem. Jej oczy ciskały gromy na Sparhawk.

— Sytuacja uległa zmianie, księżniczko — oznajmił rycerz chłodno. — Twój syn nie jest już księciem regentem.

— Nikt nie ma prawa odebrać mu tego tytułu. Zapłacisz za to głową!

— Raczej w to wątpię, Arisso — wtrącił Kalten z szerokim uśmiechem. — Jestem pewien, że z radością przyjmiesz wieści o ozdrowieniu twej bratanicy.

— Ehlana żyje? To niemożliwe!

— Wiem, że jako wierna córka Kościoła wspólnie z nami wszystkimi będziesz dziękować Bogu za Jego cudowną interwencję. Członkowie Rady Królewskiej omal nie zemdleli z zachwyty. Baron Harparin ze szczęścia całkiem stracił głowę.

— Ale nikt nigdy nie wyzdrowiał po... — przygryzła wargi.

— Po zażyciu darestimu? — dokończył za nią Sparhawk.
— Jakim sposobem. . . ?
— To nie było wcale takie trudne, Arisso. Królowa jest bardzo niezadowolona z postępów twoich i twojego syna, a także, oczywiście, z poczynań prymasa Anniasa. Rozkazała nam pojmać całą waszą trójkę. Od tej chwili możesz uważać się za aresztowaną, księżniczko.
— Pod jakim zarzutem?!
— Chyba zdrady stanu. Kaltlenie, dobrze mówię?
— Tak, tych właśnie słów użyła miłościwa pani. Jestem pewien, że to jakieś nieporozumienie, wasza książęca wysokość. — Jasnowłose rycerz uśmiechnął głupio do ciotki królowej Ehłany. — Ty, pani, twój syn i dobry prymas z łatwością wyjaśnicie wszystko w czasie procesu.
— Procesu? — Arissa pobladła.
— To przecież prawidłowa kolejność rzeczy, księżniczko. Normalnie po prostu powiesilibyśmy twojego syna, a potem także ciebie, ale ponieważ oboje należycie do dostojników królestwa, należy dochować pewnych niezbędnych formalności.
— To niedorzeczność! — krzyczała Arissa. — Jestem księżniczką! Nie mogę być sądzona za tego rodzaju przestępstwa!
— Możesz spróbować wyjaśnić to królowej Ehłanie, pani. Bez wątpienia wysłucha z uwagą tych argumentów. . . zanim wyda wyrok.
— Będziesz również sądzona za zamordowanie swego brata, Arisso — dodał Sparhawk. — Jesteś księżniczką czy nie, to jedno oskarżenie wystarczy, by cię powiesić. Niestety, trochę nam się śpieszy. Twój syn dokładnie ci wszystko opowie.
Do ogrodu weszła stara zakonnica. Na jej twarzy malował się wyraz niezadowolonia z powodu obecności mężczyzn w murach klasztoru.
— Witaj, matko przełożona — pozdrowił ją z ukłonem Sparhawk. — Z królewskiego rozkazu tych dwoje przestępców ma pozostać w odosobnieniu, dopóki nie będą mogli stawić się na rozprawę. Czy w twym klasztorze znajdują się pokutne cele?
— Przykro mi, dostojny panie — powiedziała bardzo stanowczo matka przełożona — ale reguła naszego zakonu zabrania nam odosabniać pokutników wbrew ich chęci.
— Proszę się nie kłopotać, matko — mruknął Ulath. — My się tym zajmujemy. Pierwej trupem padniemy, niż urazimy oblubienice Kościoła. Mogę cię zapewnić, że księżniczka i jej syn nie będą mieć chęci na opuszczenie swych cel — tak się pograżą w skrusze. Pomyślmy. . . potrzebuję kilku długich łańcuchów, solidnych rygli, młota i kowadła. Bez trudu zamknę cele, a ty, matko, i twe dobre siostrzyczki nie będziecie musiały mieszać się do polityki. — Przerwał i spojrzał na pandionitę. — Dostojny panie, a może chcesz, bym przykuł ich do ściany?

Sparhawk właśnie się nad tym zastanawiał.

— Nie — zdecydował w końcu — raczej nie. Nadal są członkami rodziny królewskiej i przysługują im pewne względy.

— Nie pozostaje mi nic innego, jak spełnić wasze żądania, bracia — uznała przeorysza. — Krążą pogłoski, że królowa wyzdrowiała. Czy to prawda, dostojny panie?

— Tak, matko przełożona. Królowa jest zdrowa i sprawuje rządy w Elenii.

— Bogu niech będą dzięki! I wkrótce zabierzecie z naszych murów tych niepożądanych gości?

— Oczywiście.

— Ależ to wzruszające! — odezwała się szyderczo Arissa. Księżniczka zdawała się już odzyskiwać równowagę. — Chyba zwymiotuję, jeśli jeszcze trochę będziecie tak nudzić.

— Zaczynasz mnie złościć, Arisso — rzekł Sparhawk chłodno. — Lepiej nie rób tego. Gdybym nie był związany królewskim rozkazem, z miejsca pozbawiłbym cię głowy. Radziłbym ci pogodzić się z Bogiem, ponieważ jestem pewien, że wkrótce się z Nim spotkasz. — Patrzył na księżniczkę z niesmakiem. — Zabierzcie ją z mych oczu — zwrócił się do Kaltena i Ulatha.

Wkrótce obaj rycerze wrócili.

— Wszystko zabezpieczone? — zapytał Sparhawk.

— Otwarcie tych drzwi zajęłoby kowalowi godzinę — odparł Kalten. — A zatem możemy chyba ruszać?

Nie ujechali nawet pół ligi, gdy Ulath nagle krzyknął ostrzeżenie i zepchnął Sparhawk z siodła.

Tuż nad grzbietem Farana, w miejscu, w którym dopiero co znajdował się roślak pandionita, ze świstem przeszła powietrze strzała z kuszy i po lotki wbiła się w pień przydrożnego drzewa.

Kalten dobył miecza, dał koniowi ostrogę i popędził w kierunku, gdzie musiał kryć się kusznik.

— Nic ci nie jest? — zapytał Ulath pomagając Sparhawkowi wstać.

— Jestem tylko lekko potłuczony. Solidnie mnie pchnąłeś, przyjacielu.

— Wybacz, dostojny panie. Poniosły mnie nerwy.

— Nie masz za co przepraszać, panie Ulathu. W podobnych przypadkach pchaj mnie tak silnie, jak tylko zdołasz. Jakim sposobem dostrzegłeś nadlatującą strzałę?

— Zwykły przypadek. Patrzyłem w tamtym kierunku i zauważyłem w krzawkach poruszenie.

Kalten wrócił, klnąc siarczyście.

— Uciekł — zameldował.

— Ten osobnik zaczyna mnie już męczyć — rzekł Sparhawk dosiadając wierzchowca.

— Myślisz, że to ten sam, który strzelał do ciebie w Cimmurze? — zapytał Kalten.

— Wszak nie jesteśmy w Lamorkandii, Kaltenie. Tu kusze nie walają się po wszystkich kątach. — Potężny pandionita zadumał się posępnie. — Nie wspominajmy o tym mistrzowi Vanionowi — zaproponował. — Sam potrafię zatroszczyć się o siebie. On i tak ma już dość trosk.

— Mam wrażenie, że popełniasz błąd, Sparhawk — Kalten wzruszył ramionami — ale chodzi o twoją skórę, więc zrobimy, jak chcesz.

Rycerze Kościoła czekali w dobrze strzeżonym obozowisku, około ligi na południe od Demos. Sparhawk i jego dwóch przyjaciół skierowano do namiotu, w którym ich towarzysze wiedli rozmowy z mistrzami bratnich zakonów — cyriną Abrielem, genidianą Komierem oraz alcjonitą Darellonem.

— Jak księżniczka Arissa przyjęła nowiny? — zapytał Vanion.

— Była umiarkowanie niezadowolona — odparł Kalten z uśmiechem. — Miała ochotę zabrać głos, ale ponieważ potrafiła z siebie wykrztusić jedynie „nie możecie tego uczynić”, więc ją uciszaliśmy.

— Coście uczynili?!

— Och, nie w tym sensie, mistrzu Vanionie — sumitował się jasnowłosy pandionita. — Być może użyłem niewłaściwych słów.

— Wyjaśnij, co miałeś na myśli, Kaltenie — zażądał Vanion. — Tu nie miejsce i czas na nieporozumienia.

— Przecież nie pozbawiłbym księżniczki głowy, mistrzu Vanionie!

— Ja bym pozbawił — mruknął Ulath.

— Czy możesz nam ukazać Bhelliom? — zapytał Sparhawk mistrz Komier.

Rycerz spojrzął pytająco na Sephrenię, a ona z pewnym wahaniem skinęła przyzwalająco głową. Sięgnął więc pod szatę okrywającą zbroję, wyciągnął płócienny woreczek, odwiązał sznurek i wytrząsnął na dłoń szafirową różę. Od kilku dni nie zauważał nawet najdelikatniejszego mignięcia owego mrocznego, beziemnego strachu, ale gdy tylko spojrzął na płatki klejnotu, zaraz kątem oka ponownie dostrzegł bezkształtny cień. Tym razem jeszcze ciemniejszy i większy.

— Dobry Boże! — zdumiał się mistrz Abriel.

— Wystarczy. — Thalezyjczyk Komier chrząknął. — Schowaj klejnot, dostojny panie Sparhawk.

— Ale chciałbym. . . — próbował protestować mistrz Darellon.

— Postradać swoją duszę, Darellonie? — szorstko wpadł mu w słowo Komier.

— Schowaj klejnot, Sparhawk — poleciła Sephrenia.

— Czy wiemy coś nowego na temat poczynań Othy? — zapytał Kalten, gdy Sparhawk chował mieszek.

— Wydaje się, że twardo stoi na granicy — odparł mistrz Abriel. — Vanion powiedział nam o wyznaniu Lycheasa. Całkiem możliwe, że Annias poprosił Othę, aby stał na granicy i czynił groźny hałas. Wtedy prymas Cimmury mógłby

rozgłosić, iż zna sposób na zatrzymanie Zemochów. To przeciągnęłoby na jego stronę kilka głosów.

— Czy Otha wie, że pan Sparhawk ma Bhelliom? — zapytał Ulath.

— Azash wie — powiedziała Sephrenia — a to oznacza, że Otha wie również. Można się jedynie domyślać, czy te nowiny dotarły już do Anniasa.

— A co dzieje się w Chyrellos? — Sparhawk zwrócił się do mistrza Vaniona.

— Z ostatnich zasłyszanych przez nas wieści wynika, że życie arcyprałata Cluvonusa nadal wisi na włosku. Wszyscy wiedzą, że nadciągamy. Ruchów takiej masy rycerstwa nie da się ukryć w żaden sposób. Musimy zatem jak najprędzej pokonać drogę do Chyrellos. A i zagrożenie ze strony Othy spowodowało zmianę w planach. Chcemy dotrzeć do Chyrellos, zanim umrze Cluvonus. To oczywiste, że teraz Annias spróbuje jak najszybciej doprowadzić do elekcji. Dopiero potem będzie mógł naprawdę wydawać rozkazy. Zaraz po śmierci Cluvonusa przychylni Anniasowi patriarchowie zaczną nawoływać do głosowania. Najpierw pewnie przegłosują zamknięcie miasta. To nie jest sprawa wagi zasadniczej, więc Annias będzie miał wystarczającą liczbę głosów.

— Czy Dolmant oszacował, jaki jest teraz rozkład głosów? — zapytał Sparhawk.

— Mamy prawie po połowie, panie Sparhawk — odrzekł Abriel, mistrz cyrintów z Arcium. Był to sześćdziesięcioletni, mocno zbudowany siwowłosy mężczyzna o ascetycznej twarzy. — Wielu patriarchów nie przybyło do Chyrellos.

— Jest to hołd złożony sprawności skrytobójców Anniasa — stwierdził sucho Komier.

— Bardzo prawdopodobne — przyznał Abriel. — Tak więc w Chyrellos przebywa teraz stu trzydziestu dwóch patriarchów.

— A ilu jest w ogóle? — zapytał Kalten.

— Stu sześćdziesięciu ośmiu.

— Jaka dziwna liczba — zaciekał się Talen.

— Tak się umówiono, młodzieńcze — wyjaśnił mistrz Abriel. — Tę liczbę przyjęto, aby sto głosów wystarczyło do wyboru nowego arcyprałata.

— Dokładniej byłoby sto sześćdziesiąt siedem — powiedział po chwili Talen.

— Dokładniej? — zdziwił się Kalten.

— No tak, sto głosów stanowi sześćdziesiąt procent z... — Talen spojrzał na jasnowłosego pandionitę, który słuchał z otwartymi ustami, nic nie rozumiejąc. — Ach, nieważne, panie Kaltenie — powiedział. — Potem ci to wyjaśnię.

— Potrafisz to wyliczyć w pamięci, chłopcze? — zapytał z pewnym zdziwieniem mistrz Komier. — My zmarnowaliśmy na to górę papieru.

— To nic wielkiego, szlachetny panie — odparł skromnie Talen. — W moim zawodzie trzeba szybko liczyć. Czy mógłbym wiedzieć, ile Annias ma już głosów?

— Sześćdziesiąt pięć pewnych lub skłaniających się w jego stronę — odparł mistrz Abriel.

— A ile my mamy?

— Pięćdziesiąt osiem.

— A zatem nikt nie wygra. On potrzebuje jeszcze trzydziestu pięciu głosów, a my czterdziestu dwóch.

— Obawiam się, że to nie jest tak proste — westchnął Abriel. — Zgodnie z procedurą ustaloną przez ojców Kościoła potrzeba stu głosów na sto sześćdziesiąt osiem — albo proporcjonalnie mniej, jeśli tak wypada z liczby obecnych — aby wybrać nowego arcyprałata lub podjąć decyzję w każdej sprawie zasadniczej wagi.

— I na to zużyliśmy tę górę papieru — rzekł z przekąsem Komier.

— Dobrze — powiedział Talen po chwili zastanowienia. — A zatem Annias potrzebuje tylko osiemdziesięciu głosów, ale nadal brakuje mu piętnastu. — Zmarszczył brwi. — Chwileczkę, w waszych rachunkach coś się nie zgadza. Swoich wyliczeń dokonaliście biorąc pod uwagę jedynie sto dwadzieścia trzy głosy, a przecież mówiłeś, wasza dostojność, że w Chyrellos jest stu trzydziestu dwóch patriarchów.

— Dziewięciu z nich nadal jest niezdecydowanych — wytłumaczył Abriel. — Dolmant podejrzewa, że wyczekują jedynie na znaczniejszą łapówkę. Co pewien czas odbywa się głosowanie w sprawach niezasadniczej natury. W takich przypadkach wniosek przechodzi zwykłą większością głosów. Raz tych dziewięciu głosuje po myśli Anniasa, a raz nie. W ten sposób demonstrują mu swoją siłę. Obawiam się, że zagłosują tak, jak będzie im na rękę.

— Nawet gdyby cały czas głosowali za Anniasem, nadal nie będzie to miało znaczenia — zauważył Talen. — Choćby nie wiem jak naciągać te dziewięć głosów, nie zrobi się z nich piętnaście.

— Prymas wcale nie potrzebuje piętnastu — odezwał się zmęczonym głosem mistrz Darellon — ponieważ z powodu skrytobójstw — i wobec opanowania ulic Chyrellos przez gwardzistów — siedemnastu patriarchów przeciwnych Anniasowi ukryło się gdzieś w Świętym Mieście. Są nieobecni i nie głosują, a to zmienia liczbę głosów.

— Zaczyna mi się migrena — szepnął Kalten do Ulatha.

Talen kręcił głową.

— Zdaje się, szlachetni panowie, że jesteśmy w kłopotcie — powiedział. — Jeżeli nie wliczać tych siedemnastu, to do wygrania starczy sześćdziesiąt dziewięć głosów. Annias potrzebuje zatem jedynie czterech więcej.

— Wygra, gdy tylko będzie mógł niezdecydowanym zaofiarować dostatecznie dużo pieniędzy — powiedział Bevier. — Chłopiec ma rację, szlachetni panowie. Jesteśmy w kłopotcie.

— W takim razie musimy zmienić liczbę głosów — rzekł Sparhawk.

— Jak chcesz zmienić liczbę? — zapytał Kalten. — Liczba jest liczbą. Nie można jej zmienić.

— Można, dodając do niej inną liczbę. Musimy jedynie zaraz po przybyciu do Chyrellos odszukać tych siedemnastu patriarchów i doprowadzić ich bezpiecznie do bazyliki na głosowanie. To zwiększyłoby do osiemdziesięciu liczbę głosów potrzebnych Anniasowi do wygrania wyborów, a tyle nie potrafi uzbierać.

— My również — zauważył Tynian. — Nawet jeżeli uda nam się sprowadzić ich z powrotem, będziemy mieć nadal tylko pięćdziesiąt osiem głosów.

— W rzeczywistości sześćdziesiąt dwa, szlachetny panie Tynianie — wtrącił Berit z szacunkiem. — Mistrzowie czterech zakonów także są patriarchami, a nie sądzę, by któryś z nich głosował na Anniasa.

— To znowu zmienia liczbę głosów — powiedział Talen. — Po dodaniu siedemnastu i czterech otrzymamy sto trzydzieści sześć, co liczbę koniecznych do wygrania głosów podnosi do osiemdziesięciu dwóch... a dokładniej do osiemdziesięciu jeden z kawałkiem.

— Liczba nieosiągalna dla obu stron — zasepił się Komier. — Nadal nie widzę sposobu, abyśmy mogli wygrać.

— Nie musimy wygrać, Komierze — ozwał się Vanion. — Nie próbujemy przecież nikogo wybrać. Usiłujemy jedynie nie dopuścić do wyboru Anniasa. Możemy wygrać doprowadzając do pata. — Mistrz pandionitów wstał i począł chodzić po namiocie. — Gdy tylko dotrzemy do Chyrellos, Dolmant wyśle do Warguna, do Arcium, wiadomość, iż w Świętym Mieście doszło do kryzysu religijnego. To odda Warguna pod nasze dowództwo. Dołączymy podpisany przez nas czterech rozkaz, aby król zaprzestał działań w Arcium i możliwie jak najszybciej przyjechał do Chyrellos. I tak, gdyby Otha ruszył, będziemy go potrzebować.

— A zdobędziemy dostateczną liczbę głosów popierających takie oświadczenie? — zapytał mistrz Darellon.

— Nie miałem zamiaru poddawać tego pod głosowanie, przyjaciele. — Vanion uśmiechnął się lekko. — Podpis Dolmanta przekona patriarchę Bergstena o oficjalnym charakterze tej deklaracji, a Bergsten może rozkazać Wargunowi wymarsz do Chyrellos. Później możemy za to nieporozumienie przeprosić. Przedtem jednak Wargun przywiedzie do Chyrellos połączone armie Zachodu.

— Pomniejszone o armię Elenii — przypomniał mu Sparhawk. — Moją królową w Cimmurze opiekuje się jedynie kilku złodziei.

— Bez obrazy, dostojny panie Sparhawku — powiedział mistrz Darellon — ale w tym momencie nie jest to najważniejszą sprawą.

— Tego nie jestem pewien, Darellonie — sprzeciwił się mistrz Vanion. — Annias desperacko potrzebuje pieniędzy. Musi zdobyć dostęp do skarbcza Elenii; nie tylko by przekupić dziewięciu niezdecydowanych patriarchów, ale również by utrzymać głosy, które już zdobył. Chcąc odsunąć tron z zasięgu prymasa, nie potrzeba wielkich zachodów. Ochrona królowej Ehlany — i jej skarbcza — jest

teraz jeszcze bardziej istotna niż przedtem.

— Chyba masz rację, Vanionie — przyznał Darellon. — Zdaje się, że o tym nie pomyślałem.

— A zatem dobrze — podjął swe rozważania mistrz pandionitów — dotarcie Warguna z wojskami do Chyrellos zmieni układ sił w Świętym Mieście. Obecny związek Anniasa z jego stronnikami jest raczej słaby. Sądzę, że w wielu przypadkach zależy od faktu, iż żołnierze prymasa kontrolują ulice. Gdy ta sytuacja ulegnie zmianie, prymas straci poparcie znacznej części swych zwolenników. Szlachetni panowie, według mnie naszym zadaniem będzie dotarcie do Chyrellos przed śmiercią Cluvonusa, wysłanie wiadomości do Warguna, a potem zebranie wszystkich ukrywających się patriarchów i doprowadzenie ich do bazyliki na głosowanie. — Spojrzał na Talena. — Ilu potrzebujemy, to znaczy, ile wynosi niezbędne minimum, aby Annias nie wygrał?

— Jeżeli prymasowi uda się jakimś sposobem zjednać dziewięciu niezdecydowanych, będzie miał siedemdziesiąt cztery głosy. Gdybyśmy znaleźli sześciu z tych, którzy się ukrywają, całkowita liczba głosów wyniesie sto dwadzieścia pięć. Sześćdziesiąt procent z tego to siedemdziesiąt pięć. W takim przypadku prymas przegra.

— Świetnie, Talenie — pochwalił chłopca mistrz Vanion. — A zatem postanowione, szlachetni panowie, jedziemy do Chyrellos, przeczeszemy miasto i odzyskamy sześciu patriarchów, którzy chcieliby głosować przeciwko Anniasowi. Wyznamy kogoś — kogokolwiek — na drugiego kandydata do tronu i do przybycia Warguna będziemy zbierać głosy.

— To nadal nie będzie jednoznaczne ze zwycięstwem — narzekał Komier.

— Jednak tyle możemy w obecnej sytuacji osiągnąć — podsumował Vanion.

Tej nocy Sparhawk spał bardzo niespokojnie. Ciemności zdawały się pełne bezimiennego przerażenia, jęków i żalów. W końcu rycerz wstał z pośłania, zarzucił na siebie mnisi habit i wyszedł poszukać Sephrenii.

Znalazł ją, tak jak się spodziewał, siedzącą u wejścia do namiotu z nieodłączną filiżanką herbaty w dłoni.

— Czy ty nigdy nie śpisz, mateczko? — zapytał z pewnym rozdrażnieniem.

— Twoje sny nie dawały mi spać, mój drogi.

— Wiesz, o czym śnię? — zdumiał się rycerz.

— Nie znam szczegółów, ale wiem, że coś nie daje ci spokoju.

— Kiedy pokazywałem mistrzom Bhelliom, ponownie widziałem ten cień.

— Czy właśnie to cię niepokoi?

— Po części. Ktoś do mnie strzelił z kuszy, gdy wraz z Ulathem i Kaltenem opuściliśmy klasztor, w którym przebywa Arissa.

— Ale to wydarzyło się, zanim wyciągnąłeś Bhelliom z woreczka. Może te zdarzenia wcale nie są z sobą powiązane.

— Może cień skrywa zabójcę — lub też go przywołuje. Może wcale nie muszę dotykać Bhelliomu, by ten cień nasłał na mnie jakiegoś mordercę.

— Czy logika Elenów zawsze wiąże się z tak wieloma „może”?

— Nie, nie zawsze i to trochę mnie niepokoi, mateczko. Jednakże nie na tyle, abym odrzucił tę hipotezę. Od dłuższego czasu Azash stara się mnie zabić, nasyłając na mnie różne stwory, a wszystkie nadprzyrodzone. Cień, który zauważam kątem oka, najwyraźniej nie jest naturalny, w przeciwnym razie ty również mogłabyś go widzieć.

— Tak, chyba tak.

— A tym samym, byłoby głupotą z mojej strony, gdybym przestał mieć się na baczności tylko dlatego, że nie potrafię dowieść, iż cień jest wysłannikiem Azasha, prawda?

— Chyba tak.

— Nawet jeżeli nie potrafię tego dowieść, wiem, że istnieje jakieś powiązanie między Bhelliomem i tym mrocznym cieniem, który czai się na skraju mego pola widzenia. Nie wiem jeszcze, na czym ten związek polega i może dlatego pewne przypadkowe zdarzenia zdają się zaciemniać całą sprawę. Jednakże dla własnego bezpieczeństwa będę się liczył z najgorszym — z tym, że cień należy do Azasha i podąża za Bhelliomem oraz nasyła na mnie morderców.

— To brzmi sensownie.

— Rad jestem, że się ze mną zgadzasz, mateczko.

— Skoroś już to wszystko przemyślał, Sparhawk, to po co mnie szukałeś?

— Potrzebowałem słuchacza dla moich wywodów.

— Rozumiem.

— A poza tym, lubię twoje towarzystwo.

Czarodziejka uśmiechnęła się czule.

— Jesteś taki miły, Sparhawk. A teraz powiedz, dlaczego ukryłeś przed Vanionem wiadomość o ostatnim zamachu na siebie?

Rycerz westchnął.

— Widzę, że tego nie pochwalasz.

— Prawdę mówiąc, nie pochwalam.

— Vanion umieściłby mnie w środku kolumny, pośród uzbrojonych rycerzy, trzymających nade mną swe tarcze. Mateczko, zrozum, muszę widzieć, co się wokół mnie dzieje. Inaczej żyć nie potrafię. Przecież nie potrzebuję niańki, prawda?!

— Hm... — Czarodziejka westchnęła ciężko.

Faran był w złym humorze. Jego nastrój zdecydowanie pogorszyło półtora dnia niemal ciągłej wytężonej jazdy. Około piętnastu lig przed Chyrellos mistrzo-

wie zatrzymali kolumnę zbrojnych. Polecili rycerzom zsiąść z koni i przez jakiś czas je prowadzić. Faran trzykrotnie próbował ugryźć Sparhawk, gdy ten zsiadał z siodła. Było to jedynie oznaką niezadowolenia — Faran w młodości przekonał się, iż gryzienie rycerza w pełnej zbroi prowadzi jedynie do bólu zębów. Kiedy jednak rumak kopnął Sparhawk solidnie z półobrotu w biodro, pandionita uznał, że czas przystąpić do działania. Z pomocą Kaltena podniósł się, następnie uniósł przyłbicę i obiema dłońmi złapał wodze krótko przy pysku.

— Dość! — warknął.

Paskudny srokacz wlepił w niego pełne nienawiści ślepia.

Rycerz błyskawicznym ruchem złapał dłońią odzianą w metalową rękawicę za lewe ucho konia i bezlitośnie począł je skręcać.

Faran zacisnął zębiska, w oczach pojawiły mu się łzy.

— Rozumiemy się? — wycedził Sparhawk.

Srokacz kopnął go przednim kopytem w kolano.

— To twoja sprawa, Faranie, ale będziesz głupio wyglądał bez tego ucha. — Rycerz zaciskał dłoń wciąż mocniej, dopóki koń nie zaczął parskać z bólu.

— Zawsze mi się z tobą przyjemnie rozmawia, Faranie — rzekł Sparhawk puszczając końskie ucho. Poklepał rumaka po zlanym potem karku. — No, stary głupcze — szepnął — nic ci nie jest?

Faran zastrzygł uszami — w każdym razie zastrzygł prawym — ostentacyjnie wyrażając tym swą obojętność.

— Naprawdę musiałem się śpieszyć, Faranie — wyjaśniał Sparhawk. — Nie zajeżdżam cię tak dla zabawy. Już niedaleko. Czy mogę ci zaufać?

Faran westchnął i uderzył w ziemię przednim kopytem.

— Doskonale — ucieszył się rycerz. — A teraz przejdźmy się trochę.

— To doprawdy niesamowite — powiedział mistrz Abriel do Vaniona. — Nigdy przedtem nie widziałem takiego porozumienia między człowiekiem i koniem.

— Po części przyczyną jest charakter Sparhawk, bracie — wyjaśnił mistrz pandionitów. — On sam jest już dostatecznie niebezpieczny, ale gdy posadzić go na tego konia, zmienia się w klęskę żywiołową.

Przeszli około ligi, po czym dosiedli koni i w promieniach popołudniowego słońca ruszyli w kierunku Świętego Miasta.

Okolo północy przejechali szeroki most nad rzeką Arruk i zbliżyli się do jednej z zachodnich bram Chyrellos. Oczywiście bramy strzegli gwardziści prymasa Anniasa.

— Nie mogę przed wschodem słońca pozwolić wam na wjazd, szlachetni panowie — oznajmił stanowczo kapitan, dowodzący oddziałem straży. — Z rozkazu hierarchów nikt zbrojony nie może wjechać do Chyrellos po zmroku.

Mistrz Komier sięgnął po swój topór.

— Chwileczkę, bracie — hamował go łagodnie mistrz Abriel. — Wierzę, iż

istnieje sposób na rozwiązanie tego problemu bez uciekania się do niemiłych metod. Kapitanie — zwrócił się do żołnierza w czerwonej tunice.

— Słucham, szlachetny panie? — W tonie głosu gwardzisty przebijało zadowolenie z siebie i pogarda dla innych.

— Czy rozkaz, o którym wspomniałeś, dotyczy również samych członków hierarchii?

— Słucham, szlachetny panie? — Kapitan zdawał się zbity z tropu.

— Pytanie jest proste, w odpowiedzi wystarczy nie lub tak. Czy ten rozkaz dotyczy również patriarchów Kościoła?

— Nikt nie ma prawa zatrzymywać patriarchów Kościoła, szlachetny panie — brnął dalej oficer.

— Wasza świątobliwość — poprawił go Abriel.

Ogłupiały gwardzista zamrugął z niedowierzaniem, a mistrz cyrinitów tłumaczył:

— Prawidłową formą, jakiej używamy zwracając się do patriarchy, jest „wasza świątobliwość”, kapitanie. W świetle kościelnego prawa moi trzej towarzysze i ja jesteśmy patriarchami Kościoła. Ustaw swoich ludzi, kapitanie. Przeprowadzimy inspekcję.

Kapitan się wahał.

— Mówię w imieniu Kościoła, poruczniku — ponaglił Abriel. — Chcesz sprzeciwić się jego woli?

— Jestem kapitanem, wasza świątobliwość — bąknął oficer.

— Byłeś kapitanem, poruczniku, już nim nie jesteś. A może wolałbyś być znowu sierżantem? Jeżeli nie, natychmiast wykonaj polecenie.

— W tej chwili, wasza świątobliwość — spuścił z tonu gwardzista. — Hej, wy tam! — wrzasnął. — Wszyscy przygotować się do inspekcji!

Oddział straży — używając słów mistrza Darellona — prezentował się haniebnie. Nie przebijając w słowach, rozdzielono na prawo i lewo nagany, a potem bez dalszych przeszkód cała kolumna zbrojnych mężów wjechała do Świętego Miasta. Dopóki rycerze nie odjechali na znaczną odległość od bramy, nikt z nich się nie roześmiał, a nawet nie uśmiechnął. Dyscyplina Rycerzy Kościoła była uważana za jeden z cudów świata.

Pomimo późnej pory na ulicach Chyrellos roiły się patrole gwardzistów. Sparhawk znał tych ludzi i wiedział, że ich lojalność jest dość tania. W większości przypadków służyli jedynie dla pieniędzy. Ponieważ w Świętym Mieście było ich wielu, poczynali sobie butnie. Kiedy jednak o złowrogiej północy na ulicach Chyrellos żołnierze zobaczyli czterystu Rycerzy Kościoła, w serca szeregowców wkradło się uczucie, które Sparhawk zwykł określać mianem pokory. Trochę dłużej trwało, zanim i oficerowie pojęli oczywistą prawdę. Zwykle tak bywa. Jeden z buńczucznych młodzieńców próbował zagrozić im drogę, żądając okazania dokumentów. Poczucie własnej ważności zdawało się go rozsadzać i pewnie dlatego

zapomniał obejrzeć się za siebie. Był zupełnie nieświadom, iż jego oddział wziął nogi za pas. Komenderował dalej ostrym głosem, to czegoś żądając, to obstając przy tym i owym, aż Sparhawk popuścił wodze Faranowi i najechał na niego różnym krokiem. Rumak zaś dołożył wszelkich starań, aby jego stalowe podkowy nie ominęły wrażliwszych miejsc na ciele oficera.

— Lepiej się teraz czujesz? — zapytał pandionita swego konia.

Faran wierzgnął.

— Zaczynamy — powiedział Vanion. — Kaltenie, podziel kolumnę zakonników na dziesięciosobowe grupy. Rozjedźcie się po mieście i uczynicie wszem wobec wiadomym, że Rycerze Kościoła ofiarują swą opiekę każdemu patriarsze, który pragnie udać się do bazyliki na głosowanie.

— Wedle rozkazu, mistrzu Vanionie! — odkrzyknął Kalten ochoczo. — Pojadę obudzić Święte Miasto. Na pewno wszyscy z zapartym tchem oczekują nowin, które im niosę.

— Myślisz, że on kiedykolwiek wydorosłeje? — zapytał Sparhawk.

— Mam nadzieję, że nie — odparł delikatnie Vanion. — Dzięki temu, bez względu na to, jak wszyscy będziemy starzy, zawsze będziemy mieć pośród nas wiecznego chłopca. To doprawdy wielka pociecha.

Mistrzowie, a za nimi Sparhawk, jego przyjaciele i dwudziestoosobowy oddział pod dowództwem Perraina jechali dalej szeroką ulicą.

Skromnego domu jego świątobliwości Dolmanta pilnował pluton żołnierzy. Sparhawk rozpoznał w ich dowódcy człowieka wiernego patriarsze Demos.

— Dzięki Bogu! — zawołał ten młody oficer, gdy rycerze zatrzymali się tuż przed bramą.

— Byliśmy w okolicy, więc pomyśleliśmy sobie, że wpadniemy złożyć uszanowanie — zażartował mistrz Vanion. — Wierzę, że jego świątobliwość ma się dobrze?

— Będzie miał się jeszcze lepiej teraz, skoro przybyłeś tu, szlachetny panie, wraz ze swymi przyjaciółmi. Sytuacja w Chyrellos jest trochę napięta.

— Wyobrażam sobie. Czy jego świątobliwość jeszcze nie śpi?

Oficer przytaknął skinieniem głowy.

— Ma spotkanie z Embanem, patriarchą Ucery. Być może znasz go, szlachetny panie?

— Czy to ten tłuścioszek o usposobieniu wesołka?

— Tak, to on, szlachetny panie. Zawiadomię jego świątobliwość o waszym przybyciu.

Patriarcha Demos, Dolmant, starzec o szczupłej i surowej twarzy, rozjaśnił się na widok wkraczających do komnaty Rycerzy Kościoła.

— Szybkoście się uwinęli, cni rycerze — rzekł im. — Czy znacie patriarchę Ucery? — wskazał na swego towarzysza.

Zażywny Emban zdecydowanie zasługiwał na miano tłuścioszka.

— Twoja komnata zaczyna przypominać odlewnię, Dolmancie — zachichotał, spoglądając na opancerzonych rycerzy. — Od lat nie widziałem w jednym miejscu tyle stali.

— Krzepiący widok — powiedział Dolmant. — Jak mają się sprawy w Cimmurze, Vanionie?

— Królowa Ehlana powróciła do zdrowia i pewną ręką dzierży władzę, wasza świątobliwość.

— Bogu niech będą dzięki! — wykrzyknął Emban. — No, Anniasie, rychło zbankrutujesz.

— A zatem odnaleźliście Bhelliom? — Dolmant zwrócił się do Sparhawk. Rycerz skinął głową.

— Czy wasza świątobliwość chciałby go obejrzeć?

— Chyba nie. Nie przypuszczam, bym uległ jego wpływowi, ale słyszałem różne opowieści. Bez wątpienia to tylko ludowe zabobony, jednak nie ryzykujemy. Sparhawk w duchu westchnął z ulgą. Nie miał chętki na kolejne spotkanie z cieniem, a i perspektywa, że przez następne kilka dni będzie chodził z niejasnym uczuciem, iż ktoś mierzy do niego z kuszy, nie była zachęcająca.

— To dziwne, że do Anniasa nie dotarła jeszcze wieść o uzdrowieniu królowej — zauważył Dolmant. — A przynajmniej na razie nie widać, aby był ostrożniejszy.

— Zdumiałbym się, gdyby o tym słyszał, wasza świątobliwość — ozwał się swym tubalnym głosem mistrz Komier. — Vanion zamknął miasto zmuszając jego mieszkańców do pozostania na miejscu. Tych, którzy próbują je opuścić, zdecydowanie zawraca się z drogi.

— Zostawiłeś tam swoich pandionitów, prawda, Vanionie?

— Nie, wasza świątobliwość. Znaleźliśmy zastępstwo. Jak ma się arcyprałat?

— Umiera — odparł Emban. — Oczywiście umiera już od kilku lat, ale tym razem zajął się tym nieco poważniej.

— Czy cesarz Otha poczynił jakieś dalsze kroki, wasza świątobliwość? — zapytał mistrz Darellon.

Dolmant pokręcił przecząco głową.

— Nadal obozuje tuż za granicą Lamorkandii. Nie szczędzi gróźb i żąda zwrotu tajemniczego skarbu Zemochu.

— Wcale nie takiego tajemniczego, Dolmancie — wtrąciła Sephrenia. — On chce dostać Bhelliom i wie, że ma go Sparhawk.

— Ktoś mógłby wpaść na pomysł, że zapobiegnie się inwazji zmuszając Sparhawk do zwrotu klejnotu — zauważył Emban.

— A to się nikomu nie uda — oznajmiła stanowczo Sephrenia. — Pierwej byśmy Bhelliom zniszczyli.

— Czy powrócił do tej pory któryś z ukrywających się patriarchów? — spytał mistrz Abriel.

— Ani jeden — zachnął się Emban. — Pewnie zaszyli się w najgłębszych szuczurzych norach, jakie mogli znaleźć. Kilka dni temu dwóm z nich przytrafił się nieszczęśliwy wypadek i reszta zapadła się pod ziemię.

— Rozesłaliśmy po mieście rycerzy, aby ich odszukali — relacjonował Darellon. — Nawet najstrachliwszy zając może pójść na odwagę, kiedy znajdzie się pod opieką Rycerzy Kościoła.

— Darellonie, jak możesz! — Dolmant spojrział z wyrzutem na mistrza alcjonitów.

— Wybacz, wasza świętobliwość. — Deirańczyk niedbale machnął ręką.

— Czy śmierć tamtych dwóch zmieni liczbę głosów? — zapytał mistrz Komier Talena.

— Nie, szlachetny panie. I tak nie braliśmy ich pod uwagę.

Dolmant z zaciekawieniem słuchał tej wymiany zdań.

— Chłopak ma głowę do rachunków — wyjaśnił Komier. — Umie szybciej policzyć w myślach niż ja na papierze.

— Czasami mnie zdumiewasz, Talenie — powiedział Dolmant. — Czy interesowałaby cię praca dla chwały Kościoła?

— Liczyłbym może datki od wiernych, wasza świętobliwość? — ochoczo dopytywał się złodziejasek.

— Och nie, nie sądzę, byś do tego się nadawał.

— Czy w ogóle zmienił się rozkład głosów, wasza świętobliwość? — chciał wiedzieć Abriel.

Dolmant pokręcił głową.

— Annias nadal dysponuje zwykłą większością głosów. Może przegłosować każdy wniosek nie będący zasadniczej natury. Jego poplecznicy wzywają do głosowania nad prawie każdą sprawą. Dzięki temu Annias na bieżąco śledzi rozkład głosów, a także ma nas na oku, bo trzyma zamkniętych w sali audiencyjnej.

— Rozkład głosów wkrótce ulegnie zmianie, wasza świętobliwość — wyjawiał Komier. — Tym razem ja i moi bracia postanowiliśmy wziąć udział w głosowaniu.

— A to niezwykła nowina! — wykrzyknął patriarcha Emban. — Mistrzowie zakonów rycerskich od dwustu lat nie uczestniczyli z hierarchami w wyborach.

— Ale nadal jesteśmy tam mile widziani, prawda, wasza świętobliwość Embanie?

— Jeżeli o mnie chodzi, to jak najbardziej, wasza świętobliwość Komierze. Jednakże Anniasowi może to nie przypaść do gustu.

— Tym gorzej dla niego. A jak to wpłynie na rozkład głosów, Talenie?

— Prymasowi do zwycięstwa potrzeba sześćdziesięciu procent... Dotychczas musiał mieć sześćdziesiąt dziewięć głosów, a teraz — siedemdziesiąt jeden z kałkiem, szlachetny panie Komierze.

— A zwykła większość?

— Nadal ją utrzyma. Potrzebuje jedynie sześćdziesięciu jeden głosów.

— Nie sędzę, by którykolwiek z neutralnych patriarchów przeszedł na jego stronę podczas głosowania w sprawach zasadniczej wagi, dopóki prymas nie zaspokoi ich finansowych żądań — rozważał Dolmant. — Prawdopodobnie wstrzymają się od głosu, a wtedy Annias będzie potrzebował... — Zmarszczył brwi w głębokim zastanowieniu.

— Sześćdziesięciu sześciu głosów, wasza świątobliwość — uzupełnił Talen. — Będzie miał o jeden głos za mało.

— Zuch chłopak — mruknął Dolmant. — A zatem najlepszą dla nas taktyką będzie zabiegać o to, aby każde głosowanie było głosowaniem nad sprawą zasadniczej wagi — nawet głosowanie nad zapaleniem większej liczby świec.

— Jak tego dokonamy? — zapytał Komier. — Nie jestem biegły w procedurze głosowania.

Dolmant uśmiechnął się słabo.

— Jeden z nas powstanie i powie: „sprawa wagi zasadniczej”.

— A czy nas nie przegłosują?

— Ależ nie, mój drogi Komierze — zachichotał Emban. — Głosowanie dla ustalenia czy sprawa jest natury zasadniczej, czy nie, samo już jest sprawą zasadniczej natury. Dolmancie, zdaje się, że go mamy. Ten jeden brakujący głos stanie mu na drodze do tronu arcyprałata.

— Chyba że zdobędzie jakieś pieniądze — zauważył Dolmant — albo umrą kolejni patriarchowie. Talenie, ilu z nas musiałby zabić, aby wygrać?

— Najlepiej gdyby zabił was wszystkich. — Talen uśmiechnął się bezczelnie.

— Zachowuj się przyzwoicie! — warknął Berit.

— Przepraszam, zdaje się, że powinienem był dodać „wasze świątobliwości”. Annias musiałby całkowitą liczbę głosów zmniejszyć co najmniej o dwa, żeby mieć potrzebne sześćdziesiąt procent, wasza świątobliwość.

— Jesteśmy zmuszeni w takim razie przydzielić rycerzy do ochrony lojalnych patriarchów — powiedział mistrz Abriel — a to uszczupli liczbę ludzi szukających brakujących członków hierarchii. Wszystko zaczyna się obracać wokół przejścia kontroli nad ulicami. Bardzo potrzebujemy obecności króla Warguna.

Emban popatrzył na cyrinitę oszołomiony, nie rozumiejąc o czym mowa.

— Wpadliśmy na ten pomysł w Demos — wyjaśnił Abriel. — Annias zastraszył patriarchów, ponieważ ulice Chyrellos roją się od gwardzistów. Sytuacja ulegnie zmianie, jeżeli któryś z was — ty, wasza świątobliwość, lub patriarcha Dolmant — ogłosicie stan kryzysu wiary i rozkażecie Wargunowi, by zaniechał działań w Arcium oraz przywiódł wojska do Chyrellos. Wtedy sytuacja zmieni się na naszą korzyść; to my będziemy mogli zastraszać.

— Abrielu — jęknął Dolmant — arcyprałata nie wybieramy przez zastraszenie.

— Cóż... w takim świecie żyjemy, wasza świątobliwość — pokiwał głową sędziwy mistrz Abriel. — To Annias wybrał reguły gry, więc ich przestrzegajmy.

A może masz inny komplet kości?

— Poza tym — dodał Talen — zdobędziemy przynajmniej jeden głos więcej.

— Co ty mówisz, chłopcze? — zdziwił się Dolmant.

— Wraz z armią Warguna przybędzie patriarcha Bergsten. Chyba go nakłoni-
my, by odpowiednio głosował?

— Dolmancie, siadajmy więc i ułożmy wspólnie list do króla Thalesii — za-
proponował Emban.

— Tak, Embanie, bierzmy się do dzieła. To również powinniśmy chyba zachować w tajemnicy. Sprzeczne rozkazy od innych patriarchów mogłyby Warguna tylko wprawić w zakłopotanie, a on i tak ma dosyć kłopotów.

Rozdział 8

Sparhawk był bardzo zmęczony, ale nie mógł zapaść w głęboki sen. Drzemał. Głowa mu pękała od liczb. Sześćdziesiąt dziewięć przechodziło w siedemdziesiąt jeden, a potem w osiemdziesiąt i z powrotem: dziewięć i siedemnaście... nie, piętnaście czało się złowieszczo pod powiekami. Zaczął tracić świadomość znaczenia cyfr, a one stały się po prostu figurami matematycznymi odzianymi w zbroję. Groziły mu trzymaną w dłoniach bronią. I jak zwykle podczas snu nawiedził go cień. Nic nie robił; jedynie patrzył i czekał.

Sparhawk nie przepadał za polityką. W wyobraźni porównywał wszystko z polem bitwy, a tam najbardziej liczyły się nieprzećiętna siła, odwaga i umiejętność posługiwania się bronią. W polityce najszabszy był równy najsilniejszemu. Błada dłoń uniesiona z drzeniem w czasie głosowania ma moc równą zbrojnej pięści. Instykt podpowiadał rycerzowi, że rozwiązanie problemu powinien szukać w swym mieczu, ale zabicie prymsa Cimmury, gdy cesarz Otha czeka ze swą armią grożąc atakiem na Wschodnie Marchie, doprowadziłoby do rozbitcia Zachodu.

W końcu dał za wygraną. Cicho, żeby nie obudzić Kaltena, zsunął się z posłania. Narzucił mnisi habit i powędrował ciemnymi korytarzami do komnaty Dolmanta.

Przed kominkiem, w którym z trzaskiem płonął niewielki ogień, siedziała Sephrena z filiżanką herbaty w dłoni. W oczach Styriczki czała się tajemnica.

— Dręczy cię niepokój, mój drogi? — szepnęła.

— A ciebie nie? — Rycerz westchnął i opadł na fotel, wyciągając przed siebie długie nogi. — Nie pasujemy do tego, mateczko, żadne z nas nie pasuje. Zmiana liczb nie przyprawia mnie o radosne bicie serca, a ty nie przekonuj, że rozumiesz, co w ogóle te liczby znaczą. Skoro nawet nie czytacie, to nikt z was pewnie nie jest w stanie pojąć liczby większej od sumy palców u rąk i nóg.

— Próbujesz mnie obrazić, Sparhawk?

— Nie, mateczko, nigdy bym sobie nie pozwolił na podobną nieuprzejmość w stosunku do ciebie. Wybacz. Jestem w kiepskim humorze. Prowadzę wojnę, której nie rozumiem. Czemu nie wzniesiemy czegoś w rodzaju modlitwy do Aph-

rael, prosząc ją, by pewni członkowie hierarchii zmienili swą decyzję? To byłoby ładne, proste rozwiązanie i pewnie oszczędziłoby rozlewu krwi.

— Aphrael nie uczyni tego, mój drogi.

— Obawiałem się, że tak powiesz. Pozostaje nam wobec tego niemiła perspektywa uczestniczenia w cudzej zabawie, prawda? Nie przeszkadzałyby mi to zbytnio, gdybym trochę lepiej rozumiał jej reguły. Szczerze mówiąc, wolę miecz i ocean krwi. — Zamilkł na chwilę. — No dalej, powiedz to, mateczko.

— Co powiedzieć?

— Westchnij, przewróć oczyma i powiedz swym pełnym rozpacz głosem: „Eleni”.

Czarodziejka spojrzała na niego twardo.

— Zachowujesz się co najmniej nieodpowiednio, Sparhawk.

— Tylko się z tobą droczę. — Rycerz posłał jej ciepły uśmiech. — Chyba wybaczysz mi tę odrobinę złośliwości, wszak wiesz, jak wielkim cię darzę uczuciem.

Do komnaty wszedł cicho patriarcha Dolmant. Był wyraźnie zaniepokojony.

— Czy dzisiejszej nocy nikt nie śpi? — zapytał.

— Czeka nas jutro wielki dzień, wasza świątobliwość — odrzekł Sparhawk.

— Czy dlatego i ty nie śpisz?

Dolmant potrząsnął głową.

— Zachorował mój kucharz. Nie wiem czemu służący posłali po mnie. Nie jestem przecież medykiem.

— To się chyba nazywa wiarą, wasza świątobliwość — powiedziała Sephrenia życzliwie. — Ci prości ludzie sądzą, że utrzymujesz specjalne kontakty z Bogiem Elenów. Jak ma się ten biedny kucharz?

— Dolegliwość zdaje się całkiem poważna. Nie najlepszy z niego kucharz, ale posłałem po medyka. Sparhawk, co naprawdę wydarzyło się w Cimmurze?

Rycerz pokrótce naszkicował przebieg wydarzeń i najważniejsze elementy spowiedzi Lycheasa.

— Cesarz Zemochu Otha?! — wykrzyknął Dolmant. — Czy Annias faktycznie posunął się aż tak daleko?

— Nie możemy tego jeszcze dowieść, wasza świątobliwość, ale nie zaszkodzi wspomnieć o tym w obecności prymasa. To mogłoby go wytrącić nieco z równowagi. A wracając do tematu, na rozkaz królowej Ehlany uwięziliśmy Lycheasa i Arissę w klasztorze w pobliżu Demos i mam przy sobie pokaźny plik nakazów aresztowania dla różnych ludzi oskarżonych o zdradę stanu. — Zamilkł na chwilę. — To jest myśl! Możemy wkroczyć na czele rycerzy do bazyliki, zaaresztować Anniasa i zabrać go z powrotem do Cimmury w łańcuchach. Przed naszym odjazdem królowa Ehlana z wielką powagą rozważała kwestie wieszania i ścinania.

— Nie możesz zabrać Anniasa z bazyliki — skrzywił się Dolmant. — To jest kościół, a każdy święty przybytek jest miejscem azylu dla wszystkich winnych cywilnych przestępstw.

— Szkoda — mruknął Sparhawk. — Kto przewodzi w bazylice stronnictwem Anniasa?

— Makova, patriarcha Coombe. Przez ostatni rok w zasadzie kontrolował sytuację. Makova to sprzedajny osioł, lecz jest ekspertem prawa kościelnego. Zna setki wybiegów i kruczków prawnych.

— Czy Annias uczestniczy w spotkaniach?

— Tak, przez większość czasu. Lubi liczyć na bieżąco rozkład głosów. W wolnych chwilach stara się pozyskać neutralnych patriarchów. Tych dziewięciu ludzi jest bardzo sprytnych. Nigdy się jasno nie wypowiedzieli i otwarcie nie przystali na jego propozycję. Odpowiedzą swymi głosami. Czy chciałabyś obserwować naszą rozgrywkę w bazylice, Sephrenio? — zapytał Dolmant z lekką ironią.

— Dziękuję za propozycję, ale nie — odmówiła czarodziejka. — Tym bardziej że większość Elenów jest święcie przekonana, iż jeżeli kiedykolwiek Styrik przekroczy próg bazyliki, świątynia legnie w gruzach. Nie lubię być opluwana, więc chyba lepiej będzie, gdy zostanę.

— O jakiej porze zwykle zaczynają się obrady? — zainteresował się Sparhawk.

— Różnie — odparł Dolmant. — Posiedzeniom hierarchii przewodzi Makova. Przeszedł zwykłą większością głosów. Popisuje się swoją władzą. Zwołuje spotkanie wedle własnego widzimisię, a posłańcy, roznoszący wezwania, dziwnym zrządzeniem losu zawsze gubią drogę do tych z nas, którzy są przeciwni Anniasowi. Myślę, że Makova zacznie rozgrywkę próbując przeprowadzić głosowanie w sprawie natury zasadniczej, gdy reszta z nas będzie jeszcze w łózkach.

— A jeżeli zarządzi głosowanie w środku nocy? — zapytała Sephrenia.

— Nie może tego uczynić. Kiedyś, w zamierzchłej przeszłości, pewien patriarcha, nie mając nic lepszego do roboty, skodyfikował zasady dotyczące obrad hierarchów. Historia mówi, że ten stary nudziarz miał obsesję na punkcie nic nie znaczących szczegółów. To on jest odpowiedzialny za bzdurną zasadę stu głosów — lub sześćdziesięciu procent — w przypadku sprawy zasadniczej natury. On również — pewnie z czczego kaprysu — ustalił zakaz obrad po zmierzchu. Wiele z jego praw dotyczyło zwykłych błahostek, ale ów patriarcha przemawiał przez całe sześć tygodni i w końcu inni hierarchowie, pragnąc, aby umilkł, głosowali za przyjęciem jego wniosków. — Dolmant w zamyśleniu gładził się po policzku. — Być może beatyfikuję tego osła, jak będziemy już mieć to wszystko za sobą. Ustalone przez niego śmieszne i drobiazgowo prawa mogą być w obecnej sytuacji jedynym sposobem na utrzymanie Anniasa z dala od tronu. W każdym razie, na wszelki wypadek musimy o świcie być na sali obrad. Prawdę mówiąc, to próba małego odwetu. Zwykle Makova nie wstaje wcześniej, ale przez ostatnie kilka tygodni wspólnie z nami witał słońce. W przypadku gdy przewodniczący obradom jest nieobecny, hierarchowie wybierają nowego i zaczynają debatę. Marzę o takiej sytuacji. Moglibyśmy wtedy przeprowadzić wszystkie niewygodne głosowania.

— A czy potem Makowa nie przeprowadziłby ponownego głosowania? — zapytała czarodziejka.

Dolmant wykrzywił usta w złośliwym grymasie.

— Głosowanie w sprawie powtórnego głosowania jest sprawą natury zasadniczej, Sephrenio, a on nie ma do tego dostatecznej liczby głosów.

W tym momencie rozległo się pełne szacunku pukanie. Patriarcha otworzył drzwi i chwilę rozmawiał ze służącym.

— Kucharz umarł — powiedział nieco wstrząśnięty. — Zaczekajcie tu chwilę. Medyk chce się ze mną widzieć.

— Dziwne — mruknął Sparhawk.

— Ludziom zdarza się umierać z przyczyn naturalnych, Sparhawk — rzekła Sephrenia.

— W moim zawodzie nie zdarza się to często.

— Może był już stary.

Dolmant wrócił z pobladłym obliczem.

— Otruto go!

— Co takiego?! — wykrzyknął Sparhawk z niedowierzaniem.

— Mój kucharz został otruty i medyk odkrył, że trucizna była w owsiance, którą przygotowywał na śniadanie. Użyto tak silnego jadu, że owsianka mogła uśmiercić wszystkich w tym domu.

— Tak więc przemyśl swoje stanowisko w sprawie aresztowania Anniasa, wasza świątobliwość — rzekł Sparhawk ponuro.

— Nie przypuszczasz chyba. . . — Dolmant przerwał i tylko patrzył na rycerza szeroko otwartymi oczyma.

— On już maczał palce w otruciu Aldreasa i Ehlany, wasza świątobliwość — tłumaczył Sparhawk. — Wątpię, czyby stanęła mu kością w gardle śmierć kilku patriarchów i kilkunastu Rycerzy Kościoła.

— Ten człowiek to potwór! — Dolmant sypnął przekleństwami, które bardziej byłyby na miejscu w koszarach niż w siedzibie duchownego.

— Poproś Embana, aby doniósł o tym lojalnym wobec nas patriarchom, Dolmancie — poradziła Sephrenia. — Zdaje się, że Annias wybrał najtańszy sposób na wygranie wyborów.

— Pójdę obudzić innych. — Sparhawk podniósł się z fotela. — Chcę im o tym opowiedzieć, a i przywdzianie zbroi zabiera nieco czasu.

Było jeszcze ciemno, gdy wyruszyli do bazyliki. Towarzyszyło im po piętnastu zbrojnych rycerzy z każdego zakonu. Uznali, że sześćdziesięciu Rycerzy Kościoła stanowi siłę, z którą nie każdy miałby ochotę się zmierzyć.

Niebo na wschodzie znaczyły pierwsze blade promienie. Dotarli do olbrzymiej świątyni zwieńczonej kopułą. Ta majestatyczna budowla wznosiła się w duchowym i geograficznym centrum Świętego Miasta. Nie przeszło bez echa przybycie do Chyrellos kolumny zbrojnych Rycerzy Kościoła wszystkich czterech za-

konów. Oświetlony pochodniami portal z brązu, wiodący na rozległy podwórzec bazyliki, był strzeżony przez stu pięćdziesięciu gwardzistów w czerwonych mundurach. Dowodził nimi ten sam kapitan, który wiele miesięcy temu z rozkazu Makovy próbował przeszkodzić Sparhawkowi i jego towarzyszom w wyruszeniu z siedziby Zakonu Pandionu do Borraty.

— Stać! — krzyknął niegrzecznie, a nawet obraźliwie.

— Czyżbyś chciał zabronić wjazdu do świątyni patriarchom Kościoła, kapitanie? — zapytał mistrz Abriel spokojnie. — Wiesz przecież, iż tym samym narażasz swą duszę.

— Kark też — mruknął Ulath do Tyniana.

— Patriarchów Dolmanta i Embana nie zatrzymuję — powiedział oficer tonem pełnym pychy. — Żaden prawowierny syn Kościoła nie może odmówić im prawa wjazdu.

— A co z innymi patriarchami, dzielny żołnierzu? — zapytał Dolmant.

— Nie widzę innych patriarchów, wasza świątobliwość.

— Ponieważ nie patrzysz zbyt uważnie, kapitanie — powiedział Emban. — Zgodnie z prawem kościelnym mistrzowie zakonów rycerskich także są patriarchami. Odsuń się i pozwól nam przejechać.

— Nie słyszałem o takim prawie.

— Czyżbyś chciał zarzucić mi kłamstwo, kapitanie? — Dobroduszna zwykle twarz Embana zastygła jak wykuta z granitu.

— Och nie, naprawdę nie, wasza świątobliwość. Czy mogę w tej sprawie naradzić się ze swym dowódcą?

— Nie możesz. Ustąp z drogi.

Kapitan spocił się jak ruda mysz.

— Dziękuję waszej wielbności za wyprowadzenie mnie z błędu — wystękał.

— Nie byłem świadom, że mistrzowie także zaliczają się do stanu duchownego. Przed wszystkimi patriarchami droga stoi otworem. Pozostali jednak, obawiam się, muszą poczekać na zewnątrz.

— Jeżeli ma zamiar nas do tego zmusić, to słusznie się obawia — zazgrzytał zębami Ulath.

— Kapitanie — ozwał się tubalnym głosem mistrz Komier — czyż każdemu patriarsze nie przysługuje posiadanie personelu administracyjnego?

— Z całą pewnością, szlachetny panie... to znaczy wasza świątobliwość.

— Ci rycerze wchodzą w skład naszego personelu. Pełnią funkcje sekretarzy i różne podobne. Skoro odmawiasz im prawa wjazdu, oczekuję, że w tej chwili bazylikę opuści długa procesja ubranych na czarno podwładnych innych patriarchów.

— Wasza świątobliwość, nie mogę pozwolić, by zbrojni mężowie wkroczyli do bazyliki — upierał się kapitan.

— Ulathu! — zawołał Komier.

— Pozwól, wasza świętobliwość, mnie to załatwić — wtrącił Bevier. W prawej dłoni trzymał przerażającą halabardę. — Spotkaliśmy się już kiedyś z kapitanem. Być może uda mi się go przekonać. — Młody cyrinita pchnął konia do przodu. — Nigdy wprowadzie nie byliśmy w zbyt zażyłych stosunkach, kapitanie — powiedział — jednak błagam cię, byś nie narażał swej duszy występując przeciwko naszemu Świętemu Ojcu, Kościołowi. Czy mając to na uwadze nie zechciałbyś dobrowolnie ustąpić drogi, zgodnie z wolą Kościoła?

— Nie zechciałbym! — oficer odzyskał nagle swą butę.

Bevier westchnął z żalem i niedbałym ruchem halabardy posłał głowę kapitana w powietrze. Niekiedy podejmował drastyczne kroki, zawsze jednak upewniał się, że ma po temu ważki powód natury teologicznej. Jego oblicze nadal było pogodne i wolne od niepokoju. Nawet widok pozbawionego głowy ciała kapitana, które jeszcze przez moment stało wyprostowane, nie zakłócił jego spokoju. Gdy ciało w czerwonym mundurze upadło na bruk, Bevier skwitował to jedynie westchnieniem.

Gwardziści gapili się z przerażeniem. Kiedy wreszcie oprzytomnieli, sięgnęli po broń, wrzeszcząc z przerażenia.

— Miara się przebrała. Zaczynamy. — Tynian sięgnął po miecz.

— Drodzy bracia — spokojnym, acz rozkazującym tonem zwrócił się Bevier do gwardzistów — byliście właśnie świadkami prawdziwie nieszczęsnego zdarzenia. Żołnierz Kościoła świadomie odmówił wykonania prawomocnego rozkazu. Połączmy się teraz w modlitwie, która pozwoli miłosiernemu Bogu wybaczyć kapitanowi straszliwą winę. Klękajcie, drodzy bracia, i módlcie się. — Otrząsnął halabardę z krwi, opryskując przy tym kilku gwardzistów.

Zrazu tylko kilku opadło na kolana, potem coraz więcej, a w końcu wszyscy gwardziści klęczeli na bruku.

— Boże! — Bevier poprowadził ich modły. — Błagamy Cię, Panie, abyś zechciał przyjąć duszę naszego drogiego brata, który nas właśnie opuścił, i abyś wybaczył mu, Panie, jego winy... Módlcie się dalej, bracia — polecił klęczącym gwardzistom. — Módlcie się nie tylko za waszego byłego kapitana, ale również za siebie, żeby nigdy w waszych sercach nie zagościło grzeszne kręactwo i chytrość, które zawładnęły jego duszą. Krzepko stójcie na straży swej niewinności i pokory, aby oszczędzony był wam los biednego kapitana. — Po tych słowach cyrinita w srebrzystej zbroi, nakrytej śnieżnobiałą szatą wierzchnią i płaszczem, ruszył powoli, kierując koniem pomiędzy szeregami klęczących żołnierzy. Jedną ręką rozdawał błogosławieństwa, w drugiej dzierżył halabardę.

— Mówiłem ci, że to dobry chłopak — mruknął Ulath do Tyniana, gdy podążali za świętobliwie uśmiechniętym Bevierem.

— Nawet przez moment w to nie wątpiłem, mój milczący druhu — odparł Tynian.

— Mistrzu Abrielu — powiedział patriarcha Dolmant, jadąc pośród klęczą-

cych żołnierzy, z których wielu nawet szlochało — czy rozmawiałeś ostatnio z panem Bevierem o zasadach wiary? Mogę się mylić, ale zdaje się, że zauważyłem u niego pewne odchylenia od nauki naszego świętego Kościoła.

— Przeegzaminuję go bardzo szczegółowo w tej materii, wasza świątobliwość, gdy tylko będę miał ku temu okazję.

— Nie ma pośpiechu, bracie — oznajmił dobrotliwie Dolmant. — Nie wydaję mi się, aby jego duszy coś zagrażało. Straszliwą bronią władza, prawda?

— Tak, wasza świątobliwość — przyznał Abriel — w istocie jest ona straszliwa.

Wiść o nagłym zgonie opornego kapitana rozeszła się szybko. Przy masywnych wrotach bazyliki nie napotkali żadnego oporu ze strony gwardzistów — prawdę mówiąc, zdawało się, że w pobliżu nie było żadnych gwardzistów. Zbrojni mężowie zsiadli z koni, uformowali zwartą kolumnę i weszli za swymi mistrzami i dwoma patriarchami do przestronnej nawy. Rozległ się głośny szcęk, gdy cała grupa przyklękła krótko przed ołtarzem. Potem pomaszerowali oświetlonymi świecami korytarzem w kierunku pomieszczeń administracyjnych i sali audiencyjnej arcyprałata.

Ludzie pełniący wartę przed wejściem do komnaty nie byli gwardzistami; należeli do przybocznej straży arcyprałata. Byli wierni samemu urzędowi i całkowicie nieprzekupni. Trzymali się sztywno litery prawa kościelnego, które znali pewnie o wiele lepiej niż wielu patriarchów zasiadających w tej sali. Natychmiast uznali mistrzów czterech zakonów za dostojników Kościoła. Odrobinę dłużej trwało, nim zrozumieli, dlaczego pozostałym członkom orszaku powinni pozwolić na wejście. Gruby i szczywany patriarcha Emban, dysponujący niemal encyklopedyczną wiedzą z zakresu prawa kościelnego i zwyczajowego, zwrócił im uwagę na fakt, iż każdy duchowny posiadający właściwe uprawnienia może na zaproszenie patriarchy wejść do sali obrad. Następnie, gdy już strażnicy przyznali mu w tym względzie rację, Emban delikatnie wskazał na fakt, iż Rycerze Kościoła, będący przecież członkami zakonów, są osobami duchownymi. Po rozważeniu tego, strażnicy przyznali rację Embanowi i ceremonialnie otworzyli olbrzymie drzwi. Sparhawk zauważył kilka słabo skrywanych uśmiechów, kiedy wraz z przyjaciółmi wchodził do sali audiencyjnej. Jakkolwiek strażnicy byli nieprzekupni i neutralni, widocznie mieli własne zdanie.

Komnata była wielkości przeciętnej sali tronowej. W głębi, na osłoniętym purpurowymi draperiami podwyższeniu stał masywny, ozdobny tron ze złota. Po obu stronach sali wznosiły się rzędy ław o wysokich oparciach. Pierwsze cztery rzędy, wyściełane karmazynowo, były zarezerwowane dla patriarchów. Ponad nimi, oddzielone aksamitnymi linami barwy głębokiej purpury, znajdowały się galerie dla obserwatorów. Przed tronem, przy ozdobnym pulpicie stał patriarcha Coombe, Makova. Wygłaszał właśnie monotonną, pełną napuszonych zwrotów mowę. Na dźwięk otwieranych drzwi odwrócił się, ukazując wchodzącym szczupłą, ospo-

watą i najwyraźniej zaspaną twarz.

— Co to ma znaczyć? — zapytał z oburzeniem.

— Nic nadzwyczajnego, Makovo — odparł patriarcha Emban. — Przyprowadziliśmy jedynie z Dolmantem na obrady kilku z naszych braci, patriarchów.

— Nie widzę żadnych patriarchów — warknął Makova.

— Och, Makovo, czyżbyś nie wiedział, że mistrzowie zakonów rycerskich są nam równi rangą, a co za tym idzie, są członkami hierarchii?

Makova rzucił szybkie spojrzenie na chudego, wysokiego mnicha siedzącego za stołem niewidocznym niemal spod grubych ksiąg i starodawnych zwojów.

— Czy zgromadzeni mogą usłyszeć, co ma do powiedzenia w tej sprawie biegły w prawie mnich? — zapytał.

W sali rozległ się pełen aprobaty pomruk, jednakże wyraz konsternacji na twarzach niektórych patriarchów dobitnie świadczył o tym, iż doskonale znali odpowiedź. Chudy mnich przejrzał kilka opasłych tomów, następnie wstał, odchrząknął i przemówił skrzekliwym głosem:

— Jego świętobliwość patriarcha Ucery prawidłowo zacytował kodeksy. Mistrzowie zakonów rycerskich są w istocie członkami hierarchii i imiona obecnie piastujących te funkcje zostały wpisane w poczet członków tego ciała. Od około dwustu lat mistrzowie nie uczestniczyli w obradach, ale mimo to ich status nie uległ zmianie.

— Prawo, z którego się nie korzysta, przestaje obowiązywać — rzucił gniewnie Makova.

— Obawiam się, że nie jest to całkowicie zgodne z prawdą, wasza świętobliwość — sprzeciwił się mnich. — Historia zna wiele precedensów ponownego uczestniczenia w obradach. Pewnego razu patriarchowie królestwa Arcium w wyniku dyskusji nad właściwymi szatami liturgicznymi odmawiali udziału w obradach hierarchii przez osiemset lat i...

— Dobrze, dobrze — przerwał mu rozeźlony patriarcha Coombe — ale ci uzbrojeni skrytobójcy nie mają prawa tu być. — Oskarżycielsko wskazał palcem rycerzy.

— Znowu jesteś w błędzie, Makovo — zabrał głos Emban. — Rycerze Kościoła są wszak członkami religijnych zgromadzeń. Składają równie wiążące śluby jak my. Tym samym są duchownymi i mogą występować w roli obserwatorów — pod warunkiem, że zostali zaproszeni przez uczestniczącego w obradach patriarchę. — Odwrócił się. — Bracia, czy bylibyście łaskawi przyjąć moje zaproszenie?

Makova zerknął na uczonego mnicha, a ten skinął twierdząco głową.

— Wiesz, co mnie dręczy, Makovo? — Emban nie skrywał złości. — Rycerze Kościoła mają takie samo prawo być tu obecni jak i ten krętacz Annias. Zauważyłem, że siedzi otoczony niezasłużonym splendorem na północnej galerii i przygryza z trwogi dolną wargę.

— Embanie, posunąłeś się za daleko!
— Nie sędzę. A może tak zagłosujemy, żeby sprawdzić, na ile utraciłeś poparcie? — Emban rozejrzał się po sali. — Ale przerwaliśmy obrady. Proszę, bracia patriarchowie i wy, drodzy goście, zajmijmy miejsca, aby hierarchowie mogli kontynuować swe czcze obrady.
— Czcze?! — wrzasnął Makova.
— Całkowicie czcze. Wszak wszystko co postanowimy teraz, po śmierci arcyprałata Cluvonusa nie będzie miało żadnego znaczenia. Najzwyczajniej zabijamy czas, a przy okazji oczywiście staramy się zasłużyć na wypłatę.
— A to ci dopiero kąśliwy braciszek! — szepnął Tynian z uznaniem do Ulatha.
— Niezły jest! — Rosły genidianita pełen podziwu patrzył na tłuścioszka Embana.
Sparhawk doskonale wiedział, dokąd się udać.
— Chodź ze mną — polecił cicho Talenowi, którego wpuszczono zapewne przez pomyłkę.
— Gdzie idziemy?
— Pograć na nerwach staremu przyjacielowi. — Sparhawk uśmiechnął się ponuro.
Poprowadził chłopca schodami na górną galerię, gdzie za pulpitem siedział wychudzony prymas Cimmury w otoczeniu swych czarno odzianych pochlebców. Sparhawk i Talen zasiedli w ławie znajdującej się tuż za Anniasem. Rycerz spostrzegł, że Ulath, Berit i Tynian podążają za Dolmantem i Embanem, którzy odprowadzali mistrzów na ich miejsca w pierwszych rzędach, zamachał więc ostrzegawczo. Wiedział, że Annias w momencie zaskoczenia mógłby się z czymś zdradzić. Chciał sprawdzić, czy jego wróg nie był zamieszany w próbę masowego otrucia, która tego ranka miała miejsce w domu Dolmanta.
— Czy możliwe, aby to był prymas Cimmury? — powiedział z udawanym zdziwieniem. — Na Boga, co robisz tak daleko od domu, wasza wielbność?
Annias odwrócił się i wlepił w niego oczy.
— Co zamyślasz, Sparhawku?
— Jedynie obserwuję. — Pandionita zdjął hełm i włożył do niego rękawice. Odpiął tarczę i odpasał miecz. — Czy nie będzie ci to przeszkadzać, ziomku? — zapytał łagodnie. — Trudno siedzieć wygodnie mając na sobie cały rynsztunek. — Usiadł. — Jak się masz, wielbny księżu prymasie? Nie widziałem cię od miesięcy. — Po chwili dodał: — Trochę marnie wyglądasz, Anniasie. Powinieneś zażywać więcej ruchu na świeżym powietrzu.
— Ucisz się! — syknął Annias. — Chcę słuchać obrad.
W reakcji prymasa nie było nic nadzwyczajnego i Sparhawk zaczął tracić pewność co do jego winy.
— Oczywiście — powiedział. — Możemy później uciąć sobie miłą pogawędkę.

Zwrócił uwagę na toczącą się w sali debatę.

— Ostatnio miało miejsce kilka wydarzeń — mówił Dolmant — i czuję się zobowiązany wam o nich donieść, bracia, o ile mi oczywiście na to łaskawie pozwolicie. Co prawda, do nas należy zgłębianie spraw odwiecznych, ale przecież żyjemy na tym świecie i to, co się wokół nas dzieje, nie powinno umykać naszej uwagi.

Makova popatrzył pytająco na Anniasa. Prymas Cimmury sięgnął po pióro i kawałek papieru. Sparhawk zajął mu przez ramię. Annias napisał na kartce krótką instrukcję: „Pozwól mu mówić”.

— Jakież to męczące, nieprawda, wielebny księżu prymasie? — odezwał się Sparhawk uprzejmie. — O wiele wygodniej byłoby, gdybyś mógł sam zabrać głos, czyż nie?

— Kazałem ci się uciszyć! — syknął znowu Annias, podając notkę młodemu mnichowi, aby zaniósł ją Makowie.

— Ależ jesteście drażliwi tego ranka. . . Dobrze spałeś ostatniej nocy, Anniasie?

Prymas odwrócił się i wbił wzrok w dręczyciela.

— A to kto? — zapytał wskazując na Talena.

— Mój paż, jedno z obciążeń, jakie nakłada na mnie rycerski stan. Zastępuje mi giermka, gdy ten ma inne zajęcia.

Makova rzucił okiem na notkę.

— Zawsze chętnie słuchamy słów uczonego patriarchy Demos — oznajmił wyniośle — ale proszę, by wasza świątobliwość nie przeciągał swoich wywodów. Czekają nas ważne sprawy — dodał i odszedł od pulpitu.

— Dziękuję, Makovo, — Dolmant zajął zwolnione miejsce. — A zatem, krótko mówiąc, w wyniku całkowitego powrotu do zdrowia królowej Ehlany, sytuacja polityczna w królestwie Elenii uległa radykalnej zmianie i. . .

W sali rozległy się pełne zdumienia okrzyki oraz szmer zmieszanych głosów. Sparhawk, nadal pochylony nad oparciem Anniasa, z przyjemnością obserwował, jak poblądły prymas zerwał się z ławy.

— To niemożliwe! — wykrzyknął duchowny.

— Zdumiewające — dodał Sparhawk za jego plecami — i zupełnie nieoczekiwane. Jestem pewien, że z przyjemnością dowiesz się, iż królowa przesyła ci życziwe pozdrowienia.

— Wyjaśnij nam to bliżej, Dolmancie! — prawie krzyknął Makova.

— Staralem się, zgodnie z twoim życzeniem, Makovo, mówić zwięźle. Nie więcej niż tydzień temu królowa Ehlana ozdrowiała ze swej tajemniczej niemocy. Wielu uznało to za cud. Po jej uzdrowieniu wyszły na jaw pewne fakty i były księżę regent oraz jego matka znaleźli się w areszcie pod zarzutem zdrady stanu.

Annias niemal bezprzytomnie opadł na ławę.

— Radzie Królewskiej przewodniczy obecnie czcigodny i powszechnie szanowany hrabia Lenda — mówił dalej patriarcha Demos. — Z jego też pieczęcią zostały wydane nakazy aresztowania innych współuczestników spisku na życie władczyni Elenii. Obrońca Korony i Rycerz Królowej, dostojny pan Sparhawk, poszukuje tych łotrów i bez wątpienia dostarczy ich przed oblicze sprawiedliwości — ludzkiej albo boskiej.

— Baron Harparin powinien objąć przewodnictwo Rady Królewskiej Elenii — zaprotestował Makova.

— Baron Harparin stoi właśnie przed obliczem najwyższego sądu — oznajmił ze śmiertelnym spokojem Dolmant. — Został powołany na Sąd Ostateczny. Obawiam się, że ma nikłe szanse na uniewinnienie, więc powinniśmy wznosić modły za spokój jego duszy.

— Co mu się stało?

— Powiedziano mi, iż został przypadkowo pozbawiony głowy podczas zmiany władz Cimmury. Godne ubolewania, ale tego typu rzeczy czasami się zdarzają.

— Harparin? — Annias ledwo dyszał z przerażenia.

— Popełnił błąd sprzeciwiając się mistrzowi Vanionowi — szepnął mu Sparhawk do ucha — a ty wiesz, jak mistrza łatwo rozgniewać. Oczywiście potem Vanionowi było bardzo przykro, ale Harparin już leżał w dwóch kawałkach. Zupełnie zniszczył dywan w sali posiedzeń rady — sam rozumiesz, wasza wielbność, tyle krwi. . .

— Kogo jeszcze poszukujesz? — dopytywał się prymas.

— Nie mam przy sobie listy, ale jest na niej kilka znanych nazwisk, które z całą pewnością nie są ci obce.

Przy wejściu powstało zamieszanie i do sali wśliznęło się dwóch wystraszonych patriarchów, którzy pośpieszyli do wyścielanych czerwono ław. Uśmiechnięty szeroko Kalten postął chwilę w drzwiach, a potem wyszedł.

— Jak jest teraz? — szepnął Sparhawk do Talena.

— Tych dwóch zwiększyło całkowitą liczbę do stu dziewiętnastu — odszepnął Talen. — My mamy czterdzieści pięć, a Annias nadal sześćdziesiąt pięć. Teraz potrzebuje siedemdziesięciu dwóch głosów zamiast siedemdziesięciu jeden. Jesteśmy coraz bliżej, dostojny panie.

Sekretarz Anniasa był mniej biegły w rachunkach i wciąż nie mógł się doliczyć. Prymas Cimmury w notatce dla Makovy napisał tylko jedno słowo. Sparhawk, zaglądając mu przez ramię, przeczytał: „Głosowanie”.

Wniosek, który Makova przedstawił do oceny, był z gruntu niedorzeczny. Każdy o tym wiedział. Patriarcha Coombe zarządził głosowanie jedynie w celu uzyskania odpowiedzi na pytanie: Po czyjej stronie opowie się wystraszona grupka dziewięciu neutralnych patriarchów skupionych w pobliżu wyjścia? Po zliczeniu głosów zatrwożony Makova odczytał wynik. Cała dziewiątka jak jeden mąż głosowała przeciwko prymasowi Cimmury.

Wielkie podwoje znowu się otworzyły i weszło trzech zakapturzonych mnichów w czarnych szatach. Szli powoli, rytualnie. W ogromnej sali zapadła cisza. Mnisi doszli do podwyższenia, jeden z nich wyciągnął spod szaty złożoną czarną kapę i wszyscy trzej uroczyście przykryli nią tron. Oznajmili tym samym, iż arcyprałat Cluvonus wyzionął ducha.

Rozdział 9

— Jak długo miasto będzie pogrążone w żałobie? — zapytał Tynian Dolmanta, gdy po południu ponownie zebrali się w rezydencji patriarchy Demos.

— Tydzień. Potem nastąpi pogrzeb.

— I w tym czasie nic się nie będzie działo? — zapytał spowity błękitnym płaszczem alcjonita. — Nie będzie posiedzeń hierarchów?

Dolmant zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie. Powinniśmy poświęcić się teraz modłom i medytacjom.

— W tym czasie król Wargun pewnie dotrze do Chyrellos — powiedział mistrz Vanion z posepną miną. — Ale nasze kłopoty się nie skończyły. Annias nie ma już pieniędzy, a to oznacza, że z każdym dniem jego przewaga staje się coraz bardziej niepewna. Obawiam się, że zaczyna popadać w desperację, a desperaci zdolni są do nie przemyślanych posunięć.

— To prawda — zgodził się z Vanionem mistrz Komier. — Myślę, że w tej sytuacji Annias wywoła rozruchy. Będzie starał się utrzymać swe głosy przez zastraszenie. Spróbuje również zmniejszyć liczbę głosujących przez wyeliminowanie lojalnych nam patriarchów, dążąc do stanu, w którym będzie miał wymaganą większość głosów. Czas się obwarować. Trzeba naszych przyjaciół schować za solidnymi murami, gdzie zapewnimy im bezpieczeństwo.

— Całkowicie się z tym zgadzam — przyznał Abriel. — W obecnej sytuacji Annias zaatakuję.

— Czyja siedziba zakonu jest najbliżej bazyliki? — zapytał Emban. — Nasi przyjaciele, chcąc wziąć udział w obradach hierarchów, będą musieli defilować ulicami Świętego Miasta tam i z powrotem. Nie wystawiamy ich na większe niebezpieczeństwo niż to konieczne.

— Nasza siedziba jest najbliżej — rzekł Vanion. — Mamy też własną studnię. Po wydarzeniach dzisiejszego ranka wolałbym, aby Annias nie miał dostępu do naszej wody.

— A jakie macie zapasy? — spytał mistrz Darellon.

— Wystarczające do przetrwania sześciomiesięcznego oblężenia. Obawiam się jednak, że możemy zapewnić tylko żołnierskie racje, wasza świątobliwość —

usprawiedliwiał się mistrz pandionitów przed korpulentnym Embanem.

— No cóż... — westchnął patriarcha — i tak miałem zamiar zrzucić trochę wagi.

— To dobry plan — orzekł mistrz Abriel — ale ma swoje słabe strony. Jeżeli wszyscy się skupimy w jednym miejscu, gwardziści mogą nas otoczyć i będziemy uwięzieni. Jak wówczas dotrzemy do bazyliki?

— Wywalczymy sobie drogę — oznajmił tubalnym głosem mistrz Komier, zakładając hełm ozdobiony rogami ogra.

Abriel pokręcił głową.

— W czasie walki ludzie giną, Komierze. Głosowanie jest bardzo blisko. Nie możemy pozwolić sobie na stratę nawet jednego patriarchy.

— Nie wygramy bez rozlewu krwi — powiedział Tynian.

— Nie jestem tego taki pewien — odezwał się Kalten.

— Czy widzisz jakieś inne wyjście?

— Pozwolisz, wasza świątobliwość? — Kalten spojrzał na Dolmanta.

— Słuchamy. Jaki masz plan?

— Jeżeli Annias ucieknie się do użycia siły, będzie to jawnym pogwałceniem prawa. Mam rację?

— W zasadzie tak.

— A zatem, skoro on nie przestrzegałby prawa, to dlaczego my mamy to zrobić? Aby pozbyć się części gwardzistów, którzy oblegaliby siedzibę Zakonu Rycerzy Pandionu, wystarczyłoby jedynie znaleźć im coś ważniejszego do roboty.

— Znowu podpalić miasto? — zaproponował Talen.

— To trochę zbyt skrajne rozwiązanie, możemy jednak twoją propozycję trzymać w odwodzie. W chwili obecnej dla Anniasa sprawą największej wagi są głosy. Jeżeli zaczniemy kolejno eliminować przychylnych mu patriarchów, prymas ze wszech sił będzie starał się ochronić pozostałych. Mam rację?

— Kaltenie, nie pozwalam na rzeź patriarchów! — oświadczył wstrząśnięty Dolmant.

— Nie musimy nikogo zabijać, wasza świątobliwość. Wystarczy jedynie ich uwięzić. Annias jest dość bystry i z czasem zrozumie, co się dzieje.

— Musiałbyś przedstawić im jakieś zarzuty, panie Kaltenie — powiedział Abriel. — Choćby nie wiem jak nam to było na rękę, nie możesz bez powodu więzić patriarchów Kościoła.

— Ależ my dysponujemy wszelkiego rodzaju zarzutami, mistrzu Abrielu! Przyznasz jednak, że najmilej z nich wszystkich brzmi „zbrodnia przeciwko koronie Elenii”.

— Nie lubię, jak Kalten się mądrzy — wyznał Sparhawk Tynianowi.

— Polubisz to tym razem, Sparhawku. — Kalten gestem pełnym zadowolenia z siebie poprawił na ramionach czarny płaszcz. — Ile masz przy sobie nakazów aresztowania, które ci wystawił hrabia Lenda?

— Osiem, może dziesięć. Dlaczego pytasz?

— A czy mógłbyś się obyć jeszcze przez kilka tygodni bez towarzystwa niektórych spośród wymienionych tam z nazwiska ludzi?

— Bez większości z nich mógłby się pewnie obyć. — Sparhawk domyślał się już, do czego zmierza jego przyjaciel.

— A zatem wystarczy jedynie wpisać nowe nazwiska — rzekł triumfalnie Kalten. — Dokumenty są prawdziwe, więc nasze działania będą sprawiać wrażenie legalnych. Annias uczyni wszystko, by sprowadzić z powrotem kilku z przekupionych patriarchów, których zgarniemy i zaciągniemy do siedziby Zakonu Rycerzy Alcjonu. A tak się składa, że stoi ona na drugim końcu miasta. W tej sytuacji liczba gwardzistów zgromadzonych dookoła siedziby pandionitów powinna radykalnie zmaleć.

— Dziw nad dziwy! — mruknął Ulath. — Kalten wpadł na użyteczny pomysł.

— Plan byłby świetny, gdyby nie problem z wpisaniem nowych nazwisk — powiedział Vanion. — Nie możesz tak zwyczajnie wydrapać z oficjalnego dokumentu jednego imienia i zastąpić innym.

— Ja nic nie wspominałem o wydrapywaniu imion, mistrzu — skromnie oświadczył Kalten. — Kiedyś, jak jeszcze byliśmy nowicjuszami w zakonie, pozwoliłeś raz mnie i Sparhawkowi pojechać na kilka dni do domu. Napisałeś nam list, umożliwiający wyjazd za bramę. Tak się składa, że mamy ten list nadal. Skrybowie znają pewien specyfik pozwalający na wywabienie atramentu. Korzystają z niego, gdy się pomylą. W tym naszym liście data w tajemniczy sposób ciągle ulegała zmianie. Można by nawet powiedzieć — w cudowny sposób. No tak... Bóg chyba zawsze darzył mnie sympatią.

— Czy to skuteczna metoda? — zapytał Komier Sparhawka bez ogródek.

— Była skuteczna za czasów naszego nowicjatu, szlachetny panie — zapewnił go pandionita.

— Vanionie, i ty własnym mieczem pasowałeś tych dwóch na rycerzy? — zapytał sędziwy mistrz Abriel z niedowierzaniem.

— Owszem, ale tamtego dnia bytem chyba niezdrów i wiele rzeczy robiłem bez należnego zastanowienia.

Srogie oblicza zgromadzonych rozjaśniły się w jednej chwili.

— To absolutnie naganne, Kaltenie! — wykrzyknął Dolmant. — Musiałbym tego absolutnie zabronić, gdybym tylko sądził, że mówisz poważnie. A przecież to jedynie spekulacje, prawda, mój synu?

— Masz absolutnie rację, wasza świątobliwość.

— Byłem tego pewien. — Dolmant uśmiechnął się dobrotliwie, a nawet na bożnie, po czym mrugnął porozumiewawczo.

— Ty też, Dolmancie? — westchnęła Sephrenia. — Czy na całym świecie nie ma choć jednego uczciwego Elena?

— Ja na nic nie wyraziłem zgody, mateczko — zaprotestował patriarcha Demos z udaną niewinnością. — Tak sobie tylko żartujemy, nieprawdaż, panie Kaltenie?

— Ależ tak, wasza świątobliwość. To tylko czyste spekulacje. Nikt z nas nigdy nie rozważałby poważnie czegoś tak nagannego.

— Jestem dokładnie tego samego zdania — powiedział Dolmant. — Czy to cię uspokoiło, Sephrenio?

— Jako nowicjusz u pandionitów byłeś o wiele miłszy, Dolmancie — zgaśniła go czarodziejka.

Wszyscy w oszołomieniu patrzyli na patriarchę Demos.

— Och...! — zachnęła się Sephrenia, wodząc po nich wzrokiem; w kącikach jej ust czał się nikły uśmieszek. — Nie powinnam była tego powiedzieć, prawda, Dolmancie?

— Dlaczego mi to zrobiłaś, mateczko? — zapytał patriarcha Demos z boleścią w głosie.

— Musiałam. Zaczynałeś już być trochę za bardzo dumny z własnego sprytu. Moim obowiązkiem jako twojej nauczycielki — i życzliwej przyjaciółki — jest hamować tego typu zapędy.

Dolmant począł bębnić palcami po stole.

— Ufam, bracia, iż dochowacie tajemnicy?

— Nawet końmi z nas tego nie wyciągną! — Emban uśmiechnął się szeroko. — Jeśli o mnie chodzi, to nic nie słyszałem. Prawdopodobnie tak długo będzie to prawdą, jak długo nie będę czegoś od ciebie potrzebował.

— Czy byłeś dobrym pandionitą, wasza świątobliwość? — zapytał z respektem Kalten.

— Był najlepszy — powiedziała z pewną dumą Sephrenia. — Mógł nawet sprostać ojcu Sparhawk. Bardzo nas wszystkich zasmuciło, że Kościół powierzył mu pełnienie innych obowiązków. W chwili gdy Dolmant przyjął święcenia kapłańskie, zakon stracił świetnego rycerza.

Dolmant nadal spoglądał podejrzliwie na swoich towarzyszy.

— Myślałem, iż to zamknięta sprawa — westchnął. — Nie przypuszczałem nigdy, Sephrenio, że mnie zdradzisz.

— Nie ma się czego wstydzić, wasza świątobliwość — uspokajał mistrz Vanion.

— Ale z politycznego punktu widzenia to może się okazać niewygodne. Przynajmniej wy, bracia, trzymajcie języki za zębami.

— Tym się nie martw, Dolmancie — powiedział wylewnie Emban. — Będę miał na oku twoich przyjaciół, a gdy tylko zauważę, że któryś ma za długi język, natychmiast wyślę go do tego klasztoru w Cammorii, w mieście Zemba, w którym bracia ślubują milczenie.

— Zapamiętajmy sobie tę przestrożę — rzekł Vanion — a teraz do dzieła. Musimy zgromadzić przyjaznych nam patriarchów, a ty, Kaltenie, zacznij ćwiczyć się w fałszerstwie. Imiona na tych nakazach aresztu muszą być wpisane charakterem hrabiego Lendy. — Przerwał na chwilę i popatrzył w zamyśleniu na swego jasnowłosego podwładnego. — Weź lepiej do pomocy Sparhawk.

— Poradzę sobie, mistrzu.

Vanion pokręcił głową.

— Wątpię. Widziałem już próby twojej poprawnej pisowni.

— Nieudane? — zainteresował się Darellon.

— To było straszne, przyjacielu. Napisał raz sześcioliterowe słowo, w którym ani jedna litera nie była poprawna.

— Niektóre słowa mają trudną pisownię. . .

— Jego własne imię również?

— Nie możesz tego uczynić! — protestował piskliwym głosem patriarcha Cardos, gdy kilka dni później Sparhawk i Kalten odwiedzili go w pałacu. — Pod żadnym zarzutem nie możecie aresztować patriarchy w czasie, gdy odbywają się obrady hierarchii!

— Ale teraz hierarchia nie obraduje, wasza świątobliwość — zauważył Sparhawk. — Jest przerwa w debatach na czas żałoby.

— Nie mogę przecież być postawiony przed cywilnym sądem! Żądam, abys przedstawił te podejrzone zarzuty sądowi kościelnemu!

— Zabierz go — polecił krótko Sparhawk odzianemu w czarną zbroję Perrinowi.

Patriarchę Cardos wyciągnięto z komnaty.

— Czemu to trwało tak długo? — zapytał Kalten.

— Z dwóch powodów. Nasz więzień wcale nie był zaskoczony postawionymi mu zarzutami. Czyż nie?

— Tak, rzeczywiście nie był.

— Myślę, że Lenda pomiął kilka osób przy układaniu tej listy.

— Tego nigdy nie można wykluczyć. A jaki był ten drugi powód?

— Przesłanie Anniasowi wiadomości. Prymas chyba doskonale wie, że nie możemy mu nic zrobić, dopóki pozostaje w bazylice, prawda?

— Tak.

— A zatem, skoro nie możemy uczynić nic innego, to chociaż uwięźmy go tam, ograniczając mu swobodę ruchów. Jesteśmy mu coś winni choćby za tego otrutego kucharza.

— Jak zamierzasz to uczynić?

— Chodź ze mną i dobrze patrz.

— Czyż nie czynię tak zawsze?

Wyszli na dziedziniec przed pałac patriarchy. Sparhawk był pewien, że zbudowano go kosztem podatników.

— Rozważyliśmy z panem Kaltenem żądanie waszej świętobliwości dotyczące przesłuchania przez duchownego. Uzналиśmy za słuszną argumentację waszej świętobliwości. — Rosły pandionita począł kartkować plik nakazów.

— Więc zaprowadzicie mnie do bazyliki na przesłuchanie? — zapytał patriarcha z nadzieją.

— Hmm? — Sparhawk był pochłonięty czytaniem.

— Pytałem, czy zaprowadzicie mnie do bazyliki i tam przedstawicie te absurdalne zarzuty?

— Och nie, nie sądzę, wasza świętobliwość. To byłoby doprawdy zbyt kłopotliwe. — Sparhawk wyciągnął nakaz aresztowania prymasa Cimmury i pokazał Kaltenowi.

— Tak, to ten — powiedział Kalten. — To człowiek, którego nam trzeba.

Sparhawk zwinął nakaz i popukał się nim po brodzie.

— Oto co zrobimy, wasza świętobliwość — rzekł. — Zamierzamy zabrać cię do siedziby Zakonu Rycerzy Alcjonu i tam uwięzić. Przepięstwo zarzuciły ci władze królestwa Elenii. Postępowaniu w sprawach natury kościelnej powinna zatem przewodniczyć głowa Kościoła tego królestwa. A skoro pod nieobecność patriarchy Cimmury, spowodowaną złym stanem zdrowia, rolę tę pełni prymas Annias, więc to on powinien przewodniczyć przesłuchaniu. Dziwnie się sprawy układają, prawda? Zatem, ponieważ prymas Annias jest w tej sprawie właściwą instancją, dobrowolnie przekazemy mu waszą świętobliwość. Prymas będzie musiał jedynie opuścić bazylikę, przybyć do siedziby Zakonu Alcjonu i polecić nam, abyśmy cię przekazali. — Spojrzał na oficera w czerwonym uniformie, którego pilnował Perrain. — Kapitan straży waszej świętobliwość będzie doskonałym posłańcem. Może wasza świętobliwość zamieniłby z nim parę słów? Następnie wyślemy go do bazyliki, gdzie opowie o tym Anniasowi. Niech poprosi dobrego prymasa, aby nam złożył wizytę. Z największą przyjemnością spotkamy się z nim na neutralnym gruncie, prawda, Kaltenie?

— Jak najbardziej — przytaknął Kalten żarliwie.

Patriarcha Cardos rzucił im podejrzliwe spojrzenie, po czym szybko rozmówił się z kapitanem swej straży. Cały czas nie spuszczał jednak oka ze zrolowanego nakazu aresztowania, który Sparhawk trzymał w dłoni.

— Jak sądzisz, pojął, o co chodzi? — zapytał Kalten.

— Jestem o tym całkowicie przekonany. Zrobiłem wszystko; nie dałem mu jedynie tym nakazem po głowie.

Patriarcha Cardos wrócił ze ściągniętą gniewem twarzą.

— Jeszcze jedno, kapitanie — rzekł Sparhawk do gwardzisty, który szykował się do odejścia. — Czy byłbyś tak dobry przekazać od nas prymasowi Cimmury osobistą wiadomość? Powiedz mu, że Sparhawk, rycerz Zakonu Pandionu, za-

prasza go do zabawy na ulicach; niech opuści mury bazyliki i wyjdzie tu, gdzie pewne drobne ograniczenia nie będą nam psuły przyjemności.

Tego wieczoru wrócił Kurik. Wyglądał na znużonego. Znać po nim było trudy podróży. Berit przyprowadził go do komnaty Dolmanta i giermek z ulgą opadł na fotel.

— Byłbym trochę prędzej — usprawiedliwiał się — ale zrobiłem krótki postój w Demos, by zobaczyć Aslade i chłopców. Żona bardzo się krzywi, gdy przejeżdżam przez miasto nie zaglądając do domu.

— Jak się ma Aslade? — zapytał Dolmant.

— Utyła. Zdaje mi się, że w miarę jak przybywa jej lat, ubywa nieco zdrowego rozsądku. Była taka stęskniona, że zaciągnęła mnie na stryzek z sianem. — Giermek nieco zacisnął szczęki. — Musiałem potem przeprowadzić dłuższą rozmowę z chłopcami na temat ostów, którym pozwala się rosnać na naszej łące.

— Czy ty rozumiesz, o czym on mówi, Sparhawk? — Dolmant poczerwieśniał trochę.

— Tak, wasza świętobliwość.

— Ale nie zamierzasz chyba mi tego wyjaśniać, prawda?

— Nie, wasza świętobliwość, za żadne skarby. A jak tam królowa Ehlana? — zapytał swego giermka.

— Trudna. Uparta. Samolubna. Butna. Kapryśna. Wymagająca. Skryta. Mściwa. Po prostu przeciętna młoda królowa. Jednak ją lubię. Po pewnych względami przypomina mi małą Flecik.

— Nie prosiłem cię o jej charakterystykę, Kuriku, pytałem o jej zdrowie.

— Robi wrażenie zdrowej. Gdyby coś jej dolegało, nie mogłaby tak szybko biegać.

— Biegać?

— Wygląda na to, iż dręczy ją poczucie niedosytu. Stara się nadrobić prze-spiany czas. Pełno jej w każdym zakamarku pałacu. Myślę, że Lenda poważnie zastanawia się nad samobójstwem, a wszystkie pokojówki pogrążone są w rozpacz. Nie ukryjesz przed nią nawet pyłka kurzu. Kiedy władczyni już skończy te porządki, jej królestwo może nie będzie najlepiej urządzone na świecie, ale z całą pewnością będzie najschludniejsze. — Kurik sięgnął pod swą skórzaną kamizelę. — Masz — podał Sparhawkowi bardzo gruby pakiet pergaminu. — Napisała do ciebie list. Nie czytaj go pośpiesznie. Dwa dni zajęło królowej jego ułożenie.

— A jak zdaje egzamin nasz pomysł z gwardią narodową? — zapytał Kalten.

— Prawdę mówiąc, całkiem dobrze. Tuż przed moim odjazdem przybył pod mury miasta batalion gwardzistów. Ich dowódca żądał otwarcia bram, popełnił przy tym jednak błąd, gdyż stanął zbyt blisko murów. Kilku mieszkańców miasta coś na niego zrzuciło.

— Wrzącą smołę? — domyślił się Tynian.

— Nie, szlachetny panie Tynianie. — Kurik uśmiechnął się szeroko. — Dwóch ludzi zarabia opróżnianiem dołów kloacznych. Oficerowi dostał się owoc ich całodziennej pracy — prawie pełna beczka. Porucznik — czy kimkolwiek był — stracił głowę i rozkazał atak na bramę. Wtedy dopiero poleciały na nich kamienie i wrząca smoła. Gwardziści rozbili obóz w pobliżu miasta, aby przemyśleć sprawę, a późną nocą około dwudziestu spośród morderców Platima ześliznęło się po linach z muru i złożyło im wizytę. Następnego ranka gwardziści nie mieli już zbyt wielu oficerów. Przez pewien czas kręcili się jeszcze po okolicy, a potem odeszli. Myślę, Sparhawku, że twoja królowa jest zupełnie bezpieczna. Żołnierze nie grzeszą wyobraźnią i niekonwencjonalna taktyka wprawia ich duże zakłopotanie. Platim i Stragen przeżywają najwspanialsze chwile swego życia, a prostych ludzi zaczyna napawać duma z ich miasta. Doszło do tego, że nawet zamiatają ulice na wypadek, gdyby Ehlana udała się którąś z nich na poranną inspekcję.

— Ci durnie chyba nie pozwalają jej opuszczać pałacu?! — zawołał Sparhawk gniewnie.

— A kto ma ją zatrzymać? Uspokój się, Sparhawku, nic władczyni nie grozi. Platim postawił na jej straży największą babę, jaką kiedykolwiek widziałem. Jest chyba większa od pana Ulatha, a uzbrojona lepiej od całego plutonu.

— To pewnie olbrzymka Mirtai — domyślił się Talen. — Królowa Ehlana jest bezpieczna, dostojny panie Sparhawku. Sama Mirtai starcza za armię.

— Niewiasta? — Kalten z niedowierzaniem patrzył na młodego złodziejzka.

— Nie radziłbym ci nazywać Mirtai tak w jej obecności, panie Kaltenie — powiedział chłopiec poważnie. — Ona uważa się za wojownika i nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie wszczynał z nią o to kłótni. Nosi męskie odzienie, prawdopodobnie dlatego, by uniknąć zaczepek ze strony tych, którzy lubią dorodne kobiety. W najmniej spodziewanych miejscach ma ukryte noże. Dwa ma nawet w podeszwach butów. Nie wystają wiele dalej niż jej palce od nóg, ale to wystarcza. Zapewniam, że nie chciałbyś, aby kopnęła cię w czułe miejsce.

— Skąd Platim wziął kogoś takiego? — zapytał Kalten.

— Kupił ją. Miała wtedy piętnaście lat i nie była jeszcze aż tak wielka. Słyszałem, że nie znała nawet słowa w mowie Elenów. Platim usiłował umieścić ją w domu uciech, lecz zmienił zdanie, jak okuliwiła bądź zabiła kilkunastu ze swoich niedoszłych klientów.

— Wszyscy znają mowę Elenów — zaprotestował Kalten.

— Ale nie w cesarstwie Tamul, a Mirtai stamtąd właśnie pochodzi. To dlatego ma tak dziwne imię. Boję się jej, a nie jestem znowu taki strachliwy.

— Twojej władczyni strzeże nie tylko olbrzymka, Sparhawku — podjął dalej Kurik. — Mieszkańcy Cimmury znają swoich sąsiadów i wiedzą, co który myśli. Ludzie są teraz fanatycznie lojalni wobec królowej, każdy z nich poczytuje sobie za swój osobisty obowiązek pilne obserwowanie sąsiadów. Platim wyłapał prawie wszystkich, na których padł choć cień podejrzenia.

— Annias ma w Cimmurze wielu popleczników — trapił się Sparhawk.

— Miał — poprawił go giermek. — Udzielono kilku lekcji poglądowych. Jeżeli pozostał w Cimmurze jeszcze ktoś nie kochający królowej Ehlany, to jest na tyle ostrożny, aby ten fakt zatrzymać dla siebie. Czy mógłbym dostać coś do jedzenia? Umieram z głodu.

Pogrzeb arcyprałata Cluvonusa był stosownie okazały. Dzwony biły całe dni. Powietrze w bazylice przepełnione było wonią kadzideł. Rozbrzmiewały uroczyste pieśni i hymny w języku starożytnych Elenów, języku, który rozumiało raptem paru z obecnych. Duchowni zwykle ubierali się w ponurą czerń, ale na tak uroczystą okazję przybyli w szatach o najróżniejszych kolorach. Wszyscy patriarchowie przywdziali purpurę, prymasi — szaty barwy swojego królestwa. Każdy z osiemnastu męskich i żeńskich zakonów miał swój własny kolor. Nawa bazyliki, barwna i pstrokata, bardziej przypominała wiejski jarmark w Cammorii niż miejsce, w którym odbywał się uroczysty pochówek. Nabożnie odprawiano zapomniane obrzędy, pozostałości po zabobonach czasów starożytnych, chociaż nikt nie miał najmniejszego pojęcia o ich znaczeniu. Jednakże dla znacznej liczby księży i mnichów jedynym obowiązkiem było właśnie odprawianie owych obrzędów i pradawnych ceremonii. Oni doczekali się najważniejszego dnia w życiu. Stary mnich, mający za jedyne zadanie trzykrotne obejście mar arcyprałata z aksamitną czarną poduszką, na której spoczywała poszczerbiona i bardzo zmatowiała solniczka, wpadł w takie podniecenie, iż serce mu odmówiło posłuszeństwa. Jego zastępca, pryszczaty nowicjusz miernych zalet i wątpliwej pobożności, popłakał się ze wzruszenia, gdy uświadomił sobie, iż odtąd spokojnie może patrzeć w przyszłość. Po prostu raz na każde pokolenie będzie musiał coś zrobić.

Nie kończąca się monotonię ceremonii pogrzebowej urozmaicały modlitwy i hymny. W określonych momentach zebrani wstawali, w innych klękali, a w jeszcze innych ponownie siadali. Wszystko było bardzo uroczyste i miało niewiele sensu.

Prymas Annias, otoczony przez służbę i pochlebców, siedział z północnej strony przestronnej nawy, najbliżej jak mógł aksamitnej liny oddzielającej patriarchów od widzów. Ponieważ Sparhawk nie mógł usiąść obok niego, więc usadowił się wraz z przyjaciółmi na południowej galerii, dokładnie naprzeciwko prymasa, tak by móc patrzeć prosto w poszarzałą twarz duchownego. Sprowadzanie do siedziby Zakonu Rycerzy Pandionu patriarchów przeciwnych Anniasowi przebiegało zgodnie z planem, a pojmanie i uwięzienie sześciu patriarchów lojalnych Anniasowi — a przynajmniej jego pieniądzom — również odbyło się bez przeszkód. Annias, z widocznym wyrazem zawodu na twarzy, wypełniał sobie czas pisaniem notek do patriarchy Coombe, które dostarczał coraz to inny paź. Na każdą notkę przesłaną do Makovy przypadła jedna przesłana przez Sparhawkowi Dolmantowi.

Rycerz miał tu pewną przewagę. Annias musiał pisać notki, Sparhawk słał złożone kartki czystego papieru. O dziwo, Dolmant przystał na ten fortel.

Kalten, który wśliznął się na miejsce z drugiej strony Tyniana, nabazgrał własny liścik i przekazał go do Sparhawk.

Zwycienstfo. Pienciu z naszych brakójoncyh patriahuw zjawilo sie pszet tylniom bramom siedziby zakonó pulgodziny temó. Óstyszeli, rze hcemy hronidź naszych pżyjaciul i sami pżyleciej. Szczęście, co?

Sparhawk drgnął lekko. Vanion jednak zbyt łagodnie ocenił Kaltena znajomość ortografii. Rycerz pokazał liścik Talenowi.

— No i to teraz? — szepnął.

Talen przymrużył oczy.

— Liczba głosujących zmieni się tylko o jeden — odszepnął. — Uwięziliśmy sześciu z wyborców Anniasa i ściągnęliśmy pięciu naszych. Mamy teraz pięćdziesięciu dwóch, on ma pięćdziesięciu dziewięciu, no i jest jeszcze tych dziewięciu neutralnych. Głosuje stu dwudziestu. Nadal do zwycięstwa potrzeba siedemdziesiąt dwa głosy, ale teraz nawet tych dziewięciu Anniasowi nie pomoże. W sumie miałby tylko sześćdziesiąt osiem, czyli o cztery głosy za mało.

— Daj mi ten liścik. — Sparhawk pod wiadomością Kaltena napisał podane przez Talena liczby i dwa zdania: „W tej sytuacji sugerowałbym zawieszenie wszelkich negocjacji z neutralnymi. Już ich nie potrzebujemy”. Podał liścik Talenowi. — Zanieś to Dolmantowi — polecił — i nie zawadziłoby, gdybyś się po drodze lekko uśmiechał.

— To ma być złośliwy czy głupi uśmieszek?

— Z jakim jest ci najbardziej do twarzy. — Sparhawk wziął inny kawałek papieru, napisał na nim informację i przekazał swoim zbrojnym przyjacielom.

Prymas Annias miał teraz przed sobą grupę Rycerzy Kościoła, którzy uśmiechali się do niego promiennie poprzez nawę główną bazyliki. Posmutniał i zaczął nerwowo obgryzać paznokcieć.

Wreszcie ceremonia pogrzebowa poczęła się zbliżać do końca. Tłum zgromadzony w nawie głównej powstał, by podążyć za ciałem Cluvonusa do miejsca jego spoczynku w krypcie pod posadzką bazyliki. Sparhawk odszukał Kaltena.

— Gdzieś ty się uczył ortografii? — zapytał.

— Ortografia nie należy do rzeczy, którymi szlachetnie urodzony powinien zawracać sobie głowę, Sparhawk — odparł wyniośle Kalten. Spojrzał wokół, aby się upewnić, że nikt nie słyszy. — Gdzie jest Wargun? — szepnął.

— Nie mam pojęcia. Może musi wytrzeźwieć. Po pijanemu nie ma zbyt dobrego wyczucia kierunku.

— Lepiej opracujmy jakiś plan zastępczy. Jak tylko Cluvonus zostanie złożony na wieczny spoczynek, hierarchowie wznowią obrady.

— Mamy dość głosów, aby trzymać Anniasa z dala od tronu.

— Wystarczą dwa głosowania, by się o tym przekonał, a wtedy może zacząć podejmować bardziej pochopne działania. Jesteśmy w paskudnej mniejszości. — Kalten spojrzął na wiodące do krypty schody z solidnych drewnianych belek. — Może powinienem podpalić bazylikę...

— Czyś ty postradał rozum?

— To by opóźniło sprawy, a nam opóźnienie jest teraz okropnie potrzebne.

— Nie musimy posuwać się aż do tego. Trzymajmy naszych patriarchów pod ścisłą ochroną. Talenie, jak wyglądamy bez tych pięciu głosów?

— Stu piętnastu głosujących. To oznacza, że do wygrania potrzeba sześćdziesięciu dziewięciu.

— Czyli znowu Annias będzie miał o jeden głos za mało, nawet jeśli przekupi neutralnych. Kiedy doliczy się tego, zaniecha konfrontacji. Kaltenie, weź Perraina i wracajcie do siedziby zakonu po tych pięciu patriarchów. Przebierzcie ich w zbroje, otoczcie pięćdziesiątką rycerzy i przyprowadźcie tutaj, ale nie wprowadzajcie do sali obrad. Dolmant zdecyduje, kiedy będą potrzebni.

— Dobrze. — Kalten uśmiechnął się złośliwie. — Pobiliśmy jednak Anniasa, prawda, Sparhawku?

— Na to wygląda, ale nie świętujmy zwycięstwa, dopóki ktoś inny nie zasiądzie na tym tronie. Ruszaj.

Hierarchowie, ubrani nadal w purpurowe szaty, rozpoczęli swe ponowne obrady od przemówień. W większości były to mowy pochwalne wygłaszane przez mało ważnych patriarchów, którzy nie brali udziału w oficjalnej ceremonii w nawie głównej. Szczególnie nudził patriarcha Kadachu, Ortzel, brat barona Alstroma z Lamorkandii. Posiedzenie wcześniej przerwano.

Wznowiono obrady następnego ranka. Poprzedniego wieczoru patriarchowie przeciwni Anniasowi wybrali Ortzela na swego kontrkandydata. Sparhawk co prawda nadal miał do jego osoby pewne zastrzeżenia, ale zatrzymał je dla siebie.

Pięciu dostojników Kościoła, którzy niedawno powrócili, Dolmant pozostawił w rezerwie. Przebrani w za duże zbroje siedzieli wraz z plutonem rycerzy w komnacie sąsiadującej z salą audiencyjną.

Kiedy wszyscy hierarchowie zajęli już swoje miejsca i na sali zapanowała cisza, wstał Makova, patriarcha Coombe i wysunął kandydaturę Anniasa na arcyprałata. Przemawiał niemal przez godzinę, ale nie oklaskiwano go przesadnie gorąco. Następnie wstał Dolmant i wysunął kandydaturę Ortzela. Mówił krótko, ale jego przemowa spotkała się z bardziej entuzjastycznym przyjęciem.

— Będą teraz głosować? — zapytał szeptem Talen Sparhawka.

— Nie wiem. To zależy od Makovy. On prowadzi obrady.

— Chciałbym zobaczyć, jak wypadnie prawdziwe głosowanie — niecierpliwił się chłopiec.

— Czyżbyś nie był pewien swych obliczeń? — zapytał Sparhawk z pewną obawą.

— Oczywiście, że jestem ich pewien, ale liczby są tylko liczbami, a kiedy zaczynają działać ludzie, wiele może się wydarzyć. — Talen wskazał na pазia śpieszącego z liścikiem od dziewięciu niezdecydowanych patriarchów do Anniasa. — O co im teraz chodzi?

— Pewnie chcą wiedzieć, czemu prymas nagle przestał im proponować pieniądze — domyślił się Sparhawk. — Ich głosy są teraz bez znaczenia, chociaż jeszcze to do nich w pełni nie dotarło.

— Jak sądzisz, co teraz uczynią?

— Kto to wie? — Rycerz wzruszył ramionami. — I kogo to obchodzi?

Stojący na mównicy Makova popatrzył na plik liścików. Następnie uniósł wzrok, odchrząknął i zaczął:

— Bracia, zanim przejdziemy do wstępnego głosowania, chciałbym poruszyć niebywale pilną sprawę, na którą właśnie zwrócono moją uwagę. Niektórzy z was mogą już być świadomi, że na wschodniej granicy Lamorkandii gromadzi się armia Zemochu z wyraźnie wrogimi zamiarami. Jestem przekonany, że w ciągu najbliższych kilku dni możemy się spodziewać najazdu cesarza Othy na Zachód. Dlatego też jest istotne, by z możliwie największym pośpiechem przeprowadzić wybory. Nasz nowy arcyprałat natychmiast po swoim wyniesieniu stanie w obliczu najstraszniejszego kryzysu, jakiemu musiał w ciągu pięciu wieków stawić czoło nasz Kościół i jego wierni synowie.

— O co mu chodzi? — zapytał szeptem Kalten. — Wszyscy w Chyrellos wiedzą, że Otha już jest we wschodniej Lamorkandii.

— Stara się zyskać na czasie, ale dlaczego zwleka? — zastanawiał się Sparhawk.

— Co Annias znowu wymyślił? — Tynian wpatrywał się w siedzącego po przeciwnej stronie sali prymasa, który promieniał zadowoleniem.

— Czeka na coś — rzekł Sparhawk.

— Na co?

— Nie mam pojęcia, ale Makova będzie mówił, dopóki to się nie stanie.

Wtem do sali audiencyjnej wśliznął się Berit; twarz miał bladą i dzikie spojrzenie. Potykając się na schodach i przepychając w tłumie, dotarł do ławy, w której siedział Sparhawk.

— Dostojny panie! — krzyknął.

— Ciszey, Bericie! — syknął rycerz. — Siadaj i opanuj wzburzenie!

Nowicjusz usiadł i wziął głęboki oddech.

— No dobrze. Powiedz cicho, co się stało — polecił Sparhawk.

— Do Chyrellos zbliżają się dwie armie, dostojny panie.

— Dwie? — zdziwił się Ulath. — Może Wargun z jakiegoś powodu rozdzielił swe siły?

— To nie jest armia króla Warguna, szlachetny panie Ulathu — powiedział Berit. — Jak tylko ich zauważyliśmy, kilku Rycerzy Kościoła pojechało na zwiady. Ci nadciągający z północy wydają się Lamorkandczykami.

— Lamorkandczycy? — zmartwił się Tynian. — Co oni tam robią? Powinni być na granicy, by zagrodzić drogę wojskom Othy.

— Nie sądzę, aby ci Lamorkandczycy byli zainteresowani cesarzem Othą, szlachetny panie — rzekł Berit. — Pandionici, którzy wyjechali im naprzeciw, rozpoznali w przywódcach lamorkandzkiej armii Adusa i Kragera.

— Co takiego?! — krzyknął Kalten.

— Ciszej, Kaltenie! — Sparhawk zgrzytnął zębami. — A ta druga armia, Bericie? — zapytał, chociaż z góry znał odpowiedź.

— W większości Rendorczycy, dostojny panie, ale również sporo mieszkańców Cammorii.

— Kto dowodzi?

— Martel, dostojny panie.

CZEŚĆ II
ARCYPRAŁAT

Rozdział 10

Z dużego owalnego witrażu, znajdującego się wysoko na ścianie za spowitym całunem tronem arcypralata, płynął blask porannego słońca. Głos patriarchy Makovy nie przestawał dudnić. W nieruchomym powietrzu w promieniach światła unosiły się złociste pyłki kurzu. Przez dłuższy czas Makova przypominał okropności wojny z Zemochem sprzed pięciuset lat, potem przeszedł do szczegółowej analizy błędów w polityce Kościoła w owym niespokojnym okresie.

Sparhawk napisał krótki liścik do Dolmanta, Embana i mistrzów, donosząc im o armiach zbliżających się do Świętego Miasta.

— Czy gwardziści będą bronić Chyrellos? — zapytał szeptem Bevier.

— W najlepszym razie możemy liczyć na symboliczny opór z ich strony — odparł Sparhawk.

— Co zatrzymuje Warguna? — dopytywał się Kalten Ulatha.

— Nawet nie próbuję zgadywać.

— Chyba już czas, byśmy po cichu wyszli — zasugerował Tynian. — Makova nie mówi nic nowego.

— Poczekajmy najpierw, co powie Dolmant — rzekł Sparhawk. — Nie chciałbym w obecnej sytuacji dawać Anniasowi najmniejszych wskazówek co do naszych zamiarów. Wiemy już, dlaczego gra na zwłokę, ale zobaczmy, co zrobi dalej. I tak trochę potrwa, nim Martel ustawi swe siły w szyku, mamy więc jeszcze czas.

— Nie za wiele — mruknął Ulath.

— W takich sytuacjach przystępuje się zwykle do niszczenia mostów — doradził Bevier. — To opóźni pochód wrogich wojsk.

Sparhawk pokręcił głową.

— Chyrellos opływają dwie rzeki, na nich jest dziesięć mostów, a my mamy jedynie czterystu rycerzy. Nie możemy sobie pozwolić na ryzyko utraty tych ludzi, z zyskalibyśmy tylko kilkugodzinne opóźnienie ataku.

— Nie wspominając już o tym, że nadciągające z północy oddziały Lamorkandczyków wcale nie muszą przechodzić mostów — dodał Tynian.

Drzwi do komnaty audiencyjnej otworzyły się i podekscytowany mnich po-

śpieszył do mównicy, klapiąc sandałami po wypolerowanej marmurowej posadzce. Pyłki kurzu wiszące w promieniach słońca poczęły wirować i tańczyć. Mnich skłonił się głęboko i podał Makowie złożony kawałek papieru.

Makova szybko przeczytał wiadomość i wyraz triumfu rozjaśnił jego ospowate oblicze.

— Otrzymałem właśnie ważną wiadomość, bracia — obwieścił. — Do Chyrellos zbliżają się dwie liczne grupy pielgrzymów. Nikt nie zdołałby zataić, że sytuacja w Eosii jest teraz dość napięta. Wiem jednak, że wielu z nas żyje z dala od spraw doczesnego świata i nie orientuje się w bieżących wydarzeniach. Odrocmy obrady, byśmy mogli w miarę naszych możliwości zebrać informacje na temat tych ludzi i dzięki temu lepiej ocenić sytuację. — Rozejrzył się wokół. — Nie widzę sprzeciwu, a zatem postanowione. Zawieszam obrady hierarchii do jutra rana.

— Pielgrzymi — parsknął ze wzdrgnąciem Uloth wstając.

Sparhawk siedział wpatrując się w prymasa Cimmury, który odpowiedział mu lekkim uśmiechem.

Vanion wstał razem z innymi patriarchami, rzucił Sparhawkowi szybkie spojrzenie. Dał mu znak ręką i ruszył w kierunku drzwi.

— Chodźmy stąd — mruknął Sparhawk do przyjaciół.

W sali audiencyjnej wrzało od podnieconych rozmów. Czarno odziani dostojnicy Kościoła powoli przesuwali się w kierunku drzwi. Ruch opóźniały grupki patriarchów, rozprawiających z zajęciem. Sparhawk poprowadził swych zbrojnych przyjaciół do schodów, a potem w dół. Pandionita hamował swe zniecierpliwienie i nie rozpychał się między duchownymi.

W pobliżu drzwi spotkał Anniasa.

— Ach, tu jesteś, Sparhawk — rzekł prymas, a na jego szczupłej poszarzałej twarzy pojawił się złośliwy grymas. — Czy masz zamiar odwiedzić miejskie mury, aby być świadkiem przybycia rzeszy wiernych?

Rycerz mocno trzymał na wodzy swą złość.

— Ciekawa propozycja, ziomku — wycedził przez zaciśnięte zęby — ale myślę, że raczej zjem obiad. Czy zechciałbyś mi towarzyszyć, Anniasie? Sephrenia piecze kozę. Mówiono mi, że pieczona koza jest bardzo pożywna, a ty ostatnio — nie gniewaj się za szczerość — trochę marnie wyglądasz.

— Dziękuję za tak uprzejme zaproszenie, ale pilne obowiązki wzywają mnie w inne miejsce. Sprawy natury kościelnej, to chyba zrozumiałe.

— Oczywiście. Aha, a przy okazji, przekaz moje pozdrowienia Martelowi, gdy będziesz z nim rozmawiał. Powiedz mu, że z niecierpliwością czekam na kontynuację rozmowy rozpoczętej w Dabourze.

— Z całą pewnością mu to powtórzę. A teraz pozwól, że przeproszę. — Prymas jakby posmutniał, odwrócił się i wyszedł.

— O co chodziło? — zapytał Tynian.

— Musisz trochę lepiej poznać Sparhawka — odparł Kalten. — Wolalby umrzeć, niż dać Anniasowi choć odrobinę satysfakcji. Nawet nie mrugnął, gdy złamałem mu nos. Po prostu uśmiechnął się przyjaźnie, a potem kopnął mnie w brzuch.

— A ty mrugnąłeś, panie Kaltenie?

— Prawdę mówiąc, nie. Byłem zbyt pochłonięty próbami złapania oddechu. Co robimy, Sparhawku?

— Vanion chce z nami rozmawiać.

Mistrzowie czterech zakonów rycerskich oraz patriarcha Ucery, Emban, prowadzili pełną napięcia rozmowę tuż obok wielkich podwoi.

— Moim zdaniem powinniśmy się zająć głównie kondycją bram miasta — mówił sędziwy mistrz Abriel. Wypolerowana zbroja, śnieżnobiała szata wierzchnia i płaszcz sprawiały, iż przypominał wyglądem świętego, ale wyraz jego oblicza był daleki od świątobliwego.

— Sądzisz, że możemy liczyć na gwardzistów? — zapytał okryty błękitnym płaszczem mistrz Darellon. Był szczupłym mężczyzną i wydawał się nie dość krzepki, by udźwignąć ciężką deirańską zbroję. — Mogliby chociaż zniszczyć mosty.

— Odradzałbym liczenie na gwardzistów — powiedział szorstko Emban. — Słuchają rozkazów Anniasa, a on z pewnością nie zamierza przeszkadzać temu osobnikowi, Martelowi. Dostojny panie Sparhawku, co to właściwie są za wojska?

— Ty jeden ich widziałeś, Bericie, więc odpowiedz. — Sparhawk zwrócił się do nowicjusza.

— Z północy nadciągają Lamorkandczycy, wasza świątobliwość, a z południa zbliżają się Rendorczycy i Cammoryjczycy. Żadna z tych armii nie jest zbyt potężna, ale w połączeniu stanowią wystarczająco dużą siłę, by zagrozić Świętemu Miastu.

— W jakim szyku nadciągają wojska z południa? — zapytał Emban.

— Czoło i skrzydła stanowią Cammoryjczycy. Rendorczycy są w środku i osłaniają tyły.

— Czy mają na sobie tradycyjne czarne szaty rendorskie? — dopytywał się Emban, patrząc bacznie na Berita.

— Trudno to stwierdzić, wasza świątobliwość. Są za rzeką, a tam sporo kurzu. Jednakże ubiorem różnią się od Cammoryjczyków. To w zasadzie wszystko, co mogę powiedzieć.

— Rozumiem. Vanionie, czy dobrze oceniasz tego młodzieńca?

— Bardzo dobrze, wasza świątobliwość — odpowiedział za mistrza Sparhawk. — Wiele się po nim spodziewamy.

— Mogę go pożyczyć? Przydałby mi się również twój giermek, panie Sparhawku. Muszę ich po coś wysłać.

— Oczywiście, wasza świątobliwość — zgodził się rycerz. — Bericie, idź z jego świątobliwością. Kurika znajdziesz w siedzibie zakonu.

Emban oddalił się kaczym chodem, a nowicjusz podążył za nim.

— Rozdzielmy się, bracia, i sprawdźmy bramy — zaproponował mistrz Komier. — Ulathu, ty idziesz ze mną.

— Sparhawk, pójdziemy razem — powiedział mistrz Vanion — Kalten niech towarzyszy patriarsze Demos. Annias może skorzystać z zamieszania, a właśnie Dolmanta obawia się najbardziej. Kaltenie, staraj się zatrzymać jego świątobliwość w bazylice. Tu jest nieco bezpieczniej. — Vanion nałożył czarny hełm ozdobiony piórami i odwrócił się z furkotem czarnego jak smoła płaszcza.

— Dokąd idziemy, mistrzu? — zapytał Sparhawk, gdy opuścili bazylikę i ruszyli w dół marmurowych schodów wiodących na rozległy dziedziniec.

— Do południowej bramy — posępnie oświadczył Vanion. — Chcę rzucić okiem na Martela.

— Dobry pomysł — przyznał Sparhawk. — Nie chcę być złośliwy, więc nie powiem: „a nie mówiłem”, ale nie da się ukryć, że miałem rację. Już dawno chciałem zabić Martela.

— Nie przeciągaj struny, Sparhawk! Teraz sytuacja uległa zmianie. Masz moje pozwolenie.

— Trochę późno — mruknął rycerz dosiadając Farana.

— Co powiedziałeś?

— Nic, mistrzu.

Południowej bramy miasta nie zamykano od dwustu z górą lat i jej stan był boleśnie oczywisty. Wiele belek zbutwiało, a masywne łańcuchy, które wprawiały ją w ruch, porastała gruba warstwa rdzy.

— Zupełnie do obrony niezdatna — narzekał Vanion. — Sam mógłbym ją rozwalić. Chodźmy na mury. Chcę zobaczyć te wojska.

Na mury wylegli mieszkańcy miasta — rzemieślnicy, kupcy i czeladź. Gawiedź niemal w świątecznym nastroju tłoczyła się na szczycie murów i gapiła na nadciągającą armię.

— Gdzie się pchasz? — odezwał się wojowniczo jakiś tragarz, zionąc intensywnym zapachem taniego piwa. — Mam takie samo prawo patrzeć jak i ty.

— Idź patrzeć gdzie indziej, ziomku — rzekł Sparhawk.

— Nie będziesz mi rozkazywał! Znam swoje prawa.

— Chcesz dobrze widzieć?

— Po to tu jestem.

Sparhawk schwycił go za kołnierz płóciennej koszuli, uniósł ponad skraj muru i puścił. Mur był w tym miejscu wysoki na dwanaście łokci i pijanemu tragarzowi od upadku zaparło dech w piersiach.

— Wojska nadciągają z tamtej strony, ziomku — rycerz wychylił się i wskazał na południe. — Może, korzystając ze swoich praw, poszedłbyś sobie popatrzeć

z bliska?

— Po co ta złośliwość, Sparhawk? — strofował Vanion.

— Nie podobała mi się jego postawa. — Rycerz chrząknął, po czym zwrócił się do tych, którzy tłoczyli się wokół nich. — Ziomkowie, czy ktoś jeszcze chce dochodzić swoich praw? — Popatrzył za mur. Tragarz zdołał już dźwignąć się na nogi i zawodząc kuśtykał w kierunku bramy.

Na szczycie muru natychmiast zrobiło się miejsce dla dwóch pandionitów.

Vanion spojrział na wojska pod miastem.

— Tego się mniej więcej spodziewałem — rzekł. — Główne siły Martela nadal nadciągają i gromadzą się przy mostach. — Wskazał na duży obłok kurzu unoszący się na południu. — Ten renegat nie będzie w stanie sprowadzić tu ich przed zapadnięciem zmroku i wątpię, czy zdąży do jutrzejszego południa ustawić w pełnym szyku. To nam daje trochę czasu. Chodźmy na dół.

Sparhawk odwrócił się, aby podążyć za mistrzem, ale zatrzymał się jeszcze. Z południowej bramy wyjechał i skręcił na zachód powóz z wyrzeźbionym na obu drzwiach godłem Kościoła. Powoził mnich, którego plecy wydały się Sparhawkowi podejrzenie znajome. Z okna wyjrzał brodaty mężczyzna w szacie patriarchy. Powóz był oddalony nie więcej niż o pięćdziesiąt kroków, więc Sparhawk z łatwością rozpoznał duchownego.

Był to Kurik.

Sparhawk począł złorzeczyć.

— Co się stało? — zapytał Vanion.

— Będę musiał odbyć dłuższą rozmowę z patriarchą Embanem. — Rycerz zgrzytnął zębami. — Tym powozem jechali Kurik i Berit.

— Jesteś pewien?

— Nawet w ciemną noc rozpoznałbym mego giermka z odległości stu kroków. Emban nie ma prawa ich tak narażać.

— Już za późno. Chodź, Sparhawk. Chcę porozmawiać z Martelem.

— Z Martelem?

— Może go zaskoczymy i uda nam się zdobyć kilka informacji. Sądzisz, że jest wystarczająco zadufany, aby okazując swą przewagę uhonorował białą flagę?

Sparhawk powoli skinął głową.

— Być może. Dusza Martela to jedna wielka otwarta rana. Wystarczy go tknąć, a skręca się z bólu. Żeby pokazać, jaki jest szlachetny, gotów byłby nawet przejść przez ogień.

— Ja mam o nim podobne zdanie. Sprawdźmy, czy nie jesteśmy w błędzie. Tylko miej oczy szeroko otwarte na wszystko, nie zatrać się we wzajemnej wymianie obelg. Chcę zobaczyć jego armię. Nie wiem, czy to jedynie motłoch zebrany na wiejskich jarmarkach i w przydrożnych gospodach, czy też regularne wojsko.

Białą flagę zastąpiło im prześcieradło, które Sparhawk na rozkaz Vaniona ściągnął z łóżka w pobliskim zajeździe. Mistrz zaproponował właścicielowi zapłatę, ale ten był tak wystraszony, że chyba nie usłyszał ani słowa. Obaj pandionicy odziani w czarne zbroje wyjechali z głośnym tętentem kopyt końskich przez południową bramę i popędzili w kierunku nadciągającej armii. Na końcu kopii Sparhawk łopotało prześcieradło. Po dotarciu na szczyt wzgórza wstrzymali wierzchowce. Sparhawk obrócił lekko Farana, aby ich zaimprovizowana flaga, targana ostrymi podmuchami wiatru, była lepiej widoczna. Znajdowali się w znacznym oddaleniu od czoła armii Martela, ale Sparhawk słyszał odległe nawoływania i komendy. Wojska stopniowo zatrzymały się i w niedługi czas potem spośród swych oddziałów wyjechał Martel w towarzystwie dwóch żołnierzy. Martel również dzierżył kopię, na której końcu powiewał biały płaszcz. Był podejrzanie podobny do tych, jakie nosili cyrinici. Sparhawk patrzył w zadumie na swego wroga.

— Hm. . . Bhelliom przywrócił życie Ehlanie, a ona była już na skraju śmierci. Ciekawe, czy mógłbym uczynić to samo z Martelem.

— Czemu tego chcesz?

— Mógłbym go wtedy zabić powtórnie, mistrzu. Mógłbym zabijać go wciąż i wciąż na nowo, czyniąc z tego dzieło swego życia, i nie potrzebowałbym dodatkowej zachęty.

Vanion rzucił mu ostre spojrzenie, ale się nie odezwał.

Martel był okryty bardzo kosztowną zbroją. Napierśnik i naramienniki miał inkrustowane złotem i srebrem, a wypolerowane blachy lśniły jak lustro. Wydawało się, że zbroja jest deirańskiego pochodzenia i o wiele bardziej wykwintna niż funkcjonalne pancerze Rycerzy Kościoła. Renegat w odległości kilku kroków od pandionitów wbił koniec kopii w ziemię i zdjął swój ozdobny, przystrojony piórami hełm. Wiatr rozwiał jego białe włosy.

— Witaj, szlachetny panie. — Z przesadną uprzejmością skłonił przed Vanionem głowę.

Vanion miał lodowaty wyraz twarzy. Nie odezwał się do rycerza, którego wykluczył z Zakonu Pandionu. Nakazał ruchem ręki, aby Sparhawk wyjechał do przodu.

— Ach — westchnął Martel z udanym żalem — spodziewałem się po tobie, Vanionie, czegoś lepszego. Trudno, porozmawiam ze Sparhawkiem, ale jeżeli masz ochotę, możesz się przysłuchiwać.

Sparhawk również wbił koniec kopii w darń. Zdjął hełm, trącając lekko Farana, by ruszył do przodu.

— Dobrze wyglądasz, bracie — rzekł Martel.

— Ty w zasadzie też, jeżeli nie liczyć tej fikuśnej zbroi.

— Nadarzyło mi się ostatnio kilka okazji. Przez ostatnie parę lat zgromadziłem sporo pieniędzy, ale doszedłem do wniosku, że nie miałem z nich wiele przy-

jemności. Postanowiłem więc kupić sobie kilka nowych zabawek.

— Koń również jest nowy, prawda? — Sparhawk spojrzał na krzepkiego karosza.

— Podoba ci się? Jeśli chcesz, mogę i tobie załatwić konia z tej samej stajni.

— Pozostanę przy Faranie.

— Czy choć trochę okiełznałeś tę brutalną bestię?

— Lubię go takim, jaki jest. Co zamierzasz, Martelu?

— Czy to nie oczywiste, bracie? Zdobędę Święte Miasto. No cóż, gdybym zabiegał o przychyłność gawiedzi, zadbałbym, żeby to lepiej zabrzmiało i użyłbym określenia „oswobodzę”. Ale skoro jesteśmy starymi przyjaciółmi, mogę sobie chyba pozwolić na szczerość. Mówiąc wprost, Sparhawk, mam zamiar wmaszerować do Świętego Miasta i, jak to mówią, nagiąć je do swej woli.

— Chciałeś powiedzieć, że będziesz próbował.

— A kto mnie powstrzyma?

— Mam nadzieję, że twój rozsądek. Wprawdzie pomieszało ci się trochę w głowie, ale nigdy nie byłeś głupi.

Martel złożył mu kpiący półukłon.

— Jak udało ci zgromadzić tyle wojska w tak krótkim czasie? — zapytał Sparhawk.

— W krótkim czasie? — roześmiał się Martel. — Nie interesujesz się, tym co dzieje się dookoła. Obawiam się, że zbyt wiele lat spędziłeś w Jirochu. Tam słońce może wypalić mózg. — Wzruszył ramionami. — A przy okazji, miałeś może ostatnio jakieś wiadomości od czarującej Lillias? — Najwyraźniej chciał pokazać, iż wie, czym Sparhawk zajmował się przez kilka ostatnich lat, i miał nadzieję, że wprawi tym w zakłopotanie swego dawnego brata zakonnego.

— Sądząc z tego, co ostatnio słyszałem, Lillias ma się dobrze. — Sparhawk nawet mrugnięciem oka nie dał poznać, czy był tym zaskoczony.

— Chyba wezmę ją do siebie. Zauważyłem, że to szczególna niewiasta. Może więc rozerwę się igraszkami z twoją byłą kochanką.

— Daj sobie spokój. Nie starczy ci cierpliwości. Jednak nadal nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

— Myślę, że kiedy nieco odświeżyłem twą pamięć, sam sobie możesz na nie odpowiedzieć, bracie. Lamorkandczyków zebrałem, gdy siałem niezgodę między baronem Alstromem i hrabią Gerrichem. Najemnicy cammoryjscy są zawsze na zawołanie. Wystarczyło, że rzuciłem hasło, a przybiegli co tchu. Z Rendorczykami też nie miałem większego kłopotu, kiedy pozbyłem się Arashama. Umierając nie przestawał charczeć „barani róg”. Czyżby to było wasze sekretne hasło? Z nowym przywódcą duchowym Rendoru o wiele łatwiej sobie poradzić.

— Spotkałem go — rzekł Sparhawk. — Masz przyjemne towarzystwo.

— Och, Ulesim nie jest taki zły. Owszem, trochę go czuć, ale wystarczy podchodzić z wiatrem. Tak więc wylądowałem w Arcium, splądrowałem i spaliłem

Coombe i pomaszero wałem na Larium. Muszę powiedzieć, że Wargunowi sporo czasu zajęło dojście do mnie. Gdy w końcu przybył, wodziłem go za nos po całym Arcium. Zabawiałem się w ten sposób, czekając na wieść o śmierci świątobliwego Cluvonusa. Sprawiliście mu miły pogrzeb?

— Zupełnie przyzwoity.

— Żal mi, że go przegapiłem.

— Masz jeszcze jeden powód do żalu, Martelu. Annias nie będzie ci w stanie zapłacić. Królowa Ehlana powróciła do zdrowia i ponownie odsunęła go od skarbca.

— Tak. Słyszałem o tym od księżniczki Arissy i jej syna. Zrobiłem prymasowi Cimmury prezent uwalniając ich z klasztoru. Szkoda tylko, że podczas ich oswobodzenia doszło do drobnego incydentu. Wszystkie siostrzyczki dość nagle zeszły z tego świata. Być może to godne ubolewania, ale takie wzory pobożności nie powinny mieszać się do polityki. Moi żołnierze na odjeźdźnym podpalili klasztor. Po powrocie przekażę Arissie twe najlepsze życzenia. Od czasu opuszczenia Demos przebywa w moim namiocie. Okropności związane z odosobnieniem znacznie nadszarpnęły zdrowie księżniczki i staram się w miarę moich możliwości zapewnić jej trochę wygód.

— Dałeś mi jeszcze jeden powód więcej.

— Jeszcze jeden powód do czego?

— Śmierć tych mniszek jest jeszcze jednym powodem, dla którego cię zabiję.

— Możesz próbować, kiedy chcesz, bracie. Jak udało ci się uzdrowić Ehlanę? Zapewniano mnie w Rendorze, że nie ma na to lekarstwa.

— Twoi informatorzy byli w błędzie. W Dabourze dowiedzieliśmy się, jak królową uleczyć. Prawdę mówiąc, w tym właśnie celu udaliśmy się z Sephrenią do Rendoru. Pokrzyżowanie ci planów w namiocie Arashama było rodzajem premii.

— Muszę przyznać, że naprawdę mnie tym rozdrażniłeś.

— Czym masz zamiar zapłacić swemu wojsku?

— Bracie — Martel spojrzał pobłaźliwie na Sparhawk — przecież tylko krok dzieli mnie od zdobycia najbogatszego miasta świata. Możesz sobie wyobrazić, ile wszelakich dóbr kryje się w obrębie murów Chyrellos? Moje oddziały ochoczo dotrzymują mi towarzystwa bez żadnej zapłaty. Wystarcza im nadzieja, że tam się trochę obłowią.

— A zatem mniemam, że są przygotowani na długie oblężenie.

— Niewiele będzie mi potrzeba czasu na wkroczenie do środka, Sparhawk. Annias otworzy mi bramy.

— Annias nie ma wystarczającej liczby głosów wśród hierarchów, aby to uczynić.

— Wyobrażam sobie jednak, że moja obecność wpłynie na poprawę wyników głosowania.

— Czy nie moglibyśmy załatwić tego teraz i tutaj? Tylko ty i ja? — zaproponował Sparhawk.

— A po cóż miałbym to robić, bracie? I tak mam przewagę.

— No dobrze. Spróbuj więc dostać się do Chyrellos, a znajdziemy sobie jakiś ciemny zaułek, wszak za nimi przepadasz.

— Tęsknię za tą chwilą, bracie. — Martel uśmiechnął się szeroko. — Cóż, Vanionie, jesteś zadowolony? Czy twoja tresowana małpa wyciągnęła już ze mnie dość, czy też powinienem ciągnąć dalej?

— Wracamy! — szorstko rozkazał Vanion Sparhawkowi.

Pandionici ruszyli kłusem ku murom Chyrellos.

— Zawsze miło mi się z tobą rozmawia, mistrzu Vanionie! — wołał jeszcze za nimi kpiąco Martel.

— Czy naprawdę sądzisz, że Bhelliom mógłby go przywrócić do życia? — zapytał Vanion. — Byłbym rad własnoręcznie zabić go kilka razy.

— Możemy spytać o to Sephrenię.

Ponownie zebrali się w komnacie Nashana, postawnego mnicha, który zarządzał tutejszą siedzibą Zakonu Pandionu. Zamek ten, w odróżnieniu od siedzib innych zakonów, znajdował się tuż za murami starego miasta, pierwotnego Chyrellos. Każdy z mistrzów zdawał kolejno relację ze stanu bram. Żaden z raportów nie był krzepiący. Abriel, jako najstarszy z mistrzów, powstał.

— Jak sądzicie, bracia, czy istnieje szansa, byśmy mogli obronić całe miasto?

— To nie wchodzi w rachubę — oświadczył bezceremonialnie mistrz Komier. — Te bramy nie zatrzymałyby nawet stada owiec. Nawet jeżeli wliczymy gwardzistów, nie mamy wystarczająco dużo ludzi, by powstrzymać tak wielkie siły.

— Wygłaszasz bardzo niemiły pogląd, Komierze — powiedział Darellon.

— Wiem, ale nie widzę innego wyboru, a ty?

— Ja również nie.

— Szlachetni panowie, wybaczcie — odezwał się z szacunkiem Nashan — ale nie nadażam za waszymi myślami.

— Będziemy musieli wycofać się do Miasta Wewnętrznego, Nashanie — wyjaśnił mu Vanion.

— I porzucicie resztę?! Szlachetni panowie, my tu mówimy o największym i najbogatszym mieście świata!

— Nie mamy wyboru — tłumaczył Abriel. — Wewnętrzne mury wzniesiono jeszcze w starożytności. Są o wiele wyższe i mocniejsze niż mury otaczające wielkie Chyrellos, które stanowią głównie ozdobę. Możemy bronić Miasta Wewnętrznego — przynajmniej przez pewien czas — ale nie utrzymamy całego miasta.

— Musimy podjąć trudne decyzje — rzekł mistrz Darellon. — Jeżeli wycofamy się za wewnętrzne mury, będziemy musieli zamknąć bramy przed ogółem mieszkańców. W starym mieście nie mamy dość zapasów dla tak wielu ludzi.

— Ale nie będziemy w stanie niczego uczynić, dopóki nie przejmemy dowództwa nad gwardzistami — zaznaczył Vanion. — W czterystu nie sprostamy armii Martela.

— Być może będę mógł wam pomóc — odezwał się patriarcha Ucery, Emban. Siedział w obszernym fotelu, pulchne dłonie splótł na brzuchu. — Wprawdzie w znacznej mierze będzie to zależało od Makovy, lecz miejmy nadzieję, że rano będzie wystarczająco zarozumiały.

Równie enigmatyczną wypowiedź usłyszał Sparhawk, gdy domagał się wyjaśnień, z jakim zadaniem Emban wysłał Kurika i Berita.

— Będziemy mieć pewną przewagę taktyczną — stwierdził Komier w zamysleniu. — Oddziały Martela to najemnicy. Zatrzymają się, gdy tylko dotrą do Miasta Zewnętrznego, i zaczną grabić. Dzięki temu zyskamy na czasie.

— A także wprawimy w szal znaczną część hierarchów! — Emban krztusił się ze śmiechu. — Wielu z moich znajomych hierarchów Kościoła ma bogate rezydencje za wewnętrznymi murami. Mogę sobie wyobrazić, z jaką udręką będą obserwować plądrowanie Miasta Zewnętrznego. To ostudzi ich zapał dla kandydatury prymasa Cimmury. Mój dom znajduje się za starymi rurami, więc przynajmniej ja zachowam jasność myśli — i ty także, prawda, Dolmancie?

— Niemiłosierny z ciebie człek, Embanie — rzekł patriarcha Demos.

— Ale Bóg docenia moje starania, nieważne jak skrycie i potajemnie to czyni. Wszyscy żyjemy jedynie po to, aby Mu służyć... każdy na swój sposób. — Patriarcha Ucery przerwał, marszcząc nieznacznie brwi. — Naszym kandydatem jest Orzel. Ja chętnie wybrałbym kogoś innego. Kościół zalewa fala konserwatyzmu, a Orzel jest tak konserwatywny, że aż zacofany. Chyba nie wierzy nawet w możliwość rozniecania ognia. Trudno go nazwać rozkosznym staruszkiem. Będziemy musieli nad nim trochę popracować, Dolmancie.

— To nasz problem, Embanie — twój i mój. W tej chwili skupmy się na sprawach natury wojskowej.

— Naszym następnym krokiem powinno być wytyczenie dróg odwrotu — powiedział Abriel. — Jeżeli powiedzie się zamysł patriarchy Ucery i zostanie nam przekazane dowództwo nad gwardzistami, to będziemy musieli szybko wycofać ich za wewnętrzne mury, zanim ogół mieszkańców się zorientuje, co zamierzamy. Inaczej ruszy tu tłum uciekinierów.

— To brutalne rozwiązanie, moi drodzy — odezwała się Sephrenia. — Porzucacie niewinnych mieszczan na pastwę hordy barbarzyńców. Ludzie Martela nie zadowolą się jedynie grabieżą. Z całą pewnością dojdzie tam do potwornych okrucieństw.

Dolmant westchnął ciężko.

— Na wojnie nigdy nie było miejsca na uprzejmości, mateczko. Aha, jeszcze jedno. Od dziś nie będziemy cię zostawiać samej. Musisz dotrzymywać nam towarzystwa w bazylice. Tam możemy cię obronić.

— Jak sobie życzysz, mój drogi — odparła.
Talen z naburmuszoną miną podszedł do Sparhawka.
— Pewnie mi nie pozwolisz, dostojny panie, wyśliznąć się poza wewnętrzne mury przed zamknięciem bram?
— Nie — odparł rycerz — ale po cóż byś to czynił?
— Żeby się rozejrzeć za swoją częścią łupu. Taka okazja zdarza się tylko raz w życiu!
— Chyba nie będziesz rabował domostw, Talenie? — zapytał wstrząśnięty Bevier.
— Oczywiście, że nie! Pozostawię to żołnierzom Martela. Złodzieje z Chyrellos ruszą do dzieła, gdy tamci wrócą na ulice z pełnymi rękoma. Już widzę, jak w kilka dni Martel traci połowę ludzi. Nim wszystko się skończy, szeregi jego wojska zdziesiątkuje epidemia ran kłutych, to pewne! A wielu żebraków z Chyrellos już nigdy nie będzie musiało żebrnąć. — Chłopiec westchnął. — Dostojny panie Sparhawku, odbierasz mnie, niewinnemu dziecku, największe przyjemności.

— Nie grozi nam absolutnie żadne niebezpieczeństwo, bracia — kpił patriarcha Coombe, Makova, następnego ranka, gdy hierarchowie ponownie wznowili swoje obrady. — Dowódca mojej straży przybocznej, kapitan Gorta... — Przerwał i rzucił ostre spojrzenie mistrzom zakonów rycerskich. Najwyraźniej nie zapomniał nagłego zejścia ze służby poprzedniego kapitana jego oddziałów. — ...Chciałem rzec: kapitan Erder z narażeniem własnego życia pojechał dokładnie wypytań tych nadciągających pielgrzymów. Zapewnił mnie, że są w istocie jedynie pątnikami, wiernymi synami Kościoła, którzy pielgrzymują do Świętego Miasta, aby wraz z innymi wzniesić swe głosy w dziękczynnych hymnach ku czci nowego arcyprałata, gdy ten wstąpi na tron.

— To doprawdy zdumiewające, Makovo — wycedził patriarcha Ucery, Emban. — Tak się składa, że wysłałem własnych obserwatorów poza mury miasta, a oni donieśli mi zupełnie co innego. Jak według ciebie możemy pogodzić te sprzeczne relacje?

— Patriarcha Ucery znany jest ze swych żartów. — Przez twarz Makovy przemknął lodowaty uśmiech. — Jego wesołość często przyczyniała się do rozładowania napięcia. Tylko czy doprawdy to najodpowiedniejszy czas na krotchwile, mój Embanie?

— Czyżbyś widział na mej twarzy uśmiech, Makovo? — Emban wstał z miejsca. Jego ton przywołał na myśl sztylet przyłożony do pleców. — Bracia, moi ludzie donieśli mi, że hordy tak zwanych pielgrzymów, które stoją u naszych bram, nie są nam przyjazne.

— To nonsens! — przerwał mu Makova.

— Być może, ale pozwoliłem sobie przyprowadzić do bazyliki jednego z owych pielgrzymów, więc możemy go dokładniej przepytąć w tej kwestii. Co prawda, pewnie nie będzie zbyt rozmowny, ale wiele wywnioskujemy z jego zachowania, sposobu noszenia się, pochodzenia, a nawet ubioru. — Emban klasnął w dłoń, nim Makova zdążył zaprotestować bądź użyć swego autorytetu, aby mu przeszkodzić.

Do sali wszedł Kurik z Beritem. Obaj sprowadzonego na przesłuchanie człowieka trzymali za kostki nóg. Ciągnęli jego bezwładne, odziane w czarną szatę ciało po marmurowej posadzce, zostawiając na białych kamieniach długą smugę o barwie krwi.

— Co robicie?! — wrzasnął Makova.

— Przedstawiamy dowody. Nie można przecież podjąć racjonalnych decyzji nie zapoznając się z dowodami. — Emban wskazał miejsce w pobliżu pulpitu dla mówcy. — Tam połóżcie świadka, przyjaciele.

— Zabraniam!

— Możesz zabraniać, Makovo, ale już każdy widział tego człowieka i wszyscy dobrze wiemy, kim on jest, prawda? — Emban przyczłapał do ciała leżącego na marmurowej posadzce. — Wszyscy potrafimy po jego rysach poznać, jakiej jest narodowości, a jego czarne szaty to potwierdzają. Bracia, nie ma wątpliwości, że mamy tu do czynienia z Rendorczykiem.

— Patriarcho Ucery, Embanie, aresztuję cię po zarzucie morderstwa! — krzyknął zdesperowany Makova.

— Nie rób z siebie osła. Nie możesz mnie aresztować podczas obrad hierarchii. A poza tym, jesteśmy wewnątrz bazyliki i domagam się prawa azylu. — Emban spojrział na Kurika. — Czy naprawdę musiałeś go zabić?

— Tak, wasza świątobliwość — odparł krzepki giermek. — Sytuacja nas do tego zmusiła. Jednakże potem odmówiliśmy nad nim krótką modlitwę.

— Bardzo przykładowie, synu, przeto udzielam tobie i twemu młodemu towarzyszowi całkowitego rozgrzeszenia za udział w wyekspediowaniu tego nędznego heretyka na spotkanie z nieskończonym miłosiernym Bogiem. — Patriarcha Ucery rozejrzał się po sali. — A teraz powróćmy do przesłuchania obecnego tu pielgrzyma. Widzimy Rendorczyka uzbrojonego w miecz. W tej części kontynentu Eosii wszyscy Rendorczyki są obecnie eshandystami, możemy zatem sądzić, że i ten pielgrzym jest jednym z nich. Znamy ich poglądy. Czy możemy w takim razie oczekiwać, że heretycy przybywają do Chyrellos, aby świętować wstąpienie na tron nowego arcyprałata? Czyżby naszemu drogiemu bratu, Makovie, udało się jakimś cudem nawrócić heretyków z Południa na wiarę w prawdziwego Boga i przyłączyć ich do rzeszy wiernych dzieci naszego Świętego Ojca, Kościoła? Przerwę, aby dać szanownemu patriarsze Coombe czas na odpowiedź.

— Rad jestem, że tłuścioszek stoi po naszej stronie — mruknął Ulath do Ty-niana.

Zgromadzeni w sali audiencyjnej hierarchowie spoglądali wyczekująco na Makovę. Ten jednak milczał.

— Aha. — Emban pokiwał głową. — Zdaje się, że zbyt wielkie były nasze nadzieje. Heretycy nie zostali nawróceni. Musimy wszyscy przeprosić Boga za to, iż nie wykorzystaliśmy nadarzającej się okazji i nie zaleczyliśmy rany w ciele naszego Świętego Ojca. Jednakże żal i gorzkie łzy zawodu nie mogą przesłonić nam oczu na przykrą rzeczywistość. Pielgrzymi u naszych bram nie są tymi, za których się podają. Obawiam się, że nasz drogi brat Makova został niecnie oszukany. U bram Chyrellos stoją nie rzesze wiernych, lecz wygłodniała armia najokrutniejszych wrogów, pragnących zniszczyć i zbezczęścić centrum prawdziwej wiary. Bracia, trudno w tej chwili przesądzić, jaki nas czeka los, ale powinniśmy wszyscy pojednać się z Bogiem. Okropności, jakich dopuszczają się heretycy wobec wyższego duchowieństwa, są dobrze znane i nie trzeba o nich mówić. Ja sam potulnie czekam na spotkanie z płomieniami. — Przerwał i pogodnie klepnął się po wielkim brzuchu. — Będzie ze mnie wesoły ogień.

Po sali przebiegł nerwowy śmiech.

— Nasz los jest mało ważny, bracia — ciągnął dalej Emban. — Tu najważniejszy jest los Świętego Miasta i los Kościoła. Stoimy w obliczu podjęcia trudnej, ale jakże oczywistej decyzji. Czy poddamy nasz Kościół heretykom, czy też będziemy walczyć?

— Walczyć! — zakrzyknął któryś z patriarchów podrywając się z miejsca. — Walczyć!

Okrzyk szybko podchwyciono. Wkrótce wszyscy hierarchowie zerwali się na nogi krzycząc: „Walczyć!”

Emban trochę teatralnym gestem założył ręce do tyłu i pochylił głowę. Gdy ją uniósł, łzy strumieniami spływały mu po policzkach. Odwrócił się wolno, dając okazję każdemu ze zgromadzonych zobaczenia tych łez.

— Niestety, bracia — rzekł łamiącym się głosem. — Nasze śluby zabraniają nam zdjęcia habitów oraz szat liturgicznych i chwycenia za miecz. Stoimy bezradni w obliczu tego straszliwego kryzysu. Jesteśmy zgubieni, bracia, a z nami nasz Święty Ojciec, Kościół. Że też nieszczęsny musiałem dożyć tego straszliwego dnia. W którą stronę mamy się zwrócić, bracia? Kto zechce nam przyjść z pomocą? Kto jest dość silny, aby nas obronić? Jacyż mężowie tego świata potrafiliby nas ocalić przed tym straszliwym, śmiertelnym niebezpieczeństwem?

Wszyscy wstrzymali oddech.

— Rycerze Kościoła! — dobiegł słaby, starczy głos z jednej z czerwono wyszcienianych ław. — Musimy zwrócić się o ratunek do Rycerzy Kościoła! Ich nie pokonają nawet piekielne moce!

— Rycerze Kościoła! — zakrzyknęli zgodnie hierarchowie. — Rycerze Kościoła!

Rozdział 11

Patriarcha Ucery pełen powagi stał na środku marmurowej posadzki wielkiej komnaty. Dokładnie na niego padał strumień słonecznego światła płynący z okna za pustym tronem. Wokół jeszcze przez jakiś czas trwało zamieszanie. Gdy wrzawa głosów poczęła cichnąć Emban podniósł swą pulchną dłoń.

— W istocie — ciągnął dalej — niezwykłemu Rycerze Kościoła z łatwością mogliby obronić Chyrellos, ale przecież są zaangażowani w obronę Arcium. Mistrzowie są tutaj, zajmują pośród nas należne im miejsce, ale każdy z nich ma z sobą jedynie symboliczne siły, z pewnością niewystarczające, by stawić czoło armiom ciemności. Nie potrafimy w mgnieniu oka sprowadzić z kamienistych równin Arcium całej potęgi zakonów rycerskich; a nawet gdybyśmy potrafili, to jak przekonać dowódców armii dotkniętego najazdem królestwa, że my znajdujemy się w większej potrzebie niż oni, a tym samym nakłonić ich, aby odesłali rycerzy nam do pomocy?

Powstał patriarcha Kadachu, Ortzel; jego ascetyczną twarz okalały długie siwiejące włosy. Jako kandydat frakcji opozycyjnej wobec Anniasa cieszył się znacznym autorytetem.

— Czy mogę zabrać głos, Embanie? — zapytał.

— Z szacunkiem wysłuchamy naszego mądrego brata z Lamorkandii. — Emban skłonił się lekko.

— Powinnością Kościoła jest przetrwać i kontynuować swe dzieło — rzekł Ortzel charakterystycznym dla siebie szorstkim tonem. — Wszystko inne ma drugorzędne znaczenie. Czy moi bracia się z tym zgadzają?

Odpowiedział mu pomruk aprobaty.

— Nadeszła chwila ofiary — podjął Ortzel. — Jeżeli w czasie przypiływu uwięźnię człowiekowi noga w kamieniach, a podnosząca się woda zacznie chłupotać mu pod brodą, to czyż ów człek nie powinien poświęcić nogi dla ratowania życia? My jesteśmy w takiej sytuacji. Dla ratowania życia, którym wszak jest nasz Święty Ojciec, Kościół, musimy ze smutkiem poświęcić Arcium. Bracia, stoimy oto w obliczu kryzysu. W przeszłości hierarchowie niechętnie odwoływali się do tego najbardziej skrajnego środka, wiąże on się bowiem z surowymi i ścisłymi

nakazami. Jednakże sytuacja, w obliczu której się znaleźliśmy, jest bez wątpienia największym zagrożeniem od pięciu wieków, od czasów zemoskiej inwazji, przed jakim stanął nasz Święty Ojciec. Bracia, Bóg na nas patrzy i z pewnością osądzi nas i naszą gotowość do dalszego zarządzania jego ukochanym Kościołem. Dlatego też, tak jak wymagają od nas prawa, żądam, aby przeprowadzić natychmiastowe głosowanie. Pytanie, na które będziemy szukać odpowiedzi, sformułuje bardzo prosto: Czy obecna sytuacja w Chyrellos stanowi kryzys wiary? Tak czy nie?

Makova nie posiadał się z oburzenia.

— Z całą pewnością sytuacja nie jest aż tak krytyczna! — wyrzucił z siebie. — Nie próbowaliśmy nawet negocjować ze stojącymi u naszych bram armiami i...

— Przywołuję patriarchę Coombe do porządku — przerwał mu Ortel. — Problem kryzysu wiary nie podlega dyskusji.

— To kwestia prawna! — krzyknął Makova.

Ortel spojrział straszonym wzrokiem na chudego mnicha, pełniącego funkcję prawnika.

— Zacytuj prawo — polecił.

Mnich drżał niczym osika. Doskoczył do ksiąg i począł je desperacko przeglądać.

— Co się tu dzieje? — zapytał Talen niepewnie. — Nic nie rozumiem.

— Prawie nigdy nie odwoływano się do możliwości ogłoszenia stanu kryzysu wiary — rzekł Bevier. — Królowie Eosii Zachodniej gwałtownie się temu sprzeciwiali. W czasie kryzysu wiary Kościół przejmuje nad wszystkim kontrolę — nad rządami, armiami i pieniędzmi — nad wszystkim.

— Jak ustanawia się stan kryzysu wiary? Zwykłą czy znaczącą większością głosów? — zainteresował się Kalten. — A może jednomyślnie?

— Nie sędzę — powiedział Bevier. — Zobaczmy, co powie biegły w prawie mnich.

— To całe zamieszanie jest chyba zbyt ciche — zastanawiał się Tynian. — Przecież posłaliśmy już po króla Warguna, donosząc mu kryzysie w Kościele.

— Ktoś zaniedbał powiadomić o tym Ortela — mruknął Ulath. — On upiera się przy legalnych metodach, a ja nie widzę powodu, by go drażnić.

Mnich wezwany przez Ortela wstał. Był blady jak papier. Otworzył usta i zaraz zamknął. Odchrząknął. Wreszcie zaczął mówić, choć dobywał z siebie jeno drżący pisk.

— Patriarcha Kadachu prawidłowo zacytował prawo — oznajmił. — Pytanie dotyczące stanu kryzysu wiary musi być niezwłocznie poddane pod tajne głosowanie.

— Tajne?! — zawołał Makova.

— Tak każe prawo, wasza świętobliwość. O wyniku przesądza zwykła większość głosów.

— Ale...

— Ucinam wszelkie dyskusje! — Słowa Ortzela zabrzmiały jak trzaśnięcie z bicia. — Zarządzam głosowanie. — Rozejrzał się po sali. — Ty — rzucił w stronę księdza siedzącego w pobliżu Anniasa — przygotuj przybory do głosowania. Jak sobie przypominam, są w szkatule po prawej stronie tronu arcyprałata.

Ksiądz zawahał się, rzucając Anniasowi bojaźliwe spojrzenie.

— Rusz się, człowieku!!! — wrzasnął Ortzel.

Ksiądz poderwał się na nogi i pośpieszył w kierunku okrytego całunem tronu.

— Nadal nic nie rozumiem. Niech ktoś mi to wyjaśni dokładniej — gorączkował się Talen.

— Później, Talenie — uciszała go Sephrenia. Czarodziejka miała na sobie ciężką czarną suknię, przypominającą nieco szaty duchownych. Trudno ją było dostrzec wśród wysokich i potężnych, odzianych w zbroje Rycerzy Kościoła. Nikt postronny nie wiedział, że w bazylice podczas obrad hierarchii Kościoła jest obecna nie dość że niewiasta, to jeszcze Styriczka. — Teraz patrzmy — uśmiechała się z zadowoleniem. — Przedstawienie się zaczyna.

— Mateczko! — szepnął Sparhawk z wyrzutem.

— Wybacz, mój drogi. Nie stroję sobie żartów z waszego Kościoła, jedynie bawią mnie te wszystkie zabiegi.

W skład przyborów do głosowania wchodziła pokaźna czarna skrzynka, zakurzona i bez ozdób, oraz dwa skórzane woreczki, których wiązanie zabezpieczały ołowiane plomby.

— Patriarcho Coombe, ty przewodniczysz obradom — powiedział Ortzel. — Do twoich obowiązków należy złamanie pieczęci i nakazanie rozdania gałek do głosowania.

Makova zerknął na biegłego w prawie mnicha, a kiedy ujrzał twierdzące skinienie głowy, usunął ołowiane plomby, wyciągnął z każdego z mieszków po jednej gałce i uniósł wysoko, pokazując obecnym. Kulki były wielkości orzecha, jedna biała, druga czarna.

— Będziemy głosować tymi gałkami — oznajmił zgromadzonym patriarchom. — Czy zgadzacie się, aby czarna oznaczała „nie”, a biała „tak”?

Dał się słyszeć pełen aprobaty pomruk.

— A zatem rozdajcie gałki do głosowania — polecił Makova dwóm paziom. — Każdy członek hierarchii powinien otrzymać jedną białą i jedną czarną kulkę. — Odchrząknął. — Bracia, niech Bóg was napełni mądrością, głosujcie w zgodzie z własnym sumieniem. — Twarz Makovy z wolna odzyskiwała kolory.

— Liczy głosy — powiedział Kalten. — Ma pięćdziesiąt dziewięć i myśli, że my mamy jedynie czterdzieści siedem. Nic nie wie o tych pięciu patriarchach

trzymanych w zanadrzu. Wyobrażam sobie, jakim zaskoczeniem będzie dla niego te pięć głosów. Mimo to nadal będzie miał przewagę.

— Zapomniałeś o neutralnych — przypomniał mu Bevier.

— Oni po prostu się wstrzymają, prawda? Nadal czekają na łapówkę. Nie będą chcieli narażać się żadnej ze stron.

— Nie mogą się wstrzymać, panie Kaltenie — rzekł Bevier — nie w tym głosowaniu. W myśl prawa kościelnego w tej sprawie muszą się opowiedzieć po jednej ze stron.

— Skąd wiesz, panie Bevierze?

— Mówiłem ci, że studiowałem historię wojskowości.

— A co to ma wspólnego z historią wojskowości?

— Kościół ogłosił stan kryzysu wiary podczas najazdu Zemochu. Zapoznanie się z tą procedurą potraktowałem jako część moich studiów.

Kiedy obaj paziowie rozdawali gałki do głosowania, Dolmant wstał i podszedł do drzwi. Chwilę rozmawiał ze stojącymi na zewnątrz członkami gwardii przybocznej arcyprałata i wrócił na swoje miejsce. W momencie gdy przygotowania dobiegały końca, do komnaty weszło pięciu przełkniętych patriarchów, którzy do tej pory pozostawali w ukryciu.

— Co to ma znaczyć? — zapytał Makova wybałuszając oczy ze zdumienia.

— Proszę patriarchę Coombe, by zachowywał się właściwie — upomniał go Orzel. Zdawało się, iż robi to z przyjemnością. — Bracia — zwrócił się do pięciu nowo przybyłych — obecnie głosujemy nad. . .

— Poinstruowanie naszych braci należy do moich obowiązków! — krzyknął Makova.

— Patriarcha Coombe jest w będzie — rzekł Orzel krótko. — Ja przedłożyłem problem hierarchom i dlatego też do mnie należy ten obowiązek. — Wyjaśnił szybko pięciu duchownym przedmiot głosowania. Podkreślił powagę sytuacji, czego Makova zapewne nie zamierzał uczynić.

Makova odzyskał równowagę.

— Ponownie liczy głosy — szepnął Kalten. — Chyba uznał, że będzie miał więcej niż my. Wszystko zależy od neutralnych.

Na stole przed pulpitem Makovy postawiono czarną skrzynkę. Patriarchowie podchodzili kolejno i wrzucali jedną z gałek do otworu na wierzchu skrzynki. Niektórzy byli pewni, jaką gałkę wrzucić, inni czynili to po chwili wahania.

— Ja zajmę się liczeniem — oznajmił Makova.

— Nie sam — stwierdził Orzel zwięźle. — Ja wniosłem tę kwestię pod obrady hierarchii i ja będę ci asystował przy liczeniu.

— On mi się zaczyna podobać — mruknął Ulath.

— Być może źle go ocenialiśmy — przyznał Tynian.

Orzel rozpoczął liczenie głosów. Makova poszarzał na twarzy. W sali zapadła pełna napięcia cisza.

— Skończone — oświadczył Ortzel. — Podaj wyniki, Makovo.
Patriarcha Coombe rzucił szybkie, przepraszające spojrzenie Anniasowi.
— Sześćdziesiąt cztery głosy „za”, „przeciw” pięćdziesiąt sześć — wymamrotał prawie niedosłyszalnie.
— Powtórz — nakazał Ortzel. — Niektórzy z naszych braci mają słaby słuch.
Makova obdarzył go pełnym nienawiści spojrzeniem i raz jeszcze przedstawił wynik głosowania.
— Zdobyliśmy neutralnych! — emocjonował się Talen. — W dodatku ukradliśmy trzy głosy Anniasowi!
— Rad jestem, że to zostało już ustalone — odezwał się łagodnie Emban. — Bracia, musimy wiele rozważyć, a czasu mamy mało. Nie myślę się chyba stwierdzając, iż życzeniem hierarchii jest natychmiastowe wezwanie Rycerzy Kościoła — a także armii królestw Zachodu — do jak najspiesznego przybycia nam z pomocą.
— Zostawimy królestwo Arcium bezbronne? — próbował oponować Makova.
— A co w tej chwili może zagrażać Arcium? Wszyscy eshandyści obozują pod naszymi bramami. Makovo, chcesz jeszcze jednego głosowania?
— Tak, głosowania w sprawie natury zasadniczej — powiedział beznamytnie patriarcha Coombe, pokładając nadzieje w sześćdziesięcioprocentowej większości potrzebnej do zatwierdzenia wniosku.
— To kwestia prawna — odparł Emban. Z jego oblicza wyczierała niemal święta cierpliwość. Spojrzał na mnicha. — Co w tej sytuacji mówi prawo?
— W okresie kryzysu wiary w żadnej kwestii, wyjąwszy wybór arcyprałata, nie jest wymagana znacząca większość głosów, wasza świątobliwość — odpowiedział mnich.
— Tak też myślałem. — Emban uśmiechnął się do patriarchy Coombe. — Makovo, chcesz głosowania?
— Cofam swój wniosek w kwestii sprawy natury zasadniczej — oznajmił Makova ponuro — ale jak mamy wysłać posłańca z oblężonego miasta?
Ponownie wstał Ortzel.
— Moi bracia zapewne są świadomi, iż jestem Lamorkandczykiem — zaczął. — My w Lamorkandii jesteśmy dobrze obznajomieni z oblężeniami. Ostatniej nocy wysłałem dwudziestu swoich ludzi na krańce miasta. Czekali na sygnał, na czerwony dym, który teraz właśnie unosi się znad kopuły bazyliki. Domyślam się, że już pędzą co koń wyskoczy w kierunku Arcium — a przynajmniej powinni to robić, jeśli im życie miłe.
— Polubiłem go! — szepnął Kalten z uznaniem.
— Ośmieliłeś się uczynić to bez zgody całej hierarchii?! — krzyknął Makova.
— A czy ktokolwiek wątpił w wynik głosowania?
— Pachnie mi tu znową — powiedziała Sephrenia cicho.

— Bracia — ciągnął dalej Emban — kryzys, w obliczu którego obecnie stanęliśmy, jest czysto wojskowej natury. My zaś w przeważającej części nie jesteśmy żołnierzami. Jakże zatem moglibyśmy ustrzec się błędów, zamieszania i zwłoki? A przecież jako nie wyćwiczeni w walce i nie obcy ze sprawami doczesnego świata duchowni musimy się z tym liczyć, próbując zgłębić nieznanne i złożone problemy. Najlepszym przykładem może być przewodnictwo patriarchy Coombe. Jestem pewien, że wszyscy z głębi serca jesteśmy mu wdzięczni za wysiłki, jakie podejmuje, ale z zalem muszę stwierdzić, że na problemach natury militarnej zna się on nie lepiej ode mnie. Szczerze wyznaję, bracia, że nie potrafię odróżnić jednego końca miecza od drugiego. — Uśmiechnął się szeroko. — Ćwiczono mnie w posługiwaniu się przyborami do jedzenia, a nie przyborami do wojowania. Mój oponent i ja moglibyśmy się szczęśliwie pojedynkować na śmierć i życie przy dobrze upieczonym wołowym udźcu.

Hierarchowie wybuchnęli śmiechem. Napięcie panujące na sali osłabło.

— Bracia, potrzebny nam jest wojownik — podjął Emban. — Potrzebny nam teraz generał na miejsce przewodniczącego. Mamy pośród nas czterech takich generałów. To mistrzowie czterech zakonów rycerskich.

Wśród obecnych zapanowało ożywienie, ale Emban uniósł dłoń, prosząc o ciszę.

— Ale — mówił dalej — czy odważylibyśmy się odciągnąć któregoś z tych geniuszy wojennego rzemiosła od żywotnego zadania obrony Chyrellos? Nie sądzę. Gdzie zatem mamy szukać? — Umilkł, a po chwili podjął tonem pełnym skruchy: — Muszę teraz złamać przysięgę, którą złożyłem jednemu z moich braci. Modłę się, aby zarówno on, jak i Bóg wybaczyli mi ten postępek. Otóż, drodzy bracia, mamy między sobą człowieka przeszkolonego wojskowo. On skromnie skrywał ten fakt, ale skromność, która pozbawia nas jego talentu w czasie kryzysu wiary, przestaje być cnotą. — Patriarcha Ucery przyoblekł twarz w wyraz szczerzego żalu. — Wybacz mi, Dolmancie, lecz w tej sytuacji nie mam wyboru. Moje powinności wobec Kościoła są ponad powinnościami wobec przyjaciół.

Dolmant patrzył na niego lodowato.

Emban westchnął.

— Spodziewam się, że po zakończeniu tego spotkania patriarcha Demos spuści mi solidne lanie, ale mam grubą warstwę sadła, dzięki czemu przetrwam baty. Nasz drogi Dolmant w młodości był bratem w Zakonie Rycerzy Pandionu i . . .

Przez komnatę przebiegł pełen zdumienia szmer.

Emban podniósł głos.

— Mistrz tego zakonu, Vanion, który w tym samym czasie był nowicjuszem, zapewnił mnie, iż nasz świątobliwy brat z Demos to doskonały wojownik i mógłby sam osiągnąć stopień mistrza, gdyby Święty Ojciec, Kościół nie uznał za stosowne inaczej spożytkować jego talentów. — Ponownie zrobił efektowną pauzę. — Dziękujcie Bogu, bracia, że nigdy nie stanęliśmy wobec decyzji dokonania wy-

boru między Vanionem i Dolmantem. Byłoby to pewnie nawet dla nas zadaniem ponad siły. — Mówił jeszcze jakiś czas, wychwalając Dolmanta pod niebiosa. Potem rozejrzał się wokół. — Jaką podejmiemy decyzję, bracia? Czy powinniśmy błagać naszego brata z Demos, aby przewodniczył nam w obliczu tego strasznego zagrożenia?

Makova gapił się na mówcę w milczeniu. Kilkakrotnie otwierał usta, jakby miał zamiar zabrać głos, ale za każdym razem zaciskał szczęki.

Sparhawk pochylił się ku starszemu mnichowi siedzącemu w rzędzie przed nim.

— Czyżby patriarcha Coombe nagle stracił głos, ziomku? — zapytał. — Zdaje się, że jest przyparty do muru.

— Patriarcha Coombe stracił głos w najdosłowniejszym tego słowa znaczeniu — odparł mnich. — W hierarchii jest stary zwyczaj, a nawet prawo, że patriarcha nie może sam wysuwać swej kandydatury na żadne stanowisko. Zostałoby to uznane za nieskromność.

— Rozsądny obyczaj — rzekł Sparhawk.

— Też tak sądzę. Makova działał na mnie usypiająco.

Sparhawk uśmiechnął się do mnicha.

— Na mnie też — wyznał. — Zdaje się, że obaj powinniśmy prosić Boga, by dał nam cierpliwość.

Makova desperacko rozglądał się dookoła, ale żaden z dostojników kościelnych nie miał zamiaru się za nim wstawić. Nie mieli nic pochlebnego do powiedzenia na jego temat i z góry mogli przewidzieć reakcję sali.

— Głosowanie — oznajmił w końcu patriarcha Coombe ze smutkiem.

— Słusznie. — Emban promieniał. — Głosujmy zaraz. Szkoda czasu.

Tym razem za objęciem przewodnictwa przez Dolmanta głosowało sześćdziesięciu pięciu, a przeciwko — pięćdziesięciu pięciu. Annias stracił kolejnego stronnika.

— Bracie z Demos — rzekł Emban do Dolmanta po ogłoszeniu wyników — bądź łaskaw przyjąć przewodnictwo.

Dolmant wyszedł na środek sali, podczas gdy rozeźlony Makova zebrał swoje papiery i odszedł od pulpitu.

— Bracia, obdarzyliście mnie tak wielkim zaszczytem, że wprost nie czuję się na siłach wyrazić wam swej wdzięczności — powiedział Dolmant. — W tej chwili pozwólcie, bym wam po prostu rzekł krótko: dziękuję i przystąpmy do rozpatrywania spraw związanych z kryzysem wiary. Najpilniejszym zadaniem jest zgromadzenie pod dowództwem Rycerzy Kościoła jak największej siły. Do kogo możemy się w tej potrzebie zwrócić?

Emban nawet nie kłopotał się siadaniem.

— Bracia, siły, o których mówi nasz wielbny przewodniczący mamy pod ręką — zwrócił się do zebranych. — Każdy z nas dysponuje oddziałami gwardzistów.

W obliczu obecnego kryzysu proponuję, byśmy niezwłocznie przekazali zakonom rycerskim dowództwo nad tymi oddziałami.

— Chcesz nas pozbawić naszej jedynej ochrony, Embanie? — zaprotestował Makova.

— Ochrona Świętego Miasta jest ważniejsza. Czy historia ma o nas potem mówić, że byliśmy tak tchórzliwi, iż z bojaźni o własną skórę odmówiliśmy w potrzebie pomocy nawet naszemu Świętemu Ojcu, Kościołowi? Módlmy się, aby żaden z takich tchórzy nie skalał nas swą obecnością. Co na to hierarchowie? Czy powinniśmy ponieść tę drobną ofiarę dla Kościoła?

Szmer przyzwolenia w pewnych rejonach sali wydawał się jakby jękiem.

— Czy któryś z patriarchów chce wezwać do głosowania w tej sprawie? — zapytał Dolmant przestrzegając zasad. Rozejrzał się po cichych teraz rzędach ław. — W taki razie protokolant zanotuje, iż propozycja patriarchy Ucery została przyjęta przez aklamację. Niech skrybowie sporządzą odpowiednie dokumenty, które każdy członek hierarchii podpisze, przekazując tym samym dowództwo swych osobistych oddziałów gwardii zakonowi rycerskim. — Przerwał na moment. — Czy ktoś mógłby poprosić tu dowódcę przybocznej gwardii arcyprałata?

Jeden z księży pośpieszył do drzwi i wkrótce do komnaty wszedł krzepki rudowłosy oficer w wypolerowanym napierśniku, uzbrojony w starodawny krótki miecz. Wyraz jego twarzy jasno wskazywał, iż jest świadom obecności wrogich armii u bram miasta.

— Jedno pytanie, poruczniku — zwrócił się do niego Dolmant. — Moi bracia poprosili mnie, bym przewodniczył ich obradom. Czy pod nieobecność arcyprałata mogę przemawiać w jego imieniu?

Porucznik zastanowił się przez chwilę.

— Możesz, wasza świątobliwość — przyznał.

— Nie ma takiego prawa! — zaprotestował Makova, najwyraźniej żałując, że sam nie wpadł na ten pomysł, gdy przewodniczył obradom.

— Nikt nie przewidział sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy — rzekł Dolmant. — Stan kryzysu wiary był w historii Kościoła ogłaszany jedynie kilka razy. Podczas każdego z czterech poprzednich kryzysów na tronie, który teraz stoi pusty przed nami, zasiadał żywy arcyprałat. Stając w obliczu nietypowej sytuacji musimy improwizować. Oto co zrobimy, poruczniku. Każdy z patriarchów podpisze dokument przekazujący dowództwo swych osobistych oddziałów Rycerzom Kościoła. Aby oszczędzić na czasie, gdy tylko te dokumenty będą podpisane, ty i twoi ludzie zapewnicie patriarchom eskortę do koszar, gdzie patriarchowie będą mogli osobiście potwierdzić swój pisemny rozkaz. — Odwrócił się i spojrzał na mistrzów. — Bracie Abrielu, czy zechciałbyś wraz z innymi mistrzami oddelegować rycerzy do objęcia dowództwa nad gwardzistami? Kiedy tylko zostaną zwolnieni z poprzedniej służby, zgromadźcie ich w wybranym przez siebie miejscu. Musimy szybko sformować szyki.

Abriel wstał.

— Uczynimy wedle twojej woli, wasza świętobliwość — oznajmił.

— Dziękuję, mistrzu Abrielu. — Dolmant ponownie przeniósł spojrzenie na wznoszące się przed nim rzędy ław, w których zasiadali hierarchowie. — Bracia, uczyniliśmy co w naszej mocy. Teraz przystąpmy do przekazywania naszych żołnierzy pod dowództwo Rycerzy Kościoła. Potem zwrócimy się o pomoc do Boga. Może On w swej nieskończonej mądrości doradzi nam, jakie podjąć dalej kroki w celu obrony Jego ukochanego Kościoła. Przeto na czas kryzysu wiary zawieszam obrady hierarchii.

Na sali nastał gwar, obecni powstali z ław rozprawiając z ożywieniem i zaczęli kierować się ku wyjściu.

— Wspaniale! — zawołał Bevier. — Serią mistrzowskich posunięć pozbawili Anniasa kontroli na hierarchami, zabrali mu jego własnych żołnierzy i zawiesili głosowania do czasu, gdy będziemy mogli wrócić do bazyliki, by ich w razie potrzeby powstrzymać.

— Szkoda, że zaniechali walki właśnie teraz — żałował Talen. — Brakuje nam tylko jednego głosu do wyboru własnego arcyprałata.

Sparhawk był wielce uradowany. Wprawdzie Martel nadal stanowił zagrożenie dla Świętego Miasta, lecz udało się pozbawić Anniasa i jego popleczników wpływu na hierarchię. Odstępstwo czterech przekupionych patriarchów wyraźnie ukazywało słabość więzów, łączących ich z prymasem Cimmury. Rycerz powoli wraz z tłumem sunął ku wielkim podwojom, gdy znowu poczuł znajome uczucie przytłaczającego strachu. Odwrócił się. Tym razem go ujrzał. Cień krył się za tronem arcyprałata, zdawał się falować miękko w przyćmionym świetle. Sparhawk sprawdził, czy Bhelliom wciąż jest na swoim miejscu. Klejnot spoczywał bezpiecznie pod szatą wierzchnią na piersi. Rycerz wiedział, że woreczek jest mocno związany. Stało się jasne, że wyciągnął mylne wnioski. Cień mógł się pojawiać niezależnie od Bhelliomu, i to nawet wewnątrz najświętszej budowli wiary Elenów. Dotychczas Sparhawk żywił nadzieję, że choć w tym miejscu będzie wolny. Mylił się. Zatraskany opuszczał wraz z przyjaciółmi salę audiencyjną, która teraz sprawiała wrażenie ciemnej i chłodnej.

Zamach na jego życie nastąpił prawie natychmiast po tym, jak zobaczył cień. Zakapturzony mnich, jeden z wielu w tłumie przy wyjściu, odwrócił się nagle i zamierzył sztyletem prosto w nie osłoniętą przyłbicą twarz pandionity. Sparhawk uratował jedynie refleks. Odruchowo zablokował uderzenie zbrojnym przedramieniem i błyskawicznie schwycił mnicha za kark, lecz w tej samej chwili zamachowiec przebił się swym sztyletem. Krzyknął rozziewając i zeszywniał. Wstrząsnął nim gwałtowny dreszcz. Sparhawk poczuł, że ciało niedoszłego zabójcy bezwładnie osuwa się na posadzkę.

— Kalten! — zawołał z cicha. — Pomóż mi! Podtrzymaj go!
Kalten podskoczył i uchwycił zamachowca w mnisim habicie pod ramię.
— Czy nasz brat źle się poczuł? — spytał jakiś zakonnik.
— Zasłabł — odparł Kalten niedbale. — Niektórzy ludzie nie wytrzymują tłoku. Zabierzemy go do jakiejś ustronnej komnaty, tam wróci do przytomności.
— Bravo! — półgłosem pochwalił przyjaciela Sparhawk.
— Widzisz, potrafisz sam myśleć. — Kalten wskazał głową pobliskie drzwi.
— Zabierzmy go tam.
Wciągnęli ciało do komnaty i zamknęli za sobą drzwi. Kalten wyciągnął z ciała sztylet.
— Też mi broń! — powiedział ze wzgardą.
— Wystarczyłaby — rzekł Sparhawk. — Raz się tylko ukłuł i już był sztywny.
— Trucizna? — domyślił się Kalten.
— Prawdopodobnie. Chyba że nie wytrzymał widoku własnej krwi. Obejrzyjmy go. — Sparhawk pochylił się nad ciałem i zdarł z niego habit.
Zamachowiec był Rendorczykiem.
— A to ciekawe. — Kalten gwizdnął. — Widać ten kusznik, który próbował cię zabić, zaczął angażować pomoc z zewnątrz.
— Może to jest właśnie ów kusznik.
— A skąd! Kusznik ukrywał się wśród ludzi. Każdy, kto choć trochę myśli, rozpozna Rendorczyka. Nie mógłby tak po prostu wmieszać się w tłum.
— Pewnie masz słuszość. Podaj mi sztylet. Pokażemy go Sephrenii.
— Zdaje się, że Martel woli uniknąć spotkania z tobą.
— Dlaczego uważasz, że za tym stoi Martel?
— A dlaczego ty tak nie sądzisz? Co z tym zrobimy? — Kalten wskazał na ciało na podłodze.
— Zostaw je. Sprzątacze kiedyś go znajdą i zrobią za nas porządek.

Wielu gwardzistów postanowiło zrezygnować ze służby na wieść, iż oddano ich pod komendę Rycerzy Kościoła — w każdym razie uczynili tak oficerowie. Prosty żołnierz nie miał takiej możliwości. Rezygnacje jednak nie zostały przyjęte, choć rycerze byli w stanie zrozumieć moralne rozterki pułkowników, kapitanów i poruczników, którzy wahali się dowodzić w takich okolicznościach. Łaskawie pozbawili ich stopni i włączyli w szeregi zwykłych żołnierzy. Następnie pomaszerowali z czerwono umundurowanymi oddziałami na wielki plac przed bazyliką, aby rozstawić ich na murach i przy bramach Miasta Wewnętrznego.

— Miałeś jakieś kłopoty? — zapytał Ulath Tyniana, gdy spotkali się na skrzyżowaniu. Każdy z nich prowadził pokaźny oddział żołnierzy.

— Było jedynie kilka rezygnacji. — Tynian wzruszył ramionami. — Dzięki temu mam nowych oficerów.

— Ja także — odparł Ulath. — Wielu starych sierżantów dziś awansowało. Ramię przy ramieniu jechali w kierunku głównej bramy wewnętrznych murów.

— Chwilę temu natknąłem się na pana Beviera — opowiadał Tynian. — Zdaje się, że on nie miał podobnych kłopotów. Dziwne.

— Powód jest całkiem oczywisty, Tynianie. Wieść o tym, co spotkało tego kapitana, który usiłował nie wpuścić nas do bazyliki, rozniosła się szeroko. — Ulath zdjął zdobiony rogami ogra hełm i podrapał się po głowie. — Myślę, że najbardziej przestraszyła wszystkich modlitwa, którą potem zmówił. Zdarza się pozbawić kogoś głowy w sprzeczce, ale modlenie się potem za spokój jego duszy większość ludzi zbija z pantafyku.

— Tak, pewnie o to chodzi — przyznał Tynian, po czym obejrzał się na żołnierzy, którzy posępnie wlekli się na spotkanie czegoś, co wedle wszelkiego prawdopodobieństwa miało być prawdziwą bitwą. Gwardziści nie zaciągali się zwykle dla żądzy walki, toteż oczekiwali grożących im nieprzyjemności bez najmniejszego zapалу. — Uszy do góry! — strofował ich Tynian. — Wyglądajcie chociaż jak żołnierze. Wyrównać szeregi i starać się iść noga w nogę! Musimy przecież dbać o opinię. — Umilkł na chwilę. — A co byście powiedzieli na piosenkę? Ludzi podnosi na duchu, gdy żołnierze z pieśnią na ustach idą do boju. W końcu to pokaz odwagi i męskiej pogardy dla śmierci.

Z szeregów dobiegł cichy śpiew. Na rozkaz Tyniana kilkakrotnie zaczęli od nowa, dopóki nie zadowolili dowódcy bojowym entuzjazmem wyrażonym wrzaskiem na całe gardło.

— Okrutny człek z ciebie — mruknął Ulath.

— Wiem — przyznał Tynian pogodnie.

Sephrenia niemal obojętnie zareagowała na wieść o nieudanym zamachu na Sparhawk.

— Jesteś pewien, że tuż przed atakiem widziałeś cień za tronem arcyprałata?

Rycerz w odpowiedzi skinął głową.

— A zatem nasza hipoteza wydaje się całkiem zasadna — powiedziała z satysfakcją. Spojrzała na zatruty sztylet leżący pomiędzy nimi na stole. — Trudno to nazwać odpowiednią bronią do ataku na zbrojnego męża — zauważyła.

— Jedno draśnięcie załatwiłoby sprawę, mateczko.

— Jakże mógłby cię zadrasnąć, skoro byłeś zakuty w stal?

— Próbował mnie trafić w twarz.

— A zatem trzymaj przyłbicę opuszczoną.

— Wyglądałbym trochę głupio. . .

— A co wolisz? Wyglądać głupio czy być martwym? Czy ktoś z naszych przyjaciół widział ten zamach?

— Kalten wie, że miał miejsce.
Czarodziejka zmarszczyła brwi.
— To niedobrze. Miałam nadzieję, że uda się zatrzymać to pomiędzy nami.
— Kalten wie, podobnie jak wszyscy, że ktoś próbuje mnie zabić. Oni myślą, że to zwykłe sztuczki Martela.
— W takim razie nie wyprowadzajmy ich z błędu, Sparhawk.

— Doszło do pewnej liczby dezercji, mistrzu — raportował Kalten, gdy rycerze zbrali się na stopniach bazyliki. — Nie było sposobu, by zapobiec przedostaniu się plotek do koszar.

— Należało się tego spodziewać — powiedział Vanion. — Czy ktoś wyjrzał za zewnętrzne mury i sprawdził, co robi Martel?

— Berit zajmuje się tą sprawą, mistrzu. Z tego chłopaka będzie świetny pandionita. Powinniśmy dbać o to, by pozostał przy życiu. — Kalten błysnął zębami w uśmiechu. — Ale do rzeczy. Otóż Berit donosi, że Martel prawie kończy formowanie szyków. Prawdopodobnie już teraz mógłby wydać rozkaz ataku na miasto. Naprawdę dziwię się, że tego nie czyni. Przecież któryś z zauszników Anniasa na pewno zdążył mu już donieść o wydarzeniach w bazylice dzisiejszego ranka. Każdą chwilą zwłoki daje nam więcej czasu do przygotowania się na jego przyjęcie.

— Zmyliła go własna chciwość, Kaltenie — rzekł Sparhawk. — Martel jest chciwy i wyobraża sobie, że jego łapczywość to cecha powszechna. Uznał, iż będziemy bronić całego miasta i chce nam dać czas na rozdzielenie sił, aby mógł przez nas po prostu przemaszerować. Nawet nie przypuszcza, że porzucimy Miasto Zewnętrzne i skoncentrujemy się na obronie wewnętrznych murów.

— Podejrzewam, że wielu spośród moich braci patriarchów myśli bardzo podobnie — odezwał się Emban. — Głosowanie mogło być bardziej dramatyczne, gdyby ci, którzy mają pałace w Mieście Zewnętrznym, uświadomili sobie, że zamierzamy pozostawić ich domy Martelowi.

Na marmurowe stopnie bazyliki weszli genidianicy, Komier i Ulath.

— Będziemy musieli zburzyć kilka stojących przy murze domów — powiedział mistrz Komier. — Z północnej strony nadciągają Lamorkandczycy, a oni używają kusz. Z dachów mogliby wygodnie do nas strzelać... Nie mam dużego doświadczenia w oblężeniach. Jakiego rodzaju maszyny Martel może przeciw nam sprowadzić?

— Tarany, katapulty, wieże oblężnicze — wyliczał Abriel.

— Wieże oblężnicze? Co to takiego?

— To rodzaj wysokich konstrukcji. Podtoczą je do samych murów, a potem prosto na nas wysypią się z nich żołnierze. To sposób na uniknięcie ofiar, jakie się ponosi przy zastosowaniu drabin.

— Podtoczą? — zdziwił się Komier.

— Wieże są na kołach.

Komier chrząknął.

— W takim razie zostawimy na ulicach gruz ze zburzonych domów. Koła niełatwo się kręcą po stertach cegieł.

Na rozległy plac wjechał galopem Berit. Gwardziści tłumnie zgromadzeni przed bazyliką szybko się przed nim rozstąpili. Młodzieniec zeskoczył z siodła i wbiegł na schody.

— Szlachetni panowie, ludzie Martela zaczynają składać maszyny oblężnicze.

— Czy ktoś mógłby mi to wyjaśnić? — zapytał Komier.

— Maszyny są przewożone w częściach — tłumaczył Abriel. — Po dotarciu na miejsce trzeba je złożyć.

— Wy, cyrinicy z Arcium, jesteście ekspertami od zamków i oblężeń. Ile może potrwać to składanie?

— Kilka godzin. Maszyny do miotania kamieni zajmą więcej czasu. Wrogowie muszą je dopiero zbudować.

— Maszyny do miotania kamieni...?

— To rodzaj ogromnych katapult. Są zbyt duże, by je transportować — nawet po rozebraniu na części. Do ich budowy używa się całych pni drzew.

— Jakiej wielkości kamienie mogą miotać?

— Głazy o ciężarze bojowego rumaka.

— Mury nie wytrzymają wielu takich uderzeń.

— O to właśnie chodzi. Ale najpierw używa się normalnych katapult. Zbudowanie maszyn do miotania głazów zajmuje przynajmniej tydzień.

— Ufam, że do tego czasu katapulty, tarany i wieże oblężnicze dostarczą nam zajęcia — stwierdził Komier ze skwaszoną miną. — Czuję odrazę do oblężeń! — Wzdrygnął się. — Poczyńmy przygotowania. — Obrzucił gwardzistów wzgardliwym spojrzeniem. — Zagońmy tych pełnych zapału ochotników do zburzenia domów i zagruzowania ulic.

Wkrótce po zmierzchu zwiadowcy Martela odkryli, że nikt nie broni murów Miasta Zewnętrznego. Kilku z nich, tych głębszych, wróciło. Znaczna część jednak rzuciła się do szabrowania. Na godzinę przed północą Berit obudził Sparhawk i Kaltena, by donieść im, że w Mieście Zewnętrznym są oddziały wroga. Już chciał wyjść, kiedy zatrzymał go Sparhawk.

— Dokąd się wybierasz? — zapytał bezceremonialnie.

— Wracam, skąd przyszedłem, dostojny panie.

— Nie wracasz. Zostaniesz teraz za wewnętrznym murem. Nie chcę, byś zginął.

— Ktoś musi obserwować rozwój wydarzeń — zaprotestował Berit.

— Na szczycie kopuły bazyliki jest nadbudówka, zwana latarnią. Weź Kurika i stamtąd prowadźcie obserwacje.

— Stanie się wedle twojej woli, dostojny panie. — Młodzieniec westchnął z żalem.

— Bericie! — odezwał się Kalten, przywdziewając kolczugę.

— Słucham, szlachetny panie.

— Pamiętaj, nie musisz tego lubić. Musisz to po prostu zrobić.

Sparhawk wraz z przyjaciółmi ruszył starymi wąskimi uliczkami Miasta Wewnętrznego. Potem wszyscy wspięli się na mury. Ulice Miasta Zewnętrznego pełne były ruchliwych pochodni niesionych przez najemników Martela. Szabrownicy gnali od domu do domu, kradnąc co popadnie. Rozlegający się od czasu do czasu niewieści krzyk jasno wskazywał, że nie tylko grabież mieli w głowie. Ogarnięty paniką i zawodzący żałośnie tłum cisnął się do zamkniętej teraz bramy Miasta Wewnętrznego, lecz choć ludzie błagali o wpuszczenie, bramy pozostawały zamknięte naглуcho.

Na szczycie murów wbiegł jeden z wrażliwszych patriarchów. Miał oczy zapuchnięte od płaczu.

— Co ty wyprawiasz?! — wrzeszczał na Dolmanta. — Czemu żołnierze nie są na zewnątrz i nie bronią miasta?

— To decyzja natury wojskowej, bracie Choldo — odparł spokojnie Dolmant.

— Nie mamy dość ludzi do obrony całego Chyrellos. Musieliśmy wycofać się za mury Miasta Wewnętrznego.

— Czyś oszalał?! Tam jest mój dom!

— Przykro mi, ale nic na to nie mogę poradzić.

— Ale ja na ciebie głosowałem!

— Doceniam to.

— Mój dom! Mój dobytek! Moje skarby! — Cholda, patriarcha Miruscum załamywał ręce. — Mój piękny dom! Moje meble! Moje złoto!

— Schroń się w bazylice, bracie — rzekł mu chłodno Dolmant. — Módl się, by Bóg przyjął twą ofiarę.

Patriarcha zszedł z murów potykając się na kamiennych schodach i gorzko płacząc.

— Straciłeś jeden głos, Dolmancie — powiedział Emban.

— Głosowania się skończyły, a bez tego głosu i tak mógłbym się obejść.

— Nie jestem tego taki pewien. Nadal czeka nas jeszcze jedno ważne głosowanie. Możemy potrzebować także Choldy, nim to wszystko się skończy.

— Zaczęli — powiedział ze smutkiem Tynian.

— Co zaczęli? — zapytał Kalten.

— Podpalać. — Tynian wskazał na strzelające z dachów pomarańczowożłote płomienie i snopy czarnego dymu. — Żołnierze zawsze podczas plądrowania nocą nieostrożnie obchodzą się z pochodniami.

— Czy nic nie możemy uczynić? — Bevier patrzył ze zgrozą na pożary w dole.

— Obawiam się, że nic. Pozostaje nam jedynie modlić się o deszcz.

— O tej porze roku nie pada tu deszcz — mruknął Ulath.

— Wiem — westchnął Tynian.

Rozdział 12

Grabież miasta przeciągnęła się do późnej nocy. Ogień rozprzestrzenił się szybko, jako że nie było nikogo, kto by gasił pożary, i wkrótce miasto spowiły gęste kłęby dymu. Ze szczytu murów Sparhawk i jego przyjaciele przyglądali się najemnikom, którzy biegali po ulicach, dźwigając na plecach tobołki ze zdobyczą i rozglądając się dziko za kolejnymi łupami. Tłum mieszkańców przed bramami, błagający o wpuszczenie do Miasta Wewnętrznego, rozpierzchł się na widok żołdaków Martela.

Oczywiście nie obyło się bez morderstw i gwałtów. Rycerze widzieli, jak jeden z Cammoryjczyków wywlókł młodą kobietę za włosy z domu i zniknął z nią w pobliskim zaułku. Krzyk niewiasty nie pozostawiał wątpliwości co do jej dalszego losu.

Młody gwardzista, stojący obok Sparhawk na szczycie murów, zaczął płakać. Nagle Cammoryjczyk wyłonił się z zaułka. Gwardzista jednym płynnym ruchem uniósł łuk, napiął i zwolnił cięciwę. Najemnik zgiął się wpół, chwytając za tkwiącą głęboko w brzuchu strzałę.

— Dobry z ciebie człek — rzekł Sparhawk krótko do młodzieńca w czerwonym mundurze.

— To mogła być moja siostra, dostojny panie — odparł żołnierz ocierając łzy.

Żaden z nich nie przewidział, co zdarzy się potem. Z zaułka wyszła rozczochrana i zapłakana białogłowa. Spostrzegła złoczyńcę wijącego się w agonii na pokrytej gruzem ulicy. Chwiejnym krokiem podeszła do niego i kopnęła solidnie kilka razy w twarz. Widząc, że nie jest w stanie się obronić, wyciągnęła mu zza pasa sztylet. Lepiej chyba nie opisywać, co potem uczyniła. Jego krzyk długo niósł się ulicami miasta. Gdy w końcu najemnik umilkł, kobieta otworzyła jego tobolek i zajrzała do środka. Otarła oczy rękawem, zawiązała tobolek i pociągnęła do swego domu.

Gwardzistę, który ustrzelił Cammoryjczyka, chwyciły gwałtowne torsje.

— W tych okolicznościach trudno o dworne zachowanie, ziomku — Sparhawk położył mu współczująco rękę na ramieniu — a ta dama miała prawo tak postąpić.

— To musiało bardzo boleć — odparł żołnierz drżącym głosem.

— Myślę, że o to jej właśnie chodziło, ziomku. Idź, napij się wody i obmyj sobie twarz. Staraj się o tym nie myśleć.

— Dziękuję, dostojny panie. — Młodzieniec głośno przełknął ślinę.

— Być może nie wszyscy gwardziści są źli — mruknął do siebie rycerz, rewidując z dawną wyznawaną opinię.

Po zachodzie słońca w siedzibie Zakonu Rycerzy Pandionu, w komnacie Nashana zebrało się „naczelne dowództwo”, jak Tynian i Ulath półżartem nazwali zgromadzenie mistrzów, trzech patriarchów i Sparhawka wraz z przyjaciółmi. Kurik, Berit i Talen byli jednak nieobecni.

Nashan nieśmiało kręcił się w pobliżu drzwi. Ten pandionita był sprawnym administratorem, ale w obecności tylu znamienitych osobistości czuł się trochę nieswojo.

— Jeżeli niczego więcej nie potrzebujecie, szlachetni panowie — rzekł — oddalę się, byście mogli spokojnie obradować.

— Zostań, Nashanie. — Mistrz Vanion uśmiechnął się życzliwie. — Przecież cię nie wyganiamy, a twa znajomość miasta może okazać się bardzo przydatna.

— Dziękuję, mistrzu. — Tęgi rycerz osunął się na fotel.

— Uważam, że niepostrzeżenie zyskaliśmy przewagę nad twym przyjacielem Martelem, mistrzu Vanionie — odezwał się mistrz Abriel.

— Wyglądałeś za mury? — zapytał Vanion oschle.

— Tak, i właśnie w związku z tym to mówię. Zgodnie z wczorajszymi przewidywaniami dostojnego pana Sparhawka Martel nie przypuszczał, że porzucimy bez walki Miasto Zewnętrzne. Takiej możliwości nie brał pod uwagę przy układaniu planów. Nie próbował trzymać swych zwiadowców z dala od miasta, a oni stali się forpoczta głównych sił rabusiów. Gdy tylko odkryli, że miasto jest bezbronne, rzucili się do plądrowania domów. Za nimi poszła większa część całej armii. Martel stracił panowanie nad wojskami i nie odzyska go, dopóki miasto nie będzie wymiecione do czysta. A co więcej, gdy tylko jego żołnierze zdobędą już tyle, ile będą w stanie udźwignąć, zaczną dezertować.

— Nie mogę pochwalać grabieży — rzekł surowo patriarcha Kadachu, Ortzel — ale w tej sytuacji... — na jego wąskich ustach pojawił się słaby, niemal złośliwy uśmiezek.

— Bogactwo trzeba od czasu do czasu rozdzielać — zawyrokował Emban, patriarcha Ucery — Ludzie, którzy mają dużo pieniędzy, mają też dużo czasu na grzeszne myśli. Być może w ten sposób Bóg chce przywrócić plugawych bogaczy do stanu zdrowego ubóstwa.

— Ciekaw jestem, czy myślałbyś tak samo, gdyby twój własny dom splądrowano.

— Owszem, to mogłoby wpłynąć na moją opinię — przyznał Emban.

— Niezbadane są wyroki Boga. — Bevier nabożnie wzniósł oczy do nieba. — Nie mieliśmy innego wyjścia. Musieliśmy porzucić Miasto Zewnętrzne. Być

może był to nasz jedyny ratunek.

— Nie spodziewam się jednak, aby szeregi Martela opuściła zadowolająca nas liczba żołnierzy — powiedział mistrz Vanion. — Zapewniam was, że jego niesforne oddziały w końcu nas dopadną. — Popatrzyl na innych mistrzów. — Ile mamy jeszcze czasu? Tydzień?

— Co najwyżej — kiwnął głową mistrz Komier. — Wielu ludzi uwija się tam pracowicie. W mig ogołocą miasto.

— A wtedy zacznie się zabijanie — zatarł ręce Kalten. — Jak powiedziałaś, mistrzu Komierze, Chyrellos grabi wielu najemników, ale jestem przekonany, że nie wszyscy udali się do miasta. Ci, którzy pozostali na zewnątrz, są równie żądni bogactw jak ci, którzy dotarli tu pierwsi. Zdaje się, że na pewien czas zapanuje niezłe zamieszanie. Martel będzie potrzebował trochę czasu na wzięcie w rzyzy własnej armii.

— Słusznie prawi Kalten — rzekł Komier. — Mamy trochę czasu. Do Miasta Wewnętrznego wiodą cztery bramy i większość z nich jest w nie lepszym stanie od bram w zewnętrznych murach. Jedną bramę łatwiej obronić niż cztery. Postarajmy się zatem, aby była tylko jedna.

— Czyżbyś chciał czarami sprawić zniknięcie bram, Komierze? — zapytał Emban. — Wiem, że Rycerze Kościoła są biegli w robieniu wielu niezwykłych rzeczy, ale w końcu to Święte Miasto. Czy Bóg pochwalałby tego rodzaju postępki na swym własnym progu?

— O magii nawet nie pomyślałem — przyznał Komier. — Prawdę powiedziawszy, nie miałem zamiaru posłużyć się czarami. Pomyślałem natomiast, że trudno byłoby wyważyć bramę, gdyby piętrzyły się za nią gruzy po dwóch lub trzech zburzonych domach.

— Tak, to byłoby prawie niemożliwe — zgodził się mistrz Abriel.

Emban uśmiechnął się szeroko.

— Czy dom Makovy nie stoi przypadkiem blisko wschodniej bramy Miasta Wewnętrznego? — zapytał.

— Rzeczywiście, wasza świątobliwość, bardzo blisko — odparł Nashan.

— To raczej solidna budowla, prawda? — zapytał Komier.

— Z pewnością powinien to być solidny budynek — zauważył Emban — jeżeli wziąć pod uwagę, ile za niego zapłacił.

— Ile zapłacili za niego eleńscy podatnicy, wasza świątobliwość — poprawił go Sparhawk.

— Tak, tak, prawie o tym zapomniałem. Czy eleńscy podatnicy mieliby ochotę poświęcić ten bardzo drogi pałac dla obrony Kościoła?

— Byliby tym zachwyceni, wasza świątobliwość.

— Miejmy zatem na szczególnej uwadze dom patriarchy Coombe, gdy będziemy wybierać budynki do zburzenia — zakończył temat mistrz Komier.

— Pozostaje nam tylko jeden problem: gdzie jest król Wargun? — zastanawiał się patriarcha Demos, Dolmant. — Błąd Martela dał nam trochę czasu, ale nie ocaliliśmy jeszcze Miasta Wewnętrznego. Czy możliwe, aby twoi posłańcy zabłądzili, bracie Orzelu?

— To dobrze przeszkoleni i solidni ludzie — rzekł patriarcha Kadachu — a armia wielkości Wargunowej nie powinna być trudna do odszukania. Poza tym, chyba dotarli już do niego posłańcy wysłani wcześniej przez ciebie i Embana?

— Nie wspominając o kurierze, którego hrabia Lenda wysłał z Cimmury — dodał Sparhawk.

— Nieobecność króla Thalesii jest sprawą bardzo tajemniczą — powiedział Emban — i zaczyna być niepokojąca.

W drzwiach ukazał się Berit.

— Wybaczcie, szlachetni panowie — usprawiedliwiał się — ale chcieliście, by was informować, gdy coś niezwykłego będzie się działo w mieście.

— Co takiego zobaczyłeś, Bericie? — zapytał mistrz Vanion.

— Byłem w tym małym domku na szczycie kopuły bazyliki...

— W latarni — poprawił Vanion.

— Nie mogę zapamiętać tej nazwy — przyznał młodzieniec. — Stamtąd można widzieć całe miasto. Prości ludzie uciekają z Chyrellos. Tłum wylewa się wszystkimi bramami w zewnętrznych murach.

— Martel nie chce, żeby mieszczanie kręcili mu się pod nogami — wywnioskował Kalten.

— I chce pozbyć się z miasta kobiet — dodał Sparhawk posępnie.

— Nie bardzo rozumiem — powiedział Bevier.

— Później ci wyjaśnię — rzekł Sparhawk, spoglądając na Sephrenię.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł jeden z pandionitów. Trzymał za ramię Talena. Mały ulicznik z Cimmury był oburzony. W rękę miał okazałych rozmiarów wypchany worek.

— Chciałeś widzieć tego młodzieńca, dostojny panie Sparhawku? — zapytał pandionita.

— Tak, dziękuję, bracie. — Rycerz spojrział na Talena surowo. — Gdzie byłeś?

— Ach, tu i tam, dostojny panie — odparł Talen wymijająco.

— Wiesz, że to na nic ci się nie zda — powiedział Sparhawk znużonym tonem.

— I tak w końcu wydobędę z ciebie odpowiedź, po co więc kręcisz?

— Chyba po to, aby nie wyjść z wprawy. — Talen wzruszył ramionami. — Będziesz mnie ciągał za ucho, dopóki ci nie powiem, dostojny panie?

— Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie.

— No dobrze, trudno — Talen westchnął. — W Mieście Wewnętrznym też są złodzieje, a za murami dzieje się tyle ciekawych rzeczy! Udało mi się znaleźć sposób na prześlizgnięcie się na zewnątrz. Sprzedawałem tę informację.

— Jak szedł interes? — zapytał patriarcha Emban z ożywieniem w oczach.

— Prawdę mówiąc, nieźle — odrzekł Talen dość zarozumiale. — Większość z tutejszych złodziei nie ma zbyt wiele na wymianę. Paserstwo nie jest najlepszym interesem, ale ja na tym z łatwością zarobię. Biorę po prostu procent od tego, co uda im się ukraść żołnierzom za murami.

— Otwórz worek — polecił Sparhawk.

— Jestem wstrząśnięty twoim zachowaniem, dostojny panie! W tej komnacie są świątobliwi mężowie. Jak możesz narażać ich na widok... no wiesz, czego?

— Otwórz worek, Talenie.

Chłopiec westchnął, położył worek na stole i otworzył. W środku znajdowały się różne kosztowne przedmioty — metalowe czary, statuetki, grube łańcuchy, sztuce i misternie rzeźbiona tacka wielkości obiadowego talerza, wszystkie ze szczerego złota.

— Te skarby dostałeś jako zapłatę za informację? — zdumiał się Tynian.

— Informacja jest najcenniejszą rzeczą na świecie, szlachetny panie — odparł Talen z wyższością. — Nie robiłem nic złego. Sumienie mam czyste, a co więcej, przyczyniam się do obrony miasta.

— Nie nadażam za twym rozumowaniem, chłopcze — powiedział Nashan.

— Gwardziści nie oddają dobrowolnie swych łupów, szlachetny panie. — Na twarzy Talena pojawił się uśmieszek. — Złodzieje wiedzą o tym, toteż nie zawracają sobie głowy zbędnymi prośbami. Od zachodu słońca Martel postradał sporą część swych oddziałów.

— To moralnie naganne, młodzieńcze — upomniał go Ortzel.

— Ja w tym nie maczałem palców, wasza świątobliwość! — oburzył się Talen. — Nie zadałem żadnemu gwardziście ciosu w plecy. Nie mogę przecież brać na siebie odpowiedzialności za to, co wyczyniają jacyś łajdacy, prawda? — Oczywiście chłopca jaśniały niewinnie.

— Poddaj się, Ortzeli — rzekł Emban, krztusząc się ze śmiechu. — Nikt z nas nie jest dostatecznie obeznany ze sprawami doczesnego świata, aby pouczać tego młodzieniaszka. — Zastanawiał się przez chwilę. — Dolmancie, pobieranie dziesięciny jest powszechną praktyką, prawda?

— Oczywiście — zgodził się patriarcha Demos.

— Byłem tego pewien. Młodzieńcze, biorąc pod uwagę niecodzienne okoliczności, powinieneś wpłacać na rzecz Kościoła czwartą część swych dochodów. Przystajesz na to?

— Według mnie to brzmi uczciwie — przyznał Dolmant.

— Czwartą część?! — wykrzyknął Talen. — To rozbój na równej drodze!

— Nie jesteśmy na trakcie, synu — uśmiechnął się Emban. — Chcesz dokonywać rozliczeń po każdej wycieczce, czy też mamy poczekać, aż zbierzesz wszystkie swoje zyski i wtedy zajmiemy się naliczeniem podatku?

— Talenie, skoro już ustaliłeś wszystko z patriarchą Embanem, wyjaw mi swój sekret — powiedział Vanion. — Jestem niezmiernie ciekaw drogi, którą można

wyjsć do Miasta Zewnętrznego i wrócić z powrotem.

— To żadna tajemnica, mistrzu Vanionie — bagatelizował Talen. — Składają się na nią jedynie nazwiska przedsiębiorczej grupy gwardzistów pełniących nocną straż na jednej z baszt. Mają oni długą linę z supłami, ułatwiającymi wspinaczkę i schodzenie. Oni chętnie wypożyczają linę, a ja chętnie pożyczam ich imiona i położenie baszty, na której trzymają straż. Wszyscy na tym nieźle zarabiamy.

— Nie wyłączając naszego Świętego Ojca, Kościoła — dodał patriarcha Emban.

— Miałem nadzieję, że wasza świątobliwość o tym zapomni.

— Nadzieja jest cnotą główną, mój synu — westchnął nabożnie Emban — nawet jeżeli jest niewłaściwie skierowana.

Do komnaty wszedł Kurik. W dłoni dzierżył lamorkandzką kuszę.

— Poszczyliście się nam, szlachetni panowie — rzekł. — Zajrzałem do zbrojowni straży przybocznej arcyprafata. Mają tam tego całe sterty i beczki pełne grotów.

— Zaczyna broń — pochwalił Orzel, który sam przecież był Lamorkandczykiem.

— Są wolniejsze od łuku, wasza świątobliwość — zauważył Kurik — ale zasięg mają nadzwyczajny. Myślę, że będą bardzo skuteczne w odpieraniu natarcia, zanim nabierze rozmachu.

— Kuriku, umiesz posługiwać się tą bronią? — zapytał Vanion.

— Umiem, mistrzu.

— A zatem zacznij ćwiczyć gwardzistów.

— Wedle rozkazu, mistrzu.

— Wiele spraw idzie po naszej myśli, przyjaciele — powiedział Vanion. — Mamy dobrą do obrony pozycję, podobne uzbrojenie jak nieprzyjacieli, a Martel tymczasem nie może podjąć działań.

— Mimo to byłbym szczęśliwy, gdyby Wargun już tu przybył — powiedział Komier.

— Ja również — przyznał Vanion — ale obawiam się, że na razie musimy radzić sobie własnymi siłami.

— Jednakże powinniśmy zdać sobie sprawę z jeszcze jednego faktu — stwierdził posepnie Emban. — Zakładając, że wszystko pójdzie dobrze i przepędzimy Martela, zaraz potem hierarchia wznowi obrady. Porzucenie Miasta Zewnętrznego zraziło znaczną część patriarchów. Jeżeli pozwalasz, aby człowiekowi splądrowano i spalono dom, nie oczekuj, że będzie on darzył cię sympatią czy też odda na ciebie głos. Musimy dowieść powiązań Anniasa z Martelem. Jeśli nam się to nie uda, nasze obecne działania będzie trzeba uznać jedynie za manewry. Mogę

każdego przegadać, ale cudu nie uczynię. Dajcie mi jakiś punkt zaczepienia.

Około północy Sparhawk wspiał się na mury starego miasta. Stanął w pobliżu południowej bramy, która najlepiej ze wszystkich czterech nadawała się do obrony i była jedyną, którą postanowiono pozostawić nie zablokowaną. Chyrellos płonął już na dobre. Plądrownicy trafiając na pusty już dom, dawali upust swej złości wzniecając pożar. Tego typu zachowanie można było z łatwością przewidzieć, w pewnym sensie było wojenną tradycją. Rabusie biegali od domu do domu wymachując pochodniami i bronią. Robili się coraz bardziej zdesperowani, w miarę jak ubywało nie ograbionych domów. Kurik, zawsze myślący praktycznie, ustawił na murach gwardzistów, których ćwiczył w posługiwaniu się kuszą. Plądrownicy zapewniali im ruchome cele do strzałów. Nie było zbyt wielu trafień, ale żołnierze stopniowo nabierali wprawy.

Wtem z wąskiej uliczki na końcu strefy zburzonych domów, tuż za zasięgiem praktykujących kuszników, wyłoniła się spora grupa zbrojnych jeźdźców. Człowiek na ich czele dosiadał karego rumaka o lśniącej sierści i miał na sobie wytłaczaną deirańską zbroję. To był Martel; tuż za nim podążali bydlak Adus i łasicowaty Krager.

Kurik podszedł do Sparhawk i jego jasnowłosego przyjaciela.

— Jeśli chcesz, Sparhawk, mogę kazać żołnierzom do niego strzelać. Któremuś może się poszczęścić.

Rycerz podrapał się po brodzie.

— Nie, Kuriku, nie trzeba.

— Marnujesz dobrą okazję, Sparhawk — westchnął Kalten. — Cała armia by się rozpierzchła, gdyby w oku Martela utkwiała zabłąkana strzała.

— Jeszcze nie teraz — rzekł Sparhawk. — Spróbuj najpierw go trochę rozeźlić. Martel w złości może się wygadać. Zobaczmy, czy potrafię coś z niego wyciągnąć.

— Z tej odległości musiałbyś głośno krzyczeć, by cię usłyszał — powiedział z lekkim przekąsem Kalten.

— Nie muszę krzyczeć — uśmiechnął się Sparhawk.

— Wolałbym, abyś nie robił nic nadzwyczajnego — marudził Kalten. — To zawsze przyprawia mnie o kompleksy.

— Trzeba było uważać na lekcjach Sephrenii. — Sparhawk skupił uwagę na białowłosym mężczyźnie i splótł zawile styrickie zakłęcie. — Zdaje się, Martelu, że straciłeś głowę, co? — zapytał tonem przyjacielskiej pogawędki.

— Czy to ty, Sparhawk? — odpowiedział Martel, również używając zakłęcia, którego obaj nauczyli się podczas nowicjatu w Zakonie Rycerzy Pandionu. — Miło mi słyszeć znowu twój głos, stary. Nie bardzo jednak rozumiem twoją uwagę. Z mojego miejsca sprawy wyglądają całkiem dobrze.

— Lepiej sprawdź, ilu z twoich żołnierzy mógłbyś teraz zainteresować szturmem na mury. Nie śpiesz się, ja nigdzie się nie wybieram.

— Opuszczenie Miasta Zewnętrznego było bardzo sprytnym posunięciem. Nie spodziewałem się tego.

— Nam to posunięcie również przypadło do gustu. Czy nie złościsz się jednak na myśl o zdobyczach, które wymknęły ci się z rąk?

— A kto powiedział, że się wymknęły? Rozmówiłem się moimi ludźmi. Nadal mam pełną kontrolę nad znaczną częścią armii, która stacjonuje na łąkach za rzekami. Zwróciłem im uwagę, że o wiele prościej jest pozostawić całą robotę związaną z tym plądrowaniem przedsiębiorczym typom. A potem, gdy wrócą, zabieramy im łupy i kładziemy wszystko na wspólny stos. Każdy dostanie po równo.

— Nawet ty?

— O dobry Boże! Nie! — Martel wybuchnął śmiechem. — Ja jestem generałem. Ja pierwszy wezmę swą część.

— Lwią część?

— W końcu jestem lwem. Wszyscy będziemy bardzo bogaci, gdy tylko dostaniemy się do skarbcza w podziemiach bazyliki.

— Posuwasz się trochę za daleko, nawet jak na ciebie, Martelu.

— Interes to interes. Ty i Vanion odarliście mnie z honoru, więc pozostało mi jedynie szukać pocieszenia w pieniądzech... i oczywiście satysfakcji. Myślę, że jak już będzie po wszystkim, zatknę na kopię twą głowę, bracie.

— Jest tutaj, Martelu. Wystarczy, że po nią sięgniesz. Twoim żołnierzom sporo czasu zajmie splądrowanie miasta, a ty nie masz zbyt wiele czasu do stracenia.

— To nie potrwa aż tak długo, Sparhawk. Posuwają się w całkiem dobrym tempie. Człowiek, który myśli, że pracuje dla siebie, zawsze jest bardziej wydajny.

— To dopiero pierwsza fala plądrowników. Oni przyszli po złoto. Następna fala będzie szukać srebra. Potem trzecia fala rozbierze domy cegła po cegle szukając schowków na kosztowności. Domyślałam się, że około miesiąca upłynie, nim okradną Chyrellos z wszystkiego — do ostatniego mosiężnego świecznika. A ty nie masz tyle czasu. Nadciąga Wargun z połową sił całej Eosii.

— Ach tak, pijany król Thalesii. Prawie o nim zapomniałem. Jak przypuszczasz, co się z nim stało? To bardzo dziwne, że Wargun tak się guzdrze.

Sparhawk złamał zaklęcie.

— Kuriku, niech twoi ludzie sypną mu trochę strzał — powiedział posepnie.

— Czego się dowiedziałeś? — zapytał Kalten.

— Martel znalazł jakiś sposób, aby nie dopuścić Warguna do Chyrellos. Chodźmy uprzedzić o tym mistrzów. Obawiam się, że nie mamy co liczyć na pomoc.

Rozdział 13

— Nie powiedział tego wprost, Vanionie — relacjonował Sparhawk. — Wiesz, jaki on jest, ale w jego głosie dawało się wyczuć znaczący uśmiezek. Drażnił mnie i dobrze o tym wiedział. Obaj znamy Martela na tyle, by wiedzieć, co to oznacza.

— Dostojny panie, powtórz jeszcze raz dokładnie jego słowa — poprosił Dolmant.

— Rozmawialiśmy o Wargunie, wasza świątobliwość, i on powiedział: „Jak przypuszczasz, co się z nim stało? To bardzo dziwne, że Wargun tak się guzdrze”.

— Znajoma nuta — przyznał Dolmant. — Nie znam Martela tak dobrze jak wy, ale to mówił człowiek bardzo z siebie zadowolony.

— Sparhawk ma rację — odezwała się Sephrenia. — Martel znalazł sposób na niedopuszczenie Warguna do Chyrellos. Jak tego dokonał?

— To nie ma znaczenia, mateczko — powiedział Vanion. Siedzieli we czworo w niewielkiej izbie przylegającej do komnaty Nashana. — Ważne natomiast, aby ta informacja nie przeniknęła do gwardzistów. Rycerze Kościoła będą walczyć nawet w najbardziej rozpaczliwej sytuacji. Gwardziści — nie. Ich na duchu podtrzymuje jedynie nadzieja, że wkrótce ujrzą armię Warguna na łąkach na zachodnim brzegu rzeki Arruk. Miasto Wewnętrzne nie jest jeszcze szczelnie obleżone, a plądrownicy nie zwracają uwagi na ludzi. Musimy zachować głęboką tajemnicę, by nie dopuścić do masowej dezercji. Dyskretnie powiadomcie Rycerzy Kościoła o naszych przypuszczeniach. Ja przekażę informacje pozostałym mistrzom.

— A ja powiem Embanowi i Orzelowi — obiecał Dolmant.

Tydzień zdawał się wlec bez końca, jakkolwiek zajęć nie brakowało. Zburzono kilka domów, a gruz użyto do zablokowania trzech bram, które według Komiera i tak nie nadawały się do obrony. Kurik nadal szkolił gwardzistów w posługiwaniu się kuszami. Berit zebrał grupę młodych mnichów i prowadził z nimi obserwacje z latarni na szczycie kopuły bazyliki. Emban biegał drobnymi kroczkami po bazylice i próbował utrzymać po swojej stronie patriarchów, ale to stawało się coraz trudniejszym zadaniem. Żaden z obrońców nie był na tyle lekkomyślny, aby odmówić hierarchom Kościoła prawa wstępu na mury, a roztaczał się z nich niezbyt

pochrzepiający widok. Wielu patriarchów, w tym niektórzy z najzarliwszych przeciwników osadzenia na tronie prymasa Cimmury, lamentowało gorzko na widok pożarów trawiących dzielnice, w których stały ich rezydencje. Kilku nawet wprost oświadczyło Embanowi, że w przyszłości może zapomnieć o jakimkolwiek poparciu. Patriarcha Ucery mizerniał coraz bardziej. Widok topniejącego poparcia zaczął przyprawiać go o bóle brzucha.

Annias nic nie robił. Po prostu czekał.

A Chyrellos płonęło dalej.

Wczesnym wieczorem Sparhawk stał na szczycie murów, spoglądając na płonące miasto. Był w ponurym nastroju. W pewnej chwili usłyszał za sobą lekkie dzwonięcie. Odwrócił się szybko. To był Bevier.

— Nie bardzo pochrzepiający widok, prawda? — rzekł młody cyrinita patrząc na Chyrellos.

— Nie bardzo — przyznał Sparhawk. — Jak sądzisz, panie Bevierze, ile czasu mury wytrzymają ostrzał z machin do ciskania głazów?

— Obawiam się, że niezbyt długo. Mury zbudowano w czasach starożytnych. Nie stawiano ich z myślą o nowoczesnych technikach oblężniczych. Może Martel nie będzie trudił się budowaniem machin? To zajmuje wiele czasu, a robotnicy muszą dobrze znać się na swym rzemiośle. Źle skonstruowana machina do ciskania głazów zabiłaby więcej członków obsługi niż przeciwników. No i załadowanie jej kosztuje sporo wysiłku...

— Nie łudźmy się podobnymi mrzonkami. Mury przypuszczalnie wytrzymają uderzenia normalnych katapult, ale jeżeli zaczną na nas ciskać głazy...

— Dostojny panie Sparhawk! — Na schodach pojawił się Talen. — Sephrenia cię wzywa do siedziby zakonu. Powiedziała, że to pilne.

— Ja cię tu zastąpię, dostojny panie — powiedział Bevier.

Sparhawk wąską uliczką pośpieszył do zamku pandionitów.

Sephrenię spotkał w korytarzu tuż za bramą. Twarz czarodziejki była jeszcze bledsza niż zwykle.

— Czemu mnie wezwałaś, mateczko?

— Perrain umiera.

— Umiera? Nie było jeszcze żadnego ataku. Co mu się stało?

— Sam się zabił.

— Pan Perrain?

— Zażył jakąś truciznę i nie chce powiedzieć mi jaką.

— Czy jest jakiś sposób...?

Czarodziejka pokręciła głową.

— Chce z tobą rozmawiać. Idź do niego, mój drogi. Czasu pozostało niewiele.

Perrain śmiertelnie blady i zlany potem leżał na wąskim posłaniu w przypominającej celę izbie.

— Nie śpieszyłeś się zbyt, dostojny panie — rzekł słabym głosem.

— Coś uczynił, panie Perrainie?

— To jest najważniejsze wyjście. Nie traćmy jednak czasu. Zanim odejdę, muszę cię powiadomić o ważnych sprawach.

— Będziemy mogli o tym porozmawiać, gdy Sephrenia poda ci odtrutkę.

— Nie będzie żadnej odtrutki. Wysłuchaj mnie. — Perrain westchnął głęboko.

— Zdradziłem cię, dostojny panie Sparhawk.

— Nie byłbyś do tego zdolny.

— Każdy jest do tego zdolny, dostojny panie. Potrzebuje jedynie jakiegoś powodu, a wierz mi, ja go miałem. Wysłuchaj mnie. Zauważyłeś chyba, że ktoś próbował cię zabić?

— Tak, ale...

— To byłem ja... lub wynajęci przeze mnie ludzie.

— Ty?!

— Dzięki Bogu, zawiodłem.

— Dlaczego chciałeś mej śmierci? Czyżbym cię obraził?

— Działalem z rozkazu Martela.

— A czemu miałbyś słuchać rozkazów Martela?

— Ponieważ mi groził. Groził też komuś, kto był mi droższy niż własne życie. Sparhawk zaniemówił z wrażenia. Zaczął coś mówić, ale Perrain uniósł dłoń.

— Czas ucieka. Słuchaj, dostojny panie. Zaraz po śmierci Arashama Martel przybył do mego domu w Dabourze. Sięgnąłem oczywiście po miecz, ale on mnie wyśmiał. Kazał mi odrzucić broń, jeżeli choć trochę dbam o to, co stanie się z Ydrą.

— Z kim?

— Ydra pochodzi z północnej Pelosii. Baronía jej ojca przylegała do moich rodzinnych włości. Kochaliśmy się od dziecka. Bez wahania oddałbym za nią życie. Martel skądś się o tym dowiedział i przekonywał, że skoro chętnie oddałbym za nią życie, to i chętnie bym dla niej zabił. Groził, że odda jej duszę bogu Azashowi. Nie uwierzyłem mu. Nie sądziłem, aby ktokolwiek mógł to naprawdę uczynić.

Sparhawk przypomniał sobie siostrę hrabiego Ghaska, Bellinę.

— Można to uczynić — powiedział posępnie.

— Przekonałem się o tym. Pojechałem razem z Martelem do Pelosii. Pokazał mi Ydrę w trakcie odprawiania obrzydliwych obrzędów przed posągami Azasha.

— W oczach Perraina pojawiły się łzy. — To było straszne! — Stłumił szloch. — Martel powiedział, że jeżeli go nie usłucham, Ydra straci swą duszę. Nie byłem pewien, czy rzeczywiście był w stanie coś podobnego uczynić, ale nie mogłem ryzykować.

— Mógłby tego dokonać. Na własne oczy widziałem ofiarę Azasha.

— Chciałem Ydrę zabić — ciągnął dalej Perrain słabnącym głosem — ale nie mogłem się do tego zmusić. Martel obserwował moje zmagania z samym sobą i po prostu się ze mnie śmiał. Mam nadzieję, że kiedyś go zabijesz.

— Daję ci na to moje słowo.

Perrain pobladł jeszcze bardziej, krople potu wystąpiły mu na czoło.

— Trucizna działa — westchnął ciężko. — Tak więc usłuchałem Martela. Kazał mi jechać do Arcium i przyłączyć się tam do pandionitów. Przy pierwszej okazji miałem wrócić do siedziby zakonu w Cimmurze. Wiedział, że jedziesz do Thalesii i najprawdopodobniej będziesz wracał przez Emsat. Dał mi pieniądze i polecił wynająć morderców. Musiałem zrobić wszystko, co mi kazał. . . W większości wypadków na twe życie nastawiali opłaceni zabójcy, lecz raz, w drodze tutaj, gdy jechaliśmy przez Demos, sam strzeliłem do ciebie z kuszy. Mógłbym udawać, że celowo chybiłem, ale bym skłamał. Ja naprawdę próbowałem cię zabić.

— I trucizna w domu Dolmanta. . . ?

— Tak. Zaczynałem popadać w rozpacz. Masz niespotykane szczęście, dostojny panie. Próbowałem wszystkiego, co przyszło mi na myśl, i po prostu nie potrafiłem cię zabić.

— A Rendorczyk, który usiłował w bazylice wbić mi zatruty nóż?

Perrain spojrzał nieco zaskoczony.

— Ja nie miałem z tym nic wspólnego. Przysięgam. Obaj byliśmy w Rendorze i obaj wiemy, że nie można na nich polegać. Musiał go nastać ktoś inny — może nawet sam Martel.

— Co sprawiło, że zmieniłeś zamiar? — zapytał smutno Sparhawk.

— Martel stracił nade mną władzę. Ydra nie żyje. Zorientowała się, co jej grozi. Poszła do kaplicy w domu swego ojca i całą noc się modliła. Potem, w pierwszych promieniach słońca, wbiła sobie w serce sztylet. Wysłała do mnie list, w którym wszystko mi wyjaśniła. Posłaniec zdążył tu dotrzeć tuż przed armią Martela. Ydra jest teraz wolna, a jej dusza bezpieczna.

— Po cóż zatem zażyłeś truciznę?

— Pójdę jej śladem. Martel pozbawił mnie honoru, ale mojej miłości nigdy mi nie odbierze. — Perrain wyprężył się na posłaniu. To już była agonía. — Tak — dyszał — trucizna działa. Jak widać, jest skuteczna. Poleciłbym ci jej nazwę, ale nie dowierzam naszej matce. Jeśli dać jej cień szansy, to zapewne wskrzesiłaby kamień. — Uśmiechnął się do czarodziejki. — Czy możesz mi wybaczyć, dostojny panie Sparhawku?

— Nie mam ci co wybacząć — rzekł Sparhawk cicho, biorąc przyjaciela za rękę.

Perrain westchnął.

— Jestem pewien, że me imię skreślą z rejestru pandionitów, a wspominać o Perrainie będą jedynie ze wzgardą.

— Ja do tego ręki nie przyłożę. Przysięgam, że będę bronił twego honoru. — Sparhawk uścisnął prawicę przyjaciela.

Sephrenia ujęła drugą dłoń konającego.

— Już prawie po wszystkim — rozległ się szept Perraina. — Pragnę... — jęknął i zaległa cisza.

Czarodziejka płakała niczym skrzywdzone dziecko. Przytuliła do siebie bezwładne ciało Perraina.

— Nie czas na to! — rzekł Sparhawk. — Zostań tu. Muszę iść po Kurika.

Sephrenia spojrzała na niego ze zdumieniem.

— Ubierzemy Perraina w zbroję — wyjaśnił. — Potem strzelimy mu w piersi z kuszy i położymy na ulicy pod murami. Niech wszyscy wierzą, że zastrzelił go jeden z najemników Martela.

— Dlaczego chcesz to zrobić, Sparhawk?

— Perrain był moim przyjacielem i przyrzekłem strzec jego dobrego imienia.

— Przecież on próbował cię zabić!

— Nie, mateczko, to Martel próbował mnie zabić. Zniewolił Perraina i uczynił swym narzędziem. Całą winę ponosi Martel i wkrótce mi za to odpowie... Zaczynaj myśleć nad naszą hipotezą, mateczko. Ostatnie wydarzenia chyba solidnie ją nadwreżyły. — Wtem rycerz przypomniał sobie Rendorczyka z zatrutym sztyletem. — Zresztą to wszystko jedno. — Machnął ręką. — I tak mamy na głowie więcej niż jednego zamachowca.

Pierwsze ataki zaczęły się po pięciu dniach od rozpoczęcia grabieży miasta; ich głównym celem było zlokalizowanie słabych punktów obrony. Oblężeni mieli pewną przewagę. Martel był szkolony przez Vaniona, toteż mistrz mógł prawie dokładnie przewidzieć posunięcia renegata, a co więcej mógł tak ustawić swe siły, aby je maskować i zwodzić przeciwnika. Ataki przybierały na sile. Czasami następowały o wschodzie słońca, czasami później, w ciągu dnia, a kiedy indziej w środku nocy, gdy ciemności spowijały zasnuć dymem miasto. Rycerze Kościoła zawsze byli w pogotowiu. Nigdy nie zdejmowali zbroi; nawet spali na murach w krótkich okresach spokoju.

Gdy niemal całe Miasto Zewnętrzne legło w gruzach, Martel podciągnął pod mury maszyny oblężnicze. Deszcz wielkich kamieni padał z nieba, przygniatając żołnierzy i cywilnych mieszkańców. Na niektórych katapultach montowano duże kosze załadowane strzałami używanymi przez kuszników. Takie pociski, wyrzucane wysoko w powietrze, spadały gradem na Miasto Wewnętrzne. Potem przyszła kolej na ogień. Beczki z płonąca smoła i naftą poszybowały nad murami. Pożary ogarniały całe ulice. Na szczęście nie miotano jeszcze głazów o ciężarze wołu.

Obrońcy znosili to wszystko dzielnie. Każdy kamień, każdy pocisk ognisty,

każda strzała, spadająca z nieba w śmiertelnościami deszczu, jedynie zwiększały ich nienawiść do oblegających.

Mistrz Abriel zaczął konstruować własne maszyny, ale poza gruzem ze zburzonych domów nie było pod ręką wiele więcej do ciskania w odpowiedzi na ostrzał Martela.

Pierwszy szturm nastąpił wkrótce po północy ósmego dnia od rozpoczęcia grabieży. Beładna horda rendorskich fanatyków wyszła z ciemnych, zadymionych ulic. Zaczęli atakować zniszczoną nieco wieżyczkę z blankami na rogu południowo-zachodniej części murów. obrońcy rzucili się do tego miejsca. Szeregi czarno odzianych Rendorczyków pod gradem strzał z łuków i kusz padały rzędami jak koszona pszenica. Wrzaski przybrały ów ton agonii, który wznosił się nad wszystkimi polami bitwy od początku świata. Rendorczyki nadciągali jednak nadal. Byli tak opanowani religijnym szałem, że nie zwracali uwagi na straszliwe straty. Niektórzy z nich nawet mimo śmiertelnych ran czołgali się nadal w kierunku murów.

— Smoła! — zawołał Sparhawk do gwardzistów, którzy z zapamiętaniem strzelali z łuków i kusz.

Kotły wrzącej smoły przyciągnięto na skraj murów, dokładnie nad drabinami, po których wspinali się na nadwerężone blanki atakujący. Rendorczyki, wykrzykując bojowe i religijne hasła, wdrapywali się na drabiny jedynie po to, aby zaraz spaść w strumieniach wrzącej smoły. Ich wrzask wzbił się pod niebo.

— Pochodnie! — komenderował Sparhawk.

Pół setki płonących pochodni poszybowało nad murami, by podpalić znajdujące się na dole bajorka płynnej smoły i nafty. Potężne jęzory ognia wystrzeliły w górę liżąc mury. Uczepieni drabin niczym mrówki Rendorczyki spadali z wysokich szczebli prosto w morze ognia. Ich ciała skwierczały, kurczyły się i niknęły w płomieniach. Jakiś człowiek z tłumu biegł wrzeszcząc i potykając się po omacku. Niczym kometa włókł za sobą ognisty ogon.

Rendorczyki wciąż nadciągali i wciąż niezgrabnie podnosiły się z ich szeregów drabiny obłącznicze, popychane od tyłu przez setki rąk w górę i w górę, by potem na chwilę chwiejnie znieruchomieć w pionie i powoli opaść na mury. Fanatycy o dzikim spojrzeniu, niektórzy z pianą na ustach, desperacko wspinali się po szczeblach, zanim nawet drabiny opadły na miejsce. Ze szczytu murów obrońcy długimi tyczkami odpychali drabiny i te zaczynały odwrotną podróż — zataczając się do tyłu, na chwilę nieruchomiały, a potem przechylały się do tyłu i wraz z ludźmi uczepionymi ich szczytów padały ku czekającej na dole śmierci. U podstawy murów, w gradzie wypuszczanych przez obrońców strzał, tłoczyły się setki Rendorczyków. Chwyтали tylko co odrzucone drabiny, dźwigali je od nowa w górę i rozpoczynali tłumnie wspinaczkę na mury.

— Ołów! — rozkazał wtedy Sparhawk.

Ołów był pomysłem Beviera. Każdy z sarkofagów w podziemiach bazyliki zdobyła ołowiana podobizna zmarłego, który w nim spoczywał. Teraz sarkofagi

nie miały tych ozdób; wizerunki roztopiono. Kadzie z wrzącym metalem były rozstawione na szczycie murów i na komendę Sparhawk zostały przewrócone, a ich zawartość wielką srebrną strugą spłynęła na Rendorczyków. Tym razem wrzaski nie trwały długo; nikt nie uciekał płonąć niczym pochodnia. Wszystkich pogrzebano w płynnym ołowiu.

Jednak na szczyt murów dotarło najpierw kilku, a potem coraz więcej z atakujących. Gwardziści stawili im czoło z pełnym desperacji męstwem. Zatrzymali fanatyków wystarczająco długo, by Rycerze Kościoła przybyli z pomocą. Sparhawk kroczył na czele pandionitów w czarnych zbrojach. Rytmicznie i pewnie wywijał swym ciężkim mieczem. Nie była to zbyt finezyjna broń i rosły pandionita nie tyle wywalczał sobie drogę wśród wrzeszczących rzesz Rendorczyków, ile wycinał sobie wśród nich szeroką ścieżkę. Jego miecz był narzędziem do rozczłonkowania. Ręce oraz całe ramiona wylatywały w górę spod uderzeń jego ostrza i spadały na twarze tych, którzy jeszcze wspinali się po drabinach obłączniczych. Głowy szybowały w powietrzu i opadały po zewnętrznej lub wewnętrznej stronie murów, w zależności od kierunku zamachu Sparhawk. Rycerze postępujący za dowódcą i rozprawiający się z rannymi byli wkrótce cali zboczeni krwią. Jeden z Rendorczyków, chudy i wymachujący zardzewiałym pałaszem, rzucił się z krzykiem do ataku. Błysnął miecz w rękę Sparhawk i fanatyk, niemal rozpołowiony, został odrzucony na blanki; dolna połowa ciała leżała tam młóćąc dziko nogami, górna wypadła na zewnątrz murów, pozostawiając po sobie drgające kawałki mięsa, lecz nie spadła na ziemię — zawisała głową w dół na długiej linie wnętrzości, które parowały w zimnym nocnym powietrzu. Tors bujał się wolno tam i z powrotem, opadając coraz niżej, w miarę jak trzewia rozplątywały się stopniowo.

— Sparhawk! — zawołał Kalten widząc, że ramię przyjaciela zaczyna słabnąć. — Złap oddech! Ja cię tu zastąpię!

I tak trwała walka, dopóki szczyt murów ponownie nie był bezpieczny, a wszystkie drabiny obłącznicze nie zostały odepchnięte. Rendorczyki kotłowali się na dole, wciąż kładąc się pokotem pod strzałami i kamieniami zrzucanymi z murów.

Wreszcie uciekli.

Kalten wrócił dysząc i wycierając klingę miecza.

— Dobra walka — powiedział z uśmiechem.

— Znośna — przyznał Sparhawk lakonicznie. — Rendorczyki nie są najlepszymi wojownikami.

— Lubię takich przeciwników — śmiał się Kalten. Wziął zamach nogą, aby skopać z murów dolną połowę chudego Rendorczyka.

— Zostaw go tam, gdzie jest — rzekł Sparhawk. — Niech następna fala atakujących ma na co patrzeć, gdy będzie się tu przedzierać. Powiedz również ludziom sprzątającym mury, aby nie wyrzucali walających się tu głów. Nabijemy je na pale

wzdłuż blanków.

— Kolejna lekcja pokazowa.

— Czemu nie? Atakujący mury obronne ma chyba prawo wiedzieć, co go czeka, nie sądzisz?

Zbroczonym krwią murem zmierzał do nich Bevier.

— Pan Ulath jest ranny! — zawołał z odległości kilku kroków, po czym zawrócił, aby zaprowadzić ich do genidianity. Gwardziści śpiesznie usuwali się z drogi. Bevier, być może nieświadomie, nadal wymachiwał swą halabardą.

Ulath leżał na wznak. Był nieprzytomny. Z uszu ciekła mu krew.

— Co się stało? — dopytywał się Sparhawk Tyniana.

— Dostał w głowę toporem. Rendorczyk natarł na niego od tyłu.

Sparhawkowi zamarło serce.

Tynian delikatnie zdjął Ulathowi rogaty hełm i niesłychanie ostrożnie badał palcami jasnowłosą głowę genidianity.

— Czaszka chyba cała — relacjonował.

— Może Rendorczyk nie wziął odpowiedniego zamachu — zastanawiał się Kalten.

— Widziałem to. Uderzył z całej siły. Taki cios powinien rozplątać głowę niczym melona. — Tynian zmarszczył brwi. Stukał palcem w kostne zgrubienie, w którym schodziły się oba pokręcone rogi, sterczące po obu stronach stożkowego hełmu Thalezyczyka. — Nie ma nawet najmniejszej rysy — zdumiał się. Wyciągnął sztylet i podrapał w róg, ale gładka powierzchnia pozostała nienaruszona. W końcu opanowany ciekawością podniósł topór Ulatha i uderzył kilkakrotnie w hełm między rogi. — Zdumiewające! — wykrzyknął. — To najtwardszy materiał, jaki kiedykolwiek widziałem!

— Pewnie dlatego Ulath ma nadal swój mózg w czaszce — powiedział Kalten. — Jednak nie wygląda za dobrze. Zanieśmy go do Sephrenii.

— Wy trzej idźcie przodem — polecił Sparhawk. — Ja muszę porozmawiać z Vanionem — i ruszył ku czterem mistrzom, którzy stali razem w pewnym oddaleniu, skąd obserwowali atak. — Szlachetny panie, pan Ulath został ranny — zdał relację Komierowi.

— Czy to coś poważnego? — zapytał szybko Vanion.

— Nie ma czegoś takiego jak niepoważna rana — powiedział mistrz Komier. — Co się stało, dostojny panie Sparhawk?

— Otrzymał cios toporem w głowę.

— W głowę, powiadasz? A zatem nic mu nie będzie. — Komier popukał w swój własny ozdobiony rogami ogra hełm. — Dlatego to nosimy.

— On nie wygląda zbyt dobrze — rzekł Sparhawk posepnie. — Panowie Tynian, Kalten i Bevier zabrali go do Sephrenii.

— Nic mu nie będzie — machnął ręką Komier.

Sparhawk odsunął na bok myśli o rannym Ulathu.

— Zdaje się, że wiem już, jaką strategię obrał Martel. Nie bez powodu ciągnął z sobą Rendorczyków. Nie są oni zbyt biegli w nowoczesnej sztuce walki. Nie noszą zbroi — nawet hełmów — i są żałośnie nieudolnymi szermierzami. Sprzątnęliśmy ich ze szczytu murów, tak jak kosi się trawę na łące. Ich jedynym atutem jest fanatyczny szal i wbrew nikłym szansom nie zaprzestaną ataków. Martel nadal będzie ich rzucał przeciwko nam. Chce nas zmęczyć i przerzedzić nasze szeregi. Potem, gdy nas osłabi i wyczerpie, rzuci swych cammoryjskich i lamorkandzkich najemników. Musimy znaleźć jakiś sposób, aby trzymać tych fanatyków z dala od murów. Porozmawiam z Kurikiem. Może on coś wymyśli.

Faktycznie, Kurik coś wymyślił. Lata doświadczeń i wspomnienia starych wiarusów, z którymi spotykał się czasami, sprawiły, że miał bogaty zasób bardzo paskudnych pomysłów. Wspomniał na przykład o stalowych kulkach z czterema kolcami, które można było wykonać w ten sposób, że bez względu na to, jak się je rzuciło, zawsze spadały jednym stalowym kolcem do góry. Rendorczycy nie nosili butów, jedynie miękkie skórzane sandały. Wysmarowanie wszystkich kolców trucizną uczyni z tych kolczastych kulek broń śmiertelnie śmiertelnie. Dalej, długie kłody najeżone podobnymi kolcami oraz ostre pale również pomazane trucizną, które mogą stanowić barierę niemal nie do przejścia, jeżeli stoczyć je na dół po belkach, by leżały gęsto przed murami. I jeszcze długie wahadła bujające się na blankach równoległe do murów, co zmiatałoby drabiny obłęźnicze niczym pajęczyny.

— Oczywiście to wszystko na nic w obliczu prawdziwego ataku — mówił Kurik — ale spowolni ludzi na tyle, że kusznicy i łucznicy będą mogli ich trafić. Niewielu spośród atakujących dotrze do murów.

— O coś takiego mi właśnie chodziło — rzekł Sparhawk. — Rozkażmy obywatelom, aby zaraz przystąpili do realizacji tych pomysłów. Mieszkańcy Chyrellos jedynie siedzą i jedzą. Dajmy im szansę zarobienia na utrzymanie.

Konstruowanie przeszkód Kurika zajęło kilka dni. W tym czasie Rendorczycy jeszcze parokrotnie atakowali. Katapulty mistrza Abriela rozrzucały kolczaste kulki gęsto przed murami, a „jeże”, kłody stoczone w dół po długich belkach, leżały w splątanych stosach około trzydziestu kroków od murów. Potem już nieliczni napastnicy docierali do murów, a ci, którym się to udało, nie zdołali przyciągnąć drabin. Kręcili się dookoła wznosząc rozmaite okrzyki i siekąc mury mieczami, dopóki łucznicy na szczycie murów ich nie ustrzelili. Po kilku nieudanych atakach Martel zawiesił działania, by ponownie rozważyć swoją strategię. Lato jeszcze trwało i trupy leżące pod murami zaczęły psuć się na słońcu. W Mieście Wewnętrznym smród gnijącego mięsa był szczególnie nieprzyjemny.

Jednego wieczoru, korzystając ze spokoju, Sparhawk i jego przyjaciele wrócili do siedziby zakonu na upragnioną kąpiel i ciepły posiłek. Wpierw jednak odwiedzili Ulatha. Rosły genidianita leżał na swym posłaniu. Nadal patrzył wokół trochę nieprzytomnie. Na twarzy malował mu się wyraz zakłopotania.

— Jestem już zmęczony tym leżeniem, bracia — mówił bełkocząc z lekka —

i jest tu bardzo gorąco. Może tak poszlibyśmy zapolować na trolla? Pobrodzimy trochę w śniegu dla ochłody.

— On myśli, że jest w siedzibie zakonu genidianitów w Heidzie — wyjaśniła cicho Sephrenia. — Czeką cały czas na polowanie na trolle. Myśli, że jestem dziewczką służebną i czynił mi wszelkiego rodzaju nieprzystojne propozycje.

Bevier naraz zaczął ciężko dyszeć.

— I czasami płacze — dodała czarodziejka.

— Ulath? — zapytał Tynian ze zdumieniem.

— Jednakże to może być tylko podstęp. Kiedy zaczął majaczyć, zrazu próbowałam go pocieszyć i zamieniło się to w rodzaj zapasów. Jest bardzo silny, zwłaszcza jeżeli wziąć pod uwagę jego stan.

— Czy nic mu nie będzie? — zapytał Kalten. — Odzyska zdrowe zmysły?

— Bardzo trudno przewidzieć. Myślę, że uderzenie spowodowało stłuczenie mózgu. Nigdy nie wiadomo, czym się to może skończyć. Lepiej sobie pójdźcie, moi drodzy. Potrzebny mu spokój.

Ulath zaczął długą i bez związku przemowę w języku trolli i Sparhawk ze zdumieniem stwierdził, że rozumie każde słowo. Wyglądało na to, że zakłęcie, które Sephrenia rzuciła na niego w grocie Ghweriga, nadal zachowało moc.

Sparhawk wykapał się, ogolił, przywdział mnisi habit i wraz z przyjaciółmi zszedł do refektarza, gdzie czekał na nich posiłek. Zasedli wszyscy za długim stołem.

— Jakie będzie następne posunięcie Martela? — zwrócił się Komier do Abriela.

— Pewnie wróci do standardowej taktyki oblężniczej — odparł mistrz cyrinistów. — Najprawdopodobniej wstrzyma ataki i będzie nas przez pewien czas bombardował z machin oblężniczych. Ci fanatycy byli jego jedyną szansą na szybkie zwycięstwo. Teraz to może trochę potrwać.

Siedzieli w milczeniu, przysłuchując się monotonnym uderzeniom dużych kamieni spadających na miasto.

Wtem do komnaty wpadł Talen. Twarz miał okopconą, a ubranie brudne.

— Widziałem Martela! — krzyczał podniecony.

— Wszyscy go widzieliśmy — powiedział Kalten, rozsiadając się wygodniej w fotelu. — Jeździ od czasu do czasu wzdłuż murów, aby rozejrzeć się w sytuacji.

— On nie był na zewnątrz murów! Był w lochach pod bazyliką!

— Co ty wygadujesz, chłopcze? — dopytywał się Dolmant.

Talen wziął głęboki oddech.

— Ja... hm, no cóż... nie byłem wobec was zupełnie szczery, szlachetni panowie, gdy mówiłem, jak wyprowadzam złodziei z Miasta Wewnętrznego — przyznał. — Zorganizowałem spotkanie pomiędzy złodziejami i gwardzistami pilnującymi murów. Ta część była zgodna z prawdą. Nie powiedziałem jedynie, że

znalazłem również inną drogę. Po prostu nie chciałem was zanudzać szczegółami. W każdym razie, zdarzyło się, że wkrótce po naszym przybyciu trafiłem do najgłębszych lochów pod bazyliką. Znalazłem przejście. Nie wiem, jakie pierwotnie było jego przeznaczenie, ale prowadzi na północ. W przekroju jest dokładnie okrągłe, a kamienie na ścianach i podłodze są bardzo gładkie. Poszedłem tym tunelem i wyprowadził mnie z miasta.

— Czy są w nim jakieś ślady świadczące o tym, że był wykorzystywany jako przejście? — zapytał Emban.

— Nie było, gdy szedłem nim po raz pierwszy, wasza świątobliwość. Pajęczyny były grube niczym liny.

— Ach, o to chodzi — odezwał się Nashan. — Słyszałem o tym tunelu, ale nigdy go nie szukałem. W najgłębszych lochach znajduje się sala tortur. Większość ludzi woli unikać podobnych miejsc.

— Co to za tunel, Nashanie? — spytał Vanion. — Do czego służył?

— To stary akwedukt. Był częścią pierwotnej konstrukcji bazyliki. Biegnie na północ do rzeki Kydu, doprowadzał wodę do Miasta Wewnętrznego. Wszyscy mówili, że zawalił się przed wiekami.

— Nie cały — uściślił Talen. — Biegnie na tyle daleko w głąb Miasta Zewnętrznego, aby był użyteczny. Mówiąc krótko, rozglądałem się i znalazłem ten — jak nazwałś ten tunel, panie?

— Akwedukt — odpowiedział Nashan.

— Dziwne słowo. Znalazłem to przejście, podążyłem nim i wyszedłem w piwnicy składu znajdującego się kilka ulic za murami w Zewnętrznym Mieście. Tunel nie biegnie dalej, ale wcale nie musi. Drzwi z piwnicy wiodą do zaułka. Trochę zarobiłem sprzedając tę informację złodziejom z Chyrellos. No a dziś po południu byłem w tych lochach i widziałem, jak Martel wchodził do tunelu. Ukryłem się. Minął mnie. Był sam, więc poszedłem za nim, a on udał się do jakiejś izby. Tam czekał na niego Annias. Nie mogłem dosłyszeć, o czym mówili, bo mamrotali do siebie nisko pochyleni, jak ludzie knujący spisek. Rozmawiali przez dłuższą chwilę, a potem Martel kazał Anniasowi czekać na zwykły sygnał, wzywający ponownie na spotkanie w tym samym miejscu. Powiedział: „Chcę cię zabrać w jakieś bezpieczne miejsce, gdy zacznie się walka”. Wtedy Annias zaczął mówić, że nadal obawia się nadejścia Warguna, ale Martel roześmiał się i rzekł: „Nie martw się Wargunem, przyjacielu. On absolutnie nie zdaje sobie sprawy, co się tu dzieje”. Kiedy wyszli, odczekałem chwilę i przyszedłem prosto tutaj.

— Skąd Martel dowiedział się o akwedukcie? — zapytał Kalten.

— Pewnie któryś z jego ludzi gonił jakiegoś złodzieja i znalazł wejście do tunelu. — Talen wzdrygnął się. — Każdy nagle odnajduje w sobie obywatelskiego ducha, gdy przychodzi gonić złodzieja. Czasami gonili za mną zupełnie obcy ludzie.

— To wyjaśnia nieobecność Warguna. — Komier pokiwał głową posępnie. —

Wszyscy nasi posłańcy pewnie wpadli w zasadzkę.

— A królową Ehlana w Cimmurze nadal opiekują się jedynie Platim i Stragen — odezwał się Sparhawk z obawą w głosie. — Zejdę do tych lochów i poczekam na Martela. W końcu się tam pojawi i będę go mógł zaskoczyć.

— Nie zezwalam! — oświadczył ostro Emban.

— Wasza świątobliwość — zaprotestował Sparhawk — chyba przeoczyłeś fakt, że wraz ze śmiercią Martela skończy się oblężenie.

— Nie, myślę, że ty przeoczyłeś fakt, iż naszym prawdziwym celem jest pokonanie Anniasa w wyborach. Muszę mieć sprawozdanie z rozmowy Anniasa z Martelem, aby zdobyć głosy, których potrzebujemy do pobicia prymasa Cimmury. Nasza sytuacja staje się coraz trudniejsza. Za każdym razem, gdy pożar ogarnia nową dzielnicę, tracimy kilka głosów.

— Czy relacja Talena wzbudziłaby podejrzenia hierarchów, wasza świątobliwość? — zapytał Kalten.

— Większość hierarchów nigdy nie słyszała o Martelu, a ten chłopiec nie jest najwiarygodniejszym świadkiem. Ktoś w Chyrellos mógłby wiedzieć, że jest złodziejem. Muszę mieć całkowicie nieprzekupnego i wiarygodnego świadka. Kogoś, czyjej neutralności i obiektywności nie można podać w wątpliwość.

— Może dowódca przybocznej straży arcyprałata? — zaproponował Ortzel.

— Właśnie o kogoś takiego mi chodzi! — Emban strzelił palcami. — Gdyby udało nam się sprowadzić go do lochów, gdzie mógłby słyszeć rozmowę Martela z Anniasem, to miałby potem co zaprezentować hierarchom.

— A co się stanie, wasza świątobliwość, jeżeli Martel powiedzie z sobą do akweduktu małą armię? — zapytał Vanion. — Mówił coś o zabranii Anniasa w bezpieczne miejsce przed rozpoczęciem walk. Wydaje mi się, że planuje sam poprowadzić niespodziany atak na bazylikę od podziemi. Twój świadek nie będzie mógł liczyć na uwagę słuchaczy, jeżeli wszyscy patriarchowie będą w popłochu ratować życie ucieczką.

— Nie zwracaj mi głowy szczegółami, Vanionie — powiedział z afektacją Emban. — Po prostu postaw tam kilku ludzi.

— Z chęcią, ale skąd ich wezmę?

— Weź kilku rycerzy z murów. I tak nie robią tam nic użytecznego.

Vanion poczerwieniał, a na skroniach zaczęły mu pulsować żyły.

— Pozwól, przyjacielu, ja mu odpowiem — zaproponował Komier. — Nie chcemy, byś padł rażony apopleksją. — Odwrócił się z obojętną miną do niskiego, grubego patriarchy. — Wasza wielbność — powiedział słodkim głosem — gdy planuje się niespodziewany atak, to zwykle chce się odwrócić uwagę nieprzyjaciela. Czy to nie wydaje się sensowne?

— No cóż... — zaczął Emban z lekkim powątpiewaniem.

— Przynajmniej ja tak bym uczynił, a Martel ma za sobą dobrą szkołę pandionitów. Podejrzewałbym, iż poczeka, dopóki nie zbudują tych maszyn do ciskania

głazów...

— Machin — poprawił Abriel.

— Nieważne. — Komier wzruszył ramionami. — Potem zacznie kruszyć mury i wtedy rzuci do ataku wszystkich swoich ludzi. Wierz mi, wasza świątobliwość, ludzie na murach — lub na tym, co z tych murów zostanie — będą bardzo zajęci. Wtedy to właśnie Martel wejdzie do lochów, a my nie będziemy mieli kogo wysłać mu na spotkanie.

— Aleś się rozgadał, Komierze — rzucił Emban z pretensją.

— Co zatem uczynimy? — zapytał Dolmant.

— Nie mam wyboru, wasza świątobliwość — odparł Vanion. — Musimy zaważyć ten akwedukt, aby Martel nie mógł tamtędy przejść.

— Jeżeli to uczynicie, nie będziemy mieć sprawozdania ze spotkania Anniasa z Martelem! — zaprotestował patriarcha Ucery.

— Spróbuj spojrzeć na to z innej strony, Embanie — tłumaczył cierpliwie Dolmant. — Czy naprawdę chcesz, żeby w wyborach arcyprałata głosował Martel?

Rozdział 14

— To oddziały reprezentacyjne, wasza świątobliwość — protestował Vanion.
— Przecież nie organizujemy parady czy oficjalnej zmiany warty.

W komnacie Nashana zebrała się cała czwórka: Vanion, Dolmant, Sparhawk i Sephrenia.

— Widziałem, jak ćwiczyli na dziedzińcu przed koszarami — cierpliwie tłumaczył Dolmant. — Nadal dostatecznie dobrze pamiętam własne ćwiczenia, by ocenić sprawność innych.

— Ilu ich jest, wasza świątobliwość? — zapytał Sparhawk.

— Trzystu — odparł patriarcha Demos. — Jako przyboczna straż arcyprałata są również zobowiązani do obrony bazyliki. — Dolmant opadł na oparcie fotela i zaczął kręcić młynka palcami. — Nie sądzę, abyśmy mieli wielki wybór — rzekł. Na jego szczupłej, ascetycznej twarzy migotało światło świec. — Emban miał rację. Wszystkie nasze starania o pozyskanie głosów poszły teraz na marne. Moi bracia, hierarchowie, są bardzo przywiązani do swych domów. — Skrzywił się. — To jedna z niewielu form próżności, jaka pozostała wyższemu duchowieństwu. Wszyscy nosimy proste sutanny, więc nie możemy popisywać się strojami; nie żenimy się, więc nie możemy chwalić się swoimi żonami; jesteśmy zobowiązani żyć w pokoju, a więc nie możemy zademonstrować swej siły na polu bitwy. Pozostały nam jedynie nasze pałace. Wycofując się za mury Miasta Wewnętrznego i porzucając siedziby moich braci na pastwę płodowników Martela, straciliśmy przynajmniej dwadzieścia głosów. Koniecznie musimy zdobyć jakiś dowód na związek między Anniasem i Martelem. Gdyby to się udało, wszystko można by jeszcze obrócić na naszą korzyść. Winą za spalone pałace zostałby obarczony Annias, a nie my. — Spojrzał na Sephrenię. — Muszę cię o coś poprosić, mateczko.

— Słucham, mój drogi — czarodziejka uśmiechnęła się do niego czule.

— Nie mogę tego uczynić oficjalnie — usprawiedliwił się ze skrucą — ponieważ chodzi tu o sprawę, w której nie powinienem wierzyć.

— Poproś mnie więc jako były pandionita. W ten sposób oboje będziemy mogli zapomnieć o fakcie, że przestajesz w złym towarzystwie.

— Dziękuję — rzucił oschle patriarcha Demos. — Czy potrafiłabyś zawalić akwedukt nie wchodząc do lochów?

— Ja to zrobię, wasza świątobliwość — zaofiarował się Sparhawk. — Moge użyć Bhelliomu.

— Nie, nie możesz — przypomniała mu Sephrenia. — Nie masz obu pierścieni. — Ponownie zwróciła się do Dolmanta. — Spełnię twą prośbę, ale Sparhawk musi zejść do lochów. Przez niego skieruję zakłęcie.

— Coraz lepiej — powiedział Dolmant. — Zastanów się nad tym, Vanionie. Porozmawiamy z pułkownikiem Deladą, dowódcą straży arcyprałata. Umieścimy jego ludzi w lochu pod dowództwem kogoś zaufanego.

— Kurika? — zaproponował Sparhawk.

— Tak, właśnie jego — zgodził się Dolmant. — Podejrzewam, że sam nadal bezwiednie byłbym posłuszny jego rozkazom... — Przerwał na chwilę i zapytał: — Czemu nigdy nie pasowałeś go na rycerza, Vanionie?

— Z powodu jego uprzedzeń klasowych — roześmiał się Vanion. — Kurik uważa rycerzy za pustogłowych lekkoduchów. Czasami myślę, że ma rację.

— A zatem postanowiliśmy — ciągnął dalej Dolmant. — Umieścimy Kurika ze strażnikami w lochach, aby czekali na Martela. Oczywiście będą dobrze ukryci. Po czym moglibyśmy poznać, że Martel rozpoczął atak na nasze mury?

— Pewnie po spadających z nieba głazach. Zgodzisz się ze mną, Sparhawk? To byłby znak, że jego maszyny są już na swoich miejscach. Nie zacnie ataku, dopóki się nie upewni, że pracują prawidłowo.

— To zapewne będzie najodpowiedniejszy moment, aby ruszył przez akwedukt, prawda? — upewniał się Dolmant.

Vanion skinął głową.

— Gdyby zakradli się do tych lochów wcześniej, zbytnio ryzykowaliby, że ich odkryjemy.

— Wszystko zaczyna pasować do siebie coraz lepiej. — Dolmant sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie. — Sparhawk i pułkownik Delada będą czekać na murach. Kiedy zacnie się bombardowanie, zejdą do lochu, by podsłuchać rozmowę Anniasa z Martelem. Jeżeli straży arcyprałata nie uda się utrzymać wejścia do akweduktu, Sephrenia zawali tunel. Zablokujemy potajemny atak, zdobędziemy dowody przeciwko Anniasowi, a nawet możemy ich schwytać. Co o tym sądzisz, Vanionie?

— To doskonały plan, wasza świątobliwość — stwierdził Vanion bez entuzjazmu. Sparhawk również dostrzegł kilka luk w projekcie Dolmanta. Lata służenia Bogu zdały się przyćmić nieco strategiczny zmysł dawnego pandionity. — Widzę tylko jedną niedogodność — dodał Vanion.

— Tak?

— Możemy się spodziewać, że w Mieście Wewnętrznym pojawią się całe hordy najemników, gdy tylko te maszyny obłężnicze rozbiją mury.

— Tak, to będzie pewna niedogodność — przyznał Dolmant, marszcząc lekko brwi. — Pomimo to chodźmy porozmawiać z pułkownikiem Deladą. Jestem pewien, że wszystko się uda.

Vanion westchnął i wyszedł za patriarchą Demos z komnaty.

— Czy on zawsze taki był? — zapytał Sparhawk Sephrenię.

— Kto?

— Dolmant. Myślę, że w swoim optymizmie posuwa się zbyt daleko.

— To za sprawą teologii Elenów, mój drogi. Dolmant zawodowo zdaje się na los opatrności. Styrycy uważają to za najgorszą formę fatalizmu. Co cię martwi, Sparhawk?

— Moja koncepcja była idealna pod względem logicznym, a teraz, kiedy już wiemy o Perrainie, nie ma żadnego powodu, by łączyć ten cień z Azashem.

— Czemu tak leży ci na sercu zdobycie dowodów?

— Nie rozumiem.

— Jesteś gotów zarzucić swój pomysł tylko dlatego, że nie możesz logicznie udowodnić tego powiązania. Muszę jednak przyznać, że i tak początkowo twoje rozumowanie było dość subtelne. W zasadzie starałeś się jedynie tak przeinaczać sprawy, aby twa logika pasowała do twych odczuć — był to rodzaj usprawiedliwienia dla przyływu wiary. Czułeś, czyli wierzyłeś, że cień pochodził od Azasha. Mnie to wystarcza. Wolę zaufać twym odczuciom niż twej logice.

— Ale jesteś miła! — skrzywił się Sparhawk.

Czarodziejka uśmiechnęła się czule.

— Myślę, że nadszedł czas odrzucić logikę i zaufać przyływowi wiary. Spowiedź Perraina nie wskazała na żadne powiązania między tym cieniem, który stale widzisz, a zamachami na twoje życie, prawda?

— Obawiam się, że nie. Co gorsza, ostatnio nawet nie widziałem tego cienia.

— To wcale nie oznacza, że go tu nie ma. Powiedz mi, co dokładnie czułeś za każdym razem, gdy go widziałeś.

— Chłód. I nienawiść. Czymkolwiek to było, nienawidziło mnie. Nieraz darzono mnie wrogością, ale nigdy taką. Ta była nieludzka.

— Dobrze, możemy na tym polegać. To coś nadprzyrodzonego. Mów dalej.

— Bałem się tego — przyznał Sparhawk z niechęcią.

— Ty? Nie przypuszczałam, że wiesz, co znaczy się bać.

— Bardzo dobrze wiem.

Czarodziejka zastanawiała się długo. Płomyki świec rzucały ciepłe blaski na jej twarz o delikatnych, regularnych rysach.

— Twoja teoria rzeczywiście nie ma wiele sensu — zaczęła. — Gdyby Azash zlecił zabicie ciebie jakiemuś złoczyńcy, musiałby potem gonić go, by odebrać mu Bhelliom. . .

— Tak, to chyba trochę okrężna droga.

— No właśnie. A spójrzmy na wszystko jak na zwykły zbieg okoliczności.

— Nie powinienem tego robić, mateczko. Sama rozumiesz, opatrność.
— Przestań!
— Już przestaję, mateczko.
— Przypuśćmy, że Martel Posłużył się Perrainem na własną rękę, bez porozumienia z Anniasem. . . przy założeniu, że to prymas, a nie Martel kontaktuje się z Othą.
— Naprawdę nie sędzę, aby Martel posunął się tak daleko i sam załatwiał sprawy z cesarzem Zemochu.
— Ja nie byłabym tego taka pewna. Ale założmy, że zabicie ciebie było pomysłem Martela, a nie Othy — czy też częścią jakiegoś zawiłego planu Azasha. To wypełniłoby lukę w twych logicznych rozważaniach. Cię nadal może mieć powiązania z Azashem, a zupełnie nie mieć związku z zamachami na twoje życie.
— Co zatem robi?
— Najprawdopodobniej cię obserwuje. Azash chce wiedzieć, gdzie jesteś, bo z całą pewnością chce wiedzieć, gdzie jest Bhelliom. To mogłoby tłumaczyć, dlaczego prawie zawsze widzisz cię, gdy wyjmujesz klejnot z sakiewki.
— Zaczyna mnie już od tego boleć głowa, mateczko. Ale jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem Dolmanta, to niedługo będziemy mieć w niewoli obu, i Martela, i Anniasa. A wtedy chyba zdołamy wyciągnąć z nich kilka odpowiedzi — w każdym razie wystarczająco dużo, abym pozbył się tej migreny.

Pułkownik Delada, dowódca przybocznej straży arcyprałata, był postawnym, solidnie zbudowanym mężczyzną o krótko przyszytych rudych włosach i pociągłej twarzy. Pomimo swej w znacznej mierze ceremonialnej funkcji nosił się jak wojownik. Miał polerowany napierśnik, wytłaczaną okrągłą tarczę i tradycyjny krótki miecz. Sięgający kolan płaszcz był karmazynowy, a pozbawiony przyłbicy hełm zdobił koński ogon.

— Czy one rzeczywiście są takie wielkie, dostojny panie? — zapytał, gdy spoglądali na dymiące ruiny z płaskiego dachu przylegającego do murów Miasta Wewnętrznego.

— Naprawdę nie wiem — odparł Sparhawk. — Nigdy żadnej z nich nie widziałem. Ale pan Bevier widział i mówił, że są przynajmniej tak wielkie, jak słusznych rozmiarów dom.

— I rzeczywiście mogą miotać głazy o wadze wołu?

— Tak mi mówiono.

— Co to wyrabia się na tym świecie. . .

— Nazywają to postępem, przyjacielu — skrzywił się Sparhawk.

— Świat byłby lepszy, gdybyśmy powiesili wszystkich uczonych i budowniczych.

— I prawników.

— O tak, w szczególności prawników. Wszyscy chcą powiesić prawników. — Delada zmrużył oczy. — Czemu nikt z was nic mi nie mówi o naszej misji? — dopytywał się poirytowany. Zdawało się, że w przypadku Delady potwierdzały się wszystkie oklepane frazesy na temat konfliktowego charakteru rudowłosych.

— Musimy dbać o twą absolutną neutralność. Będziesz widział i, mam nadzieję, słyszał coś bardzo ważnego. Potem złożysz w tej sprawie zeznania. Znajdą się tacy, którzy będą bardzo usilnie starać się twe zeznania podważyć.

— Już ja się z nimi porachuję! — wykrzyknął porywczy pułkownik.

Sparhawk uśmiechnął się zadowolony.

— W każdym razie, jeżeli nie będziesz uprzedzony o tym, co zobaczysz i usłyszysz, nikt nie będzie mógł w ogóle podawać w wątpliwość twej bezstronności.

— Nie jestem głupi i potrafię patrzeć. To ma coś wspólnego z elekcją, prawda?

— W Chyrellos prawie wszystko ma teraz coś wspólnego z elekcją... no, może z wyjątkiem tego oblężenia.

— A ja nie postawiłbym większej sumy na to, że to oblężenie nie ma z tym związku.

— To jeden z tematów, których nie powinniśmy omawiać.

— Ha! — wykrzyknął Delada z triumfem. — Tak też myślałem!

Sparhawk spojrzął za mury. Musieli niezbitnie udowodnić powiązania Martela z Anniasem. Rycerz czuł niepokój. Jeżeli podczas spotkania prymasa Cimmury z renegatem nie zostanie ujawniona tożsamość Martela, Delada zrelacjonuje hierarchom jedynie wysoce podejrzaną rozmowę między Anniasem i bezimennym nieznajomym. Jednakże Emban, Dolmant i Orzel byli nieugięci. Absolutnie nie wolno dostarczyć Deladzie żadnej informacji, która mogłaby podważyć jego świadectwo. Sparhawk był szczególnie zawiedziony postawą patriarchy Ucery. Emban w każdej innej sytuacji potrafił kręcić i oszukiwać. Czemu musiał nagle zrobić się taki świętobliwy, gdy w grę wchodziła ta właśnie sprawa?

— Zaczyna się, Sparhawk! — zawołał Kalten z oświetlonego pochodniami muru. — Nadciągają Rendorczycy, aby oczyścić drogę z naszych przeszkód.

Sparhawk stał na dachu nieco wyższym od murów i mógł wyraźnie widzieć, co działo się za fortyfikacjami. Fanatycy wypadli pomiędzy ulic wrzeszcząc jak poprzednio. Nie dbając o truciznę, którą wysmarowano kolce „jeży”, sturlali przeszkody z drogi. Wielu szczególnie zapamiętanych w religijnej ekstazie posunęło się nawet do tego, że zupełnie bez potrzeby rzuciło się na zatrute pale. Wkrótce oczyszczono szeroką aleję i z dymiącego miasta wytoczyły się powoli w kierunku murów wieże oblężnicze. Sparhawk dostrzegł, że były skonstruowane z grubych desek okrytych świeżymi wołowymi skórami, które tak często były spryskiwane wodą, że spływały z nich małe strumyczki. Strzała z kuszy ani dzida nie sforsują desek, a płonąca smoła i nafta nie zapali ociekających wodą skór. Martel znalazł odpowiedź na ich linię obrony.

— Dostojny panie, czy naprawdę spodziewasz się walk w samej bazylice? — zapytał pułkownik Delada.

— Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie — rzekł Sparhawk — ale lepiej być przygotowanym. Jestem ci szczerze wdzięczny za rozstawienie twych gwardzistów w lochach — choć nie mogę ci wyznać, do czego są nam potrzebni. Dzięki twojej współpracy nie musimy zabierać ludzi z murów.

— Muszę założyć, że wiesz, co czynisz — powiedział Delada rozżalony. — Jednak oddanie całego oddziału pod komendę twojemu giermkowi rozeźliło mego zastępcę.

— To była taktyczna decyzja. W tych lochach bardzo łatwo obudzić echo. Twoi ludzie nie byliby w stanie zrozumieć wykrzykiwanych komend. Ja i Kurik znamy się od lat i opracowaliśmy swoje sposoby postępowania w podobnych sytuacjach.

Delada spojrzął na wieże oblężnicze, toczące się o ciężale pod mury.

— Duże, prawda? — westchnął. — Ilu ludzi można upchać w jednej takiej?

— Niemal do woli. — Sparhawk zasłonił się tarczą przed strzałami, które właśnie zaczęły spadać na dach. — Przynajmniej kilkuset.

— Nie bardzo jestem obeznany z taktyką oblężniczą — przyznał Delada. — Co teraz się stanie?

— Podtoczają do murów i spróbują zaatakować. Obrońcy spróbują przewrócić wieże. Będzie spore zamieszanie i straszny hałas, a wielu ludzi zginie lub zostanie rannych.

— Kiedy wkroczą do akcji owe maszyny do miotania głazów?

— Prawdopodobnie wtedy, gdy kilka z tych wież znajdzie się już przy murach.

— A nie obrzucą głazami własnych ludzi?

— Kto by się przejmował siedzącymi wewnątrz wież. Nie są zbyt ważni. Wielu z nich to Rendorczycy — podobnie jak ci, którzy polegli oczyszczając drogę z przeszkód. Dowódcy tej armii nie nazwałbyś humanistą.

— Znasz go, dostojny panie?

— O tak, bardzo dobrze.

— I chcesz go zabić, prawda? — zapytał bystro Delada.

— Kilka razy przeszło mi to przez myśl.

Jedna z wież znalazła się już blisko murów i obrońcy, uchylając się przed strzałami z łuków i kusz, rzucili na dach toczącej się budowli haki przyłączone do długich lin. Następnie zaczęli ciągnąć liny. Wieża zachwiała się, kiwnęła w tył, w przód i runęła z głośnym trzaskiem. Ludzie w środku poczęli krzyczeć, część z bólu, część z przerażenia. Wiedzieli, co będzie dalej. Upadek wieży spowodował połamanie desek i wewnątrz konstrukcji stało otworem niczym rozbite jajko. Kadzie ze smołą i naftą opróżniono wprost na kłębiących się i przepychających ludzi, a po chwili pochodnie podpaliły wrzące ciecze.

Od podnóża murów wzbił się przeraźliwy krzyk palonych żywcem ludzi. Delada z trudem przełknął ślinę.

— Czy często będziemy walczyć w ten sposób? — zapytał słabym głosem.

— Mamy nadzieję, że tak — odparł spokojnie rycerz. — Tym mniej napastników wejdzie do miasta, im więcej zabijemy ich za murami. — Sparhawk splótł szybko zakłęcie i przemówił do Sephrenii, która czekała w siedzibie zakonu. — Jesteśmy prawie gotowi, mateczko. Są już jakieś ślady obecności Martela?

— Nie, mój drogi. — Głos Sephrenii przypominał niemal szept w jego uchu. — Bądź ostrożny, Sparhawk. Bardzo rozgniewasz Aphrael, jeżeli pozwolisz się zabić.

— Powiedz jej, że mogłaby pomóc, jeśli ma na to ochotę.

— Sparhawk! — zawołała czarodziejka na poły wstrząśnięta, na poły rozba-wiona.

— Do kogo mówisz, dostojny panie? — Pułkownik Delada z zakłopotaniem rozejrzał się dookoła i upewnił, że w pobliżu nie ma nikogo.

— Czy jesteś wierzący? — zapytał rycerz.

— Jestem wiernym synem Kościoła.

— A zatem moja odpowiedź mogłaby cię wzburzyć. Zakony rycerskie mają pozwolenie, aby posunąć się dalej, niż wolno zwykłym wyznawcom naszej wiary. Zostawmy to lepiej tak, jak jest.

Pomimo największych wysiłków obrońców kilka wież dotarło do murów. Z ich szczytu spuszczone mosty. Jedna z wież oparła się o mur tuż obok bramy. Przyjaciele Sparhawka już na nią czekali. Tynian poprowadził atak mostem wprost do środka samej wieży. Sparhawk wstrzymał oddech, gdy alcjonita zniknął we wnętrzu drewnianej budowli. Dobiegające odgłosy świadczyły o okrucieństwie walki. Słychać było trzask broni, ludzkie wrzaski i jęki. Wtem Tynian i Kalten wybiegli ze środka i puścili się pędem przez zwodzony most z grubych desek. Złapali olbrzymią kadź z bulgoczącą smołą. Kołysząc się na boki pośpieszyli z powrotem. Krzyki nagle stały się głośniejsze — widocznie smoła została wylana na twarze ludzi tkwiących na drabinach w środku wieży.

Rycerze wyłonili się z wnętrza konstrukcji. Kalten po dotarciu do murów chwycił pochodnię i niedbałym ruchem wrzucił ją do środka. Wieża przypominała teraz komin. Czarny dym kłębił się w otwartym wejściu, które poprzednio przesłaniał most, i z dachu strzeliły ciemnopomarańczowe płomienie. Wrzask we wnętrzu jeszcze bardziej przybrał na sile, a potem ucichł.

Kontrataki rycerzy wzdłuż murów byty wystarczające, by zatrzymać pierwszą falę atakujących, ale obrona blank kosztowała życie wielu z obrońców. Chmury strzał z łuków i kusz przypuściły prawdziwy szturm na mury i poległo wielu gwardzistów oraz kilku rycerzy.

— Powrócą? — zapytał Delada ze smutkiem.

— Tak — odparł krótko rycerz. — Teraz przez pewien czas maszyny oblężnicze będą kruszyć mury, a później tym oczyszczonym polem nadciągną następne wieże.

— Jak długo wytrzymamy?

— Cztery, może pięć takich ataków. Potem maszyny miotające głazy zaczną rozbijać mury. W tym momencie rozpoczną się walki wewnątrz miasta.

— Nie mamy szansy na zwycięstwo, prawda?

— Prawdopodobnie nie.

— A zatem Chyrellos jest zgubione?

— Chyrellos było zgubione już w chwili pojawienia się tych dwóch armii. Bardzo dokładnie opracowano strategię ataku na miasto — można nawet powiedzieć, że błyskotliwie.

— Zważywszy na okoliczności, masz do tego osobliwe podejście, dostojny panie.

— To się nazywa zawodowstwem. Należy złożyć hołd geniuszowi przeciwnika. Oczywiście to tylko poza, ale pomaga w stworzeniu pewnego mitu. Końcowe starcia mogą zasmucić nawet największego wesołka i potrzeba czegoś podnoszącego na duchu.

Wtem na dach, na którym stał Sparhawk z Deladą wdrapał się Berit. Miał wytrzeszczone i patrzące nieco zezem oczy, a przez twarz przebiegały mu kurcze.

— Dostojny panie Sparhawk! — zawołał niepotrzebnie głośno.

— Słucham, Bericie.

— Co powiedziałaś, dostojny panie?!

Sparhawk przyjrzał mu się uważniej.

— O co chodzi? — zapytał.

— Przepraszam, dostojny panie!! Nie słyszę cię! Kiedy przypuścili atak, zaczęły bić wszystkie dzwony w bazylice. Dzwony znajdują się na górze, nad latarnią, na szczycie kopuły. Co to był za hałas! — Berit począł się grzmocić pięściami po skroniach.

Sparhawk ujął go za ramiona i spojrzał mu prosto w twarz.

— Co się stało?! — krzyknął, wyraźnie wymawiając słowa.

— Och, przepraszam, dostojny panie. Przez te dzwony myśleć nie mogę. Na łąkach po przeciwnej stronie rzeki Arruk widać tysiące pochodni. Uznałem, że powinienes o tym wiedzieć, dostojny panie.

— Posiłki? — zapytał z nadzieją pułkownik Delada.

— Bez wątpienia — zgodził się Sparhawk — tylko dla której ze stron?

Rozległ się huk i duży dom w sąsiedniej uliczce runął pod ciężarem głazu, który spadł na jego dach.

— Boże! — krzyknął Delada. — Ten głaz był ogromny! Mury nigdy nie wytrzymają takiego bombardowania.

— Nie wytrzymają — przyznał Sparhawk. — Czas nam zejść do lochów.

— Zaczęli miotać te głazy szybciej, niż przypuszczałeś, dostojny panie — zauważył pułkownik. — To chyba dobry znak.

— Nie bardzo rozumiem, co masz na myśli.

— Czyż to nie świadczy, że nadciągająca z zachodu armia nam śpieszy na pomoc?

— Wojska pod naszymi murami to najemnicy. Może po prostu chcą szybciej sforsować mury, by nie dzielić się łupami z sojusznikami po drugiej stronie rzeki?

Najgłębsze lochy bazyliki były zbudowane z gigantycznych głazów, które pracowicie ociosano i dopasowano układając w długie, niskie beczkowate sklepienie, gdzieniegdzie wspierane masywnymi przyporami. Cały ciężar wznoszącej się powyżej konstrukcji spoczywał na tych mocarnych łukach. W lochach, znajdujących się jeszcze głębiej niż krypta, w której kości dawno zmarłych duchownych butwiały w ciszy i ciemności, było mroczno, zimno i wilgotno.

Sparhawk wraz z pułkownikiem doszedł do zabezpieczonej barierą bramy, wiodącej do dalszej części lochów, w której czekał giermek z gwardzistami Delady.

— Kuriku! — syknął rycerz.

Giermek zbliżył się cicho do bariery.

— Machiny zaczęły bombardowanie — rzekł Sparhawk — a z zachodu nadciąga olbrzymia armia.

— Masz same dobre wiadomości, dostojny panie. Tu nie jest zbyt miło. Ze ścian zwisają łańcuchy i kajdany, a w głębi jest izba, która hrabiance Bellinie przypadłaby do serca.

Sparhawk rzucił szybkie spojrzenie Deladzie.

Oficer zakaszłał.

— Te pomieszczenia od dawna nie są już wykorzystywane — powiedział zwięźle. — Był czas, kiedy Kościół wszelkimi sposobami starał się wytepić herezję. Tu odbywały się przesłuchania i wymuszano wyznania winy. Nie był to najchlubniejszy rozdział w historii naszego Świętego Ojca, Kościoła.

— Tak, te sprawy nie są już tajemnicą. — Sparhawk skinął głową. — Czekaj tu razem z wartownikami, Kuriku. Ja wraz z pułkownikiem muszę dotrzeć na miejsce, nim przybędą nasi goście. Gdy zagwizdam do ataku, nie zwlekaj. Będiesz mi wtedy naprawdę potrzebny.

— Czy ja kiedykolwiek zwlekałem, gdy byłem ci potrzebny, Sparhawk?

— Prawdę mówiąc, nie. Przepraszam, że w ogóle o tym wspomniałem. — Rycerz powiodł pułkownika w głąb labiryntu lochów. — To będzie spora komnata — wyjaśniał po drodze. — Wzdłuż jej ścian znajdziemy mnóstwo różnego rodzaju szczelin i zakamarków. Przeprowadził mnie tu i wszystko pokazał młodzieniec, który to miejsce odkrył. Powiedział, że dwóch interesujących nas ludzi zamie-

rza się tam spotkać. Będziesz w stanie rozpoznać przynajmniej jednego z nich. Miejmy nadzieję, że przebieg rozmowy pozwoli ci na rozpoznanie drugiego. Proszę, byś słuchał ich słów uważnie. Gdy tylko spotkanie dobiegnie końca, udasz się prosto do swej kwatery i zamkniesz drzwi. Nie otwieraj nikomu z wyjątkiem mnie, mistrza Vaniona lub jego świątobliwości Embana. Żeby ci poprawić samopoczucie, powiem szczerze, iż przez krótki czas będziesz najważniejszą osobą w Chyrellos i całą armię postawię w twojej obronie.

— To wszystko jest bardzo tajemnicze.

— Na razie musi być, przyjacielu. Mam nadzieję, że po wysłuchaniu rozmowy zrozumiesz dlaczego. Jesteśmy na miejscu.

Sparhawk ostrożnie pchnął zbutwiałe drzwi i obaj weszli do ciemnego pomieszczenia obwieszzonego girlandami pajęczyn. W pobliżu wejścia zobaczyli prosty stół i dwa krzesła. Na stole stała gruba świeca umieszczona w wyszczerbionej misce. Sparhawk poprowadził Deladę do głębokiej wnęki.

— Zdejmij hełm i przystoń płaszczem napierśnik — szepnął. — Nawet najdrobniejszy odblask może zdradzić naszą obecność i ostrzec przybyszy.

Pułkownik skinął głową.

— Zgaszę teraz naszą świecę — rzekł Sparhawk. — Musimy zachować całkowitą ciszę. W razie potrzeby będziesz szeptał prosto mi do ucha. — Zdmuchnął świecę i położył ją na ziemi.

Czekali. Gdzieś daleko w ciemnościach powoli kapłała woda. Woda, podobnie jak dym, zawsze znajdzie sobie drogę i bez względu na szczelność muru i dobry drenaż zawsze będzie gdzieś wyciekać.

Minęło może pięć minut, może godzina, a może wiek, gdy z odległego końca lochu dobiegło stłumione podzwanianie.

— Żołnierze — szepnął Sparhawk. — Miejmy nadzieję, że dowódca wszystkich tu nie wprowadzi.

— Miejmy nadzieję — odszepnął Delada.

Wtem do środka wśliznął się, osłaniając jedną dłońią świecę, mężczyzna ubrany w czarną szatę z kapturem. Zapalił świecę na stole, zdmuchnął swoją i odrzucił kaptur.

— Powiniennem był wiedzieć — szepnął Delada. — To prymas Cimmury.

— W rzeczy samej, przyjacielu. W rzeczy samej.

Żołnierze byli coraz bliżej. Starali się trochę stłumić podzwanianie ekwipunku, ale grupie żołnierzy nigdy nie jest łatwo przemknąć ukradkiem.

— Stać! — polecił znajomy głos. — Wycofajcie się trochę. W razie potrzeby was zawołam.

Zapadła cisza i do komnaty wszedł Martel. Trzymał w dłoni hełm, a jego białe włosy połyskiwały w blasku świecy stojącej na stole przed prymasem.

— No cóż, Anniasie — wycedził przez zęby — staraliśmy się, ale gra dobiegła końca.

— O czym mówisz, Martelu? — warknął Annias. — Wszystko idzie po naszej myśli.

— Godzinę temu wszystko uległo zmianie.

— Przestań być taki skryty. Powiedz, co się stało.

— Z zachodu nadciąga armia.

— Następną falą tych cammoryjskich najemników, o których mi wspominałeś?

— Podejrzewam, że ich ciałami już pożywiają się psy. — Martel odpiął swój pas z mieczem. — Przykro mi to mówić, ale z zachodu nadchodzi armia Warguna. Jego wojska ciągną daleko jak okiem sięgnąć.

Sparhawkowi z podniecenia serce załomotało w piersi.

— Wargun?! — krzyknął Annias. — Zapewniałeś, że będziesz go trzymał z dala od Chyrellos.

— Tak myślałem, ale jakimś sposobem ktoś się do niego przedostał.

— Jego armia jest większa nawet od twojej?

Martel opadł znużony na krzesło.

— Ale jestem zmęczony! Nie spałem od dwóch dni. Co mówiłeś, Anniasie?

— Pytałem, czy Wargun ma więcej ludzi od ciebie.

— O, tak. Dużo więcej. Uważam, że nie powinniśmy na niego czekać. Mnie pozostało tylko jedno zmartwienie — jak szybko zginę z ręki Sparhawk. On wygląda na mało delikatnego człowieka. Jestem pewien, że długo bym nie pożył. Perrain sprawił mi prawdziwy zawód. Miałem nadzieję, że ostatecznie załatwi się z mym dawnym bratem zakonnym. No cóż... przypuszczam, że Ydra została ukarana za swój błąd. Jak już mówiłem, Sparhawk byłby w stanie skończyć ze mną w mgnieniu oka. Jest o wiele lepszym szermierzem ode mnie. Jednakże i ty masz powody do obaw. Lycheas mówił mi, że Ehlana chce, by przyniesiono jej twą głowę na tacy. Widziałem królową raz, nim ją otrułeś. Sparhawk, jak wspominałem, wygląda na mało delikatnego człowieka, ale Ehlana jest wrogiem bardziej niebezpiecznym. Ona cię nienawidzi, Anniasie. Wielce prawdopodobne, że sama zdecyduje się pozbawić cię głowy. To dziewczę delikatnej postury i przerażanie twego karku może jej zająć z pół dnia.

— Jesteśmy już tak blisko! — zaprotestował Annias z pełnym udreki zawodem. — Tron arcypralata jest niemal w zasięgu mojej ręki.

— Więc lepiej zostaw go w spokoju. Może ci bardzo ciężko, gdy będziesz uciekał ratując życie. Arissa i Lycheas już pakują bagaże w moim namiocie, ale obawiam się, że ty nie będziesz miał tyle czasu. Zabieram cię stąd. Niech jedno będzie jasne, Anniasie. Nie będę na ciebie czekał. Jeżeli zaczniesz zwlekać, zostawię cię.

— Ale pewne rzeczy muszę wziąć ze sobą!

— Masz rację. Kilka z tych rzeczy od razu przychodzi mi na myśl... jak choćby twoja głowa. Lycheas mówił, że ta jasnowłosa małpa biegająca za Spar-

hawkiem odkryła w sobie namiętność do wieszania ludzi. Znam Kaltena na tyle dobrze, by wiedzieć, jaki jest niezdarny. Z całą pewnością spartaczy robotę, a ja znam lepsze sposoby na miłe spędzenie popołudnia, niż uczestnictwo w nieudolnym wieszaniu.

— Ilu ludzi przyprowadziłeś ze sobą? — zapytał Annias drżącym z trwogi głosem.

— Około setki.

— Zaledwie stu?! Czyś ty oszalał?! Jesteśmy w samym środku obozowiska Rycerzy Kościoła!

— No, jednak się boisz, ty tchórze — powiedział Martel z zadowoleniem. — Ten akwedukt nie jest zbyt szeroki. Czy naprawdę chciałbyś gramolić się wśród tysiąca doskonale uzbrojonych najemników, gdy przyjdzie nam uciekać?

— Uciekać? A dokąd możemy uciec? Dokąd moglibyśmy się udać?

— Do Zemochu, a gdzieżby indziej. Cesarz Otha nas ochroni.

Pułkownik Delada wziął głęboki oddech.

— Cicho, człowieku — szepnął mu Sparhawk na ucho.

Płomyk świecy zamigotał. Martel wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem po podziemnej komnacie.

— Spróbuj przeanalizować to wraz ze mną, Anniasie — powiedział. — Podałeś Ehlanie darestim. Jego zażycie zawsze kończy się śmiercią. Nie ma na to lekarstwa, a zwykły czarodziej nie potrafi odwrócić jego działania. Wiem o tym, ponieważ byłem szkolony w sekretach magii przez Sephrenię.

— Styricka wiedźma! — syknął Annias.

Martel złapał go za ramiona i na wpół unióś z krzesła.

— Uwważaj, co mówisz! Nie obrażaj mateczki, bo będziesz wolał, aby to Sparhawk dostał cię w swoje ręce. On w porównaniu ze mną jest człowiekiem subtelnym i wrażliwym. Ja nie. Mógłbym uczynić z tobą rzeczy, które jemu nie przyszłyby nawet do głowy.

— Czyżbyś nadal żywił do niej jakieś uczucia?

— To moja sprawa. Dajmy temu spokój, wróćmy do poprzednich rozważań. Skoro jedynie magia mogła przywrócić zdrowie królowej, a zwykłe czary nie byłyby w tym wypadku skuteczne, to co nam pozostaje?

— Bhelliom? — domyślił się Annias, wygładzając na ramionach szatę pomiętą uściskiem Martela.

— No właśnie. Sparhawkowi jakoś udało się dostać go w swoje ręce. Użył go, by uleczyć Ehlane i jest wielce prawdopodobne, że nadal ma go przy sobie. Tego typu klejnotów nie trzyma się w szkatułce na komodzie. Każę zburzyć most na rzece Arruk. To powinno trochę opóźnić pochód Warguna i dać nam więcej czasu na ucieczkę. Pojedziemy na północ, a kiedy wydostaniemy się poza strefę głównych walk, skrócimy na wschód, w kierunku Zemochu. — Martel uśmiechnął się ponuro. — Wargun zawsze chciał wyplenić Rendorczyków. Będzie miał szansę to

uczynić, jeżeli wyślę ich, by zniszczyli mosty i Bóg mi świadkiem, że nie będę za nimi bardzo tęsknił. Pozostałym wojskom rozkażę, aby stawiły czoło Wargunowi na wschodnim brzegu rzeki. Zajmą go wspaniałą bitwą. Nim ich wybije, może upłynąć dobre kilka godzin. Zyskamy czas na oddalenie się stąd. Liczę na to, że Sparhawk puści się za nami w pogoń i jestem absolutnie pewien, że będzie miał z sobą Bhelliom.

— Skąd ta pewność? Zgadujesz, Martelu.

— Chcesz powiedzieć, że pomimo tych wszystkich lat spędzonych w pobliżu Sparhawk jeszcze go nie poznałeś? Nie chcę cię obrażać, Anniasie, ale jesteś skończonym głupcem. Otha gromadzi swe siły we wschodniej Lamorkandii, a jego wkroczenie do zachodniej Eosii jest kwestią dni. Będzie wyrzynał wszystko na swojej drodze — mężczyzn, kobiety, dzieci, bydło, psy, dzikie zwierzęta, a nawet ryby. Zapobieżenie temu należy do głównych obowiązków Rycerzy Kościoła. Zakony rycerskie założono z myślą właśnie o takich ludziach jak Sparhawk. On cały jest obowiązkiem, honorem i nieubłaganą stanowczością. Oddałbym duszę, by być takim jak on. I zdobył jedyną rzecz, która może raz na zawsze wykluczyć Othę z gry. Myślisz, że cokolwiek powstrzymałoby go przed zabranie z sobą Bhelliomu? Rusz głową, Anniasie.

— A cóż dobrego mogłoby dla nas wyniknąć z tej ucieczki, jeżeli Sparhawk z Bhelliomem w rękach będzie deptał nam po piętach? Zetrze Othę z powierzchni ziemi, a nas razem z nim.

— Mało prawdopodobne. Sparhawk jest dość zdumiewającym człowiekiem, ale nie jest bogiem. Azash natomiast jest, a co więcej, od początku świata pragnie zdobyć Bhelliom. Sparhawk ruszy w pościg za nami, a Azash będzie już na niego czekał i zniszczy go, aby przejąć moc Bhelliomu. Wtedy Otha zdobędzie całą Eosię. Za taką przysługę z pewnością nas hojnie nagrodzi. Ciebie osadzi na tronie arcyprąta, a mnie odda koronę każdego królestwa, które sobie wybiorę — chyba zdecyduję się na wszystkie. Otha przez ostatnie tysiąc lat stracił apetyt na władzę. Osadziłbym nawet Lycheasa jako regenta — a może i króla — na tronie Elenii, gdybyś mnie poprosił, chociaż nie potrafiłbym domyślić się powodu, dla którego miałbyś to uczynić. Twój syn to zasmarkany głupek i jego widok przyprawia mnie o mdłości. Może byś go udusił, a potem spróbowalibyście z Arissą jeszcze raz? Gdybyście się oboje odpowiednio skupili, pewnie spłodzilibyście prawdziwego człowieka zamiast takiego żuczka gnojowego.

Sparhawk poczuł nagły przypływ chłodu. Rozejrzał się dookoła. Chociaż nie mógł go widzieć, to jednak wiedział, że ten mroczny strażnik, który podążał za nim od groty Ghweriga, czał się gdzieś w tej izbie. Czyżby wystarczyło samo wspomnienie Bhelliomu, aby go przywołać?

— Ale skąd wiemy, że Sparhawk będzie w stanie za nami podążyć? — zapytał Annias. — Nie wie przecież o naszej umowie z Othą, więc nie będzie miał najmniejszego pojęcia, dokąd jedziemy.

— Ależ ty jesteś naiwny, Anniasie! — Martel roześmiał się szyderczo. — Sephrenia może podsłuchać rozmowę toczącą się w drugim końcu miasta i potrafi sprawić, aby słyszał ją każdy z obecnych przy niej ludzi. A co więcej, w tych lochach są setki kryjówek. Wierz mi, Anniasie, tym czy innym sposobem, Sparhawk słucha nas w tej chwili. — Przerwał na chwilę. — Prawda, Sparhawk?

Rozdział 15

Pytanie Martela zawisło w pachnącym stęchlizną mroku.

— Zostań tutaj — szepnął Sparhawk ponuro do Delady i sięgnął po swój miecz.

— Ani mi się śni — odparł równie posępnym tonem pułkownik i także sięgnął po miecz.

Doprawdy, nie było to ani miejsce, ani czas na kłótnie.

— No dobrze, ale ja biorę Martela. Ty nie daj umknąć Anniasowi.

Wyszli obaj z ukrycia i ruszyli w kierunku samotnego płomyka świecy.

— No proszę, toż to mój drogi brat — wycedził Martel przez zęby. — Miło znowu cię widzieć, Sparhawk.

— Szybko się napatrz, Martelu, za chwilę bowiem już bardzo długo niczego nie będziesz oglądał.

— Z przyjemnością spełniłbym twoją prośbę, ale obawiam się, że znowu będziemy to musieli odłożyć. Czekają na mnie nie cierpiące zwłoki sprawy. — Martel chwycił Anniasa za ramię i popchnął go w kierunku drzwi. — Ruszaj! — warknął.

Sparhawk wraz z Deladą rzucili się, by mieczami zagrozić drogę do wyjścia, ale tamci szybko wydostali się na zewnątrz.

— Stój! — krzyknął Sparhawk do swego towarzysza.

— Uciekną nam! — zaprotestował Delada.

— Już uciekli — powiedział rycerz z gorzkim zawodem. — Martel ma w tych lochach setkę ludzi. A my potrzebujemy cię żywego, pułkowniku. — Sparhawk gwizdnał ostro. Z głębi korytarza dobiegł ich pośpieszny tupot wielu stóp. — Musimy się bronić, dopóki Kurik nie przybędzie nam z odsieczą.

Zajęli pozycje przy zbutwiałych drzwiach. Sparhawk stanął kilka kroków od nisko sklepionego portalu. W tym miejscu mógł swobodnie posługiwać się mieczem, a masywne kamienne ściany i sklepienie wejścia znacznie ograniczały zasięg ciosów tych, którzy usiłowali dostać się do środka.

Najemnicy Martela szybko przekonali się, jak złym pomysłem było atakowanie rozeźlonego Sparhawka, a on w tym momencie rzeczywiście był bardzo zły.

W miarę jak wyładowywał swą złość na żołnierzach, rosła sterta ciał piętrzących się w wejściu.

Potem przybył Kurik z ludźmi Delady i najemnicy wycofali się, broniąc korytarza prowadzącego do wylotu akweduktu, którym uciekł Martel z Anniasem.

— Nic wam nie jest? — zapytał pośpiesznie giermek, zaglądając przez drzwi.

— Nie — odparł Sparhawk chwytając Deladę za ramię, bo pułkownik próbował przecisnąć się obok niego.

— Puść mnie! — syknął Delada.

— Nie puszczę. Pamiętasz, mówiłem ci, że będziesz przez pewien czas najważniejszą osobą w Chyrellos.

— Tak — westchnął pułkownik ze smutkiem.

— Twoje wyniesienie nastąpiło właśnie kilka minut temu i nie pozwolę, abyś dał się zabić dlatego jedynie, że jesteś w wojowniczym nastroju. Odprowadzę cię teraz do twej kwatery i pod jej drzwiami postawię straż.

Delada schował miecz do pochwy.

— Oczywiście masz słuszość, dostojny panie. Tylko że...

— Wiem. Ja czuję to samo.

Po zapewnieniu bezpieczeństwa pułkownikowi Sparhawk powrócił do lochów. Członkowie przybocznej straży arcyprałata wciąż jeszcze wyławiali próbujących się ukryć niedobitków. Z rozjaśnianych pochodniami ciemności wyłonił się Kurik.

— Obawiam się, że Martel i Annias uciekli na dobre — relacjonował.

— Martel był przygotowany na spotkanie z nami — rzekł Sparhawk z chmurną miną. — Wiedział, że albo będziemy tu na dole, albo Sephrenia posłuży się zaklęciem, które pozwoli nam go słyszeć. Wyjawił wiele korzystnych dla nas informacji.

— Tak?

— Armia nadciągająca z zachodu to armia Warguna.

— Dotarł prawie na czas. — Kurik uśmiechnął się nagle.

— Martel uprzedził również, którą drogą pojedzie. Chce, byśmy go gonili.

— Z największą przyjemnością spełnię jego życzenie. Czy jednakże zdobyliśmy informacje, o które nam chodziło?

Sparhawk skinął głową.

— Gdy Delada skończy swój raport, Annias nie dostanie nawet jednego głosu.

— To już coś.

— Przekaż dowództwo jakiemuś kapitanowi i chodźmy poszukać Vaniona.

Mistrzowie czterech zakonów stali na murach w pobliżu bramy i z pewnym zastanowieniem spoglądali na wycofujących się najemników.

— Właśnie przerwali atak — odezwał się Vanion, gdy dołączył do nich Sparhawk wraz z Kurikiem. — Nie wiemy dlaczego.

— Mają wystarczająco ważny powód — rzekł Sparhawk. — Za rzeką jest Wargun.

— Dzięki Bogu! — krzyknął Vanion. — W końcu jednak wiadomość do niego dotarła. Jak poszło wam w lochach?

— Pułkownik Delada wysłuchał bardzo interesującej rozmowy. Niestety, Martel i Annias uciekli. Mają zamiar gnać do Zemochu, by szukać opieki u Othy. Martel ma rozkazać zniszczenie mostów, co opóźni pochód nadciągającej armii i najemnicy zdążą się przegrupować. Nie łudzi się jednak nadzieją, że będą dla Warguna dużym kłopotem. Chce tylko zyskać czas na ucieczkę.

— Pójdźmy porozmawiać z Dolmantem — zdecydował mistrz Darellon. — Sytuacja uległa pewnej zmianie. Zbierz swych przyjaciół, dostojny panie Sparhawk. Wracamy do siedziby zakonu.

— Kuriku, przekaz wiadomość — polecił Sparhawk giermkowi. — Niech wszyscy się dowiedzą, że król Wargun nadciąga z odsieczą.

Ich świątobliwości Dolmant, Emban i Ortzel poczuli ogromną ulgę na wieść o przybyciu armii Warguna, a jeszcze większą gdy usłyszeli, że Annias sam się obwinił.

— Pułkownik Delada może nawet zaświadczyć o porozumieniu między Aniasem i Martelem a Othą — rzekł Sparhawk. — Szkoda jedynie, że Annias i Martel uciekli.

— Ile czasu potrzeba, aby wieść o zmianie obrotu wydarzeń dotarła do Othy? — zastanawiał się Emban, patriarcha Ucery.

— Chyba możemy przyjąć, iż Otha już wie o wszystkim, wasza świątobliwość — powiedział mistrz Abriel.

Emban pokiwał głową z niesmakiem.

— Domyślam się, że również za sprawą tej magii.

— Trochę potrwa, nim Wargun przegrupuje swe siły i ruszy do Lamorkandii, prawda? — zapytał Dolmant.

— Tydzień lub dziesięć dni, wasza świątobliwość — przyznał Vanion — a nie są to zbyt dokładne oszacowania. Przednie strażę obu armii będą mogły wyruszyć prędzej, ale główne siły potrzebują przynajmniej tygodnia.

— Jaką odległość potrafi armia pokonać w ciągu dnia? — spytał Emban.

— Najwyżej trzy ligi, wasza świątobliwość — odparł Vanion.

— Bzdura, Vanionie! Przecież nawet ja potrafię przejść trzy ligi w ciągu czterech godzin, a nie poruszam się zbyt szybko.

— Tak, kiedy idziesz sam, wasza świątobliwość — powiedział z uśmiechem Vanion. — Człowiek na przechadzce nie musi się martwić, że rozleżą mu się tyły kolumny, a gdy przyjdzie czas na spoczynek, może po prostu położyć się w krzakach owinięty płaszczem. Rozbicie obozowiska dla armii trwa trochę dłużej.

Emban odchrząknął, podniósł się z wysiłkiem i począpał do mapy Eosii, wiszącej na ścianie komnaty Nashana. Pomierzył pewne odległości.

— Spotkają się gdzieś tutaj — powiedział, dotykając palcem mapy — na równinie na północ od jeziora Cammoria. Ortzelu, jak wygląda ta okolica?

— Jest stosunkowo płaska — odparł patriarcha Kadachu. — W większości to tereny rolnicze, tu i ówdzie zdarza się napotkać połać lasu.

— Embanie, a może pozwolimy królowi Wargunowi opracować plan? — zaproponował delikatnie Dolmant. — My mamy własne sprawy do załatwienia.

Emban roześmiał się nieco speszony.

— Mam już taką wścibską naturę — przyznał. — Nie mogę wytrzymać, aby nie wsadzać do wszystkiego nosa. — W zamyśleniu założył ręce do tyłu. — Opanujmy sytuację w Chyrellos, nie czekajmy na Warguna. Można chyba powiedzieć, iż zeznania pułkownika Delady wyeliminują kandydaturę prymasa Cimmury raz na zawsze, a więc od razu zajmijmy się sprawą elekcji, nim hierarchowie będą mieli czas odsapnąć. Dostojnicy Kościoła to urodzeni politycy i gdy tylko dojdą do siebie, zaraz zaczną dostrzegać nadarzające się okazje. Doprawdy, nie chcemy chyba, aby chmara niespodziewanych kandydatów zagmatwała nam całą sprawę. Starajmy się jej nie komplikować. Naraziliśmy się sporej grupie patriarchów, pozwalając spłonąć Miastu Zewnętrznemu. Skorzystajmy z tego, że hierarchowie będą przepelnieni wdzięcznością i zapełnijmy pusty fotel w bazylice, nim zaczną ponure rozmyślania na temat straconych domów i podobnych rzeczy. Mamy chwilową przewagę. Wykorzystajmy ją jak najszybciej.

— Ty tylko o tym myślisz, prawda? — zapytał Dolmant.

— Ktoś to musi robić, bracie.

— Jednakże lepiej byłoby, gdyby Wargun najpierw wkroczył do Chyrellos — rzekł mistrz Vanion. — Jak mu pomóc?

— Możemy opuścić Miasto Wewnętrzne, gdy generałowie Martela zaczną przegrupowywać swe siły, by stawić czoło armii Warguna — zaproponował mistrz Komier. — Uderzymy na nich od tyłu i tak pokąsamy, że będą zmuszeni odpędzić nas za wewnętrzne mury i zostawić wystarczająco dużo oddziałów, aby nas za tymi murami utrzymać. To powinno wpłynąć na osłabienie sił, które staną przed Wargunem.

— Ja natomiast chciałbym zapobiec zniszczeniu tych mostów na rzece Arruk — powiedział mistrz Abriel. — Zbudowanie nowych będzie kosztować Warguna sporo czasu i życie wielu żołnierzy.

— W tej sytuacji nie możemy chyba pomóc — rzekł mistrz Darellon. — Nie mamy wystarczająco wielu ludzi, aby trzymać Rendorczyków z dala od brzegu rzeki.

— Mamy jednakże dość ludzi, aby narobić zamieszania wewnątrz miasta — stwierdził stanowczo Komier. — Wróćmy na mury, tam przemyślimy nasze plany. Muszę się czymś zająć, żeby pozbyć się uczucia niesmaku, jakie pozostało mi po tym oblężeniu.

Wraz ze zbliżającym się świtem nadciągnęła mgła. Lato się kończyło i z ciemnych powierzchni obu rzek, które spotykały się w Chyrellos, w chłód nocy wzbijały się szare kłaczkę mgiełki, łączyły tworząc mgłę, która przesłaniała odległe

domy, i ostatecznie skupiały się w gęste kłęby oparów tak powszechnych w miastach zbudowanych nad rzekami.

W szeregach obrońców na wieść o planowanej akcji zapanowało pełne entuzjazmu podniecenie. Oczywiście ten plan był taktycznie umotywowany, ale taktyka była domeną generałów, a prostych żołnierzy bardziej interesowała okazja do zemsty. Znieśli dzielnie bombardowanie; odparli fanatyków wdrapujących się na mury po drabinach; nie ugięli się również przed wieżami oblężniczymi. Byli zmuszeni wytrzymać wszystko, co rzucali przeciwko nim atakujący. Teraz mieli okazję wyrównać rachunki i ukarać swych prześladowców. Wymaszerowali z Miasta Wewnętrzznego z wyrazem bezlitosnego wyczekiwania na twarzach.

Wielu spośród najemników Martela było wcześniej równie pełnych entuzjazmu, planując grabieże, płądrowanie i łatwe zdobycie słabo bronionych murów. Jednakże ich entuzjazm osłabł na myśl o spotkaniu z olbrzymią, przeważającą siłą na otwartym polu. Z miejsca stali się ludźmi miłującymi pokój. Przemykali chyłkiem zamglonymi ulicami w poszukiwaniu miejsc, w których by uszanowano ich pacyfizm. Wypadek wojsk z Miasta Wewnętrznego był olbrzymim zaskoczeniem i jeszcze większym rozczarowaniem dla ludzi przywykłych wieść życie nie skażone otwartą walką.

Mgła bardzo sprzyjała obrońcom Miasta Wewnętrznego. Musieli jedynie wypatrywać ludzi nie odzianych w zbroje Rycerzy Kościoła lub czerwone uniformy gwardzistów. Pochodnie noszone przez tych nagłych miłośników pokoju czyniły z nich łatwy cel dla niewprawnych kuszników Kurika.

Ponieważ człowiek jadący konno czyni wiele hałasu, Rycerze Kościoła poruszali się po ulicach miasta piechotą. Po pewnym czasie Sparhawk stanął u boku Vaniona.

— Wyłapujemy jedynie dezterterów — powiadomił mistrza. — Szkoda zachodu.

— Nie, Sparhawk. Gwardziści mają za sobą oblężenie, a to osłabia ducha. Dajmy naszym tymczasowym sprzymierzeńcom szansę się zemścić, nim zwrócimy ich patriarchom.

Sparhawk musiał przyznać rację Vanionowi. Wraz z Kaltenem i Kurikiem odeszli objąć przywództwo.

Na oświetlonym pochodniami skrzyżowaniu pojawiła się widmowa postać z toporem w dłoni. Ktokolwiek to był, bez wątpienia nie nosił zbroi ani też munduru gwardzisty. Kurik uniósł kuszę i wycelował. W ostatniej chwili zadarł broń do góry i strzała pomknęła ze świstem w poszarzałe przed świtem niebo. Giermek zaklął siarczyście.

— O co chodzi? — szepnął Kalten.

— To Berit — powiedział Kurik przez zaciśnięte zęby. — Zawsze podczas chodzenia tak kołysz ramionami.

— Dostojny panie Sparhawk?! — zawołał Berit w kierunku ciemności. —

Czy to ty?!

— Tak.

— Dzięki Bogu! Już myślałem, że będę musiał przetrząsnąć wszystkie wypalone zaułki w Chyrellos.

Kurik trzasnął pięścią w mur.

— Potem z nim o tym porozmawiasz — rzekł Sparhawk. — A więc, Bericie, znalazłeś mnie. Z czym to na tyle ważnym chcesz się ze mną podzielić, by ryzykować życie kręcąc się tutaj?

— Zdaje się, że Rendorczycy gromadzą się przy zachodniej bramie. Są ich tysiące.

— Co robią?

— Chyba się modlą. W każdym razie biorą udział w jakiejś ceremonii. Przemawia do nich jakiś chudy brodaty osobnik, stojący na kupie gruzu.

— Czy słyszałeś, co mówił?

— Niewiele, ale dwa słowa pojawiały się szczególnie często i wszyscy powtarzali je głośno za każdym razem.

— Co to za słowa? — dopytywał się Kurik.

— Wydaje mi się, że „barani róg”

— To brzmi znajomo, Sparhawk — zauważył giermek.

Rycerz skinął głową.

— Wygląda na to, że Martel zabrał z sobą Ulesima, aby ten podsycił w Rendorczykach ducha walki.

Berit spojrział na Sparhawk z zakłopotaniem.

— Kto to jest Ulesim, dostojny panie?

— Przywódca duchowy Rendorczyków, prorok. Oznaką jego godności jest poskręcany kawałek baraniego rogu. — Zastanowił się nad czymś. — Rendorczycy po prostu siedzą i słuchają kazania? — zapytał nowicjusza.

— Jeżeli można tak nazwać jego bełkot.

— Porozmawiajmy z Vanionem — zaproponował Sparhawk. — To może być bardzo sprzyjająca okoliczność.

Wrócili na tyły, gdzie mistrzowie i pozostali przyjaciele Sparhawk omawiali dalsze plany.

— Zdaje się, że trafił nam się łut szczęścia — powiedział rycerz. — Berit kręcił się trochę po ulicach. Mówi, że Rendorczycy zebrali się w pobliżu zachodniej bramy, a ich przywódca zagrzewa ich do szaleństwa.

— Dostojny panie Sparhawk, pozwoliłeś nowicjuszowi, by tam sam poszedł? — zapytał z przyganą mistrz Abriel.

— Kurik potem rozmówi się z nim w tej sprawie, mistrzu.

— Powtórz, jak nazywa się ten przywódca. . . — Vanion był zamyślony.

— Ulesim. Znam go. To zwykły głupek.

— A co uczyniliby Rendorczycy, gdyby cokolwiek mu się stało?

— Rozpierzchliby się, mistrzu. Martel powiedział, że ma zamiar rozkazać im zburzenie mostów. Najwidoczniej jeszcze nie zaczęli. Rendorczycy potrzebują sporej zachęty, a także dokładnych instrukcji, nim zaczną cokolwiek robić. Swego religijnego przywódcę uważają za półboga. Nie uczynią nic bez jego wyraźnego polecenia.

— To jest sposób na ocalenie naszych mostów, Abrielu — stwierdził Vanion. — Jeżeli coś się przydarzy Ulesimowi, Rendorczycy mogą po prostu zapomnieć, co mieli zrobić. Zbierzmy rycerzy i złożmy prorokowi wizytę.

— Zły pomysł — odezwał się Kurik. — Przykro mi, mistrzu Vanionie, ale to naprawdę zły pomysł. Jeżeli ruszymy na Rendorczyków z dużą siłą, będą do umarłego bronić swego świętego męża. Jedynie zwiększylibyśmy liczbę niepotrzebnych ofiar.

— Masz inną propozycję?

Kurik uderzył pięścią w swoją kuszę.

— Tak, mistrzu. Berit mówił, że ten Ulesim prawi kazanie swoim ludziom. Człowiek przemawiający do tłumów zwykle na czymś stoi. Gdybym mógł zbliżyć się na odległość dwustu kroków... — Kurik nie dokończył.

— Sparhawk — zdecydował Vanion — zbierz swoich przyjaciół i osłaniajcie go. Spróbujcie prześliznąć się przez miasto na tyle blisko, by Kurik mógł sięgnąć Ulesima. Gdyby ci fanatycy się rozpierzchli i nie zniszczyli mostów, Wargun przekroczy rzekę, nim najemnicy będą gotowi na jego przyjęcie. Najemnicy to żołnierze trzeźwo patrzący na świat. Niechętnie biorą udział w beznadziejnych bitwach.

— Myślisz, że się poddadzą? — zapytał mistrz Darellon.

— Warto spróbować. Pokojowe rozwiązanie oszczędziłoby wiele ludzkich istnień po obu stronach, a myślę, że będziemy potrzebować każdego człowieka — nawet Rendorczyka — gdy przyjdzie nam zmierzyć się z Othą.

Mistrz Abriel nagle się roześmiał.

— Ciekaw jestem, jak czułby się Bóg, gdyby Jego Kościoła bronili eshandyjscy heretycy?

— Bóg jest miłosierny. — Komier uśmiechnął się dobrotliwie. — Mógłby im nawet przebaczyć... trochę.

Czterej rycerze oraz Berit i Kurik skradali się ulicami Chyrellos w kierunku zachodniej bramy. Lekki wietrzyk rozpraszał mgłę. Dotarli do dużego wypalonego obszaru w pobliżu zachodniej bramy. Uzbrojeni po zęby Rendorczycy stali tłumnie wokół sterty gruzu. Na jej szczycie widać było znajomą postać.

— Zgadza się, to on — szepnął Sparhawk do swych towarzyszy, gdy chowali się w ruinach pobliskiego domu. — Oto stoi w pełni chwały Ulesim, ukochany uczeń świętego Arashama.

— Co takiego?! — zdziwił się Kalten.

— Tak nazwał siebie w Rendorze. Sam sobie nadał ten tytuł. Domyślam się, że chciał oszczędzić Arashamowi trudów wyboru.

Ulesim był bliski hysterii. Jego przemówienie nie miało wiele sensu. Uniósł chudą rękę, w której coś kurczowo ścisnął. Co kilka słów potrząsał przedmiotem trzymanym w dłoni i krzyczał: „Barani róg!”, a jego wyznawcy odkrzykiwali: „Barani róg!”

— Co o nim sądzisz, Kuriku? — zapytał Sparhawk szeptem, gdy wyglądali zza zwalonej ściany.

— Myślę, że jest szalony.

— Oczywiście, że jest szalony, ale czy jest w zasięgu kuszy?

Kurik zmrużył oczy i spojrzał ponad głowami tłumu na wrzeszczącego fanatyka.

— Spora odległość — powiedział z powątpiewaniem.

— Mimo to spróbuj — namawiał Kalten. — Jeżeli strzała nie doleci, czy też polecą za daleko, nie zmarnujesz jej. Oberwie któryś z Rendorczyków.

Kurik oparł kuszę na zwalonej ścianie i dokładnie wymierzył.

— Bóg mi to objawił! — wrzeszczał do swych wyznawców Ulesim. — Musimy zniszczyć mosty, które są dziełem szatana! Uderzą na was siły ciemności zza rzeki, ale barani róg was obroni! Moc błogosławionego Eshanda wespół z mocą świętego Arashama napełniły talizman nieziemską potęgą! Barani róg da wam zwycięstwo!

Kurik zwolnił naciąg kuszy. Gruba cięciwa jęknęła wyrzucając strzałę.

— Jesteście niewidzialni! — darł się Ulesim. — Jesteście...

Nigdy już nie dowiedzieli się, jacy jeszcze byli. W czole Ulesima, tuż nad brwiami, utkwiał grot strzały. Mówca zeszytniał z wybałuszonymi oczyma i otwartymi ustami, a po chwili upadł ciężko na szczyt gruzów.

— Dobry strzał — pogratulował Tynian.

— Prawdę mówiąc, celowałem w brzuch — przyznał Kurik.

— W porządku, Kuriku — roześmiał się Deirańczyk. — Tak było bardziej widowiskowo.

Przez tłum przetoczył się krzyk oburzenia i trwogi.

Poczęto powtarzać słowo „kusza”. Wielu nieszczęśników miało przy sobie tę broń, zdobytą w ten czy inny sposób od Lamorkandczyków. Z miejsca zostali rozszarpani na kawałki przez swych oszalałych rodaków. Spora grupa czarno odzianych ludzi z Południa porzuciła oręż i uciekła wrzeszcząc. Inni przypadli do ziemi, zawodząc z rozpacz. Nadal jednak byli tacy, którzy stali gapiąc się z niedowierzaniem w kupę gruzu, skąd jeszcze przed chwilą Ulesim zagrzewał ich do walki. Sparhawk zauważył również, że wielu zabrało się z miejsca za politykowanie. Liczni byli chętni, by zająć wolne obecnie miejsce, i zaczęli podejmować odpowiednie kroki, rozumując, że władza najpewniej wpadnie w ręce tego, który

pozostanie przy życiu. Dołączali do nich zwolennicy tego lub innego kandydata i wkrótce ogromny tłum ogarnęło coś, co można jedynie było nazwać generalnym zamętem.

— Dyskusje polityczne wśród Rendorczyków są bardzo ożywione — stwierdził Tynian.

— Zauważyłem to — przyznał Sparhawk. — Chodźmy powiadomić mistrzów o wypadku Ulesima.

Skoro Rendorczycy stracili zupełnie zainteresowanie mostami, baraniami rogami czy też groźbą bitwy, dowódcy wojsk Martela doszli do wniosku, iż nie mają żadnych szans wobec armii nadciągającej z przeciwnego brzegu rzeki. Najemnicy są największymi realistami wśród żołnierzy i wkrótce pokaźna grupa oficerów przejechała przez most z białą flagą. Wrócili tuż przed wschodem słońca. Dowódcy najemników naradzali się przez kilka chwil, a potem ustawili swych ludzi w szyku i poganiając przed sobą kotłujących się Rendorczyków, wymaszerowali z Chyrellos i złożyli broń.

Sparhawk z przyjaciółmi obserwowali ze szczytu murów Miasta Zewnętrznego, tuż obok otwartej zachodniej bramy, jak władcy zachodnich królestw Eosii wkraczają do Świętego Miasta. Król Wargun w towarzystwie zbrojnego patriarchy Bergstena, króla Dregosa z Arcium, króla Pelosii, Sorosa i sędziego króla Deiry,

Oblera, jechał na czele kolumny wojsk. Tuż za nimi nadjechał ozdobny otwarty powóz. Siedziały w nim cztery osoby, wszystkie odziane w szaty z kapturami. Na widok jednej, zwalistej postaci Sparhawk przebiegł zimny dreszcz. Z całą pewnością nie zabraliby. . . I wtem, najwyraźniej na polecenie najbardziej niepozornej z osób, wszyscy czworo odrzucili kaptury. Tak, ogromny grubas okazał się Platimem, obok siedział Stragen. Były tam też dwie niewiasty — jednej Sparhawk nie znał, ale znał drugą, jasnowłosą i czarującą Ehlanę, królową Elenii.

Rozdział 16

Wjazd Warguna do Chyrellos trudno było nazwać triumfalnym. Prości mieszkańcy Świętego Miasta nie trzymali ręki na pulsie wydarzeń. Dla szarego człowieka jedna armia niewiele różni się od innej, toteż podczas przejazdu królów Eosii do bazyliki nie witały ich rozradowane tłumy.

Sparhawk nie miał okazji na rozmowę ze swą królową. Wprawdzie miał jej wiele do powiedzenia, ale nie były to sprawy, o których chce się rozprawić publicznie. Król Wargun polecił swym generałom podążać za patriarchą Demos na uroczystość, jaką zwykle się organizuje przy takich okazjach.

— Muszę przyznać, że ten wasz Martel jest bardzo sprytny — oznajmił trochę później król Thalesii, rozsiadając się wygodnie w fotelu z kuflem piwa w dłoni.

Zebrali się w dużej, bogato zdobionej komnacie spotkań. Na marmurowej posadzce stał długi wypolerowany stół, a okna zdobiły grube bordowe zasłony. W komnacie byli obecni władcy zachodnich królestw Eosii, mistrzowie czterech zakonów, patriarchowie Dolmant, Emban, Orzel i Bergsten oraz Sparhawk wraz z przyjaciółmi, wśród których znalazł się również Ulath, choć jeszcze nie w pełni powrócił do zdrowia. Sparhawk z kamiennym obliczem spoglądał poprzez stół na swą przyszłą małżonkę. Chciał się rozmówić z Ehlaną, ale dla Platima i Stragena też zarezerwował kilka cierpkich słów. Hamował się z trudem.

— Po spaleniu Coombe — opowiadał Wargun — Martel zdobył słabo broniony zamek na szczycie stromej skały. Wzmocnił obronę, zostawił tam spory garnizon i wyruszył oblegać Larium. Podążyliśmy za nim, więc uciekł na wschód. Potem skręcił na południe i ostatecznie zawrócił na zachód, w kierunku Coombe. Długie tygodnie spędziłem na pogoni za nim. Wydawało się, że wielką armię wprowadził do tego zamku, więc zasadziłem się tam, aby wziąć go głodem. Nie wiedziałem jednak, że podczas marszu ukrył po drodze całe regimenty i do zamku dotarł już jedynie z niedużymi siłami. Sam odjechał, a oni zamknęli bramy. Miałem oblegać niezdobyty zamek, jemu pozostawiając swobodę w ponownym zebraniu wojsk i wymarszu na Chyrellos.

— Wysłaliśmy wielu posłańców do waszej wysokości — powiedział patriarcha Dolmant.

— Jestem tego pewien, wasza świątobliwość — skrzywił się Wargun — ale tylko jeden z nich do mnie dotarł. Martel wszędzie w Arcium porozstawiał zasadzki. Spodziewam się, że większość z waszych posłańców spoczywa w rowach tego kamiennego Ogrodu Boga. Przepraszam, Dregosie — sumitował się wobec króla Arcium.

— Nie ma za co — przebaczył mu król Dregos. — Bóg specjalnie stworzył tyle kamieni na terenie Arcium. Układanie dróg i stawianie murów daje moim ludziom zajęcie i dzięki temu nie wszczynają wojen między sobą.

— Skoro było tyle zasadzek, jakim sposobem komukolwiek udało się dotrzeć do waszej wysokości? — zapytał Dolmant.

— To jest właśnie w tym wszystkim najdziwniejsze — odparł Wargun, drapiąc się po rozczochranej głowie. — Nigdy tego nie pojmem. Człowiek, któremu udało się przedrzeć, jest z Lamorkandii. Wygląda na to, że po prostu najspokojniej w świecie przejechał przez całe Arcium i nikt nie zwrócił na niego uwagi. Albo więc jest największym szczęściarzem z ludzi, albo też Bóg umiłował go sobie bardziej niż innych, a prawdę mówiąc, wcale nie wyglądał mi na ulubieńca Pana.

— Czy on jest gdzieś w pobliżu, wasza wysokość? — zapytała Sephrenia z dziwnym wyrazem oczu.

— Myślę, że tak, pani. — Wargun beknął. — Wspominał, że czeka, aby zdać raport patriarsze Kadachu. Jest pewnie gdzieś w korytarzu.

— Chciałabym mu zadać kilka pytań.

— Czy to naprawdę takie ważne, Sephrenio? — zapytał Dolmant.

— Tak, wasza świątobliwość, myślę, że to może być bardzo ważne. Chcę coś sprawdzić.

— Hej, ty tam! — zawołał ostro Wargun do jednego z żołnierzy stojących przy drzwiach. — Poszukaj tego obdartusa, który włóczy się za nami. Niech tu przyjdzie.

— W tej chwili, wasza wysokość.

— Oczywiście, że w tej chwili. Wydałem chyba rozkaz, co? Wszystkie moje rozkazy są wykonywane w tej chwili! — Król Wargun był już po czwartym kuflu piwa i powoli zaczynał tracić dobre maniery. — W każdym razie — podjął swą opowieść — ten człowiek dotarł do obleganego przez nas zamku nie dawniej niż dwa tygodnie temu. Przeczytałem jego wiadomość, zebrałem armię i przybyliśmy tutaj.

Lamorkandczyk, którego wprowadzono do komnaty, rzeczywiście wyglądał na obdartusa. Najwyraźniej nie był ani wojownikiem, ani duchownym. Miał rzadkie, proste ciemne włosy i wydatny nos.

— Ach, to Eck! — Patriarcha Ortzel rozpoznał jednego ze swych służących. — Powinienem był się domyślić, że właśnie tobie udało się przedostać. Przyja-

ciele, to mój służący, Eck, szczywany jak lis. Jest najlepszy w ukradkowym załatwianiu różnych spraw.

— Nie sądzę, aby w tym wypadku wchodziło w grę ukradkowe załatwianie sprawy, wasza świątobliwość — przyznał Eck. Mówił przez nos, który widocznie go zdominował. — Na umówiony sygnał ruszyliśmy wszyscy co koń wyskoczy. Zaczęliśmy wpadać w zasadzki, nim jeszcze dotarliśmy do granic Arcium. Wtedy postanowiliśmy się rozdzielić, by choć jednemu z nas udało się przedostać. Osobiście nie bardzo na to liczyłem. Zdawało się, że za każdym drzewem kryje się łucznik. Schowałem się w ruinach zamku w pobliżu Darry, aby przemyśleć to wszystko. Nie widziałem w ogóle żadnego sposobu na to, by dostarczyć twoją wiadomość, wasza świątobliwość. Nie wiedziałem, gdzie jest król Wargun, a nie odważyłem się pytać o to podróżnych z obawy, że należą do tych samych ludzi, którzy zabijali moich przyjaciół.

— Niebezpieczna sytuacja — przyznał mistrz Darellon.

— Też tak pomyślałem, mistrzu. Ukrywałem się w ruinach przez dwa dni. A potem o świcie usłyszałem dziwny dźwięk, jakby muzykę. Pomyślałem sobie, że to pewnie pasterz owiec, ale okazało się, że to była mała dziewczeczka z kilkoma kozami. Grała na fujarce. Wyglądała na jakieś pięć lat i gdy tylko ją zobaczyłem, wiedziałem, że jest Styriczką. Każdy wie, że zadawanie się ze Styrykami przynosi pecha, więc pozostałem w ukryciu. Nie chciałem wpaść w kolejną zasadzkę. Jednakże dziewczeczka podeszła prosto do mnie, jakby wiedziała dokładnie, gdzie byłem, i kazała mi iść za sobą. — Eck przerwał i spojrzał na Ortzela z zakłopotaniem. — Wasza świątobliwość, jestem dorosłym człowiekiem i nie przyjmuję rozkazów od dzieci, a w szczególności od styryckich dzieci, ale w tej dziewczeczce było coś dziwnego. Gdy kazała mi coś zrobić, robiłem to, nim jeszcze zdążyłem pomyśleć. Czyż to nie dziwne? Mówiąc krótko, wyprowadziła mnie z ruin. Dookoła roiło się od wrogów, ale zachowywali się tak, jakby mnie nie widzieli. Dzieweczka przeprowadziła mnie przez całe Arcium. To przecież bardzo daleka droga. Nie pojmuję dlaczego, ale nam zajęła tylko trzy dni... a właściwie cztery, jeżeli wliczyć dzień, w którym zatrzymaliśmy się, bo jedna z kóz urodziła dwa koźlęta, rozkoszne stworzenia. Dzieweczka nalegała nawet, abym wiozł je na koniu, gdy wyruszyliśmy dalej. No cóż, dotarliśmy do zamku, który król Wargun oblegał, i tam dziewczeczka mnie opuściła. Najdziwniejsze jednak jest to, że choć nie lubię Styryków, nie mogłem powstrzymać się od płaczu przy pożegnaniu. Nim odeszła, pocałowała mnie i nadal czuję na policzku jej pocałunek. Od tamtej pory sporo o tym myślałem i doszedłem do wniosku, że Styrycy może nie są tacy źli.

— Dziękuję — szepnęła Sephrenia.

— No tak, wasza świątobliwość — ciągnął dalej Eck — podszedłem do żołnierzy i powiedziałem, że mam wiadomość dla króla od hierarchów. Zostałem zaprowadzony przed oblicze jego wysokości Warguna i oddałem dokument. Król zebrał swą armię i ruszył tu forsownym marszem. To wszystko, szlachetni pano-

wie.

Kurik uśmiechał się nieznacznie.

— Tak, tak — powiedział do Sephrenii — wygląda na to, że Flecik nadal się tu kręci... i to w jak najbardziej cielesnej postaci, prawda?

— Chyba masz słuszość — zgodziła się czarodziejka.

— O jakim dokumencie on wspomniał? — zapytał Emban patriarchę Ortzela.

— Pozwoliłem sobie zabrać głos w imieniu hierarchów — przyznał się Ortzel.

— Każdemu z moich posłańców dałem kopię dla króla Warguna. Pomyślałem sobie, że w tej sytuacji jest to jak najbardziej na miejscu.

— Ja nie mam nic przeciwko temu, bracie, jednakże Makowie mogłoby się to nie spodobać.

— Jeżeli nie zapomnę, przeproszę go któregoś dnia. Nie byłem pewien, czy któryś z innych posłańców dotrze na miejsce, więc pokrótce opisałem wydarzenia w Chyrellos.

Kilka chwil trwało, nim do podpitego Warguna dotarł sens tych słów.

— I mówisz, że poderwałem swą armię na rozkaz jednego patriarchy, który na dodatek jest moim poddanym?! — wrzasnął. — Nie, Wargunie. — Potężny Bergsten powstał z miejsca. — W pełni popieram działania patriarchy Kadachu, więc poderwałeś swą armię na mój rozkaz. Chcesz podyskutować ze mną na ten temat?

— Ach tak... to zupełnie co innego — powiedział Wargun ze skrucą. Patriarcha Bergsten nie należał do ludzi, z którymi się dyskutuje. Król Thalesii pośpiesznie ciągnął dalej: — Przeczytałem kilka razy ten dokument i uznałem, że warto zahaczyć o Cimmurę. Wysłałem Dregosa i Oblera z głównymi siłami przodem, a sam powiodłem armię Elenii, aby mogła bronić swej stolicy. Wyobraźcie sobie, że po dotarciu na miejsce stwierdziliśmy, iż miasta bronią prości obywatele i gdy zażądałem, by mi otwarto bramy, odmówili. Usłuchali dopiero na rozkaz tego grubasa. Prawdę mówiąc, nie stwierdziłem, by Cimmura miała być w wielkim niebezpieczeństwie. Ci kupcy i tragarze poczynali sobie na murach z dużą znajomością rzeczy. Udałem się do pałacu na spotkanie z hrabią Lendą i tą piękną młodą damą w koronie. Wtedy to ujrzałem tego hultaja. — Wskazał na Stragena. — Pociachał swoim rapierem czwartego z moich kuzynów w Emsacie, więc naznaczyłem cenę na jego głowę — bardziej ze względów rodzinnych niż ze szczególnej sympatii dla tego kuzyna, jako że sam jego widok przyprawiał mnie o mdłości. Miał zwyczaj wsadzać nos w sprawy natury publicznej, przez co go nie lubiłem zbyt. No cóż, więcej już nie będzie mi przeszkadzał. Stragen nadział go na rapier jak na rożen. Chciałem powiesić łotra, ale Ehlana mi to odradziła. — Pociągnął tęgi łyk piwa. — Jeśli mam być szczery... — beknął — straszyla, że wypowie mi wojnę. Tak, to wspaniała młoda dama. — Nagle uśmiechnął się szeroko do Sparhawka. — Rozumiem, że gratulacje są jak najbardziej na miejscu, dostojny panie, ale nie wiem, czy rozsądnie zrobisz zdejmując zbroję, zanim

lepiej poznasz małżonkę.

— My znamy się bardzo dobrze, Wargunie — oświadczyła Ehlena stanowczo. — Sparhawk był mi piastunem, wychowywał mnie od dziecka, więc jeżeli czasami jestem trochę nieokrzesana, jemu możesz za to podziękować.

— Powinienem być się tego domyślić. — Wargun roześmiał się rubasznie i podjął swą opowieść. — Kiedy powiedziałem Ehlanie co dzieje się w Chyrellos, zaczęła nalegać, abym zabrał z sobą jej armię do pomocy w walce. Absolutnie się na to nie zgodziłem, a wtedy ona wytargała mnie za wąsy i powiedziała: „W porządku, Wargunie. W takim razie będę się z tobą ścigać aż do samego Chyrellos”. Nikomu nie pozwalałam na szarpanie moich wąsów, więc królowa nie królowa, chciałem jej z miejsca dać klapsa, ale wtedy wkroczyła do akcji ta olbrzymka. — Spojrzał trwożnie na białogłową, która, jak domyślał się Sparhawk, była ową Mirtai z Tamulu. — Nie mogłem uwierzyć, że potrafi poruszać się tak szybko. Nim zdążyłem mrugnąć, już przykładła mi nóż do gardła. Próbowałem tłumaczyć Ehlanie, że mam więcej niż trzeba ludzi na odbicie Chyrellos, ale ona coś wspomniała o przedsięwzięciu, które musi chronić. Nigdy do końca nie pojąłem, o co jej chodziło. Tak więc razem wymaszerowaliśmy z Cimmury i dołączyliśmy do Dregosa i Oblera, a potem przybyliśmy do Świętego Miasta. A teraz czy ktoś może mi wytłumaczyć, co tu naprawdę się działo?

— Zwykła polityka kościelna — powiedział patriarcha Emban oschle. — Wiesz, jak tu się kocha intrygi. Walczyliśmy o opóźnienie obrad hierarchii, manipulowaliśmy głosami, uprowadzaliśmy patriarchów i tym podobne sprawy. Ledwie byliśmy w stanie trzymać prymasa Cimmury z dala od tronu, a wtedy pojawił się Martel i zaczął oblegać Święte Miasto. Wycofaliśmy się za wewnętrzne mury i zajęliśmy pozycje obronne. Ostatniej nocy, przed twym przyjazdem, sytuacja zaczynała już być naprawdę trudna.

— Czy ujęto Anniasa? — zapytał król Obler.

— Obawiam się, że nie, wasza wysokość — odparł Dolmant. — Martelowi udało się tuż przed świtem wykraść go z miasta.

— To dopiero nieszczęście! — zmartwił się Obler. — A zatem może wrócić i mieć spore szanse na tron arcyprałata.

— Jego widok niezmiernie by nas uradował, wasza wysokość — powiedział Dolmant z ponurym uśmiechem. — Z pewnością słyszałeś, miłościwy panie, o powiązaniach Anniasa z Martelem i naszych podejrzaniach co do związku między nimi a Othą. Szczęśliwie udało się nam skłonić dowódcę przybocznej straży arcyprałata do podsłuchania rozmowy Anniasa z Martelem. Pułkownik Delada jest całkowicie neutralny i wszyscy o tym wiedzą. Gdy tylko zapozna hierarchów z tym, co słyszał, Annias zostanie co najmniej wyklęty z Kościoła. — Umilkł, a po chwili podjął wątek: — Zemosi, zgodnie z umową pomiędzy Othą i Anniasem, są zgromadzeni we wschodniej Lamorkandii. Gdy tylko Otha się dowie, że Chyrellos nie zostało zdobyte, ruszy na zachód. Proponowałbym, abyśmy podjęli

w związku z tym odpowiednie kroki.

— Czy możemy się domyślić, dokąd ucieka Annias? — zapytała Ehlana z błyskiem w oku.

— Najjaśniejsza pani, Annias i Martel wraz z księżniczką Arissą i twym kuzynem Lycheasem uciekli do cesarza Othy — rzekł Sparhawk.

— Dlaczego ich nie zatrzymacie?! — wykrzyknęła królowa Elenii.

— Możemy spróbować, wasza wysokość — rycerz wzruszył ramionami — jednakże nie robiłbym sobie wielkich nadziei.

— Chcę go mieć, Sparhawk, muszę go mieć — powtarzała Ehlana z zawziętością.

— Bardzo mi przykro, wasza wysokość — wtrącił patriarcha Dolmant — ale Annias jest winny przestępstwa przeciwko Kościołowi. My dostaniemy go pierwszy.

— Po to, aby do końca swych dni mógł modlić się zamknięty w jakimś klasztorze? — zapytała ze wzgardą. — Ja mam inne plany co do jego osoby, wasza świętobliwość. Wierz mi, jeżeli dostanę go w swoje ręce, nie oddam go Kościołowi, dopóki sama z nim nie skończę. Potem będziecie sobie mogli wziąć to, co z niego zostanie.

— Dość tego Ehlano — rzekł ostro Dolmant. — Jesteś o krok od jawnego nieposłuszeństwa wobec Kościoła. Nie posuwaj się za daleko. Jednak, aby być w zgodzie z prawdą, nie klasztor czeka Anniasa. Przestępstwo, którego się dopuścił przeciwko Kościołowi, jest karane spaleniem na stosie.

Królowa Elenii i patriarcha Demos mierzyli się wzrokiem, a Sparhawk śmiał się w duchu.

Potem Ehlana spuściła oczy zawstydzona.

— Wybacz mi, wasza świętobliwość. Byłam zbyt porywcza. Jak powiedziałeś, spalenie...?

— Co najmniej, Ehlano.

— Oczywiście, podporządkuję się woli naszego Świętego Ojca, Kościoła. Wolałabym umrzeć, niż być nieposłuszną.

— Kościół docenia twe posłuszeństwo, córko — stwierdził Dolmant łagodnie.

Ehlana złożyła pobożnie dłonie i obdarzyła go pełnym fałszywej skruchy uśmiechem.

Dolmant mimo woli wybuchnął śmiechem.

— Niegrzeczna z ciebie dziewczynka, Ehlano — strofował ją.

— Tak, wasza świętobliwość — przyznała. — Zdaje mi się, że jestem niegrzeczna.

— To bardzo niebezpieczna białogłowa, przyjaciele. — Wargun zwrócił się do innych monarchów. — Dbajmy, aby nie wchodzić jej w drogę. No dobrze, a co dalej?

Emban zapadł się głębiej w swój fotel i począł w zamyśleniu kręcić młynka pulchnymi palcami.

— W zasadzie postanowiliśmy, że trzeba definitywnie rozwiązać kwestię arcyprałatury, wasza wysokość. Do tego wniosku doszliśmy, nim wkroczyłeś do miasta, najjaśniejszy panie. Przygotowanie twych wojsk do wymarszu w kierunku centralnej Lamorkandii zajmie ci trochę czasu, prawda?

— Przynajmniej tydzień — odparł chmurnie Wargun — a możliwe, że i dwa. Część z moich jednostek, w większości maruderzy i tabory z ekwipunkiem, jest jeszcze w połowie drogi z Arcium. Podczas przekraczania mostów robią się prawdziwe zatory i trochę potrwa, nim ponownie ustawię oddziały w należnym szyku.

— Wasza wysokość, możemy ci dać co najwyżej dziesięć dni — rzekł Dolmant. — Niezbędnych przegrupowań dokonaj podczas marszu.

— Tego nie robi się w ten sposób, wasza świątobliwość!

— Trudno, tym razem tak postąpisz, miłościwy panie. Żołnierze w marszu więcej czasu spędzają na siedzeniu i czekaniu na maruderów niż na maszerowaniu. Wykorzystajmy ten czas.

— I jeszcze jedno, wasza wysokość — dodał patriarcha Ortzel. — Trzymaj swoich wojaków z dala od Chyrellos. Większość mieszkańców uciekła, więc miasto jest wyludnione. Jeżeli twoich ludzi zbyt pochłonie przeszukiwanie opuszczonych domów, to trudno będzie zebrać ich, gdy przyjdzie pora wymarszu.

— Dolmancie — powiedział Emban — ty obecnie przewodzisz hierarchii. Myślę, że powinniśmy jutro skoro świt wznowić obrady. Nie pozwólmy dzisiaj naszym braciom na wycieczki do Miasta Zewnętrznego. Oczywiście, mam na uwadze ich bezpieczeństwo, jako że pewna liczba najemników Martela nadal może ukrywać się w ruinach. Głównie jednak chodzi mi o to, by nie mieli okazji zbyt dokładnie zapoznać się ze zniszczeniami przed rozpoczęciem posiedzenia. Naraziliśmy się sporej grupie patriarchów i nawet po zdyskredytowaniu Anniasa będą od razu tworzyły się koalicje, mogące zakłócić przewidywany przebieg głosowania. Wydaje mi się, że powinniśmy przed rozpoczęciem obrad odprawić nabożeństwo w głównej nawie bazyliki. Będzie to uroczysta i połączona z dziękczynieniem ceremonia. Ortzelu, czy zechcesz ją poprowadzić? Będziesz naszym kandydatem, więc dajmy wszystkim okazję, by oswoili się z twoim widokiem. I jeszcze jedno, Ortzelu, spróbuj uśmiechać się od czasu do czasu. Daję ci słowo, twoja twarz na tym nie ucierpi.

— Czyżbym był aż tak surowy, bracie? — zdziwił się patriarcha Kodachu z ledwie dostrzegalnym uśmiechem.

— Doskonale — ocenił Emban. — Poćwicz przed lustrem ten właśnie uśmiech. Pamiętaj, że masz być łagodnym i kochającym ojcem — a przynajmniej za takiego mają cię uważać. Co poczniesz po wstąpieniu na tron, to już sprawa pomiędzy tobą a Bogiem. A zatem dobrze. Nabożeństwo przypomni naszym braciom, że w pierwszym rządzie jesteśmy duchownymi, a dopiero potem

właścicielami nieruchomości. Z nawy głównej przejdziemy prosto do sali audiencyjnej. Porozmawiam z dyrygentem chóru, aby bazylika rozbrzmiewała echem wzniosłych pieśni, które wprawią naszych braci w odpowiedni nastrój. Dolmant każe nam zająć miejsca i rozpoczniemy od sprawozdań, żeby wszyscy mogli poznać szczegóły ostatnich wydarzeń. Mam na myśli zwłaszcza tych patriarchów, którzy całe obłężenie przeczekali ukryci w lochach. Powołanie świadków będzie w tej sytuacji jak najbardziej na miejscu. Sam dokonam ich wyboru, by byli odpowiednio elokwentni. Zależy nam na wielu krwawych opisach gwałtów, podpaień i grabieży, żeby postępowanie gości, którzy ostatnio bawili w naszym mieście, spotkało się z należnym potępieniem. Ukoronowaniem parady naszych świadków będą zeznania pułkownika Delady na temat rozmowy Anniasa z Martelem. Pozwólmymy zgromadzonym to nieco przetrwać. Namówię kilku z naszych braci i przygotują mowy pełne znieważających oskarżeń i donosów na prymasa Cimury. Wtedy Dolmant powoła komitet do zbadania tej sprawy. Nie chcemy całej hierarchii odciągać od głównego przedmiotu obrad. — Mały, gruby patriarcha zastanowił się chwilę. — W tym momencie zarządźmy przerwę na obiad. Zostawmy im trochę czasu na przemyślenia. Potem, gdy wznowimy debatę, Bergsten wygłosi mowę o potrzebie jak najszybszego działania. Nie ujawniaj żadnych palących problemów, ale przypomnij wszystkim, że mamy kryzys wiary. Potem nalegaj, abyśmy natychmiast przystąpili do głosowania. Bądź w zbroi i nie zostaw w kwaterze topora. Nadajmy temu głosowaniu charakter wyborów czasu wojny. Potem będą tradycyjne przemowy władców Eosii. Miłoścywi królowie, zadbajcie, by były podniecające, pełne odniesień do okrutnej wojny, Othy i niecznych planów Azasha. Pragniemy wystraszyć naszych braci na tyle, żeby głosowali zgodnie ze swym sumieniem, zamiast politykować po korytarzach i próbować dobijać z sobą targów. Dolmancie, ty patrz na mnie. Wyczuję każdego, kto by przejawiał nadmierną ochotę do politycznych matactw, i wskażę ci go. Jako przewodniczący obrad możesz udzielać głosu, komu zechcesz. Nie pozwól nikomu na spowolnienie tempa. Jak najszybciej wysuń kandydata. Przystąpmy do głosowania, nim nasi bracia zaczną myśleć o własnych utrapieniach. Nadaj głosowaniu odpowiedni rozkład. Niech przed zachodem słońca Ortsel zasiądzie na tronie. A ty, Orzelu, nie odzywaj się podczas obrad. Pewne z twoich poglądów są kontrowersyjne. Lepiej ich publicznie nie ujawniać, a przynajmniej nie jutro.

— Czuję się jak dziecko — skrzywił się król Dregos. — Myślałem, że cokolwiek znam się na polityce, ale nigdy nie przypuszczałem, iż można tę sztukę uprawiać aż tak bez skrupułów.

— Jesteś w wielkim mieście, wasza wysokość — uśmiechnął się do niego Emban, patriarcha Ucery. — Tak się tu bawimy.

Król Pelosii, Soros, człowiek niebywale pobożny i pełen niemal dziecięcej czci wobec Kościoła, kilkakrotnie podczas prezentowanego przez Embana z zimną krwią planu omal nie zemdlął. W końcu zerwał się z miejsca, mrużąc coś

o potrzebie modlitwy.

— Pilnuj jutro Sorosa, wasza świątobliwość — poradził Embanowi król Wargun. — To religijny histeryk. Podczas swego przemówienia może po prostu wyjawić wasze zamiary. Soros spędza cały czas na rozmowach z Bogiem, a czasami nie przysparza to ludziom rozumu. Może by tak nie dopuścić Sorosa do głosu?

— To sprzecznie z prawem — rzekł Emban.

— Porozmawiamy z nim, Wargunie — łagodził sędziwy król Obler. — Może uda nam się go przekonać, by ze względu na zły stan zdrowia nie uczestniczył w jutrzejszych obradach.

— Na pewno źle się poczuje — mruknął Wargun. — Już moja w tym głowa.

— Bracia, każdy z nas ma wiele spraw do załatwienia, więc, jak to mówią, bierzmy się do roboty — zakończył naradę Emban. Sparhawk stanął przed Ehlaną.

— Podczas oblężenia ambasada Elenii została zniszczona, najjaśniejsza pani — odezwał się oficjalnym tonem. — Czy przyjmiesz gościnnie w siedzibie Zakonu Pandionu mimo panujących tam spartańskich warunków?

— Jesteś na mnie zły, prawda, Sparhawk? — zapytała królowa.

— Omówimy to na osobności, najjaśniejsza pani.

— No cóż... chodźmy zatem do siedziby twego zakonu, abyś mógł mnie spokojnie zbesztać. A potem będziemy mogli od razu zabrać się za całowanie i godzenie. Już się cieszę na tę chwilę. Tylko nie spuszczaaj mi lania, Mirtai stoi na mojej straży. A jeżeli o tym mowa, czy spotkałeś już kiedyś Mirtai?

— Nie, najjaśniejsza pani. — Sparhawk spojrzał na milczącą Tamulkę, stojącą za fotelem Ehłany. Była ciemnoskóra, miała lśniące czarne włosy zaplecione w warkocze. U niewiasty normalnych rozmiarów jej rysy zostałyby uznane za piękne, a jej ciemne, lekko skośne oczy za zachwycające. Jednakże Mirtai nie była normalnych rozmiarów. O całą szerokość dłoni przewyższała Sparhawk. Miała na sobie białą atłasową koszulę i fałdzistą spódnicę do kolan, na nogach wysokie, czarne skórzane buty, a u pasa miecz. Była barczysta i rozłożysta w biodrach. Pomimo swych rozmiarów zdawała się proporcjonalnie zbudowana. Jednakże nie sprawiała miłego wrażenia, bo w jej spojrzeniu było coś złowieszczonego. Nie patrzyła na Sparhawk tak, jak to zwykle czyniły niewiasty, czym go trochę zaniepokoiła.

Rycerz ze sztywnym ceremoniałem zaofiarował swe okryte stalą ramię królowej i poprowadził ją główną nawą do marmurowych stopni. Gdy znaleźli się na szerokim podeście u szczytu schodów, usłyszał z tyłu brzęczenie. Obejrzał się. To Mirtai pukała go palcem w zbroję. Wyciągnęła spod pachy złożony płaszcz, rozłożyła go jednym strzepnięciem i podała Ehłanie.

— Wcale nie jest zimno — zaprotestowała Ehłana.

Mirtai z kamienną twarzą jeszcze raz potrząsnęła rozkazująco płaszczem.

Ehłana westchnęła i pozwoliła narzucić sobie płaszcz na ramiona. Sparhawk patrzył prosto w brązową twarz olbrzymki, więc nie mógł mieć wątpliwości, że

Mirtai, nie zmieniając wyrazu twarzy, mrugnęła do niego porozumiewawczo. To sprawiło, iż poczuł się o wiele lepiej. Uznał, że ma w Mirtai sprzymierzeńca.

Jako że Vanion był zajęty, Sparhawk odprowadził Ehlanę, Sephrenię, Stragena, Platima i Mirtai do komnaty Nashana. Cały ranek poświęcił na przygotowywanie i precyzowanie ostrych uwag, które graniczyły niemal ze zdradą stanu.

Jednakże Ehлана od dziecka studiowała politykę i wiedziała, że znajdując się na niepewnej pozycji trzeba działać szybko, a nawet gwałtownie.

— Nie jesteś uszczęśliwiony naszym widokiem — zaczęła, nim Sparhawk zdążył zamknąć drzwi. — Uważasz moją obecność tu za zbyt dużą i obarczysz za to winą moich przyjaciół uważając, że narazili mnie na niebezpieczeństwo. Czy o to mniej więcej ci chodzi, Sparhawk?

— W przybliżeniu — odparł lodowatym tonem.

— A zatem uprośmy sprawę. Platim, Stragen i Mirtai protestowali, ale jestem królową i odrzuciłam ich protesty. Przyznasz chyba, że mam takie prawo?

— W tonie głosu Ehłany pobrzmiwała nutka wyzwania.

— Naprawdę to uczyniła, Sparhawk — rzekł Platim pojednawczo. — Krzyżeliśmy na nią obaj ze Stragenem, a ona zagroziła, że wtrąci nas do lochów. Straszyla nawet, że cofnie mi amnestię.

— Jej wysokość jest bardzo skutecznym tyranem — dodał Stragen. — Nigdy nie ufaj, gdy się do ciebie uśmiecha. Wtedy jest najgroźniejsza, a gdy przyjdzie czas, posłuży się swym autorytetem niczym pałką. Posunęliśmy się nawet do tego, że próbowaliśmy zamknąć ją w jej komnatach, ale kazała Mirtai po prostu wykopać drzwi.

— Czy to były grube drzwi? — zapytał Sparhawk ze zdumieniem.

— Bardzo grube. Mirtai kopnęła dwa razy i rozpadły się na pół.

Sparhawk spojrział zaskoczony na ciemnoskórą olbrzymkę.

— To nie było trudne — odezwała się. Mówiła ze śpiewnym egzotycznym akcentem. — Drzwi we wnętrzu domów wysychają i jeżeli właściwie je kopnąć, łatwo pękają. Ehłana będzie mogła wykorzystać kawałki na podpałkę, gdy nadejdzie zima.

— Mirtai jest w stosunku do mnie bardzo opiekuńcza — powiedziała Ehłana. — Czuję się zupełnie bezpieczna w jej obecności. Uczy mnie też mówić w języku Tamulu.

— Mowa Elenów jest szorstka i paskudna — stwierdziła Mirtai.

— Ja też to zauważyłam — przytaknęła Sephrenia z uśmiechem.

— Uczę Ehlanę języka Tamulu, bym nie musiała się wstydzić, że mój właściciel gdać do mnie niczym kurczak.

— Nie jest już twoim właścicielem — oburzyła się Ehłana. — Zwróciłam ci wolność od razu, jak cię kupiłam.

— Właścicielem?! — wykrzyknęła pełna oburzenia czarodziejka.

— Takie są zwyczaje wśród ludu, z którego pochodzi Mirtai — wyjaśnił Stragen. — To lud Atanów, rasa wojowników. Powszechnie uważa się, że potrzebują przewodnictwa. Tamulowie sądzą, że Atani nie dojrżeli do wolności. To pociąga za sobą zbyt wiele ofiar.

— Ehlana nie ma dość rozumu, by to zrozumieć — rzekła Mirtai chłodno.

— Co takiego?! — krzyknęła królowa.

— Ehlano, kilkudziesięciu z twoich ludzi mnie obraziło, odkąd zostałam moim właścicielem — tłumaczyła olbrzymka. — Gdybym miała wolność, wszyscy byliby już martwi. Lenda nawet pozwolił sobie raz na to, by dotknął mnie jego cień. Wiem, jak bardzo go lubisz, więc poniechałam zabicia tego starca. — Westchnęła filozoficznie. — Wolność jest bardzo niebezpieczna dla ludzi mej rasy. Wolę nie dźwigać jej na swych barkach.

— Porozmawiamy o tym kiedy indziej, Mirtai — stwierdziła Ehlana. — Teraz musimy uspokoić Obrońcę Korony. — Spojrzała Sparhawkowi prosto w twarz. — Nie masz powodu złościć się na Platima, Stragena czy Mirtai, mój luby. Uczynili wszystko co w ich mocy, aby zatrzymać mnie w Cimmurze. Możesz mieć pretensje wyłącznie do mnie. A zatem wyprośmy wszystkich, abyśmy mogli na osobności pokrzyczeć na siebie.

— Ja też wyjdę. — Sephrenia wstała z fotela. — Jestem pewna, że będzie wam się lepiej rozmawiało, gdy zostaniecie sami. — Wraz z dwoma złodziejami i ciemnoskórą olbrzymką podążyła do wyjścia. W drzwiach przystanęła jeszcze. — Tylko pamiętajcie, dzieci — dodała — możecie krzyczeć do woli, ale się nie bijcie i nie chcę, aby któreś z was stąd wyszło, zanim dojdziecie do porozumienia. — Wyszła i zamknęła drzwi za sobą.

— Więc? — Ehlana spojrzała na Sparhawkę pytająco.

— Jesteś uparta jak osioł.

— Po prostu mam silną wolę. To podobno wrodzona cecha władców.

— Co cię napadło, żeby przybywać do oblężonego miasta?

— Zapomniałeś o czymś. Tak naprawdę nie jestem białogłową.

Rycerz zmierzył ją wzrokiem, a Ehlana oblała się pąsem pod jego spojrzeniem.

— Tak? — zapytał z przekąsem, ale wiedział już, że przegra to starcie.

— Przestań! Jestem królową. Czasami muszę robić rzeczy, których nie wypadałoby robić zwykłej białogłowie. Już sam fakt, że jestem niewiastą, stawia mnie w niekorzystnym położeniu. Gdybym chowała się na tyłach w obawie o własną skórę, żaden z innych królów nie traktowałby mnie poważnie, a co za tym idzie, nie traktowałby poważnie Elenii. Musiałam tu przybyć, Sparhawk. Chyba to rozumiesz, prawda?

Rycerz westchnął.

— Nie podoba mi się to, lecz nie potrafię z tobą dyskutować.

— A poza tym — dodała cicho — tęskniłam za tobą.

— Wygrałaś! — roześmiał się i rozłożył bezradnie ręce.

— Wspaniale! — krzyknęła, klaszcząc z ukontentowania. — Uwielbiam zwyciężać. To może zabierzemy się teraz za godzenie się i całowanie?

Przez pewien czas istotnie tym się zajmowali.

— Tęskniłam za tobą, luby mój piastunie o surowym obliczu. — Westchnęła i uderzyła piąstkami w jego pancerz. — Za tym jednak nie tęskniłam — dodała. Zerknęła na niego z ukosa. — Dlaczego miałeś taki dziwny wyraz twarzy, gdy ten Ick...

— Eck — poprawił ją Sparhawk.

— ...gdy mówił o tej dziewczeczce, która go przeprowadziła przez Arcinm do króla Warguna?

— Ponieważ tą dziewczeczką była Aphrael.

— Bogini? To ona ukazuje się zwykłym ludziom? Jesteś tego całkowicie pewien?

— Całkowicie. Sprawiała, że był niewidzialny dla innych, a podróż, która normalnie zajęłaby mu dziesięć dni, skróciła do trzech. Z nami w kilku wypadkach postąpiła tak samo.

— Zdumiewające. — Ehlana w zamyśleniu bębniła palcami po jego zbroi.

— Proszę, nie rób tego. To sprawia, że czuję się jak dzwon z nogami.

— Przepraszam. Sparhawk, czy na pewno chcemy, by patriarcha Ortzel zasiadł na tronie arcyprałata? On jest taki surowy i zasadniczy!

— To prawda, Ortzel jest sztywny i pod jego panowaniem zakony rycerskie mogą mieć kłopoty. Na przykład gwałtownie sprzeciwia się używaniu magii.

— Ależ bez magii Rycerze Kościoła nie będą już tak potężni!

— Są również inne źródła naszej potęgi. Przyznaję, że Ortzel nie byłby moim kandydatem. On jednak trzyma się ściśle nauk Kościoła. Gdy Ortzel będzie u władzy, nikt taki jak Annias nie będzie miał szans na zdobycie wysokiej pozycji. Jest sztywny, ale ściśle trzyma się litery nauk Kościoła.

— Nie moglibyśmy znaleźć kogoś innego... kogoś, kogo lubimy trochę bardziej?

— Nie wybieramy kogoś na arcyprałata, ponieważ go lubimy — strofował ją.

— Hierarchowie starają się wybrać człowieka, który byłby najlepszy dla Kościoła.

— No cóż, masz rację. Wszyscy o tym wiedzą. — Nagle odwróciła się gwałtownie. — Znowu jest!

— O czym mówisz?

— Ty nie będziesz w stanie tego zobaczyć, kochany. Nikt tego nie widzi z wyjątkiem mnie. Początkowo myślałam, że wszyscy dookoła oślepli. To coś w rodzaju cienia. Nie mogę tego zobaczyć dokładnie, ale czai się z tyłu za mną i mogę dostrzec to jedynie kątem oka. Sprawia zawsze, że czuję zimny dreszcz.

Sparhawk z uczuciem nagłego chłodu odwrócił się powoli, chcąc, żeby wyglądało to zwyczajnie. Cień krył się na skraju pola widzenia, przybierając groźne

i ciemne kształty, a jego wrogość była jeszcze bardziej wyraźna. Dlaczego jednak prześladował królową Elenii? Ona nawet nie dotknęła Bhelliomu.

— Po pewnym czasie to powinno ustąpić — uspokajał Ehlana. — Nie zapomnij, że Annias podał ci bardzo rzadką i silną truciznę. To pewnie jej uboczne działanie.

— Tak też myślałam.

Wtem zrozumiał. Oczywiście, to pierścień. Sparhawk złązał się w duchu. Dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej? Cokolwiek kryło się za tym cieniem, z pewnością nie spuszczało oka z obu pierścieni.

— Chyba się pogodziliśmy — powiedziała Ehlana.

— Tak.

— A zatem czemu mnie nie pocałujesz?

Miał właśnie zamiar to uczynić, gdy wszedł Kalten.

— Czy ciebie nigdy nie uczono pukać? — zapytał Sparhawk z wyrzutem.

— Wybacz! — Kalten wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Myślałem, że zastanę tu Vaniona. Poszukam go gdzie indziej. A przy okazji, mam coś na osłodę dla ciebie — jeżeli w ogóle ci jeszcze potrzeba czegoś na osłodę. Wraz z Tynianem i z żołnierzami Warguna wyłapywaliśmy dezertersów po domach. W piwnicy sklepu z winem znaleźliśmy naszego starego przyjaciela.

— Tak?

— Z jakiejś przyczyny Martel zostawił Kragera w Chyrellos. Gdy tylko Kragger wytrzeźwieje, a wy dwoje dokończycie rozmowę, to utniemy sobie z nim miłą pogawędkę. — Przerwał na chwilę. — Czy mam zamknąć drzwi na klucz? — zapytał. — A może stanąć na warcie?

— Wynoś się! — rozkazał Sparhawk.

Rozdział 17

Wczesnym wieczorem Kalten i Tynian na wpół wciągnęli Kragera do komnaty Nashana. Biedak nie wyglądał najlepiej — rozczochrany, nie ogolony, z przekrwionymi oczyma. Ręce silnie mu drżały i był wyraźnie nieszczęśliwy, choć nie z powodu pojmania. Obaj rycerze usadzili go na prostym krześle pośrodku komnaty. Sługus Martela ukrył twarz w trzęsących się dłoniach.

— Nie wyciągniemy wiele z niego, dopóki będzie w tym stanie — mruknął król Wargun. — Wiem, bo znam dobrze to uczucie. Dajcie mu trochę wina. Będzie bardziej do rzeczy, gdy przestaną mu się trząść ręce.

Kalten spojrział na Nashana i pulchny pandionita wskazał na rzeźbioną szafę w rogu.

— Przechowuję to jedynie dla celów medycznych, mistrzu Vanionie — wyjaśnił pośpiesznie.

— Oczywiście, rozumiem — skinął głową Vanion.

Kalten otworzył szafę i wyjął kryształową karafkę z czerwonym winem arcjańskim. Napełnił duży kielich i podał Kragerowi. Nieszczęśnik rozlał połowę, ale resztę udało mu się wypić. Kalten znowu napełnił mu kielich. A potem jeszcze raz. Krager powoli się uspokajał. Spojrział wokół trochę przytomniej.

— Widzę, że wpadłem w ręce nieprzyjaciół — odezwał się zachrypniętym latami pijaństwa głosem. — No cóż — wzruszył ramionami — zdaje się, że takie już moje wojenne szczęście.

— Znalazłeś się w sytuacji nie do pozazdroszczenia — powiedział złowieszczo mistrz Abriel.

Ulath wyciągnął osełkę i począł ostrzyć swój topór. Towarzyszyły temu nie miłe dla ucha zgrzyty.

— Proszę — jęknął Krager — nie czuję się dobrze. Oszczędź mi tych melodramatycznych pogroźek. Ocalałem i w pełni zdaję sobie sprawę ze swego położenia. Będę z wami współpracował w zamian za darowanie życia.

— Czyż nie jest to trochę odrażające? — zakpił Bevier.

— Oczywiście, szlachetny rycerzu, ale chyba zauważyłeś, że ja sam należę do odrażającego rodzaju osób. Prawdę mówiąc, chciałem zostać schwytyany. Plan

Martela był bardzo dobry, ale gdy zaczął się kruszyć, uznałem, że nie mam ochoty dzielić z dowódcą jego słabnącego szczęścia. Nie marnujemy czasu, szlachetni panowie. Jestem zbyt cenny, abyście mnie zabili. Wiem zbyt wiele. Powiem wam wszystko w zamian za swoje życie, wolność i dziesięć tysięcy złotych koron.

— A co z twoją lojalnością? — zapytał surowo patriarcha Ortzel.

— Lojalnością, wasza świątobliwość? — Krager roześmiał się szyderczo. — Wobec Martela? Niech wasza świątobliwość da spokój. Pracowałem dla Martela, ponieważ mi dobrze płacił. On też nie miał co do tego złudzeń. Teraz wy jesteście w stanie zaoferować mi coś daleko bardziej cennego. Dobijemy targu?

— Trochę czasu spędzisz na męczarniach, a obniżysz nieco stawkę — rzekł Wargun.

— Nie jestem krzepki, królu Wargunie — zauważył Krager — i nigdy nie byłem okazem zdrowia. Czy naprawdę chcesz zaryzykować, że wyzionę ducha dzięki twym torturom?

— Niech tam! — machnął ręką Dolmant. — Idźmy z nim na ugodę.

— Wasza wdzięczność jest mądrym i łaskawym człowiekiem. — Krager nagle zachichotał. — Proszę wybaczyć to przejęzyczenie, wasza świątobliwość.

— Jednakże po jednym warunkiem — ciągnął dalej Dolmant. — W obecnej sytuacji nie możemy puścić cię wolno, dopóki nie pojmiemy twojego poprzedniego pana. Sam przyznajesz, że nie można na tobie polegać. A poza tym, będziemy musieli sprawdzić to, co nam powiesz.

— To całkowicie zrozumiałe, wasza świątobliwość — przyznał Krager. — Ale nie w lochach. Mam słabe płuca i powinienem unikać wilgotnych miejsc.

— A zatem może klasztor? — zaproponował Dolmant.

— To mi zupełnie odpowiada, jeżeli Sparhawkowi nie wolno będzie się do niego zbliżać na mniej niż dwie ligi. On czasami traci panowanie nad sobą, a od lat ma ochotę mnie zabić, prawda, dostojny panie?

— O tak — przyznał Sparhawk z wolna. — Wiesz, co ci powiem, Krager? Postaram się trzymać ręce z dala od ciebie, dopóki Martel nie zginie.

— Dziękuję, ale daj mi też tydzień przewagi, nim zaczniesz mnie gonić. Dobiliśmy targu, szlachetni panowie?

— Tynianie — powiedział mistrz Dalleron — wyprowadź go na korytarz na czas naszej dyskusji.

Krager trzęsąc się wstał.

— Chodźmy zatem — zwrócił się do Tyniana. — Ty też, Kaltlenie, i nie zapomnij zabrać z sobą wina.

— A więc co postanowimy? — zapytał król Wargun, gdy pilnie strzeżony więzień opuścił komnatę.

— Sam Krager jest nieistotny, wasza wysokość — rzekł Vanion — ale ma zupełną słuszność co do wagi informacji, które może nam przekazać. Radziłbym przyjąć jego warunki.

— Jednakże wzdragam się przed sprezentowaniem mu tego złota — mruknął Wargun bez humoru.

— W przypadku Kragera to nie będzie zwykły prezent — odezwała się cicho Sephrenia. — Jeżeli dacie Kragerowi tak wiele pieniędzy, w pół roku zapije się na śmierć.

— Nie bardzo mi to wygląda na karę.

— Czy kiedykolwiek widziałeś człowieka umierającego z przepicia, Wargunie?

— No... nie.

— Odwiedź kiedyś jakiś przytułek i przyjrzyj się takiemu biedakowi. To mogłoby być dla ciebie bardzo pouczające.

— A zatem się zgadzamy? — Dolmant potoczył wzrokiem dookoła. — Zapłacimy temu nędznemu szczurowi i zamkniemy go w klasztorze, dopóki się nie upewnimy, że już niczego znaczącego nie doniesie Martelowi.

— Zgoda — poddał się Wargun niechętnie. — Przyprawdźcie go z powrotem i zaczynajmy.

Sparhawk otworzył drzwi. Na korytarzu zobaczył budzącego strach człowieka z ogoloną głową, który mówił coś pośpiesznie do Tyniana.

— Kring? — zapytał z pewnym zdziwieniem, rozpoznając przywódcę dzikich jeźdźców ze wschodnich marchii Pelosii. — Czy to ty, domi?

— Miło cię znowu widzieć, dostojny panie — powiedział Kring. — Przyniosłem właśnie przyjacielowi Tynianowi pewne wiadomości. Czy wiesz, że Zemosi gromadzą się we wschodniej Lamorkandii?

— Tak, słyszeliśmy o tym. Planowaliśmy podjąć odpowiednie kroki.

— To dobrze. Byłem cały czas z armią króla Thalezyjczyków i dopiero tu złapał mnie jeden z moich ludzi powracających z domu. Kiedy już podejmiecie te kroki, o których wspomniałeś, to nie tylko Lamorkandię bierzcie pod uwagę. Zemosi włączą się również po wschodniej Pelosii. Moi współplemieńcy zebrali całe sterty uszu. Pomyślałem sobie, że Rycerze Kościoła powinni o tym wiedzieć.

— Jesteśmy twymi dłużnikami, domi — rzekł Sparhawk. — Pokaż przyjacielowi Tynianowi, gdzie obozujecie. W tej chwili jesteśmy trochę zajęci naradą z królami Eosii, ale chętnie cię odwiedzimy, gdy tylko uda nam się wyrwać.

— A zatem poczynię odpowiednie przygotowania, dostojny panie. Spożyjemy razem sól i porozmawiamy.

— Przyjdziemy niezawodnie, domi — obiecał Sparhawk.

Tynian oddalił się z Kringiem, a Sparhawk i Kalten zabrali Kragera z powrotem do komnaty Nashana.

— Przyjmujemy twoje warunki — powiedział zdecydowanym tonem Dolmant — zakładając, że zgodzisz się na zamknięcie w klasztorze, dopóki nie zdecydujemy inaczej.

— Oczywiście, wasza świętobliwość — przytaknął szybko Krager. — I tak potrzebuję trochę odpoczynku. Od roku musiałem ganiać tam i z powrotem po całym kontynencie. Co chcielibyście usłyszeć najpierw?

— Jak zaczął się związek Othy z prymasem Cimmury?

Krager rozparł się wygodnie na krześle, założył nogę na nogę i w zamyśleniu kołysał kielichem z winem.

— O ile wiem, wszystko zaczęło się wkrótce po tym, gdy zachorował stary patriarcha Cimmury i Annias przejął jego obowiązki w katedrze. Od tego momentu cele prymasa nabrały bardziej politycznego charakteru. Chciał swoją kochanicę ożenić z jej własnym bratem, aby dzięki temu rządzić królestwem Elenii. Jednakże kiedy zakosztował władzy, jaką Kościół może dać człowiekowi, jego apetyty wzrosły. Annias jest realistą i w pełni zdaje sobie sprawę, że nie jest powszechnie lubiany.

— To pewnie najłagodniejsze określenie w tym stuleciu — mruknął Komier.

— Słuszna uwaga, mistrzu — skinął głową Krager. — Nawet Martel nim gardzi, a ja nigdy w życiu nie zrozumiałem, jak Arrisa mogła iść z nim do łóżka. W każdym razie Annias wiedział, że sam nie zdobędzie tronu arcyprałata. Potrzebował pomocy. Kiedy Martel wywęszył, o czym Annias marzy, przebrał się i wśliznął do Cimmury, aby z nim pogadać. Nie jestem pewien jak, ale dawno temu Martel nawiązał kontakt z Othą. Nie chciał o tym mówić, lecz domyśliłem się, że miało to coś wspólnego z jego wykluczeniem z Zakonu Rycerzy Pandionu.

Sparhawk i Vanion wymienili spojrzenia.

— Tak było — powiedział Vanion. — Mów dalej.

— Początkowo Annias odrzucił jego propozycję, ale jeśli Martel chce, potrafi być bardzo przekonujący, i w końcu prymas przystał na rozpoczęcie rokowań. Znaleźli jakiegoś Styrika, którym brzydzili się nawet współplemieńcy, i przeprowadzali z nim długie rozmowy. Zgodził się na pełnienie roli wysłannika do Othy i we właściwym czasie dobito targu.

— A co było stawką? — zapytał król Arcium, Dregos.

— Zaraz do tego dojdę, wasza wysokość. Jeżeli będę skakał z tematu na temat, mogę zapomnieć szczegółów. — Krager przerwał i rozejrzał się dookoła. — Mam nadzieję, że zauważyliście, jaki jestem skory do współpracy. Cesarz Otha przysłał do Elenii kilku swych ludzi na pomoc Anniasowi. A największą pomocą było złoto. Otha ma go całe tony.

— Co?! — wykrzyknęła królowa Ehlana. — Myślałam, że Annias dlatego otruł mnie i mego ojca, że chciał zdobyć dostęp do skarbów Elenii i opłacić nimi swe zapędy do tronu arcyprałata.

— Nie chcę cię urazić, wasza wysokość — powiedział Krager — ale całe złoto Elenii nie byłoby w stanie zaspokoić potrzeb Anniasa. Jednakże dostęp do skarbcza mógł ukryć prawdziwe źródło jego funduszków. Defraudacja jest jedną rzeczą, ale przestawanie z Othą to całkiem inna sprawa. Ty, najjaśniejsza pani,

i twój ojciec zostaliście otruci jedynie po to, by ukryć fakt, iż Annias otrzymuje nieprawdopodobne sumy od Othy. Sprawy toczyły się mniej więcej zgodnie z planem. Otha dostarczył pieniądze i pewnego styryckiego maga, by pomógł Anniasowi osiągnąć jego pośredni cel. Wszystko się udawało, dopóki pan Sparhawk nie powrócił z Rendoru. Ty każdemu potrafisz popsuć szyki, dostojny panie.

— Dziękuję — mruknął Sparhawk.

— Z pewnością znacie większość dalszych szczegółów, szlachetni panowie. Ostatecznie wszyscy wylądowaliśmy tu, w Chyrellos i reszta, jak to mówią, jest już historią. A teraz wróćmy do pytania króla Dregosa. Warunki Othy były bardzo ciężkie. Za swą pomoc zażądał od Anniasa bardzo wysokiej ceny.

— Co takiego Annias musiał mu dać? — zapytał patriarcha Bergsten.

— Swą duszę, wasza świątobliwość. — Krager wzdrygnął się nagle. — Otha nalegał, aby Annias nawrócił się na wiarę w Azasha, nim dostarczy mu pieniędzy i wspomóżę magią. Martel był świadkiem tej ceremonii i opowiedział mi o tym. Do moich obowiązków należało rozmawianie z Martelem. Od czasu do czasu doskwierała mu samotność i musiał się komuś zwierzyć. Martel nie jest zbyt wrażliwy, ale nawet jemu było niedobrze na widok obrzędów towarzyszących nawróceniu Anniasa.

— Czy Martel również się nawrócił? — zapytał z naciskiem Sparhawk.

— Raczej w to wątpię. Martel nie ma żadnych przekonań religijnych. On wierzy w politykę, władzę i pieniądze, a nie w bogów.

— Który z nich podejmuje decyzje? — zapytała Sephrenia. — Kto jest przywódcą, a kto podkomendnym?

— Annias myśli, że to on wydaje rozkazy, ale szczerze mówiąc, raczej wątpię. Wszystkie jego kontakty z Othą odbywają się za pośrednictwem Martela, a Martel przeprowadza rozmowy z Othą, o których Annias nic nie wie. Nie mogę przysiąc, lecz myślę, że Martel i Otha zawarli osobne porozumienie. To by było bardzo do Martela podobne.

— Za tym wszystkim coś jeszcze się kryje, prawda? — Patriarcha Emban patrzył przenikliwie na Kragera. — Otha i Azash nie marnowaliby pieniędzy i energii jedynie po to, by zdobyć zbrukaną duszę prymasa Cimmury.

— Oczywiście, wasza świątobliwość. Mieli własne cele i dążyli do nich posługując się ułożonym przez Martela i Anniasa planem. Gdyby prymasowi Cimmury udało się przekupstwem zdobyć tron arcyprałata, osiągnęliby wszystko, czego chcieli, bez uciekania się do wywoływania wojny, która przecież zawsze niesie pewne ryzyko.

— A czego pragnęli? — zapytał król Obler.

— Annias ma obsesję zostania arcyprałatem. Martel chętnie mu na to pozwoli. W końcu to i tak nie będzie miało większego znaczenia, jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z jego planem. Martel chce władzy, bogactwa i uznania. Otha pragnie dominacji nad całym kontynentem Eosii, a Azash chce oczywiście zawładnąć Bhel-

liomem i duszami wszystkich ludzi na świecie. Annias ma żyć wiecznie — lub prawie wiecznie — i przez kilka następnych stuleci będzie używał swej władzy arcyprałata, stopniowo czyniąc z Elenów wyznawców Azasha.

— To potworne! — krzyknął Ortzel.

— Można tak to ocenić, wasza świątobliwość — przyznał Krager. — Martel dostanie cesarską koronę i trochę tylko mniejszą władzę niż Otha. Zapanuje w całej zachodniej Eosii. Wtedy będziecie mieli ich czterech: cesarzy Othę i Martela, najwyższego kapłana Kościoła, Anniasa, i boga Azasha. Potem skierują swą uwagę na Rendor i cesarstwo Tamul w Daresii.

— A jak chcą zdobyć dla Azasha Bhelliom? — zapytał Sparhawk.

— Podstępem, złotem lub, jeżeli to będzie konieczne, siłą. Posłuchaj mnie, dostojny panie Sparhawk. — Krager nagle stał się śmiertelnie poważny. — Martel chce, byś uwierzył, że pojedzie jakiś czas na północ, a potem skręci w kierunku wschodniej Lamorkandii, żeby dołączyć do Othy. I rzeczywiście udał się do Othy, ale cesarza nie ma w Lamorkandii. Jego generałowie wiedzą dużo więcej od niego o prowadzeniu wojen. Otha jest nadal w stolicy Zemochu. Tam właśnie zmierza Martel z Anniasem i chcą, byś pojechał za nimi. — Przerwał na chwilę. — Oczywiście kazano mi to powiedzieć — przyznał. — Martel pragnie, byś z Bhelliomem pojechał za nim do Zemochu. Z jakiegoś powodu oni wszyscy czują przed tobą lęk i chyba nie dlatego, że znalazłeś Bhelliom. Martel nie chce się spotkać z tobą twarzą w twarz i to jest do niego zupełnie niepodobne. Postanowili zwabić cię do Zemochu, żeby bóg Azash miał z tobą do czynienia. — Twarz Kragera wykrzywił nagły wyraz przerażenia. — Nie jedź, dostojny panie — prosił. — Na miłość boską, nie czyni tego! Świat będzie zgubiony, jeżeli Azash odbierze ci Bhelliom.

Mieszkańcy Chyrellos zaczęli nieśmiało powracać do ruin swych domów, gdy tylko armia króla Warguna wyłapała ostatnich najemników Martela. Wczesnym rankiem bazylikę wypełniły nieprzeliczone tłumy. Ludność Świętego Miasta nie była pewnie bardziej pobożna od innych Elenów, ale patriarcha Emban zwabił ich do bazyliki wielkodusznym gestem. Rozpuścił pogłoskę, że zaraz po odprawieniu mszy dziękczynnej zostaną otwarte dla pospólstwa składy kościelne. Ponieważ nigdzie indziej w Chyrellos nie było żywności, pogłoska ta spotkała się z gorącym odzewem mieszkańców. Emban swą hojność uzasadniał tym, że wielotysięczne zgromadzenie uprzytomni patriarchom powagę sytuacji i zachęci ich do skupienia na obowiązkach. A poza tym patriarcha Emban rzeczywiście czuł litość wobec prawdziwie głodnych. Jego własna tusza czyniła go szczególnie wrażliwym na tym punkcie.

Patriarcha Ortzel odprawiał ceremonię dziękczynienia. Sparhawk zauważył, że ten szczupły, surowy duchowny przemawiał do zebranych zupełnie innym tonem. Jego głos brzmiał niemal delikatnie, a czasami pobrzmiwała w nim praw-

dziwie miłosierna nuta.

— Sześć razy — szepnął Talen do Sparhawk, gdy patriarcha Kadachu zaintonował wraz z tłumem końcową modlitwę.

— Co?

— Uśmiechnął się sześć razy podczas kazania, choć nie wyglądał wtedy zbyt naturalnie. Co postanowiliście w związku z Kragerem? Ja nie doczekałem końca. Zasnąłem.

— Chcemy, żeby Krager powtórzył przed wszystkimi hierarchami to, co nam powiedział, zaraz po relacji pułkownika Delady z rozmowy Martela i Anniasa,

— Uwierzą mu?

— Myślę, że tak. Delada to świadek bez zarzutu. Krager jedynie potwierdzi jego zeznania i uzupełni szczegóły. Gdy już raz zmusi się patriarchów do zaakceptowania zeznań Delady, bez większych trudności powinni przełknąć informacje Kragera.

— Sprytne — pochwalił Talen. — Wiesz co, dostojny panie, prawie zarzuciłem już pomysł zostania cesarzem złodziei. Zamiast tego chyba wstąpię na służbę Kościoła.

— Panie, miej w opiece swych wiernych — jęknął Sparhawk.

— Z pewnością to uczyni, synu. — Talen uśmiechnął się dobrotliwie.

Kiedy uroczystość dobiegła końca, a chór zaintonował podniosłą pieśń, pazio- wie ruszyli pomiędzy rzędy patriarchów, aby zawiadomić ich, że bezpośrednio po nabożeństwie hierarchia wznawia swe obrady. W zakamarkach Miasta Zewnętrz- nego odnaleziono sześciu z brakujących dostojników Kościoła. Dwóch dalszych samodzielnie opuściło swe kryjówki na terenie bazyliki. Pozostali nadal byli nie- obecni. Patriarchowie w uroczystym pochodzie opuścili nawę główną i ruszyli ko- rytarzem w kierunku sali audiencyjnej. Emban, który wciąż prowadząc rozmowy i wydając polecenia został z tyłu, zbliżył się zasapany i spocony do Sparhawk.

— Niemal o czymś zapomniałem — rzucił w biegu. — Dolmant musi nakazać otwarcie kościelnych składów. W przeciwnym razie wybuchną zamieszki.

— Czy musiałbym utyc tak jak on, gdybym chciał zarządzać sprawami Ko- ścioła? — szepnął Talen. — Grubas nie może uciekać zbyt szybko, w razie gdyby sprawy przybrały zły obrót, a przecież Embanowi w końcu musi się powinąć noga.

Pułkownik Delada w purpurowym płaszczu stał nie opodal drzwi do sali au- diencyjnej. Jego napierśnik i hełm lśniły. Sparhawk wyszedł z szeregu Rycerzy Kościoła i zagadnął:

— Czeka cię ciężka próba. Nie zapomnisz języka w gębie?

— Nie, dostojny panie. Muszę jednak przyznać, że nie spodziewam się nicze- go miłego. Czy będą zadawać mi pytania?

— Mogą. Nie pozwól się popędzać. Spokojnie zdaj dokładną relację z tego, co usłyszałeś w lochach. Twoja reputacja będzie przemawiać za tobą, więc nikt nie będzie mógł wątpić w twe słowa.

— Mam tylko nadzieję, że moimi zeznaniami nie spowoduję skandalu — skrzywił się Delada.

— Tym się nie martw. Skandal wybuchnie, gdy wszyscy wysłuchają świadka, który wystąpi po tobie.

— Co on ma zamiar powiedzieć?

— Tego nie wolno mi wyjawiać, dopóki nie złożysz swego zeznania. Nie wolno mi w ogóle uczynić niczego, co mogłoby naruszyć twą neutralność w tej sprawie. Powodzenia.

Patriarchowie stali w grupkach w sali audiencyjnej i rozmawiali przyciszonymi głosami. Zabiegi Embana wokół odpowiedniej oprawy nabożeństwa dziękczynnego wprowadziły uroczysty nastrój i nikt nie śmiał go popsuć.

Sparhawk i Talen wspięli się na galerię. Zastali tam już swych przyjaciół. Bevier z wyrazem troski na twarzy pochylał się opiekuńczo nad Sephrenią.

— Nie przekonaliśmy jej — zwrócił się do Sparhawk. — Udało nam się tu przemyścić przebranych za duchownych Platima, Stragena, a nawet Tamulkę Mir-tai, ale Sephrenia zdecydowała się przyjść w styryckiej szacie. Tłumaczyłem, że nikt poza królami i przedstawicielami duchowieństwa nie ma prawa przysłuchiwać się obradom hierarchów, ale nie chciała mnie słuchać.

— Ja jestem przedstawicielem duchowieństwa, mój drogi Bevierze — rzekła Sephrenia z całkowitym spokojem. — Jestem kapłanką Aphrael, najwyższą kapłanką. Powiedzmy, że moja obecność tu będzie czymś w rodzaju gestu na rzecz ekumenizmu.

— Nie wspominałbym o tym przed końcem elekcji, pani — radził jej Stragen. — Dałabyś początek teologicznej dyspacie, która mogłaby ciągnąć się przez kilka stuleci, a nam teraz trochę zależy na czasie.

— Będzie mi brak naszego przyjaciela z przeciwległej galerii — powiedział Kaltén wskazując na miejsce, na którym zwykle zasiadał Annias. — Dużo bym dał za to, by móc śledzić zmiany wyrazu jego twarzy w miarę rozwoju wydarzeń.

Wszedł Dolmant i po krótkiej naradzie z Embanem, Ortzelem i Bergstenem zajął swe miejsce za pulpitem dla mówcy. Gwar w wielkiej sali naraz ucichł.

— Bracia i wy, drodzy przyjaciele — zaczął Dolmant — od czasu naszego ostatniego spotkania byliśmy świadkami doniosłych wydarzeń. Pozwoliłem sobie poprosić kilku świadków o złożenie zeznań, abyśmy przed rozpoczęciem obrad wszyscy mogli w pełni zapoznać się z sytuacją. Wpierw jednak muszę zabrać głos w sprawie obecnych warunków życia mieszkańców Chyrellos. Armie oblegające miasto ogołociły je z żywności i ludność znalazła się w dramatycznym położeniu. Chcę zatem prosić hierarchię o pozwolenie na otwarcie składów kościelnych, abyśmy tym samym mogli ulżyć nieco pospółstwu w cierpieniach. Jedną z naszych głównych powinności, jako przedstawicieli Kościoła, jest miłosierdzie. — Rozejrzał się po sali. — Czy ktoś jest przeciwny?

Odpowiedziała mu cisza.

— A zatem tak postanowiono. Bez dalszej zwłoki powitajmy teraz naszych najczcigodniejszych obserwatorów — panujących monarchów zachodniej Eosii.

Wszyscy powstali z szacunkiem.

Odezwały się miedziane fanfary, ogromne podwoje z brązu zostały powoli otwarte i do sali wkroczyli władcy kontynentu. Wyglądali imponująco w paradnych szatach. Sparhawk zaledwie rzucił okiem na Warguna i pozostałych królów, a potem utkwiał wzrok w obliczu swej narzeczonej. Królowa Ehlana promieniała. Rycerz zdawał sobie sprawę, że podczas jego dziesięcioletniego wygnania w Rendorze bardzo niewielu ludzi zwracało uwagę na królową, a i to jedynie przy okazji pełnienia przez nią funkcji na dworze. Dlatego też bardziej niż jest to powszechne wśród różnych członków królewskich rodzin, Ehlana lubowała się w ceremoniach. Wraz z pozostałymi monarchami szła dostojnym krokiem w kierunku tronów stojących półkołem po obu stronach podwyższenia i złotego tronu arcyprałata. Wspierała się lekko na ramieniu swego dalekiego kuzyna, sędziwego króla Deiry, Oblera. Przypadek zrządził — a może niezupełnie przypadek — że snop światła padający z okrągłego okna za podwyższeniem padał na tron Elenii i Ehlana zajęła swe miejsce otoczona złocistą aureolą słonecznych promieni. Wszystko to wydało się Sparhawkowi jak najbardziej właściwe.

Gdy monarchowie usiedli, pozostali również zajęli swe miejsca. Dolmant pozdrowił każdego z władców z osobna, mimochodem wspomniawszy też o nieobecności króla Lamorkandii, który nie mógł przyjechać do Chyrellos, gdyż u granic jego państwa stanęły hordy Othy. Następnie patriarcha Demos przeszedł gładko do szybkiego podsumowania ostatnich wydarzeń — jak się zdawało, ten fragment jego przemówienia przeznaczony był dla ludzi, którzy ostatnie kilka tygodni spędzili na Księżycu. Świadców powołani przez Embana przesadnie rozwozili się nad opisem zniszczeń Miasta Zewnętrzznego i okrucieństw, jakich dopuścili się najemnicy Martela. Oczywiście, wszystkim były znane te okropności, ale przypomnienie krwawych szczegółów sprawiło, że hierarchowie zapalili żądzą zemsty. Tak więc Emban osiągnął swój cel — pobudził ich wojowniczość. Najważniejszym jednak faktem ujawnionym przez świadków było imię tego, który dowodził atakującą armią. Imię Martela zajmowało eksponowane miejsce w zeznaniach i nim wezwano pułkownika Deladę, Dolmant zaprezentował pokrótce historię renegata z Zakonu Pandionu. Przedstawił go jako najemnika, lecz nie robił żadnych aluzji do jego powiązań z prymasem Cimmury. Następnie powołał na świadka dowódcę osobistej straży arcyprałata, zwracając uwagę na jego legendarną wręcz neutralność.

Pamięć Delady okazała się zdumiewająca. Zataił jednak źródło swej wiedzy o miejscu spotkania, przypisując to „doskonałemu działaniu wojskowego wywiadu Rycerzy Kościoła”. Opisał loch i dawno zapomniany akwedukt, który zapewniał dostęp do samej bazyliki. Następnie prawie słowo w słowo powtórzył rozmowę Martela z Anniasem. Szczególnego znaczenia jego raportowi przydawał fakt,

iż prezentował go całkowicie pozbawionym emocji głosem. Pomimo swych osobistych odczuć w tej sprawie Delada ściśle trzymał się zasady neutralności. Jego sprawozdanie było często przerywane przez okrzyki wzburzenia i nadzwyczajnego zdumienia hierarchów i zebranych widzów.

Kiedy skończył, powstał Makova, patriarcha Coombe. Był blady jak chusta i jękał się, zadając pytanie:

— Czy jest możliwe, aby głosy, które słyszałeś w tym ciemnym lochu, nie należały w istocie do wymienionych przez ciebie osób? Czy nie mógł to być jakiś podstęp mający na celu zdyskredytowanie prymasa Cimmury?

— Nie, wasza świętobliwość — odparł zdecydowanie Delada. — W żadnym wypadku. To jest niemożliwe. Jeden z ludzi był z całą pewnością prymasem Cimmury i zwracał się do drugiego używając imienia Martel.

Makova otarł pot z czoła i zaatakował z innej strony.

— A kto zaprowadził cię do tego lochu?

— Dostojny pan Sparhawk z Zakonu Rycerzy Pandionu, wasza świętobliwość.

— A zatem tu pies pogrzebany! — wykrzyknął triumfalnie Makova. — Dostojny pan Sparhawk od dawna żywi osobistą niechęć wobec prymasa Anniasa. To całkiem oczywiste, że wywarł wpływ na tego świadka.

— Zarzucasz mi kłamstwo? — Delada z płonąca twarzą poderwał się na nogi. Dłonią szukał rękojeści miecza.

Makova wzdrygnął się wytrzeszczając oczy.

— Dostojny pan Sparhawk nie wywierał na mnie żadnych nacisków — rzekł Delada przez zęby. — Nie chciałem ci nawet powiedzieć, kim byli obaj mężczyźni w lochu. Sam rozpoznałem Anniasa, a z jego ust usłyszałem imię Martela. Coś jeszcze ci powiem, wasza świętobliwość. Pan Sparhawk jest Obrońcą Korony i Rycerzem Królowej Elenii. Gdybym ja był na jego miejscu, głowa prymasa Cimmury zdołałaby już słup przed bazyliką.

— Jak śmiesz?! — wrzasnął Makova.

— Człowiek, którego tak chętnie osadziłbyś na tronie arcyprałata, otrułem królową Elenii i ucieka teraz do Zemochu, by błagać Othę o ochronę przed gniewem dostojnego pana Sparhawk. Lepiej znajdź sobie innego kandydata, na którego oddasz głos, wasza świętobliwość, ponieważ gdyby nawet hierarchia popełniła błąd wybierając prymasa Cimmury, Annias nigdy żywy nie zasiądzie na tronie, albowiem jeżeli dostojny pan Sparhawk go nie zabije, ja to uczynię! — Deladzie płonęły oczy. Już niemal obnażył miecz.

Makova cofnął się o krok.

— Panie pułkowniku, jeżeli sobie życzysz, możemy zarządzić przerwę, byś mógł się uspokoić — zasugerował łagodnie Dolmant.

— Ja jestem spokojny, wasza świętobliwość — odparł Delada, chowając z powrotem miecz do pochwy. — Nawet ani razu nie uchybiłem czci patriarchy Coombe. Nie jestem choćby w przybliżeniu tak rozeźlony, jak byłem kilka godzin

temu, słuchając wynurzeń dwóch zdrajców.

— Ale zapalczywy, co? — szepnął Tynian do Ulatha.

— Tacy już są rudowłosi — mruknął Ulath.

— Czy chciałbyś zadać pułkownikowi jeszcze jakieś pytanie, Makovo? — zapytał z niewinnym wyrazem twarzy Emban.

Patriarcha Coombe ruszył sztywno w kierunku swego miejsca, nie odpowiadając na pytanie.

— Mądra decyzja — skomentował to Emban na tyle głośno, aby go wszyscy słyszeli.

Wśród hierarchów rozległy się nerwowe śmiechy. Przeraził i wstrząsnął nimi nie tyle fakt, że za atakiem na miasto krył się Annias — ostatecznie wszyscy byli wysokiej rangi duchownymi i w pełni rozumieli, do czego może doprowadzić człowieka ambicja — ale powiązania Anniasa z cesarzem Othą. Choć prymas Cimmury stosował skrajne i całkowicie naganne metody, hierarchowie mogliby zrozumieć jego motyw i być może nawet w duchu podziwiać człowieka, który dla osiągnięcia swego celu posunął się aż tak daleko. Jednakże jego związek z Othą wykraczał daleko poza wszelkie granice. Wielu z patriarchów, którzy chcieli oddać głos na Anniasa, kręciło się teraz niespokojnie, gdyż zdali sobie sprawę z deprawacji tego człowieka.

W końcu Dolmant wezwał Kragera. Patriarcha Demos nie próbował w ogóle ukrywać, że następny świadek jest zwykłym łotrem.

Krager prezentował się znacznie korzystniej niż poprzedniego dnia. Został wprowadzony do sali skuty kajdanami. Okazał się wspaniałym świadkiem. Nie starał się szukać usprawiedliwienia dla siebie; był bezceremonialny, a nawet brutalnie szczery w obnażaniu swych licznych wad. Posunął się nawet do tego, że szczegółowo opowiedział o umowie ochraniającej jego głowę. Dzięki temu nie umknęło uwagi hierarchów, że miał bardzo ważne powody, aby być całkowicie szczerym. Twarze patriarchów pobladły. Wielu z nich modliło się głośno. Gdy Krager rzeczowym tonem opisywał w szczegółach potworny spisek, który był tak bliski powodzenia, na sali rozległy się pełne przerażenia okrzyki i wołania o pomstę do nieba. Jednakże zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami Krager nie wspominał ani słowem o Bhelliomie.

— Cel był już tak blisko — zakończył tonem pełnym żalu. — Gdyby tylko armie zachodnich królestw przybyły o jeden dzień później do Chyrellos, prymas Cimmury siedziałby na tym tronie. Jego pierwszym posunięciem byłoby rozwiązanie zakonów rycerskich, następnym polecenie, aby monarchowie powrócili do swych królestw i rozpuścili swe armie. Wtedy nie napotykając żadnego oporu wkroczyłyby Otha i jeszcze w tym pokoleniu wszyscy oddawalibyśmy hołd Azashowi. To był taki dobry plan. . . — Krager westchnął. — Annias uczyniłby mnie jednym z najbogatszych ludzi na świecie. — Znowu westchnął. — No cóż, trudno.

Patriarcha Emban, rozparty wygodnie na swoim miejscu, uważnie oceniał na-

stroje hierarchów. W pewnej chwili wstał.

— Czy są jakieś pytania do świadka? — zapytał, patrząc znacząco na Makowę.

Makova nie zechciał mu odpowiedzieć. Nie obdarzył go nawet spojrzeniem.

— Zdaje się, bracia — ciągnął dalej Emban — że to najodpowiedniejszy czas, aby zrobić przerwę na obiad. — Poklepał się po brzuchu. — Chyba nikogo nie dziwi moja propozycja, prawda?

Po sali przeszedł śmiech. Napięcie nieco zmaleło.

— Dzisiejszy ranek przyniósł nam wiele spraw do rozważenia, bracia — podjął grubasek poważnie — a niestety mamy mało czasu. W sytuacji gdy Otha obozuje we wschodniej Lamorkandii, nie możemy przedłużać naszej dysputy.

Dolmant zarządził godzinną przerwę.

Na życzenie Ehlany Sparhawk i Mirtai spożywali wraz z nią lekki obiad w małej komnacie na terenie bazyliki. Młoda królowa zdawała się nieobecna duchem i ledwie tknęła jedzenia. Miast tego pisała coś szybko na kawałku papieru.

— Jedz, Ehlano! — poleciła ostro Mirtai.

— Nie mogę nic przełknąć. Próbuję ułożyć swą mowę. Po południu mam przemówić do hierarchów.

— Nie musisz wcale wiele mówić — rzekł Sparhawk. — Po prostu powiedz, jak czujesz się zaszczycona, że pozwolono ci być świadkiem ich deliberacji, dodaj kilka niepochlebnych uwag pod adresem Anniasa i wezwij Boga, by pobłogosławił obradom.

— Po raz pierwszy będzie przemawiać do nich królowa, Sparhawk — powiedziała cierpko Ehlana.

— Przecież nieraz w dziejach królowe zasiadały na tronie.

— Tak, ale żadna z nich nie sprawowała władzy podczas elekcji. Sprawdziłam. To wystąpienie będzie pierwszym w historii i nie chcę się ośmieszyć.

— Nie chcesz chyba również zaślubnąć z głodu. — Mirtai z powrotem podsunęła królowej talerz. Sparhawk zauważył, że Tamulka była uparta.

Rozległo się dyskretne pukanie do drzwi i wszedł Talen. Skłonił się przed Ehlaną.

— Wpadłem, by zawiadomić, że król Soros nie będzie przemawiał — uśmiechnął się szelmowsko do Sparhawk — więc nie musisz się obawiać, że zostaniesz przedstawiony jako skończony łajdak, dostojny panie.

— Tak?

— Jego wysokość przeziębził się i boli go gardło. Może mówić jedynie szeptem.

Ehlana zmarszczyła brwi.

— Dziwne. Ostatnio wcale nie było zimno. Nie życzę władcy Pelosii źle, ale czyż nie jest to szczęśliwy zbieg okoliczności?

— Szczęście nie ma z tym nic wspólnego, wasza wysokość. — Talen uśmiechnął się szeroko. — Sephrenia mamrotała pół dnia i niemal zaplotła palce w warko-

czyki układając zakłęcie. Wybaczcie mi. Muszę przekazać wiadomość Dolmantowi i Embanowi. Potem doniosę królowi Wargunowi, że nie potrzebuje już uciszać Sorosa waleniem po głowie.

Po skończonym posiłku Sparhawk odprowadził królową i jej groźną służkę do sali obrad.

— Sparhawk, czy lubisz Dolmanta, patriarchę Demos? — zapytała Ehlana tuż przed wejściem.

— Bardzo. Przyjaźnię się z nim od dawna i to nie tylko dlatego, że był pandionitą.

Królowa uśmiechnęła się słodko.

— Ja również go lubię. — Powiedziała to w taki sposób, jakby właśnie podjęła jakąś decyzję.

Dolmant wznowił obrady hierarchii, a potem poprosił monarchów o zabranie głosu. Ich przemówienia były bardzo oficjalne, jakby układał je Sparhawk. Każdy z władców dziękował hierarchom za to, że może być obecny na ich posiedzeniu, czynił kilka uwag pod adresem Anniasa, Othy i Azasha, a na koniec prosił Boga o błogosławieństwo dla obrad.

Po ostatnim z królów znów zabrał głos Dolmant.

— Bracia i przyjaciele, jesteśmy dziś świadkami wyjątkowego wydarzenia. Po raz pierwszy w dziejach do hierarchii zwróci się królowa. — Uśmiechnął się lekko. — Za nic na świecie nie chciałbym urazić potężnych królów Eosii, ale muszę otwarcie powiedzieć, że władczyni Elenii, Ehlana, jest od nich o wiele bardziej przystojna, a myślę, że — ku naszemu zdumieniu — może się okazać równie mądra, jak jest piękna.

Ehlana oblała się czarującym rumieńcem. Przez resztę swego życia Sparhawk nie mógł dociec, jakim sposobem udawało jej się rumienić zawsze, gdy tego chciała. Kilka razy nawet próbowała mu to wytłumaczyć, ale nie potrafił tego zrozumieć.

Królowa Elenii podniosła się ze swego tronu i stała przez chwilę z opuszczoną głową, jakby nieco zmieszana komplementem Dolmanta.

— Dziękuję, wasza świątobliwość — powiedziała czystym, dźwięcznym głosem, unosząc głowę. Po rumieńcach nie było już śladu. Twarz Ehlany miała bardzo zdecydowany wyraz.

Sercem Sparhawk targnęło nagłe podejrzenie.

— Schwyćcie się czegoś mocnego — ostrzegł przyjaciół. — Znam to spojrzenie. Zdaje się, że królowa przygotowała dla nas kilka niespodzianek.

— Ja również chciałabym wyrazić swą wdzięczność hierarchom za to, iż mogę tu być obecna — zaczęła Ehlana — i łączę się w modlitwie z moimi braćmi, aby Bóg zechciał obdarzyć zebranych tu czcigodnych mężów Kościoła swą mądrością. Jednakże ponieważ jestem pierwszą niewiastą, która w podobnych okolicznościach przemawia do hierarchów, pozwolę sobie uczynić kilka uwag, licząc na

pobłażliwość zgromadzonych. Jestem pewna, że uczeni patriarchowie wybaczą mi, jeżeli me słowa wydadzą się zbyt płache. Jestem przecież tylko białogłową i do tego niezbyt sędziwą. A wszyscy przecież wiemy, jak niemądre czasami są młode panny, gdy czymś się podekscytują.

Przerwała na chwilę.

— Czy powiedziałam: podekscytowana? — podjęła swą przemowę, a jej głos dźwięczał niby srebrna fanfara. — Owszem, choć lepiej byłoby powiedzieć, że jestem zrozpaczona i zła. Ten potwór, bezlitosna bestia, ten... ten Annias zamordował mego ukochanego ojca. Zgasił najmądrzejszego i najszlachetniejszego monarchę Eosii!

— Ona ma taką opinię o Aldreasie? — szepnął z niedowierzaniem Kaltan.

— Ale tego było mu mało! — mówiła dalej królowa Ehlana. — Zapragnął również i mego życia! I ten potwór kiedyś złożył śluby zakonne! Nasz Kościół został skalany, zbrukany. Nie przybyłam tu, by błagać czy domagać się sprawiedliwości. Sama wymierzę sprawiedliwość mordercy mego ojca. Co prawda jestem jedynie słabą niewiastą, ale Obrońca Korony i Rycerz Królowej na mój rozkaz odnajdzie Anniasa, nawet gdyby ta bestia szukała schronienia na samym dnie piekieł. Annias stanie przede mną. Przysięgam wam, że przyszłe pokolenia będą drżeć na samo wspomnienie losu, który go spotkał. Nasz Święty Ojciec, Kościół nie musi martwić się sądem tego niegodziwca. Kościół jest miłosierny, ja — nie.

„Oto jak uległa jest królowa wobec rozkazów Kościoła” — pomyślał Sparhawk.

Ehlana milczała przez kilka chwil. Wyraz jej twarzy jednoznacznie upewniał zgromadzonych, że królowa nie rzuca słów na wiatr.

— Ale cóż z tą nagrodą? — zapytała, patrząc znacząco na przykryty całunem tron. — Kogo obdarzycie tym fotelem, dla którego Annias był gotów cały świat skapać we krwi? Komu powinien przypaść ten ozdobny mebel? Bo przecież, nie zrozumcie mnie źle, ale tym właśnie jest, ciężkim i z pewnością nie bardzo wygodnym meblem. Kogo obarczycie strasznym brzemieniem troski i odpowiedzialności, które wiąże się z tym tronem i które będzie musiał dźwigać w tym ciemnym okresie historii naszego Świętego Ojca, Kościoła? Oczywiście, ten człowiek musi być mądry, ale wszyscy patriarchowie Kościoła są mądrzy. Musi również być obdarzony odwagą, ale czyż wy wszyscy nie jesteście dzielni niczym lwy? Musi być przebiegły, a nie należy mylić przebiegłości z mądrością, bo to dwie bardzo różne sprawy. Musi być silny i zdecydowany, bo będzie musiał pokonać mistrza podstępny — nie Anniasa, choć jest on odrażająco występny; nie Othę, pogrążonego we wstrętnej rozwiązłości, lecz samego Azasha. Który z was dorówna siłą, przebiegłością i wolą temu gadowi?

— Do czego zmierza królowa? — zapytał oszołomiony Bevier szeptem.

— Przecież to oczywiste! — odszepnął uprzejmie Stragen. — Ona właśnie

dokonuje wyboru nowego arcyprałata.

— Mówisz od rzeczy! Hierarchowie wybierają arcyprałata!

— Szlachetny rycerzu, w tej chwili wybraliby nawet ciebie, gdyby wskazała cię swym różowym paluszkim. Popatrz na nich. Ma w garści całą hierarchię Kościoła...

— Czcigodni patriarchowie — mówiła Ehlana — są wśród was wojownicy, ludzie dzielni i twardzi jak stal, lecz czy zbrojny patriarcha potrafi stawić czoło bogu Azashowi? Są wśród was mężowie biegli w teologii, ludzie o tak wspaniałych umysłach, że potrafią pojąć zamiary samego Boga, ale czyż ten, który objawia nam świętą wolę Pana, jest przygotowany, by stawić czoło władcy zła? Są wśród was biegli w prawie kościelnym i kościelnej polityce. Są wśród was silni i są wśród was odważni. Mamy tu mężów szlachetnych i mężów litościwych. Gdybyśmy mogli powierzyć przywództwo całej hierarchii, byłibyśmy niezwyknięci i nie oparłyby nam się bramy piekieł! — Wtem Ehlana uniosła drżącą dłoń do czoła; zdawało się, że królowa Elenii zaraz zemdleje. — Wybaczcie mi, czcigodni mężowie — powiedziała słabym głosem. — Nadal odczuwam efekty działania trucizny, którą Annias chciał pozbawić mnie życia.

Sparhawk poderwał się na równe nogi.

— Ależ dostojny panie, usiądź — odezwał się Stragen. — Popsułyś całe przedstawienie, gdybyś podzwaniając zbroją zszedł teraz na dół. Wierz mi, królowej nic nie jest.

— Nasz Święty Ojciec, Kościół potrzebuje obrońcy i rycerza, czcigodni mężowie — mówiła dalej Ehlana blada i drżąca — człowieka będącego uosobieniem cnót was wszystkich. Myślę, że w głębi swych serc wiecie, kim jest ten mąż. Niech Bóg oświeci was swą mądrością, abyście mogli zwrócić się do tego, który teraz jest pośród was, spowity zasłoną prawdziwej skromności, i kieruje wami swą delikatną dłonią. Ten usuwający się w cień patriarcha pewnie nawet nie pomyślał o sobie jako o tym, przez kogo przemawia głos Pana. Poszukajcie go w swych sercach, czcigodni mężowie Kościoła, i obarczcie go tym brzemieniem, albowiem tylko on może być naszym obrońcą i rycerzem! — Ugięły się pod nią kolana, zachwiała się i poczęła słańać na nogach. Król Wargun, z pełnym trwogi obliczem i oczyma pełnymi łez, zerwał się z miejsca i schwycił królową, nim zdążyła upaść.

— Absolutnie wzruszające — powiedział z uznaniem Stragen. — Dostojny panie, nie masz żadnych szans, biedaku.

— Będziesz ty cicho, Stragenie?!

— O co miłościwej pani chodziło? — spytał Kalten z zakłopotaniem.

— Królowa właśnie mianowała arcyprałata — odpowiedział Stragen.

— Kogo? Nie wymieniła imienia.

— Czy to nie jest oczywiste? Bardzo starannie wyeliminowała wszystkich innych. Pozostała tylko jedna możliwość. Patriarchowie wiedzą, kim on jest, i wy-

biorą go, gdy choć jeden z nich ośmieli się zgłosić tę kandydaturę. Nic więcej nie powiem, bo nie chcę ci popsuć niespodzianki.

Król Wargun uniósł nieprzytomną Ehlanę w kierunku bocznego wyjścia.

— Idź do niej, Mirtai — poleciła Sephrenia. — Staraj się ją uspokoić. Nie pozwól Wargunowi tu wrócić. Mógłby się z czymś wygadać i wszystko zniszczyć.

Mirtai pośpieszyła na dół.

W sali audiencyjnej wrzało. Pełna pasji przemowa Ehliny rozpałała wszystkich. Patriarcha Emban siedział z szeroko otwartymi ze zdumienia oczyma. Wtem uśmiechnął się szeroko, a potem zakrył usta dłonią i począł chichotać.

— ... natchniona przez samego Boga — mówił w podnieceniu jeden z siedzących w pobliżu mnichów do drugiego. — Ale dlaczego Bóg przemówił do nas ustami niewiasty?

— Niezbadane są wyroki Pana — odparł drugi z mnichów z trwogą — i niepojęte.

Z pewnym trudem patriarcha Dolmant przywrócił porządek na sali.

— Bracia i przyjaciele — powiedział. — Musimy, oczywiście, wybaczyć królowej Elenii te emocje. Znam ją od dziecka i mogę was zapewnić, że jest opamiętaną, trzeźwo myślącą młodą damą. Bez wątpienia odczuwa jeszcze skutki działania trucizny, co sprawia, iż czasami postępuje irracjonalnie.

— A to dobre! — Stragen odwrócił się do Sephrenii. — Nawet on się nie domyśla.

— Cicho, Stragenie!

— Już milczę, pani.

Patriarcha Bergsten, straszny w swym ozdobionym rogami ogra hełmie i kolczudze, wstał i zastukał trzonkiem topora w marmurową posadzkę.

— Czy mogę zabrać głos? — Prawdę powiedziawszy, nie zabrzmiało to jak pytanie.

— Oczywiście, Bergstenie — rzekł Dolmant.

— Nie zebraliśmy się tu po to, aby dyskutować nad zasłabnięciem królowej Elenii — oznajmił zwalisty patriarcha Emsatu. — Jesteśmy tu po to, aby wybrać arcyprałata. Proponuję, byśmy przeszli do zasadniczego tematu obrad. Proponuję na to stanowisko Dolmanta, patriarchę Demos. Kto zgadza się z wysuniętą przeze mnie kandydaturą?

— Nie! — zawołał Dolmant w nagłej panice.

Na to wstał Ortzel, patriarcha Kadachu.

— Patriarcha Demos nie ma prawa głosu. Zgodnie ze zwyczajem i prawem mianowany nie może zabierać głosu, dopóki sprawa jego kandydatury nie zostanie rozstrzygnięta. Za waszą zgodą, bracia, chciałbym prosić szanownego patriarchę Ucery o objęcie przewodnictwa obrad. — Rozejrzał się dookoła. Nie widać było sprzeciwu.

Emban wciąż się śmiał. Poczłapał do pulpitu i dość nonszalanckim machnięciem ręki zwolnił Dolmanta.

— Czy patriarcha Kadachu zakończył już swe wystąpienie? — zapytał.

— Nie, nie skończyłem — Ortzel był poważny i spięty. Nie dając poznać po sobie, ile musiało go to kosztować, rzekł zdecydowanym tonem: — Popieram kandydaturę wysuniętą przez patriarchę Emsatu. Dolmant, patriarcha Demos, jest jedynym możliwym kandydatem na arcyprałata.

Wtedy wstał Makova. Był śmiertelnie blady i miał zaciśnięte szczęki.

— Bóg ukarze was za tę zniewagę! — Niemal splunął. — Nie będę brał udziału w tych haniebnym wyborach! — Obrócił się na pięcie i jak burza wypadł z sali.

— Przynajmniej jest uczciwy — zauważył Talen.

— Uczciwy?! — krzyknął Berit. — Makova?!!

— Oczywiście, czcigodny nauczycielu. — Chłopiec uśmiechnął się bezczelnie. — Makova raz kupiony pozostaje wierny swemu panu bez względu na to, jak potoczą się sprawy.

Hierarchowie jeden po drugim wstawali i wyrażali swe poparcie dla kandydatury Dolmanta. Wreszcie ostatni z nich, słabowity staruszek z Cammorii, któremu inni pomogli wstać, wymruczał imię „Dolmant” i usiadł.

— No cóż, Dolmancie — odezwał się Emban z udanym zaskoczeniem — zostaliśmy tylko my. Czy chciałbyś kogoś nominować, przyjacielu?

— Błagam was, bracia, nie czyńcie tego — prosił Dolmant szlochając.

— Patriarcha Demos nie ma prawa głosu — przerwał mu Ortzel. — Musi podać imię nominowanego albo milczeć.

— Przykro mi, Dolmancie — uśmiechnął się Emban. — Słyszysz, co powiedział. Przy okazji, ja również przyłączę się do pozostałych i popieram twoją kandydaturę. Pewien jesteś, że nie chciałbyś sam kogoś zgłosić? — Odczekał chwilę. — A zatem za nominacją patriarchy Demos jest stu dwudziestu sześciu patriarchów, jeden wstrzymał się od głosu i jeden był nieobecny. Czyż to nie zdumiewające? Bracia, czy zamierzamy głosować, czy też oszczędzimy sobie czasu i po prostu przez aklamację wybierzemy Dolmanta, patriarchę Demos, na arcyprałata? Czekam na waszą decyzję.

— Dolmant! — krzyknął ktoś tubalnie. — Dolmant!

Wkrótce okrzyk podchwycono.

— Dolmant! Dolmant! — huczała sala.

Emban uniósł dłoń prosząc o ciszę.

— Niezmiernie mi przykro, że właśnie ja muszę ci to oznajmić, Dolmancie — cedził powoli słowa — ale zdaje się, że nie jesteś już patriarchą. Przejdź do zakrystii, gdzie bracia pomogą ci przymierzyć nowe szaty.

Rozdział 18

W sali audiencyjnej nadal toczyły się ożywione rozmowy. Niekiedy prowadzono je nawet bardzo głośno. Hierarchowie z wyrazem uniesienia na twarzach zbijali się w grupki i Sparhawk, przepychając się przez tłum, słyszał powtarzane w koło pełnymi trwogi głosami: „natchniona przez Boga”. Duchowni są z zasady bardzo konserwatywni i nie dopuściliby do siebie myśli, że niewiasta pokierowała decyzją hierarchów. Uwaga na temat boskiego natchnienia była bardzo wygodnym wyjściem z sytuacji. Stało się oczywiste, że to nie Ehłana przemawiała, ale Bóg. W tej chwili jednak Sparhawk nie troszczył się o sprawy natury teologicznej. Niepokoił go stan zdrowia królowej. Wyjaśnienie Stragena budziło zaufanie, ale przecież chodziło tu o królową i narzeczoną Sparhawk. Rycerz chciał się osobiście upewnić, że nic jej nie jest.

W bocznej komnacie zastał Ehłanę nie tylko zdrową, ale wręcz kwitnącą. Wyglądała nawet nieco śmiesznie, gdy tak stała w progu pochylona. Najwyraźniej podsłuchiwała pod drzwiami.

— Słyszałaśbyś wszystko o wiele lepiej ze swego miejsca na sali, najjaśniejsza pani — rzekł Sparhawk.

— Och, bądź cicho, Sparhawk! Wejdz już i zamknij drzwi.

Król Thalesii, spoglądając dziko, opierał się plecami o ścianę. Przed nim stała Mirtai gotowa do ataku.

— Zabierz ode mnie tę babę-smoka, Sparhawk — błagał Wargun.

— Czy zdecydowałaś się, wasza wysokość, nie wspominać o aktorskich uzdolnieniach mojej królowej? — zapytał uprzejmie rycerz.

— Miałbym sam przyznać, że zrobiła ze mnie głupca? Nie bądź śmieszny! Nie miałem zamiaru uciekać stąd i chwalić się publicznie, jaki ze mnie osioł. Chciałem jedynie powiadomić, że królowa czuje się dobrze, ale nie udało mi się nawet dotrzeć do drzwi, gdy weszła ta olbrzymka. Napędziła mi strachu, panie Sparhawk! Mnie! Czy widzisz ten fotel?

Fotel miał rozdarte obicie, a z dużej dziury z tyłu sterczały wielkie kłęby końskiego włosia.

— To było tylko na pokaz — powiedziała łagodnie Mirtai. — Chciałam, by

Wargun zrozumiał, co może się wydarzyć, gdy podejmie złą decyzję. Teraz jesteśmy z Wargunem niemal przyjaciółmi. — Mirtai, jak Sparhawk zdążył zauważyć, nigdy nie używała tytułów.

— Nie wypada wyciągać noża na króla, Mirtai — zganiał ją Sparhawk.

— Nie wyciągnęła — odezwał się Wargun. — A tego dokonała kolanem. — Wzdrygnął się na samo wspomnienie.

Rycerz spojrział z zakłopotaniem na Tamulkę.

Mirtai odrzuciła mnisią szatę i skromnie uniosła nieco spódniczkę. Tak jak mówił Talen, do wewnętrznej strony ud miała przymocowane zakrzywione noże, których ostrza sięgały połowy łydek. Noże sprawiały wrażenie bardzo ostrych. Sparhawk zauważył również, że Mirtai miała ładne, krągłe kolana.

— Niewiasta musi być przewidująca — wyjaśniła. — Mężczyznom czasami przychodzi ochota na zabawę w najmniej odpowiednich momentach. Noże przekonują ich, aby szli bawić się z kimś innym.

— To nie jest chyba zgodne z prawem? — zapytał Wargun.

— Wasza wysokość, chciałbyś spróbować ją zaarrestować?

— Skończcie te pogawarki! — wykrzyknęła Ehlana. — Skrzeczycie jak stado srok. Posłuchajcie lepiej, co zrobimy. Za kilka chwil hierarchowie zaczną się uspokajać. Wtedy król Wargun wprowadzi mnie z powrotem do sali, Sparhawk i Mirtai pójdą za nami. Będę opierać się na ramieniu Warguna, słaba i drżąca. W końcu przecież dopiero co zemdlałam czy też byłam nawiedzona przez Boga — bo nie wiem, której pogłosce chcecie dać wiarę. Wszyscy mamy znaleźć się na swoich miejscach, nim arcyprałat zostanie doprowadzony do tronu.

— Jak zamierzasz wytłumaczyć się im z tej przemowy, Ehlano? — dopytywał się król Wargun.

— Nie zamierzam się tłumaczyć. Absolutnie nic z tego wszystkiego nie pamiętam. Uwierzą we wszystko, w co chcą wierzyć i nikt nie ośmieli się nazwać mnie kłamcą, ponieważ w przeciwnym razie zostaliby wyzwani przez Sparhawką lub Mirtai. — Uśmiechnęła się. — Czy sam głosowałbyś na człowieka, którego wybrałam, luby mój piastunie? — zwróciła się do Sparhawką.

— Tak.

— A zatem będziesz mógł mi odpowiednio podziękować, gdy znajdziemy się sami. No cóż, czas wracać na obrady.

Po wejściu do sali audiencyjnej wszyscy mieli odpowiednio poważne miny. Ehlana wyglądała na wyczerpaną. Wspierała się ciężko na królu Wargunie. Gdy oboje zajęli swe miejsca, zaległa pełna nabożnej trwogi cisza.

Patriarcha Emban podszedł do nich z zatroskanym wyrazem twarzy.

— Czy królowa dobrze się czuje? — zapytał.

— Nicco lepiej — odrzekł Sparhawk. W zasadzie nie było to kłamstwem. — Powiedziała nam, że nie pamięta, co mówiła do hierarchów. Biorąc pod uwagę jej

stan zdrowia, nie wywierajmy na nią w tym względzie nacisku, wasza świętobliwość.

Emban spojrział na władczynię Elenii przenikliwym wzrokiem.

— Rozumiem, panie Sparhawk. Wspomnę o tym hierarchom. — Uśmiechnął się do Ehlany. — Bardzo się cieszę widząc, że wasza wysokość czuje się lepiej.

— Dziękuję, wasza świętobliwość — odparła królowa drżącym głosem.

Emban wrócił do pulpitu dla mówcy, a Sparhawk i Mirtai zasiedli na galerii.

— Bracia — powiedział patriarcha Ucery — z pewnością, wszyscy z radością powitacie nowinę, że królowa Ehlana powraca do zdrowia. Prosiła, bym przeprosił was w jej imieniu za wszelkie niewłaściwe słowa, których mogła użyć podczas swej przemowy. Królowa po długiej chorobie nie czuje się jeszcze najlepiej, w dodatku podróż do Chyrellos wiązała się z dużym osobistym ryzykiem, pomimo to jednak postanowiła być obecna podczas naszych obrad.

Po sali przetoczył się pomruk aprobaty dla tak wielkiej pobożności.

— Myślę — ciągnął dalej Emban — że postąpimy słusznie zaniechując wypytywania jej wysokości co do treści jej mowy. Królowa nie pamięta swych słów. Być może powodem jest stan jej zdrowia, a być może co innego, ale mądrość i wzgląd na najjaśniejszą panią nakazują nam nie iść dalej tym tropem.

Tak rodzą się legendy.

Rozległy się fanfary i drzwi z lewej strony tronu zostały rozwarte. Nowy arcyprałat ubrany był w prostą białą sutannę. Twarz miał już spokojną. Sparhawk uderzyło dziwne podobieństwo białej sutanny Dolmanta do białej szaty Sephrenii. Ta myśl przywiodła go nieomal do rozważań trącających herezją.

Dwaj patriarchowie, jeden z Lamorkandii, drugi z Thalesii, podprowadzili Dolmanta do tronu, z którego zdjęto już całun, i arcyprałat zajął swe miejsce.

— Czy Sarathi zechce do nas przemówić? — zapytał Emban. Wyszedł zza pulpitu i przyklęknął.

— On chyba się pomylił? — szepnął Talen do Berita.

— Sarathi to bardzo stare imię — wyjaśnił cicho Berit. — Pierwszy arcyprałat, który zasiadł na tronie prawie trzy tysiące lat temu, po ostatecznym zjednoczeniu Kościoła, nazywał się Sarathi. Dla upamiętnienia jego imienia zwracamy się tak do każdego arcyprałata.

Dolmant pełen powagi siedział na swym złotym tronie.

— Nie starałem się o to wyróżnienie, bracia — rzekł — i byłbym szczęśliwy, gdybyście nie przymuszali mnie do jego przyjęcia. Wszyscy możemy jedynie mieć nadzieję, że naprawdę jest to wołą Boga. — Spojrzął po sali. — Mamy wiele do zrobienia. Wielu spośród was wezwę do pomocy i jak zwykle w takich okolicznościach dojdzie w bazylice do pewnych zmian. Błagam was, bracia, nie czujcie się dotknięci czy upokorzeni złożeniem z kościelnych urzędów, jako że zawsze do tego dochodziło, gdy na tron wstępował nowy arcyprałat. Moim pierwszym

aktem będzie zatem zatwierdzenie wprowadzania stanu kryzysu wiary, równocześnie oznajmiam, że potrwa on tak długo, dopóki nie przezwyciężymy zagrożeń. A teraz, bracia i przyjaciele, pomódlmy się. Potem każdy z nas będzie mógł się oddalić do pełnienia swych obowiązków.

— Grzecznie i krótko — pochwalił Ulath. — Sarathi dobrze rozpoczął panowanie.

— Czy królowa wygłaszając swoją mowę rzeczywiście była bliska hysterii? — zapytał z ciekawością Kalten.

— Oczywiście, że nie — prychnął Sparhawk. — Cały czas doskonale wiedziała, co robi.

— Tak podejrzewałem. Myślę, że twoje małżeństwo będzie pełne niespodzianek, Sparhawk, ale to dobrze. Dzięki temu mężczyzna nie gnuśnieje.

Gdy opuszczali bazylikę, Sparhawk został trochę z tyłu, chciał bowiem porozmawiać z Sephrenią. Odnalazł ją w bocznym korytarzu. Czarodziejka była porażona w rozmowie z człowiekiem w mnisej szacie. Jednakże gdy mnich się odwrócił, Sparhawk zobaczył, że nie był on Elenem, a siwobrodym Styrikiem. Starzec skłonił się rycerzowi.

— Opuszczę cię teraz, siostrze — zwrócił się po styricku do Sephrenii. Jego głęboki, dźwięczny głos przeczył starczemu wyglądowi.

— Nie, Zalasto, zostań. — Czarodziejka położyła starcowi dłoń na ramieniu.

— Nie chciałbym urazić Rycerzy Kościoła swą obecnością w ich świętym przybytku, siostrze.

— Sparhawk nie jest przeciętnym Rycerzem Kościoła i trudno go urazić, mój drogi przyjacielu — uśmiechnęła się Sephrenia.

— A więc to jest ów legendarny Sparhawk? Wielki to dla mnie zaszczyt, dostojny panie. — Starzec mówił językiem Elenów z wyraźnym obcym akcentem.

— Sparhawk — powiedziała Sephrenia — to jest mój najstarszy i najdroższy przyjaciel, Zalasta. Jako dzieci mieszkaliśmy w tej samej wiosce.

— Jestem zaszczycony, *sioanda* — rzekł Sparhawk po styricku, kłaniając się przed starcem. *Sioanda* w języku Styrików znaczyło „przyjaciel moich przyjaciół”.

— Wiek przyćmił moje oczy — pokiwał głową Zalasta. — Teraz, gdy uważnie przyjrzałem się jego obliczu, w istocie widzę, że to dostojny pan Sparhawk. Bije od niego blask przeznaczenia.

— Zalasta jest mędrcom i szczególnie głęboko poznał tajniki magii — odezwała się Sephrenia. — Ofiarował nam swą pomoc.

— Wielceś łaskaw, uczony mężu — podziękował Sparhawk z szacunkiem.

Starzec uśmiechnął się skromnie.

— Nie na wiele ci się zdam w twych poszukiwaniach, dostojny panie Sparhawk. Pewnie uwiądłbym niczym kwiat, gdybyś zakuł mnie w stal.

Sparhawk postukał się po napierśniku.

— To zwyczajowe odzienie Elenów, podobnie jak spiczaste kapelusze czy kaftany z brokatu. Możemy jedynie mieć nadzieję, że pewnego dnia stalowe szaty wyjdą z mody.

— Zawsze myślałem, że Eleni są pozbawieni poczucia humoru — zauważył Styrik — a ty, jak widzę, jesteś żartownisiem, dostojny panie Sparhawk. Nie miałbyś ze mnie pociechy podczas swej wyprawy, ale w przyszłości być może będę mógł cię wesprzeć w sprawie o doniosłym znaczeniu.

— Podczas jakiej wyprawy? — zdziwił się Sparhawk.

— Nie wiem, dokąd teraz zmierzasz wraz z mą siostrą, dostojny panie, ale widzę przed wami długą drogę. Przybyłem dodać otuchy waszym sercom i przestrzec, abyście zawsze byli ostrożni. Czasami lepiej zapobiec niebezpieczeństwu, niż je zwalczać. — Zalasta rozejrzał się dookoła. — I myślę, że z moją obecnością tutaj wiąże się niebezpieczeństwo, któremu można zapobiec. Ty, dostojny panie, jesteś światłym mężem, ale zdaje mi się, że niektórzy z twych towarzyszy mogą mieć bardziej ciasne umysły. — Skłonił się przed Sparhawkiem, ucałował dłonie Sephrenii i cicho odszedł w mrok bocznego korytarza.

— Nie widziałam go od ponad stu lat — westchnęła Sephrenia. — Trochę się zmienił.

— Każdy by się zmienił po tak długim czasie — stwierdził filozoficznie Sparhawk — oczywiście z wyjątkiem ciebie, mateczko.

— Miły z ciebie chłopiec, Sparhawk. Te lata wydają się tak odległe! Zalasta jako dziecko był zawsze bardzo poważny. Już wtedy jego mądrość zadziwiała wszystkich.

— O jakiej wyprawie wspominał?

— Czyżbyś chciał powiedzieć, że tego nie czujesz? Nie czujesz otwierającej się przed tobą dali?

— Nie, nie zauważam nic takiego.

— Eleni... — westchnęła znowu Sephrenia. — Czasami dziwię się, że w ogóle dostrzegacie zmiany pór roku.

Rycerz puścił tę uwagę mimo uszu.

— Dokąd pojedziemy?

— Nie wiem. Tego nawet Zalasta nie potrafi przewidzieć. Naszą przyszłość spowija mrok. Powinnam to wiedzieć, ale niestety, nie przemyślałam dokładnie swej drogi. Jednakże dokądś się udamy. Dlaczego nie jesteś przy Ehlanie?

— Wszyscy królowie tak się o nią troszczą, że dla mnie nie starcza miejsca. — Sparhawk przypomniał coś sobie. — Sephrenio, ona również widzi ten cień. Prawdopodobnie dlatego, że nosi jeden z pierścieni.

— To możliwe. Bhelliom jest bezsilny bez pierścieni.

— Czy grozi jej z tego powodu jakieś niebezpieczeństwo?

— Oczywiście, że tak, ale Ehlanie bezustannie grozi niebezpieczeństwo od dnia jej narodzin.

- Czy nie patrzysz na to zbyt czarno?
- Być może. Chciałabym zobaczyć ten cień, by móc go rozpoznać.
- No to pożyczę pierścień Ehlany i oba dam tobie — zaproponował rycerz.
- Wtedy wyjmiesz Bhelliom z sakiewki i niezawodnie zobaczysz cień.
- Nawet mi tego nie proponuj! — wzdrygnęła się czarodziejka. — Nie chciałabym nagle i na zawsze zniknąć.
- Sephrenio, czy ty czasem nie wystawiasz na próbę mojej wytrzymałości?
- zapytał Sparhawk z pretensją. — Ostrzegasz wszystkich przed dotykaniem Bhelliomu, ale bez zmruczenia powieki kazałaś mi za nim gonić i odebrać Ghwerigowi. Czy ja nie byłem narażony na żadne niebezpieczeństwo? Może chciałaś sprawdzić, czy nie rozpuknę się jak purchawka, gdy wezmę go w dłonie?
- Nie bądź niemądry. Każdy wie, że twoim przeznaczeniem było przejęcie władzy nad Bhelliomem.
- Ja nie wiedziałem.
- Dajmy temu spokój, mój drogi. I tak mamy już dość problemów. Przyjmij po prostu do wiadomości fakt, że ty i Bhelliom jesteście z sobą związani. Teraz powinniśmy zastanowić się nad cieniem. Co to jest i co robi?
- Wydaje się, że podąża za Bhelliomem i pierścieniami. Chyba możemy pominąć próby zamordowania mnie, podejmowane przez Perraina. Przecież był to jeden z pomysłów Martela. . .
- Nie wiem, czy możemy to założyć z całą pewnością. Martel rozkazywał Perrainowi, ale ktoś inny mógł kierować Martelem, nawet bez jego wiedzy.
- Widzę, że zanosisz się na kolejną dyskusję z rodzaju tych, po których boli mnie głowa.
- Po prostu zastosuj środki ostrożności, Sparhawk. Nie pozbywaj się pochopnie zbroi. Chodźmy, znajdziemy Ehlanę. Zmartwisz ją, jeżeli nie będziesz dość troskliwy.

Tego wieczoru wszyscy byli nieswoi. Spotkali się nie w siedzibie pandionitów, ale w przebogatej komnacie przyległej do prywatnych apartamentów arcyprałata, przeznaczonej na debaty Najwyższej Rady Kościoła. Dziś na osobiste polecenie arcyprałata zebrały się tu osoby świeckie. Ściany komnaty były wykładane drewnianymi taflami i ozdobione błękitnymi draperiami, na podłodze leżał dywan w tym samym kolorze. Sufit zdobił fresk o tematyce religijnej. Talen przyjrzał mu się i prychnął pogardliwie.

- Lewą ręką zrobiłbym to lepiej — oznajmił.
- To jest myśl! — powiedział Kurik. — Spytałem Dolmanta, czy nie chciałby ozdobić sufitu głównej nawy bazyliki.
- Ależ tamten sufit jest większy od pastwiska dla krów! — zaprotestował chłopiec. — Pokrycie go obrazami zajęłoby mi ze czterdzieści lat.

— Jesteś młody, masz czas. — Kurik wzruszył ramionami. — Stałe zajęcie trzymałoby cię z dala od kłopotów.

Sparhawk zmartwił się, bo spostrzegł nieobecność Tyniana.

Do komnaty wszedł arcyprałat. Wszyscy wstali ze swych miejsc i przyklękali.

— Proszę, oszczędźcie mi tego — powiedział Dolmant ze znużeniem. — Dość już mam tych oznak czci, odkąd przemądrzała królowa Elenii osadziła mnie na tronie, którego wcale nie pragnąłem.

— Co też mówisz, Sarathi! — wykrzyknęła Ehlana.

— Musimy podjąć decyzje, przyjaciele. — Arcyprałat zajął miejsce u szczytu wielkiego stołu. — Siadajcie, proszę, i bierzmy się do pracy.

— Na kiedy planujesz swą koronację, Sarathi? — zapytał patriarcha Emban.

— To może poczekać. Najpierw przepędźmy hordy Othy od naszych progów. Groźby cesarza Zemochu już mi się przejadły. Cóż więc uczynimy?

Król Wargun spojrział wokół.

— Według mnie mamy dwie możliwości — rzekł. — Możemy maszerować na wschód tak długo, aż trafimy na Zemochów i rozpoczniemy walkę. Możemy też wynieść się stąd, poszukać odpowiedniego terenu i tam na nich poczekać. Pierwsza możliwość pozwoli trzymać Othę z dala od Chyrellos, a druga da nam czas na wzniesienie odpowiednich umocnień. Obie możliwości mają zarówno dobre, jak i złe strony. — Ponownie popatrzył po zebranych. — Co o tym sądzicie? — zapytał.

— Myślę, że powinniśmy wiedzieć, z jakim rodzajem wojsk będziemy mieć do czynienia — odezwał się król Dregos.

— W Zemochu jest sporo ludzi — zauważył król Obler.

— Święta prawda. — Wargun zrobił kwaśną minę. — Mnożą się jak króliki.

— A zatem możemy się spodziewać, że będą mieć przewagę liczebną — kontynuował Obler. — O ile dobrze pamiętam zasady strategii, zmusi nas to do zajęcia pozycji obronnych. Powinniśmy więc znacznie osłabić siły Othy, nim przystąpimy do ataku.

— Jeszcze jedno oblężenie? — zaniepokoił się Komier. — Czuję odrazę do oblężeń.

— Nie zawsze dostajemy to, co chcemy, Komierze — rzekł Abriel. — Jednakże, królu Wargunie, widzę jeszcze jedną możliwość. W Lamorkandii jest wiele umocnień i zamków. Możemy wycofać się z Chyrellos i obsadzić tamtejsze twierdze. Zagrodzimy Zemochom drogę. Gdyby Otha chciał podejść pod Święte Miasto, nasze oddziały zdziesiątkują jego tyły i zniszczą tabory z zapasami.

— Mistrzu Abrielu, taka strategia rozproszy nas po całej niemal Lamorkandii — powiedział Wargun.

— Muszę przyznać, że mój plan nie jest bez wad, ale pamiętajmy, że podczas ostatniego najazdu Othy miało miejsce frontalne starcie nad jeziorem Randeru.

W efekcie doszło do wyludnienia kontynentu i całe stulecia minęły, nim Eosia ponownie odzyskała siły. Czy tego pragniemy, dążąc do otwartej walki?

— Wygraliśmy przecież, prawda? — zaperzył się Wargun.

— Czy naprawdę chcemy ponownie w ten sposób zwyciężyć?

— Jest jeszcze inna możliwość — rzekł Sparhawk.

— Rad ją usłyszę — powiedział mistrz Darellon. — Proponowane do tej pory rozwiązania mnie nie zadowalają.

— Sephrenio, jak wielką mocą jest obdarzony Bhelliom? — Sparhawk zwrócił się do czarodziejki.

— Bhelliom jest najpotężniejszą rzeczą na świecie, mój drogi.

— A to ci pomysł! — wybuchnął Wargun. — Pan Sparhawk za pomocą Bhelliomu zetrze na proch całą armię Othy! A przy okazji, panie Sparhawk, zwrócisz chyba Bhelliom w ręce królewskiego rodu Thalesii, gdy skończysz swe dzieło, prawda?

— Przedyskutujemy to, wasza wysokość, jednak nie miałbyś z niego dużego pożytku. Bhelliomu do niczego nie zmusisz, jeśli nie masz pierścieni, a ja nie zamierzam pozbywać się swego. Oczywiście nie wiem, co moja królowa myśli na temat swojego pierścienia.

— Pozostanie tam, gdzie jest — odparła Ehlana stanowczo.

Sparhawk dumiał nad wcześniejszą rozmową z Sephrenią. Narastała w nim coraz większa pewność, że konflikt nie zostanie rozwiązany w taki sposób, jak ponad pięćset lat temu, czyli w starciu ogromnych armii na polach Lamorkandii. Nie potrafił uzasadnić swego przekonania, jako że nie doszedł do niego metodą logicznego rozumowania, a raczej dzięki przeblyskowi intuicji, który w swej naturze był styricki, niepojęty dla Elenów. Jakimś sposobem rycerz wiedział, że popełniłby błąd ruszając z armią. Spowodowałoby to nie tylko opóźnienie jego marszu, ale wręcz ściągnęło niebezpieczeństwo. Jeżeli przypadek Perraina nie był wynikiem niezależnej akcji Martela, Sparhawk naraziłby siebie i swych przyjaciół na spotkanie z tysiącami wrogów uzbrojonych po zęby i niemożliwych do zidentyfikowania. Raz jeszcze musiał się uwolnić od towarzystwa armii. Jego pomysł wynikał bardziej z przekonania o konieczności takiego posunięcia niż z wiary, że będzie ono skuteczne.

— Mateczko, czy Bhelliom ma wystarczającą moc, aby zniszczyć Azasha? — zapytał. Oczywiście znał z odpowiedzi, lecz chciał, żeby czarodziejka potwierdziła to wobec innych.

— O czym ty mówisz, Sparhawk? — Sephrenia była wstrząśnięta. — O zniszczeniu boga?! Cały świat drży na samą myśl o tym!

— Nie zadałem tego pytania, by wszczynać teologiczną dysputę. Czy Bhelliom jest w stanie to uczynić?

— Nie wiem. Nikt nigdy o tym nawet nie pomyślał.

— Czy Azash jest wszechmocny?

— Jego jedyną słabością jest niewola. Młodszy Bogowie Styricum uwięzili go w posążku z gliny, znalezionym przed wiekami przez Othę. Jedynie szafirowa róża może go uwolnić. Dlatego Azash tak desperacko pożąda Bhelliomu.

— A gdyby posążek został zniszczony?

— Azash zostałby zniszczony wraz z nim.

— A co by się stało, gdybym udał się do miasta Zemoch i po stwierdzeniu, że nie mogę zniszczyć Azasha za pomocą Bhelliomu, roztrzaskałbym klejnot?

— Miasto oraz znajdujące się w pobliżu góry zostałyby starte z powierzchni ziemi — powiedziała Sephrenia ze smutkiem.

— A zatem nie przegram, prawda? Tak czy inaczej, Azash przestanie istnieć. No i jeżeli Krager mówił prawdę, w Zemochu jest również Otha wraz z Martelem, Anniasem i innymi. Mogłbym więc dostać ich wszystkich. Po zniknięciu Azasha i Othy zemoscy najeźdźcy pójdą w rozsypkę, czyż nie?

— Mówisz o rzuceniu na szalę własnego życia, Sparhawk — odezwał się mistrz Vanion.

— Lepiej poświęcić życie jednego niż życie milionów.

— Absolutnie zabraniam! — krzyknęła Ehlana.

— Wybacz, najjaśniejsza pani — rzekł Sparhawk — ale rozkazałaś mi rozprawić się z Anniasem i jego kamratami. Nie możesz cofnąć rozkazu, pani.

Rozległo się grzeczne pukanie do drzwi i do komnaty wszedł Tynian wraz z Kringiem.

— Przepraszam za spóźnienie — usprawiedliwił się deirański rycerz. — Byliśmy zajęci z domim przeglądaniem map. Nie wiadomo dlaczego Zemosi wysłali swe oddziały z głównego obozowiska na granicy Lamorkandii na północ. Roi się od nich w całej wschodniej Pelosii.

Kringowi rozbłyły oczy na widok króla Sorosa.

— A więc tu jesteś, królu mój, panie. Wszędzie cię szukałem. Chciałbym ci sprzedać wiele sakw pełnych zemoskich uszu.

Król Soros szepnął coś. Widocznie nadal miał chore gardło.

— Wszystko zaczyna do siebie pasować — ponownie zabrał głos Sparhawk. — Krager mówił nam, że Martel wywozi Anniasa do stolicy Zemochu, by szukać schronienia u cesarza Othy. Myślę, że ostateczne rozwiązanie problemu, który dręczył nas od pięciu wieków, znajduje się w mieście Zemoch, a nie na równinach Lamorkandii. Naszym wrogiem jest Azash, a nie Martel, Annias czy Otha i jego Zemosi. Mamy teraz w swych rękach klejnot, za pomocą którego możemy zniszczyć Azasha. Musimy wykorzystać tę przychylność losu. Gdybym potęgą szafirowej róży niszczył jeden po drugim zemoskie oddziały, mógłbym pozbawić mocy jej płatki, a my zestarzelibyśmy się na jakimś grząskim polu bitwy na północ od jeziora Cammoria. Czyż nie lepiej ruszyć wprost do samego Azasha? Załatwmy to ostatecznie, aby nie pojawiał się już więcej co pięćset lat.

— Ze strategicznego punktu widzenia to błędny plan — stwierdził mistrz Vanion z przekonaniem.

— A czy bardziej rozsądnie ze strategicznego punktu widzenia jest siedzieć w umocnieniach na polu walki? Po ostatniej bitwie między Zemochem a zachodnimi królestwami przeszło wiek musieliśmy odzyskiwać siły. Teraz mamy szansę skończyć z tym raz i na zawsze. Jeżeli plan okaże się nierealny, zniszczę Bhelliom. Wtedy Azash nie będzie miał żadnego powodu, by ponownie najeżdżać Zachód. Zamiast tego zajmie się dręczeniem Tamulów lub czymś innym.

— Nie uda ci się przedrzeć do Zemochu, dostojny panie Sparhawk — rzekł mistrz Abriel. — Słyszałeś, co powiedział ten Peloi. Zemosi są zarówno w wschodniej Pelosii, jak i we wschodniej Lamorkandii. Planujesz samotny rajd wśród dzikich hord?

— Myślę, że będą trzymać się ode mnie z dala, mistrzu. Martel zmierza na północ — tak przynajmniej mówił. Wszystko jedno, czy pojedzie na północ aż do Paleru, czy nie. To nie ma znaczenia, ponieważ pojedę za nim, dokądkolwiek się uda. Chce, bym za nim jechał. W lochach bazyliki powiedział to wyraźnie i bardzo się starał, abym to usłyszał, gdyż chce dostarczyć mnie Azashowi. Z pewnością nie będzie stawiał żadnych przeszkód na mej drodze. Wiem, że to brzmi osobliwie, ale tym razem możemy zaufać Martelowi. Jeżeli będzie naprawdę musiał, to sam chwyci za miecz i wywalczy mi przejazd. — Sparhawk uśmiechnął się ponuro. — Mój brat z budzącą wzruszenie troskliwością postara się, bym osiągnął cel. — Spojrzał na Sephrenię. — Powiedziałaś, że nikt nigdy nawet nie pomyślał o zniszczeniu boga? A czy wobec tego ktoś mógłby pomyśleć o zniszczeniu Bhelliomu?

— To niewyobrażalne.

— Czyli możemy przyjąć, że naszym wrogom nie zaświta myśl, iż mógłbym rozważać taką możliwość?

Czarodziejka nie odpowiedziała, tylko pokręciła głową patrząc na rycerza z trwogą.

— A zatem mamy jednak nad nimi przewagę, szlachetni panowie — oznajmił Sparhawk. — Nikt nie uwierzy, że zdobędę się na tak ostateczny czyn. Mogę zniszczyć Bhelliom lub tym grozić. Mam przeczucie, że ludzie i bogowie zaczną mi wówczas schodzić z drogi.

Mistrz Abriel nadal uparcie potrząsał głową.

— Będziesz musiał przebić się przez hordy Zemochów. Nawet Otha nie ma pełnej władzy nad tymi barbarzyńcami.

— Czy mogę zabrać głos, Sarathi? — zapytał Kring z głębokim szacunkiem.

— Oczywiście, mój synu — odparł nieco zaintrygowany Dolmant. Nie miał najmniejszego pojęcia, kim był ten człowiek o wyglądzie dzikusa.

— Mogę przeprowadzić cię przez Pelosię, a także pomóc w dotarciu w głąb Zemochu, dostojny panie Sparhawk — zaofiarował się Kring. — Jeżeli Zemo-

si są w rozproszeniu, moi jeźdźcy potrafią między nimi przejechać. Od Paleru po granicę z Zemochem pozostawimy za sobą szeroki na ligę pas zemoskich ciał, oczywiście wszystkie pozbawione prawych uszu. — Kring wyszczerzył zęby w wilczym uśmiechu. Zadowolony z siebie popatrzył po zebranych. Wtem dostrzegł Mirtai, która z kamienną twarzą siedziała obok Ehlany. Otworzył szeroko oczy, zbladł, potem się zaczerwienił i począł sapać pożądliwie.

— Zaniechaj tego, domi — ostrzegł go Sparhawk.

— Czego?

— Później ci wyjaśnię.

— Z niechęcią muszę przyznać — odezwał się Bevier — że ten plan jest coraz bardziej realny. Rzeczywiście nie powinniśmy mieć żadnych kłopotów z dotarciem do stolicy Othy.

— My?! — zdziwił się Kalten.

— Przecież jedziemy z nim, prawda, panie Kaltenie?

— Mateczko, czy ten zamysł ma w ogóle jakieś szanse powodzenia? — zapytał Vanion.

— Nie, nie ma! — wpadła mu w słowo Ehlana. — Sparhawk nie może udać się do Zemochu i zabić Azasha mocą Bhelliomu, ponieważ nie ma obu pierścieni. Ja mam jeden z nich i żywa mu go nie oddam.

Tego Sparhawk nie brał pod uwagę.

— Najjaśniejsza pani... — zaczął, ale Ehlana przerwała mu bezceremonialnie.

— Nie zezwoliłam ci na zabranie głosu, dostojny panie Sparhawk! Nie będziesz realizował tego daremnego i lekkomyślnego planu! Nie będziesz marnował swego życia! Twoje życie należy do mnie! Do mnie!!! Nie masz naszego pozwolenia na zabranie go nam!

— Władczyni Elenii wyraziła swoje zdanie wystarczająco jasno — powiedział król Wargun — co sprowadza nas z powrotem do punktu wyjścia.

— Być może nie — odezwał się cicho Dolmant i wstał. — Królowo Ehlano — rzekł srogo — czy poddasz się woli naszego Świętego Ojca, Kościoła?

Najjaśniejsza pani patrzyła na niego nieufnie.

— Czy poddasz się?

— Jestem wierną córką Kościoła.

— Miło mi to słyszeć, moje dziecko. Zgodnie z jego wolą wypożyczysz nam tę błyskotkę na krótki czas, aby Kościół mógł ją wykorzystać przy realizacji swych zamierzeń.

— To nieuczciwe, Dolmancie!

— Chcesz przeciwstawić się woli Kościoła?

— Nie mogę! — krzyknęła Ehlana ze szlochem.

— A zatem daj mi pierścień. — Arcyprałat wyciągnął dłoń.

Królowa spojrzała na niego, ocierając łzy z oczu.

— Po jednym warunkiem, Sarathi — zastrzegła się.

— Czyżbyś chciała targować się z naszym Świętym Ojcem, Kościołem?

— Nie, Sarathi, ja tylko jestem posłuszna jego wcześniejszemu rozkazowi. Polecił nam zakładać rodziny, abyśmy powiększali grono wiernych. Oddam ci pierścień w dniu, w którym połączysz mnie węzłem małżeńskim z dostojnym panem Sparhawkiem. Zbyt wiele starań kosztowało mnie zdobycie tego rycerza, bym pozwoliła mu teraz uciec. Czy nasz Święty Ojciec, Kościół przystanie na to?

— To uczciwa propozycja — ocenił Dolmant, uśmiechając się dobrotliwie do Sparhawka, gapiącego się na nich oboje z uczuciem, że jest kawałkiem wołu, o który się właśnie targują.

Królowa Ehlana miała bardzo dobrą pamięć. Tak jak poinstruował ją Platim, splunęła w dłoń.

— A zatem dobiliśmy targu! — powiedziała. Dolmant wiele już widział i przeżył, więc rozpoznał ten gest. Również splunął w dłoń.

— Dobiliśmy! — rzekł i oboje uścisnęli sobie ręce, przypieczętowując tym samym los Sparhawka.

CZEŚĆ III
ZEMOCH

Rozdział 19

W komnacie było zimno. Po zachodzie słońca pustynia szybko traciła swe ciepło i nad ranem zawsze panował na niej chłód. Sparhawk stał w oknie patrząc, jak z nieba spływa aksamit nocy, a cienie w uliczkach kulą się po kątach i bramach, ustępując miejsca bladej szarości, która nie tyle była jasnością, co odstąpieniem ciemności.

Wtem pierwsza z niewiast wyłoniła się z mrocznego zaułka, niosąc na ramieniu gliniany dzban. Miała na sobie czarną szatę z kapturem, a czarna zasłona przesłaniała dolną część jej twarzy. W bladym świetle poruszała się z gracją przypominającą Sparhawkowi o ból serca. Potem zjawiły się następne. Jedna po drugiej wychodziły z bram i zaułków z glinianymi dzbanami na ramionach, aby dołączyć do milczącej procesji — ceremonii tak starej, iż stała się zwyczajną niczym oddychanie. Bez względu na to, jak mężczyźni zaczynali swój dzień, niewiasty niezmiennie o świcie udawały się do studni.

Lillias poruszyła się w łóżu.

— Mahkra — powiedziała zaspanym głosem — wróć do mnie.

Słyszał odległe bicie dzwonów nawet wśród ryku na wpół zdiczających krów, które tłoczyły się w zagrodzie wokół niego. Religia tego królestwa nie darzyła dzwonów zbytnią estymą, toteż Sparhawk wiedział, że ten dźwięk dobiega z miejsca, w którym gromadzą się jego współwyznawcy. Nie wiedział, gdzie indziej mógłby się udać, więc potykając się zmierzał w kierunku dzwonów. Rękojeść miecza była lepka od krwi, broń wydawała się nie do udźwignięcia. Chciał się uwolnić od tego ciężaru. Jakże łatwo byłoby pozwolić, aby miecz wysunął mu się z palców i zgubił w śmierdzącej gnojem ciemności. Jednakże prawy rycerz poddaje swój oręż jedynie śmierci, Sparhawk więc ścisnął w dłoni rękojeść miecza i zataczając się podążał ku dzwonom. Było mu zimno, a z ran płynęła gorąca krew. Szedł chwiejnym krokiem przez chłodną noc, a krew brocząca z boku go ogrzewała.

— Sparhawk! — To był głos Kurika. Giermek stanowczo potrząsał rycerza

za ramię. — Sparhawk, obudź się! Znowu dręczą cię senne koszmary.
Sparhawk otworzył oczy. Był zlany potem.
— Te same? — zapytał Kurik.
Rycerz kiwnął potakująco głową.
— Może przestaną cię nachodzić, gdy zabijesz Martela?
Sparhawk usiadł na pościeli.
Twarz Kurika rozjaśnił szeroki uśmiech.
— Myślałem, że może przyśni ci się coś innego. Wszak to dzień twych zaślubin. W noc poprzedzającą ślub narzeczeni zwykle mają koszmarne sny. To już należy do tradycji.
— A czy ty spałeś niespokojnie w noc poprzedzającą twój ślub z Aslade?
— O tak! — Kurik wybuchnął śmiechem. — Coś mnie goniło, a ja usiłowałem dostać się na wybrzeże, by uciec na pokładzie statku. Koszmar polegał na tym, że ktoś ciągle odsuwał ocean. Czy chciałbyś teraz zjeść śniadanie, czy też wolisz poczekać, aż się wykąpię i ogolę?
— Sam się mogę ogolić.
— Dzisiaj? To niemądry pomysł. Wyciągnij rękę.
Sparhawk wyciągnął prawicę. Dłoń mu wyraźnie drżała.
— Nie próbuj sam się dziś golić, dostojny panie. Potraktujmy to jako mój weselny podarunek dla królowej. Nie pozwolę, byś w noc poślubną poszedł do jej łóżka z posiekaną twarzą.
— Daleko do wschodu słońca?
— Z pół godziny. Wstawaj, Sparhawk. Masz przed sobą trudny dzień. Och, coś sobie przypomniałem. Królowa Ehlana przysłała ci prezent. Przyniesiono go, gdy już zasnąłeś.
— Powinieneś był mnie obudzić.
— Po co? Nie możesz tego nosić w łóżku.
— Co to jest?
— Twoja korona, dostojny panie.
— Moja... co?
— Korona. To rodzaj nakrycia głowy, ale nie bardzo przydatny w razie niepogody.
— Po co Ehlana to zrobiła?
— Chce, byś odpowiednio wyglądał, dostojny panie. Jeszcze przed wieczorem zostaniesz Księciem Małżonkiem. Jak na koronę wcale nie jest taka zła. Złoto, drogie kamienie i tym podobne rzeczy.
— Skąd ona ją wzięła?
— Kazała zrobić zaraz po twoim wyjeździe z Cimmury i przywiozła tu z sobą, pewnie dla tej samej przyczyny, dla której rybak zawsze ma w kieszeni zwój linki i haczyk. Domyślam się, że twoja narzeczona chciała być przygotowana na wypadek, gdyby nadarzyła się odpowiednia okazja. Wyraziła życzenie, bym niósł

twój książęcy diadem na aksamitnej poduszce podczas dzisiejszej uroczystości. Władczyni nałoży koronę na twą głowę, gdy zostaniecie sobie zaślubieni.

— Błazenada — zachnął się Sparhawk, opuszczając nogi z łoża.

— Być może, ale z czasem zrozumiesz, że białogłowy patrzą na świat inaczej niż my. To jedna z wielkich atrakcji naszego życia. A zatem co robimy? Bierzesz kąpiel czy jesz śniadanie?

Tego ranka spotkali się w siedzibie zakonu, ponieważ w bazylice panowało zamieszanie. Dolmant poczynił daleko idące zmiany i duchowni niczym mrówki w rozgrzebanym mrowisku miotali się na wszystkie strony. Potężny patriarcha Bergsten, nadal ubrany w kolczugę i hełm z rogami ogra, wszedł do gabinetu Nashana uśmiechając się szeroko. Postawił w kącie swój topór.

— Czemu nie ma ich świątobliwości Embana i Ortzela? — zapytał król Wargun.

— Są zajęci zwalnianiem ludzi. Emban sporządził listę politycznie niepewnych i wkrótce wzrośnie liczba mieszkańców wielu klasztorów.

— Pewnie Makova również będzie musiał opuścić miasto? — domyślił się Tynian.

— Już go tu nie ma.

— Kto został pierwszym sekretarzem? — spytał król Dregos.

— A któż by inny? Oczywiście Emban, a Ortzel jest nowym przełożonym kolegium teologicznego. Pewnie do tego jedynie się nadawał.

— A ty? — zapytał Wargun.

— Sarathi powierzył mi szczególne stanowisko. Nie wymyśliliśmy jeszcze dla niego nazwy. — Bergsten spojrzał surowo na mistrzów zakonnych. — Pomiędzy zakonami rycerskim panują zadawnione niesnaski. . . Sarathi poprosił, abym położył temu kres. — Thalezyjski patriarcha zmarszczył złowrogo swe krzaczaste brwi. — Mam nadzieję, że się rozumiemy, bracia.

Mistrzowie popatrzyli po sobie niepewnie.

— Czy podjęliśmy już jakąś decyzję? — ciągnął Bergsten.

— Nadal dyskutujemy — odparł Vanion. Tego ranka miał poszarzałe oblicze i wyglądał na chorego. Sparhawk czasami zapominał, że Vanion był znacznie starszy, niż na to wyglądał. — Dostojny pan Sparhawk nadal skłania się ku samobójstwu, a my nie jesteśmy w stanie znaleźć żadnego innego przekonującego rozwiązania. Pozostali Rycerze Kościoła wyruszają jutro, by obsadzić umocnienia i zamki w Lamorkandii, a armia wyruszy za nimi.

Bergsten skinął potakująco głową.

— A co dokładnie zamierzasz uczynić, dostojny panie Sparhawk?

— Chcę zniszczyć Azasha, zabić Martela, Othę i Anniasa. Potem wrócę do domu, wasza świątobliwość.

— Bardzoś dowcipny — rzekł Bergsten oschle. — A teraz szczegóły, dostojny panie. Podaj mi szczegóły. Muszę zdać raport Sarathiemu, a on lubuje się w szczegółach.

— Wedle rozkazu, wasza świątobliwość. Jesteśmy w zasadzie zgodni co do tego, że nie mamy szans na dopadnięcie Martela i jego kompanów, nim dotrą do Zemochu. Ma nad nami trzy dni przewagi, wliczając w to dzień dzisiejszy. Martel nie dba zbyt o konie i ma wiele powodów, aby trzymać się od nas z daleka.

— Zamierzasz podążać jego śladem, czy też pojedziesz prosto do granicy z Zemochem?

— Mamy w tym względzie pewne wątpliwości, wasza świątobliwość — rzekł Sparhawk w zamyśleniu. — Z całą pewnością chcę schwytać Martela, ale nie pozwolę, by to odciągnęło mnie od właściwego celu. Moim celem zaś jest dotarcie do miasta Zemoch, nim w centralnej Lamorkandii wybuchną walki. Rozmawiałem z Kragerem. Według niego Martel planuje udać się na północ, a potem będzie próbował gdzieś w Pelosii przekroczyć granicę z Zemochem. Ja zamierzam uczynić mniej więcej to samo, więc pojedę za nim, ale to wszystko. Nie będę marnował czasu na pogoń za Martelem po całej północnej Pelosii. Jeżeli zacznie kluczyć i zbaczać z drogi, przerwę pościg i pojedę prosto do Zemochu. Od powrotu z Rendoru dawałem się wciągać w jego gierki. Dłużej nie mam już na to ochoty.

— A co zamierzasz przedsięwziąć wobec hord Zemochów kręcących się po wschodniej Pelosii?

— Tu ja wkraczam do akcji, wasza świątobliwość — odezwał się domi Kring. — Jest pewne przejście wiodące w głąb kraju. Zemosi chyba o nim nie wiedzą. Moi jeźdźcy i ja skorzystamy z niego od lat, gdy w pobliżu granicy brakuje uszu. — Przerwał nagle i z pewną konsternacją spojrział na króla Sorosa. Władca Pelosii jednak był zajęty modlitwą i zdawał się nie słyszeć rewelacji, która tak nierozważnie wymknęła się Kringowi.

— To byłoby wszystko, wasza świątobliwość — zakończył Sparhawk. — Nikt nie jest całkowicie pewien, co dzieje się w Zemochu, więc będziemy musieli improwizować po dotarciu do celu.

— Ilu was wyrusza?

— Tylu co zwykle. Pięciu rycerzy, Kurik, Berit i Sephrenia.

— A ja? — zaprotestował Talen.

— Ty wrócisz do Cimmury, młodzieńcze — powiedziała Sephrenia. — Królowa Ehlana będzie cię miała na oku. Pozostaniesz w pałacu, dopóki nie wrócimy.

— To niesprawiedliwe!

— Życie pełne jest niesprawiedliwości, Talenie. Sparhawk i twój ojciec mają względem ciebie pewne plany i nie dopuszczą, byś pozwolił się zabić, nim je zrealizują.

— Czy mógłbym zwrócić się do Kościoła o azyl, wasza świątobliwość? — Talen zapytał pośpiesznie Bergstena.

— Nie sędzę — odparł patriarcha.

— Och, bardzo się zawiodłem na naszym Świętym Ojcu, Kościele, wasza świątobliwość! Tak więc nie myślę wstępować na jego służbę.

— Chwała Bogu — mruknął Bergsten.

— Amen — westchnął mistrz Abriel.

— Czy mogę się oddalić? — zapytał Talen obrażony.

— Nie — odpowiedział mu Berit, który siedział przy wyjściu i wyciągniętą nogą blokował drzwi.

Talen usiadł nadąsany.

Dalsza część dyskusji dotyczyła rozmieszczenia oddziałów w twierdzach Larmorkandii. Sparhawk i jego przyjaciele nie mieli w tym uczestniczyć, więc myśli pana młodego powędrowały gdzie indziej. Rycerz nie myślał właściwie o niczym konkretnym, tylko siedział wpatrując się szeroko otwartymi oczyma w posadzkę.

Około południa narada dobiegła końca. Wszyscy poczeli opuszczać komnatę. Trzeba było poczynić rozliczne przygotowania i każdy miał dużo zajęć.

— Dostojny panie Sparhawk — powiedział Kring, gdy wyszli z gabinetu Nashana — czy mógłbym zamienić z tobą słowo?

— Oczywiście, domi.

— To sprawa raczej osobistej natury.

Sparhawk skinął głową i powiodł wodza dzikich Peloi do znajdującej się w pobliżu małej kaplicy. Obaj przykleknęli niedbale przed ołtarzem, a potem usiedli na jednej z wypolerowanych ław.

— Słucham, przyjacielu — rzekł Sparhawk.

— Prosty ze mnie człowiek, dostojny panie — zaczął Kring — więc przejdę od razu do rzeczy. Ujął mnie wdzięk tej postawnej, urodziwej niewiasty, która strzeże królowej Elenii.

— Chyba to zauważyłem.

— Sędzisz, że miałbym u niej jakieś szanse? — spytał Kring z nadzieją w oczach.

— Szczerze mówiąc, nie mam pewności, przyjacielu. Sam ledwie znam Mirtai.

— Czy to jej imię? Nie miałem okazji, by się o nie dowiedzieć. Mirtai... ładnie brzmi, prawda? Wszystko jest w niej doskonałe. Czy ma małżonka?

— Nie sędzę.

— To dobrze. Zawsze to niezręcznie zalecać się do białogłowy, jeżeli trzeba wpierw zabić jej męża. Nie wydaje się to najlepszym początkiem konkurów.

— Myślę, iż powinieneś wiedzieć, że Mirtai nie jest Elenką. Jest Tamulką, a jej kultura i religia różnią się od naszej. Czy twoje zamiary są uczciwe?

— Oczywiście. Zbyt poważnie o niej myślę, by ją obrazić.

— To i tak dobrze jak na początek. Gdybyś chciał zbliżyć się do niej w innych zamiarach, prawdopodobnie by cię zabiła.

— Zabiła? — zapytał Kring z niedowierzaniem.

— Ona jest wojownikiem. Takiej niewiasty nigdy jeszcze nie spotkałeś.

— Niewiasta nie może być wojownikiem.

— Elenka nie może, ale, jak już ci mówiłem, Mirtai pochodzi z plemienia Atan z Tamulu. Oni nie patrzą na świat w ten sam sposób co my. O ile dobrze zrozumiałem, zabiła już dziesięciu mężczyzn.

— Dziesięciu? — Kring głośno przełknął ślinę. — No, tego się nie spodziewałem. — Po chwili wyprostował plecy. — Ale nic nie szkodzi. Być może po ślubie uda mi się nauczyć ją grzeczniejszego zachowania.

— Nie liczyłem na to zbyt, przyjacielu. Jeżeli w ogóle będzie w grę wchodziła jakaś nauka, myślę, że to ty będziesz uczniem. Naprawdę radzę ci, abyś dał sobie z tym spokój. Lubię cię i nie chcę patrzeć, jak dobrowolnie idziesz na śmierć.

— Muszę to przemyśleć — powiedział Kring z niepokojem w głosie. — Mam tu do czynienia z niecodzienną sytuacją.

— Tak.

— Mimo to czy mógłbym cię prosić, abyś był moim oma?

— Nie rozumiem. Co to znaczy „oma”?

— Przyjaciel. Ktoś, kto udaje się do niewiasty, jej ojca oraz braci. Zaczni od opowiadania o tym, jak bardzo mi się spodobała ta dorodna panna, a potem powiedz, że porządny ze mnie człek... no wiesz, co zwykle się mówi w takim wypadku — że jestem wodzem, ile mam koni, ile zdobyłem uszu i jaki wielki ze mnie wojownik.

— To ostatnie powinno na niej zrobić wrażenie.

— Przecież to szczerą prawdą. Wszak jestem najlepszy. Rozważę wszystko w drodze do Zemochu. Jednakże wspomnij jej o mnie, zanim wyjedziemy, niech ma nad czym myśleć. Ach, prawie bym zapomniał. Możesz jej również wspomnieć, że jestem poetą. To zawsze na niewiastach robi wrażenie.

— Postaram się zrobić co w mej mocy — obiecał Sparhawk.

Mirtai nie zareagowała zbyt przychylnie, gdy tego popołudnia Sparhawk rozpoczął z nią rozmowę na ten temat.

— Ten mały, łysy z krzywymi nogami? — zapytała z niedowierzaniem. — Ten z bliznami na twarzy? — Po czym osunęła się na fotel, wybuchając niepohamowanym śmiechem.

— No cóż, próbowałem — mruknął filozoficznie Sparhawk, kiedy ją opuścił.

Zapowiadało się na niekonwencjonalny ślub. Po pierwsze, nie było w Chyrellos żadnej szlachetnie urodzonej białogłowy, która by mogła towarzyszyć Ehlanie. Jedynymi dwiema naprawdę bliskimi jej niewiastami były Sephrenia i Mirtai.

Królowa obstawała przy ich obecności, co niektórych dziwiło. Nawet tak bywały w świecie Dolmant miał trudności z wyrażeniem zgody.

— Nie możesz wprowadzić tych dwóch poganek do głównej nawy bazyliki podczas ceremonii religijnej!

— To mój ślub! I mogę robić co mi się podoba! Chcę, aby Sephrenia i Mirtai mi towarzyszyły.

— Zabraniam!

— Doskonale. — Oblicze młodej władczyni przybrało kamienny wyraz. — Bez towarzyszek nie będzie ślubu, a jeżeli nie będzie ślubu, mój pierścień pozostanie na moim palcu.

— Nieznośna z niej panna, Sparhawk! — wybuchnął gniewem arcyprałat, gdy jak burza wypadł z komnaty, w której Ehlana czyniła swoje przygotowania.

— Wolimy używać określenia „pełna wigoru”, Sarathi — rzekł łagodnie Sparhawk. Był przystrojony w czarny, zdobiony srebrnym haftem aksamit. Ehlana kategorycznie odrzuciła jego pomysł wzięcia ślubu w zbroi.

— Nie chcę, by mój oblubieniec w sypialni musiał korzystać z pomocy kowala — stwierdziła. — Jeżeli będziesz potrzebował pomocy, to chętnie ci jej udzię, lecz nie zamierzam połamać sobie przy tym paznokci.

W armiach Eosii było mnóstwo szlachty, a w bazylice całe legiony duchownych, więc tego wieczoru przestronna, oświetlona świecami nawa była niemal tak pełna, jak podczas pogrzebu przenajświętszego Cluvonusa. Wciąż napływali kolejni goście weselni. Chór śpiewał radosne hymny, a powietrze przesyciła woń kadzideł.

W zakrystii czekał zdenerwowany Sparhawk wraz z tymi, którzy mieli mu towarzyszyć. Oczywiście byli tu wszyscy jego przyjaciele: Kalten, Tynian, Bevier, Ulath i domi Kring, a także mistrzowie czterech zakonów, Kurik i Berit. Królowej Ehlanie oprócz Sephrenii i Mirtai mieli dotrzymywać towarzystwa władcy zachodnich królestw Eosii oraz, co jeszcze dziwniejsze, Platim, Stragen i Talen. Królowa nie podała powodów, dlaczego tak zdecydowała o składzie swej świty. Całkiem możliwe, że nie było żadnych powodów.

— Sparhawk, przestań! — rzekł Kurik.

— Co mam przestać?

— Nie ciągnij tak za kaftan pod szyją, bo go rozedrzesz.

— Krawiec zrobił za małe wycięcie. Czuję się, jakbym miał pętlę na szyi.

Kurik nie odpowiedział, tylko rzucił Sparhawkowi rozbawione spojrzenie.

Drzwi uchyliły się i patriarcha Emban wsunął do środka swą spoconą twarz.

— Gotowi? — zapytał.

— Zaczynamy już — rzekł Sparhawk szorstko.

— Widzę, że narzeczony zaczyna się niecierpliwić. Och, gdyby tak znowu być młodym! — westchnął Emban. — Chór będzie śpiewał tradycyjną pieśń weselną.

Jestem pewien, że niektórym z was jest ona znana. Przy dźwiękach finału otworzę drzwi, a wtedy wy, szlachetni panowie, przyprowadzicie przed ołtarz naszego baranka ofiarnego. Nie pozwólcie mu uciec! To zwykle bardzo zakłóca przebieg całej ceremonii. — Patriarcha Ucery zachichotał złośliwie i zamknął podwoje.

— Co za podły człek! — Sparhawk zgrzytnął zębami.

— Bo ja wiem — powiedział Kalten. — Ja go raczej lubię.

Hymn weselny należał do najstarszych utworów muzyki sakralnej Elenów. Była to pieśń pełna radości. Panny młode tradycyjnie słuchały jej z dużą uwagą, panowie młodzi zaś zwykle ją ledwie słyszeli.

Gdy przebrzmiały ostatnie tony, patriarcha Emban z rozmachem otworzył drzwi i przyjaciele ustawili się wokół Sparhawk, aby towarzyszyć mu w drodze do ołtarza. Chyba nie byłoby właściwe rozwodzić się w tym miejscu nad podobieństwami takich procesji do zgromadzenia urzędników sądowych odprowadzających skazanego na szafot.

Udali się prosto do ołtarza, gdzie oczekiwał ich arcyprałat Dolmant, cały w bieli i złocie.

— Synu, jak miło, że nas zaszczyciłś swą obecnością — rzekł z lekkim uśmiechem.

Sparhawk wolał nie odpowiadać. Z przykrością skonstatował fakt, że wszyscy jego przyjaciele uważali położenie, w którym się znalazł, za bardzo zabawne.

Po odpowiedniej przerwie — koniecznej, by goście weselni wstali, uciszyli się, odwrócili głowy i wpatrzyli się w głąb nawy — chór zaintonował hymn procesyjny i z obu stron westybulu wyłonili się członkowie świty panny młodej. Najpierw wyszły z jednej strony Sephrenia, a z drugiej Mirtai. Patrzący nie od razu zauważyli niezwykłą różnicę we wzroście obu niewiast, natomiast zwrócono uwagę i zareagowano wzburzeniem na oczywisty fakt, iż obie były pogankami. Biała szata Sephrenii była wręcz wyzywająco styricka. Czarodziejka miała czoło ozdobione wieńcem z kwiatów i spokojne oblicze. Mirtai odziała się w suknię z ciemnobłękitnej materii o nie znanym w Elenii kroju, pozbawioną szwów. Suknia na obu ramionach była spięta drogocennymi zapinkami, a długi złoty łańcuch zbierał ją pod piersiami, krzyżował się na plecach, okręcał talię i zasupłany na biodrach w zawiły węzeł zwisał, końcami sięgając niemal ziemi. Tamulka muskularne ramiona o smagłej skórze bez najmniejszej skazy miała gołe. Na stopy przywdziała złociste sandały, a rozpuszczone włosy opadały jej w miękkich, połyskliwych czarnych falach aż do połowy ud. Czoło zdobiła prosta srebrna opaska, na nadgarstkach miast bransoletek widniały wypolerowane, stalowe, zdobione złotem obręcze.

Domi Kring na widok kroczącej obok Sephrenii Mirtai westchnął z pożądania.

Ponownie nastąpiła zwyczajowa przerwa, a potem z westybulu wyłoniła się panna młoda, wsparta lekko na ramieniu sędziwego króla Oblera. Oboje przystanęli na chwilę, by wszyscy obecni mogli przyjrzeć się królowej, podziwiając ją

bardziej jak dzieło sztuki niż niewiastę. Jej suknia, podobnie jak stroje wszystkich panien młodych, była z białego atłasu, jednak została podbita złotą lamą, co najbardziej efektownie wyglądało przy szerokich wywiniętych rękawach. Końce rękawów były tak długie, że zwisały prawie do ziemi. Talię Ehlany ozdobił szeroki pas ze złotych oczek inkrustowanych drogimi kamieniami. Wspaniały, złocisty płaszcz opadał z ramion wraz z połyskliwym atłasowym trenem na posadzkę. Jasne włosy monarchini zdobiła korona, lecz nie tradycyjna korona eleńskich królów, ale diadem na kształt siateczki koronkowej roboty, ozdobionej błyszczącymi kamieniami i perłami. Korona przytrzymywała welon, który z przodu sięgał królowej do piersi, a z tyłu okrywał plecy. Był delikatny i zwiewny niczym mgła. Władczyni niosła w dłoni jeden biały kwiat, a jej dziewczęca twarz promieniała szczęściem.

— Jakim cudem krawcy zdołali w tak krótkim czasie uszyć suknię? — zapytał Berit szeptem Kurika.

— Mogę sobie tylko wyobrazić, jak Sephrenia gimnastykowała palce.

Dolmant spojrział na nich srogo i obaj przestali szeptać.

Za władczynią Elenii podążali królowie. Wargun i Dregos oraz następca tronu Lamorkandii, który zastępował nieobecnego ojca, za nimi ambasador Cammorii. Przedstawiciele królestwa Rendoru byli nieobecni, a zaproszenie cesarza Zemochu, Othy, nikomu nawet nie przyszło do głowy.

Procesja ruszyła wolno boczną nawą w kierunku ołtarza i czekającego pana młodego. Na końcu pochodu kroczyli Platim i Stragen, a pomiędzy nimi Talen, który na białej aksamitnej poduszce niósł dwa rubinowe pierścienie. Obaj hersztowie bardzo uważnie obserwowali złodziejaszka.

Sparhawk zadumał się patrząc na pannę młodą, idącą ku niemu z promiennym obliczem. W ciągu tych ostatnich kilku chwil, kiedy jeszcze był w stanie trzeźwo myśleć, zdał sobie w końcu sprawę z tego, do czego nigdy w pełni się przed sobą nie przyznał. Kiedy wiele lat temu nakazano mu wziąć ją pod opiekę, była dla niego jedynie symbolem niewdzięcznej, ciężkiej pracy i upokorzenia. Trzeba jednak rycerzowi oddać sprawiedliwość, że nie zaczął żywić urazy do Ehlany. Rozumiał, że to dziecko na równi z nim jest ofiarą ojcowskiego kaprysu. Pierwsze lata były męczące. Dziewczynka, która stała się tą urodziwą panną młodą, była wtedy bardzo nieśmiała i bojaźliwa, początkowo rozmawiała tylko z Rollem, małym, wyszarpanym pluszowym zwierzątkiem, jej nieodłącznym i jedynym towarzyszem. Z czasem jednak przyzwyczaiła się do swego piastuna i jego surowego sposobu bycia. Ich krucha przyjaźń została scementowana tego dnia, w którym arogancki dworzanin zwrócił się impertynencko do księżniczki i został stanowczo zganiony przez jej rycerza i obrońcę. Bez wątplenia pierwszy raz ktoś przelał za Ehlane krew, jako że nos dworzanina krwawił obficie, i przed drobną, bladą królowną otworzył się zupełnie nowy świat. Od tego momentu zawierzała swemu rycerzowi wszystkie tajemnice — nawet te, o jakich wołałaby nie mówić. Nic przed nim

nie ukrywała. Wkrótce poznał ją tak, jak nikogo na świecie, i to sprawiło, że był stracony dla innych niewiast. Losy tej wątłej królowy tak zawile splotły się z jego życiem, że nie sposób było je rozdzielić. Dlatego też byli tu teraz. Sparhawk stanowczo obstawałby przy swojej odmowie, gdyby wyrządził tym ból jedynie sobie samemu, a że nie zniósłby jej cierpienia, więc...

Hymn dobiegł końca. Sędziwy król Obler przyprowadził Ehlana oblubieńcowi i państwo młodzi stanęli przed arcyprałatem.

— Wygłoszę teraz krótkie kazanie — zwrócił się do nich cicho Dolmant. — To należy do zwyczaju i ludzie oczekują ode mnie paru słów. Nie musicie tego uważnie słuchać, ale starajcie się nie ziewać mi prosto w twarz.

— Nie przysłoby to nam nawet do głowy, Sarathi — zapewniła go Ehlana.

Dolmant przez pewien czas mówił o małżeństwie. Potem zapewnił młodą parę, że po zakończeniu ceremonii ślubnej uleganie ich naturalnej skłonności ku sobie będzie jak najbardziej właściwe, a nawet, prawdę powiedziawszy, wskazane. Z naciskiem podkreślał, aby byli sobie wierni i przypomniał im, że owoc ich związku powinien być wychowany w wierze Elenów. Następnie przeszedł do formułek, pytając narzeczonych po kolei, czy wyrażają zgodę na poślubienie, dzielenie z sobą wszystkich ziemskich dóbr i czy przyrzekają kochać się, szanować, być posłusznymi i tak dalej. A gdy i to mieli już za sobą, przeszli do wymiany pierścieni, których Talen nawet nie próbował ukraść.

I wtedy Sparhawk usłyszał cichy znajomy dźwięk. Wibrująca radośnie melodia, pełna odwiecznej miłości, grana na fujarce zdawała się odbijać echem od kopuły bazyliki.

Rycerz spojrział na Sephrenię. Jej promienny uśmiech mówił wszystko. Przez chwilę Sparhawk zastanawiał się, według jakiego protokołu Aphrael zwróciła się do Boga Elenów z prośbą o pozwolenie na uczestnictwo w tej ceremonii i dołączenie swych życzeń pomyślności do Jego błogosławieństwa.

— Co to za muzyka? — szepnęła Ehlana, nie poruszając ustami.

— Później ci wyjaśnię — odszepnął Sparhawk.

Dźwięków fujarki Aphrael nie usłyszał tłum zgromadzony w oświetlonej blaskiem świec nawie głównej. Dolmant otworzył szerzej oczy i nieznacznie pobladł, szybko jednak odzyskał zimną krew i wreszcie oznajmił, że z tą chwilą Sparhawk i Ehlana zostali nierozzerwalnie, niezmiennie i na zawsze mężem i żoną. Następnie w krótkiej, miłej modlitwie przekazał im błogosławieństwo Boże i w końcu pozwolił Sparhawkowi pocałować pannę młodą.

Rycerz z czułością uniósł welon i dotknął ustami ust Ehlany. Nikomu całowanie nie wychodzi zbyt dobrze na oczach licznej publiczności, ale tym razem oblubienicy poradzili sobie z tym bez specjalnego zakłopotania.

Bezpośrednio po ceremonii zaślubin nastąpiła koronacja Sparhawk na Księcia Małżonka. Pan młody przyklęknął, aby panna młoda, która dopiero co przysięgła mu posłuszeństwo, a teraz przybrała ponownie królewską pozę, mogła włożyć

na jego głowę diadem, podany przez Kurika na purpurowej aksamitnej poduszce. Ehlana przemówiła dźwięcznym głosem, który poruszyłby nawet głązy i nakłonił je do posłuszeństwa. Scharakteryzowała Sparhawk nie szczędząc mu pochlebstw, na zakończenie zdecydowanym ruchem nałożyła mu koronę. Skoro już i tak klęczał, a jego twarz znajdowała się w dogodnej pozycji, Ehlana pochyliła się i pocałowała go ponownie. Sparhawk zauważył, że robiła to z coraz większą wprawą.

— Wreszcie jesteś mój — szepnęła, nadal dotykając ustami jego warg.

Następnie, choć daleko mu było jeszcze do zgrzybiałego starca, pomogła mu powstać. Mirtai i Kalten założyli królewskiej parze na ramiona gronostajowe płaszcze i para młoda odwróciła się, by przyjąć wiwaty zgromadzonego tłumu.

Po ceremonii była uczta weselna. Sparhawk ani nie pamiętał, jakie podawano dania, ani czy któregoś z nich kosztował. Pamiętał jedynie, że wieczerza zdawała się ciągnąć całe wieki. W końcu nowożeńców odprowadzono do drzwi komnaty sypialnej, we wschodnim skrzydle jednego z pałaców wchodzących w skład budynków kościelnych. Państwo młodzi zamknęli za sobą drzwi na klucz.

W komnacie stało mnóstwo sprzętów, lecz Sparhawk widział jedynie stojące na podwyższeniu łoże, ozdobione na rogach kolumnkami.

— Nareszcie! — Ehlana westchnęła z ulgą. — Myślałam, że to będzie się ciągnąć bez końca.

— Ja również mam już dość — przyznał Sparhawk.

— Sparhawk — odezwała się drżącym głosem, w którym nie brzmiały już władcze nuty — czy ty naprawdę mnie kochasz? Wiem, że zmusiłam cię do tego wszystkiego, najpierw w Cimmurze, a potem tutaj. Czy ożeniłeś się ze mną z miłości czy po prostu uległeś mi, ponieważ jestem królową? — W jej oczach błyszczał niepokój.

— Zadajesz niemądre pytania, Ehlano — odparł delikatnie. — Przyznaję, że początkowo mnie zaskoczyłaś, pewnie dlatego, że nie zdawałem sobie sprawy z twoich uczuć. Marny ze mnie zalotnik, Ehlano, ale kocham cię. Nigdy nie kochałem innej i nigdy nie pokocham. Moje serce, choć już trochę sfatygowane, całe należy do ciebie — wyznał i pocałował królową, a ona zdawała się omdlewać słodko w jego ramionach.

Ich pocałunek trwał długo. W pewnym momencie rycerz poczuł małą dłoń przesuwającą się z czułością po karku i zdejmującą mu z głowy koronę. Zajrzał w roziskrzone szare oczy królowej.

Potem delikatnie zdjął jej koronę i pozwolił welonowi spłynąć na posadzkę. Z namaszczeniem odpięli sobie nawzajem gronostajowe płaszcze, które również opadły na posadzkę bezgłośnie.

Przez otwarte okno wpadł nocny wietrzyk, falował w muślinowych zasłon-

kach, niosąc z sobą odgłosy spowitego nocą Chyrellos, ale Sparhawk i Ehlana słyszeli jedynie bicie swych serc.

Świece nie paliły się już, ale w komnacie nie było ciemno. Wzeszedł księżyc w pełni i rozjaśnił noc srebrzystym blaskiem. Przejrzyste zasłonki, falujące miękko w oknie, zdawały się przechwytywać światło księżyca, a sącząca się przez nie poświata dawała delikatniejsze i doskonalsze światło niż jakakolwiek świeca.

Było bardzo późno — czy też, mówiąc ściślej, bardzo wcześnie. Sparhawk zdrzemnął się na krótko, lecz jego skąpiana w świetle księżyca małżonka nie pozwoliła mu na sen.

— Nic z tych rzeczy — oznajmiła budząc rycerza. — Mamy tylko tę jedną noc, a ty zamierzasz zmarnować ją na spanie?

— Wybacz. Miałem wiele pracy tego dnia.

— A także wiele pracy tej nocy — dodała Ehlana figlarnie. — Czy wiesz, że chrapiesz niczym burza z piorunami?

— Myślę, że to z powodu złamanego nosa.

— Kłopotliwy zwyczaj. Ja lekko sypiam. — Ehlana ułożyła się wygodnie w ramionach męża i westchnęła z zadowoleniem. — Och, jak mi dobrze. Powinniśmy się pobrać dawno temu.

— Twój ojciec mógłby się temu sprzeciwić, a jeżeli nie on, z całą pewnością uczyniłby to Rollo. A właśnie, co stało się z Rollem?

— Wiele przeszedł, kiedy ojciec wygnał cię z Elenii. Potem go wyprałam i schowałam w górnej szufladzie komody. Wypcham go, gdy przyjdzie na świat nasze pierwsze dziecko. Biedny Rollo. Nadużywałam go po twoim wyjeździe. Wsiąkło w niego całe morze łez. Przez kilka miesięcy był bardzo mokrym zwierzątkiem.

— Aż tak bardzo za mną tęskniłaś?

— Tęskniłam? Myślałam, że umrę z rozpaczy. Prawdę powiedziawszy, chciałam umrzeć.

Sparhawk zamknął Ehlaną w uścisku swych ramion.

— A może tak byśmy porozmawiali dalej? — zapytała królowa.

— Czy ty zawsze musisz mówić wszystko, co ci przyjdzie do głowy?

— Tak, gdy jesteśmy sami. Nie mam przed tobą sekretów, mój mężu. Miałeś opowiedzieć mi o tej muzyce, którą słyszeliśmy podczas ceremonii.

— To Aphrael grała na fujarce. Muszę się jeszcze upewnić u Sephrenii, ale zdaje się, że wzięliśmy ślub według więcej niż jednej religii.

— Świetnie. Dzięki temu będziesz jeszcze silniej ze mną związany.

— Wiesz przecież, że jesteśmy już dostatecznie mocno związani. Masz mnie w swej niewoli, odkąd skończyłaś sześć lat.

— To miłe. — Ehlana przytuliła się do niego jeszcze mocniej. — Bóg jeden wie, jak się starałam. — Umilkła na chwilę. — Jednak muszę przyznać, że ta twoja zuchwała, mała styrycka boginka zaczyna mnie trochę złościć. Wydaje się, że zawsze jest w pobliżu. Skąd możemy wiedzieć, czy nawet teraz nie kryje się w jakimś kącie? — Przerwała i usiadła w łożu. — Przypuszczasz, że mogłaby tu być? — zapytała z pewną konsternacją.

— Wcale bym się nie zdziwił — zażartował Sparhawk.

— Co ty mówisz! — W bladym świetle księżycy trudno było mieć całkowitą pewność, ale Sparhawk podejrzewał, że jego żona oblała się rumieńcem.

— Nie troszcz się tym, kochana — roześmiał się. — Aphrael jest doskonale wychowana. Nie przyszłoby jej do głowy przeszkadzać.

— Ale tak naprawdę nigdy nie możemy być pewni, że jesteśmy sami, prawda? Chyba jej nie lubię. Mam wrażenie, że bardzo jej się podobasz i nie mam zamiaru wiele sobie robić z tego, że moja rywalka jest nieśmiertelna.

— Nie dworuj sobie ze mnie. Ona jest dzieckiem.

— Ja miałam tylko pięć lat, gdy cię po raz pierwszy ujrzałam. W tej samej chwili, w której wszedłeś do komnaty, postanowiłam, że za ciebie wyjdę. — Zsunęła się z łoża, podeszła do okna i rozsunała muślinowe zasłony. W bladym świetle księżycy podobna była do alabastrowego posągu.

— Narzuć szaty! — krzyknął Sparhawk. — Wystawiasz się na widok publiczny.

— Wszyscy w Chyrellos dawno śpią. A poza tym jesteśmy sześć pięter ponad ulicami. Chcę popatrzeć na księżyc. Księżyc i ja jesteśmy sobie bardzo bliscy i chcę, aby wiedział, jaka jestem szczęśliwa.

— Poganka — rzekł rycerz z uśmiechem.

— Tak, zdaje się, że pod tym względem jestem poganką — przyznała — ale niewiasty czują osobliwą więź z księżycem. On wpływa na nas w niepojęty dla mężczyzn sposób.

Sparhawk zgramolił się z łoża i również podeszedł do okna. Księżyc był wielki i jasny. Jego blade światło, w którym nikną kolory, skryło do pewnego stopnia ruiny Świętego Miasta, lecz w powietrzu wciąż unosił się silny zapach spalenizny. Na niebie migotały gwiazdy. Nie było w tym naprawdę nic nadzwyczajnego, ale wydawało się, że tej nocy świeciły jaśniej niż zwykle.

Ehlana objęła Sparhawk i westchnęła.

— Ciekawa jestem, czy Mirtai śpi pod moimi drzwiami. Czyż nie była zachwycająca dzisiajszego wieczoru?

— O tak. Nie miałem ci okazji jeszcze o tym powiedzieć, ale Kring zupełnie stracił dla niej głowę. Nigdy jeszcze nie widziałem człowieka tak powalonego miłością.

— Przynajmniej szczerze i otwarcie o tym mówi. Ja czułe słówka musiałam wyciągać z ciebie siłą.

— Przecież wiesz, Ehlano, że cię kocham. Zawsze cię kochałem.

— Trochę mijasz się z prawdą. W czasach gdy obnosiłam się z Rollem, jedynie trochę mnie lubieś.

— To było coś znacznie więcej.

— Och, doprawdy? Widziałam twoje zbolące spojrzenie, jakim zwykleś mnie obdarzać, gdy zachowywałam się dziecinnie i głupio, mój szlachetny Książę Małżonku. — Zmarszczyła brwi. — To bardzo krępujący tytuł. Po powrocie do Cimmury porozmawiam z hrabią Lendą. Wydaje mi się, że jest gdzieś jakieś pozbawione pana księstwo, a jak nie ma, to będzie. I tak zamierzałam odebrać włości kilku sprzymierzeńcom Anniasa. Zadowolony, wasza książęca mość?

— Dziękuję bardzo waszej wysokości, ale myślę, że obejdę się bez dodatkowych tytułów.

— Ale ja chcę ci nadać tytuł.

— Osobiście zadowala mnie tytuł małżonka.

— Każdy mężczyzna może być małżonkiem.

— Ale tylko ja jestem twoim.

— Och, jak miło powiedziałeś. Poćwicz trochę, a może staniesz się prawdziwie dobrze wychowanym człowiekiem.

— Większość znanych mi prawdziwie dobrze wychowanych ludzi jest dwoznanami, a oni generalnie nie cieszą się najwyższym szacunkiem.

Ehlana zadrzała.

— Zmarzłaś — rzekł Sparhawk z wyrzutem. — A mówiłem ci, byś okryła się płaszczem.

— Po cóż mi płaszcz, gdy mam u boku tak ciepłego męża?

Sparhawk pochylił się, uniósł ją w ramiona i zaniósł do łoża.

— Marzyłam o tym — westchnęła, gdy ostrożnie położył ją w pościeli i ułożył się obok niej. — Wiesz, Sparhawk — przytuliła się mocno do niego — z lękiem myślałam o tej nocy. Bałam się, że będę zawstydzona, ale wcale nie jestem i wiesz dlaczego?

— Nie, nawet się nie domyślam.

— Dlatego, że tak naprawdę zostaliśmy sobie zaślubieni w momencie, gdy pierwszy raz na ciebie spojrzałam. Czekaliśmy jedynie, abym dorosła i byśmy mogli to zalegalizować. — Obdarzyła Sparhawką długim pocałunkiem. — Czy zaraz wstanie dzień?

— Jeszcze kilka godzin do wschodu słońca.

— To dobrze. Mamy trochę czasu do pożegnania. Będziesz na siebie uważał w Zemochu, prawda?

— Będę się bardzo starał.

— Proszę, nie sil się na heroiczne wyczyny, aby mi zaimponować. I tak mi już imponujesz.

— Będę uważał — obiecał.

— A jeżeli już przy tym jesteśmy, to czy chcesz teraz otrzymać mój pierścień?
— A może przekażesz mi go na oczach wszystkich? Niech Sarathi zobaczy, że dotrzymujemy naszej części umowy.
— Czy naprawdę zachowałam się wobec niego tak niegrzecznie?
— Trochę go zaskoczyłaś, Sarathi nie jest przyzwyczajony do podobnych tobie niewiast. Myślę, że wyprowadziłaś go z równowagi.
— Czy ciebie również wyprowadziłam z równowagi?
— Nie. W końcu byłem twoim piastunem. Przyzwyczailem się do twoich sztuczek.
— Szczęściarz z ciebie, wiesz? Niewielu ludzi ma okazję wychować sobie żonę. Zastanów się nad tym podczas podróży do Zemochu. — Wtem królowej głos się załamał. Jęła szlochać i ronić łzy. — Przysięgam, że nie chciałam tego zrobić! Teraz będziesz pamiętał mnie zapłakaną!
— Już dobrze, ukochana. Ja też jestem bliski łez.
— Czemu ta noc musi tak szybko uciekać? Czy ta twoja Aphrael nie mogłaby, gdybyś ją poprosił, powstrzymać słońca? Niech dzisiaj nie wschodzi! Albo ty dokonaj tego mocą Bhelliomu!
— Chyba nikt tego nie może uczynić.
— To na cóż się nam zdadzą wszyscy bogowie?! — Ehlana płakała jak dziecko.
Sparhawk objął ją i tulił do siebie tak długo, dopóki nie przestała szlochać. Wtedy delikatnie ją pocałował. Jeden pocałunek zamienił się w wiele pocałunków i reszta nocy minęła bez dalszych łez.

Rozdział 20

— Czemu to musi odbyć się publicznie? — dopytywał się Sparhawk, spacerując po komnacie, aby zbroja ułożyła mu się na ramionach.

— Tego się od nas oczekuje, mój kochany — odparła spokojnie Ehlana. — Jesteś teraz członkiem rodziny królewskiej i do twoich obowiązków należą publiczne wystąpienia. Z czasem się do tego przyzwyczaisz. — Królowa siedziała przed toaletką, ubrana w podbitą futrem szatę z błękitnego aksamitu.

— Nie będzie gorzej niż na turnieju, dostojny panie — bagatelizował Kurik. — To też publiczne wystąpienie. Czy mógłbyś jednak skończyć przechadzkę? Chciałbym poprawić ci pas. — Kurik, Sephrenia i Mirtai przybyli do komnaty nowożeńców wraz ze słońcem. Kurik przyniósł zbroję Sparhawka, Sephrenia kwiaty dla królowej, a Mirtai śniadanie. Przybył z nimi jego świątobliwość Emban i przyniósł wiadomość, że oficjalne pożegnanie odbędzie się na stopniach bazyliki.

— Nie zapoznawaliśmy duchownych, mieszczan ani wojsk króla Warguna ze szczegółami twojej misji, Sparhawku — ostrzegł zażywny patriarcha Ucery — dlatego też, jeżeli zechcesz zabrać głos, nie powinieneś zbyt się rozwodzić. Wyprawimy ci wzruszające pożegnanie i nie omieszkamy napomknąć, że sam jeden masz zamiar ocalić świat. Przyzwyczajeni jesteście do kłamania, więc zabrzmiałoby to przekonująco. Oczywiście liczymy na twoją współpracę. W obecnej chwili bardzo ważne jest bowiem, aby podnieść morale mieszkańców, a także podsycić ducha bojowego w żołnierzach Warguna. — Przez twarz przebiegł mu wyraz lekkiego zawodu. — Sugerowałem, abyś dla lepszego efektu zrobił coś widowiskowego z wykorzystaniem magii, ale Sarathi zdecydowanie odrzucił ten pomysł.

— Czasami przebierasz miarę w swym zamiłowaniu do jarmarcznych przedstawień — odezwała się Sephrenia. Czarodziejka całą uwagę skupiła na fryzurze Ehlany, eksperymentując ze szczotką i grzebieniem.

— Jestem człowiekiem z ludu — odparł Emban. — Mój ojciec był oberżystą, więc wiem, jak zadowolić tłum. Ludzie uwielbiają dobre widowiska i to właśnie chciałbym im ofiarować.

Sephrenia zebrała Ehlanie włosy na czubku głowy.

— Co o tym sądzisz, Mirtai? — zapytała.

— Mnie podoba się tak, jak było przedtem — odpowiedziała olbrzymka.

— Królowa jest teraz mężatką. Przedtem czesała się jak panna. Teraz musimy uczynić coś z jej włosami, by zaznaczyć fakt, że jest już zamężna.

— Napiętnujcie ją. — Mirtai wzruszyła ramionami. — Tak robią moi rodacy.

— Co chcesz mi zrobić?! — wykrzyknęła Ehlana.

— U nas po ślubie żonie wypala się znak męża, zwykle na ramieniu.

— Aha, żeby zaznaczyć, iż stanowi ona jego własność? — zapytała królowa pogardliwie. — A jakim znamieniem oznacza się męża?

— On nosi znak swej żony. Wśród mojego ludu nie zawiera się małżeństw pochopnie.

— I nawet wiem dlaczego — powiedział Kurik tonem pełnym zgrozy.

— Ehlano, zjedz śniadanie, zanim wystygnie — poleciła Mirtai.

— Nie przepadam za smażoną wątróbką.

— Nie jesz tego dla siebie. Mój lud przywiązuje wagę do nocy poślubnej. Wiele panien młodych tej nocy zachodzi w ciążę, a przynajmniej tak mówią. Równie dobrze może ona być wynikiem zabaw przed ślubem.

— Mirtai! — Ehlana oblała się pąsem.

— Chcesz powiedzieć, że ty tego nie robiłaś? Zawiodłam się na tobie.

— Nie myślałam o tym — przyznała Ehlana. — Sparhawk, czemu milczysz, jakbyś nabrał wody w usta?

Jego świątobliwość Emban słuchał niewieściej rozmowy czerwony jak burak.

— Chyba już pobiegnę — rzekł. — Tyle spraw mam na głowie — dodał i czmychnął z komnaty.

— Czyżbym powiedziała coś niestosownego? — zapytała niewinnie Mirtai.

— Emban jest duchownym, moja droga. — Sephrenia z trudem powstrzymała się od śmiechu. — Duchowni wolą nie wiedzieć zbyt dużo na ten temat.

— To dziwne. Jedz, Ehlano.

Zgromadzenie na stopniach bazyliki nie było ceremonią w pełnym tego słowa znaczeniu, lecz raczej pokazem ku uciesze gawiedzi. Zjawił się również arcyprałat, przenajświętszy Dolmant, co przydało temu wydarzeniu powagi. Oficjalnego znaczenia ceremonii nadawało uczestnictwo monarchów. Każdy z nich przybył w królewskich szatach i w koronie na głowie. Wojskowe znaczenie przedsięwzięcia podkreślali swą obecnością mistrzowie zakonów rycerskich. Arcyprałat zaczął od krótkiej modlitwy, po której nastąpiły równie krótkie wystąpienia królów i nieco dłuższe mistrzów. Następnie Sparhawk i jego towarzysze przyklękli, aby przyjąć błogosławieństwo od przenajświętszego Dolmanta, a całą uroczystość zakończyło pożegnanie Ehlany z małżonkiem. Królowa Elenii, ponownie używając władczego tonu, poleciła rycerzowi zwyciężyć. Na zakończenie swego wystąpienia zdjęła z palca pierścień i przekazała go Sparhawkowi na znak swej szczególnej łaski. W odpowiedzi on wręczył jej w zamian pierścień z diamentem w kształcie

serca. Talen wcisnął go Sparhawkowi do ręki tuż przed rozpoczęciem uroczystości, jednakże na pytanie, skąd ma tak drogocenny klejnot, odpowiedział wymijająco.

— A teraz, mój małżonku, rycerzu i obrońco — zakończyła Ehlana, może trochę zbyt dramatycznie — ruszaj wraz ze swymi dzielnymi druhami i wiedz, że za tobą podążą nasze nadzieje i nasze modlitwy. Wznieś miecz, mój mężu i luby rycerzu, i obroń mnie, naszą wiarę i nasze domy przed dzikimi hordami pogańskiego Zemochu! — A potem objęła Sparhawk i złożyła na jego ustach pocałunek.

— Piękna mowa — pogratulował jej szeptem.

— Jego świątobliwość Emban ją napisał — przyznała królowa. — On do wszystkiego się wtrąca. Ślij do mnie listy, mój mężu, i na Boga, bądź ostrożny!

Sparhawk delikatnie ucałował ją w czoło, po czym wraz z przyjaciółmi, przy dźwiękach dzwonów bazyliki, zamaszystym krokiem zeszedł z marmurowych schodów na dół, gdzie stały wierzchowce. Za drużyną kroczyli mistrzowie zakonów, którzy mieli wyruszyć wraz z nimi. Domi Kring i jego jeźdźcy Peloi już czekali na ulicy. Nim jednak odjechali, Kring podjechał do Mirtai i zmusił konia do rytualnego przyklęknienia. Żadne z nich nie wyrzekło ani słowa, ale zdawało się, że tym popisem zaimponował trochę Mirtai.

— No, Faranie — rzekł Sparhawk wskakując na siodło — możesz sobie trochę pofolgować.

Potężny srokacz o zmierzwionej sierści i paskudnym pysku zastrygł ochotczo uszami i począł dumnie tańczyć na zadnich nogach, gdy grupa wojowników ruszyła w kierunku wschodniej bramy.

Kiedy wyjechali z miasta, Vanion opuścił swe miejsce u boku Sephrenii i podjechał do Sparhawk.

— Bądź czujny, przyjacielu — poradził. — Czy schowałeś Bhelliom tak, abyś mógł w razie potrzeby szybko po niego sięgnąć?

— Mam go pod szatą wierzchnią, na zbroi — rzekł Sparhawk i przyjrzał się uważniej mistrzowi pandionitów. — Nie zrozum mnie źle, ale wyglądasz tego ranka nieszczególnie.

— Jestem bardzo zmęczony. Wargun zmuszał nas w Arcium do ostrej jazdy. Dbaj o siebie, przyjacielu. Chcę jeszcze porozmawiać z Sephrenią, nim się rozdzielimy.

Vanion odjechał na tyły kolumny zbrojnych mężów, gdzie odnalazł drobną, piękną niewiastę, która całe pokolenia pandionitów wprowadzała w tajniki sekretnych nauk Styricum. Sephrenia i Vanion nigdy nie czynili sobie wyznań, ale Sparhawk wiedział, jakie uczucia ich wiążą, i wiedział również, że uczucia te muszą być skrywane i tłumione.

Do pogrążonego w rozmyślaniach rycerza podjechał Kalten.

— Jak minęła noc poślubna? — zapytał z błyskiem w oku. Sparhawk obdarzył go przeciągłym spojrzeniem.

— Zdaje się, że nie chcesz o tym mówić — zrozumiał Kalten.

— To sprawa osobista.

— Sparhawk, przyjaźnimy się przecież od dziecka. Nigdy nie mieliśmy przed sobą żadnych tajemnic.

— Teraz mamy. Do Kadachu jest siedemdziesiąt lig, prawda?

— To całkiem blisko. Jeżeli pognamy konie, dojedziemy tam za pięć dni. Czy Martel rzeczywiście był taki zaniepokojony podczas rozmowy z Anniasem? Czy twoim zdaniem wystarczająco obawiał się pościgu, aby się śpieszyć?

— Zdecydowanie chciał oddalić się od Chyrellos.

— A zatem popędza konie, nie sądzisz?

— Można tak założyć z pewną dozą ostrożności.

— Konie mu się zmęczą, jeżeli będzie je za mocno popędzał, więc nadal mamy szansę dogonić go za kilka dni. Nie wiem jak ty, ale ja z całą pewnością chciałbym dopaść Adusa.

— Można się nad tym zastanowić. Jak wygląda teren pomiędzy Kadachem i Moterrą?

— Płaski jak stół. W większości pola i łąki. Wioski chłopskie, gdzieniegdzie zamki. Jak we wschodniej Elenii. — Kalten roześmiał się głośno. — Widziałeś dziś rano Berita? Miał kłopoty z dopasowaniem się do swojej zbroi. Nie leży na nim zbyt dobrze.

Berit, grubokościsty nowicjusz w zakonie pandionitów, został awansowany do rangi rzadko przyznawanej w zakonach rycerskich. Przestał być nowicjuszem, a stał się adeptem sztuki rycerskiej. Dzięki temu mógł przywdziać zbroję, choć nie zdobył jeszcze rycerskiego pasa.

— Szybko się przyzwyczai — rzekł Sparhawk. — Kiedy zatrzymamy się na noc, zabierz go na stronę i pokaż mu, jak wyściełać ostre kanty blach, bo zacznie broczyć krwią przez spojenia zbroi. Jednakże bądź dyskretny. Dobrze pamiętam, jak dumni i wrażliwi są młodzieńcy, gdy pierwszy raz przywdzieją pancerz. Przejdzie mu po pęknięciu kilku pęcherzy.

Mistrzowie zawrócili po dotarciu drużyny na wzgórze oddalone o kilka lig od Chyrellos. Wszelkie rady i ostrzeżenia zostały już udzielone, więc nie pozostało nic więcej, jak tylko uścisnąć sobie dłonie i życzyć wzajem powodzenia. Sparhawk wraz z przyjaciółmi odprowadzili czterech mistrzów zakonnych, wracających do Świętego Miasta.

— No tak, teraz jesteście sami... — powiedział Tynian.

— Najpierw się naradźmy — przerwał mu Sparhawk. — Domi! — krzyknął. — Podjedź do nas!

Kring zaraz pojawił się na szczycie wzgórza.

— O ile wiemy — zaczął Sparhawk — Martel sądzi, że pragnieniem boga Azasha jest, abyśmy dojechali bez żadnych przeszkód, ale czy Martel się nie myli? Azash ma wielu sługusów i może ich rzucić przeciwko nam. On nie chce satysfakcji, jaką daje osobista konfrontacja, on pragnie zdobyć Bhelliom. Domi, wystaw zwiadowców. Nie pozwólmy się zaskoczyć.

— Uczynię to natychmiast, dostojny panie — obiecał domi.

— Jeżeli zdarzyłoby nam się spotkać kogoś ze sług Azasha, to trzymajcie się z dala i mnie pozwólcie się nimi zająć. Mam Bhelliom i to mi powinno dać dostateczną przewagę. Kalten wysunął przypuszczenie, że możemy dogonić Martela. Gdyby do tego doszło, bierzcie Martela i Anniasa żywcem. Kościół chce ich postawić przed sądem. Nie sądzę, aby Arissa czy Lycheas stawiali opór, więc ich również pojmycie.

— A Adus? — zapytał żywo Kalten.

— Adus ledwo mówi, więc dla sądu jest bezwartościowy. Możesz go potraktować jako mój osobisty prezent dla ciebie.

Ujechali być może jeszcze jedną ligę, gdy zobaczyli siedzącego pod drzewem Stragena.

— Pomyślałem sobie, że możecie zabłądzić — wycedził herszt złodziei z Emsatu wstając.

— Przyłączasz się do nas na ochotnika? — zaproponował Tynian.

— O nie. Nigdy nie miałem okazji odwiedzić Zemochu i wolę, aby tak pozostało. Prawdę mówiąc, jestem tu jako posłaniec królowej i jej osobisty wysłannik. Jeżeli będzie mi wolno, to pojedę z wami aż do granicy z Zemochem, a potem wrócę do Cimmury i zdam władczyni relację.

— Czy nie spędzasz zbyt wiele czasu z dala od swoich podwładnych? — zapytał Kurik.

— Interes w Emsacie sam się kręci. Tel dogląda moich spraw. I tak potrzebne mi były wakacje. — Poklepał się po swym kubraku. — Ach tak, jest tutaj. — Wyciągnął złożony kawałek pergaminu. — List do ciebie od twojej małżonki, dostojny panie. To pierwszy z kilku, które mam ci wręczać przy odpowiednich okazjach.

Sparhawk odjechał na bok i złamał pieczęć Ehlany na pergaminie.

Umilowany,

nie ma Cię zaledwie od kilku godzin, a ja już tak bardzo za Tobą tęsknię. Stragen wiezie z sobą i inne listy, które mam nadzieję, podtrzymają Cię na duchu

w trudnych chwilach. Pragnę również, abyś dzięki nim zrozumiał, jak wielka jest moja miłość i wiara w Ciebie. Kocham Cię, luby mój Sparhawk.

Ehlana

Sparhawk wrócił do przyjaciół i posłyszał pytanie Kaltena:

— Jak udało ci się nas wyprzedzić?

— Wy jesteście odziani w zbroje, szlachetny panie Kaltenie — odparł Stragen — a ja nie. Zdziwilibyście się, jaki szybki potrafi być koń, gdy nie jest obciążony nadmiarem żelastwa.

— Chyba odeślemy go do Chyrellos — mruknął Uloth.

Sparhawk pokręcił przecząco głową.

— Stragen działa z rozkazu królowej, a to i dla mnie oznacza rozkaz. Pojedzie z nami.

— Muszę zapamiętać, abym nigdy nie zostawał Obrońcą Korony — zdecydował srogi Thalezyjczyk. — Wiązą się z tym najróżniejsze komplikacje i polityka.

Jechali na północny wschód traktem wiodącym do Kadachu. Zachmurzyło się, nie padało jednak tak jak wtedy, gdy byli tu ostatnim razem. Tereny położone wzdłuż granicy bardziej przypominały Pelosię niż Lamorkandię. Na niewielu okolicznych wzgórzach widać było warowne zamki. Jako że nie oddalili się jeszcze od Chyrellos, co raz spotykali klasztory, a płacziwy dźwięk dzwonów niósł się echem przez pola.

— Chmury płyną w złą stronę — zauważył Kurik, gdy siodłali następnego ranka konie. — Wschodni wiatr w środku jesieni nie wróży nic dobrego. Obawiam się, że czeka nas niepogoda, a to nie jest przyjemna wiadomość dla wojsk obozujących na równinach Lamorkandii.

Dosiedli wierzchowców i ruszyli dalej na północny wschód. Wczesnym przedpołudniem Kring i Stragen podjechali do oddziału rycerzy i domi zagadnął Sparhawk:

— Przyjaciel Stragen opowiadał mi trochę o tej Tamulce, Mirtai. Czy miałeś okazję rozmawiać z nią na mój temat, dostojny panie?

— Zdaje się, że przełamałem pierwsze lody — rzekł Sparhawk.

— Tego się obawiałem. Historie zasłyszane od Stragena wzbudziły we mnie pewne wątpliwości.

— Tak?

— Czy wiedziałeś, że Mirtai ma do łokci i kolan przywiązane noże?

— Wiedziałem.

— Jak rozumiem, przy każdym zgięciu ręki lub nogi te noże wystają.

— Myślę, że o to właśnie chodzi.

— Stragen mówił, że raz, gdy była nieledwie dzieckiem, zaczepiło ją trzech rzezimieszków. Zgięła ramię i poderznęła jednemu gardło, następnemu wbiła ko-

lano w krocze, a trzeciego zwała pięścią z nóg i wbiła mu nóż w serce. Nie jestem do końca przekonany, czy chciałbym ją za żonę. A co usłyszałeś, gdy powiedziałaś jej o mnie?

— Niestety, tylko się roześmiała.

— Roześmiała?! — Kring był do głębi poruszony.

— Domyślam się, że raczej nie jesteś w jej typie.

— Śmiała się?! Ze mnie?!!

— Uważam, że podjąłeś mądrą decyzję, przyjacielu — rzekł Sparhawk. — Nie wydaje mi się, byście do siebie pasowali.

Kringowi oczy omal nie wyszły z orbit.

— Śmiała się ze mnie, tak?! — kipiał oburzeniem. — No to zobaczymy! — rzucił, po czym zawrócił konia i odjechał do dzikich Peloi.

— Wszystko byłoby dobrze, gdybyś nie powiedział o tym śmiechu — zauważył Stragen. — Teraz dalej będzie się za nią uganiał. Nawet go lubię i wolę nie myśleć o tym, co Mirtai mu robi, gdy będzie zbyt natarczywy.

— Może uda nam się ostudzić jego zapały — wyraził przypuszczenie Sparhawk.

— Nie liczyłbym na to.

— Stragenie, co ty właściwie robisz w południowych królestwach?

Stragen umknął wzrokiem i jął obserwować pobliski klasztor.

— Chcesz znać prawdę? Czy też dasz mi chwilę czasu na wymyślenie jakiejś historyjki?

— Może zaczęlibyśmy od prawdy? Jeżeli mi się nie spodoba, będziesz mógł coś zmyślić.

Stragen rzucił rycerzowi spojrzenie z ukosa.

— Zgoda, dostojny panie, a więc słuchaj. W Thalesii jestem fałszywym arystokratą, tutaj — niemal prawdziwym. Przestaję z królami i królowymi, a także wyższym duchowieństwem na prawie równej stopie. Nie mam złudzeń co do własnej osoby, więc bądź spokojny o moje zdrowe zmysły, dostojny panie. Wiem, kim jestem. Bękartem i łajdakiem. Zdaję sobie sprawę z tego, że moje zbratanie z tutejszą szlachtą jest jedynie chwilowe i wiąże się z moją użytecznością. Jestem tolerowany, a nie naprawdę akceptowany. Jednakże to zadowala moją dumę.

— Zauważyłem. — Sparhawk uśmiechnął się lekko.

— Po co ta uszczypliwość, dostojny panie? Jestem skłonny pogodzić się z tą chwilową pozorną równością choćby tylko dla możliwości prowadzenia wykwintnej konwersacji. Sam chyba rozumiesz, że towarzystwo złodziei i wszetecznych dziewczek nie zadowoli kulturalnego człowieka. Oni potrafią rozmawiać jedynie o sprawach zawodowych. Czy przysłuchiwałeś się kiedy ładacznicom rozprawiającym z zajęciem o swoich sprawach?

— Nie.

Stragen wzdrygnął się ze wstrętem.

— To odrażające. One mówią otwarcie o tajemnicach alkowy!

— Zdajesz sobie sprawę, Stragenie, że wkrótce przyjdzie czas, kiedy przestaniesz być potrzebny szlachetnie urodzonym i ludzie znowu zaczną zamykać przed tobą drzwi.

— Zapewne masz słuszość, ale przyjemnie jest jeszcze trochę poudawać. A gdy już będzie po wszystkim, będę miał jeszcze większy powód, aby wami gardzić, wy śmierdzący arystokraci. — Stragen przerwał. — Niemniej chyba cię lubię, dostojny panie. Przynajmniej na razie.

Jadąc wciąż na północny wschód, zaczęli spotykać grupy zbrojnych mężów. Lamorkandzycy żyli w ciągłej świadomości śmiertelnego zagrożenia i możliwości powszechnej mobilizacji, więc byli w stanie szybko odpowiedzieć na królewski rozkaz powołania do armii. Jak niegdyś, przed pięcioma wiekami, ludzie ze wszystkich zachodnich królestw Eosii ciągnęli na pole bitwy w Lamorkandii.

Sparhawk i Ulath zabijali czas rozmową w języku trolli. Co prawda Sparhawk nie wiedział, czy nadarzy mu się okazja rozmowy z trollem, ale skoro poznał ich język, rad ćwiczył tę umiejętność, choć nabył ją drogą magii.

Do Kadachu dotarli u schyłku dnia. Słońce naznaczyło chmury na zachodzie pomarańczową poświatą, przypominającą odległy pożar lasu. Od wschodu wiał ostry wiatr, który niósł z sobą pierwsze chłodne powiewy zwiastujące nadejście zimy. Kadach był miastem posepnym, szarym, otoczonym murami i zdecydowanie nieprzyjemnym. Kring życzył rycerzom dobrej nocy i, jak to weszło już w zwyczaj, wyprowadził oddział dzikich Peloi wschodnią bramą za miasto, gdzie na pobliskich polach rozbili obóz. Peloi źle się czuli uwięzieni w miastach, pośród murów, zamkniętych pomieszczeń i dachów.

Sparhawk wraz z przyjaciółmi znalazł wygodny zajazd w pobliżu głównego rynku. Członkowie wyprawy wykąпали się, zmienili odzienie i zeszli do wspólnej izby na wieczerzę, składającą się z gotowanej szynki i warzyw. Sephrenia jak zwykle zrezygnowała z wieprzowiny.

— Nigdy nie zrozumiem, czemu ludzie gotują tak doskonałą szynkę — zauważył Bevier z niesmakiem.

— Lamorkandzycy przesalają mięso w trakcie konserwowania — wyjaśnił Kalten. — Lamorkandzka szynka nie nadaje się do jedzenia, jeśli jej długo nie pogotujesz. W tym kraju mieszkają dziwni ludzie. Starają się ze wszystkiego zrobić akt odwagi, nawet z jedzenia.

— Pójdźmy na przechadzkę, Sparhawk — zaproponował Kurik swemu panu po wieczerzy.

— Myślę, że na dzisiaj mam dosyć ruchu.

— Chyba chcesz wiedzieć, którądy pojechał Martel?

— Racja. A więc dobrze, Kuriku, chodźmy trochę powęszyć.

Wyszli obaj na ulicę i Sparhawk rozejrzał się dookoła.

— Zajmie nam to pewnie z pół nocy — powiedział.

— Gdzież tam! — zaprzeczył Kurik. — Najpierw udamy się w okolice wschodniej bramy, a jeżeli tam niczego się nie dowiemy, spróbujemy przy północnej.

— Zaczniemy po prostu przepytwać ludzi na ulicach?

Kurik westchnął.

— Rusz głową, Sparhawk. Ludzie, którzy udają się w podróż, zwykle wyruszają skoro świt. W tym samym czasie inni śpieszą do pracy, a wielu spośród nich wypija swe śniadanie, więc gospody są zwykle otwarte. Oberżyci w oczekiwaniu na pierwszych klientów bacznie obserwują przechodniów. Wierz mi, jeżeli Martel opuścił Kadach w ciągu ostatnich trzech dni, to widziała go przynajmniej połowa oberżystów.

— Jesteś niezwykle mądry, Kuriku.

— Ktoś z nas musi być bystry, dostojny panie. Rycerze nie poświęcają wiele czasu na myślenie.

— Odzywają się twoje uprzedzenia klasowe.

— Chyba nikt z nas nie jest pozbawiony drobnych wad.

Właściciel pierwszej gospody, w której spróbowali szczęścia, sam zdawał się swym najlepszym klientem i absolutnie nie miał pojęcia, o jakiej porze zwykle otwiera, a nawet zapytał Kurika, czy teraz jest dzień czy noc. Drugi oberżysta był z gatunku nieprzyjaznych, którzy porozumiewają się jedynie chrząknięciami. Jednakże trzeci okazał się gadatliwym staruszkiem skorym do rozmowy.

— No cóż — powiedział drapiąc się po łysinie — zobaczymy, czy coś sobie przypomnę. Mówicie, że chodzi o ostatnie trzy dni?

— Tak, coś koło tego — rzekł Kurik. — Mieliśmy spotkać się tu z przyjacielem, aleśmy zmitrężyli w drodze i wygląda na to, że ruszył bez nas.

— Czy mógłbyś go jeszcze raz opisać?

— Mąż słusznego wzrostu. Mógł mieć na sobie zbroję, lecz nie musiał. Jeżeli głowę miał odkrytą, pewnie wpadł ci w oko. Jego włosy są zupełnie białe.

— Zdaje się, że nie przypominam sobie nikogo takiego. Może wyjeżdżał inną bramą.

— Tak, to możliwe, ale my jesteśmy niemal przekonani, że pojechał na wschód. Może opuścił miasto, nim otworzyłeś gospodę.

— To raczej niepodobna. Otwieram drzwi równo ze strażnikami otwierającymi bramę. Niektórzy z pracujących w mieście mieszkają poza murami i zwykle rano mam paru gości. Czy wasz przyjaciel podróżował samotnie?

— Nie. Miał z sobą duchownego i niewiastę arystokratycznego pochodzenia. Był z nim również młodzieniec wyglądający na głupca i potężny, krzepki mężczyzna z podobnym do goryla obliczem.

— Och, o nich ci chodzi! Trzeba mi było od razu wspomnieć o tym z małpią twarzą. Jechali tędy wczoraj tuż przed świtem. Ten gorylowaty, o którym wspominałeś, zeskoczył z konia i przyszedł tu, krzycząc głośno o piwo. Nie jest jednak

zbyt składowy w mowie.

— Zwykle pół dnia zajmuje mu wymyślenie odpowiedzi na rzucone przez kogoś „dzień dobry”.

Staruszek zachichotał piskliwie.

— To on, z całą pewnością. Ten gość nie pachnie najlepiej, co?

Kurik potoczył do oberżysty monetę po kontuarze.

— Czy ja wiem — uśmiechnął się nie pachnie dużo gorzej od otwartego szamba. Dziękujemy za informację, przyjacielu.

— Myślicie, że uda wam się ich dogonić?

— O tak, na pewno ich dogonimy — odparł Kurik żarliwie — wcześniej czy później. Czy był z nimi ktoś jeszcze?

— Nie. Tylko ich pięcioro. Oprócz tego goryla, wszyscy mieli głowy otulone kapturami. To pewnie dlatego nie zauważyłem twego przyjaciela z białymi włosami. Jechali dość ostrym tempem, więc jeżeli chcecie ich dogonić, te musicie popędzać konie.

— Uczynimy tak, przyjacielu. Jeszcze raz dzięki.

Kurik wraz ze Sparhawkiem wrócili na ulicę.

— Czy tego mniej więcej chciałeś się dowiedzieć, dostojny panie? — zapytał giermek.

— Ten staruszek był kopalnią złota. Wiemy, że doganiamy Martela, że nie ma z nim żadnego wojska i że jedzie w kierunku Moterry.

— Wiemy także coś jeszcze.

— Co takiego?

— Adus nadal potrzebuje kąpieli.

Sparhawk wybuchnął śmiechem.

— Adus zawsze potrzebował kąpieli. Będziemy chyba musieli wylać na niego z beczkę wody przed pogrzebem. W przeciwnym razie ziemia go nie przyjmie i po prostu wypluje z powrotem. Wracajmy do zajazdu.

Po wejściu do wspólnej izby stwierdzili, że ich grupa nieznacznie się powiększyła. Za stołem siedział z niewinnym wyrazem twarzy Talen, skupiając na sobie kilka natarczywych spojrzeń.

Rozdział 21

— Jestem posłańcem królewskim — zastrzegł się szybko chłopiec, gdy Sparhawk i Kurik podeszli do stołu — więc niech żaden z was nie sięga po pas.

— Jesteś królewskim czym? — zapytał Sparhawk.

— Przynoszę ci wiadomość od królowej.

— Zobaczmy więc tę wiadomość.

— Nauczyłem się jej na pamięć. Nie chcielibyśmy chyba, aby list wpadł w niepowołane ręce, prawda?

— No dobrze. A zatem słuchamy.

— To raczej prywatna wiadomość, dostojny panie.

— Nic nie szkodzi. Jesteśmy wśród przyjaciół.

— Nie rozumiem, czemu tak na mnie podejrzliwie patrzysz, dostojny panie.

Ja spełniłem jedynie rozkaz królowej.

— Wiadomość, Talenie.

— Królowa jest gotowa do powrotu do Cimmury.

— To miło — stwierdził Sparhawk bez entuzjazmu.

— I bardzo martwi się o ciebie.

— Jestem wzruszony.

— Jakkolwiek sama czuje się dobrze — lawirowanie szło Talenowi coraz bardziej nieskładnie.

— Rad to słyszę.

— Królowa... hm... powiedziała, że cię miłuje.

— I?

— No cóż, to już naprawdę wszystko.

— To dziwnie ułożona wiadomość, Talenie. Może coś pominąłeś? Spróbuj powtórzyć wszystko jeszcze raz.

— A więc tak... eee... królowa rozmawiała z Mirtai i Platimem, no i oczywiście ze mną... otóż powiedziała, że pragnęłyby ci jakoś przekazać wiadomość o tym, co robi i jak się czuje.

— Powiedziała to do ciebie?

— No nie, ale byłem w komnacie, gdy to mówiła.

— A zatem słusznie powątpiewamy, czy rozkazała ci tu przyjechać, tak?
— Pozwolisz mnie z nim porozmawiać? — odezwała się cicho Sephrenia.
— Proszę bardzo — rzekł Sparhawk. — Już dowiedziałem się tego, co chcia-
łem.

— Być może tak, być może nie — powiedziała czarodziejka zagadkowo. Na-
stępnie zwróciła się do chłopca. — Talenie, co się stało? To najbardziej nieskład-
na opowieść, jaką kiedykolwiek od ciebie usłyszałam. Twoja historia jest zupełnie
bez sensu, szczególnie biorąc pod uwagę fakt, że królowa w podobnym celu przy-
słała już Stragena. Czy naprawdę nie potrafisz wymyślić nic lepszego?

Chłopiec patrzył na Sephrenię zmieszany.

— To nie jest kłamstwo. Przekazałem dokładnie słowa królowej.

— Z pewnością, ale czy śpieszyłeś tutaj, aby powtórzyć kilka ckliwych uwag?

Talen sprawiał wrażenie trochę oszołomionego. Wtem Sephrenia poczęła łąjąc
po styricku Aphrael.

— Czegoś tu nie rozumiem. — Kalten zakłopotany wstał od stołu.

— Za chwilę ci wyjaśnię — uspokajała go Sephrenia. — Talenie, masz prze-
cież nadzwyczajny talent do wymyślania na poczekaniu kłamstw. Co się z tobą
stało? Czemu nie skłamałeś czegoś, co choćby trochę bardziej było prawdopo-
dobne?

Chłopiec wiercił się w krześle, trochę zawstydzony.

— Nie wydawało mi się to właściwe — mruknął ponuro.

— Czujesz, że nie powinienes okłamywać przyjaciół, czy tak?

— Zdaje się, że coś w tym rodzaju.

— Bogu niech będą dzięki! — wykrzyknął Bevier z nadzwyczajną żarliwo-
ścią.

— Nie śpiesz się ze wznoszeniem dziękczynnych modlitw, Bevierze — czaro-
dziejka zgasiła zapał cyrinity. — Nawrócenie Talena na uczciwą drogę jest jedynie
pozorne. W to maczała palce Aphrael, a ona jest straszną kłamczuchą. Tu chodzi
o jej przeświadczenia.

— Mała Flecik? — zapytał Kurik. — Po cóż przysłała nam do towarzystwa
Talena?

— Któż to wie? — roześmiała się Sephrenia. — Może darzy go sympatią.
Może dlatego, że lubuje się w symetrii. A może powód jest inny — może Aphrael
chce, by Talen coś uczynił.

— A więc tak naprawdę to nie była moja wina? — zapytał chłopak z nadzieją.

— Prawdopodobnie nie. — Czarodziejka uśmiechnęła się do złodziejaszka.

— Czuję się już lepiej. Wiedziałem, że nie spodoba wam się mój przyjazd
i świadomość tego niemal mnie dławiała. Powinienes przy okazji dać jej klapsa,
dostojny panie Sparhawk.

— Czy wiesz, o czym oni mówią, szlachetny panie? — zwrócił się Stragen do
Tyniana.

— Ależ tak — odparł alcjonita. — Kiedyś ci to wyjaśnię. Nie uwierzysz mi, ale ja i tak ci wyjaśnię.

— Sparhawk, czy dowiedzieliście się czegoś o Martelu? — Kalten zmienił temat.

— Wczoraj wczesnym rankiem wyjechał z miasta przez wschodnią bramę.

— A zatem zbliżyliśmy się do niego. Wyprzedza nas tylko o dwa dni. Czy ma z sobą jakieś wojsko?

— Jedynie Adusa — odpowiedział Kurik.

— Sparhawk, chyba nadszedł czas, abyś im wszystko wyjawiał — rzekła czarodziejka poważnie.

— Masz rację, mateczko. — Rycerz wziął głęboki oddech. — Obawiam się, przyjaciele, że nie byłem w stosunku do was zupełnie szczery — przyznał.

— To przecież nic nowego, prawda? — zapytał Kalten.

Sparhawk puścił tę uwagę mimo uszu.

— Odkąd opuściłem grootę Ghweriga w Thalesii, jestem śledzony.

— Ten kusznik? — domyślił się Ulath.

— On również mógł być zamieszany, ale nie mogę tego stwierdzić. Kusznik — i ludzie, którzy dla niego pracowali — pewnie słuchał rozkazów Martela. Nie wiem, czy nadal stanowi dla nas zagrożenie. Ten, który był za to odpowiedzialny, już nie żyje.

— Kto to był? — spytał Tynian z przejęciem.

— To nie ma szczególnego znaczenia. — Sparhawk postanowił utrzymać w tajemnicy udział Perraina. — Martel ma sposoby, aby nakłonić ludzi do posłuchu. Poznaliśmy powód, dla którego oddzieliliśmy się od głównych sił sprzymierzonych armii. Nie mogliśmy skutecznie i szybko działać, większość czasu poświęcając na osłanianie tyłów przed atakami ukrytych wrogów.

— Skoro nie kusznik, kto zatem nas śledził? — nalegał Ulath.

Sparhawk opowiedział o cieniu, który prześladował go już od miesiąca.

— I sądzisz, że to Azash? — domyślił się Tynian.

— Owszem, tak sądzę.

— Skąd Azash wiedział, gdzie była grota Ghweriga? — zapytał Bevier. — Ten cień podąża za tobą, odkąd opuściłeś jaskinię, więc jakim sposobem Azash tam cię znalazł?

— Ghwerig, nim Sparhawk go zabił, zdążył naubliżyć Azashowi — odpowiedziała Sephrenia. — Pewne fakty świadczyły o tym, że Azash usłyszał trolla.

— Jakiego rodzaju były to obelgi? — zaciekał się Ulath.

— Ghwerig straszył, że ugotuje Azasha i go zje — wyjaśnił krótko Kurik.

— Śmiała groźba, nawet jak na trolla — zauważył Stragen.

— Nie warto podziwiać odwagi Ghweriga — mruknął Ulath. — W swojej grocie był zupełnie bezpieczny, a przynajmniej ze strony Azasha nic mu nie groziło.

Jak się jednak okazało, jaskinia w niedostępnych górach nie była bezpiecznym schronieniem przed dostojnym panem Sparhawkiem.

— Czy któryś z was mógłby to wyjaśnić trochę dokładniej? — poprosił Tynian. — Wy, Thalezyjczycy, jesteście ekspertami jeżeli chodzi o trolle.

— Nie jestem pewien, na ile uda nam się to jaśniej przedstawić — powiedział Stragen. — Wiemy o trollach więcej niż inni Eleni, ale niezbyt dużo. — Roześmiał się. — Nasi przodkowie, którzy pierwsi przybyli do Thalesii, nie potrafili odróżnić trolla od ogra czy niedźwiedzia. Wiemy to, co powiedzieli nam Styrycy. W niedługi czas po pojawieniu się Styryków na terenie Thalesii Młodszy Bogowie Styricum kilkakrotnie walczyli z bogami trolli. Bogowie trolli szybko zdali sobie sprawę z miażdżącej przewagi swych przeciwników i zeszli w podziemia. Jak mówią legendy, szukając kryjówek zwrócili się o pomoc do Ghweriga. Powszechnie wierzy się, że są gdzieś w grocie Ghweriga, a Bhelliom ochrania ich przed bogami Styricum. Czy tak to było, szlachetny panie Ulathu?

Genidianita skinął głową.

— Moc Bhelliomu wraz z mocą bogów trolli to potęga, wobec której nawet Azash musi trzymać się na baczności. Pewnie dlatego Ghwerig pozwalał sobie na rzucanie gróźb.

— Ilu jest bogów trolli? — zapytał Kalten.

— Pięciu, prawda, szlachetny panie Ulathu? — upewnił się Stragen. Genidianita ponownie skinął głową.

— Bóg jedzenia — zaczął wyliczać — bóg zabijania, bóg... — przerwał i rzucił Sephrenii lekko zażenowane spojrzenie — nazwijmy go po prostu bogiem płodności. Potem jest jeszcze bóg lodu — zdaje się, że włada wszystkimi typami pogody — i bóg ognia. Trolle mają bardzo nieskomplikowaną wizję świata.

— A zatem Azash wiedział, że dostojny pan Sparhawk opuścił grotę wraz z Bhelliomem i pierścieniami — rzekł Tynian — i pewnie zaczął go śledzić.

— Z nieprzyjaznymi zamiarami — dodał Talen.

— Robił to już wcześniej. — Kurik wzruszył ramionami lekceważąco. — Wyśłał damorka, aby gonił Sparhawka po całym Rendorze, i szukacza, który próbował nas dopaść w Lamorkandii. Jego posunięcia można przewidzieć.

— Myślę, że coś przegapiliśmy — powiedział Bevier, marszcząc brwi.

— Mianowicie co? — zapytał Kalten.

— Mam to na końcu języka — przyznał Bevier — i jest to chyba coś bardzo ważnego.

O świcie następnego ranka opuścili Kadach i udali się na wschód, w kierunku Moterry. Pochmurna pogoda i niewesołe rozmowy, jakie wiodli poprzedniego wieczoru, sprawiły, że wszyscy byli przygnębieni. Jechali w milczeniu. Około południa Sephrenia zaproponowała postój.

— Moi drodzy — odezwała się stanowczym tonem — dlaczego jesteście tacy posępni? Przecież nie bierzecie udziału w pogrzebie.

— W tym względzie możesz się mylić, mateczko — rzekł Kalten. — Nie znajduję niczego, co mogłoby mnie podnieść na duchu po wczorajszej dyskusji.

— Znajdźmy sobie bardziej pokrzepiające tematy do rozmyślań — zaproponowała czarodziejka. — Jedziemy na spotkanie śmiertelnego niebezpieczeństwa. Nie pogarszajmy sprawy ponurym nastrojem. Ludzie przeświadczeni o konieczności przegranej zwykle istotnie przegrywają.

— Dużo w tym racji — przyznał Ulath. — Jeden z moich braci zakonnych z Heidu jest święcie przekonany, że każdy zestaw kości do gry jest wrogo do niego usposobiony. Nie przypominam sobie, czy chociaż raz wygrał.

— Jeżeli grał twoimi kośćmi, to nawet wiem dlaczego — skrzywił się Kalten.

— Dotknąłeś mnie do żywego, panie Kaltenie — oświadczył Ulath.

— Wystarczająco, byś wyrzucił te kości?

— Nie aż do tego stopnia. Jednakże mieliśmy mówić o czymś pokrzepiającym.

— Moglibyśmy znaleźć jakąś przydrożną gospodę i upić się na umór — rzekł z nadzieją w głosie Kalten.

— Nie. — Ulath pokręcił głową. — Stwierdziłem, że piwo jeszcze pogarsza zły nastrój. Po czterech czy pięciu godzinach picia wszyscy płakalibyśmy rzewnie do kufli.

— Śpiewajmy lepiej psalmy — namawiał Bevier.

Kalten i Tynian wymienili spojrzenia, po czym obaj ciężko westchnęli.

— Czy opowiadałem ci kiedykolwiek o czasach spędzonych w Cammorii i o pewnej damie z wyższych sfer, która się we mnie rozkochała? — zaczął Tynian.

— Nie przypominam sobie — odparł pośpiesznie Kalten.

— A więc, o ile dobrze pamiętam. . .

Tynian wiódł długą, zajmującą i barwną historię, prawdopodobnie całkowicie zmyśloną. Potem Ulath zabrał głos i opowiedział o nieszczęsnym genidianie, który wzbudził namiętność w sercu ogrycy. Kiedy naśladował ryki porażonego miłością potwora, słuchacze pękali ze śmiechu. Wesołe opowieści poprawiły im nastrój na tyle, że gdy nadszedł czas nocnego postoju, wszyscy czuli się znacznie lepiej.

Pomimo częstych zmian koni dotarcie do Moterry zajęło im dwanaście dni. Miasto, położone na podmokłej równinie rozciągającej się od zachodniej odnogi rzeki Geras, nie miało wielkiego uroku. Do jego bram przybyli około południa. Sparhawk wraz z Kurikiem ponownie udali się na poszukiwanie informacji, reszta oporządzała konie, przygotowując się do jazdy na północ, w kierunku Paleru. Nie zamierzali nocować w Moterze, jako że nadal mieli do dyspozycji kilka godzin dziennego światła.

— Czegoście się dowiedzieli? — zapytał Kalten, gdy Sparhawk z giermkim wrócili na miejsce postoju.

— Martel pojechał na północ — odrzekł Sparhawk.

— Wciąż jedziemy jego tropem — uradował się Tynian. — Czy zyskaliśmy choć trochę na czasie?

— Nie — odpowiedział Kurik. — Ciągle jeszcze wyprzedza nas o dwa dni.

— Cóż... — Tynian wzruszył ramionami. — Gońmy go dalej. I tak tamtędy jedziemy...

— Jak daleko jest do Paleru? — zapytał Stragen.

— Sto pięćdziesiąt lig — odparł Kalten. — Przynajmniej piętnaście dni jazdy.

— Jesień się kończy — westchnął Kurik. — W górach Zemochu z pewnością natkniemy się na śnieg.

— Pokrzepiająca myśl. — Kalten spojrział na giermka spode łba.

— Zawsze należy wiedzieć, czego się spodziewać.

Niebo nadal się chmurzyło, choć powietrze było chłodne i suche. Mniej więcej w połowie drogi zaczęli natykać się na głębokie rowy i kopce usypane z ziemi, pozostawione przez poszukiwaczy skarbów, którzy wiekowe pole bitwy nad jeziorem Randera zmienili w pustkowie. Widzieli kilku z nich, ale przejechali spokojnie.

Być może dlatego, że znajdowali się na otwartej przestrzeni, a nie w oświetlonej świecami komnacie, groźny cień, który Sparhawk dostrzegł kątem oka, tym razem nie znikał. Było późne popołudnie posepnego dnia. Jechali przez pozbawioną śladów życia okolicę, pradawne pole bitwy zryte motykami. Wtem Sparhawk zauważył znajome mignięcie ciemności i poczuł chłodny dreszcz. Odwrócił się nieznacznie i spojrział na cień, który go od tak dawna prześladował. Wstrzymał Farana.

— Sephrenio — powiedział cicho.

— Słucham?

— Chciałaś to zobaczyć. Myślę, że jeżeli powoli się odwrócisz, będziesz mogła napatrzeć się do woli. Jest tuż za tą dużą kałużą mulistej wody.

Czarodziejka spojrzała we wskazanym kierunku.

— Widzisz? — zapytał rycerz.

— Całkiem wyraźnie, mój drogi.

— Przyjaciele — Sparhawk zatrzymał drużynę — zdaje się, że nasz mroczny towarzysz wyszedł z ukrycia. Jest tam, sto pięćdziesiąt kroków za nami.

Wszyscy odwrócili głowy.

— Z wyglądu przypomina chmurę, prawda? — zauważył Kalten.

— Nigdy nie widziałem takiej chmury. — Talen wzdrygnął się gwałtownie.

— Ale ciemna, co?

— Czemu postanowiło nie kryć się dłużej? — zapytał półgłosem Ulath.

Wszyscy spojrzeli na Sephrenię oczekując wyjaśnienia.

— Mnie o to nie pytajcie, moi drodzy — powiedziała bezradnie czarodziejka.
— Coś musiało się zmienić.

— Hm, przynajmniej teraz wiemy, że Sparhawk nie miał przywidzeń — rzekł Kalten. — Co z tym zrobimy?

— A co możemy zrobić? — mruknął Ulath. — W walce z chmurami na niewiele się zdadzą topory i miecze.

— Co zatem proponujesz?

— Nie zwracać uwagi. To królewski trakt, więc chyba to coś ma prawo nim podążać.

Następnego ranka nigdzie nie dostrzegli już chmury.

Jesień miała się ku końcowi, gdy wjechali do Paleru. Zgodnie ze swym zwyczajem domi Kring i jego ludzie rozbili obóz za murami, a Sparhawk wraz z pozostałymi członkami wyprawy udał się do zajazdu, który znali z poprzednich wizyt w tym mieście.

— Wielcem rad, że znowu tu zawitaliście, szlachetni rycerze — ucieszył się właściciel zajazdu, gdy ujrzał na schodach pandionitę w czarnej zbroi.

— I myśmy radzi z powrotu do Paleru — rzekł Sparhawk nieszczerze. — Jak daleko stąd do wschodniej bramy? — zapytał. Nadszedł czas popytać o Martela.

— Trzy przecznice, dostojny panie.

— Niedaleko. — Wtem Sparhawk tknęła pewna myśl. — Miałem zamiar pójść rozpytywać w okolicy o mojego przyjaciela, który przejeżdżał przez Paler ze dwa dni temu. Czy nie mógłbyś oszczędzić mi czasu, ziomku?

— Uczynię co w mej mocy, dostojny panie.

— Mój przyjaciel ma białe włosy i podróżuje w towarzystwie atrakcyjnej damy i kilku innych osób. Może zatrzymali się w twoim zajeździe?

— Ależ tak, dostojny panie! Istotnie byli moimi gośćmi. Dowiadywali się o drogę do Vilety — choć to przecież strach jechać w tym czasie do Zemochu.

— Mój przyjaciel ma tam coś do załatwienia, a zawsze był popędliwy i lekkomyślny. Czy nie mam racji mówiąc, że zatrzymał się tu dwa dni temu?

— Dokładnie dwa dni, dostojny panie. Ze stanu ich koni wnioskuję, iż bardzo się śpieszyli.

— Pamiętasz może, w której izbie się zatrzymał?

— W tej, w której nocuje dama z waszego towarzystwa, dostojny panie.

— Dziękuję, ziomku. Nie chcielibyśmy stracić śladu naszego przyjaciela.

— Twój przyjaciel, dostojny panie, był dość miły, ale za jego wielkim towarzyszem nie tęskniłbym zbyt. A może on zyskuje przy bliższym poznaniu?

— Nie na tyle, by to zauważyć. Jeszcze raz dzięki.

Sparhawk ruszył schodami na górę i zapukał do drzwi Sephrenii.

— Wejdz, Sparhawk — usłyszał głos czarodziejki.

— Proszę, nie rób tego, mateczko — powiedział rycerz po wejściu do izby.

— Czego?

— Nie mów do mnie po imieniu, nim mnie zobaczysz. Przynajmniej udawaj, że nie wiesz, kto jest za drzwiami.

Czarodziejka roześmiała się tylko.

— Martel przejeżdżał tędy dwa dni temu — ciągnął Sparhawk. — Zatrzymał się w tej właśnie izbie. Czy moglibyśmy to jakoś wykorzystać?

Sephrenia zastanawiała się przez chwilę.

— Owszem. A co chcesz osiągnąć?

— Chciałbym dowiedzieć się, jakie mają plany. Wie, że depczemy mu po piętach i pewnie będzie próbował zyskać na czasie. Chciałbym poznać szczegóły zasadzek, jeśli je planuje. Czy mogłabyś sprawić, mateczko, bym go zobaczył lub przynajmniej usłyszał?

Czarodziejka pokręciła głową.

— Jest już zbyt daleko od nas. . . ale chyba nadszedł czas posłużyć się Bhelliomem. Musisz go bliżej poznać.

— Co masz na myśli?

— Istnieje jakiś związek pomiędzy szafirową różą, bogami trolli i pierścieniami. Zbadajmy to.

— Po co w ogóle mieszać w to bogów trolli? Jeżeli masz mnie nauczyć posługiwania się Bhelliomem, dlaczego tego po prostu nie uczynisz bez wplątywania w to bogów trolli?

— Nie jestem pewna, czy Bhelliom nas zrozumie; a jeżeli będzie nam posłuszny, to nie wiem, czy my zrozumiemy, co on uczyni, by spełnić naszą wolę.

— Przecież zawałił grootę Ghweriga, prawda?

— To było bardzo proste zadanie. Tym razem sprawa jest trochę bardziej skomplikowana. Zacznij od rozmowy z bogami trolli. Będzie ci łatwiej, a chciałybym się dowiedzieć, jak bardzo są związani z Bhelliomem oraz na ile możesz za jego pomocą sprawować nad nimi władzę.

— Innymi słowy chcesz prowadzić badania naukowe.

— Możesz to tak nazwać. Lepiej przeprowadzić próbę teraz, gdy jesteśmy bezpieczni, niż później, gdy może od tego zależeć nasze życie. Zamknij drzwi. Nie narażajmy innych na niespodzianki.

Sparhawk zaryglował drzwi, a czarodziejka mówiła dalej:

— Podczas rozmowy z bogami trolli nie będziesz miał czasu na myślenie, mój drogi, więc rozważ wszystko, nim zaczniemy. Będziesz jedynie wydawał komendy i nic poza tym. Nie zadawaj pytań i nie próbuj szukać wyjaśnień. Powiedz im po prostu, co mają wykonać i nie kłopotz się, jak tego dokonają. Chcemy zobaczyć i usłyszeć człowieka, który był w tej izbie dwie noce temu. Każ po prostu, aby umieścili jego wizerunek. . . — rozejrzała się po izbie, po czym wskazała na palenisko — . . . w tym ogniu. Powiedz Bhelliomowi, że chcesz rozmawiać z jednym z bogów trolli — z Khwajem, bogiem ognia. Jego należy wezwać, gdy w grę

wchodzą płomienie i dym. — Sephrenia najwyraźniej dużo wiedziała o bogach trolli.

— Khwaj — powtórzył Sparhawk i ni stąd, ni zowąd zapytał: — Jak się nazywa bóg jedzenia?

— Ghnomb. Dlaczego cię to interesuje?

— Jeszcze nie wiem. Ciągłe nad tym myślę. Jeśli zdołam sobie wszystko pokładać w głowie, chciałbym czegoś spróbować.

— Nie improwizuj. Wiesz, że nie lubię być zaskakiwana. Zdejmij rękawice i wyciągnij Bhelliom z sakiewki. Nie wypuść go z dłoni i pamiętaj, aby cały czas dotykały go pierścienie. Czy nadal pamiętasz mowę trolli?

— Tak. Ćwiczyliśmy z panem Ulathem.

— Dobrze. Do Bhelliomu możesz zwracać się w języku Elenów, ale Khwaj by cię nie zrozumiał. Opowiedz mi w mowie trolli, co dziś robięś.

Początkowo Sparhawk jąkał się, ale po kilku chwilach zaczął mówić płynnie. Różnica między językiem Elenów a mową trolli polega na zasadniczej różnicy w sposobie myślenia. Język trolli odzwierciedla ich sposób patrzenia na świat i służy do wyrażania tylko najbardziej prymitywnych pojęć i uczuć całkowicie obcych dla Elenów.

Sephrenia słuchała uważnie i wreszcie uznała, że Sparhawk zdał egzamin.

— Mój drogi, podejź do ognia i zaczynajmy. Bądź stanowczy. Nie wahaj się i niczego nie wyjaśniaj. Po prostu rozkazuj.

Rycerz ściągnął rękawice. Krwiście czerwone pierścienie na jego dłoniach zapłonęły w blasku ognia. Sięgnął pod wierzchnią szatę po sakiewkę. Oboje z Sephrenią stanęli przed paleniskiem i spojrzeli w trzaskające płomienie.

— Otwórz woreczek — poleciała czarodziejka.

Sparhawk rozwiązał supty.

— Wyciągnij Bhelliom i rozkaż, niech sprowadzi do ciebie Khwaja. Potem powiedz Khwajowi, czego od niego żadasz. Nie musisz wyrażać się zbyt jasno. Khwaj zrozumie twe myśli. Módl się, abyś ty nigdy nie zrozumiał jego myśli.

Sparhawk odetchnął głęboko i położył sakiewkę na gzymsie kominka.

— Do dzieła — powiedział, po czym otworzył woreczek i wyciągnął Bhelliom. Szafirowa róża była w dotyku zimna jak lód. Uniósł ją, starając się nie dopuszczać do siebie uczucia trwogi. — Błękitna Rózo! Sprowadź do mnie głos Khwaja!

Przez klejnot przebiegło dziwne drżenie i w głębi szafirowych płatków pojawiła się jaskrawoczerwona plamka. Nagle Bhelliom zrobił się gorący.

— Khwaj! — warknął Sparhawk w mowie trolli. — Jam jest Sparhawk z Elenii. Mam pierścienie. Khwaj musi mi być posłuszny.

Bhelliom zadrżał mu w dłoniach.

— Szukam Martela z Elenii — ciągnął Sparhawk. — Martel z Elenii był w tym miejscu dwie noce temu. Khwaj ukaże w płomieniach to, co Sparhawk z Elenii

pragnie ujrzeć. Khwaj sprawi, że Sparhawk z Elenii usłyszy to, co pragnie usłyszeć. Khwaj będzie posłuszny! Teraz!

Rozległo się słabo słyszalne wycie wściekłości, jakby dobiegało z przepastnej głębi pełnej ech; wycie stłumione trzaskiem potężnego ognia. Płomienie tańczące w kominku na dębowych polanach poczęły maleć, przygasać, potem nagle wystrzeliły w górę i utworzyły zasłonę z jasnożółtego migotliwego ognia. Wtem płomienie zamarły, nie tańczyły już, nie migotały, ale stały się nieruchomą żółtą zasłoną. W jednej chwili od kominka przestał bić żar, jakby ustawiono przed nim tafelę grubego szkła.

Sparhawk zorientował się, iż patrzy na wnętrze namiotu. Martel znużony siedział przy prostym stole naprzeciwko Anniasa, który wyglądał na skrajnie wyczerpanego.

— Dlaczego nie możesz się dowiedzieć, gdzie oni są? — pytał prymas Cimury.

— Nie wiem — odparł Martel zgrzytając zębami. — Wezwałem wszystkie stwory, które dał mi Otha, i żaden z nich niczego nie znalazł.

— Prawdziwie potężny z ciebie pandionita — szydził Annias. — Powinieneś być dłużej zostać w zakonie, aby Sephrenia miała czas nauczyć cię czegoś więcej ponad sztuczki dla uciechy dziatwy.

— Uważaj, bo staniesz się bezużyteczny — powiedział Martel złowieszczo. — Otha i ja możemy osadzić na tronie arcyprałata każdego duchownego i zmusić go do posłuszeństwa. Nie jesteś niezastąpiony. — W tym momencie stało się jasne, kto wydaje rozkazy, a kto słucha.

Do namiotu niedbale wkroczył przygarbiony, podobny małpie Adus. Nie miał czoła; włosy wyrastały mu wprost znad krzaczastych brwi. Okryty był nie dopasowanymi, pokrytymi plamami rdzy blachami, będącymi częściami zbroi wojowników i rycerzy różnych kultur.

— Zdechł — złożył raport głosem przypominającym warknięcie.

— Powiniennem kazać ci iść piechotą, głupcze — rzekł Martel.

— To był marny koń.

— Był dobrym wierzchowcem, dopóki go nie zajeździłeś. Idź ukraść innego. Adus wyszczerzył w uśmiechu zęby.

— Chłopską szkapę?

— Weź, jakiego uda ci się znaleźć. Tylko nie spędź na zabijaniu chłopca lub zabawianiu się z jego żoną. I nie podpalaj dobytku. Niech łuna na niebie nie zdradzi naszej pozycji.

Adus roześmiał się — przynajmniej brzmiało to jak śmiech — i wyszedł z namiotu.

— Jak ty możesz wytrzymać z tym bydlakiem? — zapytał Annias wzdrygając się ze wstrętem.

— Adus nie jest taki zły. Traktuj go jak chodzący topór bojowy. Używam go do zabijania ludzi; nie śpię z nim. A skoro już o tym mowa... doszłście w końcu z Arissą do porozumienia?

— To dziwka! — syknął Annias z pogardą.

— Czyżbyś wcześniej o tym nie wiedział? Przecież dlatego właśnie była dla ciebie tak pociągająca. — Martel wzruszył ramionami i zmienił temat. — To musi być sprawka Bhelliomu — mruknął w zadumie.

— O czym mówisz?

— Prawdopodobnie to Bhelliom nie pozwala moim stworom na ustalenie miejsca pobytu Sparhawk.

— A Azash nie mógłby sam go znaleźć?

— Azash mnie nie słucha, zwraca się do mnie wtedy, kiedy chce, bym o czymś wiedział. Być może Bhelliom jest silniejszy od niego. Gdy dotrzemy do świątyni Azasha, będziesz mógł go o to spytać. Co prawda możesz go tym pytaniem urazić, ale to już twoje zmartwienie.

— Ile dziś ujechaliśmy?

— Nie więcej niż siedem lig. Nasze tempo wyraźnie osłabło, gdy Adus ostrogami wypruł flaki swemu wierzchowcowi.

— Jak daleko do granicy z Zemochem?

Martel rozwinął mapę.

— Pozostało jeszcze pięćdziesiąt lig, czyli jakieś pięć dni drogi. Sparhawk nie może być za nami dalej niż trzy dni jazdy, więc musimy nadal utrzymywać tempo.

— Jestem bardzo strudzony. Nie mogę tak wciąż gnać.

— Za każdym razem, nim zaczniesz narzekać na zmęczenie, wyobraź sobie, jak byś się czuł z mieczem Sparhawk w trzewiach lub jakże bolesne byłoby pozabawianie cię przez Ehlanę głowy krawieckimi nożyczkami czy nożem do chleba.

— Czasami myślę, że wolałbym cię w ogóle nie spotkać.

— I nawzajem. Gdy tylko przekroczymy granicę z Zemochem, będziemy w stanie nieco opóźnić Sparhawk. Kilka zastawionych zasadzek powinno go uczynić bardziej ostrożnym.

— Polecono go nie zabijać — zaprotestował Annias.

— Nie bądź głupcem. Przecież jak długo ma Bhelliom, nikt z ludzi nie jest w stanie go zabić. Rozkazano go nie zabijać, ale nic nie wspomniano o pozostałych. Strata kilku towarzyszy mogłaby zasmucić naszego wroga. Sparhawk w głębi duszy jest sentymentalny, choć na takiego nie wygląda. Idź się przespać. Wyruszymy, gdy tylko Adus wróci.

— Po ciemku? — zapytał z niedowierzaniem Annias.

— Boisz się ciemności? Pomyśl sobie o mieczach w brzuchu lub dźwięku, jaki wydaje kuchenny nóż przy krojeniu kości twego karku. To powinno dodać ci odwagi.

— Khwaj! — powiedział ostro Sparhawk. — Dosyć! Odejdź!

Ogień na kominku znowu zapłonął normalnie.

— Błękitna Różo! — krzyknął rycerz. — Sprowadź do mnie głos Ghnomba!

— Co robisz?! — zawołała Sephrenia, ale Bhelliom już zaczął odpowiadać. Światełko pośród szafirowych płatków mieniło się zielenią i żółcią. Sparhawk nagle poczuł w ustach smak zgniłego mięsa.

— Ghnomb! — ozwał się rycerz szorstkim głosem. — Jam jest Sparhawk z Elenii i mam pierścienie. Ghnomb musi zrobić, co rozkażę. Poluję. Ghnomb mi pomoże polować. Jestem oddalony o dwie noce od istoty ludzkiej, która jest moją zdobyczą. Ghnomb sprawi, abym wraz z moimi myśliwymi mógł złapać tę ludzką istotę. Na znak Sparhawka z Elenii Ghnomb pomoże w naszych łowach. Ghnomb będzie posłuszny!

Ponownie rozległo się wściekłe wycie, dobiegające jakby z bezdennej czeluści i niosące się echem. Tym razem było przerywane odrażającym mlaskaniem.

— Ghnomb! Teraz odejź! — rozkazał rycerz. — Ghnomb powróci na znak Sparhawka z Elenii!

Zielonożółta plamka światła zniknęła i Sparhawk schował Bhelliom do sakiewki.

— Czyś ty oszalał?! — krzyknęła Sephrenia.

— Nie. Chcę na tyle zbliżyć się do Martela, by uniemożliwić mu zastawianie pułapek. — Zmarszczył brwi. — Zaczyna wyglądać na to, że próby zabicia mnie były pomysłem samego Martela. Zdaje się, że renegat teraz ma inne rozkazy. To trochę wyjaśnia sprawę, wiem, że muszę martwić się tym, jak ochronić ciebie i innych. — Twarz Sparhawka wykrzywił grymas. — No, na coś się Bhelliom przydał, prawda?

Rozdział 22

Wstawaj, za godzinę wzejdzie słońce. — Kurik bezceremonialnie budził swego pana.

— Czy ty nigdy nie śpisz? — Sparhawk usiadł na pościeli, spuszczać stopy na podłogę.

— Wyspałem się — stwierdził giermek i obrzucił rycerza krytycznym spojrzeniem. — Za mało jesz. Żebra ci sterczą przez skórę. Ubierz się. Obudzę pozostałych, a jak wrócę, pomogę ci przywdziać zbroję.

Sparhawk wstał i naciągnął grube, pikowane, pokryte rdzawymi plamami spodnie odzienie.

— Wielce szykowne — od drzwi złośliwie zauważył Stragen. — Czy jakieś tajemne prawo rycerskie zabrania wam prac bieliznę?

— Ona schnie przez tydzień.

— Czy naprawdę musisz to nosić?

— Miałeś kiedy na sobie zbroję?

— Boże, broń!

— Spróbuj choć raz. Dzięki tym watowaniom zbroja nie kaleczy skóry w najbardziej wrażliwych miejscach.

— Och, jak to strojniś cierpi, by być modnym.

— Nie dworuj sobie ze mnie. Tak więc masz zamiar zawrócić na granicy z Zemochem?

— To rozkaz królowej, dostojny panie. Zresztą tylko bym wam przeszkadzał. Nie czuję się w sile stanąć przed obliczem boga Azasha. Nie mam oczywiście zamiaru cię obrażać, ale szczerze mówiąc, myślę, że jesteś szalony.

— Wrócisz z Cimmury do Emsatu?

— Jeżeli najjaśniejsza pani, twoja małżonka wyrazi zgodę na mój wyjazd. Powinienem tam wrócić, choćby po to, aby sprawdzić księgi. Na Telu mogę w zasadzie polegać, ale to w końcu przecież złodziej.

— A co potem zamierzasz?

— Któż to wie? — Stragen wzruszył ramionami. — Nie mam określonego zajęcia. Cieszę się wyjątkowym rodzajem wolności. Nie muszę robić niczego,

czego nie chcę. Aha, byłbym niemal zapomniał. Nie przybyłem tu skoro świt dyskutować z tobą zalety i wady wolności. — Sięgnął za kubrak. — List do ciebie, dostojny panie — powiedział z kpiącym ukłonem. — Wierzę, że od małżonki.

Pierwszy list Sparhawk dostał w Kadachu, drugi w Moterze. Ten był trzecim.

— Ile ich jeszcze masz? — zapytał Sparhawk, odbierając złożony pergamin.

— To tajemnica państwowa, dostojny panie.

— Czy masz je ponumerowane, czy też wręczasz mi któryś, gdy przyjdzie ci na to ochota?

— Jedno i drugie po trosze, dostojny panie. Oczywiście, że są ponumerowane, ale wolę postępować według własnego uznania. Jeżeli stwierdzę, że zaczynasz być przygnębiony lub markotny, moim zadaniem jest poprawić ci humor. Odchodzę teraz, abyś mógł spokojnie przeczytać. — Stragen wyszedł z izby i ruszył korytarzem w kierunku schodów wiodących na dolne piętro zajazdu.

Sparhawk złamał pieczęć i otworzył list Ehlany.

Ukochany,

jeżeli wszystko dobrze poszło, jesteś teraz w Palerze. Znajduję się w niezręcznej sytuacji. Próbuję zajrzeć w przyszłość, ale nie potrafię sięgnąć jej wzrokiem. Czytasz to, co napisałam do Ciebie kilka tygodni temu, a ja nie mam najmniejszego pojęcia, co się z Tobą dzieje. Nie ośmielam się mówić Ci o swej udreće czy strapieniu z powodu tej rozłąki, ponieważ uwalniając serce od tego ciężaru, mogłabym osłabić Twe zdecydowanie, a musisz być silny w obliczu niebezpieczeństw. Kocham Cię, luby Sparhawk, i jestem rozdarta pomiędzy pragnieniem bycia mężyczką, abym dzieliła z Tobą niebezpieczeństwa i w potrzebie poświęciła za Ciebie życie, a chlubą z tego, że jestem niewiastą i mogę zatracić się w Twych ramionach.

W tym miejscu młoda królowa przeszła do wspomnień z nocy poślubnej, zbyt intymnych, aby je tu przytaczać.

— Ładny list napisała najjaśniejsza pani? — zapytał Stragen, gdy siodłali konie na podwórzu zajazdu. Świt rozjaśniał na wschodzie zachmurzone niebo.

— Owszem, ma czytelny charakter pisma — odparł Sparhawk.

— Niezupełnie o to pytałem.

— Czasami zapominamy, że pod oficjalnymi szatami kryje się żywy człowiek. Oczywiście Ehlana jest królową, ale jest również osiemnastoletnią dziewczyną, która zdaje się czytać zbyt dużo nieodpowiednich książek.

— Nie spodziewałem się po świeżo upieczonym panu młodym tak surowej oceny.

— Muszę w tej chwili myśleć o wielu sprawach. — Sparhawk zaciągnął mocnej popręg. Faran wyszczerzył zęby, nadał się i przydeptał nogę swemu panu.

Niemal bezwiednie pandionita kopnął srokacza w brzuch. — Miej oczy szeroko otwarte, Stragenie — poradził. — Mogą się dziś wydarzyć osobliwe rzeczy.

— Jakie?

— Nie jestem całkiem pewien. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, do wieczora pokonamy znacznie większy dystans niż zwykle. Trzymaj się z Kringiem i jego Peloi. To wrażliwi ludzie i niezwykle wydarzenia czasami wyprowadzają ich z równowagi. Postaraj się ich przekonać, że w pełni panujemy nad sytuacją.

— A rzeczywiście panujemy?

— Nie mam najmniejszego pojęcia. Jednakże usilnie się staram zachować pogodę ducha. — Sparhawk uznał, że Stragen sam się o to prosił.

Tego dnia rano wstawał powoli, jako że napływające ze wschodu chmury jeszcze bardziej zgęstniały w ciągu nocy. Na szczycie długiego zbocza, wznoszącego się od zachodniego krańca ołowiowoszarej tafli jeziora Randera, do oddziału dołączył Kring i jego Peloi.

— Jak dobrze być z powrotem w Pelosii, dostojny panie Sparhawk — powiedział wojownik z pogodnym uśmiechem — nawet w tej bezludnej i przeoranej części królestwa.

— Ile jeszcze dni drogi do granicy z Zemochem, domi? — zapytał Tynian.

— Pięć lub sześć, przyjacielu Tynianie.

— Za chwilę ruszymy dalej, nie zsiadajcie z koni — rzekł Sparhawk i wraz z Sephrenią odjechali nieco na bok. — Czas zacząć, mateczko.

— Naprawdę musisz to uczynić, mój drogi? — zapytała czarodziejka błagalnym tonem.

— Tak. Nie widzę innego sposobu, by tobie i reszcie drużyny zapewnić bezpieczeństwo po dotarciu do granicy Zemochu.

Rycerz sięgnął pod szatę wierzchnią, wyciągnął sakiewkę i zdjął rękawice. Tym razem również uczuł w dłoniach przejmujący chłód Bhelliomu. Miał wrażenie, że dotyka lodu.

— Błękitna Różo, sprowadź do mnie głos Ghnomba! — rozkazał.

Klejnot powoli stawał się coraz cieplejszy. Wtem pośród szafirowych płatków pojawiła się zielonożółta plamka światła, jednocześnie Sparhawk poczuł w ustach smak zgniłego mięsa.

— Ghnomb! Jam jest Sparhawk z Elenii i mam pierścienie. Poluję. Ghnomb pomoże mi w łowach! Teraz!

Sparhawk czekał w napięciu, ale nic się nie stało. Westchnął.

— Ghnomb! Odejdź! — rozkazał, po czym schował szafirową różę do sakiewki i wsunął z powrotem pod wierzchnią szatę. — No cóż — westchnął z żalem — nic z tego. Mówiłaś, że on da znać, jeżeli nie będzie mógł mi pomóc. A więc właśnie mnie o tym powiadomił. Szkoda tylko, że dowiedziałem się o tym, gdy sprawy zaszły tak daleko.

— Nie trać jeszcze nadziei — rzekła Sephrenia.

— Przecież nic się nie wydarzyło, mateczko.

— Nie bądź tego taki pewien.

— W drogę. Musimy sami sobie poradzić.

Ruszyli żwawym klusem. Na wschodzie poprzez chmury prześwitywał bładny dysk słońca, które właśnie wyłoniło się zza horyzontu. W tej części Pelosii żniwa dobiegały końca i chłopcy już pracowali na polach. Malutkie szare figurki przypominały nieruchome zabawki ustawione daleko od traktu.

— Pańszczyzna nie wzbudza w nich zbytniego zapału do roboty — zauważył krytycznie Kurik. — Ci ludzie chyba w ogóle się nie ruszają.

— Ja na miejscu chłopca też bym się zbytnio nie palił do pracy — rzekł Kalten.

Jechali dalej krótkim galopem, przecięli rozległą dolinę i wspięli się na niski łańcuch wzgórz. Tu chmury na wschodzie wydawały się przesłaniać niebo nieco cieńszą warstwą i słońce wiszące tuż nad horyzontem było bardziej wyraźne. Kring rozesłał patrole.

Coś było nie w porządku, ale Sparhawk nie mógł dokładnie określić co. Powietrze stało zupełnie nieruchomo, a końskie podkowy na błotnistej drodze stuknęły nienaturalnie głośno i dźwięcznie. Sparhawk popatrzył na przyjaciół i stwierdził, że mają niewyraźne miny.

W następnej dolinie Kurik wstrzymał gwałtownie konia.

— Już wiem! — krzyknął.

— Co się stało? — zapytał Sparhawk.

— Jak sądzisz, ile czasu już jesteśmy w drodze?

— Około godziny. Dlaczego pytasz?

— Widzisz słońce?

Rycerz spojrział w kierunku wschodniego widnokregu, gdzie niemal niewidoczny dysk słońca wisiał nad falistą linią wzgórz.

— Jest tam, gdzie zawsze, Kuriku. Nikt go nie ruszył.

— No właśnie. Stoi w miejscu. Nie zmieniło swego położenia odkąd wyruszyliśmy. Wzeszło, a potem się zatrzymało.

Wszyscy patrzyli na wschodni horyzont.

— Nie ma w tym nic niezwykłego — odezwał się Tynian. — Jedziemy po wzgórzach, więc nie umiemy ocenić położenia słońca. Widzimy je wyżej lub niżej na niebie zależnie od tego, czy jesteśmy na szczycie wzgórza, czy w dolinie.

— Początkowo też tak myślałem, ale przysięgam, że słońce się nie poruszyło, odkąd zjechaliśmy z pierwszego wzgórza na wschód od Paleru.

— Bądź poważny! — strofował Kurika Kalten. — Słońce musi się poruszać.

— Ale najwyraźniej nie tego ranka. Co się tu dzieje?

— Dostojny panie Sparhawk! — zawołał Berit niemal z histerią. — Patrz!

Sparhawk odwrócił głowę w kierunku wskazanym przez drżącą dłoń adepta rycerskiego rzemiosła.

To był zupełnie zwyczajnie wyglądający ptak, skowronek, według oceny Sparhawk. Nie byłoby w nim nic dziwnego, gdyby nie fakt, że wisiał w mglistym powietrzu zupełnie nieruchomo, tak jakby został przypięty szpilką do nieba.

Rycerze poczęli z dzikim wyrazem oczu rozglądać się dookoła. Wtem Sephrenia wybuchnęła śmiechem.

— Nie widzę w tym nic zabawnego — oburzył się Kurik.

— Wszystko jest w porządku — uspokajała czarodziejka.

— W porządku? — zapytał Tynian. — A co stało się ze słońcem i tym ptaszkiem?

— Sparhawk zatrzymał i słońce, i ptaszka.

— Zatrzymał słońce! — krzyknął Bevier. — To niemożliwe!

— Najwyraźniej możliwe. Sparhawk rozmawiał z jednym z bogów trolli ostatniej nocy. Powiedział, że polujemy, a nasza zdobycz jest daleko przed nami. Poprosił boga trolli, Ghnomba, by nam pomógł w łowach i zdaje się, że Ghnomb go posłuchał.

— Nie rozumiem — odezwał się Kalten. — Co słońce ma wspólnego z polowaniem?

— To wcale nie jest takie skomplikowane — odparła Sephrenia spokojnie. — Ghnomb zatrzymał czas i już.

— A jak zatrzymuje się czas?

— Nie mam pojęcia. — Czarodziejka zmarszczyła brwi. — Może „zatrzymać czas” nie jest zbyt dokładnym określeniem. W istocie poruszamy się poza czasem. Znajdujemy się pomiędzy jednym a drugim mgnieniem oka.

— A co utrzymuje w powietrzu tego ptaka, szlachetna pani? — dopytywał się Berit.

— Prawdopodobnie jego ostatnie uderzenie skrzydeł. Reszta świata pewnie żyje normalnym życiem. Ludzie nie wiedzą, że tędy przejeżdżamy. Gdy prosimy o coś bogów, nie zawsze spełniają nasze prośby w sposób, jakiego się spodziewamy. Kiedy Sparhawk powiedział Ghnombowi, że chce schwytać Martela, miał na myśli bardziej czas niż odległość, która nas od niego dzieliła, więc Ghnomb porusza nas w czasie, nie w przestrzeni. Zatrzymał czas na tak długo, jak długo będziemy tego potrzebować. Pokonanie odległości należy do nas.

Raptem nadjechał galopem Stragen.

— Dostojny panie! — krzyczał — Coś ty najlepszego uczynił?!

Sparhawk wyjaśnił mu pokrótce sytuację.

— Wracaj i uspokój Peloi. Powiedz im, że to czary. Wytłumacz, że świat zamarł. Nic się nie poruszy, dopóki nie dotrzemy tam, gdzie chcemy.

— Czy taka jest prawda?

— Mniej więcej.

— I myślisz, że mi uwierzą?

— Powiedz, że mogą sobie sami wymyślić wytłumaczenie, jeżeli moje im się nie podoba.

— Ale potrafisz potem wszystko odmrozić, prawda?

— Oczywiście. . . a przynajmniej mam taką nadzieję.

— Cały świat jest unieruchomiony, prawda? — zapytał Talen jakby mimochodem.

— Takie sprawia na nas wrażenie — odpowiedziała Sephrenia. — Nikt inny jednak tego tak nie odbiera.

— A zatem ci ludzie nie mogą nas zobaczyć?

— Nawet nie będą wiedzieli, że tu byliśmy.

Chłopiec uśmiechnął się rozanielony.

— A to dopiero! No, no. . .

Stragenowi również zabłyśły oczy.

— W rzeczy samej, jasnie oświecony książe — przyznał.

— Nawet o tym nie myślcie! — powiedziała ostro Sephrenia.

— Stragenie — dodał Sparhawk — powiedz Kringowi, że nie musimy się śpieszyć. Dajmy wytchnienie koniom. I tak nikt na świecie się nie ruszy ani niczego nie robi, dopóki nie dotrzemy do celu.

Niesamowicie było galopować o wiecznym wschodzie słońca. Nie było ani ciepło, ani zimno; ani wilgotno, ani sucho. Świat trwał pogrążony w ciszy, a niebo było upstrzone nieruchomymi ptakami. Chłopi stali na polach jak posągi. Nawet wysokie brzozy zastygły w podmuchu wiatru, który musiał powiać w momencie, kiedy Ghnomb zamroził czas. Na zawietrznej stronie drzewa zawisła w powietrzu chmara złotych liści.

— Ulathu, jaką mamy porę dnia? — zapytał Kalten, gdy ujechali kilka lig.

Thalezyjczyk spojrział na niebo.

— Wschód słońca — odpowiedział krótko.

— Ale zabawne — skrzywił się Kalten. — Nie wiem jak wy, ale ja zaczynam robić się trochę głodny.

— Ty urodziłeś się głodny i nigdy z tego nie wyrosłeś — rzekł Sparhawk.

Zjedli podróżne racje i ruszyli dalej. Teraz nie musieli wprawdzie popędzać koni, ale że śpieszyli się, odkąd opuścili Chyrellos, wkrótce znowu jechali galopem. Podróżowanie leniwym krokiem wydawało im się nienaturalne.

Po godzinie, a może później — nie sposób było powiedzieć — nadjechał z tyłu Kring.

— Mam wrażenie, że coś jest za nami, dostojny panie Sparhawku — złożył raport tonem pełnym trwożliwego respektu. Nie co dzień wszak rozmawia się z człowiekiem, który wstrzymał słońce.

Rycerz spojrział na niego ostro.

— Jesteś tego pewien?

— Niezupełnie. To bardziej uczucie, niż pewność. Nisko nad ziemią wisi czarna chmura. Jest dość daleko, więc trudno to stwierdzić z całą pewnością, ale wydaje się, że idzie za nami.

Sparhawk spojrział wstecz. To była ta sama chmura, tylko większa, ciemniejsza i bardziej złowieszcza. Wyglądało na to, że cień mógł nawet tutaj za nim podążać.

— Czy zauważyłeś, że się porusza? — zapytał dzikiego wojownika.

— Nie, ale ujechaliśmy spory kawał, a ona nadal jest tuż nad moim prawym ramieniem, tam gdzie była, gdy zatrzymaliśmy się na posiłek.

— Miej ją na oku — rzekł Sparhawk zwięźle. — Spróbuj dostrzec, czy naprawdę zdąża za nami.

Domi skłonił się i zawrócił konia.

Kiedy przejechali tyle, ile normalnie przebyliby w ciągu dnia, rozbili obóz „na noc”. Konie były niespokojne, a Faran podejrzliwie przyglądał się Sparhawkowi.

— To nie moja wina, Faranie — powiedział rycerz, rozkulbaczając srokacza.

— Nie twoja wina?! — dobiegł go z pobliza głos Kaltena. — Jak możesz kłamać temu biednemu stworzeniu? Wstydu nie masz.

Wciąż panował jasny dzień. Sparhawk nie mógł zasnąć. Inni również kręcili się na posłaniach. Wreszcie zapadli w krótką, nie dającą odpoczynku drzemkę. Rycerz nie spał długo. Wstał i poszedł do namiotu Sephrenii. Zastał ją w nie najlepszym humorze.

— Dzień dobry, Sparhawk — powitała go z ironią.

— Czemu się złościś, mateczko?

— Nie wypiąłam porannej herbaty. Próbowalam bezskutecznie rozgrzać kamienie, by zagotować wodę. Nic nie działa — żadne zaklęcia ani magia, nic. Jesteśmy całkowicie bezbronni w tym zamrożonym przez ciebie i Ghnomba świecie.

— Bezbronni? A cóż mogłoby nas zaatakować? — zapytał poważnie. — Jesteśmy poza czasem. Jesteśmy tam, gdzie nic nie może nas osiągnąć.

Okolo „południa” odkryli, jak bardzo się mylili.

— Rusza się, dostojny panie! — zawołał Talen, gdy podjeżdżali do zastygłej w bezruchu wioski. — Ta chmura się rusza!

Chmura, którą Kring zauważył poprzedniego dnia, z całą pewnością teraz się poruszała. Była atramentowo czarna. Toczyła się po ziemi w kierunku pokrytych strzechą chłopskich chat, przycupniętych w dolinie. Temu nieubłaganemu posuwaniu się naprzód towarzyszyło dudnienie ponurego grzmotu — pierwszy dźwięk z zewnętrznego świata, jaki usłyszeli, odkąd Ghnomb zamknął ich w czasie. Jej ślad znaczyły martwe, zbutwiałe drzewa i trawy. Przesłoniła na chwilę chaty, a po jej przejściu po wiosce nie zostało ani śladu, jakby nigdy nie istniała.

Chmura się zbliżała i Sparhawk słyszał wybijany rytm — rodzaj głuchego tupotu, jaki wydają bose pięty uderzając w ziemię — a wraz z nim zwierzęcy pomruk, jakby tłum bestii powarkiwał nisko i gardłowo w zgodnym chórze.

— Sparhawk! — krzyknęła czarodziejka. — Użyj Bhelliomu! Rozpędź tę chmurę! Wezwij Khwaja!

Sparhawk sięgnął pośpiesznie po sakiewkę, rzucił rękawice na ziemię i wyciągnął klejnot z płóciennego woreczka.

— Błękitna Różo! Sprowadź Khwaja!

Bhelliom zrobił się gorący i pośród płatków pojawiła się czerwona iskierka.

— Khwaj! — wołał rycerz. — Jam jest Sparhawk z Elenii! Khwaj wykurzy ogniem nadciągającą ciemność! Khwaj sprawi, by Sparhawk z Elenii mógł zobaczyć, co jest wewnątrz tej chmury! Uczyni to, Khwaj! Teraz!

Ponownie rozległo się pełne niezadowolenia i wściekłości wycie, gdy bóg trolli został zmuszony do posłuszeństwa. Wtem, w jednej chwili, przed toczącą się ciemną chmurą wyrosła wysoka i długa ściana huczącego ognia. Płomienie stawały się coraz jaśniejsze i Sparhawk czuł bijące stamtąd fale intensywnego gorąca. Chmura nadal posuwała się naprzód, wprost na ognisty mur.

— Błękitna Różo! — rozkazywał Sparhawk w mowie trolli. — Pomóż Khwajowi! Niech Błękitna Róża wesprze Khwaja swą siłą i potęgą wszystkich bogów trolli! Uczyni to! Teraz!

Wybuch mocy niemal zwałił Sparhawk z siodła. Faran zatoczył się do tyłu, stulając uszy i szczerząc zębiska.

Wtem chmura stanęła przed ścianą ognia. Poczęła pękać, rozdzierać się, ale natychmiast się zasklepiła, scalała. Płomienie falowały, rosły, a potem opadały ledwo się tłąc, by znowu rozbłysnąć na nowo. Dwie potęgi toczyły zaciętą walkę. W końcu ciemność zaczęła blednąć niczym noc z nadejściem świtu. Języki ognia pojaśniały, wzbity się jeszcze wyżej, ponownie tworząc huczącą płonąca ścianę. — Zwyciężyliśmy! — krzyknął Kalten.

— No tak, myśmy zwyciężyli — powiedział Kurik uszczypliwie, podnosząc rękawice swego pana.

Nagle chmura odpłynęła, niby gnana huraganem. Sparhawk i jego przyjaciele ujrzeni teraz, kto wydawał owe pomruki. Ogromni i człekopodobni — co oznaczało, że mieli ręce, nogi i głowy — odziani w skóry, dzierżyli kamienne topory i maczugi. Na tym kończyło się ich podobieństwo do ludzi. Mieli cofnięte czoła, podobne do pysków twarze i byli nie tyle owłosieni, co porośnięci futrem. Choć chmura się rozwiła, oni nadal biegli naprzód. Ich stopy w równym tempie uderzały o ziemię, a przy każdym dudniącym kroku wydawali z siebie gardłowe, głębokie powarkiwanie. W regularnych odstępach czasu przystawali i gdzieś spośród nich rozlegało się zawodzenie, narastające w przenikliwe wycie. Potem na nowo rozpoczynało się rytmiczne powarkiwanie i tupot nóg. Ich głowy osłaniały na kształt hełmów czaszki niewyobrażalnych, bestii ozdobione rogami, a twarze skrywały malunki z różnobarwnego błota.

— Czy to trolle? — zapytał Kalten.

— Różne trolle widziałem, ale te stwory ich nie przypominają — mruknął Uloth, sięgając po topór.

— Naprzód, dzieci! — krzyknął domi do dzikich Peloi. — Przepędźmy te obmierzłe bestie! — dobył miecza i wydał potężny bojowy okrzyk.

— Kring, stój! — zawołał Sparhawk.

Ale było za późno. Gdy wojownicy ze Wschodnich Marchii Pelosii ruszyli do ataku, żadna siła nie mogła ich powstrzymać.

Sparhawk zaklął i wsunął Bhelliom pod wierzchnią szatę.

— Bericie, zabierz Sephrenię i Talena na tyły! — rozkazał. — A my ruszajmy do pomocy!

Ta walka w niczym nie przypominała strategicznie zaplanowanej bitwy. Po pierwszym ataku Peloi doszło do prowadzonych z różną zaciętością utarczek. Rycerze Kościoła szybko odkryli, że groteskowe małpoludy nie odczuwały bólu. Niemożliwością było dociec, czy to cecha tego gatunku, czy też ten, kto przywołał potwory, uzbroił je w nadnaturalne zdolności. Pod zmierzwionymi futrami mieli skórę o niezwyklej wytrzymałości. Nie znaczy to, że miecze się od niej odbijały, ale najczęściej cięły z trudem. Nawet najmocniejsze ciosy pozostawiały jedynie słabe zadraśnięcia.

Peloi natomiast odnosili wielkie sukcesy, walcząc swymi krótkimi mieczami. Szybkie pchnięcia były bardziej skuteczne niż zamaszyste ciosy zadawane ciężkim orężem. Dzikie bestie przeraźliwie wyły z bólu, gdy już raz ich mocna skóra została przebita. Stragen z płonącymi oczyma jechał przez kłębowisko walczących, a koniuszek jego rapiera tańczył, umykając przed niezdarnymi ciosami maczug i kamiennych toporów, omijając pchnięcia włóczy o kamiennych grotach, a potem bez wysiłku, niemal delikatnie wnikał głęboko w pokryte futrem ciała.

— Dostojny panie Sparhawk! — krzyknął w pewnej chwili herszt złoczyńców z Emsatu — ich serca są niżej! Mierz w brzuch, nie w piersi!

Bój zaczął toczyć się sprawniej. Rycerze Kościoła zmienili taktykę, celując końcami swych mieczy, zamiast ciąć szerokim ostrzem. Bevier z żalem odwiesił halabardę na uchwyty przy siodle i wyciągnął miecz. Kurik zrezygnował z swej straszliwej kolczastej kuli na łańcuchu i wyciągnął długi sztylet. Uloth nie odłożył topora; w tej trudnej potrzebie machał nim trzymając stylisko oburącz. Jego niezwykła siła starczyła, by dać radę zrogowaciałej skórze czy twardej jak kamień czaszce.

Zmieniło to zasadniczo przebieg bitwy. Nerozumne olbrzymy nie były w stanie przystosować się do nowej taktyki przeciwnika i coraz więcej z nich padało pod celnymi pchnięciami mieczy. Ostatnia, mała grupka walczyła dalej, pomimo że większość ich kamratów poległa, ale błyskawiczne ciosy wojowników Kringa wycięły niedobitków w pień. Ostatni, który trzymał się jeszcze na nogach, stał krwawiąc z niezliczonych ran. Uniósł pysk i wydał z siebie wysokie, przejmujące wycie. Pieśń urwała się nagle. To Uloth podjechał, uniósł się w strzemionach,

podniósł topór wysoko, a potem rozwalił głowę zawodzącemu małpoludowi aż po podbródek.

Sparhawk z zakrwawionym mieczem w dłoni okręcił się, ale wszystkie stwory już były powalone. Rycerz uważniej spojrzął wokół. Zwycięstwo wiele ich kosztowało. Poległo kilkunastu Peloi — nie tyle zginęli, co zostali rozszarpani na strzępy — a wielu leżało jęcząc na zbroczonej krwią ziemi.

Kring siedział na murawie, obejmując głowę jednego z wojowników, wydającego ostatnie tchnienie.

— Przykro mi, domi — rzekł Sparhawk. — Sprawdź, ilu masz rannych. Opatrzmy ich. Jak blisko stąd do krainy zamieszkaney przez twe plemię?

— Półtora dnia ostrej jazdy, dostojny panie — odparł Kring, zamykając oczy zmarłemu Peloi. — Niespełna dwadzieścia lig.

Sparhawk pojechał na tyły, gdzie Berit z toporem w dłoni strzegł Sephrenii i Talena.

— Już po wszystkim? — zapytała czarodziejka. Stała odwrócona, nie chciała widzieć pola bitwy.

— Tak. — Sparhawk zsiadł z konia. — Co to były za stwory, mateczko? Wyglądali jak trolle, ale Ulath ich nie rozpoznał.

— To pierwotni ludzie. Sprowadziło ich niezwykle trudne i stare zaklęcie. Jedynie bogowie i kilku największych magów Styricum potrafi sięgnąć w głąb czasu i sprowadzić do przyszłości rzecz, stwora lub człowieka. Pierwotni ludzie od tysięcy lat nie chodzą już po tej ziemi. Tacy byliśmy wszyscy — Eleni, Styricy, a nawet trolle.

— Chcesz powiedzieć, że ludzie i trolle są z sobą spokrewnieni? — zapytał Sparhawk z niedowierzaniem.

— Tak, mój drogi, choć pokrewieństwo jest bardzo dalekie. Przez tysiąclecia wszyscy się zmieniliśmy. Trolle poszły w jedną stronę, a my w drugą.

— Ghnombowe zamrożenie czasu nie jest zatem tak bezpieczne, jak myśleliśmy.

— Nie, zdecydowanie nie jest.

— Myślę, że już czas wprawić słońce ponownie w ruch. Nie ukryjemy się przed pościgiem prześlizgując się przez szczeliny czasu, a i magia tu nie działa. Będziemy bezpieczniejsi w zwykłym czasie.

— Masz rację, Sparhawk.

Rycerz wyciągnął Bhelliom z sakiewki i polecił Ghnombowi cofnąć zaklęcie.

Wojownicy Peloi sporządzili nosze, zebrali zabitych i rannych i całą grupą ruszyła dalej, z ulgą patrząc na fruujące ptaki i słońce, które ponownie zaczęło wędrować po niebie.

Następnego ranka natknął się na nich patrol Peloi i Kring wyjechał do przodu, aby naradzić się ze współplemieńcami. Wrócił z pobladłym obliczem.

— Zemosi podpalają trawę — powiedział z gniewem. — Nie mogę ci dłużej pomagać, dostojny panie Sparhawk. Musimy się rozproszyć, by bronić naszych pastwisk.

Bevier popatrzył na niego w zamyśleniu.

— A czy nie byłoby prościej, domi, gdyby wszyscy Zemosi zebrali się w jednym miejscu?

— W rzeczy samej, przyjacielu Bevierze, ale dlaczegoż mieliby to uczynić?

— Aby zdobyć coś wartościowego, przyjacielu Kringu.

Kring spojrział na cyrinitę z zainteresowaniem.

— Co na przykład?

— Złoto albo... czy ja wiem? Kobiety i wasze stada.

Kring był wstrząśnięty.

— Oczywiście, to byłaby pułapka — ciągnął Bevier. — Zgromadzisz stada, skarby i kobiety w jednym miejscu, a na straży postawisz zaledwie paru ludzi. Zbierzesz resztę i odjedziesz, upewniając się, że wasz odjazd widzieli zwiadowcy Zemochów. Potem, gdy tylko zapadnie zmrok, prześlizgniecie się z powrotem i zajmiecie pozycje w pobliżu, wciąż się kryjąc. Wszyscy Zemosi pognają, by ukraść wasze stada, kobiety i skarby, wtedy uderzycie. W ten sposób oszczędzisz sobie kłopotów z polowaniem na każdego z Zemochów z osobna, a wasze kobiety będą miały wspaniałą okazję, by podziwiać waszą odwagę. Mówiono mi, że kobiety topnieją z miłości na widok swych mężczyzn zwyciężających znienawidzonego wroga. — Bevier uśmiechał się chytrze.

Kring zmrużył oczy w namyśle.

— Podoba mi się! — wykrzyknął po chwili. — Niech oślepnę, jeżeli to nieprawda! Zrobimy tak! — Pognał konia i galopem odjechał do swych ludzi.

— Panie Bevierze, czasami mnie zdumiewasz — powiedział Tynian.

— To typowa strategia dla lekkiej jazdy — odparł skromnie młody cyrinita. — Poznałem ją podczas mych studiów nad historią wojskowości. Baronowie lamorkandcy wielokrotnie posługiwali się tym podstępem, nim zaczęli budować zamki.

— Wiem, ale ty poradziłeś Kringowi użyć kobiet na przynętę. Zdaje się, że jesteś bardziej obyty ze sprawami tego świata, niż na to wyglądasz, przyjacielu.

Bevier oblał się rumieńcem.

Ruszyli w drogę. Jechali teraz wolniej, gdyż wieźli rannych i zabitych.

Kalten był jakby nieobecny i liczył na palcach.

— Masz jakiś kłopot? — zapytał Sparhawk.

— Próbuję ustalić, ile czasu zyskaliśmy do Martela.

— Niecałe półtora dnia — odpowiedział Talen. — A dokładnie dzień i jedną trzecią. Jesteśmy teraz za nim jakieś sześć, siedem godzin. Przebywamy ligę w godzinę.

— A zatem siedem lig. — Kalten pokiwał głową. — Wiesz co, Sparhawk, jeżeli będziemy jechać całą noc, jutro o świtaniu możemy wpaść w środek jego obozowiska.

— Nie będziemy jechać nocą, Kaltenie. Czai się tu coś nieprzyjemnego i wołałbym, żeby nas nie zaskoczyło w ciemności.

O zachodzie słońca rozbili obóz, a po wieczerzy wszyscy zebrali się w dużym namiocie, by rozważyć sytuację.

— W zasadzie wiemy, co mamy robić — zaczął Sparhawk. — Powinniśmy bez przeszkód dotrzeć do granicy. Kring i tak zbierze swych ludzi i większość wojowników Peloi podąży z nami przynajmniej przez część drogi. Dzięki temu Zemosi będą się trzymać z dala, więc dopóki nie dotrzemy do granicy, będziemy bezpieczni. Po opuszczeniu Pelosii czekają nas kłopoty. Musimy nadal deptać Martelowi po piętach, aby nie miał czasu na zebranie Zemochów i rzucenie ich przeciwko nam.

— Zdecyduj się na coś, Sparhawk — powiedział Kalten. — Najpierw mówisz, że nie możemy jechać nocą, a potem twierdzisz, że będziesz deptał Martelowi po piętach.

— Nie musimy siedzieć mu na karku, by go naciskać. Dopóki myśli, że jesteśmy blisko, będzie uciekał. Myślę, że utnę sobie z nim pogawędkę zanim zapadną ciemności. — Rozejrzał się dookoła. — Bericie, potrzebuję kilkunastu świec. Przynieś je tutaj.

— W tej chwili, dostojny panie Sparhawk.

— Ustaw je w rzędzie, jedna obok drugiej.

Rycerz sięgnął pod wierzchnią szatę. Wyciągnął Bhelliom, położył na stole i przykrył kawałkiem materiału, żeby uchronić obecnych przed jego uwodzicielskim wpływem. Gdy Berit zapalił świece, Sparhawk odkrył klejnot i ujął go w dłonie ozdobione pierścieniami.

— Błękitna Rózo, sprowadź Khwaja!

Kamień ponownie zrobił się gorący i w głębi, pośród płatków pojawiła się czerwona świetlista plamka.

— Khwaj! — ozwał się Sparhawk w mowie trolli. — Znasz mnie. Chcę ujrzyć miejsce, w którym będzie spał dzisiejszej nocy mój wróg. Spraw, aby pojawiło się w ogniu. Teraz!

Zamiast wściekłego wycia rozległ się ponury jęk. Płomienie świec wydłużyły się i połączyły, tworząc zwartą zasłonę jasnego ognia, a wówczas wszyscy ujrzeli obozowisko.

Jedynie trzy namioty rozbito w trawiastej dolince nad niewielkim jeziorem. Po przeciwnej stronie jeziora rosła kępa ciemnych cedrów. W zapadającym zmierzchu pośród namiotów płonęło samotne ognisko.

— Khwaj, przywieź nas bliżej namiotów! — rozkazał Sparhawk. — Spraw, byśmy słyszeli, co będzie mówione.

Obraz się zmienił, jakby przybliżył. Martel i jego towarzysze siedzieli dookoła ogniska. Mieli wychudłe i umęczone twarze. Sparhawk skinął na przyjaciół, nakazując im słuchać.

— Gdzie oni są, Martelu? — pytała właśnie Arissa. — Gdzie są owi dzielni Zemosi, na których opiekę liczyłeś? Zrywają kwiatki na bukiety?

— Odwracają uwagę Peloi, księżniczko — tłumaczył Martel. — Chciałabyś wpaść w ręce tych dzikusów? Nie martw się, Arisso. Jeżeli nie możesz zapanować nad żądzami, pożyczę ci Adusa. Nie pachnie zbyt przyjemnie, ale to cię chyba zbytnio nie zniechęci?

Oczy księżniczki zapłonęły nagłą nienawiścią, ale Martel nie zwrócił na to uwagi.

— Zemosi zatrzymają Peloi — rzekł do Anniasa. — Jeśli Sparhawk nie zajeździ koni na śmierć — a nigdy tego nie czyni — będzie nadal trzy dni za nami. Tak naprawdę nie potrzebujemy żadnych Zemochów, dopóki nie przekroczymy granicy. Wtedy odszukam ich, aby zastawiali pułapki na mego drogiego brata i jego przyjaciół.

— Khwaj! — powiedział krótko Sparhawk — spraw, niech mnie usłyszą! Teraz!

Płomienie świec zamigotały, po czym znieruchomiały ponownie.

— Wybrałeś piękne miejsce na obozowisko, Martelu — rzekł Sparhawk niedbałym tonem. — Są w tym jeziorze jakieś ryby?

— Sparhawk, to ty?! — krzyknął Martel. — Przecież jesteś daleko?

— Daleko? Wcale nie. Siedzę ci niemal na karku. Tak, piękne miejsce na obóz, jednak na twoim miejscu rozbiłbym namioty w tym cedrowym zagajniku po przeciwnej stronie jeziora. Wielu ludzi pragnie cię zabić, mój bracie, i niebezpiecznie jest nocować na otwartym terenie.

Martel poderwał się na równe nogi.

— Sprowadź konie! — wrzasnął do Adusa.

— Już odjeżdżasz? — zapytał Sparhawk z żalem. — Jaka szkoda! Tak bardzo cieszyłem się na ponowne spotkanie twarzą w twarz. No cóż, trudno. Zobaczymy się o świcie. Myślę, że możemy jeszcze tyle poczekać.

Uśmiechnął się złośliwie na widok piątki nieprzyjaciół siedzących w pośpiechu konie. W panice rozglądali się dookoła szalonym z przestachu wzrokiem, wdrapali się na swe wierzchowce i pognali na łeb, na szyję, okładając konie bezlitośnie.

— Wracaj, Martelu! — zawołał Sparhawk. — Zapomniałeś namiotów!

Rozdział 23

Peloi zamieszkiwali rozległe, nie poprzegradzane płotami łąki, które nigdy nie zaznały pluga. Po tej odwiecznej krainie traw hulały wiatry późnej jesieni, zawodząc żałobne pienia po odejściu lata. W drużynie panował ponury nastrój. Jechali na wschód, kierując się w stronę skalnego szczytu, który wyrastał na środku ogromnej równiny. Otulali się płaszczami przed chłodem.

Późnym popołudniem dotarli do skalnego szczytu i stwierdzili, że u jego podnóża tętni życie. Kring, który pojechał przodem, aby zebrać Peloi, wyjechał po dróżnym na spotkanie. Głowę miał obwiązaną bandażami.

— Co ci się stało, przyjacielu Kringu? — zapytał Tynian.

— Obawiam się, że nie wszystkim przypadł do gustu plan pana Beviera — odparł Kring z żalem. — Jeden z niezadowolonych zaszedł mnie od tyłu.

— Nigdy bym nie pomyślał, że wojownik Peloi zaatakuje skrycie.

— I masz rację. Wojownik nie uczyniłby tak, ale mój napastnik nie był mężczyzną. Wysokiego stanu kobieta Peloi zaszła mnie od tyłu i zdzieliła garnkiem po głowie.

— Mam nadzieję, że należycie ją ukarałeś.

— Nie mogłem, przyjacielu Tynianie. To moja rodzona siostra. Nasza matka nigdy by mi nie wybaczyła, gdybym zbił jej ukochaną córkę. Żadnej z kobiet nie spodobał się plan pana Beviera, ale tylko moja siostra odważyła się mnie zganić.

— Czyżby wasze kobiety aż tak troszczyły się o własne bezpieczeństwo? — zapytał Bevier.

— Oczywiście, że nie. Są dzielne jak lwice, tylko martwi je fakt, że jedna z nich musiałaby przejąć dowództwo nad resztą. Kobiety Peloi są bardzo czułe na punkcie swej pozycji. Wojownicy uznali twój plan za doskonały pomysł, ale cóż... — domi rozłożył bezradnie ręce — czy mężczyzna kiedykolwiek zrozumie kobietę? — Wyprostował się z godnością i zaczął zdawać raport. — Poleciłem moim zastępcom zorganizowanie obozowiska. Zostawimy jedynie niewielki oddział i wszyscy ruszymy w kierunku granicy, jakbyśmy zamierzali najechać Zemoch. Nocą co pewien czas będziemy wysyłać swych ludzi z powrotem, aby zajmowali pozycje na otaczających wzgórzach i czekali na Zemochów. Wy poje-

dziecie z nami. Odłączycie się w pobliżu granicy.

— Bardzo dobry plan, przyjacielu Kringu — pochwalił Tynian.

— Też tak myślę. — Kring uśmiechnął się dumnie. — Chodźcie ze mną. Zabiorę was do namiotów mego plemienia. Pieczemy parę wołów. Podzielimy się solą i porozmawiamy. — Nagle coś sobie przypomniał. — Przyjacielu Stragenie, ty lepiej znasz Tamulkę Mirtai niż reszta naszych przyjaciół. Czy ona potrafi gotować?

— Nigdy nie jadłem niczego, co by przygotowała — przyznał Stragen. — Raz opowiadała nam o swej pieszej wyprawie, jaką urządziła, gdy była jeszcze małą dziewczynką. Zrozumiałem, że żywiła się głównie wilkami.

— Wilkami? A jak przyrządza się wilki?

— Chyba o tym nawet nie myślała. Zdaje się, że bardzo jej się śpieszyło, więc jadła w biegu.

Kring z trudem przełknął ślinę.

— Jadła wilka na surowo? — zapytał z podziwem. — A jak udało jej się go upolować?

Stragen wzruszył ramionami.

— Najpewniej goniła go tak długo, aż zagoniła na śmierć. Potem wyszarpała co smakowitsze kąski i zjadła biegnąc dalej.

— Biedny wilk! — krzyknął Kring. Wtem spojrzał podejrzliwie na thalezyjskiego herszta złodziei. — Czy ty aby nie dworujesz sobie ze mnie?

— Ja? Nigdy bym się nie ośmielił! — Stragen patrzył na wodza Peloi niewinnie jak dziecko.

Wyruszyli następnego ranka skoro świt. Kring jechał u boku Sparhawka.

— Wczoraj Stragen chciał zrobić ze mnie głupca, prawda? — zapytał pełen obawy.

— Chyba tak — odparł Sparhawk. — Thalezyjczycy to dziwni ludzie i mają osobliwe poczucie humoru.

— Chociaż Mirtai pewnie byłaby do tego zdolna... — Kring westchnął z podziwem.

— Chyba tak — przyznał Sparhawk. — Widzę, że nadal zaprzęta ci głowę.

— Och, próbowałem usunąć ją z mych myśli, ale nadaremno. Obawiam się, że mój lud nigdy jej nie zaakceptuje. Wszystko byłoby dobrze, gdybym nie zajmował tak wysokiej pozycji. Jeślibym się z nią ożenił, ona byłaby doma wśród Peloi — towarzyszką domi i dowódcą kobiet. Inne kobiety z zazdrości zaczęłyby buntować swych mężów. Potem tamci opowiedzą się przeciwko niej na naszej radzie i będę musiał zabić wielu swych przyjaciół, których mam jeszcze z czasów dzieciństwa. Jej obecność podzieli moich ludzi. — Kring westchnął ciężko. — Ech, może zginę podczas zagrażającej nam wojny. W ten sposób uniknę wyboru między miłością a obowiązkiem. — Wyprostował się w siodle. — Dość tej babskiej gadaniny. Gdy zniszczymy główne siły Zemochów, zaczniemy pustoszyć tereny

po obu stronach granicy. Zemosi będą mieli mało czasu, by troszczyć się o ciebie i twych przyjaciół. Bardzo łatwo można odwrócić ich uwagę. Zniszczymy ich kapliczki i świątynie. Nie wiem dlaczego, ale to zawsze doprowadza ich do szaleństwa.

— Dokładnie wszystko przemyślałeś, Kringu.

— Zawsze należy wiedzieć, dokąd się zmierza. W marszu na wschód będziemy się trzymać traktu wiodącego w kierunku Vilety. Słuchaj mnie uważnie, dostojny panie. Będą ci potrzebne wskazówki, jeżeli chcesz odnaleźć to przejście, o którym wcześniej ci wspomniałem. — Długo tłumaczył Sparhawkowi, jaką ma pojechać drogą, objaśniając punkty orientacyjne i odległości. — To wszystko, dostojny panie — zakończył. — Chciałbym uczynić więcej. Czy na pewno nie chcesz, abym wraz z tysiącem jeźdźców pojechał z tobą?

— Cieszyłbym się z towarzystwa, domi — rzekł Sparhawk — ale tak wielkie wojska napotykałyby opór miejscowej ludności, a to by opóźniło naszą podróż. Na równinach Lamorkandii czekają towarzysze broni z nadzieją, że dotrzemy do świątyni Azasha, nim pokonają ich Zemosi.

— Rozumiem, dostojny panie.

Przez dwa dni jechali na wschód, a potem Kring oznajmił Sparhawkowi, że powinien rano skrócić na południe.

— Posłuchaj dobrej rady — ruszaj dwie godziny przed świtem, dostojny panie. Wzbudziłbyś ciekawość zemoskich zwiadowców opuszczając obozowisko za dnia. Mogliby za tobą pojechać. Teren na południe jest prawie płaski, więc jazda po ciemku nie będzie trudna. Powodzenia, dostojny panie. Wielka odpowiedzialność spoczywa na twych barkach. Będziemy się za ciebie modlić w chwilach wolnych od zabijania Zemochów.

Sparhawk siedział przed namiotem, rozkoszując się świeżym powietrzem. Ponad rzadkimi chmurami wschodził księżyc. W jego srebrnym świetle nagle pojawił się Stragen.

— Ładna noc — rzekł.

— Ale trochę chłodna — odparł Sparhawk.

— A któż chciałby żyć w krainie wiecznego lata? Pewnie nie będę widział, jak odjeżdżasz, dostojny panie. Nie należę do rannych ptaszków. — Stragen sięgnął za kubrak i wyciągnął grubszy od poprzednich pakiet. — To już ostatni — powiedział, podając rycerzowi list. — Wypełniłem zadanie, które powierzyła mi najjaśniejsza pani.

— Przypuszczam, że dobrze się spisałeś.

— Wypełniłem dokładnie rozkazy królowej Ehlany.

— Mogłeś sobie oszczędzić trudów, gdybyś od razu oddał mi wszystkie listy.

— Nie miałem nic przeciwko tej podróży. Polubiłem ciebie i twoich towarzyszy... co oczywiście nie znaczy, że podziwiam twą przytłaczającą szlachetność, ale lubię cię.

— Ja również cię polubiłem. . . co oczywiście nie znaczy, że ci ufam, ale lubię cię.

— Dziękuję, dostojny panie — odparł Stragen z kpiącym ukłonem.

— Nie ma za co, milordzie. — Sparhawk uśmiechnął się szeroko.

— Bądź ostrożny w Zemochu — rzekł poważnie Stragen. — Twoja młoda małżonka, obdarzona żelazną wolą, bardzo przypadła mi do serca i nie chcę, byś nierozważnym wyczynem uczynił ją nieszczęśliwą. Słuchaj bacznie, co mówi Talen. Wiem, to tylko dziecko i w dodatku złodziej, ale on ma instynkt i zdumiewająca umysł. Całkiem możliwe, że to najinteligentniejsza osoba, jaką kiedykolwiek ty czy ja spotkamy na swej drodze. A poza tym Talen ma szczęście. Nie przegraj, dostojny panie Sparhawku. Nie mam ochoty składać pokłonów Azashowi. No, dość tego. Czasami się rozrzewniam. Wracajmy do namiotu i odkorkujmy butelczynę albo i dwie za stare, dobre czasy, chyba że chcesz przeczytać list.

— Zostawię to na potem. Może mnie najść chwila słabości gdzieś w Zemochu i będę wtedy potrzebował czegoś dla poprawy nastroju.

Chmury ponownie przesłoniły księżyc, gdy zebrali się wcześniej następnego ranka. Sparhawk naszkicował plan jazdy, kładąc nacisk na wspomniane przez Kringa punkty orientacyjne. Następnie wszyscy dosiedli koni i ruszyli.

Panowały nieprzeniknione ciemności.

— Możemy równie dobrze jeździć w kółko — marudził Kalten trochę ponurym głosem. Wczorajszego wieczoru siedział z dzikimi Peloi do późna; teraz miał przekrwione oczy i drżące dłonie.

— Po prostu jedź dalej — rzekła mu Sephrenia.

— Oczywiście, ale w którą stronę?

— Na południowy wschód.

— Doskonale, a gdzie jest południowy wschód?

— Tam — wskazała w ciemności.

— Skąd wiesz?

Czarodziejka przez dłuższą chwilę mówiła do niego coś szybko po styricku.

— To powinno ci wszystko wyjaśnić, Kaltenie — stwierdziła na koniec.

— Mateczko, nie zrozumiałem nawet jednego słowa.

— Mój drogi, to już nie moja wina.

Świt nadciągał tego ranka z ociąganiem, jako że zalegające na wschodzie chmury były szczególnie gęste. W miarę jak posuwali się na południe, coraz wyraźniej widzieli rysującą się na wschodzie poszarpaną linię szczytów. Te góry mogły się znajdować jedynie w Zemochu.

Późnym rankiem Kurik wstrzymał wierzchowca.

— Tam jest ten czerwony szczyt, o którym wspominałeś, Sparhawku — rzekł wskazując palcem.

— Wygląda, jakby krwawił, prawda? — zauważył Kalten. — Czy może tak tylko mi się wydaje?

— Pewnie jedno i drugie — powiedziała Sephrenia. — Nie powinienes być pić tyle piwa ostatniej nocy.

— Trzeba było mi o tym powiedzieć ostatniej nocy, mateczko — lamentował Kalten.

— Już czas, abyście zmienili strój — powiedziała czarodziejka. — Wasze zbroje mogą się w Zemochu zbyt rzucać w oczy. Przywdziejcie kolczugi, jeżeli musicie, ale dla każdego z was mam zgrzebne styryckie koszule. Gdy się przebiezrzecie, zajmę się waszymi twarzami.

— Ja przyzwyczaiłem się już do swojej — mruknął Uloth.

— Ty może się do niej przyzwyczaiłeś, ale Zemosi mogliby się jej wystraszyć.

Pięciu rycerzy i Berit zdjęli swoje paradne zbroje — rycerze z uczuciem pewnej ulgi, ale Berit z wyraźną niechęcią. Przywdziali nieco mniej niewygodne kolczugi, a na to styryckie koszule.

Sephrenia obrzuciła wszystkich krytycznym spojrzeniem.

— Przypasajcie teraz miecze — poleciła. — Wątpię, aby wśród Zemochów panował zwyczaj jakiegoś szczególnego sposobu noszenia broni. Gdybyśmy później stwierdzili, że jest inaczej, dostosujemy się do sytuacji. A teraz stójcie spokojnie. — Czarodziejka przechodziła od jednego do drugiego, dotykała twarzy i powtarzała to samo styryckie zaklęcie.

— Nie zadziało, szlachetna pani Sephrenio — powiedział Bevier spoglądając na swych towarzyszy. — Wszyscy nadal wyglądają w mych oczach tak samo.

— Nie próbuję zamaskować ich przed tobą — odparła z uśmiechem, następnie podeszła do swej klaczy, sięgnęła do sakw przytroczonych u siodła i wyciągnęła małe lustro. — Tak będą was widzieli Zemosi — rzekła, podając mu lustro.

Bevier zerknął w nie, po czym szybko uczynił znak odpędzający złe moce.

— Boże przenajświętszy! — wykrzyknął. — Wyglądam okropnie!

Sparhawk wziął od niego lustro i dokładnie przyjrzał się swej dziwnie zmienionej twarzy. Włosy miał nadal czarne, ale jego ogorzała cera zbladła, przyjmując kolor typowy dla skóry Styryków. Czoło i kości policzkowe stały się wydatne, niemal kanciaste. Z pewnym niezadowoleniem zauważył, że Sephrenia pozostawiła jego nos nie zmieniony. Choć wprawdzie wmawiał sobie, iż niewiele go obchodzi złamany nos, to stwierdził, że był ciekaw, jak dla odmiany wyglądałby z prostym.

— Sprawiałam, abyście przypominali Styryków — powiedziała czarodziejka. — W Zemochu spotyka się ich wystarczająco często i mnie bardziej podoba się to przebranie. Nie wiem dlaczego, ale na widok mieszaiców elenostyryckich wzdrygam się ze wstrętem.

Podniosła prawe ramię i mówiła coś po styrycku, a potem wykonała ruch ręką. Na jej przedramieniu pojawiła się ciemna spiralna wstęga, przypominająca tatuż, która owinęła jej rękę aż po nadgarstek, by następnie zakończyć się na dłoni zdumiewająco żywo wyglądającym wizerunkiem głowy węża.

— Nie uczyniłaś chyba tego bez powodu, prawda? — zapytał Tynian, przyglądając się ciekawie temu znakowi.

— Oczywiście, że nie. Ruszamy?

Granica między Pelosią a Zemochem nie była dokładnie określona i zdawała się bieć wzdłuż krętej linii znaczącej kraniec obszaru wysokich traw. Ziemia na wschód od tej linii była nędzna i kamienista, a roślinność mizerna. Stromy stok na wysokości ponad ćwierci ligi przecinał ciemny kraniec iglastego boru. Nie ujechali jeszcze połowy drogi do linii pierwszych drzew, gdy z lasu wyłoniło się kilkunastu jeźdźców w brudnych koszulach i ruszyło w ich stronę.

— Ja z nimi porozmawiam — rzekła Sephrenia. — Tylko niech żaden z was się nie odzywa i starajcie się wyglądać groźnie.

Zemosi wstrzymali konie. Niektórzy wyglądali niemal jak Styrycy, niektórzy z łatwością mogli ująć za Elenów, a niektórzy zdawali się nieudaną mieszanką obu tych ras.

— Chwała straszному bogu Zemochów — wyrecytował ich przywódca w mowie przypominającej nieco styricką. Była to mieszanina języka Styryków i Elenów, przy czym zawierała jedynie najgorsze cechy obu z nich.

— Kedjeku, nie wypowiedziałeś jego imienia — stwierdziła zimno Sephrenia.

— Skąd mateczka zna jego imię? — szepnął Kalten do Sparhawka. Najwyraźniej rozumiał język Styryków bardziej, niż potrafił nim mówić.

— „Kedjek” nie jest imieniem — odparł Sparhawk. — To obelga.

Twarz Zemocha pobladła jeszcze bardziej, a jego przymrużone czarne oczy zapalały nienawiścią.

— Kobiety i niewolnicy nie zwracają się w ten sposób do członków straży cesarskiej! — warknął.

— Straż cesarska! — prychnęła Sephrenia. — Ani ty, ani żaden z twoich ludzi nie jesteście warci nawet brodawki cesarskiego strażnika. Wymów imię naszego boga, abym mogła upewnić się, że jesteś prawdziwej wiary. Wymów, kedjeku, bo inaczej zginiesz.

— Azash — mruknął zmieszany Zemoch.

— Jego imię jest plugawione przez język, który je wymawia, ale Azash czasami czerpie z tego przyjemność.

Zemoch wyprostował się w siodle.

— Mam rozkaz gromadzić ludzi — oznajmił. — Bliski jest dzień, w którym błogosławiony Otha wyciągnie swą pięść, by rozbić i pojąć w niewolę niewiernych z Zachodu.

— A zatem wypełniaj dalej swoje zadanie. Staraj się, albowiem Azash brak pilności nagradza męczarniami.

— Nie potrzebuję pouczeń kobiety! Przygotuj swych służących do wyruszenia na wojnę.

— Nie podlegam twej władzy. — Sephrenia uniosła prawą rękę zwróconą dłonią w jego stronę. Znak nakreślony wokół przedramienia i nadgarstka zdawał się wić i falować, a z wizerunku głowy węża wysuwał się rozdwojony język i dobywało się syczenie. — Zezwalam, abyś mnie pozdrowił — powiedziała wyniośle.

Zemoch cofnął się raptownie, wybałuszając pełne przerażenia oczy. Rytualne powitanie Styrików wiązało się z ucałowaniem dłoni, więc gest Sephrenii był jawnym zaproszeniem do popełnienia samobójstwa.

— Wybacz mi, matko kapłanko — błagał drżącym głosem.

— Ani myślę — odparła beznamiętnym tonem. Spojrzała na pozostałych Zemochów, którym oczy wylażyły na wierzch ze strachu. — Ten śmieć mnie obraził — zwróciła się do nich. — Postąpcie zgodnie ze zwyczajem.

Zemosi zeskoczyli z siodeł, ściągnęli swego szamocącego się dowódcę z konia i natychmiast pozbawili go głowy. Sephrenia, która zwykle nie była w stanie bez odrazy patrzeć na rozlew krwi, teraz przyglądała się temu z kamienną twarzą.

— Wystarczy — rzekła z majestatycznym spokojem. — Jego szczątki jak zwykle wystawcie na widok publiczny i jedźcie wypełnić swą misję.

— Ach. . . matko kapłanko — wyjąkał jeden z nich — nie mamy teraz dowódcy.

— Ty przemówiłeś, więc ty będziesz im przewodził. Jeżeli dobrze się spiszesz, zostaniesz nagrodzony. Jeśli nie, kara spadnie na twoją głowę. Zabierz tę padlinę z mojej drogi. — Ch'iel, biała klacz Sephrenii, ruszyła do przodu, omijając kałużę krwi.

— Funkcja dowódcy wiąże się u Zemochów z dużym ryzykiem — mruknął Uloth do Tyniana.

— W rzeczy samej — przyznał Deirańczyk.

— Czy naprawdę musiałas tak okrutnie go potraktować, szlachetna pani Sephrenio? — zapytał Bevier zdławionym głosem.

— Tak. Zemoch, który obraził stan kapłański, zawsze podlega karze, a w tym kraju jest tylko jedna kara.

— W jaki sposób ożywiłaś wizerunek węża? — zapytał Talen z lekkim niepokojem w oczach.

— Nic takiego nie uczyniłam. Wąż tylko sprawia wrażenie, że się rusza.

— A więc tak naprawdę nie ugryzłby Zemocha?

— Zemoch odniósłby wrażenie, że wąż go ugryzł, a rezultat byłby taki sam. Sparhawk, jak daleko w głąb tego lasu kazał ci jechać Kring?

— Na około dzień jazdy — odparł rycerz. — Na wschodnim krańcu lasu skręcimy na południe, tuż przed wjazdem w góry.

— A zatem ruszajmy.

Widoczna zmiana w zachowaniu Sephrenii wszystkich napawała po trochu grozą. Poza bezdusznej arogancji, którą przyjęła podczas spotkania z Zemochami, była tak krańcowo różna od jej normalnego zachowania, że budziła strach. Jechali

dalej przez mroczny bór w milczeniu, zerkając na czarodziejkę z lękiem. Wreszcie Sephrenia wstrzymała swą klacz.

— Przestańcie! — krzyknęła. — Przecież nie wyrosła mi druga głowa. Gram rolę zemoskiej kapłanki i zachowuję się dokładnie tak, jak zachowywałyby się kapłanka Azasha. Kiedy udaje się potwora, czasem trzeba robić potworne rzeczy. Jedźmy dalej. Opowiedz nam coś, Tynianie. Odwiedź nasze myśli od ostatnich przykrości.

— Zrobię co w mej mocy, mateczko. — Tynian schylił głowę z pokorą. Sparhawk zauważył, że wszyscy zaczęli darzyć Sephrenię szacunkiem zabarwionym lękiem.

Tej nocy obozowali w lesie, a następnego ranka wyruszyli dalej pod wciąż pochmurnym niebem. W miarę jak wspinali się borem coraz wyżej, panował coraz większy chłód. Około południa dotarli do wschodniego krańca lasu i skręcili na południe. Nadal trzymali się linii drzew, aby móc w razie potrzeby skorzystać z ich osłony.

Trochę później niż przewidywał Kring, dotarli do rozległego uschniętego zagajnika. Szeroka na ligę, biała wstęga martwych drzew opadała w dół zbocza niby wodospad trądu o wstrętnym zapachu, upstrzony grzybowatymi naroślami.

— To miejsce wygląda i pachnie jak przedsionek piekieł — powiedział Tynian ponurym tonem.

— Może dlatego, że niebo wciąż przesłaniają chmury — rzekł Kalten.

— Nie sądzę, aby w słońcu okolica wyglądała przyjemniej — mruknął Ulath.

— Co mogło spustoszyć tak znaczny obszar? — zapytał Bevier ze zgrozą.

— Ziemia jest tu chora — powiedziała Sephrenia. — Nie wlecmy się zbyt długo pomiędzy tymi skażonymi drzewami, moi drodzy. Co prawda człowiek to nie drzewo, ale szkodliwe wyziewy tego lasu nie mogą być zdrowe.

— Zaraz zapadnie noc — rzekł Kurik.

— Nie kłopotz się tym. Będziemy mieć wystarczająco dużo światła, by jechać mimo ciemności.

— A co spowodowało tę chorobę ziemi, szlachetna pani Sephrenio? — zapytał Berit, spoglądając na białe drzewa sterczące z ziemi niczym szkielety rąk.

— Nie sposób tego dociec, ale unoszące się tu opary są oparami śmierci. Pod ziemią mogą się znajdować trudne do wyobrażenia okropności. Jedźmy, niech to miejsce pozostanie za nami.

Z nadejściem wieczoru niebo pociemniało, ale wraz z zapadnięciem nocy drzewa dookoła nich poczęły świecić słabym zielonkawym blaskiem.

— Czy ty to sprawiłaś, mateczko? — zapytał Kalten.

— Nie — odparła czarodziejka. — Światło nie jest magicznego pochodzenia. Kurik zaśmiał się z odrobiną żalu.

— Powiniennem był o tym pamiętać — powiedział.

— O czym? — spytał Talen.

— Butwiejące kłody i pnie czasami świecą w ciemności.
— Ja pierwszy raz coś takiego widzę na oczy.
— Zbyt wiele czasu spędziłeś w miastach, mój chłopcze.
— Trzeba być tam, gdzie są klienci. — Talen wzruszył ramionami. — Nie zarobiłbym wiele na oszukiwaniu żab.

Jechali przy tym słabym zielonkawym blasku, zakrywając nosy i usta płaszczami. Tuż przed północą dotarli do urwistej, porośniętej lasem grani. Ujechali jeszcze z pół ligi i rozbili obóz w płytkiej kotlinie, gdzie nocne powietrze wydawało się niezwykle słodkie i czyste po tych zdających się ciągnąć w nieskończoność godzinach spędzonych w zaduchu martwego lasu.

Widok, jaki roztoczył się przed nimi, gdy rankiem wspięli się na grani, nie był pokrzepiający. Poprzedniego dnia musieli stawić czoło martwej białości. Dzisiaj ujrzeli okolicę równie martwą, tyle że czarną.

— A cóż to jest, u licha? — zapytał Talen, wpatrując się w bulgoczący bezmiar kleistego czarnego paskudztwa.

— To bagna smolne, o których wspominał Kring — rzekł Sparhawk.

— Czy można je obejść?

— Nie. Smoła wycieka ze szczytu urwiska i te bagna ciągną się aż do podnóża gór.

Smolne bagna okazały się rozległym skupiskiem kałuż połyskliwie czarnych, migotliwie wilgotnych, bulgoczących i ciągnących się aż do skalnej ostrogi, oddalonej około dwóch lig na południe. W pobliżu drugiego brzegu wzbijał się pióropusz niebieskawego ognia prawie tak wysoki, jak iglica na dachu katedry w Cimurze.

— Jakżeż mamy to przebyć?! — wykrzyknął Bevier.

— Ostrożnie — mruknął Ulath. — Pokonywałem już kilka ławic ruchomych piasków w Thalesii. Wiele czasu zajmuje próbowanie terenu przed sobą, najlepiej długim kijem.

— Peloi oznakowali ścieżkę — zapewnił ich Sparhawk. — Wbili tyczki w twardey grunt.

— A po której stronie tyczek powinniśmy się trzymać? — zapytał Kalten.

— Tego Kring nie powiedział, jednakże myślę, że wkrótce się zorientujemy.

Zjechali w dół grani i ostrożnie zbliżyli się do kleistej czarnej mazi. Nad bagnami wisiały opary o zapachu nafty, od których Sparhawkowi zaczęło się kręcić w głowie.

Wlekli się zwolnionym z ostrożności krokiem. Dokoła nich z dna czarnych topieli wzbijały się wielkie lepkie pęcherze i pękały z wstrętnym beknieniem. W pobliżu południowego krańca moczarów minęli słup błękitnego ognia, który z ogłuszającym hukiem wzbijał się w górę z głębi ziemi. Teren zaczął się wznosić i wkrótce opuścili bagnisko. Być może z powodu gorąca bijącego od płonących traw, teraz trzęśli się z zimna.

— Zbliża się niepogoda — ostrzegł Kurik. — Pewnie spadnie deszcz, ale potem możemy się spodziewać śniegu.

— Żadna przeprawa przez góry nie obejdzie się bez śniegu — mruknął Ulath.

— Na co teraz mamy się kierować? — zapytał Tynian Sparhawk.

— Na to. — Rycerz wskazał wysokie urwisko, ukośnie poprzecinane szerokimi żółtymi pasmami. — Kring udzielił nam bardzo dokładnych wskazówek. — Spojrzał uważnie przed siebie i dostrzegł drzewo z kawałkiem odartej kory. — W porządku — powiedział. — Ścieżka wiodąca do przejścia jest oznakowana. Ruszajmy, nim zacznie padać.

Jechali łożyskiem wyschniętego potoku. Klimat Eosii w ciągu tysiącleci ulegał zmianie i Zemoch robił się coraz bardziej suchy. Potok, który cierpliwie wyrzeźbił wąską kotlinkę, wysechł u źródła, pozostawiając urwisty parów biegnący w górę wysokiego urwiska.

Późnym popołudniem, zgodnie z przepowiednią Kurika, zaczęło padać. Gęsta mżawka sprawiła, że wkrótce podróżni przemokli do nitki.

— Dostojny panie! — zawołał jadący z tyłu Berit. — Spójrz na to!

Sparhawk ściągnął wodze i zawrócił konia. Berit wskazywał na zachód, gdzie jedynie pasmo bledszej szarości znaczyło na deszczowym niebie ślad po nikałym za horyzontem słońcu. W centrum owego jaśniejszego miejsca unosiła się bezkształtna, atramentowo czarna chmura.

— Porusza się inaczej niż wszystkie, dostojny panie — powiedział Berit. — Pozostałe chmury przesuwały się na zachód. Ta zmierza na wschód, prosto w naszą stronę. Wygląda podobnie do tej chmury, w której byli ukryci pierwotni ludzie. Do tej, która nas śledziła.

Sparhawkowi zamarło serce.

— W rzeczy samej jest do niej podobna, Bericie. Sephrenio! — zawołał.

Czarodziejka zawróciła i podjechała do nich.

— Znowu tu jest — rzekł Sparhawk wskazując palcem na chmurę.

— Widzę. Nie spodziewałeś się chyba, że po prostu odejdzie?

— Miałem taką nadzieję. Co możemy uczynić?

— Nic.

Rycerz wyprostował się w siodle.

— A zatem jedźmy dalej — powiedział.

Stromy parów wił się między skałami. Podążali nim wolno, wypatrując oczy w zapadającym zmierzchu. Starożytne koryto zatoczyło ostry zakręt i podróżni ujrzeli skalne rumowisko. Prawdopodobnie w tym miejscu południowa ściana występu spadła do parowu i zablokowała go całkowicie.

— Tędy nie przejedziemy — zauważył Bevier. — Mam nadzieję, że Kring udzielił ci właściwych wskazówek, dostojny panie.

— Powinniśmy tu odbić w lewo — rzekł Sparhawk. — W dole rumowiska na prawo od północnej ściany parowu znajdziemy chaszczę, masę konarów i kłód.

Gdy je odsuniemy, odsłoni się przejście biegnące pod rumowiskiem. Korzystają z niego Peloi, gdy wyprawiają się do Zemochu po uszy.

Kalten otarł twarz z deszczu.

— Szukajmy więc szlaku Peloi — powiedział.

Sterta zwalonych drzew i płatanina gałęzi w szybko zapadającym zmroku wyglądała całkiem naturalnie, jak naniesiona przez wiosenne ulewy. Talen zsiadł z konia, wspiął się na ukośnie położoną kłodę i zajrzał do ciemnej szczeliny w płataninie gałęzi.

— Hej! — krzyknął w głąb otworu, a jego głos powrócił odbity echem.

— Daj nam znać, gdyby ktoś odpowiedział! — zawołał do niego Tynian.

— To na pewno tutaj — powiedział chłopiec. — Za tą stertą gałęzi jest duża otwarta przestrzeń.

— Zabierajmy się do roboty — poradził Ulath i spojrzał na mroczne niebo. — Moglibyśmy rozważyć spędzenie tam nocy — dodał. — Deszcz nie ustaje i robi się coraz ciemniej.

Z kawałków drzewa sporządzili jarzma i użyli jucznych koni do rozebrania sterty kłód i krzaków. Odsłonił się tunel trójkątny u wylotu, jako że jego zewnętrzna ściana była północną krawędzią parowu. Przejście było wąskie i pachniało w nim stęchlizną.

— Sucho tam — mruknął Ulath — i z dala od niepożądanych oczu. Moglibyśmy pójść trochę w głąb i rozpalić ognisko. Jeżeli nie wysuszymy odzienia, do jutrzejszego ranka nasze kolczugi zupełnie zardzewieją.

— Najpierw przesłońmy wejście — powiedział Kurik. Nie miał jednak wielkich nadziei, czy powiedzie się im próba ukrycia za stertą gałęzi przed mroczną chmurą, która podążała ich śladem od Thalesii.

Zasłonili już wejście do tunelu, po czym wyciągnęli z jednej z pak pochodnie, zapalili je i ruszyli wąskim korytarzem. Po około stu krokach doszli do miejsca, w którym tunel się rozszerzał.

— Nie będzie nam tu zbyt ciasno? — zapytał Kurik.

— Przynajmniej jest sucho — powiedział Kalten. Kopnął w pokryte piaskiem dno korytarza i wydobył kawałek wybielonego drewna. — Może nawet znajdziemy dość drewna na ognisko.

Rozbili obóz i wkrótce zapłonął niewielki ogień.

Talen wrócił z wycieczki w głąb korytarza.

— Ten tunel biegnie dalej kilkaset kroków — relacjonował. — Górny wylot jest w ten sam sposób zablokowany gałęziami jak dolny. Kring bardzo zadbał o ukrycie tego przejścia.

— Czy na górze pogoda jest taka sama jak na dole? — zapytał Kurik.

— Teraz pada tam deszcz ze śniegiem, ojczu.

— A więc miałem rację. No cóż, zdaje się, że dla każdego z nas śnieg to nie pierwszozna.

— Czyja kolej na gotowanie? — zapytał Kalten.

— Twoja — burknął Ulath.

— Nie może być znowu moja kolej!

— Przykro mi, ale na ciebie wypada tura.

Mrucząc coś pod nosem, Kalten zabrał się do wypakowywania prowiantów. Wieczera składała się z podróźnych racji Peloi, wędzonej baraniny, ciemnego chleba i gęstej zupy z suszonego grochu. Była pożywna, ale niezbyt smaczna. Po posiłku Kalten przystąpił do sprzątanía. Był w trakcie zbierania talerzy, gdy nagle znieruchomiał. Podejrzliwie patrzył na genidianię.

— Panie Ulathu, przez cały czas naszej wspólnej podróży nigdy nie widziałem, abyś ty choć raz przyrządził posiłek.

— Tak, zapewne nie widziałeś.

— A kiedy przyjdzie kolej na ciebie?

— Nie przyjdzie. Ja pilnuję kolejki. Chyba się nie spodziewasz, że będę gotował? W końcu musi być sprawiedliwość.

— A kto wyznaczył ci taką rolę?

— Zgłosiłem się na ochotnika. Rycerze Kościoła zawsze powinni tak postępować w obliczu niemiłego zadania. To jeden z powodów, dla których ludzie darzą nas takim poważaniem.

Potem wszyscy usiedli dookoła ogniska, wpatrując się z melancholią w płomień.

— W dni takie jak ten zastanawiam się, dlaczego postanowiłem zostać rycerzem — powiedział Tynian. — W młodości miałem okazję zostać prawnikiem. Pomyślałem sobie, że to będzie nudne zajęcie i zdecydowałem się na wstąpienie do zakonu. Teraz zastanawiam się, czy nie popełniłem błędu.

Rozległ się pomruk aprobaty.

— Cni rycerze — odezwała się Sephrenia — porzućcie smutne myśli. Mówiłam wam już, że jeżeli opanuje nas melancholia, wpadniemy prosto w ręce naszych nieprzyjaciół. Moi drodzy, wystarczy nam jedna ciemna chmura wisząca nad głowami. Nie dodawajmy do tego chmur stworzonych przez nas samych. Gdy światło gaśnie, wygrywają ciemności.

— Jeżeli próbujesz nas pocieszyć, mateczko, robisz to w dziwny sposób — westchnął Talen. Czarodziejka uśmiechnęła się blade.

— Czyżby to brzmiało zbyt dramatycznie? Chodzi o to, mój drogi, że wszyscy powinniśmy być czujni. Musimy strzec się przygnębienia, zniechęcenia, a przede wszystkim melancholii. Melancholia jest formą szaleństwa.

— Co powinniśmy zatem zrobić? — zapytał Kalten.

— To całkiem proste, panie Kaltenie — powiedział Ulath. — Obserwuj bardzo uważnie Tyniana. Jeśli zacznie fruwać jak motylek, powiadom o tym pana Sparhawk. Ja będę szukał u ciebie oznak zżabienia. Gdy tylko zaczniesz chwytac językiem muchy, będę wiedział, że tracisz kontakt z rzeczywistością.

Rozdział 24

Do wąskiego tunelu wpadały wielkie wirujące płatki śniegu zmieszane z mżawką. Z konarów drzew gniewnie spoglądały skulone kruki o mokrych, czarnych jak sadza piórach. Taki ranek najchętniej spędziłoby się w porządnie zbudowanych murach, pod solidnym dachem i przy dodającym otuchy ogniu. Niestety, nie mogli liczyć na wygody, więc Sparhawk i Kurik zagrzebali się głębiej w gąszczu jałowców i czekali.

— Jesteś pewien? — szepnął Sparhawk do swego giermka.

— O tak, to był dym — odparł ściszym głosem Kurik — i ktoś bardzo nieudolnie smażył boczek.

— Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko czekać — skrzywił się Sparhawk. — Nie mam ochoty na spotkania z nieznanymi. — Próbował zmienić pozycję, ale był zaklinowany pomiędzy pniami dwóch karłowatych drzewek.

— Co się dzieje, Sparhawk? — zaniepokoił się giermek.

— Woda kapie z gałęzi prosto na mnie. Ścieka mi po karku.

Kurik przyglądał mu się uważnie przez chwilę.

— Jak się czujesz, dostojny panie? — zapytał.

— Mokro. Ale dziękuję za troskliwość.

— Wiesz, co mam na myśli. Muszę cię bacznie obserwować. Ty jesteś najważniejszy, dostojny panie. Tak naprawdę nie ma znaczenia, czy reszta z nas zacznie popadać w melancholię, ale jeżeli ciebie ogarną wątpliwości i obawy, to wszyscy wpadniemy w tarapaty.

— Sephrena czasami przypomina kwokę.

— Ona cię kocha, Sparhawk. To naturalne, że się o ciebie troszczy.

— Przecież dawno przestałem być dzieckiem. Nawet wziąłem sobie żonę, więc na pewno jestem dorosły.

— No cóż, chyba masz rację. Jakim cudem tego nie zauważyłem?

— Bardzoż zabawny.

Czekali wyęzając słuch, ale wokół panowała cisza. Słyszeli tylko kapanie wody z konarów drzew.

— Sparhawk — odezwał się w końcu Kurik.

— Słucham?

— Zaopiekujesz się Aslade i chłopcami, jeżeli coś mi się stanie, prawda?

— Nic ci się nie stanie.

— Być może, ale i tak chciałbym się co do tego upewnić.

— Przysługuje ci odprawa, i to szczerze mówiąc, pokażna. Może będę musiał w tym celu sprzedać trochę ziemi. Aslade zostanie dobrze zabezpieczona.

— Zakładając, że ty również przeżyjesz tę wyprawę — zauważył Kurik skwaszony.

— Tym nie musisz się martwić, przyjacielu. Spisałem testament. Vanion i Ehlana tego dopilnują.

— O wszystkim pomyślałeś, prawda?

— Rycerz wiele ryzykuje podczas każdej wyprawy. Musiałem się zabezpieczyć na wypadek jakiegoś nieszczęścia. — Sparhawk uśmiechnął się do przyjaciela. — Czyżby rozmowa na ten temat miała mnie podnieść na duchu?

— Chciałem jedynie wiedzieć — powiedział Kurik. — Dobrze, gdy nie trzeba myśleć o takich sprawach. Aslade powinna sama poradzić sobie z wyborem zawodu dla chłopców.

— Twoi chłopcy przecież już mają zapewnioną przyszłość.

— Uprawa roli to czasami trochę niepewne zajęcie.

— Nie miałem na myśli uprawy roli. Rozmawiałem już na ich temat z Vanionem. Najprawdopodobniej twój najstarszy chłopak wkrótce rozpocznie nowicjat.

— To śmieszny pomysł.

— Nie masz racji. Zakon pandionitów potrzebuje dobrych ludzi, a jeżeli twoi synowie wrodzili się w ciebie, są najlepsi. Powinniśmy byli pasować cię na rycerza wiele lat temu, ale ty nawet nie chciałeś o tym ze mną rozmawiać. Jesteś uparty, Kuriku. . .

Giermek przerwał Sparhawkowi nagłym gestem.

— Ktoś nadchodzi! — syknął.

— To czysta głupota — rozległ się głos po drugiej stronie gąszczu. Po chropawej mieszance języków Elenów i Styrików można było rozpoznać, że to mówi Zemoch.

— Co on rzekł? — szepnął Kurik. — Nie rozumiem tego bełkotu.

— Potem ci powiem.

— Czemu nie wrócisz, Houno, i nie powiesz Surkhelowi, że jest durniem? — zaproponował inny głos. — Na pewno zainteresuje go twoja opinia.

— Surkhel jest durniem, Timaku. On pochodzi z Korakachu, a tam wszyscy są pomyleni.

— Rozkazy dla nas pochodzą od Othy, nie od Surkhela. Surkhel tylko wykonuje polecenia naszego cesarza.

— Otha — prychnął Houno. — Nie wierzę, aby był jakiś Otha. To wymysł kapłanów. Czy ktokolwiek go kiedyś widział?

— Masz szczęście, że jestem twoim przyjacielem. Za takie gadanie mógłbyś już karmić sobą sępy. Przestań narzekać. Nie jest tak źle. Musimy tylko jeździć dookoła i wypatrywać ludzi w okolicy, gdzie nie ma ludzi. Wszystkich stąd już zgarnięto i wysłano do Lamorkandii.

— Po prostu jestem już zmęczony tym deszczem.

— Ciesz się, że to tylko deszcz. Gdy nasi przyjaciele spotkają się z Rycerzami Kościoła na równinach Lamorkandii, pewnie wpadną pod ulewę ognia, błyskawic i jadowitych węzów.

— Rycerze Kościoła nie mogą być aż tak groźni — kpił sobie Houna. — Przecież bóg Azash ma nas w swojej opiece.

— Też mi opieka! — wybuchnął Timak. — Azash gotuje sobie zupę z zemo-skich dzieci!

— To bzdura i przesąd!

— Czy znasz kogoś, kto wróciłby z jego świątyni?

Gdzieś w dali ktoś zagwizdał.

— Trzeba ruszać — westchnął Timak. — Ciekaw jestem, czy Surkhel wie, jak bardzo drażniące jest to jego gwizdanie?

— On musi gwizdać. Przecież jeszcze nie nauczył się mówić. Chodźmy.

— Nie zrozumiałem ani słowa — szepnął Kurik. — Co to za jedni?

— Zdaje się, że są częścią jakiegoś patrolu — odparł Sparhawk.

— Nas szukają? A więc jednak udało się Martelowi wysłać ludzi?

— Nie sędzę. Z ich słów wynika, że poszukują ludzi, którzy jeszcze nie wyruszyli na wojnę. Zbierzmy pozostałych i ruszajmy.

— A o czym jeszcze mówili? — zapytał Kalten, gdy już byli w drodze.

— Narzekali — odrzekł Sparhawk. — Zupełnie tak samo jak wszyscy żołnierze na całym świecie. Myślę, że gdybyśmy zapomnieli te straszne opowieści, okazałoby się, że Zemosi wcale nie różnią się tak bardzo od zwykłych ludzi mieszkających gdzie indziej.

— Oddają wszak cześć Azashowi! — wykrzyknął ze zgrozą Bevier. — Choćby tylko dlatego są potworami!

— Oni boją się Azasha — poprawił go Sparhawk. — Jest różnica między lękiem a czczeniem. Uważam, że wcale nie trzeba wytępić Zemochów. Oczywiście należy oczyścić kraj z fanatyków i doborowych oddziałów, a także pozbyć się Azasha i Othy. Myślę, że potem możemy pozostawić prostemu ludowi decyzję wyboru religii — naszej bądź styrickiej.

— To rasa degeneratów — obstawał przy swoim zdaniu cyrinita. — Małżeństwa Styrików z Elenami budzą w Bogu odrazę.

Bevier miał skostniałe poglądy i bez sensu było wszczynać dyskusje. Sparhawk westchnął ciężko.

— Tym wszystkim zajmiemy się po wojnie — rzekł. — Możemy bezpiecznie ruszać dalej. Miejmy oczy otwarte, ale nie musimy być przesadnie ostrożni.

Dosiedli koni i wyjechali z przejścia na górską wyżynę upstrzoną gdzieniegdzie kępami drzew. Nadal padał deszcz ze śniegiem, a w miarę jak posuwali się na wschód, wielkie płatki śniegu gęstniały coraz bardziej. Tej nocy obozowali w świerkowym zagajniku. Z wilgotnych gałęzi i konarów udało im się rozpalić mizerne ognisko. Następnego ranka całą wyżynę pokrywała gruba na cztery palce warstwa mokrego śniegu, a nie przestawało padać.

— Czas podjąć decyzję, Sparhawk — powiedział Kurik.

— To znaczy?

— Możemy nadal próbować jechać tym szlakiem, ale nie jest on zbyt dobrze oznakowany. Za godzinę pewnie i tak zniknie nam z oczu. Możemy też skierować się na północ. Przed południem powinniśmy dotrzeć do Vilety.

— Domyślam się, że ty już dokonałeś wyboru?

— Owszem, możesz tak powiedzieć. Nie przepadam za szwendaniem się po nieznannej okolicy w poszukiwaniu szlaku.

— A zatem dobrze — rzekł Sparhawk. — Zrobimy po twojemu. I tak z dużym niepokojem myślałem o pokonaniu przygranicznych okolic, w których Martel planował zastawić na nas zasadzki.

— Stracimy pół dnia — mruknął Ulath.

— Stracimy jeszcze więcej, jeżeli będziemy musieli w górach zawrócić z drogi — odparł Sparhawk. — Nie jesteśmy umówieni z Azashem na żaden konkretny termin. Ucieszy go nasz widok bez względu na to, kiedy przybędziemy.

Jechali na północ przez topniejący śnieg. Z nieba sypały nadal wielkie płatki, a pobliskie góry skrywała mgła. Mokry śnieg oklejał ich kolczugi wilgotną warstwą, powiększając tylko przygnębienie podróżnych. Tynian i Ulath bezskutecznie starali się poprawić nastroje w drużynie. Wkrótce nastąpiło milczenie, każdy zatopił się w ponurych myślach.

Zgodnie z przewidywaniami Kurika około południa zobaczyli w oddali mury Vilety i ponownie skręcili na wschód. Na drodze nie było żadnych śladów, widocznie nikt tędy nie podróżował, odkąd zaczął padać śnieg. Tego dnia nie zobaczyli słońca, o nastaniu wieczoru świadczyły jedynie gęstniejące stopniowo ciemności. Na noc schronili się w starej, na wpół zrujnowanej stodole i wyznaczyli kolejne warty.

Następnego dnia minęli Viletę. Nie było potrzeby ryzykować odwiedzin w mieście. I tak niczego stamtąd nie potrzebowali.

— Wyludnione — stwierdził krótko Kurik, patrząc na mury miasta.

— Skąd wiesz? — zapytał Kalten.

— Nie widać dymu. Jest przecież chłodno i pada śnieg. Na paleniskach płonąłby ogień.

— No tak, masz rację.

— Ciekaw jestem, czy czegoś nie zapomnieli opuszczając miasto — powiedział Talen z błyskiem w oku.

— Wybij to sobie z głowy, chłopcze! — oświadczył Kurik zdecydowanie.

Następnego dnia śnieg trochę osłabł i humory podróżnych wyraźnie się poprawiły; ale gdy kolejnego ranka śnieżycy powróciła, nastroje ponownie przygasły.

— Po co my to robimy, Sparhawk? — zapytał posepnie Kalten pod koniec dnia. — Dlaczego to musimy być właśnie my?

— Ponieważ jesteście Rycerzami Kościoła.

— Są przecież inni Rycerze Kościoła. Czyż nie uczyniliśmy już dostatecznie dużo?

— Chcesz wracać? Nie prosiłem ciebie ani nikogo z was o towarzystwo.

Kalten pokręcił głową.

— Oczywiście, że nie chcę wracać. Nie wiem, co mi się stało. Zapomnij, że cokolwiek powiedziałem.

Jednakże Sparhawk nie zapomniał. Wieczorem odwołał Sephrenię na stronę.

— Zdaje się, że mamy kłopoty — powiedział do czarodziejki.

— Czy zaczynasz miewać jakieś niezwykle odczucia? — zapytała pośpiesznie. — Coś, co mogłoby pochodzić spoza ciebie?

— Nie bardzo rozumiem.

— Wszyscy ludzie tego doświadczają. Każdy miewa napady zwątpienia i przygnębienia. — Uśmiechnęła się lekko. — Tylko że to nie leży w charakterze Rycerzy Kościoła. Wasza odwaga i pewność siebie graniczą z szaleństwem. Zwątpienie i ponury nastrój to wpływ kogoś z zewnątrz. Czy takie masz odczucia? Czy na tym polega twój kłopot?

— Tu nie chodzi o mnie, mateczko. Czuję się, co prawda, trochę przygnębiony, ale to tylko sprawa pogody. Myślę o innych. Kalten dziś zastanawiał się, dlaczego my właśnie musimy to robić. Kalten nigdy nie zadawałby tego typu pytań. Zwykle trzeba go powstrzymać, tak rwie naprzód, a teraz chyba chciałby się po prostu spakować i wrócić do domu. Jeżeli wszyscy moi przyjaciele czują się podobnie, to czemu ja tego tak nie odbieram?

Czarodziejka patrzyła na sypiący nadal śnieg. Sparhawk kolejno raz uderzyła jej niebywała uroda.

— Sądzę, że się ciebie boi — powiedziała Sephrenia po chwili.

— Kalten? Ależ to bzdura!

— Nie jego miałam na myśli. Azash się ciebie boi, Sparhawk.

— To równie niedorzeczne!

— Wiem, ale myślę, że to prawda. Jakimś sposobem masz większą władzę nad Bhelliomem niż ktokolwiek dotąd. Nawet Ghwerig nie władał szafirową różą tak absolutnie. Tego Azash obawia się naprawdę. To dlatego nie chce ryzykować bezpośredniego spotkania z tobą i dlatego próbuje zniechęcić twych przyjaciół. Atakuje Kaltena, Beviera i pozostałych, ponieważ boi się zaatakować ciebie.

— Ciebie również, mateczko? Czy ciebie również ogarnia rozpacz?

— Oczywiście, że nie.

— Dlaczego oczywiście?

— Za długo musiałabym ci to wyjaśniać. Zajmę się twoimi przyjaciółmi. Idź spać.

Następnego ranka obudził ich znajomy dźwięk. Melodia była wyraźna i czysta, a choć grana na fujarce w molowej tonacji, wydawała się pełna odwiecznej radości. Sparhawk z lekkim uśmiechem na ustach potrząsnął śpiącym Kaltenem.

— Mamy towarzystwo — powiedział.

Kalten usiadł szybko, sięgając po miecz. Wtedy usłyszał dźwięk fujarki.

— No, no! — uśmiechnął się szeroko. — Był już najwyższy czas. Z przyjemnością znowu ją zobaczę.

Wyszli z namiotu i rozejrzeli się dookoła. Nadal sypał śnieg, a pomiędzy drzewami czaiła się uparcie mgła. Sephrenia i Kurik siedzieli przy małym ognisku przed namiotem.

— Gdzie ona jest? — zapytał Kalten, wpatrując się w gęsty śnieg.

— Jest tutaj — powiedziała spokojnie Sephrenia, popijając herbatę.

— Nie widzę.

— Nie musisz jej widzieć. Wystarczy, że wiesz o jej obecności.

— To nie to samo. — W głosie Kaltena pobrzmiwała nuta zawodu.

— A więc w końcu tego dokonała, prawda? — zaśmiał się Kurik.

— Czego dokonała? — Sephrenia spojrzała na giermka ze zdziwieniem.

— Sprzątnęła grupkę Rycerzy Kościoła prosto sprzed nosa Boga Elenów.

— Nie gadaj głupstw, Kuriku! Nie uczyniłaby tego.

— Och, czyżby? Popatrz na Kaltena. Nigdy nie widziałem na jego twarzy wyrazu tak bardzo bliskiego uwielbienia. Gdybym teraz wznosił coś w rodzaju ołtarza, padłby przed nim na kolana.

— Głupstwa gadasz! — Kalten się jakby zawstydził. — Ja tylko ją lubię i to wszystko. Dobrze się czuję, gdy jest w pobliżu.

— Oczywiście — powiedział z powątpiewaniem Kurik.

— Myślę jednak, że lepiej będzie nie poruszać tego tematu przy Bevierze — ostrzegła czarodziejka. — Nie wprawiajmy go w zakłopotanie.

Pozostali członkowie wyprawy wyszli ze swych namiotów z rozpromienionymi twarzami.

Nastroj poprawił im się nadzwyczajnie, a ciemny ranek wydawał się niemal słoneczny. Nawet konie parskwały rześko. Sparhawk i Berit poszli je nakarmić poranną porcją obroku. Faran zwykle witał poranek ponurym spojrzeniem, ale tego dnia był spokojny, a nawet rozanielony. Przyglądał się uważnie dużemu, rozłożystemu bukowi. Sparhawk spojrzał na drzewo i zamarł. Buk był na wpół spowity mgłą, ale rycerzowi się zdało, że wyraźnie widzi znajomą postać małej dziewczynki, której radosna piosnka rozpędziła ich smutki. Wyglądała zupełnie tak samo jak wtedy, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. Siedziała na konarze z fujarką

przy ustach. Na połyskliwie czarnych włosach miała wianek z traw. Nadal nosiła krótką lnianą koszulinę. Olbrzymimi ciemnymi oczyma wpatrywała się prosto w Sparhawk, a na jej policzkach znać było ślady dołeczków.

— Patrz, Bericie — powiedział Sparhawk cicho.

Młodzieniec odwrócił się i nagle zastygł w bezruchu.

— Cześć, Fleciku — pozdrowił ją, o dziwo, nie zaskoczony.

Aphrael w odpowiedzi posłała mu krótki tryl dając do zrozumienia, że go poznaje, i grała dalej. Wtem dookoła drzewa zawirowała mgła, a gdy ustąpiła, dziewczynki już tam nie było. Jednakże jej melodia nadal unosiła się w powietrzu.

— Ślicznie wygląda — powiedział Berit.

— A czy mogłaby wyglądać inaczej? — Sparhawk roześmiał się głośno.

Następne dni zdawały się gonić jeden za drugim. To, co dotychczas było nudnym przedzieraniem się przez ciemności i śnieg, teraz stało się niemal radosną wędrówką. Śmiali się i żartowali, nawet przestali zwracać uwagę na pogodę. Śnieg sypał całe noce i ranki, a codziennie około południa przechodził w deszcz, więc chociaż bez przerwy jechali w topniejącym śnieżnym błocie, nie było ono na tyle głębokie, by grzęzły w nim końskie kopyta. Podczas jazdy bezustannie unosił się we mgle ponaglający dźwięk fujarki Aphrael.

Po kilku dniach wjechali na wzgórze, aby spojrzeć na rozciągające się pod nimi ołowiane wody zatoki Merjuk, na wpół skryte za mgłą i marznącą mżawką. Na pobliskim wybrzeżu przycupnęła gromadka niskich domów.

— To Albak. — Kalten przetarł oczy i zaczął z uwagą przypatrywać się miastu. — Nie widzę nigdzie dymu... Nie, jest jeden dymiący komin. Widzicie? W pobliżu środka miasta.

— Jedźmy tam — powiedział Kurik. — I tak musimy skądś zdobyć łądz.

Zjechali ze zbocza i wjechali do Albaku. Ulice były nie uprzątnięte i pokryte topniejącym śniegiem, który jednak nie tworzył błotnej brei, co jasno dowodziło, iż miasto było wyludnione. Pojedyncza smuga dymu, cienka i mizerna, wydobywała się z komina niskiego, przypominającego szopę domu, stojącego, jak się okazało, opodal rynku. Ulath pociągnął nosem.

— Gospoda, sądząc po zapachu — powiedział.

Zsiedli z koni i weszli do środka. Znaleźli się w niskiej izbie o okopconej powale i podłodze zasłanej butwiejącą słomą. Było tu zimno i wilgotno. Pachniało nieprzyjemnie. Izba nie miała okien, a jedynym źródłem światła był stojący w głębi piecyk, w którym tlił się ogień. Garbaty, odziany w szmaty człowiek rozbijał nogą łąwę, by mieć drwa na podsycenie ognia.

— Kto tam?! — krzyknął.

— Podróźni — odparła Sephrenia po styricku, dziwnie obcym tonem. — Szukamy schronienia na noc.

— Tu go nie szukajcie. To moje miejsce. — Garbus wrzucił kilka kawałków

ławy do paleniska, naciągnął na ramiona brudny koc i usiadł przy otwartej beczułce piwa, po czym wyciągnął ręce do słabych płomieni.

— Z chęcią poszlibyśmy gdzie indziej — stwierdziła czarodziejka — potrzebujemy jednak pewnych informacji.

— Idźcie spytać kogo innego — burknął garbus nieprzyjaźnie. Miał zęza i mrużył powieki jak człowiek niedowidzący.

Sephrenia zbliżyła się i spojrzała mu prosto w twarz.

— Zdaje się, że nie ma tu nikogo oprócz ciebie.

— Tak, jestem sam — rzekł ze smutkiem. — Wszyscy pojechali zginąć w Lamorkandii. Ja postanowiłem umrzeć tutaj. W ten sposób nie muszę daleko iść. Wynoście się stąd.

Czarodziejka wyciągnęła ramię i z jej dłoni uniosła się głowa węża z drgającym językiem. Na wpół ślepy garbus zmarszczył twarz w wysiłku, usiłując choć jednym okiem dostrzec, co ta dziwna podróżna trzyma w dłoni. Wtem krzyknął z przerażenia, poderwał się na nogi i opadł z powrotem na stołek, rozlewając piwo z beczułki.

— Zezwalam, abyś mnie pozdrowił — powiedziała Sephrenia władczo.

— Nie wiedziałem, kim jesteś, matko kapłanko — wybełkotał. — Wybacz mi.

— Może ci wybaczę. Czy wszyscy z miasta wyjechali?

— Nikogo nie ma, matko kapłanko, tylko ja. Jestem kaleką i ledwie widzę.

Zostawili mnie.

— Szukamy innej grupy podróżnych, czterech mężczyzn i niewiasty. Jeden z mężczyzn ma białe włosy, drugi wygląda jak zwierzę. Nie widziałeś ich?

— Błagam, nie zabijaj mnie.

— Więc mów.

— Jacyś ludzie przejeżdżali tędy wczoraj. Mogli być tymi, których szukasz. Nie wiem, ponieważ nie podeszli dostatecznie blisko ognia, bym mógł zobaczyć ich twarze. Słyszałem jednak, jak rozmawiali. Mówili, że jadą do Aki, a stamtąd do stolicy. Ukradli łódź Tassalka. — Garbus usiadł na podłodze, schował głowę w ramiona i począł się rytmicznie kiwać do przodu i do tyłu, mrucząc coś do siebie.

— On jest szalony — szepnął Tynian do Sparhawka.

— Masz rację — przyznał ze smutkiem rycerz.

— Wszyscy odeszli — mamrotał garbus. — Wszyscy odeszli zginąć za boga Azasha. Zabić Elenów, a potem zginąć. Azash kocha śmierć. Wszyscy zginą. Wszyscy zginą. Wszyscy zginą za Azasha.

— Zamierzamy wziąć łódź — przerwała jego krakanie Sephrenia.

— Weźcie. Weźcie. Nikt nie powróci. Wszyscy zginą i Azash ich zje.

Sephrenia odwróciła się i podeszła do rycerzy.

— Chodźmy stąd — rozkazała.

— Biedak! — litował się Talen. — Prawie nic nie widzi, a jest zdany wyłącznie na siebie. Co się z nim stanie?

— Umrze — odparła czarodziejka opryskliwie.

— W samotności?

— Każdy umiera w samotności — rzuciła Sephrenia obojętnie i zdecydowanym krokiem wyprowadziła ich z cuchnącej gospody.

Gdy tylko znalazła się na podwórzu, załamała się i wybuchnęła szlochem.

Sparhawk podszedł do swej sakwy i wyciągnął mapę. Studiował ją ze zmarszczonym czołem.

— Czemu Martel miałby jechać do Aki? — mruknął do Tyniana. — Przecież zboczy z drogi o dobre kilka lig.

— Z Aki biegnie trakt do Zemochu. — Tynian wskazał na mapę. — Ostro go popędziliśmy i jego konie pewnie padają z wyczerpania.

— Może o to chodzi — przyznał Sparhawk. — A Martel nigdy nie przepadał za terenową jazdą.

— Pojedziemy tą samą drogą?

— Nie sądzę. On nie zna się na łodziach, będzie błądził po zatoce przez kilka dni. Kurik jest żeglarzem, więc my możemy popłynąć na wprost. Ze wschodniego wybrzeża powinniśmy dotrzeć do stolicy w ciągu trzech dni. Nadal mamy szansę być tam przed Martelem. Kuriku! Chodźmy znaleźć łódź.

Sparhawk stał oparty o nadburcie dużej, wysmołowanej krypy, wybranej przez Kurika. Na krótko wpadli w podmuchy zachodniego wiatru, a potem pomknęli przez wzburzone wody zatoki na wschód. Sparhawk wyciągnął zza kaftana list Ehlany.

Ukochany mój,

jeżeli wszystko poszło dobrze — a muszę wierzyć, że tak jest, albowiem w przeciwnym razie postradałabym zmysły — jesteś już bardzo blisko granicy z Zemochem. Wasza wyprawa zakończy się sukcesem, najdroższy. Jestem tego tak pewna, jakbym usłyszała to od samego Boga. Ludzkim życiem kierują osobliwe prawa. Naszym przeznaczeniem było kochać się i pobrać. Myślę, że nie mieliśmy wyboru, choć z pewnością i tak nie wybrałabym nikogo innego. Nasze spotkanie, miłość i ślub są częścią tego samego wspaniałego planu, tak jak i dobór twych towarzyszy. Próżno by szukać wspanialszych ludzi, niż jadący z tobą. Kalten i Kurik, Tynian i Ulath, Bevier i drogi Berit, tak młody i tak bardzo odważny, wszyscy przyłączyli się do ciebie z miłości i ku ogólnemu dobru. Z całą pewnością nie możesz ponieść klęski, ukochany, nie z takimi ludźmi u boku. Śpiesz się, luby mój piasunie, obrońco i mężu. Zawieź swych niezwykłych towarzyszy do gniazda

naszego odwiecznego wroga. Niech drży Azash, albowiem przybywa dostojny pan Sparhawk z Bhelliomem w dłoni i nie powstrzymają go nawet wszystkie moce piekielne. Śpiesz się, umiłowany, i wiedz, że broni cię nie tylko Bhelliom, ale i moja miłość.

*Kocham cię.
Ehlana*

Sparhawk czytał list kilkakrotnie. Zauważył, że królowa Elenii ma silne skłonności do podniosłego stylu. Jej listy były pisane w tonie uroczystych wystąpień publicznych. Chociaż się wzruszył, wolałby coś mniej napuszonego, a bardziej szczerego. Wiedział jednak, że wyrażane w liście uczucia pochodziły z głębi serca, jedynie zamiłowanie Ehlany do pięknie brzmiących sentencji trochę Sparhawk drażniło.

— No cóż — westchnął — pewnie będzie bardziej naturalna, gdy poznamy się lepiej.

Wtem na pokład wszedł Berit i Sparhawk na jego widok przypomniał sobie o czymś. Jeszcze raz przebiegł list oczyma i podjął szybką decyzję.

— Bericie, zbliż się! — zawołał.

— Słucham, dostojny panie.

— Pomyślałem sobie, że może chciałbyś to zobaczyć. — Sparhawk podał mu pergamin.

Berit przebiegł tekst wzrokiem.

— Ależ to osobisty list, dostojny panie! — zaprotestował.

— Myślę jednak, że dotyczy i ciebie. Może pomóc ci w przewyciężeniu problemów, które chyba miewasz ostatnio.

Berit przeczytał list i jego twarz przybrała dziwny wyraz.

— Pomogło? — zapytał Sparhawk.

Berit pokraśniał jak panna.

— Ty... ty wiedziałeś, dostojny panie? — wyjąkał. Sparhawk uśmiechnął się z pobłażaniem.

— Wiem, że trudno ci w to uwierzyć, przyjacielu, ale ja również kiedyś byłem młody. Nie przytrafiło ci się nic nadzwyczajnego. Odkąd świat światem, wszyscy młodzieńcy przeżywali takie rozterki. Mnie również przydarzyło się coś podobnego, gdy po raz pierwszy pojawiłem się na dworze. Ona była młodą szlachcianką, a ja uznałem z absolutną pewnością, że słońce wschodzi i zachodzi tylko w jej oczach. Prawdę mówiąc, do tej pory czasami myślę o niej z czułością. Oczywiście jest już teraz w podeszłym wieku, ale nadal robi mi się słabo na widok jej oczu.

— Przecież jesteś żonaty, dostojny panie!

— Od bardzo niedawna i to nie ma nic wspólnego z tym, co czułem do tej

szlachcianki za młodu. Przypuszczam, że Ehlana będzie często gościć w twoich snach. Wszyscy przeżyliśmy coś podobnego, ale może to właśnie uczyniło nas lepszymi ludźmi.

— Nie powiesz chyba o tym królowej, dostojny panie...? — Berit wydawał się wstrząśnięty.

— Chyba nie. To w zasadzie jej nie dotyczy, więc po cóż miałbym ją martwić? Chciałem jedynie zauważyć, że to, co czujesz, jest częścią dorastania. Przy odrobinie szczęścia każdy przechodzi przez to samo.

— A więc nie znieawidziłeś mnie, dostojny panie?

— Nienawidzić ciebie? Na Boga, Bericie, nie! Zawiodłbyś mnie, gdyby młoda i ładna dziewczyna nie wzbudziła w tobie podobnych uczuć.

Berit westchnął.

— Dziękuję, dostojny panie.

— Bericie, już wkrótce zostaniesz pasowany na rycerza Zakonu Pandionu i wtedy będziemy braćmi. Przestań być tak uniżony w stosunku do mnie. Bądźmy przyjaciółmi.

— Jak sobie życzysz, dostojny panie — powiedział Berit oddając list.

— A może przechowasz go dla mnie? Mam w sakwach bałagan, a wolałbym nie zgubić tego pergaminu.

Potem obaj ramię przy ramieniu poszli na tył łodzi sprawdzić, czy Kurik nie potrzebuje pomocy.

Wieczorem zarzucili kotwicę, a następnego ranka stwierdzili, że przestał padać deszcz i śnieg, choć niebo nadal było szare jak ołów.

— Znowu goni nas ta chmura, dostojny panie Sparhawk — oznajmił Berit, który właśnie wracał z rufy. — Jest daleko za nami, ale z całą pewnością ją widziałem.

Sparhawk spojrział do tyłu. Chmura nie wydawała się już taka groźna jak wtedy, gdy niewyraźny cień kryjący się na skraju pola widzenia budził nieokreśloną trwogę. Teraz rycerz musiał się pilnować, aby nie traktować jej jak jeszcze jednego pomniejszego kłopotu. Ostatecznie nadal była groźna. Sparhawk uśmiechnął się lekko. Wydawało się, że nawet bóg może się pomylić, może upierać się przy czymś, co nie jest już skuteczne.

— Czemu po prostu nie rozpedzisz tej chmury za pomocą Bhelliomu? — zapytał poirytowany Kalten.

— Ponieważ uformowałyby się ponownie. Po co nadaremnie się wysilać?

— A zatem nie masz zamiaru uczynić niczego w tej sprawie?

— Oczywiście, że mam zamiar coś uczynić.

— Co?

— Zamierzam o tym zapomnieć.

Wczesnym przedpołudniem wylądowali na piaszczystej plaży i sprowadzili

konie na brzeg. Łódź zostawili na wodzie, odpłynęła z prądem. Na rozkaz Sparhawka dosiedli wierzchowców i ruszyli w głąb łądu.

Wschodnie wybrzeże zatoki było o wiele bardziej suche niż góry po zachodniej stronie. Skaliste wzgórza pokrywała warstwa miękkiego czarnego piasku, przysypanego w osłoniętych miejscach drobnym śniegiem. Ostry, zimny wiatr wzbijał tumany pyłu i śniegu. Jechali w wiecznym mroku osłaniając usta i nosy.

— Powoli się poruszamy — mruknął Ulath, ostrożnie ocierając oczy z pyłu.
— Chyba Martel mądrze postąpił jadąc przez Akę.

— Z pewnością na drodze z Aki do Zemochu jest równie zimno i pełno kurzu.
— Sparhawk uśmiechnął się nieznacznie. — Martel to wybredny człek. Sama myśl o tym, że mógłby się pobrudzić, budzi w nim odrazę. Wizja miękkiego piasku zmieszanego ze śniegiem prószącym mu na kark szczególnie raduje me serce.

— To bardzo małostkowe, Sparhawk — strofowała go Sephrenia.

— Wiem, ale taki już czasami jestem.

Na noc znaleźli schronienie w grocie. Następnego ranka stwierdzili, że niebo było czyste, jednak wiatr przybrał na sile i nieustannie wzbijał tumany kurzu.

Berit, choć tak młody, z natury był niezwykle obowiązkowy. Skoro świt wyruszył na zwiady i wrócił, gdy wszyscy zebrali się przed wejściem do groty. Wyraźnie znać było wzburzenie na jego twarzy.

— Widziałem ludzi, dostojny panie Sparhawk — powiedział zsiadając z konia.

— Żołnierze?

— Nie. Chyba prości wieśniacy. Są między nimi starcy, kobiety i dzieci. Mają trochę broni, ale pewnie nie potrafią się nią posługiwać.

— A co robią? — zapytał Kalten.

Berit zakaszłał nerwowo i rozejrzał się wokół.

— Raczej nie powinienem tego mówić i nie sędzę, by szlachetna pani Sephrenia chciała ich oglądać. Wzniesli coś w rodzaju ołtarza i ustawili na nim glinianą figurkę. Robią tam rzeczy, których ludzie nie powinni robić na oczach innych. Myślę, że to po prostu prymitywni ludzie, zachowujący się jak zwierzęta w czasie rui.

— Lepiej powiedz o tym mateczce — zdecydował Sparhawk.

— Nie mogę. — Berit oblał się rumieńcem. — Stojąc przed nią nie zdołam opisać, co oni tam wyczyniają.

— Nie musisz wdawać się w szczegóły.

Niestety, okazało się, że Sephrenia była ciekawa.

— Co dokładnie robią, Bericie?

— Wiedziałem, że o to zapyta. — Berit spojrzał na Sparhawka z wyrzutem. — Oni... eee... składają ofiary ze zwierząt... i nie mają na sobie żadnego odzienia, choć jest tak zimno. Smarują się krwią z ofiar... eee...

— Rozumiem. — Czarodziejka pokiwała głową. — To znany rytuał. Opisz mi tych ludzi. Czy wyglądają na Styrików? Czy może bardziej przypominają Elenów?

— Wielu z nich jest jasnowłosych.

— Aha, to oni. Nie są szczególnie groźni. Jednakże posązek... to co innego. Nie możemy zostawić go za naszymi plecami. Musimy go zniszczyć.

— Z tego samego powodu, dla którego musieliśmy rozbić tamtą figurkę w piwnicy zamku w Ghasku? — domyślił się Kalten.

— Tak. Nie powinnam tego właściwie mówić, ale Młodszy Bogowie Styricum popełnili błąd zamykając Azasha w glinianej figurce z kapliczki w pobliżu Ghandy. Pomysł był dobry, ale coś przeoczyli. Figurka może być ponownie ulepiona przez ludzi, a jeżeli zostaną odprawione pewne rytuały, to duch Azasha do niej wejdzie.

— Cóż więc mamy robić? — zapytał Bevier.

— Zniszczymy posązek, nim ceremonia dobiegnie końca.

Zemosi nie grzeszyli czystością, włosy mieli potargane i matowe. Nigdy dotąd Sparhawk nie zdawał sobie sprawy, ile ludzkiej brzydoty może się skrywać pod odzieniem. Nadzy czciciele Azasha okazali się pastuchami, którzy na widok szarżujących rycerzy w kolczugach zaczęli przeraźliwie piszczeć. Napastnicy byli przebrani za Zemochów, co jedynie pogłębiało zamieszanie. Nagusy biegali to tu, to tam, wrzeszcząc z przerażenia.

Czterech mężczyzn w surowych szatach duchownych stało przed ołtarzem, na którym właśnie skończyli składać ofiarę z kozy. Trzech z nich gapilo się w niemym osłupieniu na rycerzy, ale czwarty, o wąskiej głowie i zmierzwionej brodzie, wykonywał dłońmi paniczne gesty i rozpaczliwie wypowiadał styrickie formułki. Następnie wywołał grupę widzideł tak niedorzecznych, że aż śmiesznych.

Rycerze przejechali prosto przez widzidała i kłębiący się tłum.

— Brońcie boga Azasha! — wrzasnął kapłan z pianą na ustach. Jednakże jego parafianie woleli tego nie czynić.

Gliniany posązek na prymitywnym ołtarzu wydawał się delikatnie poruszać, podobnie jak odległe wzgórze drga w upale letniego popołudnia. Z figurki emanowała wrogość, a powietrze zrobiło się lodowato zimne. Sparhawk poczuł nagle, że siły go opuściły, Faran zachwiał się i stanął. Ziemia przed ołtarzem jakby zafalowała. Coś kotłowało się pod spodem, coś tak przerażającego, że Sparhawk odwrócił oczy z obrzydzeniem. Strach ścisnął mu serce. Zaczęło mu się robić ciemno przed oczyma.

— Nie lękaj się! — zadźwięczał głos Sephrenii. — Stój pewnie! On nie może cię skrzywdzić!

Czarodziejka zaczęła pośpiesznie wymawiać styrickie słowa, a potem szybko wyciągnęła rękę. Na ziemi przed ołtarzem coś zaświeciło. Początkowo wydawało się nie większe od jabłka, ale rosło, jaśniało i unosiło się w powietrze, aż w koń-

cu przypominało małe słońce zawieszone przed posązką. To słońce przyniosło z sobą letnie ciepło, które wyparło lodowaty chłód. Ziemia przestała niespokojnie falować, a posązek ponownie znieruchomiał.

Kurik spiął ostrogami swego wylęknionego wałacha i ruszył do przodu, wywijając kolczastą kulą uczepioną do drąga na długim łańcuchu. Groteskowa figurka rozpadła się pod uderzeniem obucha, gliniane skorupy rozprysnęły się na wszystkie strony.

Zemosi płakali pogrążeni w rozpacz.

Rozdział 25

Zbierz ich w jednym miejscu, Sparhawk — powiedziała Sephrenia, starając się nie patrzeć na nagich Zemochów — i proszę, nakaz im włożyć odzienie. Ty, Talenie, pozbieraj kawałki posażka. Nie zostawimy ich tutaj. Chłopiec, z lękiem w oczach, posłusznie przystąpił do wykonywania polecenia.

Zapędzenie Zemochów pod skalną ścianę trwało krótko. Nadzy i bezbronni ludzie zwykle nie stawiają oporu, gdy zbrojni mężowie wydają rozkazy. Choć brodaty kapłan nadal wrzeszczał, to jednak bardzo się pilnował, aby rycerzy zbyt nie rozzłościć.

— Poganie! — krzyczał. — Zaprzeńcy! Wezwę Azasha, niech... — jego słowa zmieniły się w rodzaj krakania, gdy Sephrenia wyciągnęła ramię, a sycząca głowa węża uniosła się z jej dłoni. Zemoch gapił się wybałuszając oczy na rucho-my wizerunek gada. Wtem padł na ziemię i począł się czołgać w błocie u stóp Sephrenii.

Pozostali Zemosi również przypadli do ziemi z jękiem pełnym przerażenia. Czarodziejka powiodła dookoła srogim wzrokiem.

— Plugawcy! — odezwała się w zemoskim dialekcie. — Wasze rytuały są od wieków zabronione. Czemu sprzeciwiacie się woli potężnego Azasha?

— Kapłani nas omamili — wybełkotał jeden z korzących się Zemochów. — Powiedzieli, że zakaz odprawiania naszych rytuałów jest styrickim bluźnierstwem. Mówili, że to Styrycy odwodzą nas od prawdziwego boga. — Zdawał się ślepy na fakt, że Sephrenia była Styryczką. — Jesteśmy Elenami — podkreślił z dumą — i wiem, że jesteśmy narodem wybranym.

Czarodziejka obdarzyła Rycerzy Kościoła znaczącym spojrzeniem. Potem popatrzyła na bandę brudnych wieśniaków czołgających się u jej stóp. Zdawało się, że zaraz rzuci druzgocące oskarżenia, jednakże przemówiła zupełnie obojętnym tonem.

— Poblądziliście, a to sprawia, że nie jesteście godni brać udziału w świętej wojnie u boku swych braci. Wróćcie teraz do swych domów. Nie ważcie się więcej przybywać w to miejsce. Nie zbliżajcie się również do świątyni Azasha, bo was zniszczy.

— Czy mamy powiesić naszych kapłanów? — zapytał z nadzieją któryś z Zemochów. — A może mamy ich spalić na stosie?

— Nie. Nasz bóg poszukuje wyznawców, a nie zwłok. Odtąd będziecie odprawiać jedynie obrzędy oczyszczenia i pojednania oraz obrzędy związane z porami roku. Jesteście jak dzieci i po dziecinnemu winniście oddawać cześć. A teraz idźcie! — Wyprostowała rękę i głowa węża uniosła się z jej dłoni, nadymając się, rosnąc i stając się bardziej smokiem niż wężem. Smok ryknął, buchając płomieniem z paszczy.

Zemosi przypadli do ziemi.

— Powinnaś była zezwolić im, by powiesili choć tego jednego — powiedział Kalten.

— Nie. Skierowałam ich na ścieżkę innej wiary, a ta wiara zabrania zabijać.

— To Eleni, szlachetna pani — zaprotestował Bevier. — Powinnaś była polecić im wyznawanie wiary Elenów.

— Ze wszystkimi jej uprzedzeniami i sprzecznościami? Po co? Wskazałam im łatwiejszą drogę. Talenie, skończyłeś już?

— Zebrałem wszystkie skorupy, które udało mi się znaleźć.

— Zabierz je z sobą. — Sephrenia zawróciła swą białą klacz i powiodła drużynę Sparhawk w powrotną drogę.

W grocie zebrali swe rzeczy i puścili się w dalszą podróż. Jechali w przejmującym chłodzie.

— Skąd ci wieśniacy przybyli? — zapytał Sparhawk Sephrenię.

— Z północnowschodniego Zemochu, ze stepów na północ od Merjuku. To prymitywni Eleni, którzy w przeciwieństwie do was nie doświadczyli dobrodziejstwa wpływu ludzi cywilizowanych.

— Miałaś na myśli wpływ Styrików?

— Oczywiście. Czy są tu inni cywilizowani ludzie?

— Nie żartuj sobie ze mnie!

Czarodziejka uśmiechnęła się lekko.

— Włączenie orgii do obrzędów ku czci Azasha było częścią pierwotnego planu Othy. Ten zwyczaj przynieśli Eleni. Otha sam jest Elenem i wie, jak silne są tego typu skłonności w twojej rasie. My, Styrycy, mamy bardziej egzotyczne upodobania. W rzeczywistości one bardziej przypadają do gustu Azashowi, ale prymitywni wieśniacy z zapadłych wiosek nadal trzymają się dawnych obyczajów. Są w zasadzie nieszkodliwi.

Podjechał do nich Talen.

— Co mam uczynić ze skorupami?

— Wyrzucaj co pół ligi po jednej. I rozrzuć je daleko na boki. Obrzęd został już rozpoczęty i nie chcę, by ktoś pozbierał kawałki i ponownie złożył figurkę. Wystarczą nam kłopoty z tą chmurą. Wolę nie mieć samego Azasha za plecami.

— Amen — powiedział chłopiec żarliwie. Odjechał na bok, stanął w strzemiionach i wyrzucił na sporą odległość kawałek glinianej figurki.

— Teraz, gdy posążek został rozbity, jesteśmy bezpieczni — rzekł Sparhawk — a raczej będziemy, gdy Talen skończy rozrzucanie skorup, tak?

— Nie bardzo, mój drogi. Ta chmura nadal tu jest.

— Ale chmura tak naprawdę nigdy nam nic nie zrobiła. Próbuje wpędzić nas w melancholię i zaszcześcić w nas lęk, nic więcej, a na dodatek Flecik martwi się tym za nas. Jeżeli to wszystko, na co tę chmurę stać, nie jest chyba zbyt groźna.

— Stajesz się zbyt pewien siebie — ostrzegła Sephrenia. — Czymkolwiek to jest, chmurą czy cieniem, prawdopodobnie powstało z mocy Azasha, co oznacza, że jest przynajmniej tak niebezpieczne jak damork czy szukacz.

Jechali na wschód. Wciąż było przejmująco zimno, a tumany czarnego pyłu omiatały niebo. Z rzadka spotykali jakieś rośliny, skarłowaciałe i mizerne. Podążali czymś, co wyglądało na szlak, który jednak tak się wił i zakręcał, że chyba został wydeptany przez dzikie zwierzęta raczej niż przez ludzi. Zagłębienia wypełnione wodą też widywali nieczęsto, a woda w nich była zamarznięta. Musieli topić lód, żeby napoić konie.

— Przeklęty pył! — krzyknął nagle w niebo Ulath, odrzucając płaszcz, którym przesłaniał usta i nos.

— Trzymaj nerwy na wodzy — uspokajał przyjaciela Tynian.

— Po co to wszystko?! Nie możemy nawet określić, w którą stronę świata jedziemy! — Ulath ponownie przesłonił sobie twarz i ruszył dalej, mrużąc coś do siebie.

Konie wlokły się, wyrzucając spod kopyt grudki zmarzniętego pyłu.

Najwyraźniej powracała melancholia, która opanowała ich w górach po zachodniej stronie Zatoki Merjuk. Sparhawk obserwował z bolesnym rozczarowaniem, jak raptownie pogarsza się nastrój jego towarzyszy. Czujnie przyglądał się każdemu wężozowi i skalnemu występowi.

Bevier i Tynian pogrążeni byli w ponurej rozmowie.

— To grzech — upierał się cyrinita. — Już samo napomykanie o tym jest bluźnierstwem i herezją. Ojcowie Kościoła dogłębnie to rozważyli. Rozsądek, który jest boskim darem, ma boską naturę, a więc sam Bóg mówi nam, że On i tylko On jest święty.

— Ale... — chciał zaprotestować alcjonita.

— Wysłuchaj mnie, panie Tynianie. Skoro Bóg powiedział nam, że nie ma innych bogów, wiara, że jest inaczej, stanowi największy z grzechów. Wdaliśmy się w domysły oparte na dziecinnych zabobonach. Zemosi czy nawet eshandyści z pewnością są niebezpieczni, ale to niebezpieczeństwo ziemskiej natury. Nie stoją za nim żadni nadprzyrodzeni sprzymierzeńcy. Marnujemy życie na poszukiwaniach mitycznego nieprzyjaciela, który istnieje tylko w chorej wyobraźni naszych zniechęconych wrogów. Porozmawiam o tym z dostojnym panem Sparhawk-

kiem i bez wątpienia uda mi się go przekonać do zaniechania tych daremnych poszukiwań.

— Tak będzie najlepiej, panie Bevierze — zgodził się Tynian, aczkolwiek tonem pełnym wątpliwości. Obaj zdawali się całkowicie nieświadomi faktu, że Sparhawk jechał w pobliżu i słyszał każde słowo.

— ... Musisz z nim porozmawiać, Kuriku — mówił Kalten do giermka Sparhawk. — Nie mamy najmniejszej szansy.

— Ty mu to powiedz — warknął Kurik. — Ja jestem służącym. Nie do mnie należy uświadomienie panu Sparhawkowi, że oszalał i wiedzie nas na pewną śmierć.

— Szczerze mówiąc, uważam, że powinniśmy zająć go od tyłu i związać. Nie próbuję ratować jedynie własnego życia. Staram się ocalić i jego od zguby.

— Ja myślę tak samo, panie Kaltenie.

— Nadjeżdżają! — wrzasnął Berit, wskazując na najbliższą chmurę wirującego kurzu. — Brońcie się!

Przyjaciele Sparhawk z rozpaczliwą beznadziejnością rzucili się do ataku wydając przenikliwe, podszyte paniką okrzyki.

— Pomóż im, dostojny panie! — zawołał Talen.

— W czym mam im pomóc?

— Przecież walczą z potworami! Wszyscy zginą!

— Raczej w to wątpię — rzekł Sparhawk chłodno, obserwując przyjaciół młocących obłok kurzu mieczami i toporami. — Stanowią bardziej niż godnych przeciwników dla tego, z czym się zmierzylim.

Talen osłupiał ze zdumienia patrzył na rycerza, wreszcie odjechał klnąc pod nosem.

— Rozumiem, że ty również niczego nie widzisz w tej chmurze — powiedziała spokojnie Sephrenia.

— To jedynie kurz, mateczko.

— Zróbmymy z tym od razu porządek. — Czarodziejka przemówiła krótko po styricku, po czym wykonała gest ręką.

Przez chwilę obłok gęstego skłębionego pyłu drżał i cofał się, a potem z przeciągłym westchnięciem opadł na ziemię.

— Gdzie oni są?! Zniknęli?! — krzyknął Ulath, rozglądając się dookoła i potrząsając toporem.

Pozostali byli równie zakłopotani i zerkali podejrzliwie na Sparhawk.

Po tej niechlubnej walce unikali dowódcy. Jechali dalej, rzucając mu często ukradkowe, pełne wrogości spojrzenia i szepcząc między sobą z groźnymi minami. Obozowisko na noc rozbili po bezwietrznej stronie stromego urwiska, gdzie jasne, oszlifowane piaskiem głazy sterczały z gliniastej skarpy, przypominającej wyglądem ciało chorego na trąd. Sparhawk przyszykował wieczerzę, po której

jego przyjaciele, wbrew dotychczasowym zwyczajom, nie spoczęli wraz z nimi przy ognisku. Rycerz pokręcił z niesmakiem głową i legł na swym pościaniu.

— Obudź się, dostojny panie! — Głos był cichy i zdawał się przepiękny miłością.

Sparhawk otworzył oczy. Znajdował się w radośnie kolorowym namiocie, a przez odchyloną połę widać było rozległą zieloną łąkę, porośniętą dzikimi kwiatami. Rosły tam również stare i rozłożyste drzewa o konarach ciężkich od pachnącego kwiecica, a za drzewami rozciągało się morze, ciemnobłękitna woda odbijająca blask promieni słonecznych. Na nieboskłonie królowała tęcza, błogosławiąc całemu światu.

Sparhawk zobaczył, że obudziła go łania. Sierść miała tak olśniewająco białą, że niemal lśniła srebrzyście. Trącała go nosem i niecierpliwie tupiała przednim kopytkiem w dywan wyściełający podłogę namiotu. Jej duże brązowe oczy odzwierciedlały potulność, ujmujące za serce zaufanie, jednakże zachowywała się zuchwale. Wyraźnie żądała, by Sparhawk wstał z pościania.

— Czyżbym zaspał? — zapytał z obawą, że może ją uraził.

— Byłeś znużony, dostojny panie. Ubierz się starannie, albowiem proszono mnie, bym przywiodła cię przed oblicze mej pani, która włada tym królestwem i która cieszy się uwielbieniem wszystkich poddanych.

Czule poklepał jej śnieżnobiały kark. Łania przymknęła oczy w rozkoszy.

Sparhawk wstał i sięgnął po zbroję. Była taka jak zawsze, czarna niczym węgiel i inkrustowana srebrem. Przywdziewając ją, z przyjemnością zauważył, że nie ważyła więcej niż cieniutka jedwabna gaza. Wielki miecz, choć imponujący z wyglądu, w tym czarodziejskim królestwie opasanym klejnotem morza i leżącym w szczęśliwym zadowoleniu pod różnokolorowym niebem, był jedynie ozdobą. Tu nie znano niebezpieczeństw, nienawiści czy niezgody. Wszyscy żyli w pokoju i miłości.

— Musimy się śpieszyć — ponaglała biała łania. — Nasza łódź czeka na plaży, gdzie pod naszym czarownym niebem ze swawolną beztroską baraszkuje fale. — Poprowadziła Sparhawką stąpając uważnie po usianej kwiatami łące, która pachniała oszałamiąjąco i słodko.

Minęli białą tygrysicę wylegającą się leniwie na grzbiecie w ciepłych promieniach porannego słońca. Jej młode, o dużych niezgrabnych łapach, z żartobliwą zaciekłością zmagaly się w pobliskiej trawie. Łania przystanęła na chwilę, aby potrzeć nosem o pysk tygryscy i w nagrodę została czule polizana po śnieżnobiałym pyszczku od brody po koniuszek ucha.

Ukwiecona łąka falowała w łagodnych podmuchach ciepłego wietrzyka. Sparhawk podążał za łanią ku błękitnie zabarwionemu cieniowi wiekowych drzew. Za zagajnikiem pokryte alabastrowym żwirkiem wybrzeże opadało łagodnie do laz-

rowego morza, a tam czekał statek, bardziej przypominający ptaka niż łódź. Dziób miał wysmukły i wdzięcznie wygięty niczym szyja łabędzia. Nad dębowym pokładem wznosiły się na kształt skrzydeł dwa śnieżnobiałe żagle. Okręt szarpał cumy, jakby spieszno mu było odpłynąć.

Sparhawk pochylił się, wziął łanię w ramiona i z łatwością uniósł ją do góry.

— Nie bój się mnie — powiedział. — Zaniosę cię na statek. Dzięki temu nie będziesz musiała brodzić w chłodnej wodzie.

— Dziękuję, dostojny panie. — Łania ufnie oparła brodę na jego ramieniu, a on kroczył zamaszycie poprzez baraszkujące fale.

Gdy tylko znaleźli się na pokładzie, statek ochoczo pomknął naprzód i wkrótce Sparhawk ujrzał cel podróży — zielony ostrów zwieńczony prastarym, świętym gajem. Pod rozłożystymi konarami rycerz wyraźnie widział lśniące marmurowe kolumny świątyni.

Inny statek, równie wdzięczny i szybki, także przemierzał szafirowe morze. Nie bacząc na kaprysy swawolnego wiatru, obie łodzie kierowały się do nęcącego zielenią ostrowu. Gdy Sparhawk zszedł na złocistą plażę, rozpoznał bliskie jego sercu twarze przyjaciół. Kaltena, niezawodnego i wiernego druha, Ulatha o sile byka i odwadze lwa. . .

Sparhawk przecknął się i potrzęsnał głową, by oczyścić umysł z mamiących wizji.

Ktoś obok tupnął gniewnie drobną stópką.

— Jesteś niezdolny, Sparhawk! — skarcił go znajomy głos. — Zaśnij natychmiast!

. . .Dzielni rycerze powoli wspinali się po łagodnym zboczku ku zwieńczonemu gajem szczytowi ostrowu, wspominając swe poranne przygody. Kaltena wiódł biały borsuk, Tyniana biały lew, Ulatha wielki biały niedźwiedź, a Beviera śnieżna gołębicą. Młody adept rycerskiego rzemiosła, Berit, był prowadzony przez białe jagnię, Kurik przez białego psa, a Talen przez zwinnego gronostaja.

Sephrenia w białej szacie, z czołem opasanym wieńcem z kwiatów, czekała na marmurowych stopniach świątyni. W gałęziach dębu, starszego niżli wszystko, co żyje, siedziała spokojnie królowa tego czarodziejskiego królestwa, bogini-dziecko Aphrael. Miast zgrzebnej koszuliny miała na sobie strojną suknię, a głowę zdobiła jej świetlista korona. Żartobliwy wybieg z fujarką nie był już konieczny i dziewczynka wzniosła swój głos w radosnej pieśni powitalnej. Następnie wstała i zeszła z konarów, stąpając w powietrzu tak pewnie, jakby szła po schodach. Gdy dotarła do chłodnej, bujnej trawy świętego gaju, poczęła tańczyć pomiędzy rycerzami, wirując i śmiejąc się, rozdając jak popadnie całusy. Jej boscie stóпки ledwie dotykały trawy, ale Sparhawk natychmiast zrozumiał przyczynę owych zielonkawych plam, które zawsze dawały mu do myślenia. Bogini całowała nawet śnieżnobiałe stworzenia, które przywiodły bohaterów przed jej oblicze. Sparhawk jęknął w duchu, usilnie starając się zapanować nad myślami i nie wypowiedzieć cisnących

mu się na usta kwiecistych sentencji. Aphrael władcym ruchem rozkazała mu uklęknąć, objęła go rączkami za szyję i ucałowała kilkakrotnie.

— Jeżeli nie przestaniesz dworować sobie ze mnie — szepnęła mu do ucha — pozbawię cię zbroi i wyślę paść owce.

— Wybacz, żem się pomylił, o boska.

Bogini roześmiała się i ponownie go ucałowała. Sephrenia wspominała kiedyś, że całowanie sprawia Aphrael wielką przyjemność. Krótko mówiąc, miała rację.

Na śniadanie spożyli nie znane ludziom owoce i rozsiedli się wygodnie w miękkiej trawie. Ptaki wesoło śpiewały w gałęziach świętego gaju. Wtedy Aphrael wstała, jeszcze raz obeszła wszystkich rozdając pocałunki, a potem przemówiła zupełnie poważnym tonem:

— Nie wezwałam was, bohaterowie, jedynie na radosny zjazd, choć me serce bardzo wam rade, a samotne miesiące spędzone z dala od walecznych rycerzy pograżyły mnie w rozpacz. Zebraliście się tutaj na me żądanie i z pomocą mej drogiej siostry... — tu posłała Sephrenii pełen miłości uśmiech — ... abym mogła zaznajomić was, niezłomni orędownicy wiary, z pewnymi prawdami. Wybaczcie, proszę, że jedynie wspomnę o nich, ale to prawdy pochodzące od bogów i lękam się, że ich pojęcie wykracza daleko poza wasze możliwości, nieulekła drużyno. Nie chcę być nieuprzejma, lecz choć bardzo kocham każdego z was, to muszę powiedzieć, że jak wy widzieliście mnie jako dziecko, tak teraz ja widzę was jako dzieci. Dlatego też nie będę atakować granic waszego zrozumienia sprawami, których nie zdołacie pojąć. — Powiodła wzrokiem po słuchaczach. Na ich twarzach malował się wyraz całkowitego niezrozumienia. — Co się wam stało? — zapytała z rozdrażnieniem.

Sparhawk podniósł się z trawy, kiwnął palcem na małą boginię i odprowadził ją na bok.

— Czego chcesz? — spytała niegrzecznie.

— Czy raczysz wysłuchać kilku rad?

— Wysłucham — powiedziała niczego nie obiecującym tonem.

— Wprawiłaś ich w osłupienie. Kalten wygląda jak wół rażony rzeźniczym toporem. My jesteśmy prostymi rycerzami. Jeżeli chcesz, abyśmy cię zrozumieli, o boska, musisz do nas przemawiać prostym językiem.

Dziewczynka wyduła wargi.

— Całe tygodnie strawiłam nad tym przemówieniem.

— To bardzo ładne przemówienie. Gdy będziesz opowiadać o tym innym bogom — a jestem pewien, że to uczynisz — wyrecytuj im wszystko słowo w słowo. Zobaczysz, że oniemiają wprost z zachwytu. Może również zaniechaj tych „niezłomnych orędowników” i „nieulekłych bohaterów”. Z powodu tych górnolotnych zwrotów twoja mowa przypomina kazanie, a ludzie zwykle drzemają w trakcie kazań.

Tym razem tylko lekko wyduła wargi.

— Och, już dobrze, ale pozbawiasz mnie wielkiej przyjemności wygłoszenia całego przemówienia.

— Czy kiedykolwiek mi wybaczysz?

Bogini pokazała mu język i poprowadziła z powrotem do podnóża świątyni.

— Ten zręczliwy puchacz poradził mi przejść do sedna sprawy — powiedziała zerkając na Sparhawk filuternie. — Jak na rycerza nawet jest miły, ale poeta z niego żaden. Cóż, zaprosiłam was tutaj, bym mogła trochę opowiedzieć wam o Bhelliomie; jak wielką jest obdarzony mocą i dlaczego jest tak bardzo niebezpieczny. — Przerwała, marszcząc swe kruczoczarne brwi. — Bhelliom nie jest substancją — ciągnęła dalej. — To duch starszy od gwiazd. Jest wiele takich duchów, a każdy z nich ma wiele cech. Jedną z najważniejszych cech jest kolor. Otóż zdarzyło się. . . — Dziewczynka popatrzyła po słuchaczach. — Może odłożymy to na inną okazję — postanowiła. — Mówiąc prosto, te duchy były rozrzucone po niebie w ten sposób, że. . . — ponownie przerwała. — To bardzo trudne, Sephrenio — poskarżyła się cicho. — Czemu Eleni są tacy tępi?

— Ponieważ ich Bóg wołał im niczego nie wyjaśniać — odparła Sephrenia.

— Ależ z niego stary nudziarz! — zachnęła się Aphrael. — Ustanawiał prawa bez żadnego uzasadnienia. Jedynie to robił — ustanawiał prawa.

— Wróć do swej opowieści.

— Duchy mają kolory i już — podjęła wątek bogini. — Na razie poprzestaniemy na tym. Jednym z celów ich istnienia jest tworzenie światów. Bhelliom, który naprawdę wcale tak się nie nazywa, tworzy światy błękitne. Taki świat widziany z daleka jest błękitny za sprawą oceanów. Światy są czerwone, zielone, żółte lub w innym kolorze. Duchy tworzą światy przyciągając do siebie drobiny pyłu, który wiecznie unosi się w pustce. Pył krzepnie wokół nich niczym masło w maselnicy. Jednakże przy tworzeniu tego świata Bhelliom popełnił błąd. Było zbyt dużo czerwonego pyłu. Istotą Bhelliomu jest błękit. On nie znosi czerwieni. Gdy skupimy razem drobiny czerwonego pyłu, to otrzymamy. . .

— Żelazo! — krzyknął Tynian.

— A ty mówiłeś, że oni niczego nie rozumieją! — Aphrael spojrzała na Sparhawk z wyrzutem. Podbiegła do Deirańczyka i ucałowała go kilkakrotnie. — Tynian ma całkowitą rację. Bhelliom nie cierpi żelaza, ponieważ żelazo jest czerwone. Musiał zabezpieczyć się przed nim, więc spowodował stwardnienie swej błękitnej istoty i przeobraził się w szafir. Żelazo, czyli czerwień, skupiło się wokół niego i Bhelliom został uwięziony w głębi ziemi.

Słuchacze wpatrywali się w nią, nadal niewiele rozumiejąc.

— Mów krótko i jasno — poradził Sparhawk.

— Przecież to robię.

— No dobrze, już się nie wtrącam. To twoja opowieść — wzruszył ramionami rycerz.

— Szafir ten wydobył z żelaznej rudy troll Ghwerig i wyrzeźbił w kształt róży. Istota Bhelliomu zakrzepła w tym klejnocie jeszcze bardziej, ponieważ w jego wnętrzu zostali uwięzieni bogowie trolli.

— Kto został uwięziony?! — wykrztusił Sparhawk.

— Każdy o tym wie, Sparhawk. A jak sądziłeś, gdzie Ghwerig ich ukrył przed nami?

Rycerz z niepokojem przypomniał sobie, że Bhelliom wraz z jego nieproszonymi mieszkańcami spoczywał mu niemal na sercu.

— Prawdziwe kłopoty zaczęły się w chwili, kiedy Sparhawk zagroził zniszczeniem Bhelliomu. Ponieważ jest Elenem i rycerzem, pewnie użyje w tym celu miecza, topora, włóczni Aldreasa. . . w każdym razie czegoś zrobionego ze stali, a tym samym z żelaza. Jeżeli uderzy Bhelliom czymś wykonanym ze stali, zniszczy go. Dlatego też zarówno Bhelliom, jak i bogowie trolli czynią wszystko co w ich mocy, by Sparhawk nigdy nie dotarł do Azasha, gdyż mógłby wówczas pokusić się o wyciągnięcie miecza przeciwko klejnotowi. Najpierw próbowali atakować jego umysł, a gdy to nie przyniosło rezultatu, jęli atakować was. Nie minie wiele czasu, moi drodzy, a któryś z was spróbuje Sparhawk zabić.

— Nigdy! — wykrzyknął Kalten.

— Jeżeli dalej będą tak drażnić wasze myśli, do tego dojdzie.

— Pierwej rzucimy się na własne miecze! — oznajmił Bevier.

— A czemuż mielibyście to czynić? Wystarczy przecież zamknąć Bhelliom w czymś wykonanym ze stali. Ta płócienna sakiewka jest co prawda opatrzona runami żelaza, ale Bhelliom i bogowie trolli są w coraz większej desperacji i runy przestały być wystarczającym zabezpieczeniem. Musicie użyć prawdziwego żelaza.

Sparhawk nagle poczuł się jak skończony dureń.

— A ja cały czas myślałem, że cień, a teraz ta chmura są tworam Azasha — przyznał.

Aphrael spojrzała na niego ze zdumieniem.

— Co takiego?!

— To wydawało się logiczne — tłumaczył rycerz niepewnie. — Od początku Azash próbował mnie zabić.

— Po co Azash miałby się uganiać za tobą wysyłając chmury i cienie, skoro ma na swoich usługach istoty materialne? Czy jedynie do tego można dojść waszą logiką?

— Pojmuję! — zawołał Bevier. — Wiedziałem, że coś przegapiliśmy, gdy pierwszy raz opowiadałeś nam o tym cieniu, panie Sparhawk! To wcale nie musi być Azash!

Sparhawk chciał się zapaść pod ziemię ze wstydu.

— A jak to się stało, że zdobyłem jednak władzę nad Bhelliomem? — zapytał.

— To z powodu pierścieni.

— Ghwerig miał te pierścienie przede mną.
— Ale wtedy były bezbarwne. Teraz zaś są czerwone, zabarwione krwią waszych rodów, twojego i Ehlany.
— Wystarczy kolor, aby były mi posłuszne?
Aphrael spojrzała na niego, a potem na Sephrenię.
— Czy oni nie wiedzą, dlaczego ich krew jest czerwona? — zapytała z niedowierzaniem. — Cóżżeś ty robiła, siostrze?
Bogini-dziecko odeszła gestykując gniewnie i mówiąc do siebie słowa, o których istnieniu nie powinna nawet wiedzieć.
— Sparhawk — powiedziała Sephrenia spokojnie — twoja krew jest czerwona, ponieważ zawiera żelazo.
— Tak? — Rycerz był wyraźnie oszołomiony. — Jak to możliwe?
— Po prostu mi uwierz. Za sprawą splamionych krwią pierścieni masz taką władzę nad klejnotem.
— A to dopiero zdumiewające!
Aphrael wróciła i ponownie zabrała głos.
— Z chwilą gdy zamkniesz Bhelliom w stali, bogowie trolli przestaną cię niepokoić, przyjaciele zaniechają planów zabicia ciebie i znowu jak jeden mąż staniecie przeciw wszelkim trudnościom.
— Czy nie mogłaś po prostu powiedzieć, co mamy robić, bez tych kłopotliwych wyjaśnień? — zapytał Kurik. — To Rycerze Kościoła, Fleciku. Są przyzwyczajeni słuchać rozkazów, których nie rozumieją. A przynajmniej tacy powinni być.
— Pewnie mogłam — przyznała, kładąc rączkę na jego zarośniętym policzku — ale tak bardzo za wami wszystkimi tęskniłam i chciałam wam pokazać, gdzie mieszkam.
— Chciałaś się przed nami pochwalić? — droczył się z nią.
Aphrael pokraśniała.
— Czy postąpiłam niewłaściwie?
— To bardzo ładna wyspa, Fleciku, i dumny jestem, że nas tu zaprosiłaś.
Dziewczynka objęła giermka za szyję i obsypała pocałunkami. Sparhawk zauważył, że bogini twarz ma mokrą od łez.
— Musicie wracać — rzekła — noc już prawie dobiega końca. Najpierw jednak...
Całowanie na do widzenia trwało jeszcze pewien czas. Gdy przyszła kolej na Talena, czarnowłosa bogini lekko musnęła jego wargi i odeszła do Tyniana. Zatrzymała się jednak, pomyślała chwilę, wróciła do młodego złodzieja i solidniej dokończyła dzieła. Odchodząc uśmiechała się tajemniczo.

— Czy nasza słodka bogini rozproszyła twe niepokoje, dostojny panie? —

zapytała śnieżnobiała łania, gdy podobna łabędziowi łódź powróciła na brzeg, gdzie czekały kolorowe namioty.

— Będę to wiedział z większą pewnością, gdy ponownie otworzę oczy w ziemskim świecie, skąd mnie przywołano — rzekł Sparhawk. Kwieciste słowa cisnęły mu się na usta. Nic na to nie mógł poradzić. Westchnął z żalem.

Wydobywające się z fujarki nuty były drażniące i układały się w rodzaj wymówki.

— Ach, wybacz, boska Aphrael — poddał się.

— Tak już lepiej. — Jej głos był tylko szeptem w jego uchu.

Biała łania zawiodła go do namiotu. Rycerz położył się i spłynęło na niego dziwne, senne oszołomienie.

— Nie zapomnij o mnie — powiedziała łania, trącąc go nosem w policzek.

— Będę pamiętał o tobie — obiecał — i o twej miłej obecności, która ukoiliła mą strapioną duszę i ofiarowała spokój.

Sparhawk znów zapadł w sen.

Ocknął się we wstrętnym świecie czarnego kurzu i chłodu, podmuchów pyłu cuchnącego stęchlizną i śmiercią. We włosach miał drobinki piasku, który wciskał się nawet pod odzienie i drażnił mu skórę. Rozbudziło go ciche podzwanianie, dźwięk powstający przy uderzaniu młotkiem w stal.

Pomimo zamętu poprzedniego dnia czuł się nad wyraz wypoczęty i przyjaźnie nastawiony do całego świata.

Umilkły dźwięczne odgłosy uderzeń młotka. Kurik wszedł do zakurzonego obozowiska, niosąc coś w dłoni. Pochylił się nad posłaniem Sparhawka.

— Co o tym myślisz? Czy możemy go w tym zamknąć? — W swych zgrubiałych dłoniach trzymał woreczek z kolczugi. — Nic lepszego nie mogę teraz zrobić, dostojny panie. Nie mam zbyt dużo stali.

Sparhawk wziął woreczek i spojrzał na giermka.

— Ty również miałeś ten sen?

Kurik potwierdził ruchem głowy.

— Rozmawiałem o tym z Sephrenią. Wszyscy śniliśmy o tym samym, choć naprawdę to nie był wcale sen. Mateczka próbowała mi to wyjaśnić, ale straciłem wątek. — Przerwał na chwilę. — Wybacz, Sparhawk. Zwątpiłem w ciebie. Wszystko wydawało się tak daremne i beznadziejne.

— To była sprawka bogów trolli. Schowajmy Bhelliom do stalowego woreczka, by więcej do tego nie doszło. — Rycerz wyciągnął płócienną sakiewkę i zaczął rozwiązywać sznurki.

— Czy nie byłoby prościej zostawić go w tej płóciennej sakiewce? — zapytał Kurik.

— Pewnie byłoby w ten sposób łatwiej wsunąć klejnot do stalowego woreczka, ale zbliża się czas, gdy być może będę musiał wyciągnąć go w pośpiechu. Nie mam ochoty walczyć z supłami, gdy Azash będzie dyszał za moim karkiem.

— Rozsądnie to brzmi, dostojny panie.

Sparhawk uniósł szafirową różę w obu dłoniach na wysokość swej twarzy.

— Błękitna Różo — rzekł w języku trolli — jam jest Sparhawk z Elenii. Znasz mnie?

Klejnot zamigotał smutno.

— Czy uznajesz mą władzę?

Róża pociemniała i rycerz czuł jej nienawiść.

Odgiał nieznacznie palec prawej dłoni i obrócił pierścień. Potem położył palec z pierścieniem na klejnocie. Tym razem jednak dotykał go krwistoczerwonym kamieniem, a nie obrączką. Przycisnął mocno dłoń do szafirowej róży.

Bhelliom wrzasnął i wił się w dłoniach rycerza niczym żywy wąż. Sparhawk zwolnił nieco uścisk.

— Rad jestem, że się rozumiemy — powiedział. — Otwórz woreczek, Kuriku.

Klejnot nie stawiał oporu, zdawało się, że niemal ochoczo wchodzi do swego więzienia.

— Grzeczny — powiedział Kurik z zadowoleniem, gdy Sparhawk okręcał kawałkiem miękkiego drutu wylot stalowego woreczka.

— Pomyślałem, że warto spróbować. — Sparhawk uśmiechnął się szeroko. — Czy pozostali już się obudzili?

Kurik skinął głową.

— Stoją rzędem przy ognisku. Mógłbyś im dać do zrozumienia, że wszystkim przebaczasz, w przeciwnym razie pół ranka spędzą na przeprosinach. Bądź szczególnie ostrożny w stosunku do pana Beviera. Jest pogrążony w modłach od świtu. Zdaje się, że wiele czasu zajmie mu wyznanie, jak bardzo czuje się winny.

— Pan Bevier to mąż uczciwy do szpiku kości.

— Oczywiście. Na tym częściowo polega jego i twój kłopot.

— Jesteś cyniczny.

Kurik w odpowiedzi wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Szli razem przez obozowisko. Giermek spojrział w niebo.

— Wiatr słabnie — zauważył — i zdaje się, że pył opada. Sądysz, że...? — nie dokończył.

— Być może. To by do siebie pasowało. No, zaczynajmy. — Sparhawk odchrząknął, zbliżając się do zawstydzonych przyjaciół. — Ciekawa noc, nieprawdaż? — zagadnął. — Doprawdy, już zaczynałem się przywiązywać to tej białej łani, choć miała taki zimny i mokry nosek.

Zebrani przy ognisku roześmiali się, ale znać było po nich pewne napięcie.

— Przyjaciele — rzekł Sparhawk — już wiemy, skąd brało się nasze przygnębienie i nie ma chyba sensu roztrząsać tego wciąż od nowa, prawda? Skoro nie

było niczyjej winy, po prostu zapomnijmy o przykrościach. Musimy teraz myśleć o ważniejszych sprawach. — Uniósł do góry stalową sakiewkę. — Tu jest nasz błękitny więzień — rzekł. — Mam nadzieję, że mu wygodnie w jego żelaznym woreczku, ale bez względu na to, czy mu wygodnie, czy nie, pozostanie w nim tak długo, dopóki będzie nam potrzebny. Czyja kolej na przygotowanie śniadania?

— Twoja — mruknął Ulath.

— Ja wczoraj szykowałem wieczerzę!

— A co ma jedno do drugiego?

— To niesprawiedliwe!

— Ja tylko pilnuję kolejności. Jeżeli interesuje cię sprawiedliwość, porozmawiaj o tym z bogami.

Pozostali gruchnęli śmiechem i wszystko znowu było dobrze.

Sephrenia zbliżyła się do ogniska, gdzie Sparhawk przyrządzał śniadanie.

— Jestem ci winna przeprosiny, mój drogi.

— Tak?

— Nawet nie podejrzewałam, że bogowie trolli mogą mieć coś wspólnego z tym cieniem.

— Nie nazywałbym tego twoją winą, Sephrenio. Tak bardzo przypominało to dzieło Azasha, że nie dopuszczałem myśli o innej możliwości.

— Ja powinnam była wiedzieć lepiej. Nie powinnam polegać na logice.

— Myślę, że Perrain zawiódł nas w złym kierunku, mateczko — rzekł Sparhawk poważnie. — Jego ataki naprowadziły nas na Martela, a Martel po prostu realizował plan opracowany wcześniej przez Azasha. Skoro uznaliśmy, że to kontynuacja poprzednich wydarzeń, nie mieliśmy powodów przypuszczać, iż w grę wchodzi coś nowego. Nawet gdy stwierdziliśmy, że Perrain nie miał nic wspólnego z cieniem, nadal trzymaliśmy się pierwotnego pomysłu. Nie obwiniaj się, Sephrenio, ponieważ ja z całą pewnością nie widzę w tym twej winy. Natomiast zaskoczyło mnie, że Aphrael nie zauważyła, iż popełniamy omyłkę i nas nie ostrzegła.

Sephrenia uśmiechnęła się trochę smutno.

— Pewnie nie mogła uwierzyć, że my tego nie rozumiemy. Ona nie ma zupełnie pojęcia, jak bardzo ograniczone są nasze możliwości.

— Nie powinnaś jej tego powiedzieć?

— Prędzej bym umarła.

Domysły Kurika mogły wcale nie być słuszne, ale bez względu na to, czy stały wiatr, który dławił ich piaskiem przez ostatnie kilka dni, był pochodzenia naturalnego, czy też był sprawką Bhelliomu, teraz ucichł. Powietrze było czyste i chłodne, a niebo jasne, w kolorze bladego błękitu. Słońce, zimne i wyraziste, wisiało nad wschodnim horyzontem. Poprawa pogody oraz wspomnienia ostatniej nocy podniosły ich na tyle na duchu, że nawet przestali zwracać uwagę na czającą się daleko z tyłu czarną chmurę.

Ujechali już kilka lig. Raptem do Sparhawk zbliżył się Tynian.

— Dostojny panie, w końcu wiem, jak to jest.

— Co jak w końcu jest?

— Wiem, jak Ulath ustala czyja kolej na gotowanie.

— Tak? Chciałbym to usłyszeć.

— On po prostu czeka, dopóki ktoś nie zapyta i to wszystko. Gdy tylko ktoś się zaciekwawi czyja kolej, Ulath zaraz jego właśnie wyznacza do gotowania.

Sparhawk zastanowił się nad tym.

— Hm, możesz mieć rację — przyznał. — A jak nikt nie zapyta, co wtedy?

— Wtedy Ulath sam bierze się za gotowanie. O ile sobie przypominam, zdarzyło się tak tylko raz.

Sparhawk znowu się zamyślił.

— Może by tak uprzedzić o tym pozostałych? — zaproponował. — Nie sądzisz, że pana Ulatha ominęło sporo kolejek?

— Istotnie, bardzo wiele, dostojny panie.

Wczesnym popołudniem dotarli do urwistego pasma ostrych skał. Na szczyt wiodła słabo widoczna ścieżka. Byli już w połowie zbocza, kiedy Sparhawk dobiegło z tyłu wołanie Talena.

— Zatrzymajcie się tutaj — zaproponował chłopak. — Ja dyskretnie zbadam okolicę.

— Nie, to zbyt niebezpieczne — rzekł Sparhawk zdecydowanie.

— Nie obawiaj się, dostojny panie. Przecież jestem złodziejem. Potrafię tak się zakraść, że nikt mnie nie zobaczy. — Chłopiec przerwał i dodał po chwili: — A poza tym w razie kłopotów potrzebni ci będą dorośli mężczyźni w zbrojach. Ja w każdej walce jestem bezużyteczny, więc jedynie beze mnie możesz się obejść. — Zrobił dziwną minę. — Nie mogę uwierzyć, że to naprawdę powiedziałem. Obiecuj mi, proszę, że będziecie trzymać Aphrael z dala ode mnie.

— Nigdzie nie pójdziesz! — rozeźlił się Sparhawk.

— A kto mi przeszkodzi? — odparł Talen zuchwale, zsuwając się z siodła i ruszając biegiem. — Nikt z was mnie nie złapie.

— Już od dawna należała mu się porządna chłosta — warknął Kurik obserwując, jak chłopiec zwinnie wspinał się po zboczu.

— Jednakże on ma rację — powiedział Kalten. — Tylko na jego utratę możemy sobie pozwolić. Gdzieś po drodze wstąpił na szeroką ścieżkę szlachetności. Powinieneś być z niego dumny, Kuriku.

— Duma na niewiele się zda, gdy przyjdzie mi tłumaczyć jego matce, dlaczego zezwoliłem, aby dał się zabić.

W górze nad nimi Talen zniknął nagle, jakby zapadł się pod ziemię. Niedługo potem wyłonił się jednak ze szczeliny w pobliżu wierzchołka grani i zbiegł ścieżką na dół.

— Tam jest miasto — relacjonował. — To pewnie Zemoch, prawda?

Sparhawk wyciągnął mapę z sakwy przy siodle.

— Jak duże jest to miasto?

— Prawie wielkości Cimmury.

— A zatem to Zemoch. Jak wygląda?

— Myślę, że właśnie na określenie czegoś takiego wynaleziono słowo „zło-wrogi”.

— Czy widziałeś jakiś dym? — zapytał Kurik.

— Dymiły jedynie kominy dwóch ogromnych budowli w środku miasta. Te budowle są chyba połączone. Jedna z nich — zamczysko — jest najeżona różnego rodzaju wieżycami, a druga przykryta ogromną czarną kopułą.

— Reszta miasta musi być wyludniona — powiedział Kurik. — Czy byłeś już kiedyś w Zemochu, mateczko?

— Raz.

— Co to za zamczysko z wieżycami?

— Pałac Othy.

— A budowla z czarną kopułą? — Tak naprawdę Kurik nie musiał pytać.

Wszyscy znali odpowiedź.

— Budowla z czarną kopułą to świątynia. Azash tam jest. Czeka na nas.

Rozdział 26

Sparhawk rozkazał towarzyszom przywdziać zbroje. Udawanie prostych wieśniaków i wojskowych ciurów podczas podróży przez obcy kraj było dobrą taktyką, która jednakże stawała się zupełnie nieskuteczna podczas próby ukradkowego przedostania się przez wyludnione miasto, patrolowane przez elitarne oddziały wroga. Możliwość zbrojnego starcia pociągała za sobą konieczność odziania się w pełne zbroje. Do tego jeszcze — jak pomyślał Sparhawk z niechęcią — kolczugi były odpowiednim strojem na przygodne potyczki na wsi, ale miejskie życie wymagało przestrzegania pewnych form. Po prostu w wiejskim przyodziewku nie wypada wjeżdżać do stolicy.

— Jakie mamy plany? — zapytał Kalten, gdy rycerze nawzajem pomagali sobie nakładać zbroje.

— Jeszcze żadnego nie ustaliłem — przyznał Sparhawk. — Jeżeli mam być zupełnie szczery, to naprawdę nie przypuszczałem, że dotrzemy tak daleko. Spodziewałem się, że w najlepszym razie możemy dotrzeć na tyle blisko miasta Othy, aby mogło ono ulec całkowitemu zniszczeniu, gdy rozbiję Bhelliom. Porozmawiam z Sephrenią, tylko skończmy przywdziewać zbroje.

Po południu napłynęły ze wschodu lekkie chmurki i gęstniały, w miarę jak dzień chylił się ku zachodowi. Chłód stopniowo ustępował miejsca parnej duchocie. Słońce zniknęło pośród krwawych chmur przy wtórze przetaczających się co pewien czas na wschodzie grzmotów. Rycerze zebrali się wokół Sephrenii.

— Nasz wspaniały przywódca zaniedbał kilku strategicznych szczegółów — zagał Kalten.

— Nie bądź złośliwy — mruknął Sparhawk.

— Nie jestem. Przecież ani razu nie użyłem słowa „kiep”. Wszyscy aż płonimy z ciekawości, by poznać odpowiedź na pytanie, co teraz robimy?

— Od razu zarządzmy oblężenie — mruknął Ulath.

— Frontalne uderzenie zapewnia świetną zabawę — powiedział Tynian.

— Pozwólcie mi dojść do słowa — rzekł Sparhawk ze skwaszoną miną. — Sephrenio, wyobrażam to sobie tak: Mamy przed sobą miasto prawdopodobnie wyludnione, ale z pewnością patrolowane przez członków doborowej straży Othy.

Możliwe, że udałoby się nam ich uniknąć, ale lepiej zbytnio na to nie liczyć. Chciałbym wiedzieć trochę więcej o tym mieście.

— I o tej doborowej straży Othy — dodał Tynian.

— Głowę dam, że to dobrze wyszkoleni żołnierze — odezwał się Bevier.

— Ale czy mogą się mierzyć z Rycerzami Kościoła? — zapytał Tynian.

— Nie, ale któż może? — odparł Bevier bez śladu skromności. — Mogliby się najwyżej równać z żołnierzami z armii króla Warguna.

— Byłaś już tu kiedyś, mateczko. — Sparhawk zwrócił się do czarodziejki. — Jak trafić do pałacu i świątyni?

— To właściwie jedna budowla — odpowiedziała Sephrenia. — Stoi dokładnie w samym środku miasta.

— A zatem nie ma znaczenia, którą wjedziemy bramą?

Czarodziejka kiwnęła głową.

— Pałac i świątynia znajdują się pod jednym dachem? — zdziwił się Kurik.

— Zemosi to dziwni ludzie — westchnęła Sephrenia. — Tak właściwie to są dwie budowle, ale trzeba przejść przez pałac, aby dotrzeć do świątyni, bo do niej nie ma osobnego wejścia z zewnątrz.

— A zatem pozostaje nam pojechać do pałacu i zapukać do drzwi — zdecydował Kalten.

— Nie — sprzeciwił się Kurik stanowczo. — Pójdziemy do pałacu, a o pukaniu porozmawiamy, gdy dotrzemy na miejsce.

— Pójdziemy?! — prychnął Kalten.

— Konie czynią zbyt wiele hałasu na brukowanych ulicach i trochę trudno je ukryć, gdy trzeba komuś zejść z oczu.

— Chodzenie w pełnej zbroi nie jest zbyt zabawne, Kuriku.

— Chciałeś być rycerzem. O ile dobrze pamiętam, to nawet zgłosiłeś się ze Sparhawkiem na ochotnika.

— Mateczko, wyśpiewaj zaklęcie na niewidzialność — poprosił Kalten. — Sparhawk opowiadał, że Flecik wygrywała je na fujarce... Dlaczego nie? — zapytał widząc odmowny gest Sephrenii.

Czarodziejka zanuciła kilkanaście nut.

— Czy rozpoznajesz tę melodię, Kaltenie?

Rycerz zmarszczył w zamyśleniu brwi.

— Nie bardzo.

— To był hymn pandionitów. Jestem pewna, że go znasz. Czy odpowiedziałam już na twoje pytanie?

— Widzę, że muzykalność nie jest twoją mocną stroną.

— A co by się stało, mateczko, gdybyś spróbowała i trafiła w złe nuty? — zapytał Talen.

Sephrenia wzdrygnęła się z lękiem.

— Nie pytaj o to, proszę.

— A zatem będziemy się skradać — powiedział Kalten. — Bierzmy się więc za to skradanie.

— Zaczniemy, gdy tylko się ściemni — rzekł Sparhawk.

Od posępnych murów Zemochu dzieliło ich pół ligi piaszczystej równiny. Zbrojni mężowie byli złani potem, nim dotarli do zachodniej bramy.

— Duszno — powiedział cicho Kalten, ocierając spoconą twarz. — Czy w Zemochu nic nie jest normalne? O tej porze roku nie powinno być tak parno.

— Z całą pewnością zbliża się niezwykła pogoda — przyznał Kurik. Jakby na potwierdzenie jego słów rozległ się odległy huk grzmotów i blade migotanie błyskawic rozświetliło zwały chmur na wschodnim horyzoncie.

— Może poprosimy Othę o schronienie przed burzą? — zaproponował Tynian. — Czy Zemosi są ludem gościnnym?

— W tym względzie nie można na nich liczyć — odparła Sephrenia.

— W mieście zachowujcie się możliwie jak najciszej — ostrzegł Sparhawk.

Czarodziejka zadarła głowę i spojrzała na wschód. Jej blada twarz była ledwie widoczna w ciemnościach.

— Poczekajmy jeszcze — poradziła. — Burza zmierza w naszym kierunku. W huku grzmotów nikt nie dosłyszy szczęknięcia zbroi.

Czekali oparci o bazaltowe mury miasta, a trzaski i rozdzierające ryki grzmotów nieubłaganie zmierzały w ich kierunku.

— To powinno zagłuszyć każdy uczyniony przez nas hałas — rzekł Sparhawk wreszcie. — Wejźmy do miasta, nim zacznie padać.

Brama, zrobiona z surowych kanciastych bali zespolonych żelazem, była lekko uchylona. Sparhawk i jego towarzysze wyciągnęli broń i kolejno prześliznęli się przez wrota.

W mieście unosiła się dziwna woń, która z niczym się im nie kojarzyła. Nie był to ani miły, ani wstrętny zapach. Był wyraźnie obcy. Oczywiście ulic nie oświetlały pochodnie. W oślepiających błyskach, które co pewien czas rozjaśniały zwały purpurowych chmur napływających ze wschodu, wędrowcy widzieli wyłaniające się z mroku ciasne uliczki o bruku wygładzonym przez szurające po nich od stuleci stopy. Domy były wąskie i wysokie, miały niewielkie okna, w większości zabite deskami. Burze piaskowe nieustannie nawiedzające miasto oszlifowały chropowate niegdyś kamienne ściany. Czarny piaszczysty pył zebrany w załomach murów i wzdłuż progów sprawił, że stolica Zemochu, wyludniona nie dłużej niż kilka miesięcy, wyglądała na porzucone przed tysiącami lat ruiny.

Talen podkradł się do Sparhawka i zapukał w jego zbroję.

— Nie rób tego — zniecierpliwił się rycerz.

— Ale to skuteczny sposób na zwrócenie twojej uwagi, prawda, dostojny panie? Przyszedł mi do głowy pomysł. Nie masz chyba zamiaru się ze mną kłócić?

— Nie sądzę. A o co miałbym się z tobą kłócić?

— Mam pewne zdolności, które w tej grupie należą raczej do rzadkości.

— Wątpię, czy znajdziesz tu jakieś sakiewki do ukradzenia. Nie widzę tu zbyt wielu ludzi.

— Cha, cha, cha — powiedział chłopiec beznamiętnie. — Cha, cha. Skończyłeś już, dostojny panie? Możesz mnie w końcu wysłuchać?

— Mów.

— Żaden z was nie potrafiłby przemknąć chyłkiem po cmentarzu nie budząc połowy jego mieszkańców, czyż nie mam racji?

— Nie wyolbrzymiałbym aż tak naszej niezgrabności.

— Cha, cha, cha — powtórzył Talen tym samym tonem. — Pójdę przodem. Oddalę się akurat tyle, ile trzeba. Będę mógł wrócić i uprzedzić was, gdyby ktoś nadchodził lub czyhał w zasadzce.

Sparhawk tym razem nie czekał. Próbował schwycić chłopca za kark, ale Talen bez trudu mu się wywinął.

— Nie rób tego, bo głupio wyglądasz, dostojny panie. — Złodziejaszek odbiegł kilka kroków, zatrzymał się i schylił. Z buta wyciągnął długi cienki sztylet. Potem zniknął w ciemnej, wąskiej uliczce.

Sparhawk zaklął.

— Co się stało? — dobiegł z tyłu głos Kurika.

— Talen uciekł.

— Co zrobił?

— Powiedział, że idzie naprzód trochę pomyszkować. Próbowałem go złapać i powstrzymać, ale nie zdołałem.

Z labiryntu krętych uliczek dobiegło ich głębokie, bezduszne wycie.

— Co to było? — zaniepokoił się Bevier, ściskając mocniej długie drzewce swej halabardy.

— Może to wiatr? — zapytał bez większego przekonania Tynian.

— Przecież powietrze jest nieruchome.

— Wiem, ale wolę wierzyć, że wiatr był przyczyną tego hałasu. Inne możliwości nie bardzo mi się podobają.

Szli dalej, trzymając się blisko ścian domów i zastygając w bezruchu przy każdym błysnięciu i grzmocie.

Talen wrócił, biegnąc cicho jak myszka.

— Nadchodzi patrol — powiedział, nie podchodząc zbyt blisko, by nie dać się złapać. — Czy uwierzycie, że oni niosą pochodnie? Nie szukają nikogo, a przynajmniej starają się, by nikogo nie znaleźć.

— Ilu? — przerwał mu Ulath.

— Kilkunastu.

— A zatem nie ma się czego zbyt obawiać.

— Gdybyśmy tędy przemknęli do następnej ulicy, nie musieli byśmy ich nawet oglądać. — Chłopiec rzucił się pędem do wylotu najbliższego zaułka i wkrótce ponownie zniknął im z oczu.

— Myślę, że następnym razem jego wybierzemy na przywódcę — mruknął Ulah.

Mijali wąskie, kręte uliczki. Dzięki Talenowi z łatwością unikali sporadycznych patroli Zemochów. W pobliżu centrum miasta domy były bardziej okazałe, a ulice szersze. Talen powrócił kolejny raz, a upiorne światło błyskawicy ukazało wyraz niesmaku na jego twarzy.

— Tuż przed nami jest następny patrol — zdawał relację. — Tyle że oni nie patrolują. Chyba się włamali do sklepu z winem. Siedzą i piją na środku ulicy.

Ulah wzruszył ramionami.

— I tym razem ich obejdziemy.

— Nie możemy, w tym sęk. Tu nie ma żadnych zaułków. Nie widzę sposobu, jak ich ominąć, a musimy iść tą ulicą. Zorientowałem się, że w tej dzielnicy tylko ta ulica prowadzi do pałacu. To miasto w ogóle zbudowane jest bez sensu. Żadna z ulic nie wie gdzie tam, gdzie wydaje się, że powinna dobiec.

— Ilu jest biesiadników, z którymi mamy walczyć? — spytał Bevier.

— Pięciu lub sześciu.

— A mają pochodnie?

Talen kiwnął twierdząco głową.

— Są tuż za następnym zakrętem — dodał.

— Z pochodniami świecącymi im prosto w oczy nie będą w stanie zbyt dobrze widzieć w ciemności. — Bevier zgiął ramię kołysząc znacząco halabardą.

— A co ty o tym myślisz? — zapytał Kalten Sparhawk.

— Czemu nie — rzekł Sparhawk. — Nie wygląda na to, by dobrowolnie chcieli zejść nam z drogi.

To, co się potem wydarzyło, bardziej przypominało zwykłą rzeź niż walkę. Żołnierze z zemoskiego patrolu na tyle się już zapomnieli w swej hulance, że byli buńczucznie nieuważni. Rycerze Kościoła po prostu podeszli i wycięli ich w pień. Tylko jeden z Zemochów zdążył krzyknąć, ale jego zdumiony okrzyk zagłuszył huk grzmotu.

Rycerze w milczeniu zaciągnęli bezwładne ciała do pobliskiej bramy. Potem otoczyli ochronnym pierścieniem Sephrenię i podążyli dalej szeroką, oświetlaną błyskawicami ulicą w kierunku morza dymiących pochodni, które otaczało pałac cesarza Othy.

Ponownie usłyszeli wycie. Dźwięk w niczym nie przypominał ludzkiego głosu. Talen wrócił, ale tym razem nie próbował trzymać się z dala.

— Przed pałacem są strażnicy. Mają na sobie coś w rodzaju zbroi. Sterczą z niej liczne stalowe ostrza. Wyglądają zupełnie jak jeże.

— Ilu? — zapytał Kalten.

— Więcej niż miałem czas zliczyć. Słyszałeś to wycie?

— Staralem się go nie słyszeć.

— Lepiej do niego przywyknij. Te dźwięki wydają strażnicy.

Pałac Othy był większy od bazyliki w Chyrellos, ale nie miał jej architektonicznego wdzięku. Cesarz Zemochu zaczynał życie jako pastuch kóz i zasady rządzące jego poczuciem smaku można by najlepiej określić jednym słowem: duże. Dla Othy „większe” znaczyło „lepsze”. Zamczysko zostało zbudowane z popękanych, rudoczarnych bazaltowych głazów. Bazalt jest łatwy w obróbce, ale nie grzeszy pięknnością. Nadaje się do wznoszenia masywnych budowli, ale nic poza tym.

Pałac niczym góra wznosił się w centrum Zemochu. Oczywiście miał wieże. Pałace zawsze mają wieże, ale surowe czarne spirale wystające z dachu tej budowli trudno byłoby uznać za strzeliste czy proporcjonalne, w większości przypadków ich istnienie było pozbawione widocznego celu. Budowę wielu z nich zaczęto przed wiekami i nigdy nie ukończono. Sterczały w powietrzu na wpół gotowe, otoczone butwiejącymi pozostałościami topornych rusztowań. Z pałacu było nie tyle poczucie zła co obłądu, rodzaju bezmyślnego szaleństwa.

Za pałacem Sparhawk dostrzegł rozdetą kopułę świątyni Azasha, doskonałą kształtem, rudoczną półkulę, zbudowaną z ogromnych sześciokątnych bloków bazaltu, które nadawały jej wygląd gniazda jakiegoś wielkiego owada lub rozległej, przykrytej strupem rany.

Obie monumentalne budowle otaczała pustka. Nie było tu żadnego domu, drzewa czy pomnika. Po prostu płaski plac, wyłożony kamiennymi płytami, rozciągał się na przestrzeni trzystu kroków od murów. W tę najciemniejszą z nocy oświetlało go tysiące pochodni zatkniętych bezładnie w szczeliny między wielkimi brukowcami, przez co na wysokości kolan dorosłego człowieka powstało rozedrgane pole ognia.

Szeroka aleja, którą zdążali rycerze, wiodła prosto przez płonący plac do głównego wejścia pałacu Othy, gdzie nie zwężając się zniknęła za najszerszymi i najwyższymi drzwiami, jakie Sparhawk kiedykolwiek widział. Te drzwi były złowieszczo otwarte.

Wartownicy stali pod murami, oddzieleni od przybyszów rozległym placem upstrzonym pochodniami. Okrywały ich dziwaczne zbroje. Hełmy miały kształt czaszek, z których wyrastały rozgałęzione stalowe rogi. Różne spojenia — na ramionach, łokciach, biodrach i kolanach — ozdobiono długimi szpikulcami i ostrymi klinami. Blachy osłaniające przedramiona były nabite hakami. Wartownicy na wielkich tarczach mieli budzące wstręt wizerunki. Dzierżyli topory o żelazach w kształcie zębatej piły z ostrymi jak brzytwa zadziornymi. Była to broń stworzona raczej do zadawania bólu niż do zabijania.

Tynian pochodził z Deiry, a Deirańczycy od niepamiętnych czasów byli znawcami oręża. Przyglądał się żołnierzom Othy z niedowierzaniem.

— Pierwszy raz w życiu oglądam tak bzdurny pokaz czystej dziecinady — powiedział w momencie ciszy między grzmotami.

— Dlaczego tak to oceniasz? — spytał Kalten.

— Ich zbroje są prawie bezużyteczne. Dobry pancerz powinien ochraniać człowieka, który go nosi, pozostawiając mu zarazem pewną swobodę ruchów. Po co zamieniać się w żółwia?

— Jednakże taka zbroja wygląda przerażająco.

— I w zasadzie nie jest niczym więcej jak tylko ubraniem na postrach. Te wszystkie szpikulce i haki są bezużyteczne, a co gorsza po prostu naprowadzą broń przeciwnika na czułe miejsca. O czym myśleli ich płatnerze?

— To wpływ ostatniej wojny — wyjaśniła Sephrenia. — Zemosi byli pod wrażeniem wyglądu Rycerzy Kościoła. Nie rozumieli właściwego znaczenia zbroi — pamiętali jedynie swe przerażenie na jej widok, więc ich płatnerze nie myśleli o użyteczności. Zemoch nosi zbroję nie po to, aby go chronić; nosi ją, by przerazić przeciwników.

— Ja się ich nie boję, mateczko — powiedział Tynian wesoło.

Wtem, pewnie na jakiś znak zrozumiały jedynie dla straszliwie odzianych wojowników Othy, strażnicy wybuchnęli żalonym zawodem, rodzajem bełkotliwego wycia.

— Czy to ma być okrzyk wojenny? — zapytał niepewnie Bevier.

— To najlepsze na co ich stać — powiedziała Sephrenia. — Kultura Zemochu jest właściwie kulturą Styrików, a Styrycy nie znają się na wojnie. Eleni krzyczą, gdy ruszają do boju. Ci strażnicy próbują ich zawołania naśladować.

— Dostojny panie Sparhawku, wyciągnij Bhelliom i zniszcz ich — zaproponował Talen.

— Nie! — krzyknęła ostro Sephrenia. — Bogowie trolli są teraz uwięzieni. Nie wypuszczajmy ich na wolność, zanim znajdziemy się przed Azashem. Nie ma potrzeby korzystać z usług Bhelliomu wobec zwykłych żołnierzy i ryzykować, że nie osiągniemy ostatecznego celu.

— Mateczka ma słuszość — przyznał Tynian.

— Oni stoją, jak stali. — Ulath badawczo obserwował strażników. — Jestem pewien, że nas widzą, ale nie czynią żadnych starań, aby uformować szyk i ochronić wejście. Jeżeli udałoby nam się dostać do pałacu i zamknąć wrota, więcej nie musielibyśmy żołnierzami zawracać sobie głowy.

— To chyba najbardziej niedorzeczny plan, jaki kiedykolwiek słyszałem — złajał Thalezyjczyka Kalten.

— Potrafisz wymyślić lepszy?

— Nie, prawdę powiedziawszy, nie potrafię.

— A zatem?

Rycerze ustawili się jak zwykle w klin i ruszyli pędem do rozwartych wrót pałacu Othy. Gdy zaczęli przedzierać się przez pole płomieni, Sparhawk natychmiast poczuł odór zgnilizny.

Bezmyślne wycie równie szybko, jak się zaczęło, tak się skończyło i strażnicy stali nieruchomo w swych zbrojach zwieńczonych hełmami w kształcie czaszek.

Nie wymachiwali bronią, nawet nie próbowali zebrać większych sił przed wejściem. Po prostu stali.

Ponownie napłynął przenikliwy odór, ale został rozpedzony przez raptowny powiew wiatru. Błyskawice rozjaśniały niebo ze zdwojoną siłą. Z dalekich budynków poczęły odrywać się z ogłuszającym trzaskiem olbrzymie kawałki murów. Nagle powietrze wokół rycerzy wypełniło jakby iskrzące mrowienie.

— Padnij! — wrzasnął Kurik. — Wszyscy na ziemię!

Nie rozumieli, ale natychmiast wypełnili rozkaz, rzucając się na ziemię z głośnym brzękiem zbroi.

Zaraz potem pojeśli, dlaczego Kurik krzyczał. Dwóch z groteskowo uzbrojonych strażników z lewej strony masywnych wrót ogarnęła jasna kula niebieskiego ognia i wojownicy dosłownie wybuchnęli, rozpadając się na kawałki. Ich towarzysze się nie poruszyli, nawet nie odwrócili głów, aby spojrzeć na spadające na nich płonące kawałki i fragmenty zbroi.

— To zbroja! — Kurik przekrzykiwał grzmoty. — Stał przyciąga pioruny! Pozostańcie na ziemi!

Błyskawice nadal uderzały w szeregi odzianych w stal strażników. Wiatr roznosił po rozległym placu swąd palonego mięsa i włosów, który jak echo powracał odbity od bazaltowych ścian pałacu.

— Oni nawet nie drgnęli! — zawołał Kalten. — Nie wierzę, by wojsko mogło być aż tak zdyscyplinowane.

Burza oddalała się powoli. Niczym odgłos jej ciężkich kroków wciąż huczały gromy. Teraz pioruny biły w wyludnione miasto.

— Niebezpieczeństwo minęło? — zapytał Sparhawk swego giermka.

— Nie mam pewności — odrzekł Kurik. — Jeżeli poczujesz jakieś mrowienie, natychmiast padaj na ziemię. Wstali ostrożnie.

— Czy to był Azash, mateczko? — odezwał się Tynian.

— Nie sądzę — odparła Sephrenia bez namysłu. — Gdyby Azash miotał te gromy, raczej nas by trafił. Jednakże mógł to być Otha. Dopóki nie dotrzemy do świątyni, liczymy się bardziej z Othą niż z Azashem.

— Otha? Czy naprawdę cesarz jest taki biegły w magii?

— Biegły? To nie najlepsze określenie w tym przypadku. Otha ma ogromną moc, ale jest zbyt leniwy, by ćwiczyć biegłość.

Posuwali się naprzód, ale strażnicy stojący pod murami pałacu wciąż nie ruszali do ataku ani nawet nie pośpieszyli wesprzeć towarzyszy broniących wrót.

Sparhawk podszedł do pierwszego ze strażników. Uniósł miecz. Nieruchomy dotąd człowiek zawył i niezdarnie dźwignął topór o szerokim ostrzu ozdobionym bezużytecznymi zębami i zadziorami. Sparhawk odepchnął topór i zadał cios mieczem. Przerazająca zbroja była jeszcze mniej użyteczna, niż Tynian podejrzewał. Zdawała się niewiele grubsza od pergaminu i miecz wbił się w ciało strażnika nie

napotkawszy żadnego oporu. Coś jeszcze Sparhawk zastanowiło. Nawet gdyby zadał cios nagiemu człowiekowi, miecz nie powinien zagłębić się tak głęboko.

Wartownik runął, a jego rozcięta zbroja rozpadła się na pół. Sparhawk odskoczył z odrazą. Ciało wewnątrz zbroi nie było ciałem żywego człowieka. Przed rycerzem leżały poczerńiałe, wysuszone kości ze strzępami gnijącego mięsa. Sparhawkowi w twarz buchnął trupi odór.

— Oni nie żyją! — krzyknął Ulath. — W zbrojach są tylko przegniłe trupy!

Rycerze z przyprawiającym o mdłości obrzydzeniem ruszyli do walki, wycinając sobie drogę wśród nieżywych przeciwników.

— Stójcie! — krzyknęła ostro Sephrenia.

— Ale... Kalten próbował protestować.

— Cofnijcie się wszyscy o krok!

Rycerze niechętnie postąpili krok do tyłu, a wygrażające im trupy w zbrojach znowu zastygły w bezruchu. Ponownie na bezgłośny i niewidzialny sygnał rozległo się bezduszne wycie.

— Co się tu dzieje? — Ulath patrzył wokół zdziwiony. — Czemu nie atakują?

— Ponieważ są martwi — powiedziała Sephrenia.

Ulath wskazał na powalonego strażnika.

— Martwy czy nie, ale ten tam próbował przebić mnie włócznią.

— To dlatego, że znalazłeś się w zasięgu jego broni. Spójrz na nich. Stoją wokół nas, a nie drgnęli nawet, by ratować kompanów. Talenie, potrzebne mi światło.

Chłopiec wyciągnął pochodnię spomiędzy kamiennych płyt i podał czarodziejce, która przyglądała się uważnie płytom pod stopami.

— To przerażające — jęknęła w pewnej chwili.

— Obronimy cię, szlachetna pani — zapewnił ją Bevier. — Nie masz się czego obawiać.

— Nikt z nas nie ma się czego lękać, drogi Bevierze. Przeraził mnie fakt, że Otha, który prawdopodobnie ma więcej władzy niż jakikolwiek człowiek, jest tak głupi, że nawet nie wie, jak z niej skorzystać. Całe stulecia żyliśmy w strachu przed kompletnym głupcem.

— Wskrzeszanie umarłych robi jednak wrażenie, mateczko — rzekł Sparhawk.

— Małe dziecko styryckie potrafi nakazać się ruszać zwłokom, ale Otha nie wie, co z nimi potem robić. Każdy z tych martwych strażników stoi na jednej kamiennej płycie i każdy broni tylko tej jednej płyty!

— Jesteś pewna?

— Sam się przekonaj.

Sparhawk uniósł tarczę i zbliżył się do jednego z cuchnących wartowników. Gdy tylko dotknął stopą płyty, postać o twarzy kościotrupa zamierzyła się nagle w jego kierunku toporem o zębatym ostrzu. Rycerz z łatwością uniknął ciosu i cof-

nał się o krok. Strażnik powrócił do poprzedniej pozycji i stał bez ruchu niczym posąg.

Wartownicy otaczający pałac i świątynię szerokim kołem ponownie zawyli głucho.

Potem, ku przerażeniu Sparhawk, Sephrenia zebrała swą białą szatę i spokojnie zaczęła wędrować pomiędzy szeregami zbrojnych trupów. Po chwili przystanęła i obejrzała się na rycerzy.

— No, chodźcie wreszcie! Schowajmy się pod dach, nim zacznie padać. Tylko nie stańcie na żadną z płyt, których strzegą.

Wędrowka pomiędzy przerażającymi wartownikami robiła niesamowite wrażenie. Od nieruchomych postaci bił wstrętny odór, a podobne czaszkom twarze szczyrzyły zęby w świetle tańczących po niebie błyskawic. Sparhawkowi i jego drużynie nie groziło jednak większe niebezpieczeństwo, niż gdyby szli po leśnej ścieżce pośród pokrzyw.

Gdy minęli ostatniego z martwych strażników, Talen przystanął i omiótł spojrzeniem długie szeregi nieruchomych postaci.

— Czcigodny nauczycielu — odezwał się cicho do Berita — a może by tego przewrócić? — wskazał na plecy jednego ze zbrojnych żołnierzy. — Tak żeby upadł na bok.

— Po co?

Talen uśmiechnął się złośliwie.

— Pchnij go, a zobaczysz po co.

Berit wyglądał na nieco zakłopotanego, ale pchnął toporem sztywny korpus. Postać w zbroi przewróciła się, wpadając na następną. Ta druga figura szybko pozbawiła głowy pierwszą, przewracając się podobnie jak ona, i natychmiast została ścięta przez trzecią.

Zamieszanie rozprzestrzeniło się błyskawicznie. Znaczna liczba strasznych trupów została rozczłonkowana przez swych towarzyszy w absurdalnym pokazie bezrozumnego okrucieństwa.

— Ten chłopak jest bardzo zmyślny, Kuriku — mruknął Ulath z uznaniem.

— Wiążę z nim pewne nadzieje — odparł Kurik skromnie.

Wszyscy odwrócili się w stronę wejścia do pałacu i znieruchomieli. W samym środku ciemnego prostokąta otwartych wrót unosił się wizerunek utworzony przez nikłe zielone płomienie. Zamglona twarz miała groteskowe rysy wzniosłego, nieubłaganego zła. Sparhawk widział ją już kiedyś.

— Azash! — syknęła Sephrenia. — Trzymajcie się wszyscy z dala!

Wpatrywali się przez chwilę w upiorne zjawisko.

— Czy to naprawdę on? — zapytał Tynian z lękiem.

— Jego wizerunek — odparła czarodziejka. — Jeszcze jedno dzieło Othy.

— Możemy przez to przejść? — spytał Kalten.

— Przekroczenie tego progu oznacza śmierć i coś jeszcze gorszego niż śmierć.

— Poszukajmy jakiegoś innego wejścia. — Kalten spoglądał na ognisty wizerunek ze strachem.

— Wątpię, czy kiedykolwiek je znajdziemy.

Sparhawk westchnął ciężko. Dawno temu postanowił, iż uczyni to, gdy przyjdzie odpowiedni czas. Żałował tylko jednego — że zrobi to stojąc przed wizerunkiem Azasha, a nie przed samym bogiem. Odczepił od pasa stalową sakiewkę z Bhelliomem.

— Stało się — powiedział do przyjaciół. — Ruszajcie w drogę powrotną. Nie wiem, ile mogę wam zostawić czasu, ale będę się starał wytrzymać jak najdłużej.

— O czym ty mówisz? — zapytał Kalten podejrzliwie.

— Obawiam się, że bliżej już nie uda się nam podejść do Azasha. Wszyscy wiemy, co powinno się teraz stać, i tylko ja jeden mogę tego dokonać. Jeżeli ktoś z was zdoła powrócić do Cimmury, niech powie Ehlanie, że pragnąłem, aby wszystko potoczyło się inaczej. Sephrenio, czy nie stoję za daleko? Czy Azash zostanie zniszczony?

Czarodziejka miała oczy pełne łez, ale przytaknęła skinieniem głowy.

— Nie bawmy się w sentymenty — rzekł Sparhawk szorstko. — Nie mamy czasu. Jestem wdzięczny losowi, że doznałem zaszczytu poznania was wszystkich. A teraz się stąd wynoście. To rozkaz! — Musiał zmusić ich do odejścia, nim zaczną podejmować jakieś głupio szlachetne decyzje. — Jazda!!! — wrzasnął. — I uważajcie, gdzie stąpacie pomiędzy strażnikami!

Teraz ruszyli. Wojskowi zawsze reagują na rozkazy, szczególnie wydane krzykiem. Odchodzili i to było najważniejsze. Jego gest i tak był pewnie daremny. Zgodnie z tym, co mówiła Sephrenia o rozbiciu Bhelliomu, potrzebowali przynajmniej całego dnia, by wydostać się poza strefę całkowitego zniszczenia, a marna była nadzieja, że przez tak długi czas pozostanie nie zauważony. Musiał jednak dać im choć nikłą szansę. Może nie dojrzy go żaden z patroli przemierzających miasto, może też nikt nie wyjdzie z pałacu. . . W każdym razie miło było tak myśleć.

Nie chciał widzieć ich odejścia. Tak będzie lepiej. Są sprawy, które trzeba załatwić, sprawy zbyt ważne, aby zachowywać się niczym dziecko, które płacze skrzywdzone, bo reszta rodziny udała się na jarmark. Spojrzał w prawo, potem w lewo. Jeżeli Sephrenia miała rację i było to jedyne wejście do pałacu, lepiej oddalić się nieco od otwartych drzwi i ognistego wizerunku. W ten sposób musiałby uważać jedynie na patrole. W przeciwnym razie każdy, kto wyłoni się z pałacu, natychmiast go dostrzeże. W lewo czy w prawo? Wzruszył ramionami. Co za różnica? Pewnie najlepiej obejść cały pałac i czekać pod murami świątyni. Byłby wtedy bliżej Azasha, a Starsi Bogowie znaleźliby się bliżej centrum całkowitego zniszczenia. Spojrzał do tyłu. Poza szeregami przerażających trupów stali jego przyjaciele. Na ich twarzach malowało się zdecydowanie.

— Co wy robicie?! — zawołał. — Kazałem wam się stąd wynieść!

— Postanowiliśmy zaczekać na ciebie! — odkrzyknął Kalten. Sparhawk groźnie ruszył w ich kierunku.

— Nie bądź głupi, Sparhawk! — hamował go Kurik. — Nie możesz ryzykować fałszywego kroku pomiędzy tymi trupami. Jeden błędny ruch i któryś z nich pozbawi cię od tyłu głowy, a wtedy Azash dostanie Bhelliom. Czyżbyśmy jedynie po to przebyli tę długą drogę?

Rozdział 27

Sparhawk zaklął. Dlaczego nie posłuchali rozkazu? Westchnął. Powinien był wiedzieć, że nie posłuchają. Teraz nie było już na to rady; nie było też celu wymyślać im z tego powodu.

Zdjął rękawicę, aby odczepić od pasa butlę z wodą, i jego pierścień błysnął krwiscie w świetle pochodni. Odkorkował butelkę, zaczął pić. Pierścień ponownie błysnął mu przed oczyma. Opuścił butlę patrząc w zamyśleniu na czerwony kamień.

— Sephrenio — powiedział w zamyśleniu. — Jesteś mi potrzebna.

Po kilku chwilach czarodziejka była u jego boku.

— Szukacz był Azashem, prawda?

— To zbyt proste uproszczenie.

— Wiesz, co mam na myśli. Gdy byliśmy na grobie króla Saraka w Pelosii, Azash przemówił do ciebie poprzez szukacza, ale uciekł, gdy tylko ruszyłem na niego z włócznią króla Aldreasa.

— Tak.

— Również tego stwora, który wyłonił się z kurhanu w Lamorkandii, przepędziłem za pomocą włóczni. Nią także zabiłem Ghweriga.

— Tak.

— Ale nie było to zasługą samej włóczni, prawda? W końcu to nie jest znowu aż taka groźna broń. To była sprawa pierścieni, czyż nie?

— Nie wiem, do czego zmierzasz, mój drogi.

— Ja również nie mam co do tego zupełnej pewności. — Sparhawk ściągnął drugą rękawicę i przyjrzał się pierścieniom. — One same mają również pewną moc. Zdaje się, że zbyt było pod wrażeniem faktu, iż są kluczem do Bhelliomu. Bhelliom jest tak potężny, że przeoczyłem sprawy, które można było załatwić tylko za pomocą pierścieni. Włócznia króla Aldreasa nie ma tu w zasadzie żadnego znaczenia. Co jest dobrą wiadomością, jako że włócznia stoi w Cimmurze, w rogu komnaty Ehlany. Równie dobrze można użyć każdej innej broni, prawda?

— Tak, pod warunkiem, że będą jej dotyczyć pierścienie. Proszę, Sparhawk, przejdź do sedna. Ta logika Elenów mnie nudzi.

— A mnie pomaga myśleć. Gdybym pozbył się tego wizerunku z wejścia używając Bhelliomu, uwolniłbym bogów trolli, którzy nie przeoczą okazji, by mnie zabić. Lecz bogowie trolli nie mają powiązań z pierścieniami. Mogę posłużyć się pierścieniami nie budząc Ghnomba i jego pobratymców. Co by się stało, gdybym w obie dłonie ujął miecz i dotknął nim tego wizerunku?

Czarodziejka patrzyła na Sparhawk'a ze zdumieniem, a on ciągnął dalej:

— Wszak mamy tu do czynienia nie z Azashem, ale z Othą. Może i nie jestem największym magiem na świecie, lecz wcale nie muszę nim być, dopóki mam pierścienie. Jak sądzisz, czy one mogłyby być godnym przeciwnikiem dla Othy?

— Trudno mi powiedzieć — odrzekła cicho. — Nie wiem.

— W takim razie sprawdźmy. — Sparhawk odwrócił się i spojrzał poza szeregi cuchnących trupów. — Chodźcie tu z powrotem! — zawołał do przyjaciół. — Musimy coś zrobić!

Przemknęli się ostrożnie pomiędzy martwymi strażnikami i stanęli u jego boku.

— Zamierzam dokonać pewnej próby — rzekł Sparhawk i odczepił od pasa sakiewkę ze stalowej siatki. — Jeżeli mój zamysł się nie powiedzie, rzućcie Bhelliom na bruk i rozbijcie mieczem lub toporem. — Wręczył sakiewkę Kaltenowi, Kurikowi podał tarczę, a potem wyciągnął miecz. Ujął rękojeść dłońmi i podszedł do szerokiego wejścia, pośrodku którego jarzył się wizerunek. Uniósł miecz. — Życzcie mi szczęścia — powiedział. Wszystko inne zabrzmiałoby zbyt pompatycznie.

Wyprostował ramiona, opuszczając miecz w kierunku oblicza uformowanego przez zielone płomienie. Zebrał się w sobie, rozważył odległość i postąpił do przodu tylko tyle, by końcem miecza sięgnąć ognistego wizerunku.

Rezultat był niezwykle widowiskowy. Dotknięcie miecza spowodowało eksplozję płonącego obrazu. Na rycerza spadł wodospad różnokolorowych iskier, a wybuch prawdopodobnie roztrzaskał wszystkie okna w promieniu ligi. Sparhawk i jego towarzysze przypadli do ziemi. Zbrojne trupy stojące przed pałacem padły pokotem niczym świeżo zżęta pszenica. Sparhawk potrząsnął głową, aby pozbyć się dzwonięcia w uszach, i dźwignął się na nogi patrząc na wrota. Jedno skrzydło było rozszczepione na pół, drugie zwisało niepewnie na jedynym zawieszce. Wizerunek zniknął. W jego miejscu unosiło się kilka postrzępionych smużek dymu. Z głębi pałacu dobiegł przeciągły, podobny do nietoperzego pisk agonii.

— Czy nikomu nic się nie stało?! — krzyknął Sparhawk, spoglądając na przyjaciół, którzy gramolili się na nogi z lekko błędnym wzrokiem.

— Trochę nas ogłuszyło — mruknął Ulath.

— Kto tak hałasuje w środku? — zapytał Kalten.

— Domyślam się, że Otha — rzekł Sparhawk. — Gdyby tobie zniszczyć zaklęcie, też byś się pewnie gniewał. — Odebrał od przyjaciela swoje rękawice i woreczek ze stalowej siatki.

— Talenie, stój! — krzyknął Kurik.

Ale chłopiec już zniknął w otwartych drzwiach. Po chwili znów się pojawił.

— Zdaje się, że tam nic nie ma, ojcze — relacjonował. — Skoro nie zamieniłem się w kłęb dymu, chyba można uznać, że jest bezpiecznie.

Kurik ruszył w kierunku chłopca, wyciągając niecierpliwie ręce. Potem jednak zatrzymał się, zastanowił i dał spokój mamrocząc jedynie pod nosem przekleństwa.

— Chodźmy do środka — powiedziała Sephrenia. — Jestem pewna, że wszystkie patrole w mieście słyszały wybuch. Możemy tylko się łudzić nadzieją, iż pomyślą, że to grzmot. Pewnie jednak znajdą się tacy, którzy uznają za swój obowiązek przyjść tu i sprawdzić.

Sparhawk ponownie schował woreczek za pas.

— Którędy powinniśmy pójść? Nie chciałbym w pałacu co krok wpadać na kogoś.

— Zaraz za drzwiami skręć w lewo. Tam korytarze wiodą do kuchni i pomieszczeń gospodarczych.

— A zatem ruszajmy.

Obcy zapach, który Sparhawk poczuł po wejściu do miasta, w ciemnych korytarzach cesarskiego pałacu był bardziej intensywny. Rycerze szli ostrożnie, wsłuchując się w echo nawoływań doborowej straży. W pałacu panowało zamieszanie. Chociaż budowla była wyjątkowo przestronna, należało się liczyć z możliwością nieprzewidzianych spotkań. Większości z nich Sparhawk i jego przyjaciele uniknęli, chowając się po prostu w mroku komnat znajdujących się wzdłuż korytarzy. Czasami jednak było to niemożliwe i dochodziło do bezpośredniego starcia Rycerzy Kościoła z Zemochami, którzy nie mieli większych szans wobec wprawionych w potyczkach rycerzy. Na szczęście hałas, jaki temu towarzyszył, niknął pośród nawoływań niosących się echem po korytarzach. Rycerze posuwali się ciągle naprzód z bronią w pogotowiu.

Po godzinie dotarli do dużej piekarni pałacowej. Pałący się w piecu ogień zapewniał im pewne oświetlenie. Zatrzymali się tam, ryglując za sobą drzwi.

— Jestem zupełnie skołowany — przyznał się Kalten, podkradając ciastko. — Którędy pójdziemy?

— Myślę, że wyjdziemy tymi drzwiami — odparła Sephrenia. — Wszystkie kuchnie wychodzą na korytarz prowadzący do sali tronowej.

— Cesarz jada w sali tronowej? — zdziwił się Bevier.

— Otha nie może już chodzić.

— Co uczyniło z niego kalekę?

— Apetyt. Otha je niemal bez przerwy, a nigdy nie lubił ruchu. Jego nogi są zbyt słabe, by udźwignąć tłuste cielsko.

— Ile drzwi wiedzie do sali tronowej? — zapytał Ulath.
Czarodziejka zastanowiła się chwilę, przypominając sobie rozkład pomieszczeń.
— Czworokąt. Jedne z tej kuchni, drugie z głównej części pałacu i jedne wiodące do prywatnych komnat Othy.
— A ostatnie?
— To właściwie nie drzwi, a wejście do labiryntu.
— A zatem najpierw będziemy musieli zablokować wszystkie wejścia. Wszak chcemy porozmawiać z Othą na osobności.
— I z każdym, kto tam będzie — dodał Kalten. — Ciekaw jestem, czy Martelowi udało się już tu dotrzeć. — Wziął następne ciastko.
— Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać — powiedział Tynian.
— Za chwilę — rzekł Sparhawk. — O jakim to labiryncie wspomniałaś, Sephrenio?
— To droga wiodąca do świątyni. Niegdyś ludzi fascynowały labirynty. Ten jest bardzo skomplikowany i bardzo niebezpieczny.
— Czy to jedyna droga do świątyni?
Czarodziejka skinęła głową.
— Wierni przechodzą przez salę tronową, aby udać się do świątyni? — Sparhawk nie mógł sobie tego wyobrazić.
— Zwykli wyznawcy nie chodzą do świątyni, mój drogi, jedynie kapłani i ofiary.
— W takim razie musimy salę tronową zdobyć szturmem. Zaryglować drzwi i rozprawić się ze strażnikami, których tam pewnie zastaniemy. Potem uwięzimy Othę. Jeżeli przyłożymy cesarzowi nóż do gardła, żaden z żołnierzy nie zechce nam przeszkadzać.
— Otha jest czarodziejem, dostojny panie — przypomniał Tynian. — Wzięcie go do niewoli może wcale nie być tak łatwe, jak się wydaje.
— W tej chwili Otha nie jest szczególnie niebezpieczny — odezwała się Sephrenia. — Z własnego doświadczenia wiemy, jak to jest z zakłęciami. Trzeba trochę czasu, aby ochłonąć po ich złamaniu.
— Jesteśmy gotowi? — zapytał Sparhawk.
Kiwnęli głowami, a on powiódł ich za drzwi.
Korytarz wiodący z kuchni do sali tronowej był wąski i niezbyt długi, na końcu oświetlony przez pochodnię. Gdy zbliżyli się do czerwonego światła, Talen przemknął do przodu. Miał miękkie obuwie i cicho stąpał po kamiennej posadzce. Po chwili wrócił.
— Wszyscy tam są — szepnął z podnieceniem. — Annias, Martel i reszta. Wygląda na to, że dopiero tu przybyli. Nie zdjęli nawet płaszczy podróżnych.
— Ilu strażników jest w sali? — spytał Kurik.
— Niewielu. Najwyżej ze dwudziestu.

— Reszta pewnie szuka nas po korytarzach.

— Jak wygląda sala? — zapytał Tynian. — I gdzie stoją strażę?

Talen kucnął i opowiadając wodził palcem po kamiennej posadzce, jakby rysował plan:

— Wylot korytarza znajduje się w pobliżu samego tronu. Wejdziecie i od razu zobaczycie Othę. On bardzo przypomina ogrodowego ślimaka. Martel i inni zebrali się wokół tronu. Przy każdych drzwiach stoi po dwóch strażników — z wyjątkiem łukowego wyjścia bezpośrednio za tronem, którego nikt nie pilnuje. Pozostali strażnicy są rozstawieni wzdłuż ścian. Mają kolczugi, miecze i każdy trzyma długą włócznię. Kilkunastu osiłeków w lnianych koszulach kuca w pobliżu tronu. Ci nie mają żadnej broni.

— To ludzie do noszenia Othy — wyjaśniła Sephrenia.

— Miałaś rację, mateczko — powiedział chłopiec. — Są cztery wejścia: te tuż przed nami, drugie w głębi sali tronowej, łukowe i największe drzwi na końcu sali.

— Te wiodą do pozostałych części pałacu — powiedziała Sephrenia.

— A zatem one są najważniejsze — zdecydował Sparhawk. — W kuchni, jak myślę, nie ma nikogo poza kilkoma kucharzami, a i w sypialni Othy jest pewnie niewielu ludzi. Natomiast za głównymi drzwiami są żołnierze. Jak daleko jest od tych drzwi do tamtych, Talenie?

— Około stu kroków.

— Kto ma ochotę pobiegać? — Sparhawk popatrzył na swych przyjaciół.

— Co ty na to, Tynianie? — zapytał Ulath. — Jak szybko potrafisz pokonać odległość stu kroków?

— Równie szybko jak ty, przyjacielu.

— My się tym zajmiemy, dostojny panie — mruknął Ulath.

— Nie zapomnij, że obiecałeś mi zostawić Adusa — przypomniał Sparhawkowi Kalten.

— Postaram się oszczędzić go dla ciebie.

Ruszyli zdecydowanym krokiem w kierunku oświetlonego pochodnią wejścia. Tuż przed nim przystanęli na chwilę, a potem rzucili się pędem do środka. Ulath i Tynian pognali do głównych podwoi. Wtargnięciu rycerzy do sali tronowej towarzyszyły pełne zaskoczenia i trwogi okrzyki. Żołnierze Othy przekrzykiwali się nawzajem, rzucając sprzeczne rozkazy, ale szybko jeden z oficerów przejął dowodzenie i krzyknął ochryple: „Chronić cesarza!”

Strażnicy w kolczugach stojący wzdłuż ścian rzucili się do tronu, by sformować pierścień ochronny ze swych włóczni. Na miejscu zostali tylko żołnierze pilnujący drzwi. Kalten i Bevier niemal niedbałym ruchem pozbawili głów dwóch z nich, pilnujących wyjścia do kuchennego korytarza, a zaraz potem Ulath i Tynian dopadli do głównych drzwi, które dwóch innych strażników rozpaczliwie

próbowało otworzyć, aby wezwać pomoc. Obaj żołnierze padli po pierwszej wymianie ciosów, a Ulath oparł się swymi potężnymi plecami o drzwi i blokował je, podczas gdy Tynian za upiętymi po bokach zasłonami szukał belki do zaryglowania.

Berit przecisnął się przez wejście obok Sparhawk, przeskoczył drgające jeszcze na podłodze ciała strażników i pobiegł z uniesionym toporem do drzwi po przeciwnej stronie sali. Chociaż był w zbroi, biegł po wypolerowanej posadzce sali tronowej ręczno niczym jeleń i natarł na strażników strzegących wejścia do komnaty sypialnej Othy. Odrzucił na bok ich włócznie i pozbył się obu dwoma ciosami topora.

Sparhawk usłyszał za sobą metaliczny stukot. To Kalten zatrzasnęła ciężką żelazną zasuwę.

Do podpieranych przez Ulatha drzwi zaczęto się dobijać z zewnątrz, ale Tynian znalazł wreszcie żelazną sztabę i wsunął ją na miejsce. Berit zaryglował trzecie drzwi.

— Dobra robota — pochwalił Kurik. — Jednak nadal nie możemy dostać się do Othy.

Sparhawk spojrział na pierścienie włócznie otaczających tron i na samego Othę. Tak jak mówił Talen, człowiek, który przez ostatnie pięć stuleci był postrachem całego Zachodu, z wyglądu przypominał wielkiego ślimaka. Był blady i zupełnie nieowłosiony. Jego twarz była tak rozdęta i błyszcząca od potu, że wyglądała jak pokryta śluzem. W porównaniu z ogromnym, wydętym brzuchem ramiona Othy wydawały się wątle, skarłowaciałe. Cesarz był nieopisanie brudny, jego umazane dłonie zdobiły drogocenne pierścienie. Spoczywał na tronie w pozycji półleżącej. Wzrok miał szklisty, a jego usta i ciało drgały konwulsyjnie. Najwyraźniej nadal nie otrząsnął się z szoku, jakim było dla niego złamanie zaklęcia.

Sparhawk dla uspokojenia wziął głęboki oddech i rozejrzał się dookoła. Sala była udekorowana po królewsku. Ściany wyłożono kutym złotem, a kolumny macicą perłową. Posadzkę zrobiono z czarnego polerowanego onyksu. Draperie osłaniające wejście były z krwistoczerwonego aksamitu. Na ścianach w regularnych odstępach umocowano pochodnie, a po bokach tronu Othy stały duże żelazne kandelabry.

I w końcu wzrok Sparhawk spoczął na Martelu.

— Ach, Sparhawk — wycedził białowłosa mężczyzna uprzejmie — jak to miło z twojej strony, że wpadłeś. Spodziewaliśmy się ciebie.

Starał się mówić niedbałym tonem, ale w jego głosie dawało się słyszeć drżenie. Nie spodziewał się, że dotrą tu tak szybko, i z całą pewnością był zaskoczony ich nagłym wtargnięciem do cesarskiej sali tronowej. Stał razem z Anniasem, Arissą i Lycheasem bezpieczny za pierścieniem włócznie. Adus kopnięciami i kuksańcami dodawał odwagi strażnikom.

— I tak byliśmy w pobliżu. — Sparhawk wzruszył ramionami. — Ja się czu-

jesz, Martelu? Wyglądasz na zmęczonego. Czy miałeś trudną podróż?

— Dało się wytrzymać. — Martel skinął głową w kierunku Sephrenii. — Witaj, mateczko — pozdrowił ją z nieoczekiwaną żalnością w głosie.

Czarodziejka westchnęła, ale nic nie powiedziała.

— Widzę, że jesteśmy tu wszyscy — rzekł Sparhawk. — Bardzo się cieszę z naszego spotkania, a ty? Będziemy sobie mogli powspominać. — Spojrzał na Anniasa. Prymas, przed którym jeszcze tak niedawno drżała Elenia i który sięgał nawet po najwyższy tron, teraz stał o krok za Martelem, załamany, przygarbiony, niczym najpokorniejszy sługa. — Trzeba było zostać w Chyrellos, wasza wielebność — powiedział rycerz. — Przegapiłeś elekcję. Czy uwierzysz, że hierarchie Dolmanta ogłosili arcyprałatem?

Przez twarz prymana Cimmury przebiegł grymas lęku.

— Dolmanta...? — wykrztusił.

W późniejszych latach Sparhawk musiał przyznać, że w tym momencie dopełniła się jego zemsta nad prymasem. Udręka, w jaką wtrącił swego wroga tym prostym oświadczeniem, była większa, niż mógł sobie wyobrazić. W jednej chwili życie prymana Cimmury runęło w gruzy.

— Tak, tak, Dolmanta — ciągnął Sparhawk bez miłosierdzia. — Kto by się spodziewał, prawda, wasza wielebność? Wielu w Chyrellos sądzi, iż była w tym ręka Boga. Moja małżonka, królowa Elenii... pamiętasz ją chyba — jasnowłosa, urodziwa dziewczyna, ta, którą otrułeś — przemówiła do patriarchów tuż przed rozpoczęciem obrad. To ona im zasugerowała kandydaturę patriarchy Demos. Była nad podziw elokwentna. Powszechnie się wierzy, że jej przemowa była inspirowana przez samego Boga — szczególnie jeżeli wziąć pod uwagę fakt, że Dolmanta wybrano bez jednego głosu sprzeciwu.

— To niemożliwe! — wykrzyknął Annias w męce. — Łżesz!

— Sprawdzisz to osobiście. Jestem pewien, że będziesz miał dość czasu na przeglądanie protokołów z obrad, gdy zabiorę cię z powrotem do Chyrellos. Toczy się właśnie dyskusja nad tym, komu się należy przyjemność sądenia cię i skazania. Ten spór może się ciągnąć latami. Jakimś cudem udało ci się narazić niemal wszystkim na zachód od granicy z Zemochem. Każdy ma powód, aby pragnąć twej śmierci.

— Zachowujesz się jak dziecko, Sparhawk — prychnął Martel.

— Oczywiście. Każdy z nas czasami zachowuje się podobnie. Jaka szkoda, że zachód słońca był dzisiaj wieczorem taki nienadzwyczajny, Martelu, albowiem był ostatnim, jaki widziałeś.

— No, dla jednego z nas z pewnością będzie ostatnim.

— Sephrenio! — odezwał się głos podobny do grzmiącego gardłowego bulgotu.

— Słucham, Otho? — odparła czarodziejka spokojnie.

— Pożegnaj swą małą boginię — grzmiał w starożytnym języku Elenów cesarz podobny do ślimaka. Patrzył już przytomnie, ale ręce nadal mu drżały. — Dobiać końca twa zażyłość z Młodszymi Bogami. Azash cię oczekuje.

— Mylisz się, Otho. Jestem bezpieczna, albowiem przywiodłam z sobą Anakhę, nieznanego. Znalazłam go na długo przedtem, nim się urodził, i podążył tu za mną z Bhelliomem w dłoni. Azash się go boi, Otho, a postąpisz słusznie, jeśli i ty będziesz się go obawiał.

Otha zapadł się głębiej w tron, chowając jak żółw głowę w fałdy tłuszczu na karku. Zdumiewająco szybko wyciągnął rękę. Z niej wystrzelił na czarodziejkę promień jaskrawego zielonego światła. Sparhawk tylko na to czekał. Stał w niedbałym rozkroku, trzymając tarczę w gołych dłoniach, krwiste kamienie pierścieni były mocno przyciśnięte do stalowego uchwyty tarczy. Zasłonił swą nauczycielkę. Promień zielonego światła uderzył w tarczę i odbił się od jej wypolerowanej powierzchni. Jeden ze strażników został nagle starty z powierzchni ziemi w bezgłośnym wybuchu, który rozrzucił po całej sali rozgrzane do białości kawałki jego kolczugi.

Sparhawk wyciągnął miecz.

— Dość już tej błazenady, Martelu — rzekł ponuro.

— Chętnie bym ci służył — odparł Martel — ale czeka na mnie Azash. Rozumiesz chyba, że dla ciebie nie mam czasu.

Odgłosy uderzeń młotów w masywne drzwi, pilnowane przez Tyniana i Ula-tha, stawały się coraz głośniejsze.

— Czyżby ktoś pukał? — zapytał Martel. — Bądź tak dobry, Sparhawk, i wpuść gości.

Sparhawk ruszył na niego bez słowa.

— Zabrać cesarza w bezpieczne miejsce! — warknął Martel do siedzących w kucki siłaczy. Osiłkowie czym prędzej umieścili solidne metalowe drągi w zagłębieniach cesarskiego fotela, oparli drągi na barkach i tron wraz z cielskiem Othy unieśli z piedestału. Następnie zakręcili ze swym ciężarem i pośpieszyli truchtem w kierunku łukowego wyjścia.

— Adus, trzymaj ich z dala ode mnie! — polecił Martel i z Anniasem oraz jego rodziną ruszył w ślad za Othą. Adus w tym czasie napierał do przodu, popędzając uzbrojone we włócznie strażę Othy płazem swego miecza i wykrzykując niezrozumiałe komendy.

Uderzenia w zamknięte drzwi przybrały jeszcze bardziej na sile, gdyż żołnierze na zewnątrz sporządzili prowizoryczne tarany.

— Dostojny panie! — krzyknął Tynian. — Drzwi już długo nie wytrzymają!

— Zostawcie je! — polecił Sparhawk. — Chodźcie do nas! Otha i Martel uciekają!

Strażnicy pod komendą Adusa rozproszyli się, by zagrozić drogę Sparhawkowi, Kurikowi i Bevierowi. Nie szykowali się do starcia, tylko uniemożliwiali

rycerzom przedostanie się do sklepionego wejścia. Adus pod wieloma względami był bezmyślny, a nawet przerażająco głupi, trzeba jednak przyznać, że miał talent wojownika i teraz, dowodząc wyćwiczonymi żołnierzami, znalazł się w swoim żywiole. Pomrukami, chrząkaniem, kopniakami i kuksańcami zmusił strażników Othy, by po dwóch lub trzech blokowali włóczyniami ruchy każdego przeciwnika. Idea zawarta w rozkazie Martela była dość jasna dla ograniczonego Adusa. Musiał na tyle opóźnić rycerzy, aby dać Martelowi czas na ucieczkę. Być może nikt lepiej niż Adus nie nadawał się do wypełnienia tego zadania.

Gdy Kalten, Uloth, Tynian i Berit włączyli się do walki, Adus dał za wygraną. Miał co prawda przewagę liczebną, ale żołnierze z Zemochu nie mogli się równać ze zbrojnymi w stal Rycerzami Kościoła. Oddał pole, jednakże skierował główny trzon swych sił do wylotu labiryntu, gdzie ich włócznie mogły służyć za wystarczającą przeszkodę.

A cały ten czas nie ustawały rytmiczne uderzenia tarana.

— Musimy dostać się do labiryntu! — krzyknął Tynian. — Gdy te drzwi puszczą, będziemy otoczeni!

Pierwszy do akcji przystąpił Bevier. Młody cyrinita był uosobieniem odwagi i przy wielu okazjach demonstrował całkowitą pogardę dla własnego bezpieczeństwa. Zamaszystym krokiem ruszył do przodu, wymachując swą straszliwą, zakończoną stalowym pazurem halabardą. Mierzył nie w strażników, ale w ich włócznie. Włócznie pozbawione grotów to zwykłe kije. Bevier w kilka chwil skutecznie rozbroił Zemochów Adusa, lecz sam został głęboko raniony w bok, tuż nad biodrem. Padł na posadzkę, a krew strumieniem broczyła z rozdarcia jego zbroi.

— Pomóż mu! — rozkazał Sparhawk Beritowi i rzucił się do walki, by odciągnąć Zemochów od rannego. Strażnicy pozbawieni włócznie zmuszeni byli sięgnąć po swoje miecze, a to dało przewagę Rycerzom Kościoła. Wprawni w walce wręcz, z łatwością wycinali sobie drogę.

Adus szybko ocenił sytuację i wycofał się do wyjścia.

— Adus! — krzyknął Kalten, usuwając Zemocha kopniakiem z drogi.

— Kalten! — wrzasnął Adus i zrobił krok do przodu, patrząc pożądlwie swymi świńskimi oczkami. Wtem warknął i aby dać upust złości, rozplątał brzuch swojemu żołnierzowi, po czym znowu zniknął we wnętrzu labiryntu.

Sparhawk odwrócił się szybko.

— Co z panem Bevierem? — zapytał Sephrenię, która klęczała nad rannym.

— To poważna sprawa, Sparhawku.

— Nie możesz zatrzymać krwotoku?

— Nie całkowicie.

Bevier leżał blady i zlany zimnym potem. Odpięty napierśnik miał rozchylony niczym muszlę. Dyszał ciężko. Wzniósł oczy na Sparhawka.

— Ruszaj, dostojny panie. Będę bronił tego wejścia, jak długo będę mógł.

— Nie bądź niemądry — zachnął się Sparhawk. — Mateczko, opatrz ranę i zapnij mu zbroję. Bericie, pomożesz iść panu Bevierowi. Nieś go, jeśli będziesz musiał.

Za nimi rozległ się trzask pękających pod ciągłymi uderzeniami tarana podwoi.

— Drzwi ustępują — rzekł Kalten.

Sparhawk spojrział w głąb długiego sklepionego korytarza wiodącego do labiryntu, gdzie z rzadka świeciły pochodnie umieszczone w żelaznych obręczach. Błysnęła mu nagła nadzieja.

— Panie Ulathu — powiedział — ty i pan Tynian pilnujcie tyłów. Krzyknijcie, gdyby poszedł za nami któryś z tych żołnierzy wyłamujących drzwi.

— Ja tylko was opóźnię — odezwał się Bevier słabym głosem.

— Przecież nie zamierzamy biegać po tym labiryncie. Nie wiem, co tam zastaniemy, więc nie będziemy ryzykować. A zatem w drogę.

Ruszyli długim prostym korytarzem, który prowadził do labiryntu. Minęli po drodze dwa lub trzy nie oświetlone wejścia po obu stronach.

— Nie powinniśmy tam zajrzeć? — zastanawiał się Kalten.

— Nie musimy — odrzekł Kurik. — Któryś z ludzi Adusa został ranny i posadzka jest poplamiona krwią. Wiemy, że Adus tędy szedł.

— To nie gwarantuje, że Martel również — powiedział Kalten. — Może kazał Adusowi zaprowadzić nas w złym kierunku.

— Możliwe — przyznał Sparhawk — ale ten korytarz jest oświetlony, a żaden inny nie.

— Trudno to nazwać labiryntem, jeżeli droga jest znaczone pochodniami — zauważył Kurik.

— Może i tak, ale jak długo pochodnie i ślady krwi wiodą w tym samym kierunku, tak długo będziemy za nimi podążać.

Na końcu pełen ech korytarz zakręcał ostro w lewo. Sklepione ściany i stropy opadały w górę i w dół. To sprawiało, że korytarz robił wrażenie za niskiego i Sparhawk zorientował się, że odruchowo schyla głowę.

— Przebili się przez drzwi w sali tronowej! — zawołał z tyłu Ulath. — Za nami widać kilka pochodni.

— To rozwiązuje sprawę — rzekł Sparhawk. — Nie mamy czasu na przeszukiwanie bocznych korytarzy. Idziemy dalej.

W tym miejscu oświetlony korytarz począł zakręcać, a plamy krwi na posadzce świadczyły, że rycerze nadal idą tropem Adusa.

Korytarz skręcił w prawo.

— Jak sobie radzisz? — zapytał Sparhawk Beviera, który wspierał się ciężko na ramieniu Berita.

— Dobrze. Tylko złapię oddech i będę mógł iść bez pomocy.

Korytarz ponownie skręcił w lewo, a potem, po zaledwie kilku krokach, jeszcze raz w lewo.

— Wracamy tam, skąd przyszedliśmy, Sparhawk — oznajmił Kurik.

— Wiem. Czy mamy jednak jakieś inne wyjście?

— Nie, mnie nic do głowy nie przychodzi.

— Ulathu! — zawołał Sparhawk. — Czy ci ludzie za nami zbliżają się do nas?

— Nie na tyle, bym to zauważył.

— Może oni również nie znają drogi przez labirynt — zasugerował Kalten. — Wątpię, czy ktoś odwiedza Azasha dla czystej przyjemności.

Atak nastąpił z bocznego korytarza. Pięciu uzbrojonych we włócznie Zemochów wypadło z ciemnego wejścia i rzuciło się na Sparhawk, Kaltena i Kurika. Ich włócznie dawały im pewną, ale niewystarczającą przewagę. Gdy trzech z nich padło na ziemię wijąc się i krwawiąc, pozostali dwaj uciekli drogą, którą przybyli.

Kurik wyjął pochodnię z obręczy na ścianie i powiodł Sparhawk oraz Kaltena w ciemny, kręty korytarz. Po kilku minutach zobaczyli uciekających żołnierzy. Obaj z bojażnią tulili się do ściany.

— Teraz ich mamy! — zawołał podniecony Kalten i ruszył naprzód.

— Kaltenie, stój! — wrzasnął Kurik.

— Dlaczego?

— Trzymają się zbyt blisko ścian.

— No to co?

— Czemu nie idą środkiem korytarza?

Kalten przypatrywał się chwilę zmrużonymi oczyma dwóm przestraszonym wojakom.

— Sprawdźmy to — zdecydował. Czubkiem miecza wydłubał jeden z kamieni, którymi wyłożona była podłoga korytarza, i rzucił w jednego z żołnierzy, ale chybił.

— Pozwól mnie to zrobić — powiedział Kurik. — Nie możesz celnie rzucać, bo zbroja krępuje ci ramiona.

Wydłubał następny kamień. Jego rzut był celniejszy. Kamień uderzył z głośnym brzękiem w hełm żołnierza. Zemoch krzyknął. Odchylony do tyłu próbował odzyskać równowagę, desperacko szukając jakiegokolwiek uchwytu dla rąk na kamiennej ścianie. Nie powiodło mu się i postawił stopy na podłodze w pobliżu środka korytarza.

Podłoga natychmiast się pod nim zapadła. Znikł rycerzom z oczu krzycząc rozpaczliwie. Drugi Zemoch obejrzał się, chcąc zobaczyć, co się stało z jego towarzyszem, i spadł z wąskiego krawężnika biegnącego wzdłuż ściany. Podobnie jak pierwszy zniknął w otchłani.

— Sprytne — powiedział Kurik. Podszedł do otwartego szybu i uniósł pochodnię. — Z dna sterczą zaostrome pale. — Patrzył przez chwilę na przebitych

palami ludzi. — Wracajmy uprzedzić innych. Powinniśmy bardziej uważać, gdzie stawiamy nogi.

Wrócili do oświetlonego pochodniami głównego korytarza jednocześnie z Ulathem i Tynianem, którzy dołączyli do nich ze swych pozycji na tyłach. Kurik zwięźle opisał pułapkę, w którą wpadło obu Zemochów. Spojrzał w zamyśleniu na poległych żołnierzy i podniósł jedną z ich włóczni.

— Tamci nie byli ludźmi Adusa.

— Skąd wiesz? — zapytał Kalten.

— Bevier pościnał włócznie tym, którzy byli z Adusem. Czyli w labiryncie są i inni żołnierze — prawdopodobnie w małych grupkach, podobnych do tej. Domyślam się, że są tu po to, aby nas zaprowadzić do pułapek w bocznych korytarzach.

— Dzięki Bogu! — wykrzyknął Ulath.

— Nie podążam za twym rozumowaniem, szlachetny panie Ulathu.

— W labiryncie są pułapki, ale ci żołnierze je dla nas uruchomią.

— Jak to mówią, każde nieszczęście ma swą dobrą stronę — ucieszył się Tynian.

— Owszem, jednak Zemosi, których złapiemy, mogą tak wcale nie sądzić.

— Czy żołnierze z tyłu szybko nas gonią? — zapytał Kurik.

— Nie bardzo.

Kurik wrócił do bocznego korytarza, trzymając wysoko nad sobą pochodnię. Po powrocie uśmiechał się ponuro.

— W bocznych korytarzach również są pierścienie — rzekł. — Może tak prześcimy kilka pochodni? Nas one zwiodły. Gdyby udało się żołnierzy skierować w boczne korytarze, gdzie znajdują się pułapki, pewnie trochę zwolniliby tempo marszu, prawda?

— Nie wiem jak oni, ale ja bym zwolnił — mruknął Ulath.

Rozdział 28

C o pewien czas zemoscy żołnierze ponawiali ataki, wypadając z bocznych korytarzy. Wyraz beznadziejności na ich twarzach świadczył jednak o tym, że już uważali się za martwych. Ultimatum „poddaj się lub zgiń” niespodziewanie przywracało im nadzieję. Większość uczepiła się tej szansy. Niestety, ich wylewna wdzięczność osłabła, gdy zdali sobie sprawę, że mają pójść przodem.

Pułapki obliczone na zaskoczenie nieostrożnych nie były specjalnie pomysłowe. W korytarzach, w których nie zapadała się podłoga, dla odmiany walił się sufit. Dna większości szybów były nabite ostrymi palami, aczkolwiek w niektórych mieszkały różnego rodzaju gady; wszystkie jadowite i złośliwe. W jednym miejscu — najwyraźniej projektant labiryntu znudził się już zapadniami i opadającymi sufitami — ściany uderzyły o siebie z ogromną siłą.

— Coś tu nie pasuje — zastanawiał się Kurik. Z tyłu dobiegło ich echo kolejnego rozpaczliwego krzyku. To żołnierze, którzy wdarli się do labiryntu, penetrowali boczne korytarze.

— Według mnie sprawy idą całkiem dobrze — powiedział Kalten.

— Ci żołnierze są tutejsi — myślał na głos giermek — a jednak nie wydaje się, by byli bardziej obznajomieni z labiryntem od nas. Znowu kończą się nam więźniowie. Czas, byśmy omówili sytuację. Nie róbmy fałszywego kroku.

Stanęli w grupie na środku korytarza.

— To nie ma żadnego sensu — rzekł Kurik.

— Przybycie do Zemochu? — spytał Kalten. — Mogłem ci to powiedzieć jeszcze w Chyrellos.

Kurik puścił tę uwagę mimo uszu.

— Idziemy tropem krwawych śladów na podłodze, tropem, który nadal ciągnie się przed nami; dokładnie środkiem oświetlonego pochodniami korytarza. — Giermek potarł stopą dużą plamę krwi. — Jeżeli ktoś tak mocno krwawił, to od dawna powinien już być martwy.

Talen pochylił się, dotknął plamy na podłodze, potem polizał palcem i splunął.

— To nie jest krew — stwierdził.

— A co to jest? — zapytał Kalten.

— Nie wiem, ale to nie krew.

— Zostaliśmy okpieni — skrzywił się Ulath. — Zaczynałem już to podejrzewać. A co gorsza jesteśmy tu uwięzieni. Nie możemy nawet zawrócić i pójść z powrotem za pochodniami, ponieważ od pół godziny pracowicie je przemieszczaliśmy.

— To w logice nazywa się zdefiniowaniem problemu. — Bevier uśmiechnął się słabo. — Następny krok to znalezienie rozwiązania.

— Ja nie jestem w tym biegły — przyznał Kalten — ale nie sądzę, byśmy mogli drogą logicznych rozważań znaleźć stąd wyjście.

— A może użyć pierścieni? — zaproponował Berit. — Czy dostojny pan Sparhawk nie mógłby po prostu przebić dziury w labiryncie?

— Korytarze mają w większości sklepienie beczkowe — powiedział Kurik. — Jeżeli zaczniemy wybijać dziury w ścianach, zwalimy sobie strop na głowy.

— Jaka szkoda! — westchnął Kalten. — Tak wiele dobrych pomysłów trzeba zarzucić z tej prostej przyczyny, że nie sprawdzają się w działaniu.

— Czy my bezwzględnie musimy rozwiązać zagadkę labiryntu? — zaciekawiał się Talen. — Chciałem przez to powiedzieć, czy znalezienie rozwiązania ma jakieś znaczenie z religijnego punktu widzenia?

— Mnie o tym nic nie wiadomo — powiedział Tynian.

— A zatem po co pozostawać w labiryncie? — spytał chłopiec niewinnie.

— Ponieważ jesteśmy tu uwięzieni — rzekł Sparhawk, starając się opanować rozdrażnienie.

— To nie jest całkowicie zgodne z prawdą. Mój ojciec może ma rację co do niebezpieczeństwa związanego z burzeniem ścian, ale nie mówił nic o stropach.

Wszyscy gapili się na niego ze zdumieniem. Po chwili na ich twarzach pojawiły się głupawe uśmieszki.

— Oczywiście nie wiemy, co jest na górze — mruknął Ulath.

— Nie wiemy również, co jest za następnym zakretem. Nigdy się nie dowiemy, co jest nad stropem, dopóki tam nie zajrzemy, czyż nie?

— Tam może być po prostu niebo — powiedział Kurik.

— A czy to byłoby gorsze od tego, co mamy tutaj, ojcze? Gdy już wydostaniemy się na zewnątrz, dostojny pan Sparhawk użyje pierścieni, aby przebić się przez zewnętrzne ściany świątyni. Otha może uważać labirynt za dobrą zabawę, ale ja już się tu nabawiłem. Jedną z pierwszych zasad, jakie wpoił mi Platim, brzmi: „Jeżeli gra ci się nie podoba, to w nią nie graj”.

Sparhawk spojrział pytająco na Sephrenię. Czarodziejka uśmiechnęła się ze skruchą.

— Nawet o tym nie pomyślałam — przyznała.

— Czy możemy to uczynić?

— Nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy tego zrobić, pod warunkiem oczywiście, że się cofniemy, bo inaczej zasypie nas gruz. Przyjrzyjmy się temu

stropowi.

Unieśli pochodnie, by spojrzeć na beczkowe sklepienie.

— Czy kształt tej konstrukcji nie będzie przeszkodą? — zapytał Sparhawk Kurika.

— Raczej nie. Kamienie się zazębiają, więc powinny wytrzymać. Gruzu jednak będzie sporo.

— Nie szkodzi — powiedział radośnie Talen. — Będziemy mieli się po czym wspiać.

— Trzeba sporej siły, by obluzować któryś z tych kamiennych bloków — mówił dalej Kurik. — Ciężar całego korytarza zapewnia spoistość temu sklepieniu.

— A co by się stało, gdyby nie było tu kilku z tych bloków? — spytała Sephrenia.

Kurik podszedł do jednej ze wznoszących się łukiem ścian i podłubał nożem między dwoma kamiennymi blokami.

— Użyli zaprawy murarskiej — stwierdził — lecz jest już mocno zwietrzała. Jeżeli udałoby nam się obluzować kilka z tych bloków, zapadłby się spory kawał sufitu.

— Ale cały korytarz się nie zawali?

Giermek pokręcił głową.

— Nie. W promieniu kilku kroków od miejsca zapaści budowla będzie w dobrym stanie.

— Mateczko, naprawdę potrafisz poruszyć te głazy? — Tynian patrzył na Sephrenię z niedowierzaniem.

— Nie, mój drogi. Ale mogę zmienić zaprawę w piasek, a to prawie to samo, nieprawdaż? — Czarodziejka przez chwilę przyglądała się uważnie stropowi. — Ulathu, ty jesteś najwyższy. Podnieś mnie. Muszę dotykać kamieni.

Srogi Thalezyjczyk zaczerwienił się po uszy i wszyscy wiedzieli dlaczego. Sephrenia nie należała osób, które brało się w ramiona.

— Och, nie bądź głuptasem — zniecierpliwiła się czarodziejka. — Podnieś mnie.

Ulath popatrzył groźnie dookoła.

— Obejdzie się chyba bez komentarzy, prawda? — zwrócił się do przyjaciół. Następnie pochylił się, objął czarodziejkę i uniósł bez wysiłku.

Sephrenia wspięła się po nim wyżej jak po drzewie. Sięgnęła do góry i musnęła dłońmi kilka kamieni. Jej dotknięcia zdawały się niemal pieszczotliwe.

— To powinno wystarczyć — powiedziała. — Możesz mnie już postawić, cny rycerzu.

Ulath opuścił ją na podłogę i wszyscy wycofali się w głąb korytarza.

— Bądźcie gotowi do ucieczki — ostrzegła ich czarodziejka. — To jest mało precyzyjne zaklęcie. — Poczęła czynić znaki w powietrzu, wymawiając szybko

styrycką formułkę. Potem uniosła obie ręce z dłońmi zwróconymi ku górze i uwolniła czar.

Drobny piasek sypnął się ze stropu, wyslizgując się spomiędzy nierówno ociosanych kamiennych bloków. Najpierw było go niewiele, ale stopniowo sypało się coraz więcej.

— Wygląda prawie jak przeciekająca woda — zauważył Kalten, patrząc na coraz obfitszy strumień piasku.

Ściany poczęły pękać. Rozległy się trzaski kruszonej pomiędzy kamieniami zaprawy murarskiej.

— Cofnijmy się jeszcze trochę — poleciała Sephrenia, spoglądając z obawą na otaczające ich głązy. — Zakłęcie działa. Nie musimy tu stać i pilnować go, czy się nie zatrzyma. — Czarodziejka była dziwną niewiastą. Czasami lękiem napawały ją najzwyczajniejsze rzeczy, a innym razem okropieństwa nie robiły na niej żadnego wrażenia.

Odeszli dalej w głąb korytarza. Kamienne bloki, nie spojone już zaprawą, poczęły trzeszczeć, jęczeć i zgrzytać. Strop walił się na całej szerokości. Duży fragment spadł wśród stukotu lecących kamieni. Kłęby tysiącletniego kurzu buchnęły w głąb korytarza. Rycerze kasłali i tarli kułakami oczy. W stopniowo opadającym pyłe zobaczyli w górze nieregularny otwór.

— Chodźmy się rozejrzeć — powiedział Talen. — Jestem ciekaw, co tam znajdziemy.

— Poczekajmy jeszcze trochę — poprosiła Sephrenia słabym głosem. — Chciałabym się upewnić, że jest już bezpiecznie.

Wdrapali się na kupę gruzu ze zwałonego stropu i pomagali sobie nawzajem wydostać się z otworu. Ponad stropem była rozległa przestrzeń, przykryta kopułą pustka, w której unosił się kurz i zapach stęchlizny. Światło zabranych z korytarza pochodni wydawało się bardzo nikłe i nie sięgało ścian — jeśli gdzieś w mroku były jakieś ściany. Podłoga przypominała łąkę pełną kopczyków wiodących do nor niezwykle pracowitych kretów. Sparhawk i jego towarzysze stali nad głęboką jamą, która otworzyła się przez zawalenie stropu. Mogli teraz dostrzec liczne osobliwości labiryntu, których istnienia nie podejrzewali będąc wewnątrz.

— Ruchome ściany — powiedział Kurik, wskazując w dół. — Mogą zmieniać labirynt przez zamykanie jednych i otwieranie innych korytarzy. To dlatego żołnierze nie wiedzieli, dokąd idą.

— Na lewo widzę światło — rzekł Ulath. — Zdaje się dobywać spod ziemi.

— Może tam jest świątynia? — domyślał się Kalten.

— Albo znowu sala tronowa. Chodźmy zobaczyć.

Długo wędrowali po dachu labiryntu. Potem wyszli na równą drogę biegnącą w kierunku światła, które dostrzegł Ulath. Dokąd wiodła, nie wiedzieli. Ginęła w ciemnościach.

— Nie ma kurzu. — Ulath patrzył na kamienie pod stopami. — Jest często używana.

Po równej drodze szli o wiele szybciej i wkrótce dotarli do źródła migotliwego światła. Były tam kamienne schody prowadzące w dół do oświetlonego pochodniami pomieszczenia — pomieszczenia o czterech ścianach, bez drzwi.

— To śmieszne! — prychnął Kalten.

— Niezupełnie. — Kurik podniósł pochodnię, by przyrzeć się dokładniej otoczeniu. — Jedna ściana suwa się na tych szynach. — Pochylił się nad metalowymi przewodnikami, które wybiegały na zewnątrz. Obejrzał je uważnie. — Nie widzę żadnej maszyny, więc tu musi się znajdować jakaś dźwignia. Sparhawk, chodźmy na dół, może uda się nam ją odnaleźć.

Rycerz i giermek zeszli schodami do dziwnego pomieszczenia.

— Czego szukamy? — zapytał Sparhawk.

— Skąd mam wiedzieć? Czegoś, co wygląda zwyczajnie, a nie jest zwyczajne.

— Niezbyt precyzyjny opis.

— Po prostu zacznij naciskać kamienie. Jeżeli znajdziesz taki, który można wcisnąć, pewnie będzie to dźwignia.

Ruszyli wzdłuż ścian przyciskając kamienie. Po kilku minutach Kurik przystanął.

— Możesz przestać — powiedział. — Znalazłem dźwignię.

— Gdzie?

— Na trzech ścianach są pochodnie, prawda?

— Tak. I co z tego?

— Ale nie ma ich na czwartej, tej na prawo od schodów.

— Więc?

— Jednakże są tam dwa pierścienie do zatknięcia pochodni. — Kurik podszedł do ściany i pociągnął za jeden z zardzewiałych pierścieni. Rozległo się mocne szczęknięcie. — Pociągnij za drugi, Sparhawk. Otwórzmy te drzwi i zobaczymy, co jest za nimi.

— Czasami jesteś tak sprytny, że aż robi mi się niedobrze — rzekł Sparhawk skwaszony. — Sprowadzę wszystkich na dół. Chyba nie zamierzamy we dwóch stanąć przed połową armii Zemochu, czekającej być może za tymi drzwiami. — Podszedł do schodów i skinął ręką na przyjaciół, dając im jednocześnie znak, by zachowali ciszę.

Rycerze zeszli na dół unikając dzwonienia zbroją.

— Kurik znalazł dźwignię — szepnął Sparhawk. — Nie wiemy, co jest po drugiej stronie, więc bądźmy w pogotowiu.

Giermek przywołał ich ruchem ręki.

— Ściana nie jest zbyt ciężka — powiedział cicho — i szyny zdają się dobrze nasmarowane. Powinienem z Beritem ją poruszyć. Reszta niech czeka w pogotowiu.

Talen podszedł cicho do kąta i przysunął twarz do zbiegu dwóch ścian.
— Zajrzę tam, wystarczy szczelina choćby na palec — rzekł do ojca. — Jeżeli krzyknę, zasuwaj z powrotem.
Kurik zgodził się bez słowa.
— Jesteśmy gotowi? — zapytał.
Wszyscy potwierdzili kiwając głowami. W dłoniach trzymali broń, mięśnie mieli napięte.
Kurik z Beritem pociągnęli za pierścienie i odsunęli nieco ścianę.
— Talenie, co widzisz? — zapytał Kurik szeptem.
— Nikogo tam nie ma — odparł chłopak. — To krótki korytarz z jedną pochodnią. Biegnie dwadzieścia kroków w głąb, a potem zakręca w lewo. Zza zakrętu dochodzi jasne światło.
— Bericie, otwieramy na całą szerokość — polecił Kurik.
Obaj pociągnęli mocno za pierścienie odsłaniając wejście.
— Co za przewrotny pomysł! — stwierdził z podziwem Bevier. — Labirynt na dole nie prowadzi donikąd. Prawdziwa droga do świątyni biegnie górą.
— Sprawdźmy, gdzie jesteśmy — w świątyni czy z powrotem w sali tronowej — rzekł Sparhawk. — I zachowujmy się możliwie jak najciszej.
Talen miał ochotę coś powiedzieć.
— Ani się waż! — skarcił go Kurik. — Nigdzie nie pójdziesz. To zbyt niebezpieczne. Trzymaj się razem z Sephrenią z tyłu.
Weszli do krótkiego korytarza oświetlonego przyćmionym, migotliwym światłem samotnej pochodni, znajdującej się w jego końcu.
— Niczego nie słyszę — szepnął Kalten do Sparhawk.
— Ludzie czyhający w zasadzce zwykle nie hałasują.
Zatrzymali się tuż przed ostrym zakrętem w lewo. Ulath poszedł ostrożnie do rogu, zdjął hełm i szybko wytknął i cofnął głowę.
— Pusto — poinformował przyjaciół zwięźle. — Po dziesięciu czy piętnastu krokach zakręca w prawo.
Ruszyli za róg i skradali się dalej krótkim korytarzem. Ponownie zatrzymali się na rogu i Ulath znowu wystawił głowę.
— To rodzaj wnęki — szepnął. — Łukowe przejście prowadzi do szerszego korytarza. Sporo tam światła.
— Widziałeś kogoś? — spytał Kurik.
— Ani żywej duszy.
— To powinien być główny korytarz — zastanawiał się Bevier. — Schody, które wiodły do odsuwanej ściany, muszą być blisko któregoś końca labiryntu, a więc albo sali tronowej, albo świątyni.
Weszli do wnęki za rogiem i Ulath ponownie szybko wyrzwał.
— W porządku, to główny korytarz. Po stu krokach zakręca w lewo.

— Chodźmy tam — zdecydował Sparhawk. — Jeżeli pan Bevier ma rację, w korytarzu za rogiem powinno być wyjście z labiryntu. Sephrenio, zostaniesz tutaj z Talenem, panem Bevierem i Beritem. Kuriku, ty pilnuj wejścia. Pozostali pójdą ze mną. — Pochylił się do Kurika i szepnął: — Jeżeli sprawy przybiorą zły obrót, zabierz Sephrenię i resztę do pomieszczenia przy schodach. Zasuń ścianę i zarygluj ją.

Kurik skinął głową.

— Bądź ostrożny, Sparhawk — powiedział cicho.

— Ty również, przyjacielu.

Czterej rycerze wyszli na szeroki, sklepiony korytarz i zaczęli się skradać w kierunku oświetlonego pochodnią rogu. Kalten szedł na końcu, oglądając się często za siebie, aby pilnować tyłów. Na rogu Ulath wyjrzał i cofnął się natychmiast.

— Tak przypuszczałem — szepnął z niesmakiem. — To sala tronowa. Jesteśmy z powrotem w punkcie wyjścia.

— Czy jest tam ktoś? — zapytał Tynian.

— Być może, ale po co im przeszkadzać? Wracajmy do schodów, zasuńmy znowu ścianę i zostawmy ludzi w sali tronowej ich własnym rozrywkom.

To wydarzyło się, gdy zawracali. Z bocznego korytarza w pobliżu wejścia do wnęki wypadł Adus rycząc na całe gardło. Wściekle rycząc pędziło kilkunastu żołnierzy. Z sali tronowej dobiegło echo trwożnych okrzyków.

— Tynian! Ulath! — krzyknął Sparhawk — zatrzymajcie tych z sali tronowej! Naprzód, Kaltenie! — Obaj pandionicy rzucili się pędem w kierunku wejścia, którego pilnował Kurik.

Adus był zbyt głupi, by można było przewidzieć, co uczyni. Ze wściekłością pognął żołnierzy przed sobą i parł naprzód z okrutnym toporem w dłoni. Jego świńskie oczka płonęły obłądną nienawiścią.

Sparhawk od razu się zorientował, że nie zdoła dobiec do Kurika. Ściął jednego żołnierza, który na swoje nieszczęście stanął mu na drodze.

— Kuriku! — wrzasnął — Cofnij się!

Ale było za późno. Giermek już walczył z Adusem. Jego obuch świstał w powietrzu, spadając na zbrojne ramiona i pierś podobnego do małpy przeciwnika, ale Adus w szale zabijania nie zwracał uwagi na te ciosy. Raz za razem walił toporem w tarczę Kurika.

W walce wręcz Kurik bez wątpienia należał do najbieglejszych na świecie, ale Adus zdawał się zupełnie szalony. Nacierał jak rozjuszony byk. Kurik był zmuszony się cofać, krok za krokiem oddając pole przeciwnikowi.

Raptem Adus odrzucił tarczę, ujął topór oburącz i począł nim wymachiwać, usiłując rozplatać Kurikowi głowę. Giermek Sparhawk, zmuszony do desperackiej obrony, schwycił tarczę obiema dłońmi i uniósł ją, by osłonić się przed potężnymi ciosami. Adus rycząc z triumfem zamachnął się, ale nie w głowę, lecz

w tułów przeciwnika. Okrutny topór wbił się głęboko w pierś giermka. Chlusnęła krew.

— Sparhawk! — krzyknął Kurik słabym głosem, padając pod ścianę.

Adus ponownie uniósł swój topór.

— Adus! — wrzasnął Kalten, zabijając kolejnego Zemocha.

Adus wstrzymał cios wymierzony w nie osłoniętą głowę Kurika.

— Kalten! — odpowiedział na wezwanie. Pogardliwym kopniakiem odsunął z drogi powalonego giermka i poczłapał w kierunku pandionity. W jego świńskich oczkach ukrytych pod krzaczastymi brwiami płonął obłęd.

Sparhawk i Kalten, nie bacząc na zasady walki na miecze, po prostu cięli Zemochów na odlew, polegając bardziej na sile i pasji niż umiejętnościach.

Adus całkiem oszalał. Wyrąbywał sobie drogę pośród własnych żołnierzy.

Kurik potykając się próbował iść dalej korytarzem. Zaciskał krwawiącą na piersi ranę i usiłował zrzucić kolczugę, ale nogi się pod nim ugiwały. Potknął się i przewrócił. Z ogromnym wysiłkiem dźwignął się na łokcie i zaczął czołgać się za bydlakiem, który go powalił. Wtem wywrócił oczy i padł na twarz.

— Kurik! — krzyknął Sparhawk. W oczach mu pociemniało i usłyszał dzwonięcie w uszach. Nagle jego miecz zdał się lekki niczym piórko. Rycerz ciął wszystko przed sobą. W pewnej chwili zorientował się nawet, że rąbie kamienną ścianę. Iskry tryskające spod ostrza przywróciły mu rozsądek. Kurik dałby mu za takie niszczenie broni.

Jakimś sposobem Talenowi w zamęcie udało się dotrzeć do ojca. Chłopak uklękł i próbował przewrócić Kurika na plecy. Nagle wybuchnął rozdzierającym płaczem.

— On nie żyje! Dostojny panie Sparhawk, mój ojciec nie żyje!

Ten krzyk niemal powalił Sparhawka na kolana. Rycerz potrząsnął głową niczym nieme zwierzę. Był pewien, że się przesłyszał. Nie mógł tego usłyszeć. Bezwiednie zabił następnego Zemocha. Za sobą słyszał stłumione odgłosy walki i wiedział, że to Tynian i Ulath zwarli się z żołnierzami z sali tronowej.

Talen wstał szlochając. Sięgnął do buta. W dłoni błysnął mu długi, cienki i ostry jak szpilka sztylet. Chłopiec zaciskał zęby z nienawiści, choć łzy spływały mu po twarzy strumieniami. Bezgłośnie ruszył na Adusa od tyłu.

Sparhawk przebił następnego Zemocha mieczem, a w tym czasie głowa innego po cięciu Kaltena toczyła się po podłodze.

Adus roztrzaskał głowę swemu żołnierzowi, rycząc jak szarżujący buhaj.

Ryk urwał się nagle. Adus wytrzeszczył oczy. Przypadkowo dobrane części jego zbroi nie pasowały do siebie i tył pancerza nie sięgał do bioder. To tam, w miejsce chronione jedynie kolczugą, pchnął sztyletem Talen. Kolczuga ochroni przed ciosem miecza czy topora, ale nie stanowi obrony przed pchnięciem noża. Sztylet Talena gładko wbił się w plecy bydlaka tuż pod dolnym brzegiem pancerza, szukając i znajdując nerkę. Talen wyciągnął ostrze i pchnął ponownie, tym

razem z drugiej strony.

Adus kwiknął niczym zarzynana świnia. Zatonął się, usiłując złapać chłopca. Nagle śmiertelnie zbladł z bólu i przerażenia.

Talen przejechał bydlakowi sztyletem pod kolanami.

Adus potykając się uszedł jeszcze kilka kroków. Upuścił topór, padł na podłogę i skrzęcał się z bólu.

Sparhawk i Kalten wycięli pozostałych żołnierzy, ale Talen już zdążył porwać z ziemi miecz. Stał nad Adusem i zaciekle rąbał go w głowę, ale klinga odskakiwała od hełmu. Chłopak odwrócił miecz i próbował rozpaczliwie wbić go przez pancerz w wierzgającego bydlaka, ale nie miał dość siły, by zagłębić broń.

— Pomóżcie mi! — krzyknął. — Niech ktoś mi pomoże!

Sparhawk stanął u boku zapłakanego chłopca. Z jego oczu również płynęły strumienie łez. Upuścił swój miecz i odebrał broń Talenowi.

— Zrób to tak — powiedział rzeczowym tonem, jakby udzielał instrukcji w czasie ćwiczeń.

Potem chłopiec i rycerz, stojąc po obu stronach kwiczącego Adusa, ujęli miecz. Ich dłonie spotkały się na rękojeści.

— Nie śpieszmy się, dostojny panie — wycedził Talen przez zaciśnięte zęby.

— Nie musimy — przyznał Sparhawk. — Nie musimy się śpieszyć.

Adus wrzeszczał, a oni powoli wbijali w niego miecz. Wrzask urwał się, gdy bydlak puścił ustami fontannę krwi.

— Litości! — wybełkotał.

Talen i Sparhawk z ponurymi minami obrócili miecz w jego ciele.

Adus jeszcze raz wrzasnął, waląc głową o podłogę i wybijając piętami szybki rytm na kamiennej podłodze. Wyprężył się w łuk, chlusnął krwią i opadł bezwładnie.

Zapłakany Talen rzucił się na martwego bydlaka, chcąc wydrapać mu oczy. Sparhawk pochylił się, delikatnie podniósł chłopca i zaniósł do miejsca, gdzie leżał Kurik.

Rozdział 29

W oświetlonym pochodniami korytarzu nadal toczyła się walka, słyhać było szcęk stali, krzyki, wrzaski i jęki. Sparhawk wiedział, że musi ruszać przyjaciółom na pomoc, ale stał w miejscu oszołomiony potwornością ostatnich wydarzeń. Talen klęczał obok Kurika, szlochając i waląc pięścią w kamienną obok ciała podłogę.

— Muszę iść — rzekł pandionita do chłopca.

Talen nie odpowiedział.

— Bericie, chodź tutaj! — zawołał rycerz.

Młody adept sztuki rycerskiej wyszedł ostrożnie z wnęki, trzymając topór w pogotowiu.

— Pomóż Talenowi — powiedział Sparhawk. — Zabierz Kurika do środka.

Berit wpatrywał się z niedowierzaniem w leżącego giermka.

— Rusz się, chłopcze! — polecił ostro Sparhawk. — I zaopiekuj się Sephrenią.

— Sparhawk! — krzyknął Kalten. — Nadciągają następni!

— Już idę! — Rycerz spojrział na Talena. — Muszę wracać — powtórzył.

Chłopiec uniósł zapłakaną twarz, na której pojawił się wyraz dzikiego okrucieństwa.

— Zabij ich, dostojny panie! Zabij ich wszystkich!

Sparhawk skinął głową. „To choć trochę pomoże Talenowi — pomyślał wracając po swój miecz. — Gniew jest dobrym lekarstwem na rozpacz”. Podniósł miecz i odwrócił się czując, jak z wściekłości zasycha mu w gardle. Idąc do Kaltena, rozłupywał napotkanych po drodze żołnierzy.

— Cofnij się — rzekł do przyjaciela chłodnym tonem. — Idź odsapnąć.

— Czy jest jakaś nadzieja? — zapytał Kalten, odparowując pchnięcie zemskiej włóczni.

— Nie.

Nadciągnęła mała grupa żołnierzy, bez wątpienia jeden z oddziałów, który próbował zwabić rycerzy w boczne korytarze. Sparhawk ruszył na nich z pełną determinacją. Dobrze było walczyć. Walka wymaga skupienia, odpędza żal

i smutek. Sparhawk natarł na Zemochów. Czuł, że w jakiś tajemny sposób dopełniały się prawa natury. Kurik nauczył go każdego ruchu, każdej technicznej sztuczki, którą teraz wcielał w czyn. Sparhawk wściekły po śmierci przyjaciela był jak bezlitosna karząca ręka sprawiedliwości. Kalten zdawał się zaszokowany jego okrucieństwem. Pięciu żołnierzy zginęło niemal w mgnieniu oka. Ostatni rzucił się do ucieczki, ale Sparhawk szybko przełożył miecz do drugiej ręki, pochylił się i podniósł zemoską włócznię.

— Zabierz to z sobą! — zawołał za uciekającym. Zamachnął się i rzucił. Włócznia utkwiała żołnierzowi w plecach pomiędzy naramiennikami.

— Dobry rzut — pochwalił Kalten.

Sparhawk nadal czuł żądzę mordy. Zawrócili do zakrętu korytarza, gdzie Tynian i Ulath powstrzymywali żołnierzy, którzy w odpowiedzi na wezwanie Adusa wdzierali się do labiryntu od strony sali tronowej.

— Zostawcie ich mnie — rzekł Sparhawk ponurym tonem.

— Co z Kurikiem? — spytał Ulath.

Sparhawk pokręcił głową i ponownie przystąpił do wycinania Zemochów w pień. W kałużach krwi brnął naprzód, przyjaciołom pozostawiając dobijanie rannych.

— Stój, dostojny panie! — krzyknął Ulath. — Uciekają!

— Za mną, szybko! — odkrzyknął Sparhawk. — Możemy ich jeszcze dopaść!

— Zostaw ich!

— Nie!

— Kazesz czekać Martelowi, Sparhawk — przypomniał Kalten ostro.

Kalten czasami udawał głupka, ale tym razem jego interwencja natychmiast przywróciła Sparhawkowi do porządku. Zabijanie względnie niewinnych żołnierzy było w końcu zwykłą igraszką w porównaniu z ostateczną rozprawą z renegatem Martelem.

Sparhawk stanął w miejscu.

— W porządku — dyszał ciężko, bliski wyczerpania — wracajmy. I tak musimy przedostać się za tę zasuwana ścianę, nim żołnierze powrócą.

— Czy czujesz się choć trochę lepiej? — zapytał Tynian, gdy ruszyli z powrotem.

— Nie — powiedział Sparhawk.

Minęli ciało Adusa.

— Idźcie — powiedział Kalten. — Zaraz was dogonię.

Berit i Bevier czekali na nich przy wejściu do wnęki.

— Dopadliście ich? — zapytał cyrinita.

— Dostojny pan to uczynił — mruknął Ulath. — Upuścił im sporo krwi.

— Czy nie wrócą po zebraniu posiłków?

— Nie wrócą, chyba że ich oficerowie mają bardzo długie bicze.

Kurik leżał, jakby odpoczywał. Oczy miał zamknięte, twarz spokojną. Straszliwą ranę, którą uszło z niego życie, okrywał płaszcz. Sparhawk ponownie ogarnął nieprzewyciężony smutek.

— Czy jest jakiś sposób...? — zaczął, chociaż i tak znał z góry odpowiedź.

Sephrenia pokręciła przecząco głową.

— Nie, mój drogi — odparła. — Tu nic nie mogę już pomóc. — Tuliła do siebie szlochającego Talena.

Sparhawk westchnął.

— Trzeba nam iść — rzekł. — Musimy dostać się do schodów, nim ktokolwiek zdecyduje się nas ścigać. — Obejrzał się przez ramię. Kalten wrócił. Niósł coś zawiniętego w zemoski płaszcz.

— Ja się tym zajmę — powiedział Ulath. Pochylił się i podniósł Kurika, jakby krzepki giermek był dzieckiem.

Szybko przeszli do podnóża schodów wiodących w zakurzoną ciemność ponad nimi.

— Zasuńcie z powrotem ścianę na miejsce — polecił Sparhawk — i spróbujcie ją czymś zablokować.

— Zablokujemy szyny, po których się suwa — mruknął Ulath.

Sparhawk chrząknął, jakby podjął decyzję.

— Panie Bevierze, musimy cię tu zostawić. Jesteś ranny, a ja nie chcę stracić następnego przyjaciela.

Bevier zrazu chciał protestować, ale zmienił zdanie.

— Talenie — ciągnął dalej Sparhawk — ty zostaniesz tutaj z ojcem i panem Bevierem. — Postarał się uśmiechnąć. — Nie chcemy ukraść Azasha; chcemy go zabić.

Talen skinął głową.

— I Berit...

— Proszę, dostojny panie — młodzieniec miał oczy pełne łez — proszę, nie zostawiaj mnie. Pan Bevier i Talen są tu bezpieczni, a ja może będę mógł pomóc, gdy dostaniemy się do świątyni.

Sparhawk spojrzął na Sephrenię. Ta skinęła głową.

— Zgadzam się — zdecydował. Chciał przestrzec Berita, by trzymał się z tyłu, ale mógłby go urazić, więc zamilkł.

— Zostaw mi swój topór i tarczę, Bericie — powiedział Bevier słabym głosem. — W zamian weź to — podał młodzieńcowi halabardę i srebrzystą tarczę.

— Nie zhańbię ich, szlachetny panie, przysięgam — oznajmił Berit żarliwie.

Kalten postąpił w głąb pomieszczenia.

— Można się ukryć pod schodami, panie Bevierze. Jest tam dość miejsca na ciebie, Kurika i Talena. Gdyby żołnierze przedarli się przez ścianę, nie zauważą was.

Bevier skinął głową. Ulath przeniósł ciało Kurika do schowka za schodami.

— Niewiele zostało do powiedzenia, panie Bevierze — rzekł Sparhawk. — Postaramy się szybko wrócić.

— Będę się modlił za ciebie, dostojny panie — zapewnił Bevier — za was wszystkich.

Sparhawk kiwnął głową, potem przyklęknął obok Kurika i ujął jego dłoń.

— Śpij dobrze, przyjacielu — wyszeptał.

Wstał i ruszył w górę schodów nie oglądając się za siebie.

Na przeciwnym końcu prostej kamiennej drogi biegnącej przez kretowiska znaleźli szerokie, wykładane marmurem schody. Nie było zasuwanych ścian, nie było też labiryntu wiodącego do świątyni. Labirynt nie był potrzebny.

— Zaczekajcie tutaj — szepnął Sparhawk do przyjaciół. — I odłóżcie te pochodnie. — Zakradł się do przodu, zdejmując hełm. Położył się na szczycie schodów. — Panie Ulathu — rzucił cicho — chwyć mnie za kostki. Chcę zobaczyć, w co się pakujemy.

Potężny Thalezyjczyk trzymał dowódcę za nogi, nie pozwalając mu zjechać ze szczękiem zbroi po schodach, a Sparhawk cicho i wolno posuwał się w dół, dopóki nie udało mu się zajrzeć do podziemnego pomieszczenia.

Świątynia Azasha była miejscem wyjętym wprost z sennych koszmarów. Okrągła jak przykrywająca ją kopuła; miała około tysiąca kroków średnicy. Posadzka i zakrzywione, pochylone do wewnątrz ściany wykonane były z czarnego onyksu, przez co miało się wrażenie, że spogląda się w samo serce nocy. Świątyni nie oświetlały pochodnie, ale potężne ogniska płonące z hukiem w olbrzymich metalowych kadziach, ustawionych na podobnych dźwigarom nogach. Rozległą komnatę otaczały szeregi tarasów opadających stopniowo w dół ku czarnej posadzce.

Wzdłuż górnego tarasu w równych odstępach były rozmieszczone białe marmurowe posągi wysokości czterech rosnących mężów. Sparhawk dostrzegł postać Styrika, a trochę dalej Elena, ale większość nie przedstawiała istot ludzkich. Domyślił się, że posągi były podobiznami sług Azasha, a ludzie odgrywali w tej grupie małą i nieznaczącą rolę.

Dokładnie na wprost wejścia, przez które zaglądał rycerz, stał posąg wyniosłego bożyszczka. Ludziom nigdy nie udawało się stworzyć w pełni zadowalającego obrazu swego boga. Bóg o lwiej głowie na przykład nie jest w rzeczywistości człowiekiem z głową lwa. Ludzie uważają twarz za zwierciadło duszy; ciało ma z tym niewiele wspólnego. Wizerunek boga nie jest pomyślany jako jego wyobrażenie, a twarz ma raczej oddawać boski charakter, niż być wiernym portretem. Oblicze posągu wznoszącego się wysoko ponad wypolerowaną posadzką czarnej świątyni stanowiło kwintesencję ludzkich deprawacji. Z całą pewnością odbijały się na nim pożądlivość, chciwość i żarłoczność; ale twarz ta odzwierciedlała i inne cechy, których nie można nazwać w żadnym ludzkim języku. Azash, sądząc po jego twarzy, gorąco pragnął i domagał się rzeczy dla ludzi niepojętych.

Z tej twarzy o wykrzywionych wstrętnym grymasem ustach i okrutnych oczach biło coś dzikiego i niezaspokojonego. Posąg miał oblicze istoty o przemożnych pragnieniach, które nie były i nie mogły być zaspokojone.

Sparhawk oderwał oczy od tej twarzy. Patrząc zbyt długo, można było zgubić duszę.

Korpus posągu nie był całkowicie uformowany. Wydawało się, że rzeźbiarza tak pochłoneła praca nad obliczem, iż resztę postaci jedynie naszkicował. Z szerokich pleców Azasha wyrastały liczne niczym nogi pająka macki. Ciało było odchylone do tyłu, uda lubieżnie wysunięte do przodu, ale brakowało tego, co winno stanowić centrum tej nieprzyzwoitej pozy. W tym miejscu była gładka, błyszcząca powierzchnia jak blizna po oparzeniu. Sparhawk przypomniał sobie słowa Sephrenii, które wyprowadziły z równowagi Azasha podczas spotkania rycerzy z szukaczem nad jeziorem Venne. Czarodziejka powiedziała wtedy, że Azash został pozbawiony męskości. Sparhawk wolał nie myśleć o sposobach, jakich użyli Młodszy Bogowie, by okaleczyć starszego kuzyna. Posąg jaśniał bladym zielonkawym blaskiem podobnym do poświaty, jaka emanowała z oblicza szukacza.

Na okrągłej czarnej posadzce, w słabym zielonym blasku bijącym od ołtarza odbywała się właśnie jakaś ceremonia. Sparhawk wzbraniał się przed nazwaniem jej religijnym obrzędem. Przed wizerunkiem Azasha kłębiły się nagie ciała. Pandionita nie był żyjącym za murami mnichem zakonnym, lecz rycerzem obytym z wielkim światem, jednak wyuzdanie tego obrzędu przyprawiało go o mdłości. Orgia, którą urządzili w górach przed glinianym posązkim prymitywni Eleni, była wręcz niewinną zabawą w porównaniu z tym, co działo się w świątyni. Tutaj celebtranci zdawali się prześcigać w nieludzkiej perwersji. Ich nieruchome spojrzenia i sztywne, nienaturalne ruchy świadczyły, że ten obrzęd będzie trwał, aż uczestnicy pomrą z wyczerpania. Niższe stopnie olbrzymiej niecki utworzonej przez opadające w dół tarasy zapełniały postacie w zielonych szatach, które zawodziły jęklivymi głosami. Ich pienia brzmiały głucho i pusto, zdawały się pozbawione melodii, słów i uczuć.

Wtem Sparhawk kątem oka dostrzegł jakiś ruch i szybko spojrzął w tym kierunku. Na szczycie górnego tarasu, około stu kroków poniżej pokracznego marmurowego posągu, wyobrażającego coś, co mogło być jedynie wytworem najgłębszego obłędu, stanęło kilku ludzi. Jeden z nich miał białe włosy.

Sparhawk obrócił się i dał znak Ulathowi, aby go wciągnął z powrotem do góry.

— Co widziałeś? — zapytał Kalten.

— To jedno wielkie pomieszczenie — szepnął Sparhawk. — W głębi stoi posąg, a szerokie tarasy niczym schody wiodą na posadzkę.

— A co to za hałas? — zapytał Tynian.

— Odprawiają jakiś obrzęd. To są śpiewy, pewnie religijne.

— Nie interesuje mnie ich religia — mruknął Ulath. — Czy są tam jacyś

żołnierze?

Sparhawk zaprzeczył ruchem głowy.

— Los nam sprzyja. — Potężny Thalezyjczyk podrzucił topór w dłoni.

— Mateczko, potrzebne mi czary — rzekł Sparhawk. — Martel i jego towarzysze gromadzą się na górnym tarasie. Są około dwustu kroków od nas. Chcę wiedzieć, o czym rozmawiają. Czy jesteśmy dostatecznie blisko, by twoje zaklęcie zadziało?

Czarodziejka skinęła głową.

— Odsuńmy się od schodów — poradziła. — Zaklęcie wyzwala trochę światła, co mogłoby zdradzić naszą obecność.

Wycofali się drogą pomiędzy kretowiska i Sephrenia wzięła od Berita srebrzystą tarczę Beviera.

— To powinno się nadać — powiedziała, po czym szybko splotła i uwolniła zaklęcie.

Rycerze zebrani wokół pojaśniałej nagle tarczy ujrzeli w jej lustrzanej powierzchni zamglone postacie. Głosy dochodzące z tego obrazu przypominały dźwięki wydobywające się z metalowej puszki, ale były zrozumiałe.

— Zapewniałeś mnie, Anniasie, że moje złoto kupi ci tron, z którego będziesz mógł dalej realizować nasze plany! — grzmiał Otha.

— To znowu była wina Sparhawk, wasza cesarska mość — Annias pokornie się usprawiedliwiał. — On wszystko popsuł, tak jak się tego obawialiśmy.

— Sparhawk! — Otha rzucił wstrętne przekleństwo i uderzył pięścią w oparcie podobnej do tronu lektyki. — Już samo jego imię sprawia mi ból. Miałeś go trzymać z dala od Chyrellos, Martelu. Czemuż to zawiodłeś mnie i mego boga?

— Nie zawiodłem, wasza cesarska mość — odparł spokojnie Martel. — Annias również nie zawiódł. Umieszczenie jego wielebności na tronie arcyprałata miało być jedynie środkiem prowadzącym do celu; a my już osiągnęliśmy cel. Bhelliom znajduje się pod tym dachem. Zamierzałeś uczynić Anniasa arcyprałatem, by mógł zmusić Elenów do oddania nam klejnotu... Ten plan pełen był niejasności i ryzyka. Mój sposób okazał się szybszy i pewniejszy. Azasha interesuje ostateczny rezultat, wasza cesarska mość, a nie powodzenie bądź porażka na którymś z etapów.

Otha chrząknął.

— Być może — przyznał — ale Bhelliom jeszcze nie został dostarczony naszemu bogu. Sparhawk nadal ma klejnot w swoich rękach. Na jego drodze postawiłeś armię, a on bez trudu ją pokonał. Nasz pan wysłał swe sługi, straszniejsze od samej śmierci, aby go zabiły, a on nadal żyje.

— Sparhawk jest w końcu tylko człowiekiem — odezwał się płaczącym głosem Lycheas. — Nie może wiecznie zwyciężać.

Otha rzucił Lycheasowi spojrzenie pełne śmiertelnej groźby. Arissa otoczyła

syna opiekuńczym ramieniem i wydawało się, że ma zamiar pośpieszyć mu z pomocą, ale Annias pokręcił ostrzegawczo głową.

— Sam siebie splugawiłeś przyznając się do tego bękarta, Anniasie — oznajmił Otha z pogardą. Przyglądał się im w milczeniu. — Czy żaden z was nie rozumie?! — ryknął nagle. — Sparhawk to Anakha, nieznany. Anakha żyje poza przeznaczeniem. Nawet bogowie się go obawiają. On i Bhelliom są z sobą związani w sposób niepojęty dla ludzi czy bogów tego świata. Służy mu bogini Aphrael. Nie wiemy, dlaczego to czyni. Przed Sparhawkiem chroni nas jedynie fakt, że klejnot niechętnie poddaje się jego woli. Gdyby kiedykolwiek Bhelliom dobrowolnie mu uległ, Sparhawk zostałby bogiem.

— Ale jeszcze nie jest bogiem, wasza cesarska mość. — Martel uśmiechnął się lekko. — Jest uwięziony w labiryncie i nigdy nie zostawi swych przyjaciół, aby zaatakować nas w pojedynkę. Jego poczynania można przewidzieć. To dlatego Azash przyjął mnie i Anniasa w poczet swych sług. My znamy Sparhawk'a i wiemy, co on zrobi.

— I nie przewidzieliście, że on w końcu zwycięży?! Czyż nie wiecie, że jego przybycie jest zagrożeniem dla naszego istnienia i istnienia naszego boga?!

Martel spojrział na skłębione nagie postacie, wyczyniające bezeceństwa u stóp przerażającego posągu.

— Jak to jeszcze długo potrwa? — zapytał. — Potrzebne nam pewne wskazówki, a dopóki trwa ceremonia, Azash nie zechce zwrócić na nas uwagi.

— Obrzęd prawie dobiegł końca — powiedział Otha. — Celebranci są wyczerpani. Wkrótce zaczną umierać.

— Wtedy porozmawiamy z naszym panem. On również jest w niebezpieczeństwie.

— Martelu! — zawołał Otha z trwogą. — Sparhawk wydostał się z labiryntu! Jest na drodze wiodącej do świątyni!

— Wezwij ludzi, niech go powstrzymają! — krzyknął Martel.

— Uczyniłem to, ale są daleko za nim. Nie zdołają mu przeszkodzić.

— Musimy przebudzić Azasha!!! — wrzasnął Annias w panice.

— Przerwanie tego obrzędu oznacza śmierć — oznajmił Otha.

Martel wyprostował się i wyjął spod pachy swój ozdobny hełm.

— A zatem wszystko zależy ode mnie — stwierdził ponuro. Sparhawk uniósł głowę. Daleko od strony pałacu dobiegały odgłosy uderzeń taranów.

— Wystarczy — rzekł do Sephrenii. — Musimy ruszać. Otha wezwał żołnierzy, by zburzyli ścianę, którą zablokowaliśmy.

— Mam nadzieję, że nie znajdą pana Beviera i Talena — powiedział Kaltén.

— Nie znajdą — zapewnił Sparhawk. — Pan Bevier wie, co robi. Musimy zejść na dół do świątyni. To poddasze, czy jak tam to nazywać, jest zbyt odświetlone. Jeżeli przyjmemy walkę tutaj, żołnierze będą mogli nas otoczyć. — Spojrział

na Sephrenię. — Czy jest jakiś sposób, by zablokować te schody za nami? — zapytał.

Czarodziejka zmrużyła oczy.

— Myślę, że tak — odparła.

— Zdaje się, że nie jesteś tego całkiem pewna.

— Rzeczywiście. Z łatwością mogę zablokować schody, ale nie jestem pewna, czy Otha nie zna przeciwnego zaklęcia.

— Przecież nie będzie nic wiedział, dopóki nie dotrą tu jego żołnierze i okaże się, że nie będą mogli zejść po schodach — odezwał się Tynian.

— Istotnie, nie będzie wiedział. Masz rację, Tynianie.

— Czy puścimy się biegiem tym górnym tarasem i zaatakujemy posąg? — spytał Kalten.

— Nie możemy — odparła Sephrenia. — Pamiętaj, że Otha jest magiem. Na każdym kroku byłibyśmy narażeni na rzucane znieścacka zaklęcia. Musimy bezpośrednio stawić mu czoło.

— I Martelowi również — dodał Sparhawk. — Otha nie odważy się przeszkadzać Azashowi w trakcie rytuału. Możemy to wykorzystać. W ten sposób będziemy musieli się martwić jedynie samym Othą. Czy damy sobie z nim radę, Sephrenio?

Czarodziejka przytaknęła ruchem głowy.

— Otha nie jest odważny — powiedziała. — Jeżeli go przestraszymy, użyje swej mocy, by się przed nami osłonić. Będzie liczył na to, że zajmą się nami żołnierze przybywający z pałacu.

— Spróbujemy — rzekł Sparhawk. — Gotowi?

Wszyscy kiwnęli głowami.

— Tylko stójcie z dala, gdy zabiorę się za Martela — uprzedził jeszcze Sparhawk. — Ruszamy.

Podeszli do szczytu schodów, wzięli głęboki oddech i pomaszzerowali w dół z obnażoną bronią.

— Ach, tu jesteś, Martelu! — Sparhawk naśladował nonszalancki ton renegata. — Wszędzie cię szukałem.

— A ja czekałem tutaj — odparł Martel, wyciągając miecz.

— Widzę. Musiałem pobłądzić. Mam nadzieję, że się nie spóźniłem.

— Ani trochę.

— Doskonale. Nie lubię się spóźniać. — Spojrzał dookoła. — Rad widzę, że jesteśmy tu wszyscy. — Zatrzymał wzrok na prymasie Cimmury. — Doprawdy, Anniasie, powinieneś więcej przebywać na słońcu. Jesteś blady jak płótno.

— Nim zaczniecie... — wtrącił Kalten — przyniosłem ci prezent, Martelu, pamiątkę naszej wizyty. Drobne upominki podtrzymują przyjaźń. — Potrząsnął płaszczem trzymanym w dłoni odzianej w rękawicę. Głowa Adusa poturlała się

po onyksowej posadzce. Zatrzymała się u stóp Martela i wybałuszyła na niego świńskie oczka.

— Co za uprzejmość, panie Kaltenie! — wycedził Martel przez zaciśnięte zęby. — Jestem pewien, że zdobycie tego prezentu sporo cię kosztowało.

Sparhawk czuł, jak wzbiera w nim nienawiść. Zaciśnął mocniej dłoń na rękojeści miecza.

— Tak, kosztowało nas życie Kurika — powiedział beznamiętnie — a teraz czas wyrównać rachunki.

Martel osłupiał.

— Nie wierzę! Kurik? Och, tego nie chciałem! Jest mi naprawdę żal, Sparhawk. Szanowałem go. Jeżeli kiedykolwiek powrócisz do Demos, przekaz Aslade, że szczerze jej współczuję.

— Ani myślę. Nie będę obrażał Aslade wspomnianiem twego imienia w jej obecności. Możemy zaczynać? — Sparhawk ruszył, unosząc tarczę do piersi. Koniec jego miecza poruszał się powoli tam i z powrotem niczym głowa żmii. Pozostali rycerze oparli broń o posadzkę i przyglądali się ponuro.

Martel otrząsnął się z tak dziwnego u niego żalu po poległym Kuriku.

— Rycerski do końca, jak widzę — szydził, nakładając hełm i odchodząc od lektyki Othy, by mieć miejsce do walki. — Twoja wytworność i uczciwość będą cię teraz kosztowały życie. Przed chwilą miałeś nade mną przewagę. Powinieneś być ją wykorzystać.

— Nie będzie mi potrzebna. Masz jeszcze kilka chwil na skruchę. Radzę ci, dobrze wykorzystaj ten czas.

Martel uśmiechnął się słabo.

— Nic z tego. Dokonałem wyboru. Nie poniżę się, wytrwam do końca. — Opuścił przyłbicę.

Uderzyli jednocześnie, ich miecze zadzwoniły na tarczach. Jako chłopcy ćwiczyli razem pod okiem Kurika, trudno zatem im było zadać pchnięcie czy posłużyć się jakimś fortem, po którym przeciwnik by się odsłonił. Byli tak równymi przeciwnikami, że nikt nie mógł przewidzieć wyniku pojedynku, który odwlekano ponad dziesięć lat.

Pierwsze ciosy były próbne. Dla niewyszkolonego obserwatora to starcie wyglądałoby na szaloną, bezmyślną bijatykę, lecz byłaby to naiwna ocena. Ostrożnie sprawdzali się nawzajem, wypatrując zmian w technice i wzajemnym stosunku sił. Żaden z nich nie był na tyle wściekły, by ryzykować i pozostawać bez osłony. Na obu tarczach pojawiły się wyraźne wgłębienia, a przy każdym spotkaniu ich mieczy tryskały w górę snopy iskier. Zmagali się nieustannie, oddalając się powoli od kosztownej lektyki cesarza oraz od przyglądających się szeroko otwartymi oczyma Anniasa, Arissy i Lycheasa. Było to celowe posunięcie Sparhawk. Musiał odciągnąć Martela na bok od Othy, by Kalten i inni mogli zagrozić opasłemu cesarzowi. Co pewien czas cofał się o kilka kroków bez wyraźnej potrzeby,

odciągając Martela krok po kroku od jego sprzymierzeńców.

— Chyba się starzejesz — wydyszał Martel, waląc mieczem w tarczę pandionity.

— Nie bardziej od ciebie — odrzekł Sparhawk, zadając przeciwnikowi potężny cios, po którym Martel aż się zatoczył.

Kalten, Ulath i Tynian, a za nimi Berit wymachujący przerażającą halabardą Beviera, ruszyli wachlarzem w kierunku Othy i Anniasa. Podobny do ślimaka cesarz machnął ramieniem i jego oraz kompanów Martela otoczyła migotliwa zasłona.

Sparhawk poczuł na karku delikatne mrowienie i wiedział, że Sephrenia splata zakłęcie blokujące schody. Natarł na Martela, wywijając gwałtownie mieczem, chcąc na tyle zaabsorbować przeciwnika, by ten nie rozpoznał delikatnego uczucia, jakie zawsze towarzyszy uwalnianiu zakłęcia. Martel był uczniem Sephrenii i z pewnością zorientowałby się w poczynaniach czarodziejki.

Wciąż walczyli zaciekle. Sparhawk dyszał ciężko, a ramię dźwigające miecz mdlało z wysiłku. Cofnął się o krok, opuszczając lekko broń w tradycyjnym geście, proponującym przerwę w walce dla zaczerpnięcia oddechu. Taka propozycja nigdy nie była uznawana za objaw słabości.

Martel na znak zgody także opuścił miecz.

— Prawie jak za dawnych czasów — wysapał, podnosząc przyłbicę.

— Prawie — przytaknął Sparhawk i również uniósł przyłbicę. — Widzę, że nauczyłeś się kilku nowych zmyłek.

— Zbyt wiele czasu mieszkałem w Lamorkandii. Tamtejsi rycerze nie są biegli we władaniu mieczem. Ich sposób walki przypomina rendorski.

— Dziesięć lat mieszkałem w Rendorze na wygnaniu. — Sparhawk oddychał głęboko, by jak najszybciej odzyskać siły.

— Vanion obdarłby nas ze skóry, gdyby widział, jak sobie gawędzimy.

— Albo policzyłby nam kopią żebra. Vanion to uosobienie rycerskich cnót.

— Święta prawda.

Stali dysząc i spoglądając sobie uważnie w oczy, wypatrując najmniejszego drgnięcia mięśni zwiastującego niespodziany cios. Sparhawk czuł, jak ból prawego ramienia powoli ustępuje.

— Jesteś gotów? — zapytał w końcu.

— Służę ci w każdej chwili.

Ponownie opuścili ze szczękiem przyłbice i wrócili do walki.

Martel zaczął z rozmachem długą serią skomplikowanych cięć miecza. Była to znana, jedna z najstarszych, seria uderzeń, ale jej zakończenia nie sposób było przewidzieć. Sparhawk wykonał ruch tarczą i mieczem zgodnie z zalecaną w tej sytuacji linią obrony, ale już po pierwszym ciosie wiedział, że otrzyma niemal ogłuszające uderzenie w głowę. Jednakże Martel nie mógł się domyślić, że wkrótce po wykluczeniu go z zakonu Kurik wprowadził pewną zmianę w budowie

pandiońskiego hełmu. Toteż gdy renegat zadał potężny kończący serię cios, Sparhawk pochylił nieco podbródek, aby przyjąć uderzenie na wzmocniony grzbiet hełmu. W uszach mu zadzwoniło i ugięły się pod nim kolana, lecz był w stanie odparować uderzenie, które miało rozplatać mu głowę.

Reakcje Martela wydawały się nieco wolniejsze, niż je pamiętał Sparhawk. Jednak i ruchy Sparhawka nie miały już młodzieńczej zwinności. Obaj byli starsi o dziesięć lat, a pojedynek z równym siłą i umiejętnościami przeciwnikiem przedłużał się i zmęczenie coraz natarczywiej przypominało im, że ludzie się starzeją.

Wtem Sparhawk doznał olśnienia. Wypuścił serię potężnych ciosów w głowę Martela i renegat był zmuszony bronić się zarówno mieczem, jak i tarczą. Wtedy Sparhawk wykonał tradycyjne pchnięcie w tułów. Oczywiście Martel przewidział jego ruch, ale po prostu nie potrafił dostatecznie szybko osłonić się tarczą. Koniec miecza Sparhawk przedarł się przez jego kosztowną deirańską zbroję po prawej stronie piersi i głęboko wbił się w ciało. Martel zeszywniał, jął kaszleć i przez szpary przyłbicy chlusnął fontanną krwi. Próbował jeszcze utrzymać miecz i tarczę, lecz jego ramiona ogarnęło przedśmiertelne drżenie. Zachwiał się na nogach. Miecz wypadł mu z dłoni. Tarcza z brzękiem upadła na posadzkę. Znowu zachłysnął się mokrym, rozdzierającym kaszlem. Następny strumień krwi trysnął spod przyłbicy i Martel runął twarzą w dół.

— Dokończ, Sparhawk — wykrztusił.

Sparhawk kopniakiem przewrócił go na plecy. Podniósł miecz, ale zaraz opuścił ramię i ukląkł przy umierającym.

— Nie ma potrzeby — powiedział podnosząc mu przyłbicę.

— Jak ci się to udało? — zapytał Martel.

— Założyłeś nową zbroję. Jest za ciężka. Zmęczyłeś się i zacząłeś wolniej reagować.

— Zostałem ukarany — szepnął Martel, próbując płytko oddychać, żeby nie zakrztusić się gwałtownie napływającą do płuc krwią. — Zabity przez własną próżność.

— To prawdopodobnie najczęstsza przyczyna śmierci nas wszystkich.

— Ale to była ładna walka.

— Tak — przyznał Sparhawk. — Piękna.

— I w końcu dowiedzieliśmy się, który z nas jest lepszy. Chyba już czas na szczerłość. Tak naprawdę nigdy nie miałem wątpliwości.

— Ja miałem.

Sparhawk wsłuchiwał się w coraz płytszy oddech Martela.

— Lakus nie żyje — powiedział cicho — i Olven.

— Lakus i Olven? Nie wiedziałem. Czy ponoszę jakąś winę za ich śmierć?

— Nie, zginęli nie przez ciebie.

— Dziękuję ci za te słowa. Czy możesz poprosić do mnie mateczkę? Chciałbym się z nią pożegnać.

Sparhawk uniósł rękę i dał znak Sephrenii.

Czarodziejka z oczyma pełnymi łez uklękła przy Martelu.

— Słucham, mój drogi? — powiedziała do umierającego.

— Zawsze mówiłaś, że źle skończę, mateczko — jego głos był niewiele głośniejszy od szeptu — ale się myliłaś. To wcale nie jest zła śmierć. Odchodzę w obecności jedynych dwojga ludzi, których kiedykolwiek kochałem. Czy pobłogosławisz mnie, mateczko?

Czarodziejka położyła mu dłonie na oczach i przemówiła cicho po styricku. Nagle zaszlochała, pochyliła się i ucałowała jego pobladłe czoło.

Gdy uniosła twarz, Martel już nie żył.

Rozdział 30

Sparhawk wyprostował się i pomógł wstać Sephrenii.

— Dobrze się czujesz, mój drogi? — szepnęła.

— Wystarczająco dobrze. — Rycerz spojrzął twardo na Othę.

— Gratuluje zwycięstwa, dostojny panie — zagrział Otha ironicznie. Jego naga głowa lśniła w świetle ognia. — Dzięki ci za to. Od dawna zastanawiałem się, co począć z Martelem. Wydaje mi się, że on przebrał miarę, a przestał być użyteczny, gdy ty przyniosłeś mi Bhelliom. Rad się go pozbyłem.

— Możesz to nazwać prezentem pożegnalnym.

— Czyżbyś nas opuszczał?

— Nie, ale ty nas opuszczasz.

Otha wybuchnął odrażającym śmiechem.

— On się boi — szepnęła Sephrenia. — Nie jest pewien, czy możesz przebić się przez jego tarczę.

— A mogę?

— Ja również tego nie wiem. Ponieważ jednak Azash jest pochłonięty odprawianym obrzędem, Otha nie może liczyć na jego pomoc.

— A zatem czas zaczynać. — Sparhawk wziął głęboki oddech i ruszył w kierunku cesarza Zemochu.

Otha dał znak tragarzom, którzy natychmiast dźwignęli lektykę i pobiegli tarasami w dół, ku onyksowej posadzce, gdzie nadzy celebryści o bezmyślnych obliczach, ledwo podrygując z wyczerpania, kontynuowali swe bezecne rytuały. Annias, Arissa i Lycheas z przestachem w oczach poszli za Othę, trzymając się możliwie jak najbliżej lektyki, by pozostać pod osłoną migotliwej mgiełki tarczy wyczarowanej przez cesarza. Gdy lektyka dotarła na posadzkę, Otha krzyknął na kapłanów w zielonych sutannach, a ci wyciągnęli spod szat broń i z twarzami pałającymi fanatyzmem stanęli do walki.

Z dala dobiegł Sparhawka nagły okrzyk wściekłości i bolesnego rozczarowania. To żołnierze śpieszący na pomoc swemu cesarzowi natknęli się na barierę Sephrenii.

— Nie przejdą? — zapytał.

— Bariera ich powstrzyma, dopóki nie znajdzie się pomiędzy nimi ktoś silniejszy ode mnie.

— Niepodobna. A zatem pozostają nam jedynie kapłani. — Spojrzał na przyjaciół. — Otoczyć kołem Sephrenię. Oczyszczymy sobie drogę.

Kapłani Azasha nie nosili zbroi, a sposób, w jaki posługiwali się bronią, wskazywał na ich nikłe umiejętności. W przeważającej części byli Styrikami i nagłe pojawienie się w świątyni wrogich Rycerzy Kościoła zaskoczyło ich i napełniło przerażeniem. Sparhawk przypomniał sobie, jak Sephrenia wyznała mu kiedyś, że Styrycy boją się niespodzianek. Nie potrafili się znaleźć w nieprzewidzianej sytuacji. Rycerz poczuł delikatne mrowienie, które oznaczało, że kilku kapłanów usiłowało skłęcić zakłęcie. Ryknął wydając okrzyk bojowy Elenów, chrapliwy wrzask pełen żądzy krwi i mordu. Mrowienie zniknęło.

— Róbcie wiele hałasu! — krzyknął do przyjaciół. — Wyprowadzajcie ich z równowagi, to nie będą mogli użyć magii!

Rycerze Kościoła rzucili się w dół czarnych tarasów, z zapamiętaniem wznosząc okrzyki bojowe i wymachując bronią. Kapłani cofnęli się, a wtedy rycerze ich dopadli.

Berit przepchnął się obok Sparhawk. W oczach miał ogień, halabardę Beviera trzymał w pogotowiu.

— Oszczędź swych sił, dostojny panie — powiedział ochryłym głosem, starając się nadać mu głębsze, bardziej męskie brzmienie. Stał przed zaskoczonym Sparhawkiem i wkroczył pomiędzy zielono odziane szeregi kapłanów, wymachując przy tym halabardą niczym kosą.

Rycerz sięgnął ręką, aby go powstrzymać, ale Sephrenia ujęła go za nadgarstek.

— Nie, Sparhawk — rzekła. — To dla niego bardzo ważne i nic szczególnego mu nie grozi.

Tragarze przenieśli już lektykę przez kłębowisko nagich ciał i wspięli się tarasami do wypolerowanego ołtarza przed posągami. Otha z góry gapił się na potyczkę. Ze strachu otworzył usta i wybałuszył oczy. Wreszcie wziął się w garść.

— A zatem zbliż się, Sparhawk! — wrzasnął. — Bóg Azash już się niecierpliwi!

— Łiesz! — odkrzyknął Sparhawk. — Azash chce dostać Bhelliom, ale nie z moich rąk, ponieważ nie wie, co z nim uczynię.

— Bardzo dobrze — mruknęła Sephrenia. — Wykorzystaj swoją przewagę. Azash wyczuje strach Othy i jego też ogarnie zwątpienie.

Pod kopułę wzbily się krzyki i jęki, gdy rycerze rozpoczęły systematyczną rzeź kapłanów. Przyjaciele Sparhawk wycinali sobie drogę przez gęste szeregi, aż dotarli do pierwszego tarasu u stóp ołtarza.

Sparhawk czuł radosne napięcie. Nie spodziewał się, że dotrze tak daleko, i fakt, że jeszcze żyje, napełnił go euforią.

— Otho, zbudź Azasha! — powiedział, spoglądając w górę na tłustego cesarza. — Zobaczymy, czy Starsi Bogowie tak jak i ludzie wiedzą, co to śmierć.

Otha gapił się na niego bez słowa, a potem zgramolił się z tronu. Zwiotczałe nogi odmówiły mu posłuszeństwa i pacnął na onyksową płytę ołtarza.

— Na kolana! — krzyknął do Anniasa. — Klęknij i módl się do boga Azasha o wybawienie! — Świadomość, że jego żołnierze nie mogą dostać się do świątyni, najwyraźniej go przeraziła.

— Kaltenie! — zawołał Sparhawk. — Skończcie z kapłanami i idźcie dopilnować, żeby nie przebili się do nas żołnierze, bo zaatakują od tyłu.

— To nie jest konieczne — powiedziała Sephrenia.

— Wiem, ale niech moi przyjaciele trzymają się z dala. Tam nic im nie grozi. — Głęboko zaczerpnął tchu. — A zatem zaczynamy. — Strząsnął z rąk rękawice, miecz wsadził po pachę i wyciągnął zza pasa woreczek z metalowej siateczki. Odkreślił drut, którym był zawiązany, i na dłoń wytrząsnął Bhelliom. Klejnot wydawał się bardzo gorący, jasny, migotliwy, zdawało się, że w jego płatkach szaleją błyskawice. — Błękitna Rózo! — powiedział ostro. — Słuchaj mego rozkazu!

Otha, klęcząc czy kucając, bełkotał jakąś modlitwę do boga Azasha. Annias, Lycheas i Arissa padli na kolana. Przerazenie odebrało im mowę, gdy podnieśli wzrok ku straszliwemu obliczu posagu i pożałowali, że tak lekkomyślnie przysięgli oddać cześć temu bogu.

— Przybądź, Azashu! — błagał Otha. — Zbudź się! Wysłuchaj modlitwy swych sług!

Głęboko zapadnięte oczy posagu powoli się otworzyły i błysnęły zielonkawym ogniem. Sparhawk poczuł na sobie pełne niewysłowionej wrogości spojrzenie i stał oszołomiony, wstrząśnięty obecnością boga.

Posąg się poruszył! Mackowate ramiona wijąc się sięgnęły w kierunku jarzącej się w dłoni Sparhawk szafirowej róży, jedynej rzeczy na świecie, która mogła uwolnić Azasha i przywrócić mu dawną postać.

— Nie! — zakrzyknął Sparhawk. Wzniósł miecz nad Bhelliomem. — Zniszczę klejnot! I ciebie zniszczę razem z nim!

Posąg zdawał się cofać i nagle w jego oczach pojawiło się zdumienie i zaskoczenie.

— A czemuż to przywiódłś przed me oblicze tego nieokrzesanego barbarzyńcę, Sephrenio? — Głuchy głos niósł się echem przez świątynię i drażył umysł Sparhawk. Rycerz wiedział, że choć Azash może w mgnieniu oka zetrzeć go w pył, nie wiadomo dlaczego lęka się użyć swej mocy przeciwko nieostrożnemu człowiekowi, który groził szafirowej róży wyciągniętym mieczem.

— Jestem jedynie posłuszna swemu przeznaczeniu, Azashu — odparła spokojnie Sephrenia. — Urodziłam się po to, aby przyprowadzić tu Sparhawk.

— A czy wiesz, co jemu jest przeznaczone? — W głosie Azasha zabrzmiała nuta desperacji.

— Tego nie wie nikt z ludzi ani żaden z bogów. Sparhawk jest Anakhą. Wszyscy bogowie obawiali się, że pewnego dnia Anakha przybędzie i pojmie, dokąd zmierza szlak jego ziemskiej wędrówki. Jestem sługą przeznaczenia Sparhawka i przywiodłam go tu, aby jego przeznaczenie mogło się dopełnić.

Posąg zdawał się koncentrować; wtem wyrzucił z siebie rozkaz, któremu nie podobna było się oprzeć, przytłaczający i uporczywy, rozkaz, który nie był jednak skierowany do Sparhawka.

Sephrenia pobladła. Zaczęła słaniać się na nogach. Marniała z chwili na chwilę niczym kwiat ścięty mrozem. Moc umysłu Azasha pozbawiała ją sił.

Rycerz napiął ramię i wyżej uniósł miecz. Będą zgubieni, jeżeli Sephrenia upadnie, a nie wiedział, czy wtedy zdąży zadać ostateczny cios. Przywołał w pamięci obraz Ehlany i mocniej ścisnął rękojeść miecza.

Tego dźwięku nikt nie słyszał. Rozległ się tylko w jego umyśle; tylko on mógł go słyszeć. Był to uporczywy, rozkazujący dźwięk pasterskiej fujarki.

— Aphrael! — zawołał z nagłą ulgą.

Przed twarzą pojawił mu się punkcik świetlny.

— No, nareszcie! — odpowiedziała kąśliwie Flecik. — Dlaczego tak długo z tym zwlekałeś, Sparhawku? Czyż nie wiesz, że musisz mnie wezwać?

— Nie. Nie wiedziałem tego. Pomóż Sephrenii!

Nic się nie stało, nie było żadnego ruchu, poruszenia czy dźwięku, ale Sephrenia wyprostowała się, przecierając lekko czoło palcami. Oczy posągu strzeliły promieniami, które skupiły się na migotliwej iskierce.

— Córko — odezwał się Azash — czyżbyś zadawała się ze śmiertelnikami?

— Nie jestem twą córką — odparła Flecik. — Z własnej woli pojawiłam się na tym świecie, tak jak uczynili to moi bracia i siostry, gdy ty i twoje dzieci zaperzeni w kłótni szarpaliście materię rzeczywistości. Jestem jedynie córką twej winy. Gdybyś wraz ze swymi dziećmi zawrócił ze ścieżki wiodącej świat do zagłady, to ani ja, ani moje rodzeństwo nie byłibyśmy potrzebni.

— Chcę mieć Bhelliom! — oświadczył Azash głosem głuchym niczym grzmot wstrząsający podstawami świata.

— Nie będziesz go miał! Ja i moi współbracia pojawiliśmy się na tym świecie, by przeszkodzić ci w zdobyciu Bhelliomu. Bhelliom jest wieczny i wszechpotężny, nie może być więziony przez ciebie, mnie, bogów trolli czy jakichkolwiek innych bogów tego świata.

— Chcę mieć Bhelliom! — Głos Azasha przeszedł w krzyk.

— Anakha pierwej go zniszczy, a wówczas zginiesz i ty.

Posąg zadrżał.

— Jak śmiesz! — wrzasnął. — Jak śmiesz mówić coś tak strasznego? W śmierci jednego z nas tkwią ziarna śmierci nas wszystkich.

— Niech zatem tak się stanie — powiedziała spokojnie Aphrael i dodała z okrucieństwem: — Na mnie skieruj swą złość, Azashu, a nie na swoje dzie-

ci, ponieważ to ja użyłam mocy pierścieni, aby pozbawić cię męskości i uwięzić na wieki w glinianej figurce.

— To byłeś ty?!!

— Tak, ja. Utrata męskości tak bardzo osłabiła twą moc, że nie potrafisz uciec ze swego więzienia. Nie będziesz miał Bhelliomu, wykastrowany bożku, i nigdy nie odzyskasz wolności. Pozostaniesz bezimienny i uwięziony, dopóki najdalsze gwiazdy nie wypalą się na popiół. — Aphrael przerwała, a gdy ponownie przemówiła, jej głos był niczym ostrze noża, powoli obracane w ciele przeciwnika. — Twoja niedorzeczna propozycja, aby wszyscy bogowie Styricum zjednoczyli się i odebrali Bhelliom bogom trolli — „dla wspólnego dobra” — dała mi okazję okaleczyć cię i uwięzić, Azashu. Za to, co cię spotkało, możesz winić tylko siebie. A teraz Anakha przybył tu z Bhelliomem, pierścieniami, a nawet z bogami trolli uwięzionymi w klejnocie, aby stawić ci czoło. Poddaj się władzy szafirowej róży lub zginiesz.

Rozległo się przeraźliwe wycie pełne bolesnego zawodu, ale posąg się nie poruszył.

Otha z paniką w oczach desperacko mruzczał zakłęcie. Gwałtownie wyrzucił je z siebie i potworne posągi otaczające wewnątrz rozległej świątyni poczęły migotać, zmieniając kolor z białego na zielony, potem niebieski i krwistoczerwony, a pod kopułę wzbił się bełkot ich nieludzkich głosów. Sephrenia spokojnie wymówiła dwa styrickie słowa. Uczyniła ruch ręką i posągi znieruchomiały, zamilkły. Marmur, z którego były wykute, odzyskał biel.

Otha zawył przeciągle, a gdy znowu przemówił, z wściekłości odezwał się w języku Elenów, swej ojczystej mowie.

— Posłuchaj, Sparhawk — zabrzmiał cichutko melodyjny głos małej Flecik.

— Ale Otha. . .

— Niech bredzi dalej. Moja siostra sobie z nim poradzi. Uważaj. Już wkrótce nadejdzie czas, gdy będziesz musiał działać. Powiem ci kiedy. Podejdz do posągu i trzymaj miecz wymierzony w Bhelliom. Jeżeli Azash, Otha lub cokolwiek innego spróbuje powstrzymać cię przed osiągnięciem posągu, wówczas rozbij Bhelliom. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze i dotrzesz do figury, przytknij Bhelliom w miejsce, które wygląda jak blizna po oparzeniu.

— Czy to zniszczy Azasha?

— Oczywiście, że nie, ale zniszczysz jego osłonę. Prawdziwy posążek znajduje się w środku tego kolosa. Bhelliom rozbije tę wielką powłokę i zobaczysz Azasha. Posążek jest mały, wykonany z suszonej gliny. Gdy tylko go ujrzysz, rzuć miecz, trzymaj Bhelliom w obu dłoniach i wymów dokładnie te słowa: „Błękitna Różo, jam jest Sparhawk z Elenii. Mocą tych pierścieni rozkazuję ci, Błękitna Różo, abyś ten wizerunek zwróciła ziemi, z której pochodzi”. Potem dotknij posążku Bhelliomem.

— Co się wtedy stanie?

— Nie wiem.

— Aphrael! — krzyknął Sparhawk z wyrzutem.

— Przeznaczenie Bhelliomu jest jeszcze mniej jasne niż twoje i nie potrafię minuta po minucie powiedzieć, co masz robić.

— Czy to zniszczy Azasha?

— O tak... i całkiem możliwe, że resztę świata razem z nim. Bhelliom chce się uwolnić i to może być okazją, na którą czekał.

Sparhawk z trudem przełknął ślinę.

— To gra — przyznała Flecik bezceremonialnie — a przecież nigdy nie wiemy w momencie rzutu, co wypadnie na kostkach, prawda?

Sephrenia i Otha wciąż się zmagali. Nagle w świątyni zapanowała ciemność. Przez zapierającą dech w piersiach chwilę Sparhawkowi się zdawało, że ciemności będą trwać wiecznie.

Stopniowo zaczęła wracać jasność. Ogień w ogromnych metalowych kadziach ponownie zabłysnął i płomienie poczęły wznosić się coraz wyżej i wyżej.

Sparhawk zorientował się, że Annias patrzy na niego. Prymas Cimmury wyglądał jak trup. Oślepiiony obsesyjną ambicją zdobycia tronu arcyprąta, Annias nie zdawał sobie w pełni sprawy ze zgrozy zaprzędania duszy. Teraz przejrzał, ale było już za późno. Wlepił wzrok w Sparhawk, niemo błagając o ratunek przed otchłanią, która otworzyła się u jego stóp.

Lycheas płakał jak dziecko i bełkotał z przerażenia. Arissa tuliła go do siebie, a na jej twarzy malowała się nie mniejsza zgroza, niż wyczająca z oczu Anniasa.

Otha i Sephrenia mocowali się dalej. Świątynia wypełniła się hałasem i światłem, trzaskami i kłębam dymu.

— Sparhawk, już czas — usłyszał rycerz spokojny głos małej Flecik.

Zebrał się w sobie i ruszył do przodu, nadal grożąc mieczem klejnotowi, który zdawał się kulić pod ciężarem stalowej klingi.

— Sparhawk, kocham cię — cichy głos brzmiał niemal rzewnie.

I zaraz został zagłuszony warkliwym porykiwaniem w języku trolli. Słysząc było wiele głosów, a dobywały się z Bhelliomu. Sparhawk zatoczył się smagnięty nienawiścią bogów trolli. Cierpiał męki jak na torturach. Płonął i jednocześnie zamarzał. Ból nie do zniesienia rozrywał mu ciało.

— Błękitna Rózo! — wykrztusił. — Rozkaż bogom trolli, by umilkli! Błękitna Rózo, uczyn to — teraz!

Udręka trwała nadal, a ryk bogów trolli wciąż się natężał.

— A zatem giń, Błękitna Rózo! — Sparhawk uniósł miecz.

Wycie nagle umilkło. Ból ustąpił.

Sparhawk przeszedł przez pierwszy z onyksowych tarasów i postawił nogę na następnym.

— Nie czyn tego, Sparhawk — odezwał się głos w jego głowie. — Aphrael to kapryśne, złośliwe dziecko. Wiedzie cię ku zgubie.

— Zastanawiałem się, jak długo będziesz milczał, Azashu — rzekł Sparhawk drżącym głosem, przechodząc przez drugi taras. — Czemu wcześniej do mnie nie przemówiłeś?

Głos w jego myślach milczał.

— Czyżbyś się bał? — zapytał rycerz. — Czyżbyś się obawiał, że coś z tego, co powiesz, mogłoby zmienić przeznaczenie, którego nie znasz? — Wszedł na trzeci taras.

— Nie czyn tego, Sparhawk — głos zabrzmiał prosząco. — Ofiaruję ci cały świat.

— Nie chcę.

— Mogę cię uczynić nieśmiertelnym.

— Po co? Ludzie przywykli do śmierci. Jedynie bogom wydaje się ona tak przerażająca. — Sparhawk przeszedł przez trzeci taras.

— Jeżeli się nie cofniesz, zniszczę twych towarzyszy.

— Każdy wcześniej czy później umrze. — Sparhawk starał się zachować chłodną obojętność. Wstąpił na czwarty taras i tu natknął się na niewidzialną przeszkodę. Nie mógł uczynić kroku, jakby wyrosła przed nim szklana ściana. Azash chcąc ocalić szafirową różę nie ważył się atakować bezpośrednio, ale musiał go powstrzymać. Nagle Sparhawk zrozumiał, na czym polega jego przewaga. Bogowie nie tylko nie znali jego przeznaczenia; nie mogli również dostrzec jego myśli. Azash nie wiedział, kiedy Sparhawk zdecyduje się na uderzenie. Azash nie potrafił wyczuć podjęcia tej decyzji, a więc nie mógł zatrzymać uderzenia miecza. Rycerz postanowił wykorzystać swą przewagę. Stojąc przed niewidzialną ścianą westchnął: — No cóż, skoro tego chcesz... — i ponownie wznosił miecz.

— Nie! — krzyknął nie tylko Azash, ale i bogowie trolli.

Sparhawk przeszedł czwarty taras. Był mokry od potu. Mógł ukryć swe myśli przed bogami, lecz nie przed samym sobą.

— Błękitna Różo — rzekł cicho do Bhelliomu, gdy wchodził na piąty taras — teraz to uczynię. Ty, Khwaj, Ghnomb i inni pomożecie mi lub zginiecie. Tu musi zginąć bóg... lub wielu bogów. Jeżeli mi pomożecie, zginie tylko jeden. Jeżeli nie, los ten spotka was wszystkich.

— Sparhawk! — odezwała się Aphrael.

— Nie przeszkadzaj!

Bogini zawahała się przez mgnienie oka.

— Czy mogę ci pomóc? — szepnęła głosem małej dziewczynki.

— Dobrze, ale to nie czas na zabawy — i nie zaskakuj mnie więcej, bo ramię mi drgnie i niechcący zniszczę klejnot.

Świetlista iskierka z wolna urosła w żarzącą się jasność, z której wyłoniła się Aphrael z pasterską fujarką przy ustach. Jak zwykle jej stópki były poznaczone trawiastymi plamami. Twarzyczkę miała zasmuconą. Opuściła fujarkę.

— Nie zważaj na mnie, Sparhawk, zniszcz to — powiedziała z rezygnacją. — Oni nigdy cię nie usłuchają. — Westchnęła. — Zmęczona już jestem tym życiem bez końca. Rozbij kamień i niech się stanie, co ma się stać.

Bhelliom zadrżał w dłoni Sparhawka. Był ciemny, mroczny, a nagle zajaśniał błękitnie. Poddał się.

— Teraz ci pomogą, Sparhawk — rzekła Aphrael.

— Skłamałaś im!

— Nie, skłamałam tobie. Przecież nie mówiłam do nich.

Sparhawkowi nie pozostało nic innego, jak tylko wybuchnąć śmiechem.

Przeszedł piąty taras. Wciąż zbliżał się do posągu, a także do Othy, przęcającego się z wysiłku w pojedynku z Sephrenią, boju bardziej tytanicznym niż jego walka z Martelem. Rycerz wyraźniej teraz widział przerażonych Anniasa, Arisę i Lycheasa.

Wyczuwał przytłaczającą obecność bogów trolli. Wydawali się tak realni, że mógł niemal dojrzeć ich potężne, wstrętne postacie unoszące się opiekuńczo tuż za nim. Postawił stopę na szóstym tarasie. Pozostały jeszcze trzy. Mimo woli zastanowił się, czy liczba dziewięć miała jakieś szczególne znaczenie dla wyznawców Azasha, i w tym momencie bóg Zemochów rzucił wszystko na jedną szalę. Rozpętał całą swą moc, desperacko próbując powstrzymać posłańca w czarnej zbroi niosącego mu nieubłaganą, błyszczącą, niebieską śmierć.

Spod stóp Sparhawka wystrzelił ogień, ale w tej samej chwili ugasił go lód. Z nicości wyskoczył jakiś monstrualny kształt, ale pochłonął go ogień, nim zdołał sięgnąć rycerza. Bogowie trolli, choć wbrew swym chęciom, przymuszeni nieugiętą wolą Sparhawka, pomagali mu, oczyszczając przed nim drogę i rozbijając obrońców Azasha.

Azash począł drzeć, gdy rycerz wstąpił na siódmy taras. Sparhawk mógłby teraz biec, ale nie chciał stanąć przed ołtarzem sapiąc i drżąc z wysiłku. Szedł równym krokiem przez siódmy taras, a Azash wysyłał przeciwko niemu niewyobrażalne okropności, które natychmiast były tłumione przez bogów trolli i przez sam Bhelliom. Rycerz odetchnął głęboko i stanął na ósmym tarasie.

Wtem otoczyło go złoto — monety, ozdoby i bryły kruszcu wielkości ludzkiej głowy. Kaskada błyszczących klejnotów wytrysnęła z nicości i spadła na złoto niczym rzeka błękitu, zieleni i czerwieni, tęczowy wodospad niewyobrażalnego bogactwa. Wtem góry bogactwa poczęły maleć i niknąć przy wtórze głośnego mlaskania.

— Dziękuję ci, Ghnombie — mruknął Sparhawk do boga jedzenia.

Huryś o zapierającej dech w piersi piękności nęciła go uwodzicielskim tańcem, ale natychmiast dopadł jej lubieżny troll. Sparhawk nie znał imienia tego boga, więc nie wiedział, komu dziękować.

Stanął na dziewiątym tarasie.

— Nie wolno ci! — wrzasnął Azash.

Sparhawk nie odpowiedział. Szedł w kierunku posągu z Bhelliomem w jednej, a mieczem w drugiej dłoni. Dookoła rozbłysły błyskawice, ale każdy piorun został pochłonięty przez szafirową poświatę, którą chronił rycerza Bhelliom.

Otha zaniechał bezowocnego pojedynku z Sephrenią i szlochając ze strachu czołgał się pod ołtarzem. Annias padł zemdlony na tej samej wąskiej onyksowej płycie, a Arissa i Lycheas tulili się do siebie z płaczem.

Sparhawk dotarł do ołtarza.

— Życz mi powodzenia — szepnął do bogni-dziecka.

— Niech szczęście ci sprzyja, ojczy — usłyszał w odpowiedzi.

Azash cofnął się przed blaskiem Bhelliomu, a płonące oczy posągu wybałuszyły się z przerażenia. Sparhawk zobaczył, że nieśmiertelny w obliczu swojej śmierci jest szczególnie bezbronny. Azash owładnięty lękiem zareagował w najprostszy, dziecinny sposób. Uderzył w pandionitę żywiołowym ogniem ryzykując, że sam siebie zniszczy. Zderzeniu migotliwych zielonych płomieni z równie jasnymi błękitnymi blaskami Bhelliomu towarzyszył potężny wstrząs. Błękit zafalował i zestalił się w jednej chwili. Zielone płomienie przygasły, a potem z nową siłą natarły na Sparhawk.

I tak Bhelliom i Azash zmagali się, wytestując nieopisane moce, aby ochronić własne istnienie. Żaden z nich nie chciał — czy też nie mógł — ustąpić. Sparhawk miał wrażenie, że przez całą wieczność stoi z klejnotem w dłoni, zatrzymany w pół kroku, podczas gdy Azash i Bhelliom wciąż walczyli.

Nagle coś pojawiło się zza pleców rycerza, kręcąc się i wirując w powietrzu, wydając przy tym dźwięk podobny do furkotu ptasich skrzydeł. Minęło jego głowę i zadźwięczało na kamiennej piersi posągu, wyrzucając ogromną fontannę iskier. Była to halabarda Beviera. Berit, być może bezwiednie, cisnął nią w posąg — w nic nie znaczącym, niemądrym buncie.

Ale ten nieoczekiwany gest okazał się skuteczny.

Posąg widocznie przeląkł się broni, która przecież nie mogła mu uczynić krzywdy, i zielony ogień momentalnie zniknął. Sparhawk skoczył z Bhelliomem zaciśniętym w lewej dłoni, uderzając nim niczym ostrzem włóczni w bliźnię pod brzuchem posągu. Cios był tak silny, że rycerzowi zdrętwiało ramię.

Ogłuszający wrzask wstrząsnął całym światem.

Sparhawk natężył się, przyciskając Bhelliom do błyszczącej blizny po męskości Azasha. Bóg wrzeszczał w agonii.

— Zawiedliście mnie! — ryknął. Smagnął swymi wijącymi się mackowatymi ramionami i złapał Othę i Anniasa.

— Boże! — krzyknął prymas Cimmury, nie do Azasha, ale do Boga Elenów. — Ratuj mnie, Boże! Obroń mnie! Przebacz. . . — Macki zacisnęły mu się na szyi i krzyk przeszedł w nieartykułowane rżenie.

W karze wymierzonej cesarzowi Zemochu i prymasowi Cimmury nie było nic z subtelnosci. Azash oszalały z bólu i strachu oraz żądny zemsty na tych, których

obwinał za swą klęskę, zachowywał się jak doprowadzone do wściekłości dziecko. Znowu śmignęły macki i z okrutną powolnością poczęły wykręcać wrzeszczące ofiary, podobnie jak wyżyma bieliznę praczka. Krew i trzewia trysnęły na ołtarz. Bóg Azash nieubłaganie wyciskał życie z nieszczęsnych swych czcicieli.

Sparhawk poczuł mdłości i zamknął oczy — ale uszu nie mógł zakryć. Wrzask stawał się coraz przeraźliwszy, przechodząc w cienki pisk.

Potem umilkł. W ciszy rozległy się dwa plasknięcia. Azash odrzucił to, co pozostało z Othy i Anniasa. Arissa klęczała wstrząsana torsjami nad nierozpoznawalnymi szczątkami kochanka i ojca jej jedyne dziecko.

Posąg zadrżał. Wijące się kamienne ramiona runęły na posadzkę i rozbiły się w drobne kawałki. Od głowy odpadło groteskowo wykrzywione oblicze i duży odłamek uderzył zbrojne ramię Sparhawk. Wstrząs niemal wytrącił rycerzowi Bhelliom z dłoni. Kolos z głośnym chrupnięciem pękł i górna część zwała się do tyłu, rozpadając na tysiące kawałków na gładkiej czarnej posadzce. Na ołtarzu stał teraz kikut, skruszony kamienny piedestał, gdzie tkwił prymitywny gliniany posążek, ten sam, który Otha ujrzał po raz pierwszy niemal dwa tysiące lat temu.

— Nie wolno ci! — rozległ się pisk, jakby głos przerażonego zwierzątka; zająca, a może szczura. — Jestem bogiem! Ty jesteś nikim! Jesteś robakiem! Jesteś pyłem!

Sparhawk poczuł litość dla tej patetycznej małej glinianej figurki. Upuścił miecz i ujął mocno Bhelliom w obie dłonie.

— Błękitna Rózo! — powiedział. — Jam jest Sparhawk z Elenii! Mocą tych pierścieni rozkazuję ci, Błękitna Rózo, abyś ten wizerunek zwróciła ziemi, z której pochodzi! — Wyciągnął przed siebie klejnot. — Pożądałeś Bhelliomu, Azashu, więc ci go przyniosłem. A wraz z nim wszystko, co ci niesie. Dotknął Bhelliomem niekształtnego posążka. — Błękitna Rózo, bądź posłuszna! Teraz! — Zaciśnął zęby. Czekał na śmierć.

Cała świątynia zadrżała. Sparhawk poczuł, że przytłacza go ogromne brzemie, jakby samo powietrze skamieniało i zważyło mu się na barki. Płomienie ogromnych ognisk przygasły i migotały niespokojnie, przygniecione jakimś olbrzymim ciężarem, który je rozpląszczał.

Chwilę potem obszerna kopuła świątyni eksplodowała, wyrzucając sześciokątne bloki bazaltu w niebo. Ognie buchnęły w górę z ogłuszającym hukiem, stając się wysokimi filarami intensywnie jasnych płomieni, kolumnami, które wystrzeliły poprzez otwór ziejący w miejscu, gdzie kiedyś była kopuła, i oświetliły zwały burzowych chmur. Wzbijały się wyżej i wyżej, wypaliły grubą warstwę chmur i wznosiły się nadal w ciemność, sięgając do gwiazd.

Sparhawk nieubłaganie i bezlitośnie trzymał szafirową różę przy glinianej figurce. Paliły go dłonie, na których bóg Azash zaciskał bezsilne macki, tak jak ugodzony wojownik ścisną ramię wroga, powoli obracającego ostrze miecza w jego wnętrzościach. Głos Azasha, Starszego Boga Styricum, był słabym, ledwie

słyszalnym piskiem, przedśmiertelnym jękiem rozdeptanej myszy. Raptem w posążku zaszła zmiana. Cokolwiek go zespalało, zniknęło i figurka rozsypała się w garść pyłu.

Ogromne kolumny ognia powoli opadły, do ruin świątyni napłynął zimowy chłód.

Sparhawk wyprostował się z ciężkim westchnieniem. Nie czuł triumfu. Spojrzał na szafirową różę migoczącą w jego dłoni. Czuł jej strach i słyszał stłumione łkanie bogów trolli uwięzionych w lazurowym sercu Bhelliomu.

Mała Flecik potykając się zbiegła tarasami w dół i szlochała na ramieniu Sephrenii.

— Stało się. Skończyłem, Błękitna Różo — powiedział Sparhawk słabym głosem. — Teraz odpocznij. — Wsunął klejnot z powrotem do sakiewki i z roztrągnięciem okręcił ją drutem.

Zatupotały czyjeś paniczne kroki. Księżniczka Arissa i jej syn uciekali w dół po onyksowych tarasach. Potykali się, wstawali i biegli wciąż dalej i dalej od ołtarza. Lycheas, młodszy, uciekał szybciej niż matka. Zostawił ją z tyłu, zataczając się, padającą i dźwigającą się z trudem na nogi.

Na dole czekał na nich Ulath z toporem w dłoni.

Lycheas krzyknął raz. Jego głowa poleciała długim łukiem i wylądowała na onyksowej posadzce z przyprawiającym o mdłości puknięciem, jaki wydaje upuszczony melon.

— Lycheas!!! — wrzasnęła Arissa w rozpacz i przerażeniu, gdy bezgłowe ciało jej syna upadło do stóp Ulatha. Zmartwiła i wlepiła oszalałe z lęku oczy w olbrzymiego, pochłapanego krwią Thalezyjczyka, który począł wspinać się ku niej po onyksowych tarasach z uniesionym zakrwawionym toporem. Ulath był solidny i zawsze wykonywał obowiązki do końca.

Arissa pogrzebała w saszetce umocowanej do nadgarstka, wyciągnęła małą fioletkę i drżącymi rękoma szarpała za korek.

Ulath nie zwolnił kroku.

Flakonik był już otwarty. Arissa uniosła go do ust i wypija zawartość. Wydała ochryply krzyk, zeszywniała i padła blada, z wyciągniętym językiem, zwijając się z bólu.

— Ulathu! — zawołała Sephrenia. — Stój! Już nie musisz nic robić.

— Trucizna? — zapytał Thalezyjczyk.

Czarodziejka skinęła głową.

— Zawsze gardziłem trucizną — mruknął Ulath wycierając ostrze topora. Strzepnął krew z palców i kciukiem przejechał po ostrzu. — Tydzień zajmie mi polerowanie tych szczerb — powiedział z żalością i wrócił na dół, nie oglądając się na księżniczkę Arissę.

Sparhawk podniósł miecz i zaczął schodzić po tarasach w stronę przyjaciół. Czuł się nieludzko zmęczony. Podszedł do Berita, który wpatrywał się w niego

z pełnym szacunku podziwem.

— To był dobry rzut — powiedział do młodzieńca, kładąc mu dłoń na ramieniu. — Dziękuję, bracie.

Twarz Berita pojaśniała w uśmiechu.

— A skoro już o tym mowa — dodał Sparhawk — powinienesz odszukać halabardę. Pan Bevier bardzo ją lubi.

Berit uśmiechnął się szeroko.

— W tej chwili, dostojny panie.

Sparhawk rozejrzał się po usłanej ciałami świątyni, a potem wznosił oczy do góry, gdzie w miejscu roztrzaskanej kopuły widać było mrugające na zimowym niebie gwiazdy.

— Kuriku, daleko jeszcze świt? — zapytał bezwiednie, ale słowa uwięzły mu w gardle i zalała go fala trudnego do zniesienia smutku. Wziął się w garść. Spojrzał na przyjaciół. — Wszyscy zdrowi i cali? — Odchrząknął, nie ufając swemu głosowi; odetchnął głęboko. — Zbierajmy się stąd — rzekł szorstko.

Na lśniącej onyksowej posadzce zadźwięczały ich kroki. Zmierzali w stronę wyjścia. Wspięli się po tarasach. Wstrząs wywołany zniszczeniem kolosa na ołtarzu zburzył wszystkie posągi stojące wzdłuż ścian. Kalten poszedł przodem i wyjrzał na marmurowe schody.

— Zdaje się, że żołnierze uciekli — oznajmił.

Sephrenia cofnęła zakłęcie blokujące schody.

— Sephrenio! — dobiegło ich przepełnione męką rżenie.

— Ona nadal żyje! — powiedział Ulath oskarżycielsko.

— To się czasami zdarza — odparła Sephrenia. — Niekiedy trucizna potrzebuje czasu, by zadziałać.

— Sephrenio, pomóż mi! — rozległo się znowu.

Czarodziejka odwróciła się i spojrzała na Arisę, która z wysiłkiem uniosła głowę, by błagać o swe życie.

— Nie, księżniczko. — Głos Sephrenii był zimny niczym sama śmierć. — Nie zamierzam ci pomóc.

Czarodziejka ruszyła w górę po schodach, a za nią z brzękiem zbroi kroczyli rycerze.

Rozdział 31

Wiatr zmienił kierunek i wiał teraz z zachodu, niosąc z sobą śnieg. Nawałnica, która poprzedniej nocy szalała nad miastem, wiele domów pozbawiła dachów, wiele całkiem zburzyła. Ulice pokrywał gruz i cienka powłoka mokrego śniegu. Berit przyprowadził konie i Sparhawk wraz z przyjaciółmi wolno opuszczali miasto. Nie musieli się już śpieszyć. Kalten znalazł w bocznej uliczce dwukołowy wóz, który teraz jechał z turkotem za nimi. Talen kierował koniem, a z tyłu spoczywał Bevier obok przykrytego Kurika. Sephrenia zapewniła ich, że ciało Kurika nie zacznie się rozkładać.

— Przynajmniej tyle jestem winna Aslade — szepnęła przytulając policzek do lśniąco czarnych włosów Flecika.

Sparhawk trochę zaskoczony zorientował się, że pomimo wszystko nadal myśli o bogini-dziecku jak o małej dziewczynce. W tej chwili Flecik swym wyglądem wcale nie przypominała bogini. Wtulała się w Sephrenię, twarzyczkę miała mokrą od łez, a z jej oczu wyzierało przerażenie i rozpacz.

Żołnierze i nieliczni kapłani, wszyscy, którzy ocaleli, uciekli z wyludnionego miasta. Ulicami pokrytymi tającym śniegiem niesło się echo żałobnej pustki. Straszliwe zniszczenia widać było nie tylko w otoczeniu świątyni. Ze stolicą Othy działo się coś osobliwego, niewytłumaczalnego. Mieszkańcy opuścili miasto niedawno, ale ich domy już się rozpadały. I nie był to bezpośredni wpływ wybuchu w świątyni, gdyż waliły się teraz po jednym w różnych punktach miasta. Wyglądało to tak, jakby rozpad, który niszczy każde opuszczone siedlisko ludzkie, tutaj następował w przeciągu nie wieków, lecz kilku godzin. Domy chwiały się, chyliły trzeszcząc żałośnie, a potem waliły się w gruzy. Mury miejskie kruszyły się i pękały; nawet bruk ulic wybrzuszał się i rozsypywał.

Rycerze osiągnęli cel, ale sukces drogo ich kosztował. Zwyciężyli, lecz nie czuli triumfu. Jechali przygnębieni. Powodem głębokiego smutku była nie tylko śmierć Kurika.

Bevier, blady jak płótno i osłabiony utratą krwi, podniósł się na wozie.

— Nadal nie pojmuję — przyznał.

— Sparhawk jest Anakhą — tłumaczyła Sephrenia. — To styrickie słowo,

które oznacza „nieznany, bez przeznaczenia”. Każdy człowiek ma swoje przeznaczenie, a ściślej mówiąc, każdy człowiek z wyjątkiem Sparhawka. On wędruje poza przeznaczeniem. Wiedzieliśmy, że nadejdzie, ale nie wiedzieliśmy kiedy ani nawet kim będzie. Anakha nie jest podobny do żadnego z kiedykolwiek żyjących ludzi. Sam tworzy swój los, a jego istnienie przeraża bogów.

Zachodni wiatr niósł gęsty, wirujący śnieg. Powoli oddalali się od niszczącego miasta Zemoch, ale jeszcze długo słyszeli huk walących się budynków. Jechali na południe drogą wiodącą do Korakachu, leżącego w odległości trzydziestu lig. Wczesnym popołudniem, gdy śnieg przestawał sypać, znaleźli schronienie na noc w opuszczonej wiosce. Byli zmęczeni i każdy z odrazą myślał o ujechaniu dalej choćby pół ligi. Ulath przygotował kolację — nawet nie próbował swych zwykłych wybiegów — i wszyscy jeszcze przed zapadnięciem zmierzchu znaleźli się na swych posłaniach.

Sparhawk obudził się nagle i ze zdumieniem stwierdził, że siedzi w siodle. Jechał skrajem smaganego wiatrem urwiska. Daleko w dole gniewne morze uderzało spienionymi falami o przybrzeżne skały. Wiatr wiejący od wody był kaśliwie zimny. Sephrenia z Flecikiem w ramionach jechała na czele. Pozostali, szczerze otuleni płaszczami i z wyrazami pełnej rezygnacji cierpliwości na twarzach, ciągnęli za Sparhawkiem. Wszyscy tu byli — Kalten, Kurik, Tynian, Ulath, Berit, Talen i Bevier. Ich konie wlokły się tym wietrznym szlakiem, biegnącym skrajem długiego urwiska w kierunku przylądka, który wyciągał swój zakrzywiony kamienny palec daleko w morze. Na samym końcu skalnego cypla stało sękatę i pokręcone drzewo. Bezlistne gałęzie powiewały na wietrze.

Gdy dotarli do drzewa, Sephrenia wstrzymała swą klacz. Podeszedł Kurik, aby odebrać małą z ramion czarodziejki. Giermek nie odezwał się nawet słowem, gdy przechodził obok Sparhawka. Rycerz miał wrażenie, że coś jest nie w porządku, straszliwie nie w porządku, ale nie potrafił dokładnie określić co.

— Jesteśmy tu, by dokończyć dzieła, a nie mamy zbyt wiele czasu — powiedziała dziewczynka.

— Co masz na myśli mówiąc „dokończyć dzieła”? — zapytał Bevier.

— Moja rodzina uzgodniła, że musimy schować Bhelliom przed ludźmi i bogami. Nikt nie może go nigdy odnaleźć. Dali mi godzinę i przekazali całą swoją moc, bym wypełniła to zadanie. Możliwe, że zobaczycie rzeczy niemożliwe, może już je widzicie. Nie zwracajcie na to uwagi i nie zanudzajcie mnie pytaniami. Nie mamy wiele czasu. Gdy zaczynaliśmy, było nas dziesięcioro i teraz znaleźliśmy się tutaj wszyscy. Tak musi być.

— A zatem wrzucimy to do morza? — zapytał Kalten.

Flecik skinęła głową.

— Czyż nie próbowano już kiedyś ukryć go pod wodą? — przypomniał Ulath. — Hrabia Heid wrzucił koronę króla Saraka do jeziora Venne, a Bhelliom wyłonił się ponownie.

— Jezioro Venne jest płytkie. Głębia tego morza nie ma sobie równej na całym świecie i nikt nie wie, gdzie jest to wybrzeże.

— My wiemy — zauważył Ulath.

— Czyżby? A gdzie jesteście? Na jakim kontynencie? — Flecik wskazała na gęste chmury kłębiące się nad ich głowami. — Nie widać słońca. Gdzie jest wschód, a gdzie zachód? Wiecie jedynie, że znajdujecie się gdzieś na morskim brzegu. Możecie o tym powiedzieć, komu chcecie. Nikt nigdy nie znajdzie Bhelliomu, ponieważ nikt nigdy nie będzie wiedział, gdzie go szukać.

— Chcesz zatem, abym wrzucił go do morza? — zapytał Sparhawk, zsiadając z konia.

— Nie od razu. Musimy jeszcze coś zrobić. Kuriku, przynieś worek, który oddałam ci na przechowanie.

Giermek podszedł do swego wałacha i otworzył jedną z sakw. Znow ogarnęło Sparhawk dziwne uczucie, że coś nie jest w porządku.

Kurik wrócił niosąc niewielki płócienny worek. Otworzył go, wyciągnął małą metalową szkatułkę z wieczkiem na zawiasach i solidnym skobelkiem. Podał ją Flecikowi, dziewczynka jednak pokręciła główką i schowała ręce za siebie.

— Nie chcę tego dotykać. Chcę tylko zobaczyć, czy jest dość mocna. — Przyjrzała się uważnie szkatułce. Gdy Kurik podniósł wieczko, Sparhawk zobaczył wnętrze wybite złotem. — Moi bracia dobrze się spisali — pochwaliła Flecik. — Jest doskonała.

— Stał z czasem zardzewieje — powątpiewał Tynian.

— Nie, mój drogi — powiedziała Sephrenia. — Ta szkatulka nigdy nie zardzewieje.

— A co z bogami trolli, mateczko? — zapytał Bevier. — Dowiedli już, że potrafią zawładnąć ludzkimi umysłami. Czy nie będą w stanie wezwać kogoś i doprowadzić go do miejsca, w którym leży szkatulka? Chyba nie będą szczęśliwi spoczywając przez całą wieczność na dnie morza.

— Bogowie trolli nie mogą zawładnąć umysłem człowieka bez pomocy Bhelliomu — wyjaśniła Sephrenia — a Bhelliom uwięziony w stal jest bezsilny. Spoczywał bezradny w skale otoczony żelazem od chwili powstania tego świata po dzień, w którym Ghwerig go uwolnił. Być może nasz sposób nie jest niezawodny, ale nic lepszego nie możemy uczynić.

— Kuriku, postaw szkatułkę na ziemi i otwórz wieczko — poleciła Flecik. — Sparhawk, wyjmij Bhelliom z sakiewki i nakaż mu, by zasnął.

— Na zawsze?

— Och, nie trzeba. Ten świat nie będzie istniał wiecznie, a kiedy już go nie będzie, Bhelliom odzyska wolność i ruszy w dalszą podróż.

Sparhawk wyciągnął sakiewkę z za pasa i odkręcił zamykający ją drut. Na dłoń wypadła mu szafirowa róża. Czuł, jak drgnęła z ulgą, gdy została uwolniona ze swego stalowego więzienia.

— Błękitna Rózo — powiedział spokojnie — jam jest Sparhawk z Elenii. Czy mnie rozpoznajesz?

Klejnot zabłysnął głębokim, ostrym błękitem — ani wrogim, ani przyjaznym, lecz ciche powarkiwania, które rozległy się w umyśle Sparhawk, wskazywały, że bogowie trolli nie byli równie obojętni.

— Nadszedł czas, abyś zasnęła, Błękitna Rózo — rzekł Sparhawk. — Nie będziesz cierpieć, a gdy się obudzisz, będziesz wolna.

Bhelliom ponownie drgnął, a jego krystaliczne lśnienie zamigotało, jakby w wyrazie wdzięczności.

— Zaśnij, Błękitna Rózo, teraz! — powiedział rycerz cicho, trzymając bezcenny klejnot w dłoniach. Potem umieścił Bhelliom w szkatułce i zdecydowanym ruchem zamknął wieczko.

Kurik bez słowa podał mu misternie wykonaną kłódeczkę, w której nie było dziurki na klucz. Sparhawk skinął głową, zatrzasnął kłódkę na skobelku i spojrzał pytająco na boginię.

— Wrzuć szkatułkę do morza — rozkazała Flecik, przyglądając mu się z uwagą.

Nie chciał tego uczynić za żadną cenę. Wiedział, że zamknięty Bhelliom nie mógł wywierać na niego wpływu. To on sam sprzeciwiał się woli bogini, całym sobą protestował przeciwko dopełnieniu się przeznaczenia. Przez kilka krótkich miesięcy posiadał klejnot nieśmiertelny, bardziej wieczny niżli gwiazdy, i czuł się nieśmiertelny jak on. To właśnie była potęga Bhelliomu. Piękność i doskonałość szafiru nie miały z tym nic wspólnego. Rycerz tęsknił za ostatnim spojrzeniem na drogocenny kamień, za ostatnim dotknięciem tego subtelnego błękitnego blasku. Wiedział, że gdy odrzuci szafirową różę, z jego życia zniknie coś bardzo ważnego i będzie go dręczyło dojmujące poczucie straty, które może słabnąć wraz z upływem lat, ale nigdy nie zniknie zupełnie.

Zebrał wszystkie siły, szykując się na cierpienie i już ucząc się żyć z tym uczuciem. Zamachnął się i cisnął metalową skrzynkę jak najdalej w rozszalałe morze.

Szkatułka poleciała łukiem ponad kotłującymi się daleko w dole falami. Lecąc zaczęła świecić — nie niebiesko czy innym kolorem, ale zwykłym białym blaskiem. Poleciała daleko, dalej niż mogło ją rzucić ludzkie ramię, a potem niczym spadająca gwiazda opadła długą, wdzięczną serpentyną w wiecznie spienioną wodę.

— I to już? — zapytał Kalten. — To wszystko, co mieliśmy uczynić?

Flecik skinęła głową. Oczy miała pełne łez.

— Możecie wracać — rzekła. Usiadła pod drzewem i wyciągnęła fujarkę zza koszuliny.

— Nie idziesz z nami? — zdziwił się Talen.

— Zostanę tu jeszcze trochę. — Uniosła fujarkę do ust i zaczęła grać smutną melodię, hymn żalu po stracie czegoś najdroższego na świecie.

Ujechali kilka kroków przy tęsknych dźwiękach fujarki, kiedy Sparhawk obejrzał się za siebie. Drzewo nadal stało targane wiatrem na końcu cypla, ale Flecik zniknęła.

— Znowu nas opuściła — rzekł do Sephrenii.

— Tak, mój drogi — przyznała czarodziejka z westchnieniem.

Wiatr wzmógł się i kuł ich twarze kropelkami wody. Sparhawk starał się naciągnąć kaptur głębiej na czoło, ale niesione wiatrem kropelki wciąż smagały mu policzki.

Nagle obudził się i usiadł. Twarz miał mokrą. Otarł słone krople i sięgnął za koszulę.

Bhelliomu nie było.

Wiedział, że będzie musiał porozmawiać z Sephrenią, ale najpierw chciał coś sprawdzić. Wstał i wyszedł z chłopskiej chaty, w której zatrzymali się poprzedniego dnia. Opodal stała stajnia, gdzie wprowadzili wóz z ciałem Kurika. Sparhawk delikatnie odsłonił koc i dotknął zimnego oblicza przyjaciela.

Twarz giermka była mokra. Sparhawk dotknął palca językiem i poczuł smak słonej morskiej wody. Siedział przez dłuższy czas w stajni, a myśli wirowały mu w głowie. Okazało się, że połączona potęga Młodszych Bogów Styricum może dokonać wszystkiego. W końcu Sparhawk postanowił nawet nie próbować nazwać tego, co się stało. Czy to był sen, czy rzeczywistość, czy też może coś pośredniego? Co za różnica? Bhelliom był teraz bezpieczny i jedynie to miało znaczenie.

Pojechali do Korakachu, a potem dalej do Gana Dorit, gdzie skręcili na zachód w kierunku Kadumu, leżącego na granicy z Lamorkandią. Po dotarciu na równiny zaczęli spotykać zemoskich żołnierzy uciekających na wschód. Nie widzieli wśród nich rannych, a więc zdawało się, że do bitwy nie doszło.

Jechali bez poczucia zwycięstwa czy spełnienia misji. Minęli już góry. Śnieg przeszedł w deszcz, a krople dżdżu dzwoniące o blachy zbroi potęgowały smutny nastrój. Nikt nie żartował, nie snuł pokrzepiających opowieści. Wszyscy byli bardzo zmęczeni i myśleli tylko o powrocie do domu.

W Kadumie stacjonował król Wargun wraz z potężną armią. Nie podejmował żadnych działań. Czekał, aż pogoda się poprawi i ziemia przeschnie. Sparhawk wraz z przyjaciółmi zaprowadzono do jego kwatery, którą, jak można się było spodziewać, okazała się gospoda.

— A to niespodzianka! — powiedział na wpół pijany król Thalesii do patriarchy Bergstena na widok wchodzącego Sparhawka z przyjaciółmi. — Nie myśla-

łem, że jeszcze kiedyś go zobaczę. Witaj, panie Sparhawk! Podejdz do ognia. Wypij sobie i opowiedz, gdzie się podziewałeś.

Sparhawk zdjął hełm.

— Pojechaliśmy do miasta Zemoch, wasza wysokość — relacjonował — a skoro już tam byliśmy, zabiliśmy Othę i Azasha. Potem ruszyliśmy z powrotem.

Wargun zamrugął z niedowierzaniem.

— Krótko i zwięźle — roześmiał się i powiódł dookoła mętym wzrokiem. — Hej, ty tam! — zawołał do jednego ze strażników przy drzwiach. — Znajdź mistrza Vaniona. Powiedz, że przybył jego człowiek. Czy znalazłeś już jakieś miejsce do zamknięcia więźniów, Sparhawk?

— Nie braliśmy więźniów, wasza wysokość.

— To dopiero sposób na prowadzenie wojny! Jednakże Sarathi będzie ci miał za złe. On naprawdę chciał postawić Anniasa przed sądem.

— Przywieźlibyśmy go — rzekł Ulath — ale nie prezentował się zbyt dobrze.

— Który z was go zabił?

— Uczynił to Azash, wasza wysokość — wyjaśnił Tynian. — Bóg Zemochu był bardzo niezadowolony z Othy i Anniasa, więc wymierzył im stosowną karę.

— A co z Martelem, księżniczką Arissą i jej bękartem, Lycheasem?

— Sparhawk zabił Martela — odpowiedział Kalten. — Ulath ściął Lycheasa, a Arissa zażyła truciznę.

— Umarła?

— Zakładamy, że tak. Umierała, gdy ją opuszczaliśmy.

Wszedł Vanion i natychmiast zbliżył się do Sephrenii. Ich tajemnica — która w rzeczywistości nie była tajemnicą, skoro każdy, kto miał oczy, wiedział, co do siebie czuli — wyszła na jaw. Padli sobie w ramiona z nietypową dla nich wylewnością. Vanion ucałował policzek kochanej od dziesięcioleci kobiety.

— Myślałem, że cię straciłem — wyznał głosem pełnym wzruszenia.

— Przecież wiesz, że nigdy cię nie opuszczę, mój drogi.

Sparhawk uśmiechnął się lekko. Sephrenia do nich wszystkich zwracała się „mój drogi”, ale teraz do Vaniona powiedziała to jakby inaczej.

Dość szczegółowo opowiedzieli o tym, co przydarzyło im się po opuszczeniu Zemochu, jakkolwiek pominęli w swej relacji istotne kwestie natury teologicznej.

Potem Wargun zaczął, po pijacku bełkocząc i połykając słowa, wyliczać chaotycznie, co wydarzyło się w Lamorkandii i Pelosii. Armie Zachodu postępowały zgodnie ze strategią zaplanowaną w Chyrellos przed rozpoczęciem kampanii i zdawało się, że ta strategia będzie skuteczna.

— A wtedy — zakończył podchmielony król — gdy już byliśmy gotowi zabrać się za wojowanie, ci tchórze zawrócili i uciekli. Dlaczego nikt nie chciał stanąć do walki? — żalił się Wargun. — Teraz będę musiał za nimi gonić przez góry Zemochu.

— Po co? — zapytała Sephrenia.

— Po co?! Po to, żeby już nigdy na nas nie napadli! — Wargun kiwnął się na ławie, sięgnął po kufel i niezdarnie wytoczył piwa ze stojącej obok beczułki.

— Nie marnuj życia twych ludzi — powiedziała czarodziejka. — Azash nie żyje. Otha nie żyje. Zemosi już nigdy nie wróca.

Wargun z trudem skupił na niej wzrok. Nagle uderzył pięścią w stół.

— Ja chcę kogoś wytępić! — ryknął. — Nie pozwoliliście mi zetrzeć Rendorczyków z powierzchni ziemi! Wezwaliście mnie do Chyrellos, nim zdążyłem z nimi skończyć! Ale niech będę zezowatym trollem, jeśli pozwolę, żebyście i Zemochów mi ukradli! — Wtem oczy mu się zaszkliły. Władca Thalesii powoli zsunął się pod stół i zaczął chrapać.

— Twój król ma tylko jedno w głowie — powiedział Tynian do Ulatha.

— Wargun to prosty człek. — Ulath wzruszył ramionami. — W jego głowie nie ma miejsca na więcej niż jedną myśl naraz.

— Pojadę z tobą do Chyrellos, Sparhawk — powiedział Vanion. — Pomogę ci przekonać Dolmanta, by pohamował Warguna. — Oczywiście nie tylko z tego powodu Vanion chciał im towarzyszyć, ale Sparhawk bez dyskusji wyraził zgodę.

Wyjechali z Kadumu następnego dnia wczesnym rankiem. Rycerze zdjęli zbroje i podróżowali w kolczugach, kaftanach i grubych płaszczach. Nie jechali przez to szybciej, ale było im o wiele wygodniej. Deszcz nie przestawał padać. W ponurej, mglistej mżawce cały świat zszarzał. Zima zbliżała się do końca — o tej porze roku rzadko bywało naprawdę ciepło, a już z pewnością nigdy nie bywało sucho. Przejechali przez Moterrę i ruszyli do Kadachu, gdzie przekroczyli rzekę i krótkim galopem skierowali się na południe, do Chyrellos. Wreszcie w pewne deszczowe popołudnie dotarli na szczyt wzgórza i ich oczom ukazało się zniszczone wojną Święte Miasto.

— Najpierw odszukajmy Dolmanta — zdecydował Vanion. — Sporo czasu zajmie posłańcowi dotarcie do Kadumu i powstrzymanie Warguna, a przy zmianie pogody pola Zemochu mogą zacząć obsychać. — Vaniona schwycił atak kaszlu.

— Jesteś niezdrów? — zapytał Sparhawk.

— Chyba trochę przemarzłem. Wciąż taki chłód i wilgoć...

Nie wjeżdżali do Chyrellos jak bohaterowie. Nie było parad, fanfar, tłumów rzucających kwiaty. Prawdę mówiąc, zdawało się, że nikt ich nie rozpoznawał, a pod nogi leciały im jedynie śmieci wyrzucane z górnych pięter mijanych domów. Niewiele zrobiono, by odbudować miasto ze zniszczeń. Mieszkańcy Chyrellos wegetowali pośród ruin w brudzie i ńędzy.

Do bazyliki wkroczyli w ubłoconym i zniszczonym podróżą odzieniu i udali się prosto do pomieszczeń administracyjnych znajdujących się na drugim piętrze. Tam zastali urzędnika, duchownego w czarnej sutannie, który siedział za wytwor- nym biurkiem i z ważną miną przekładał papiery.

— Mamy pilne wiadomości dla arcyprałata — powiadomił go Vanion.

— Obawiam się, że to absolutnie wykluczone — powiedział duchowny, spoglądając pogardliwie na powalany błotem płaszcz Vaniona. — W tej chwili Sarathi ma spotkanie z delegacją cammoryjskich prymasów. To bardzo ważna konferencja i nie należy jej przerywać z powodu jakiegś nieistotnej wojskowej depechy. Przyjdźcie jutro.

Vanion zgrzytnął zębami. Odrzucił do tyłu płaszcz, odsłaniając prawe ramię. Zanim jednak sięgnął po miecz, na korytarzu pojawił się Emban, patriarcha Ucery.

— Mistrz Vanion! — zawołał. — Pan Sparhawk! Dawno wróciliście?

— Przed chwilą, wasza świątobliwość — odparł Vanion. — Są jednak wątpliwości, czy nasza obecność tutaj jest pożądana.

— Ja podobnych wątpliwości nie mam. Chodźcie do środka.

— Ależ, wasza świątobliwość — zaprotestował duchowny — Sarathi ma spotkanie z cammoryjskimi patriarchami, a czekają i inne delegacje, które są daleko bardziej. . . — urwał, gdy Emban powoli odwrócił się w jego stronę.

— Kim jest ten człowiek? — Emban zdawał się kierować to pytanie do wysokiego stropu. Następnie spojrzał na urzędnika za biurkiem. — Pakuj się — polecił. — Z samego rana opuścisz Chyrellos. Zabierz dużo ciepłych rzeczy. Klasztor Husdal znajduje się w północnej Thalesii i o tej porze roku jest tam bardzo zimno.

Prymasi cammoryjscy zostali odprawieni. Emban wprowadził Sparhawk i towarzyszących mu przyjaciół do sali, w której czekali arcyprałat Dolmant i patriarcha Kadachu, Orzel.

— Dlaczego nie mieliśmy o was żadnych wieści? — żądał wyjaśnień Dolmant.

— Liczyliśmy w tym względzie na króla Warguna, Sarathi — powiedział Vanion.

— Polegaliście na Wargunie w sprawie tak wielkiej wagi?! Cóż za lekkomyślność!

Sparhawk, wspomagany czasami przez innych, opowiedział o podróży do Zemochu i o późniejszych wydarzeniach.

W pewnej chwili Dolmant przerwał opowieść niczym rażony gromem.

— Kurik nie żyje?!

Sparhawk skinął głową.

Arcyprałat westchnął i ze smutkiem pochylił głowę.

— Mam nadzieję, że któryś z was pomścił jego śmierć? — zapytał z dzikim błyskiem w oczach.

— Jego syn to uczynił, Sarathi — odparł Sparhawk.

Dolmant wiedział, że Talen jest synem Kurika. Spojrzał na chłopca ze zdziwieniem.

— Jak ci się udało zabić zbrojnego wojownika? — zapytał.

— Wbiłem mu sztylet w plecy, Sarathi — odparł chłopiec głosem pozbawionym emocji — jednak dostojny pan Sparhawk musiał pomóc mi pchnąć go mie-

czem. Sam nie mogłem przekłuć pancerza.

— Cóż mamy z tobą począć, mój chłopcze? — Dolmant pokiwał głową ze smutkiem.

— Poczekajmy kilka lat, Sarathi — powiedział Vanion — a potem wpisemy go na listę nowicjuszy Zakonu Rycerzy Pandionu — razem z innymi synami Kurika. Sparhawk przyrzekł to Kurikowi.

— Czy nikt nie zamierza mnie zapytać o zdanie? — obruszył się Talen.

— Nie, prawdę powiedziawszy, nie mamy takiego zamiaru — odparł Vanion.

— Ja miałbym być rycerzem?! — zaprotestował Talen. — Czyście postradali zmysły?

— To nie jest wcale taka zła dola — uśmiechnął się Berit. — Tylko trzeba się przyzwyczaić.

Sparhawk ciągnął dalej swoją opowieść. Ortzel słuchał wstrząśnięty o sprawach niemożliwych do pojęcia z teologicznego punktu widzenia. Kiedy historia dobiegła końca, toczył wkoło błędnym wzrokiem.

— To wszystko, Sarathi — zakończył Sparhawk. — Upłynie trochę czasu, nim dojdę z tym wszystkim do ładu, najprawdopodobniej strawię na tym resztę życia, a nawet wtedy pozostanie wiele spraw, których nie pojmę do końca.

Dolmant w zamyśleniu bębnił palcami w poręcz fotela.

— Bhelliom i pierścienie powinny przejść pod opiekę Kościoła — oznajmił.

— To niemożliwe, Sarathi — rzekł Sparhawk.

— Co ja słyszę!

— Nie mamy już Bhelliomu.

— Coście z nim zrobili?

— Wrzuciliśmy do morza, Sarathi — powiedział Bevier.

Dolmant zaniemówił ze zgrozy.

Patriarcha Ortzel zerwał się na równe nogi.

— Bez pozwolenia Kościoła?! Uczyniliście to nawet nie prosząc Boga o radę?!!

— Działaliśmy z polecenia innego boga, wasza świętobliwość — wyjaśnił Sparhawk. — A ściślej mówiąc, bogini.

— Herezja! — krzyknął Ortzel.

— Tak należało uczynić, wasza świętobliwość — tłumaczył Sparhawk. — Nie kto inny, tylko bogini Aphrael przyniosła mi Bhelliom. Wydobyła go z czeluści w grocie Ghweriga. Kiedy wykorzystałem klejnot, powinienem go jej zwrócić. Czyż mógłbym postąpić właściwiej? Bogini Aphrael jednak nie chciała Bhelliomu. Kazała mi wrzucić go do morza i tak też uczyniłem. W końcu ćwiczone mnie w przestrzeganiu dobrych manier.

— Dobre maniery nie mają zastosowania w tak ważnej sytuacji! — Ortzel szalał z wściekłości. — Bhelliom jest zbyt ważny, by traktować go jak byle bly-

skotkę! W tej chwili wracajcie! Macie odszukać szafirową różę i przynieść ją Kościołowi!

— On ma rację, Sparhawk — powiedział ponuro Dolmant. — Musicie odzyskać klejnot.

— Jak sobie życzysz, Sarathi. — Sparhawk wzruszył ramionami. — Zaczniemy, gdy tylko powiesz nam, w którym oceanie szukać.

— Czyżbyś nie wiedział...? — Dolmant spojrzał na niego bezradnie.

— Nie mamy najmniejszego pojęcia, Sarathi — zapewnił go Ulath. — Aphrael zabrała nas na jakiś przylądek na jakimś wybrzeżu i wrzuciliśmy Bhelliom do morza. To mogło być jakiegokolwiek wybrzeże i jakiegokolwiek morze. Czy na Księżycu też są oceany? Obawiam się, że Bhelliom przepadł na dobre.

Arcyprałat słuchał z jawnym przerażeniem.

— Dolmancie, i tak nie sądzę, aby wasz Bóg, wielki Bóg Elenów chciał mieć Bhelliom — odezwała się Sephrenia. — Myślę, że wasz Bóg — tak jak i inni bogowie — poczuł ogromną ulgę wiedząc, że klejnot przepadł. Zdaje mi się, że wszyscy bogowie się go obawiali. A przynajmniej wiem, że Aphrael się go bała. — Przerwała na chwilę. — Czy zauważyliście, jak długa i posępna jest ta zima? — zapytała. — I jak bardzo podupadliście na duchu?

— To czasy pełne zmartwień — przypomniał jej Dolmant.

— Bez wątplenia, ale nie zauważyłam, abyś westchnął z radości na wieść, że nie ma już Othy i Azasha. Nawet to nie mogło poprawić waszych nastrojów. Styricy wierzą, że ta zima jest odzwierciedleniem stanu ducha bogów. W Zemochu wydarzyło się coś wyjątkowego. Dowiedliśmy raz na zawsze, że bogowie także są śmiertelni. Nikt z ludzi nie poczuje wiosny w sercu, nim bogowie uporają się z tą świadomością. Są teraz zaniepokojeni i wystraszeni... nie interesują się nami i naszymi troskami. Myślę, że opuścili nas na jakiś czas, aby zająć się własnymi kłopotami. Z jakiegoś powodu nawet magia przestała działać. Jesteśmy zdani tylko na siebie, Dolmancie, i musimy przetrwać tę nie kończącą się zimę, dopóki bogowie nie powrócą.

Dolmant potarł dłonią czoło.

— Zamartwiłaś mnie, mameczko — westchnął. — Będę z tobą szczery. Przez ostatnie półtora miesiąca na własnej skórze odczułem tę rozpaczliwą zimę. Raz obudziłem się w środku nocy i nie mogłem opanować szlochu. Od tamtej pory nie uśmiecham się i wciąż jest mi ciężko na duchu. Myślałem, że tylko mną owładnęło przygnębienie, ale być może się myliłem. — Znowu westchnął ciężko. — Musimy sprostać naszym obowiązkom przedstawicieli Kościoła. Koniecznie musimy znaleźć coś, co pozwoli oderwać myśli wiernych od tej powszechnej rozpacz — coś, co jeśli nawet nie przyniesie im radości, nada sens ich życiu.

— Trzeba nawrócić Zemochów, Sarathi! — wykrzyknął żarliwie Bevier. — Od tysiącleci wierzyli w boga zła. Teraz nie mają żadnego boga. Czyż jest szczytniejsze zadanie dla Kościoła?

— Bevierze, czy ty aby nie chcesz zostać świętym? — zapytał Emban. — Ale to bardzo dobry pomysł, Sarathi. Wierni będą się mieli czym zająć i przestaną snuć posępne rozważania.

— A zatem powstrzymaj Warguna, wasza świątobliwość — poradził Ulath. — Stoi w Kadumie gotów do ataku. Gdy tylko ziemia obeschnie na tyle, by końskie kopyta nie grzęzły w błocie, król ruszy na Zemoch i wybije wszystko, co się rusza.

— Ja go powstrzymam — obiecał Emban — nawet jeżeli będę musiał osobiście pojechać do Kadumu i zbrojnie zmusić króla Warguna do posłuszeństwa.

— Azash jest... to znaczy był styrickim bogiem — odezwał się Dolmant — a nasi kapłani nigdy nie odnieśli znaczących sukcesów w nawracaniu Styryków. Sephrenio, czy zechcesz nam pomóc? Znalazłbym jakiś sposób, aby dać ci władzę i oficjalny status.

— Nie — odparła czarodziejka zdecydowanie.

— Wszyscy dzisiaj mówią mi nie — skarżył się arcyprałat. Dlaczego odmawiasz, mateczko?

— Nie będę pomagała w nawracaniu Styryków na religię pogan, Dolmancie.

— Pogan...?! — wykrztusił Ortzel.

— Tego określenia używa się w odniesieniu do kogoś, kto nie jest prawdziwej wiary, wasza świątobliwość.

— Ale wiara Elenów jest prawdziwą wiarą!

— Nie dla mnie. We mnie wasza religia budzi wstręt. Jest okrutna, sztywna i nie zna wybaczenia. Jest nieludzka i ja ją odrzucam. Nie przekonasz mnie do twego ekumenizmu, Dolmancie. Gdybym pomogła wam nawrócić Zemochów, potem zabralibyście się za zachodnie Styricum, a to oznaczałoby krwawą wojnę. — Nagle czarodziejka uśmiechnęła się i jej delikatny, jakby zdziwiony uśmiech rozproszył przytłaczający wszystkich smutek. — Och, wspomnę o tym Aphrael, gdy tylko bogini poczuje się lepiej. Może być zainteresowana Zemochem... — W tym momencie Sephrenia spojrzała promiennie na Dolmanta. — To ustawiłoby nas chyba po przeciwnych stronach muru, prawda, Sarathi? Wprawdzie dobrze ci życzę, mój drogi, ale jak to mówią, niech zwycięży lepszy... lub lepsza.

Jechali na zachód. Pogoda niewiele się zmieniła. Deszcz padał już rzadziej, ale niebo pozostawało zachmurzone, a huczący wiatr nadal niósł z sobą zimowy chłód. Celem ich podróży było Demos. Odwozili Kurika do domu. Sparhawk nigdy się nie spodziewał, że będzie musiał powiadomić Aslade o śmierci męża. Posępny nastrój, jaki zapanował na świecie po śmierci Azasha, potęgował jeszcze żalobny charakter ich podróży. Płatnerze w siedzibie zakonu pandionitów w Chyrellos wyklepali wgniecenia na zbrojach Sparhawk i jego przyjaciół, a także oczyścili blachy z większych plam rdzy. Przyjaciele jechali za karawanem, na którym spoczywały zwłoki Kurika.

Około pięciu lig od Demos rozbili obóz w zagajniku nie opodał traktu. Rycerze polerowali zbroje. Doszli do milczącego porozumienia, że następnego dnia przywdzieją paradne szaty. Gdy Sparhawk uznał, że jego zbroja jest już przygotowana na jutrzejszą okazję, ruszył przez obozowisko w kierunku wozu, który stał w pewnym oddaleniu od ogniska.

Talen wstał i z niewyraźną miną podbiegł do rycerza.

— Nie traktujesz chyba poważnie tej wzmianki, dostojny panie?

— Której wzmianki?

— Chodzi o oddanie mnie do nowicjatu. Ja miałbym zostać pandionitą?

— Prawdę mówiąc, traktuję to jak najbardziej poważnie. Złożyłem twemu ojcu pewne obietnice.

— I tak ucieknę.

— Złapię cię albo wyślę za tobą Berita. Będziesz się miał z pyszna.

— To nieuczciwe.

— Nie spodziewałeś się chyba, że w życiu gra się zawsze uczciwymi kośćmi?

— Dostojny panie, nie chcę iść do szkoły rycerskiej.

— Nie zawsze dzieje się tak, jak my chcemy. Tego pragnął twój ojciec, a ja nie zamierzam go zawieść.

— Ale ja tego nie pragnę!

— Jesteś młody. Przywykniesz. Z czasem może nawet to polubisz.

Talen zrozumiał, że przegrał.

— Dokąd idziesz, dostojny panie? — zapytał bez humoru.

— Odwiedzić twego ojca.

— Zatem ja wrócę do ogniska. Wolę go pamiętać takiego, jaki był.

Wóz zaskrzypiał, gdy Sparhawk wdrapał się do góry i usiadł obok ciała giermka. Przez dłuższy czas milczał. Nie cierpiał już, czuł dojmujący smutek i żal.

— Przebyliśmy razem daleką drogę, przyjacielu — rzekł w końcu. — Teraz odpoczniesz w domu, a ja muszę pojechać dalej sam. — Uśmiechnął się lekko w ciemności. — Postąpiłeś bardzo samolubnie. Miałem nadzieję, że się razem zestarzejemy.

Dłuższy czas dumął posepnie.

— Zaopiekuję się twymi synami — dodał. — Będziesz z nich dumny... z Talena również, chociaż nim ten chłopak pojmie co to przyzwoitość, może minąć parę lat.

Znowu się zamyślił.

— Powiadomię Aslade jak najdelikatniej, lecz wierz mi, że z lękiem myślę o tej rozmowie. — Położył dłoń na zimnej dłoni Kurika. — Żegnaj, przyjacielu.

Niepotrzebnie tak bardzo obawiał się rozmowy z żoną Kurika. Aslade już wiedziała. Spotkali ją w bramie gospodarstwa, w którym przez tyle lat pracowała wspólnie z mężem. Miała na sobie czarny, odświętny wiejski przyodziewek.

Obok niej stali czterej synowie, wysocy i krzepcy niczym młode dębczaki, również w najlepszych ubraniach. Ze smutku na ich twarzach Sparhawk wyczytał, że zbędna jest jego starannie przygotowana przemowa.

— Zajmijcie się ojcem — poleciła Aslade synom.

— Jak się dowiedziałaś? — zapytał Sparhawk, gdy przytuliła go do siebie.

— Odwiedziła nas mała dziewczynka, którą wieźliście z sobą do Chyrellos. Pewnego wieczoru zjawiała się u naszych drzwi i powiedziała, że Kurik nie żyje. A potem odeszła.

— Uwierzyłaś jej?

Aslade skinęła głową.

— Wiedziałaam, że muszę. Ona jest zupełnie niepodobna do innych dzieci.

— Masz rację. Aslade, nie mogę odżalować Kurika. Powinienem był zostawić go w domu, gdy zaczął się starzeć.

— Nie, Sparhawk. To złamałoby mu serce. Będziesz musiał mi w czymś teraz pomóc.

— W czym tylko zechcesz.

— Muszę porozmawiać z Talenem.

Sparhawk nie bardzo wiedział, do czego Aslade zmierza. Skinął jednak na młodego złodzieja i Talen podszedł posłusznie.

— Talenie — zaczęła Aslade — jesteśmy z ciebie bardzo dumni.

— Ze mnie?

— Pomściłeś śmierć ojca. Dokonałeś tego również i za mnie, i za swych braci.

Chłopiec spojrział na nią osłupiały.

— To znaczy... że wiesz wszystko?

— Oczywiście, że wiem. Wiedziałaam o tym od dawna. Posłuchaj, co masz uczynić — a jeżeli tego nie zrobisz, dostojny pan Sparhawk spuści ci lanie. Pojedziesz do Cimmury i przywieziesz tu swoją matkę.

— Co?

— Słyszałeś. Znam twoją matkę. Doglądałam jej tuż przed twoim urodzeniem. Pojechałam wtedy do Cimmury, bo chciałam się przekonać, która z nas byłaby lepszą żoną dla twego ojca. To miła dziewczyna... może trochę za szczupła, ale nabierze ciała, gdy pobędzie u mnie. Rozumiemy się obie całkiem dobrze. Zamieszkamy tu wszyscy razem, dopóki ty i twoi bracia nie zaczniecie nowicjatu. Potem we dwie będzie nam łatwiej. Dotrzymamy sobie nawzajem towarzystwa.

— Chcesz, abym mieszkał z tobą? — Chłopak nie wierzył własnym uszom.

— Twój ojciec by tego chciał i jestem pewna, że chce tego twoja matka. Ja też tego pragnę. Jesteś dobrym chłopcem, całe naszej trójce nie sprawisz zawodu.

— Ale...

— Proszę, nie kłóć się ze mną. Wszystko już ustalone. A teraz chodźmy do środka. Przygotowałam obiad i nie chcę, by wystygł.

Następnego dnia pochowali Kurika pod wysokim wiązem, na wzgórzu wznoszącym się nad jego gospodarstwem. Cały ranek zanosило się na deszcz, ale około południa, gdy synowie nieśli Kurika na szczyt wzgórza, wyjrzało słońce. Sparhawk nie znał się tak dobrze na pogodzie jak jego giermek, ale nagłe pojawienie się kawałka błękitnego nieba i jasnych promieni słońca padających tylko na to jedno gospodarstwo wydało mu się podejrzane.

Pogrzeb był prosty i wzruszający. Miejscowy ksiądz, ledwo powłóczywszy nogami starzec, który znał Kurika od dziecka, mówił nie tyle o smutku, co o miłości. Gdy po skończonej ceremonii wracali do domu, do Sparhawk podszedł najstarszy syn Kurika, Khalad.

— Czuję się zaszczycony tym, iż uważałeś, że jestem godny zostać pandionitą, dostojny panie — powiedział — ale niestety, muszę odmówić.

Sparhawk spojrzał ostro na krzepkiego młodzieńca o jasnym obliczu, któremu już wąż zaczął się sypać pod nosem.

— Nie chcę być nieposłuszny, dostojny panie — tłumaczył Khalad — tylko ojciec miał względem mnie inne plany. Za kilka tygodni dołączę do ciebie w Cimmurze, dostojny panie.

— Dołączysz...? — Sparhawk był zbity z tropu rzeczowym zachowaniem młodzieńca.

— Oczywiście, dostojny panie. Przejmę obowiązki ojca. To rodzinna tradycja. Mój dziad służył twemu dziadowi i twemu ojcu, mój ojciec służył twemu ojcu i tobie, więc teraz ja zajmę jego miejsce.

— Nie chcesz być pandionitą?

— Nieważne, czego ja chcę, dostojny panie. Mam inne obowiązki.

Następnego ranka opuścili dom Kurika. Sparhawk jak zwykle zadumany jechał na czele drużyny, a tuż za nim Kalten.

— Ładny pogrzeb — odezwał się jasnowłosy rycerz — jeśli ktoś lubi pogrzeby. Ja wolałbym raczej, by przyjaciele mnie nie opuszczali.

— Pomógłbyś mi w rozwiązaniu pewnego problemu? — zapytał Sparhawk.

— Myślałem, że już zabiliśmy wszystkich, co trzeba.

— Możesz na chwilę spoważnieć?

— O wiele prosisz, ale spróbuję. Co to za problem?

— Khalad obstaje przy tym, że zostanie moim giermkim.

— No i co? Większy chłopcy zwykle idą w ślady ojców.

— Chcę, by został rycerzem Zakonu Pandionu:

— Nadal nie widzę żadnego problemu. Pasuj go więc na rycerza.

— On nie może być równocześnie giermkim i rycerzem.

— Dlaczego? Weźmy na przykład ciebie. Jesteś rycerzem Zakonu Pandionu, członkiem Rady Królewskiej, Obrońcą Korony i Rycerzem Królowej, a także

Księciem Małżonkiem. Khalad ma szerokie bary. Udźwignie obie funkcje.

Im dłużej Sparhawk myślał, tym bardziej mu się to podobało.

— Kaltenie... — roześmiał się — co ja bym bez ciebie zrobił?

— Najprawdopodobniej brnąłbyś w kłopotach po uszy. Zbyt komplikujesz sprawę, Sparhawk. Spróbuj ich nie gmatwać.

— Dzięki.

— Zapłaty nie trzeba.

Padalo. Srebrzysta mżawka sączyła się z przedwieczornego nieba na kamienne wieże Cimmury. Do miasta zbliżał się samotny jeździec. Był otulony ciemnym, obszernym płaszczem podróżnym; dosiadał rosnącego srokacza o zmierzwionej sierści, długim pysku i bezdusznych, złośliwych oczach.

— Zdaje się, że zawsze wracamy do Cimmury w deszczu, Faranie — rzekł jeździec do konia.

Srokacz zastrzygł uszami.

Tego ranka Sparhawk wysforował się do przodu. Przyjaciele znali powód jego pośpiechu i bez sprzeciwu zostali z tyłu.

— Wyślemy wiadomość do pałacu, jeżeli sobie tego życzysz, książę panie — zaofiarował jeden ze strażników przy wschodniej bramie.

A więc Ehlana już podała do powszechnej wiadomości nowy tytuł Sparhawk. Rycerz westchnął ciężko. Będzie musiał się do tego przyzwyczaić.

— Nie trzeba, ziomku — odrzekł. — Chciałbym sprawić niespodziankę mej małżonce. Jest jeszcze taka młoda, że niespodzianki sprawiają jej przyjemność.

Strażnik skłonił się z szacunkiem.

— Wracaj do środka, ziomku — poradził Sparhawk. — Zaziębisz się, jak przemokniesz.

Książę wjechał do Cimmury. Ulice były puste. Nikt nie chciał wychodzić z domu na deszcz. Stalowe podkowy Farana dźwięczały echem na bruk.

Na pałacowym dziedzińcu Sparhawk zsiadł z konia i podał wodze chłopcu stajennemu.

— Uważaj na tego konia, ziomku — ostrzegł stajennego. — On ma zły charakter. Daj mu trochę siana i ziarna, wytrzymaj i wyczysz dobrze. Ma za sobą ciężką podróż.

— Dopilnuję tego, książę panie.

I ten także. Sparhawk postanowił porozmawiać na ten temat z małżonką.

— Faranie, zachowuj się grzecznie — powiedział do konia.

Srokacz rzucił mu ponure, nieprzyjazne spojrzenie.

— To była dobra jazda. — Sparhawk położył dłoń na muskularnym karku konia. — Dzielnie się spisałeś. Odpocznij.

Rycerz odwrócił się i wszedł po schodach do pałacu.

— Gdzie jest królowa? — zapytał wartownika przy podwojach.

— Najjaśniejsza pani jest w sali posiedzeń rady, książę panie.

Sparhawk ruszył długim, oświetlonym świecami korytarzem do sali posiedzeń rady. U jej drzwi zobaczył olbrzymkę, Mirtai.

— Dlaczego tak długo zwlekałeś z powrotem? — zapytała Tamulka, wcale nie zaskoczona jego obecnością.

— Byłem zajęty. — Wzruszył ramionami. — Czy królowa jest w środku?

Mirtai skinęła głową.

— Radzi z Lendą i złodziejami. Rozmawiają o naprawie ulic. Nie ściskaj jej zbyt mocno, Sparhawk — ostrzegła. — Ehlana spodziewa się dziecka.

Sparhawk spojrział na nią zdziwiony.

— Czyż nie myśleliście o tym w noc poślubną? — Tamulka przerwała na chwilę. — Co stało się z tym krzywonogim barbarzyńcą o ogolonej głowie?

— Z domi Kringiem?

— Co oznacza „domi”?

— Rodzaj dowódcy. Kring jest wodzem Peloi. O ile wiem, żyje i ma się dobrze. Gdy widziałem go ostatni raz, planował, jak wciągnąć Zemochów w zasadzkę i ich wyrznąć.

W oczach olbrzymki błysnęło życzliwe zainteresowanie.

— A dlaczego pytasz? — Sparhawk spojrział na Tamulkę badawczo.

— Bez powodu. Tak tylko... z ciekawości.

— Ach, rozumiem.

Weszli do sali posiedzeń rady i Sparhawk odpiął ociekający wodą płaszcz. Ehlana siedziała tyłem do drzwi. Wraz z hrabią Lendą, Platimem i Stragenem pochylała się nad dużą mapą rozłożoną na stole.

— Byłam w tej części miasta — mówiła z naciskiem — i uważam, że ulice są w bardzo złym stanie. Samo łatanie dziur nie wystarczy. Trzeba kłaść bruk na nowo.

Jej dźwięczny głos chwycił Sparhawk za serce, choć królowa mówiła o przyziemnych sprawach. Rycerz uśmiechnął się i położył mokry płaszcz na krześle stojącym przy drzwiach.

— Oczywiście nie możemy rozpocząć prac przed nastaniem wiosny, najjaśniejsza pani-zauważył hrabia Lenda — a nawet wtedy będzie nam brakowało rąk do pracy, dopóki armia nie powróci z Lamorkandii... — Starzec przerwał, wpatrując się z zaskoczeniem w Sparhawk.

Książę Małżonek, kładąc palec na ustach, podszedł do stołu.

— Niechętnie to przyznaję, ale jestem odmiennego zdania, wasza wysokość — powiedział spokojnym tonem. — Powinnaś, pani, więcej uwagi poświęcić stanowi traktów niż ulic stolicy. Zły stan bruków utrudnia życie mieszkańcom miasta, lecz gdy chłopci ugrzęzną w błocie i nie dowiozą plonów na targ, będzie to coś więcej niż tylko zwykła niewygoda.

— Wiem o tym, Sparhawk — odparła królowa, wpatrując się w mapę — ale... — uniosła twarz, a w jej szarych oczach malowało się zaskoczenie. — Sparhawk? — szepnęła.

— Naprawdę uważam, że wasza wysokość powinna skupić uwagę na traktach — ciągnął rycerz z powagą. — Droga z Demos jest w opłakanym stanie... — Na ten temat miał szczególnie wiele do powiedzenia.

Ehlana rzuciła mu się w ramiona.

— Ostrożnie! — ostrzegała Sparhawk Mirtai. — Pamiętaj, co powiedziałam ci pod drzwiami.

— Kiedy wróciłeś? — dopytywała się królowa.

— Przed chwilą. Drużyna została sporo z tyłu. Śpieszyłem się... z różnych powodów.

Królowa znowu obsypała go pocałunkami.

— Cóż, dokończymy dyskusję później — rzekł Lenda do Platima i Stragena. — Mam wrażenie, że dzisiejszego wieczoru nie uda nam się uzyskać decyzji najjaśniejszej pani.

— Nie będziecie się chyba na mnie bardzo gniewać? — zapytała Ehlana tonem małej dziewczynki.

— Oczywiście, że nie. — Platim uśmiechnął się szeroko do Sparhawk. — Dobrze, że już wróciłeś, dostojny panie. Może tobie uda się na tyle zająć królową, by nie wtykała nosa w szczegóły pewnych robót publicznych, którymi ja jestem zainteresowany.

— Domyślam się, że zwyciężyłeś — powiedział Stragen.

— Można tak rzec — odparł Sparhawk, przypominając sobie Kurika. — Otha i Azash nigdy już nam nie zagrają.

— To najważniejsze. Szczegóły opowiesz nam później. — Herszt złodziei z Emsatu spojrział na rozpromienioną twarz Ehlany. — Myślę, że dużo później — dodał.

— Stragenie! — odezwała się władczo królowa.

— Pokorny sługa waszej wysokości.

— Precz stąd!

— Słucham i jestem posłuszny, najjaśniejsza pani.

Krótko potem Sparhawk i jego małżonka, jedynie w towarzystwie Mirtai, oddalili się do królewskich apartamentów. Książę nie był pewien, jak długo olbrzymka zamierzała dotrzymywać im towarzystwa. Nie chciał jej urazić, ale...

Mirtai jednak okazała się bardzo rzeczową osobą. Wydała kilka stanowczych poleceń osobistej służbie królowej — przygotowanie kąpieli, podanie wieczery, wymiana świec w kandelabrach i tym podobne — a potem podeszła do drzwi i wyciągnęła duży klucz zza pasa.

— Czy to wszystko na dzisiaj, Ehlano? — zapytała.

— Tak, Mirtai — odparła królowa — i bardzo ci dziękuję.

Mirtai wzruszyła ramionami.

— To należy do moich obowiązków. Nie zapomnij o tym, co ci powiedziałam, Sparhawk. — Postukała kluczem w drzwi. — Wypuszczę was rano.

Wyszła. W zamku głośno zgrzytnął klucz.

— Mirtai jest taka gruboskórna. — Ehlana skarżyła się bezradnie. — Zupełnie nie zwraca uwagi na moje rozkazy.

— Ale jest dla ciebie dobra, kochanie. — Sparhawk wstawił się za Tamulką. — Pomaga ci zachować właściwy dystans do samej siebie.

— Idź do kąpeli — poleciła Ehlana. — Cały pachniesz rdzą. Potem będziesz mógł mi wszystko opowiedzieć. Ach, a jeżeli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym dostać z powrotem swój pierścień.

Książę wyciągnął przed siebie obie dłonie.

— Który to jest? Nie potrafię ich od siebie odróżnić.

— Ten — królowa bez wahania wskazała na sygnet z lewej dłoni.

— Skąd wiesz? — zdziwił się Sparhawk, wsuwając pierścień na palec królowej.

— Każdy to widzi.

— Skoro tak mówisz. . .

Sparhawk nie był przyzwyczajony do kąpeli w obecności młodych dam, ale Ehlana nie przejawiała ochoty, by choć na chwilę spuścić małżonka z oczu. Tak więc w kąpeli zaczął swą opowieść, którą ciągnął dalej podczas wieczerzy. Pewnych spraw Ehlana nie mogła pojąć, pewne ją zadziwiały, ale słuchała nie przerywając. Rozpłakała się, gdy usłyszała o śmierci Kurika, natomiast opowieści o losie Anniasa, jej ciotki Arissy i kuzyna Lycheasa słuchała z mściwym zadowoleniem. O pewnych sprawach Sparhawk mówił oględnie, a o innych nie wspominał wcale. Stwierdził, że wymijająca uwaga „musiałabyś tam być” jest czasami niezwykle użyteczna. Szczególnie starał się nie wspominać o przytłaczającym smutku, który opanował cały świat. Uznał, że nie był to najodpowiedniejszy temat do rozmów z młodą niewiastą w początkowych miesiącach jej pierwszej ciąży.

A potem, gdy leżeli obok siebie w przytulnej i przyjaznej ciemności, Ehlana opowiedziała mu, co się wydarzyło na Zachodzie podczas jego nieobecności.

Być może dlatego, że byli w łóżu, poruszyli temat snów.

— Śniłam coś bardzo dziwnego — mówiła Ehlana, moszcząc się wygodnie w pościeli obok Sparhawka. — Całe niebo pokrywała tęcza, a my byliśmy na wyspie, w najpiękniejszym miejscu, jakie kiedykolwiek widziałam. Były tam bardzo stare drzewa i rodzaj marmurowej świątyni o smukłych białych kolumnach, a ja czekałam tam na ciebie i twych przyjaciół. Przybyliście, każdy z was prowadzony przez piękne białe zwierzę. Sephrenia czekała wraz ze mną i wyglądała bardzo młodo, jak dziewczyna. . . Było tam jeszcze dziecko, grające na pasterskiej fujarce i tańczące wesoło. Ta dziewczynka zachowywała się jak mała cesarzowa, wszyscy słuchali jej rozkazów. — Zachichotała. — Nawet nazwała ciebie zrzędlwym

starym puchaczem. Potem zaczęła opowiadać o Bhelliomie. To wszystko było tak bardzo poważne i mądre, że niewiele rozumiałam.

Sparhawk pamiętał, że żaden z nich nie pojął wszystkiego do końca. Sen miał o wiele szerszy zasięg, niż sobie wyobrażał. Ale dlaczego Aphrael włączyła w to Ehlanę?

— To był koniec snu — ciągnęła królowa — a następny już znasz.

— Tak?

— Właśnie mi o nim opowiedziałeś, i to dokładnie, ze wszystkimi szczegółami. Przyśniło mi się wszystko, co wydarzyło się w świątyni Azasha w Zemochu. Aż krew mi zastęła w żyłach, gdy mi o tym mówiłaś.

— Nie martwiłbym się tym tak bardzo. — Sparhawk próbował nadać swemu głosowi zwykle brzmienie. — Jesteśmy sobie bliscy i nie ma w tym nic dziwnego, że znałaś moje myśli.

— Mówisz poważnie?

— Najzupełniej poważnie. Zawsze tak jest. Zapytaj jakiejś doświadczonej mężatki, a ona powie ci, że zawsze wie, o czym myśli jej mąż.

— No tak — westchnęła z powątpiewaniem — być może... — Przytuliła się do niego mocniej. — Nie jesteś zbyt gorliwy dzisiejszej nocy, kochany. Czyżbym zrobiła się tłusta i wstętna?

— Oczywiście, że nie. Jesteś, jak to mówią, w błogosławionym stanie. Mirtai ciągle ostrzegała mnie, abym był delikatny. Wyrwie mi żywcem wątrobę, jeżeli uzna, że cię skrzywdziłem.

— Mirtai tu nie ma.

— Ale jest jedyną osobą, która ma klucz do drzwi.

— Och, wcale nie — królowa uśmiechnęła się przebiegle, sięgając pod poduszkę. — Drzwi zamyka się z obu stron i nikt ich nie otworzy, dopóki nie przekręci się z powrotem klucza w zamku z obu stron. — Podała mu duży klucz.

— Bardzo skore do współpracy drzwi — uśmiechnął się Sparhawk. — Wiesz co, zakradnę się do sąsiedniej komnaty i ją też zamknę.

— Tylko nie zgub się wracając do łóża. Mirtai kazała ci być delikatnym, więc powinieneś to trochę poćwiczyć.

Później — prawdę mówiąc, dużo później — Sparhawk wysliznął się z łóża i podszedł do okna. Wyjrzał w deszczową noc. Pomyślał, że już po wszystkim. Nigdy już nie będzie zrywał się przed wschodem słońca, by patrzeć na kobiety, które z przesłoniętymi twarzami idą do studni w siwym świetle poranka. Nie będzie podróżował obcymi drogami po dalekich krainach z szafirową różą spoczywającą na sercu. W końcu wrócił do domu — starszy, smutniejszy i nieskończenie mniej pewny rzeczy, które przedtem nigdy nie budziły w nim wątpliwości. Miał nadzieję, że jego walka się skończyła i podróże dobiegły końca. Nazywali go Anakhą — człowiekiem, który jest panem swego losu. Z całą stanowczością stwierdził,

że jego los jest związany z tym nieładnym miastem i bladą, piękną dziewczyną, śpiącą kilka kroków od niego.

Dobrze było ustalić to raz i na zawsze. Z tym poczuciem dopełnienia się losu wrócił do łóża, do pogrążonej we śnie żony.

EPILOG

Wiosna tego roku ociągała się z przybyciem i nagłe, spóźnione przymrozki pozbawiły drzewa owocowe kwiecia, przekreślając nadzieję na urodzaj. Lato było mokre i zimne, a żniwa skromne.

Żołnierze Eosii Zachodniej powrócili do domu z Lamorkandii, by poświęcić się niewdzięcznym trudom uprawy pól, na których jedynie osty rosły w obfitości. W Lamorkandii wybuchła wojna domowa, ale nie było w tym nic nadzwyczajnego; w Pelosii doszło do buntu chłopów pańszczyźnianych i dramatycznie wzrosła liczba żebraków w pobliżu kościołów i miejskich bram.

Sephrenia ze zdumieniem przyjęła wiadomość o brzemienności Ehlany. Bezspornie ten fakt ją zaskoczył i jak zwykle w podobnej sytuacji stała się rozdrażniona, a nawet zła jak osa. W przewidywanym czasie Ehlana wydała na świat swe pierwsze dziecko, córeczkę, której wraz ze Sparhawkiem dali na imię Danae. Sephrenia obejrzała dokładnie niemowlę. Sparhawk doznał wrażenia, iż jego nauczycielka wręcz ma pretensję, że księżniczka Danae jest absolutnie normalnym i zdrowym dzieckiem.

Mirtai z właściwym sobie spokojem dokonała zmian w rozkładzie dnia królowej, dodając zajęcia związane z opieką nad niemowlęciem do innych królewskich obowiązków Ehlany. Odnotujmy przy tej okazji, że wszystkie damy dworu z zazdrości szczerze nienawidziły Mirtai, choć Tamulka nigdy nie wykorzystywała wobec nich swej fizycznej przewagi ani nawet nie odzywała się ostrzej do żadnej z nich.

Kościół szybko zapomniał o swych wielkich zamiarach względem Zemochu, kierując miast tego swą uwagę na południe. Większość żarliwych eshandystów zaciągnęła się do armii Martela i klęska, którą Rendorczycy ponieśli pod Chyrellos, przerzedziła znacznie szeregi sekty, co stworzyło doskonałą okazję wcielenia Rendoru w rzesze wiernych Kościoła. A chociaż Dolmant słał misje w duchu miłości i pojednania, duch ten opuszczał misjonarzy, gdy tylko zniką im z oczu

kopuła bazyliki. Wyprawy misyjne do Rendoru przypominały mściwe ekspedycje karne, a Rendorczycy odpowiadali, jak można było tego oczekiwać, również gwałtem. Po wymordowaniu najwzraskliwszych i najzadziorniejszych misjonarzy zaczęto do południowego królestwa wysyłać coraz większe oddziały Rycerzy Kościoła, aby zapewnili ochronę duchownym i ich niewielkiemu stadku nawróconych. Herezja eshandyjska znowu podniosła głowę i znowu zaczęły krążyć pogłoski o składach broni daleko na pustyni.

Ludzie cywilizowani żywią przekonanie, że ich miasta są ukoronowaniem ich kultury i nie pojmują faktu, iż największym bogactwem każdego królestwa jest ziemia, na której ono leży. Upadek rolnictwa nieuchronnie pociąga za sobą załamanie gospodarki, a kiedy skarb państwa świeci pustkami, władcy skłaniają się ku najostrzejszym formom podatków, obarczając dodatkowymi ciężarami i tak już cierpiących głód wieśniaków. Sparhawk i hrabia Lenda wiedli częste i pełne goryczy dyskusje, w wyniku których niekiedy zapadało między nimi wielodniowe wrogie milczenie.

Stan zdrowia mistrza Vaniona pogarszał się z miesiąca na miesiąc. Sephrenia doglądała przyjaciela troskliwie. Pewnego straszego jesiennego poranka, kilka miesięcy po narodzinach księżniczki Danae, ślad po obojgu zaginął. Kilka dni później jakiś Styrik w białej szacie pojawił się u bram siedziby Zakonu Rycerzy Pandionu w Demos i oznajmił, że przejmuje obowiązki Sephrenii. Tak więc potwierdziły się najgorsze przypuszczenia Sparhawk. Pomimo prób zasłonięcia się swymi obowiązkami wobec korony, był zmuszony do przejęcia funkcji przyjaciela jako tymczasowy mistrz, zgodnie z umową, którą arcyprałat Dolmant najchętniej przedłużyłby na czas nieokreślony, jakkolwiek książe pan wyraził energiczny sprzeciw.

Panowie Ulath, Tynian i Bevier odwiedzali czasami pałac, a opowieści o tym, co działo się w ich rodzinnych stronach, były nie bardziej pokrzepiające od wieści, jakie Sparhawk otrzymywał z odległych zakątków Elenii. Platim z posępną miną donosił, że jego szpiedzy zapewniają go o niemal powszechnym głodzie, epidemiach i niepokojach wśród pospólstwa.

— Czasy są ciężkie, książe panie — mówił gruby złodziej. — Bez względu na to, jak bardzo chcielibyśmy ich uniknąć, ciężkie czasy niekiedy nastają.

Sparhawk wcielił czterech starszych synów Kurika do nowicjatu, przełamując opory Khalada. Ponieważ Talen był jeszcze za młody na szkolenie wojskowe, polecono mu służyć za pazia u dworu, gdzie książe pan mógł go mieć na oku. Stragen, nieobliczalny jak zawsze, często odwiedzał Cimmurę. Mirtai strzegła Ehlaney, strofując ją, gdy to było konieczne, i ze śmiechem odrzucała wciąż ponawiane przez domi Kringa propozycje małżeństwa. Wódz dzikich Peloi znajdował coraz to inne usprawiedliwienie dla swych podróży przez niemal cały kontynent ze wschodniej Pelosii do Cimmury.

Lata mijały, a czasy wciąż były ciężkie. Po pierwszym słotnym roku nastą-

piły trzy lata suszy. Jedzenia ciągle było za mało, a rządy państw Eosii łaknęły dochodów. Na bladym czole Ehlany pojawiła się zmarszczka zatroskania, choć Sparhawk ze wszech sił starał się przejąć możliwie jak najwięcej ciężarów na swe barki.

U schyłku zimy, w pogodne i chłodne popołudnie Książę Małżonek doświadczył wstrząsającego przeżycia. Ranek spędził z hrabią Lenda na burzliwej dyskusji nad proponowanymi przez Radę Królewską nowymi podatkami. Lenda zachowywał się natarczywie, wręcz obraźliwie, oskarżając Sparhawk, że nadmierna troska o dobro rozpieszczonych i leniwych wieśniaków systematycznie ogałaca skarb państwa. Sparhawk ostatecznie wygrał dyskusję, lecz nie sprawiło mu to szczególnej przyjemności, jako że każde kolejne zwycięstwo pogłębiało rozdźwięk między nim a starym przyjacielem.

Książę pan z ponurą miną siedział przy ogniu płonącym na kominku i z roztargnieniem przyglądał się zabawie swej czteroletniej córeczki, księżniczki Danae. Jego żona w towarzystwie Mirtai i Talena załatwiała jakieś sprawy w mieście, tak więc Sparhawk i malutka księżniczka byli sami w królewskich apartamentach.

Danae była poważnym dzieckiem o lśniących czarnych włosach, ciemnych niczym noc dużych oczach i różanych usteczkach. Ta poważna dziewczynka była bardzo czuła wobec rodziców i często obdarowywała ich gorącymi uściskami i pocałunkami. W tym momencie nie opodał kominka zajmowała się ważnymi sprawami związanymi z piłką.

Ten właśnie kominek wywrócił do góry nogami całe życie Sparhawk. Otóż księżniczce piłka wymknęła się z rączek i potoczyła prosto do paleniska. Dziewczynka bez namysłu podbiegła do kominka i nim ojciec zdążył ją powstrzymać czy chociażby krzyknąć, sięgnęła pomiędzy płomień i wydostała zabawkę. Sparhawk zerwał się na równe nogi, porwał córeczkę w ramiona i dokładnie obejrzał jej rączkę.

— Co się stało, ojcze? — zapytała go Danae zupełnie spokojnie. Była nad wiek rozwinięta. Wcześniej zaczęła mówić i teraz wysławiała się niczym dorosły.

— Oparzyłaś się! Taka duża dziewczynka powinna wiedzieć, że nie należy wkładać ręki do ognia.

— Wcale się nie oparzyłam — zaprotestowała, unosząc rączkę do góry i poruszając paluszkami. — Widzisz?

— Nie zbliżaj się więcej do ognia!

— Dobrze, ojcze. — Poczęła się wiercić, więc postawił ją na podłodze, a ona poszła z piłką w odległy róg komnaty.

Zatroskany Sparhawk powrócił na swój fotel. Wprawdzie można wsunąć rękę w ogień i szybko ją wyciągnąć, unikając w ten sposób oparzenia, ale miał wrażenie, że Danae nie uczyniła tego dostatecznie szybko. Książę pan zaczął uważniej przyglądać się córeczce. Przez ostatnie kilka miesięcy był bardzo zajęty, więc mało poświęcał jej czasu. Danae była w wieku, kiedy dziecko zmienia się z dnia na

dzień i Sparhawk z niedowierzaniem dostrzegł pewne rzeczy po raz pierwszy.

On i jego żona byli Elenami.

Ich córka nie.

Wpatrywał się przez dłuższą chwilę w styryckie rysy swej córeczki, a potem doszedł do jedyne­go możliwego wniosku.

— Aphrael? — powiedział oszołomiony. Danae tylko trochę była podobna do Flecika, ale Sparhawk nie widział innej możliwości.

— Słucham, Sparhawk? — Jej głos nie pozostawiał wątpliwości.

— Co uczyniłaś z moją córką?! — krzyknął książę pan wzburzony.

— Nie bądź niemądry. Ja jestem twoją córką.

— To niemożliwe. Jak...?

— Przecież wiesz, kim jestem, ojcze. Byłeś obecny, gdy się poczęłam i gdy się rodziłam. Myślisz, że jestem jakimś podrzutkiem? Kukułczym jajem? Och, ta podejrzliwość Elenów... My tak nie patrzymy na świat.

Książę pan powoli odzyskiwał panowanie nad sobą.

— Czy zamierzasz mi to wytłumaczyć? — zapytał, jak mógł najspokojniej.
— A może mam zgadywać?

— Nie złość się, ojcze. Przecież chciałeś mieć dzieci, prawda?

— No tak...

— I moja matka królowa również. Musiała urodzić następcę tronu, czyż nie?

— Oczywiście, ale...

— Nie mogłaby tego uczynić.

— Co?

— Trucizna, którą podał jej Annias, uczyniła Ehlanę bezpłodną. Nie masz pojęcia, jak trudno było mi to obejść! A nie zastanawiałeś się, czemu Sephrenia była tak rozdrażniona, gdy usłyszała, że królowa jest brzemienna? Wiedziała o skutkach działania trucizny i moja interwencja bardzo wytrąciła ją z równowagi, choć pewnie głównie chodziło jej o to, że matka jest Elenką. Sephrenia czasami ma klapki na oczach. Och, usiądź wreszcie. Śmiesznie wyglądasz w tej pozycji. Zdecyduj się, wstań albo usiądź, ale nie trwaj tak zawieszony nad fotelem.

Sparhawk miał mętlik w głowie.

— Dlaczego to zrobiłaś?

— Ponieważ kocham ciebie. I matkę. Było jej przeznaczone nie mieć dzieci, więc musiałam trochę zmienić jej los.

— I mój również zmieniłaś?

— A jakże mogłabym tego dokonać? Tyś jest Anakha. Nikt nie zna twego przeznaczenia. Zawsze sprawiałaś nam kłopoty. Wielu uważało, że nie powinniśmy w ogóle pozwolić na twoje narodziny. Przez stulecia musiałam przekonywać, że naprawdę cię potrzebujemy. — Poprawiła falbankę na fartuszk. — Och, muszę pamiętać, że powinnam rosnać. Styrycy potrafią przejść nad takimi sprawami do porządku. Wy, Eleni, jesteście bardziej wrażliwi i ludzie mogą zacząć gadać,

gdybym pozostała dzieckiem przez kilka stuleci. Tym razem muszę postępować jak wszyscy.

— Tym razem?

— Oczywiście! Przychodziłam na świat już kilkanaście razy. — Przewróciła oczkami. — To pozwala mi zachować młodość. — Jej buzia spoważniała nagle. — W świątyni Azasha wydarzyło się coś straszliwego, ojczy, i przez pewien czas musiałam pozostawać w ukryciu. Łono matki było idealnym schronieniem, pewnym i bezpiecznym.

— Wiedziałaś, co miało wydarzyć się w Zemochu?

— Wiedziałam, że coś ma się wydarzyć, i starałam się przewidzieć wszystkie możliwości. — Wydeła w zamyśleniu swe małe różowe usteczka. — To może być bardzo interesujące. . . Nigdy przedtem nie byłam dorosłą kobietą, a już z całą pewnością królową. Chciałabym, aby była tu moja siostra. Mam ochotę z nią o tym porozmawiać.

— Twoja siostra?

— Sephrenia — odpowiedziała niemal bezwiednie. — Była najstarszą córką moich ostatnich rodziców. Bardzo miło jest mieć starszą siostrę. Ona zawsze była taka bardzo mądra i zawsze wybaczała mi, gdy uczyniłam coś głupiego.

Nagle tysiące spraw, których Sparhawk nie mógł pojąć do końca, wydało mu się oczywiste.

— Ile lat ma Sephrenia? — zapytał.

Dziewczynka westchnęła.

— Przecież wiesz, że nie odpowiem. A w dodatku sama nie jestem pewna. Lata nie znaczą dla nas tyle samo co dla ciebie. Jednak generalnie rzecz biorąc, Sephrenia ma setki lat, a może nawet tysiąc.

— Gdzie jest teraz?

— Jest razem z Vanionem. Wiesz chyba, co oni do siebie czują, prawda?

— Tak.

— Zdumiewające! Umiesz jednak patrzeć. . .

— Co robią?

— Pełnią moje obowiązki. Jestem bardzo zajęta, a ktoś musi troszczyć się o ten kram. Sephrenia równie dobrze jak ja może odpowiadać na modlitwy. Nie mam aż tak wielu wiernych.

— Czy w twoich ustach wszystko zawsze musi brzmieć tak zwyczajnie?

— A cóż w tym jest nadzwyczajnego? To jedynie wasz bóg, Bóg Elenów traktuje siebie tak poważnie. Nigdy nie widziałam, żeby się śmiał. Moi wyznawcy są sympatyczniejsi. Kochają mnie, więc pobłażliwie patrzą na moje omyłki. — Danae roześmiała się nagle, wdrapała Sparhawkowi na kolana i dała mu słodkiego buziaka. — Jesteś najlepszym ojcem, jakiego kiedykolwiek miałam. Mogę z tobą rozmawiać o tych sprawach, a tobie nawet oczy nie wyłażą na wierzch. — Oparła mu główkę na piersi. — Wiem, że martwisz się czymś, ale Mirtai zawsze kładzie

mnie spać, gdy przychodzą ci składać raporty, więc nie znam szczegółów. Co się dzieje, ojczy?

— To nie są dobre czasy dla świata — rzekł Sparhawk posępnie. — Pogoda nie sprzyjała ludziom, przyszedł głód i zaraza. Klęska goni klęskę. Gdybym wierzył zabobonom, powiedziałbym, że nad całym światem wisi klątwa.

— To wina mojej rodziny. Pograżyliśmy się w żałobie po Azashu i zaniedbaliśmy obowiązki. Chyba dla wszystkich nas nadeszła pora, by się otrząsnąć. Trzeba być odpowiedzialnym. Wezwę innych bogów na naradę i powtórzę ci, co wspólnie postanowiliśmy.

— Będę ci bardzo wdzięczny. — Sparhawk nie mógł uwierzyć, że naprawdę rozmawia z córeczką na takie tematy.

— Mamy jednak pewien problem — westchnęła Danae.

— Tylko jeden?

— Przestań! Mówię poważnie. Co powiemy matce?

— O mój Boże! — zawołał książę pan. — Nie pomyślałem o tym!

— Musimy teraz podjąć decyzję, a ja nie lubię niczego robić pośpiesznie. Trudno byłoby jej uwierzyć, prawda? Zwłaszcza w to, że jest bezpłodna, a ja przyszedłam na ten świat z własnej woli i nie miały tu znaczenia tajemnice alkozy i cykle miesięczne. Czy nie złamiemy jej serca mówiąc, kim naprawdę jestem?

Książę pan pograżył się w zadumie. Znał swą małżonkę lepiej niż kto inny na świecie. Pamiętał, jaki lęk wyzierał z jej szarych oczu, gdy chciał ją przekonać, że źle zrozumiała ofiarowanie pierścienia.

— Nic jej nie powiemy — zdecydował.

— Też tak myślałam, ale chciałam się upewnić.

Sparhawk coś sobie przypomniał.

— Dlaczego włączyłaś ją do snu o wyspie? Dlaczego śniła o tym, co wydarzyło się w świątyni? Te sny podobno były tak realne, jakby tam z nami była.

— Była tam. Musiała. Nie mogłam jej zostawić i sama tam się udać, prawda? Postaw mnie na podłogę, proszę.

Zwolnił uścisk swych ramion i dziewczynka podeszła do okna.

— Podejź tu, Sparhawk — powiedziała po chwili.

Książę pan wstał z fotela.

— O co ci chodzi? — zapytał.

— Matka wraca. Jest na dziedzińcu z Mirtai i Talenem.

Sparhawk wyjrzał przez okno. Rzeczywiście, królowa Elenii wróciła do pałacu.

— Któregoś dnia zostanę królową, prawda? — zastanawiała się księżniczka.

— Chyba że postanowisz rzucić wszystko i pójdziesz sobie gdzieś paść kozy. Bogini puściła tę uwagę mimo ucha.

— A zatem będę musiała mieć swego rycerza, prawda?

— Sądzę, że tak. Mogę nim być, jeśli chcesz.

— Gdy będziesz miał osiemdziesiąt lat? Jesteś teraz najwspanialszym rycerzem na świecie, ojczy, ale obawiam się, że na starość trochę zniedołężniejesz.

— Nie przeciągaj struny!

— Przepraszam. Kiedyś też poślubię kogoś, kto zostanie Księciem Małżonkiem, czyż nie?

— Tak jest w zwyczaju. Dlaczego jednak teraz o tym mówimy?

— Potrzebuję twej rady i twego przyzwolenia.

— Za wcześnie o tym mówić. Masz dopiero cztery lata.

— Nigdy nie jest za wcześnie, by dziewczyna zaczęła myśleć o tych sprawach.

— Danae wskazała palcem na dziedziniec. — Sądzę, że ten młodzieniec na dole będzie odpowiedni. — Zdawało się, że księżniczka wybiera nową wstążkę do włosów.

— Talen?

— Czemu nie? Lubię go. Wyobraź sobie, że zostanie rycerzem, panem Talenem. Jest zabawny i bardzo miły... zawsze wygrywam z nim w warcaby! Spędzilibyśmy cały czas w łóżku, tak jak ty i mama.

— Danae!

— Co się stało? Czemu się rumienisz?

— Nieważne. Uważaj, co mówisz, młoda damo, albo powiem mamie, kim naprawdę jesteś.

— Świetnie — stwierdziła księżniczka pogodnie — a ja powiem jej o Lillias. Co ty na to?

Spojrzeni sobie w oczy i wybuchnęli śmiechem.

Minął tydzień. Sparhawk pochylał się nad dokumentem, zawierającym ostatnie propozycje hrabiego Lendy. Absurdalny pomysł, który niemal podważałby rządowy fundusz płac. Książę pan napisał u dołu gniewną uwagę: „Zatrudnijmy wszystkich ludzi w królestwie na rządowych posadach, Lendo, i wtedy wszyscy razem umrzemy sobie z głodu”.

Do komnaty weszła księżniczka Danae, niosąc za nogę sponiewieraną pluszową zabawkę.

— Jestem zajęty, Danae — rzekł Sparhawk krótko.

Dziewczynka zamknęła drzwi zdecydowanym ruchem.

— Ale zrzęda z ciebie — powiedziała cierpko.

Książę pan rozejrzał się szybko wokół siebie, podszedł do drzwi wiodących do przyległej komnaty i starannie je zamknął.

— Wybacz, Aphrael — usprawiedliwiał się. — Jestem trochę nie w humorze.

— Zauważyłam. Wszyscy w pałacu to zauważyli. — Wręczyła mu zabawkę.

— Daj klapsa Rollowi. On nie będzie miał nic przeciwko temu, a ty może poczujesz się lepiej.

Sparhawk roześmiał się, czując się trochę nieswojo.

— To jest Rollo? Ach, poznaję. Twoja matka nosiła go w ten sam sposób, dopóki wszystko z niego nie wylazło.

— Wypchała go i dała mnie. — Księżniczka patrzyła na ojca z powagą. — Domyśliłam się, że powinnam go z sobą nosić, choć zupełnie nie wiem po co. Wolałabym raczej mieć małe kozłátko.

— Rozumiem, że chcesz mi powiedzieć coś ważnego, czyż nie?

— Tak. Odbyłam długą rozmowę z innymi bogami.

Jego umysł bronił się przed wnioskami płynącymi z tego prostego oświadczenia.

— Co powiedzieli?

— Nie byli zbyt mili, ojczcie. Uważają, że jestem winna wszystkiemu, co wydarzyło się w Zemochu. Nawet nie chcieli mnie słuchać, gdy próbowałam mówić, że to była twoja wina.

— Moja wina? Dzięki.

— Nie mają w ogóle zamiaru pomóc, więc obawiam się, że wszystko zależy od nas. Od ciebie i ode mnie.

— Będziemy naprawiać świat? Zupełnie sami?

— To wcale nie jest takie trudne. Poczytałam pewne przygotowania. Wkrótce przybędą nasi przyjaciele. Udawaj, że jesteś zaskoczony ich widokiem, a potem nie pozwól im odjechać.

— Będą nam pomagać?

— Oni będą mnie pomagać. Będę ich potrzebowała, będę potrzebowała wiele miłości, by obrócić mój zamysł w czyn. Dzień dobry, mamusiu. — Księżniczka nie zmieniła tonu, nawet nie odwróciła się do drzwi.

— Danae, wiesz przecież, że nie powinnaś przeszkadzać ojcu w pracy — strofowała córkę Ehlana.

— Rollo chciał go zobaczyć — skłamała Danae bez zmruczenia powiek. — Mówiłam mu, że nie powinniśmy przeszkadzać ojcu, gdy jest zajęty, ale wiesz sama, jaki jest Rollo. — Powiedziała to z taką powagą, że zabrzmiało niemal prawdziwie. Następnie podniosła sfatygowaną zabawkę i pogroziła jej palcem. — Brzydki, brzydki Rollo.

Ehlana ze śmiechem podbiegła do córki.

— Czyż ona nie jest słodka? — podniosła rozświetlone szczęściem oczy na Sparhawkę, klękając i biorąc dziewczynkę w ramiona.

— O tak, z całą pewnością. Jest nawet bardziej urocza, niż ty byłaś w jej wieku. — Książę pan zrobił żalostną minę. — Chyba mi jest pisane, że dwie bardzo przebiegłe dziewczynki będą okręcały mnie sobie wokół paluszków.

Księżniczka Danae i jej matka tuląc się do siebie rzuciły mu prawie identyczne spojrzenia pełne udanej niewinności.

Następnego dnia jeden po drugim przybyli do Cimmury przyjaciele Sparhawka, a każdy z nich miał ważny powód, aby spotkać się z księciem panem. Wieźli złe wieści. Ulath przyjechał z Emsatu, by donieść, że lata pijaństwa w końcu zaczęły dawać się we znaki wątrobie Warguna.

— Nasz dzielny władca zżółkł cały i jest koloru brzoskwini — mówił rosty Thalezyjczyk.

Tynian powiadał, iż stary król Obler popada w zdziecinnienie, a Bevier zapewniał, że wieści dochodzące z Rendoru wskazują na możliwość następnego powstania eshandystów. Jednak nie wszyscy mieli powody do zmartwień. Stragen donosił, iż w jego interesach nastąpiła wyraźna poprawa. Ta wiadomość była prawdopodobnie najgorsza ze wszystkich.

Pomimo złych wieści przyjaciele wykorzystali okazję, by wspólnie się weselić i wspominać dawne czasy.

„Dobrze być znowu razem ze starymi druhami” — pomyślał Sparhawk pewnego ranka, wymykając się po cichu z łóża, żeby nie obudzić śpiącej małżonki. Był niewyspany. Przesiadywał z przyjaciółmi długo w noc, a potem wczesnie wstawał, aby wypełniać oficjalne obowiązki, więc zostawało mu niewiele czasu na sen.

Wyszedł z sypialni.

— Zamknij drzwi, ojciec — usłyszał cichy głos Danae.

Dziewczynka w nocnej koszulce siedziała skulona w dużym fotelu przy kominku. Jej białe stopy były ubrudzone trawą.

Sparhawk posłusznie zamknął drzwi i usiadł obok córki.

— Jesteśmy już wszyscy — powiedziała Danae — więc zaczynajmy.

— Co zamierzasz uczynić?

— Zaproponuj im wycieczkę na wieś.

— Muszę mieć jakiś ważny powód. Pogoda nie sprzyja wycieczkom.

— Jakikolwiek powód będzie dobry. Wymyśl coś. Zobaczysz, że oni uznają to za doskonały pomysł. Jedźcie w kierunku Demos. Sephrenia, Vanion i ja dołączymy do was za miastem.

— Czy mogłabyś mi to i owo wyjaśnić? Dlaczego nie wyruszysz z nami? Przecież już tu jesteś.

— I będę tu także.

— Masz zamiar być w dwóch miejscach naraz?

— To nie jest aż tak trudne. Robimy to cały czas.

— Być może, ale to nie jest najlepszy sposób na zachowanie w tajemnicy, kim naprawdę jesteś.

— Nikt się nie domyśli. Dla naszych przyjaciół będę wyglądała jak Flecik.

— Nie ma wcale aż tak wielkiej różnicy między tobą a Flecikiem.

— Być może ty jej nie dostrzegasz, ale pozostali widzą mnie nieco inaczej. —

Wstała z fotela. — Zajmij się tym, Sparhawk — powiedziała, beztrzesko machając mu rączką. Podeszła do drzwi, niedbale ciągnąc za sobą Rolla.

— Poddaję się — szepnął Sparhawk do siebie.

— Słyszałam to, ojczu — powiedziała Danae nawet nie odwracając głowy.

Tego ranka, gdy zebrali się przy śniadaniu, Kalten sprowadził rozmowę na pożądaną przez Sparhawk temat.

— Ach, gdybyśmy tak mogli się wyrwać na kilka dni z Cimmury — marzył na głos jasnowłosy pandionita. Spojrzał na królową Ehlanę. — Nie chcę nikogo urazić, wasza wysokość, ale pałac nie jest najlepszym miejscem na urządzenie przyjacielskiego zjazdu. Kiedy tylko rzeczy zaczynają iść po naszej myśli, pojawia się jakiś dworak z czymś, co absolutnie wymaga natychmiastowej uwagi Sparhawk.

— Pan Kalten ma rację — mruknął Ulath. — Dobry zjazd jest jak dobra bijatyka w gospodzie. Co to za zabawa, gdy ktoś ją przerywa raz za razem.

Sparhawk nagle sobie o czymś przypomniał.

— Czy poważnie myślałaś tamtego dnia? — zapytał małżonkę.

— Zawsze jestem poważna. O którym dniu mówisz?

— O tym, w którym mówiłaś o nadaniu mi księstwa.

— Próbuję to uczynić już od czterech lat. Nie wiem, po co miałabym sobie tym dłużej zawracać głowę. Za każdym razem znajdujesz jakąś wymówkę, by się od tego uchylić.

— Rzeczywiście, chyba nie gonię za tym zaszczytem, ale może powinienem rzucić na to księstwo okiem. . .

— Do czego zmierzasz?

— Potrzebne nam jest miejsce, w którym nikt by nam nie przeszkadzał świętować.

— Wszczynać burdy — poprawił Ulath.

Sparhawk uśmiechnął się do niego szeroko.

— Tak czy inaczej uważam — ciągnął dalej — że powinienem chociaż zobaczyć tę posiadłość. O ile pamiętam, to w kierunku Demos. Moglibyśmy tam pojechać i dokładnie obejrzeć dwór.

— My? — zapytała królowa.

— Człowiekowi przed podjęciem takiej decyzji zawsze przyda się dobra rada. Myślę, że wszyscy powinniśmy pojechać spojrzeć na to księstwo. A co reszta z was o tym sądzi?

— Dobry władca zawsze potrafi sprawić, że decyzje oczywiste wydają się problematyczne — wycedził Stragen.

— I tak powinniśmy częściej wyjeżdżać, moja droga — rzekł Sparhawk do małżonki. — Zróbmy sobie krótkie wakacje. Co złego może się stać podczas naszej nieobecności? Najwyżej Lenda osadzi na rządowych posadach kilkudziesięciu krewnych.

— Życzę wam wyśmienitej zabawy, przyjaciele — powiedział Platim — ale jestem raczej życzliwego usposobienia i zmartwiłby mnie widok rosnącego rumaka, uginającego się i jęczącego pod moim ciężarem. Zostanę tu i będę uważał na Lendę.

— Możesz jechać w powozie — odezwała się olbrzymka Mirtai.

— O jakim powozie mówisz, Mirtai? — zapytała królowa.

— O tym, w którym ty pojedziesz. Nie możesz być narażona na niepogodę.

— Nie potrzebuję powozu!

W oczach Mirtai pojawiły się niebezpieczne błyski.

— Ehlano! Nie kłóć się ze mną!

— Ale...

— Spokój!

— Dobrze, Mirtai — westchnęła królowa z rezygnacją.

Wybierali się na wycieczkę w radosnym nastroju. Faran także mu uległ i przyłączył się do zabawy. Udało mu się nawet przydeptać Sparhawkowi obie stopy naraz, gdy książę pan próbował wspiąć się na siodło.

Kiedy wyruszyli, pogoda była prawie zachęcająca. Niebo przestaniała raczej mgła niż chmury, a dotkliwy chłód zelżał. Jeszcze się nie ociepliło, ale przynajmniej było znośnie. Nie wiał nawet najśłabszy wietrzyk i Sparhawk z niepokojem przypomniał sobie moment, w którym bóg trolli Ghnomb zatrzymał dla nich czas na trakcie biegnącym na wschód z Paleru.

Cimmura zniknęła w dali. Podążali drogą wiodącą do Lendy i Demos. Sparhawkowi oszczędzono niepokojącej możliwości oglądania córki w dwóch miejscach jednocześnie. Mirtai uznała, że pogoda jest nieodpowiednia na wycieczkę dla małej księżniczki, tak więc Danae została w pałacu pod opieką niani. Sparhawk przewidywał, że w niedalekiej przyszłości dojdzie do starcia. Zbliżał się czas, kiedy Danae i Mirtai przypuszczą na siebie frontalny atak. Prawdę mówiąc, książę pan tylko na to czekał.

W pobliżu miejsca, gdzie kiedyś spotkali szukacza, natknęli się na Sephrenię i Vaniona, odpoczywających przy ognisku; Flecik jak zwykle siedziała na konarze pobliskiego dębu. Vanion wyglądał na dużo młodszego i zdrowszego, niż go pamiętali. Wstał, by powitać przyjaciół. Tak jak Sparhawk się spodziewał, miał na sobie białą styrycką szatę i nie nosił miecza.

— Ufam, że masz się dobrze — powiedział książę pan zsiadając z konia.

— Nieźle. A ty?

— Nie narzekam, mistrzu.

A potem zaniechali konwenansów i padli sobie w ramiona.

— Kogo wybrano na mego zastępcę? — zapytał Vanion, kiedy już zasiedli przy ognisku.

— Nalegaliśmy na hierarchów, by wyznaczono Kaltena — odparł uprzejmie Sparhawk.

— Coście najlepszego zrobili! — Na obliczu Vaniona malowało się bolesne rozczarowanie.

— On próbuje sobie dworować — rzucił Kalten z przekąsem. — Jego dowcip jest równie udany jak jego nos. Prawdę mówiąc, Sparhawk piastuje to stanowisko.

— Dzięki Bogu! — wykrzyknął Vanion.

— Dolmant próbował nakłonić go, aby przyjął na stałe ten zaszczyt, ale nasz przyjaciel się wykręca, że ma już za dużo innych obowiązków.

— Zmarnieję ze szczętem, jeżeli dalej będziecie mnie tak wykorzystywać — narzekał Sparhawk.

Ehlana z nabożnym szacunkiem przyglądała się małej Flecik, grającej na fujarce.

— Ta dziewczynka wygląda zupełnie tak samo jak w moim śnie — szepnęła do Sparhawka.

— Ona nigdy się nie zmienia. No, w każdym razie niewiele.

— Czy wolno nam się do niej odzywać? — W oczach królowej czał się lęk.

— Czemu stoisz tam i szepcesz, Ehlano? — zniecierpliwiła się Flecik.

— Sparhawk, jak mam się do niej zwracać? — zapytała nerwowo królowa.

Księżę pan wzruszył ramionami.

— My nazywamy ją Flecik. Jej inne imię brzmi trochę za oficjalnie.

— Ulathu, pomóż mi zejść — poleciła dziewczynka.

— Wedle rozkazu — odparł odruchowo srogi Thalezyjczyk. Podeszedł do drzewa, zdjął małą boginię z gałęzi i postawił na poźółkłej zimowej trawie.

Flecik jako Danae znała już Stragena, Platima, domi Kringa i Mirtai, nie wspominając o swej matce. Rozmawiała z nimi poufale, co jeszcze bardziej powiększyło ich nabożny szacunek.

— No cóż, Ehlano — odezwała się w końcu do królowej Elenii — czy będziemy tak stać i przypatrywać się sobie? Czy też podziękujesz mi za wspaniałego małżonka, jakim cię obdarzyłam?

— Oszukujesz, Aphrael! — zganiała ją Sephrenia.

— Wiem, droga siostrze, ale to takie zabawne.

Ehlana roześmiała się bezradnie i wyciągnęła ramiona. Flecik zapięła z zachwytem i rzuciła się w jej objęcia.

Flecik i Sephrenia wsiadły wraz z Ehlaną, Mirtai i Platimem do powozu. Na chwilę przed odjazdem bogini wystawiła główkę przez okno.

— Talenie! — zawołała słodkim głosikiem.

— Słucham? — odpowiedział Talen czujnie. Sparhawk podejrzewał, że Talen właśnie ma jeden z tych ścinających krew w żyłach przebłysków świadomości, które zdarzają się młodzieńcom i jeleniom, gdy wyczują, że zbliża się łowca.

— Usiądź obok mnie, proszę — zaproponowała niewinnie Aphrael.

Talen spojrzął z pewną obawą na księcia pana.

— Idź — rzekł Sparhawk. Bez wątpienia lubił tego chłopca i dobrze mu życzył, ale w końcu Danae była jego córką.

Ruszyli. Po kilku ligach Sparhawk poczał ogarniać nieokreślony niepokój. Chociaż od wczesnej młodości przemierzał trakt między Demos a Cimmurą, nagle zaczął wydawać mu się dziwnie obcy. Mijali duże, dostatnio wyglądające gospodarstwa, których nikt tu nigdy nie widział; wzgórze były nie tam, gdzie być powinny. Sparhawk sięgnął po mapę.

— Co chcesz sprawdzić? — zapytał Kalten.

— Czy to możliwe, abyśmy gdzieś źle skręcili? Jeżdżę tą drogą tam i z powrotem od dwudziestu lat, a tu naraz nie widzę dawnych punktów orientacyjnych.

— A to dobre! — prychnął Kalten i spojrział przez ramię na innych. — Naszemu wspaniałemu przywódcy udało się zabłądzić! Ślepo podążaliśmy za nim przez pół świata, a on gubi się kilka lig od domu. Nie wiem jak wy, ale ja zaczynam tracić do niego zaufanie.

— Chcesz mnie zastąpić? — zapytał Sparhawk beznamiętnym tonem.

— I stracić okazję do siedzenia z tyłu i krytykowania? Nie ma głupich!

Stało się oczywiste, że przed zmrokiem nie dotrą w żadne ze znanych miejsc, a nie byli przygotowani do obozowania pod gołym niebem. Sparhawk poczał się niepokoić.

Flecik wystawiła głowę przez okno powozu.

— Co tak zgrzytasz zębami, Sparhawk? — zapytała.

— Musimy znaleźć jakieś schronienia na noc, a przez ostatnie trzy ligi nie mijaliśmy żadnego domostwa.

— Po prostu jedź przed siebie.

— Niedługo zacnie zapadać zmrok.

— Więc popędź konia. — Flecik ponownie zniknęła we wnętrzu powozu.

Wraz z zapadnięciem zmroku dotarli na szczyt wzgórze i spojrzeli na dolinę, która absolutnie nie powinna znajdować się w tym miejscu. Przed nimi rozciągał się teren porośnięty trawą i łagodnie pofałdowany, znaczony tu i tam kępami brzoź o białych pniach. W połowie zbocza stał niski, kryty strzechą dom. Z okien sączyło się złociste światło świec.

— Może tam przenocujemy? — zaproponował Stragen.

— Pośpieszmy się — poleciła Flecik z powozu. — Wieczera stygnie.

— Takie traktowanie ludzi sprawia jej chyba przyjemność — zastanawiał się Stragen.

— O tak — zgodził się Sparhawk — pewnie to jej ulubiona zabawa.

Ten dom przypominał dużą wiejską chatę. W środku miał wiele przestronnych izb, umebLOWANYCH prostymi, ale solidnie wykonanymi sprzętami. Nie było tu nikogo i panowała głucha cisza. Wszędzie paliły się świece, w każdym starannie wyczyszczonym kominku tańczyły wesole płomienie. W największej izbie stał długi stół nakryty jak do bankietu.

— Podoba się wam? — zapytała Flecik z wyrazem niepokoju na twarzyczce.
— Tu jest pięknie! — zawołała Ehlana, obejmując spontanicznie dziewczynkę.

— Bardzo mi przykro — usprawiedliwiała się Flecik — ale nie mogłam się zmusić do tego, by podać wam szynkę. Wiem, że wy, Eleni, ją bardzo lubicie, ale po prostu nie mogłam — wzdrygnęła się ze wstrętem.

— Ach, zadowolimy się tym, co tu jest, Fleciku. — Kalten wodził rozpromienionym wzrokiem po półmiskach. — Prawda, Platimie?

Gruby złodziej niemal z czcią patrzył na zastawiony stół.

— Tak, tak, panie Kaltenie! — przyznał z entuzjazmem. — To absolutnie wystarczy!

Wszyscy zjedli więcej, niż powinni, a potem rozsiedli się wzdychając ciężko z powodu najmilszej z dolegliwości.

Berit obszedł stół i pochylił się nad ramieniem Sparhawka.

— Ona znowu to zrobiła — szepnął.

— Co zrobiła?

— Ogień płonie cały czas od naszego przybycia i nadal nie trzeba dokładać drewna, a świece nie stopiły się wcale.

— Zdaje się, że to jej dom. — Sparhawk wzruszył ramionami,

— Wiem, ale... — Berit wyglądał na niepokieszonego. — To nienaturalne! — powiedział w końcu.

— Bericie, aby dotrzeć do tego domu, przejeżdżaliśmy przez okolice, których nie ma na żadnej mapie, a ty chcesz się martwić kilkoma takimi drobiazgami, jak wiecznie płonące świece czy kominki, do których nie trzeba dokładać drewna?

Berit zaniechał protestów i wrócił na swe miejsce.

Bogini-dziecko bardzo była przejęta obowiązkami gospodyni. Kiedy odprowadzała ich do pokoi, dokładnie wyjaśniała nawet te rzeczy, których nie trzeba było wyjaśniać.

— Jakie z niej kochane maleństwo, prawda? — zapytała Ehlana Sparhawka, gdy zostali sami. — Tak bardzo stara się o wygodę i dobre samopoczucie swych gości.

— Styricy przywiązują do tych spraw wielką wagę — wyjaśnił Sparhawk. — Flecik nie zna dobrze Elenów i dlatego tak się przejmuje. Chce zrobić dobre wrażenie.

— Ale ona jest boginią!

— Co nie przeszkadza jej się martwić o opinię innych.

— Wiesz, zdaje mi się, że Flecik przypomina trochę naszą Danae...

— Podejrzewam, że wszystkie małe dziewczynki są do siebie podobne — rzekł Sparhawk ostrożnie — tak jak i wszyscy mali chłopcy.

— Być może — przyznała Ehlana — ale ona nawet pachnie jak Danae i obie zdają się przepadać za pocałunkami i pieszczotami. — Przerwała, a po chwili

twarz jej pojaśniała. — Powinniśmy je sobie przedstawić! Na pewno się polubią i będą wspaniale się razem bawić.

Książę pan niemal zakrztusił się na samą myśl o podobnej możliwości.

Następnego dnia wczesnym rankiem obudził Sparhawk znajomy stukot kopyt. Książę pan wymamrotał przekleństwo i spuścił nogi z łoża.

— Co się stało, kochany? — spytała Ehlana zaspianym głosem.

— Faran biega wolno — powiedział poirytowany. — Musiał zerwać się z uwięzi.

— Nie ucieknie chyba?

— Oczywiście, że nie. Nie zrezygnuje przecież z uciechy, jaką mu da wymykanie mi się z rąk przez cały ranek. — Sparhawk naciągnął odzienie i podszedł do okna. Wtedy właśnie usłyszał dźwięki fujarki Flecika.

Niebo nad tą tajemniczą doliną, jak i nad całym światem tej zimy, pokrywała gruba warstwa chmur. Ciemne, skłębione, ciągnęły od horyzontu po horyzont gnane porywistym wiatrem.

Po rozległej łące w pobliżu domu galopował Faran, zataczając szerokie koła. Nie miał siodła ani uprzęży, a w sposobie, w jaki biegł, było coś radosnego. Na jego grzbiecie leżała Flecik z fujarką przy ustach. Główkę ułożyła wygodnie na szerokim karku konia, nogę założyła na nogę i bosą stópką wybijała takt na jego zadzie. Sparhawk stał i patrzył spokojnie. Widział już kiedyś tę scenę, więc się nie obawiał, że narowisty rumak może zrzucić i stratawać dziecko.

— Ehlano — powiedział w końcu — pewnie chciałaś to zobaczyć.

Królowa podeszła do okna.

— Cóż ona wyprawia?! — zawołała. — Spadnie i zrobi sobie krzywdę!

— Nie, nie spadnie. Oni już dawniej tak się bawili. Faran nie może jej zrzucić... i wcale tego nie chce.

— Co oni robią?

— Nie mam pojęcia — przyznał, chociaż nie była to cała prawda — ale myślę, że coś bardzo szczególnego. — Wychylił się z okna, spojrzął w lewo, a potem w prawo. Inni również stali w oknach i ze zdumieniem przyglądali się zabawie na łące.

Porywisty wiatr począł cichnąć, wreszcie zupełnie zamarł. Pożółkłe trawy za chatą przestały grzechotać. Flecik dalej grała swą melodię o wdzięcznym rytmie.

Faran niezmordowanie okrążał łąkę, radosne tony fujarki wzbijały się wysoko. Mroczne chmury przesłaniające niebo poczęły się zwijać niczym rolowany koc i pojawiło się błękitne niebo poznaczone pierzastymi chmurkami.

Sparhawk i jego przyjaciele, oczarowani, zadarli głowy i podobnie jak czasami czynią to dzieci, dopatrywali się w cudownie pierzastych chmurkach różowych smoków i gryfów. Kurtyna chmur rozsuwała się i wznosiła wciąż wyżej i wyżej,

aż znikła, a wszystkie duchy powietrza, ziemi i nieba połączyły się, by powitać wiosnę, na której nadejście nikt już nie miał nadziei.

Aphrael wstała. Jej błyszczące czarne włosy powiewały za nią, a dźwięk fujarki wznosił się na powitanie wschodzącego słońca. Potem, nie przerywając grania, bogini-dziecko poczęła tańczyć, wirując na kołyszącym się grzbiecie galopującego srokacza, a jej powalane trawą stópki migały w takt radosnej melodii.

Szeroki koński grzbiet i ziemia, i niebo były dla Aphrael jednym. Tańczyła i wirowała równie łatwo na Faranie, po młodej zielonej trawie czy w powietrzu.

Z nabożnym lękiem przyglądali się temu z okien domu, którego tu w rzeczywistości nie było, a ich smutny nastrój zniknął. Serca im rosły na dźwięk owej radosnej, wiecznie świeżej pieśni zbawienia i odnowy. Straszliwa zima w końcu ustąpiła. Powróciła wiosna.

Tak kończy się „Szafirowa róża”, ostatnia, trzecia księga dziejów Elenium, ale nie jest to koniec historii Sparhawk i jego przyjaciół. Opowieści o nich, o ich przygodach w świecie pełnym niebezpieczeństw i magii, zawiera cykl „Tamuli”.